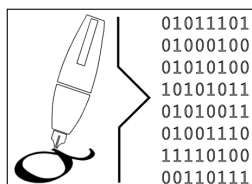


MERCEDES LACKEY

BURZA

**Drugi tom z cyklu
„Trylogia Magicznych Burz”**

Tłumaczyła: Katarzyna Krawczyk



Tytuł oryginału:

STORM RISING

Data wydania polskiego: 2000 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1995 r.

Dedykowane Teresie i Dejah

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wielki książę Tremane zadrżał, kiedy zimny powiew przeniknął przez okiennice i przebiegł mu po karku. To miejsce bardzo różniło się od zamku Krag, rezydencji cesarza Charlissa, budowli z pozoru surowej, ale wyposażonej w przeróżne ukryte wygody. Pałac księcia, w porównaniu z zamkiem cesarskim prymitywny, nawet w największe chłody nie był tak zimny. Tremane zamknął oczy w przypływie tęsknoty za domem; w tej chwili za kołnierz pociekła mu kolejna lodowata strużka. Bardziej przypominała przeciągnięcie nożem po kręgosłupie niż zimną wodę.

„Raczej nóż na gardle.” Te chłody były zapowiedzią znacznie gorszej pogody, która miała dopiero nadejść. Dlatego książę zwołał wszystkich oficerów, magów i uczonych, a potem zebrał ich w największej komnacie swej tymczasowej kwatery.

„Któż to zbudował ten zamek? Zdaje się, że co najmniej wielki książę Hardornu.” W swym pałacu miał wiele komnat większych niż ta i lepiej nadających się na poważne dyskusje z udziałem wielu osób. Tutaj zaś wysokie okna, choć oszklone, były nieszczelne jak sita i książę musiał zamknąć okiennice, odgradzając się tym samym od światła szarego, jesiennego dnia. Chociaż w kominkach w obu końcach komnaty płonął ogień, ciepło uciekało do góry, pomiędzy belki sufitu dwa piętra wyżej, gdzie nie przydawało się na nic. W lepszych czasach ta zamknięta łukowym sklepieniem komnata o zimnej, kamiennej posadzce służyła zapewne jako sala balowa. Przez resztę dni zamykano ją na głucho, gdyż z powodu przeciągów nie dało się w niej utrzymać przyzwoitej temperatury. Tremane spojrzał w górę, na odsłonięte belki ledwie widoczne w półmroku, chociaż w komnacie zapalono tyle świec i latarni, że powietrze drżało nad płomykami.

Taka liczba świec powinna wydzielać niemal tyle ciepła, co oba kominki, jednak do księcia niewiele z niego docierało.

Spojrzało na niego kilkanaście zaniepokojonych par oczu. Siedział na solidnym krześle za małym biurkiem sekretarza, ustawionym na podwyższeniu kiedyś prawdopodobnie zajmowanym przez orkiestrę. Było równie niewygodne jak katedra w sali wykładowej i książę nie wątpił, że cesarscy szpiedzy nie pominą tego skojarzenia. Jednak w tej chwili nie obchodziło go to. Istniała ważniejsza kwestia:

przetrawanie.

Wstał i zanim zdążył chrząknąć, szmer rozmów ucichł.

— Wybaczcie, panowie, że zanudzam was powtarzaniem oczywistości — zaczął, ukrywając zmieszanie spowodowane koniecznością przemawiania do tak dużego audytorium. Nigdy nie był krasomówcą; to jedyna cecha dobrego przywódcy, której mu brakowało. Nie wygłaszał porywających przemówień na polu bitwy — raczej chrząkał nerwowo, mamrotał banały o honorze oraz lojalności i wycofywał się jak najszybciej. — Niektórzy z was na moje polecenie zajmowali się innymi sprawami, teraz jednak chcę, żeby wszyscy poznali szczegółowo nasze obecne położenie, tak by nie trzeba było później nic dwukrotnie wyjaśniać.

Skrzywił się w duchu na dobór słów, ale jednocześnie dostrzegł potakujące kiwnięcia głową. Widząc, że nikt nie wygląda na znużonego, mówił dalej. Główną grupę stanowili oficerowie, siedzący przed nim przy trzech długich stołach. W swych polowych rdzawo-brązowych mundurach tworzyli ciemną, złowróżbną plamę koloru skrzepłej krwi. Jakiś dowcipniś zauważył kiedyś, że mundury cesarskich żołnierzy miały taki kolor po to, aby uniknąć czyszczenia plam z krwi po bitwie. Żart nie należał do najzabawniejszych, ale w pewnym sensie mogło się w nim kryć wiele prawdy.

Po lewej i prawej stronie stali magowie Imperium i szkolarze księcia. Magowie mieli na sobie bardziej swobodne i wygodniejsze odmiany mundurów wojskowych, odpowiednie dla starszych i mniej sprawnych ludzi. Uczni, jako cywile, ubrali się wedle upodobania i teraz tworzyli w komnacie jedyną barwną plamę. Pierwsze słowa książe skierował raczej do nich niż do oficerów.

— Mimo że od czasu zgromadzenia sił i umocnienia naszych pozycji tutaj nie spotkaliśmy się ze zbrojnym oporem, ciągle przebywamy na terytorium wroga. Odkąd zerwaliśmy wszelkie układy, tereny na zachód od nas są niepewne, nie liczyłbym także na spokój na ziemiach hardorneńskich leżących na południe i północ od naszych początkowych linii. W każdej chwili mogą wybuchnąć zamieszki, więc układając plany, musimy brać to pod uwagę.

Jedyną odpowiedzią były skrzywione twarze uczonych i magów oraz ponure potakiwania oficerów. Armia Imperium, która miała klinem wbić się w Hardorn, aby potem dzielić go na coraz mniejsze, łatwe do opanowania części, stała się teraz ostrzem strzały odłamanym od drzewca, utkwionym gdzieś w głębi kraju. W tej chwili Tremane miał tylko nadzieję, że większość mieszkańców zlekceważy samotny posterunek.

— Od czasu nasilenia magicznych burz straciliśmy wszelki kontakt z Imperium — mówił dalej, na początek rzucając najgorszą wiadomość. — Nie udało nam się powtórnie go nawiązać. Z niechęcią muszę przyznać, że jesteśmy zdani wyłącznie na siebie.

Ta wiadomość dla wielu była nowiną, a po szeroko otwartych oczach i zdumionych twarzach książe widział, kogo najbardziej przeraziły jego słowa, chociaż

usiłowali zachować spokój. To byli dobrzy ludzie — nawet ci z nich, którzy szpiegowali dla cesarza.

„Czy którykolwiek z nich ma jeszcze kontakt ze zwierzchnikami w Imperium? Dałbym wiele za odpowiedź na to proste pytanie.” Jednak nie było sposobu, by się tego dowiedzieć. Każdy agent cesarza Charlissa będzie lepszym magiem niż Tremane. Cesarz był zbyt szcwanym starym lisem, by cokolwiek pozostawić przypadkowi.

Tremane, czując na szyi następny zimny powiew, postawił futrzany kołnierzyk wełnianego płaszcza w daremnej próbie osłonięcia się przed przeciągiem. Miał na sobie taki sam rdzawoczerwony mundur, jak jego podkomendni. Nie cierpiał robić z siebie widowiska, poza tym człowiek jaskrawo ubrany i obwieszony ozdobami stanowił świetny cel.

— Korpus magów — ciągnął, wskazując głową w kierunku różnobarwnie ubranych ludzi siedzących przy najbliższym stole — przekazał mi, że burze nie słabną, lecz przeciwnie, stają się coraz bardziej gwałtowne. Jak zapewne zauważyliście, wpływają one na pogodę. Oznacza to więcej burz prawdziwych — i to coraz gorszych. . . — Spojrzał pytająco na magów.

Przedstawiciel magów wstał. Nie był to ich przywódca, Gordun — krępy, brzydki starzec, siedzący na krześle z dłońmi zaciśniętymi na blacie stołu, lecz pomarszczony mężczyzna, niegdyś nauczyciel samego księcia, najstarszy z magów, a może w ogóle najstarszy z całej grupy. Sejanes nie był głupcem; być może czarodzieje spodziewali się, że Tremane powściągnie swą wściekłość wobec kogoś, kto go uczył. W tym akurat się pomylili. Tremane nigdy nie wyładowałby frustracji na kimś, kto powiedziałby mu nawet najbardziej nieprzyjemną prawdę — nieubłagany bywał jedynie wobec kłamców.

Sejanes wiedział o tym, toteż z niewzruszonym spokojem spojrzał na księcia.

— Być może spostrzeżliście niezwykle dla nas, mieszkańców Imperium, zimno, i zastanawialiście się, czy to normalny w tym klimacie stan rzeczy — odezwał się donośnym głosem. — Zapewniam was, że nie. Rozmawiałem z tutejszymi i przeglądałem wszelkie dostępne źródła. Najprawdopodobniej jest to najgorszy sezon w historii regionu. Jesień nadeszła wcześniej i jest cięższa niż zwykle, z częstszymi burzami i większym mrozem. Robiliśmy pomiary i możemy jedynie stwierdzić, że sytuacja się pogarsza. Jest to skutek magicznych burz na terenie, którego równowaga już i tak zachwiana jest przez postępy tego durnia, Ancarra. Magiczne burze same w sobie stają się coraz silniejsze. Biorąc wszystko pod uwagę — wolę nie myśleć, jak może wyglądać zima.

Sejanes usiadł, a wstał Gordun. Na twarzach siedzących wokół ludzi wstrząs zaczął ustępować miejsca innym uczuciom. Widać było zadziwiająco mało paniki, jednak i niemal najmniejszych śladów optymizmu. Książę uznał, że tak jest lepiej; im gorszą sytuację bowiem będą przewidywać, tym staranniej się przygotowują.

— Zrezygnowaliśmy z prób odtworzenia magicznej łączności z Imperium —

powiedział otwarcie. — Nie zdołamy tego zrobić, skoro obie strony nic o sobie nie wiedzą; to jak próba połączenia końców wstążki w czasie wichury. . . — Na jego twarzy pojawiła się rezygnacja. — Panowie, uczciwie muszę przyznać — magowie stanowią teraz najmniej użyteczną część waszej armii. Nie zdołamy dokonać niczego, co przetrwa burzę.

— Co to dokładnie oznacza? — zapytał ktoś z tyłu komnaty.

Sejanes wzruszył ramionami.

— Od tej pory możecie postępować tak, jakbyśmy nie istnieli. Nie będziecie mieli magicznych ogni do ogrzania i oświetlenia kwater, nie zdołamy przetransportować nawet worka ziarna ani zbudować portalu mogącego przetrzymać choć jedną burzę. Krótko mówiąc, panowie, nie można w ogóle polegać na niczym, co opiera się na magii i nie potrafimy przewidzieć, kiedy się to skończy.

Usiadł gwałtownie, a zanim inni zdążyli zarzucić go pytaniami, Tremane ponownie przejął kontrolę nad sytuacją.

— Ostatnia magiczna burza przeszła trzy dni temu — powiedział. — Od tej pory zbieram raporty. — Przerzucił kartki, które czytał tak często, że słowa skakały mu cały czas przed oczami. „Daj im jakąś dobrą wiadomość.” — Ostatni maruderzy z potyczki pod Spangerą dotarli na czas, tuż przed burzą. Nie ma zaginionych, wiadomo, co się z kim stało. Przed burzą skończono palisadę, więc jesteśmy w pewien sposób chronieni. . . — Pozwolił im przez chwilę przetrwać dobre wiadomości jako pocieszenie po tym, co usłyszeli dotychczas. Okiennice za plecami księcia załomotały, płomień świec zachwiały się pod wpływem kolejnego powiewu. Tym razem Tremane poczuł ciepłe powietrze, przesycone zapachem wosku i oleju.

Miejscowi nazywali rezydencję dworem Shonar. Wybierając ją na kwaterę armii Imperium, Tremane dobrze zrobił. Umocniony dwór nie miał właściciela, który mógłby się o niego upomnieć — o to już zadbał Ancar. Tego, czy król wybił cały ród, czy wysłał ich na front przeciw Valdemarowi, książę nie wiedział. Zresztą, szczerze mówiąc, to się nie liczyło. Najważniejsze, że nie groziło mu nagłe pojawienie się spadkobiercy, który mógłby uzyskać poparcie mieszkańców miasta i narobić księciu kłopotu. Samo obwarowane murami miasto Shonar pomieściłoby ledwie część jego armii, nawet gdyby wysiedlił mieszkańców, a tego akurat nie zamierzał uczynić. Ludzie bardziej byli przydatni na miejscu, tworząc grupę zakładników gwarantującą spokojne zachowanie swych rodaków oraz zaopatrującą wojsko w to wszystko, co można dostać w średniej wielkości mieście. Właściwie byli traktowani zupełnie jak obywatele Imperium, dopóki nie sprawiali kłopotów. Ze swej strony, po pierwszych oznakach niepokoju, mieszkańcy wydawali się nawet zadowoleni ze swego losu. Cesarskie srebro i miedziaki były takim samym pieniądzem jak każdy inny.

Sądząc z raportów, które Tremane dostał po ostatniej burzy, dobrze się stało, iż zebrał wszystkich ludzi w jednym miejscu.

— Tym razem zwiadowcy donoszą o dużych szkodach w terenie — powiedział, odwracając kolejną stronę, jednak nie czytając jej. — Nie są to już tylko kręgi ziemi przeniesionej z innych obszarów. Jest ich nadal sporo, są większe, teraz jednak powstaje ich mniej. Mamy za to coś zupełnie nowego. — Spojrzał z powagą na zebranych i dostrzegł ich pytający wzrok. — Jestem pewien, że każdy z was widział kiedyś istoty stworzone przez magię, takie jak gryfy czy makary. Wydaje się, że magiczne burze odnoszą podobny skutek: zmieniają rośliny i zwierzęta, ale bez planu, jaki musiałyby istnieć, gdyby tę magię ktoś kontrolował.

— Potwory — usłyszał czyjś szept.

— Owszem, potwory — przyznał. — Niektóre z nich są naprawdę przerażające. Dotąd żaden z nich nie stanowił zagrożenia, z którym nie poradziłby sobie dobrze wyszkolony patrol, ale pozwolę sobie przypomnieć wam, że ostatnia burza przyszła w dzień. To, czemu łatwo można stawić czoło w świetle dziennym, w nocy staje się o wiele większym zagrożeniem.

„A gdyby magia złapała w pułapkę zwierzę większe od byka albo sprytniejsze od owcy? A gdyby złapała całe stado?” Westchnął i przeciągnął dłonią po rzednących włosach.

— To na pewno nie poprawi morale w oddziałach — powiedział szczerze. — A przecież, jak wielu z was mi melduje, jest ono i tak najniższe, odkąd pamiętamy. Przewrócił następną kartkę.

— Zgodnie z waszymi raportami, panowie — ciągnął, skinąwszy głową oficerom — to także dzieło magicznych burz. Donoszono mi o ludziach, którymi musieli zająć się uzdrowiciele, gdyż z powodu strachu, jaki przeżyli, nie mogli mówić ani poruszać się, a nie wszyscy z nich to rekruci... — Oficerowie drgnęli niespokojnie, lecz on spojrzął na nich i dodał stanowczo i szczerze: — Nie ma ich co winić, panowie. Wasi ludzie są przyzwyczajeni do walki z magią wojenną, ale nie z czymś takim jak to — działającym zupełnie na oślep i całkowicie nieprzewidywalnym. Niczego nie da się tu odgadnąć, nawet czasu nadejścia kolejnej burzy. To wystarczy, by zasiać niepokój nawet wśród najbardziej wytrawnych weteranów.

„Tak, pozostaje jedyne pytanie, którego nikt nie zada. Co się stanie, jeśli burza zmieni nie tylko zwierzęta, ale i ludzi?”

Uśmiechnął się lekko, a wojskowi się odprężyli.

— Teraz to przynajmniej działa na naszą korzyść. Moi ludzie przebywający na terenach nie osłoniętych donoszą, iż Hardorneńcy są równie przerażeni jak nasi wojownicy. Może nawet bardziej, gdyż nie przywykli do oglądania skutków magii z tak bliska. A już z pewnością nie są przygotowani na potwory, które pojawiają się po burzach. Tak więc mają więcej powodów do zmartwienia niż my — a to dobra wiadomość.

Rzeczywiście, aktywny opór znikł, zaczął słabnąć już przed ostatnią burzą. Tremane obserwował oficerów, zastanawiających się, kiedy ostatnio „bojownicy

o wolność” przypuścili atak — i odprężył się nieznacznie, widząc ich rozluźnienie.

— Tak wygląda sytuacja — podsumował, czując ulgę, że to koniec przemowy.
— Czy ktoś może chce coś dodać?

Wstał Godrun.

— Zgodnie z rozkazami Waszej Książęcej Mości koncentrujemy się na próbach wzniesienia i uruchomienia pojedynczego portalu. Nie przetrwa on następnej burzy, ale chyba uda nam się tego dokonać za kilka dni, jeśli wszyscy poświęcimy na to swe siły.

„Niech nam tysiąc bogów pomoże. Przed tymi przekłętymi burzami Godrun sam mógł wnieść i utrzymać portal. Czy dojdzie do tego, że będziemy zmuszeni ubierać się w skóry i wyrabiać ostrza strzał z krzemienia?”

Skinął głową, spostrzegając lekko zaskoczone spojrzenia wymieniane przez oficerów. Czy domyślali się jego zamiarów?

„Chyba nie. I to raczej dobrze.”

W końcu nadeszła pora na wystąpienie uczonych. Książę nawet nie rozpoznał zastraszonego mężczyzny, zmuszonego do wstania wściekłymi szeptami kolegów. Oznaczało to kolejne niepomyślne wieści.

— Przy-przykro nam, Wasza Książęca Mo-ość — jękał się nerwowo mężczyzna. — W kro-kronikach nie odnaleźliśmy nic, co podpowiedziałyby nam, jak sobie po-poradzić z burzami. Szukaliśmy ukrytych prze-przekazów i szyfrów, jak nam poleciłeś, ale nic takiego. . . nie znaleźliśmy.

Nie tyle usiadł, ile wręcz upadł na krzesło. Tremane westchnął ostentacyjnie, jednak nie skarcił biedaka ani słowem. Nawet jeśli miałby na to ochotę — choć przecież nieszczęśnik nie był winien, że w księgach nic nie znaleziono — książę obawiał się, że wystarczy nawet spojrzenie dezaprobaty, aby uczony zemdłał.

„Uczeni nie odznaczają się wyjątkową siłą. Być może dlatego, że są oddzieleni od reszty — ni to, ni sio, ani magowie, ani członkowie armii. W ten sposób nikt ich tak naprawdę nie chroni.”

Dziwne. Kiedyś taka myśl nie przyszłaby mu do głowy. Może teraz, kiedy okazało się, że są zdani na własne siły, starał się uważnie przyjrzeć każdemu człowiekowi, nawet uczonemu o słabym wzroku i jeszcze słabszych mięśniach.

— Panowie — powiedział, kiedy takie myśli przebiegały mu przez głowę. — Teraz wiecie najgorsze. Zima się zbliża, i to o wiele szybciej, niż ktokolwiek z nas mógłby przypuszczać. — Jakby dla podkreślenia tych słów, okiennice, dotąd trzeszczące pod uderzeniami wiatru, jęknęły, niczym trafione pociskiem z kaptuły. — Potrzebuję waszej pomocy w przygotowaniu się do niej. Musimy zbudować schronienie dla ludzi oraz mury obronne, nie tylko przeciw Hardorneńczykom, ale i przeciwko wszystkiemu, co może powstać po magicznych burzach. Nie możemy polegać na magii, jedynie na naszych umiejętnościach, zasobach i siłach. — Przesunął wzrokiem po twarzach, szukając jakichś nietypowych reakcji,

ale niczego nie zauważył. — Oto wasze rozkazy: korpus inżynierów ma stworzyć plan murów obronnych, które da się jak najszybciej postawić przy użyciu sił i środków, jakimi tutaj dysponujemy. Reszta z was niech wybada swoich ludzi pod kątem umiejętności, które mogą nam się teraz przydać. Wybierzcie tych, którzy zdołają zbudować schronienia na najgorszą zimę, jaką można sobie wyobrazić. Nie zaniedbujcie spraw sanitarnych — teraz będziemy potrzebować stałych toalet, nie tymczasowych latryn. Poza schronieniem musimy znaleźć sposób ogrzewania i gotowania jedzenia. Jeśli zaczniemy wycinać drzewa, zniszczymy cały las, zanim zima dobiegnie połowy. — Czy to im wystarczy? Na razie chyba tak. — Wy, uczeni, szukajcie już istniejących, jak najlepszych schronień, dobrze trzymających ciepło, a także innego opału oprócz drewna. Jeśli traficie na cokolwiek, co może się przydać, skontaktujcie się ze mną. Magowie znają swoje zadania. Panowie, na razie to wszystko.

Mężczyźni wychodzili przez wielkie podwójne drzwi na końcu sali, owiewani zimnym podmuchem wiatru, gdyż jedna z okiennic zerwała się i z trzaskiem otworzyła. Książę nie musiał czekać. Wyjście przeznaczone dla niego znajdowało się zaraz za podwyższeniem, pilnowane przez strażnika, teraz więc skorzystał z niego, wdzięczny, że może stąd uciec. Płaszcz w ogóle nie ogrzewał i książę pragnął tylko ognia i gorącego napoju — w tej kolejności.

Strażnik poszedł cicho za nim, kiedy skierował się do swej kwatery, zajęty myślami, których na razie nie zdradził podwładnym. Magowie prawdopodobnie częściowo je odgadli. Walczący nie byli po prostu odcięci, oni zostali opuszczeni, jak niechciane psy.

Przy odpowiedniej determinacji cesarz, dysponujący potęgą największych magów świata, mógłby przesłać wiadomość mimo zakłóceń spowodowanych przez burzę. Tremane dotychczas nie słyszał, aby zupełnie zapomniano o jakimkolwiek dowódcy, i po raz pierwszy w życiu nie miał pojęcia, czego cesarz od niego chce.

Taka cisza mogła mieć kilka przyczyn.

Najbardziej niewinna była jednocześnie najbardziej przerażająca. Zgodnie z tym przypuszczeniem magiczne burze, które wyrządziły tu tyle szkód, miały jeszcze gorsze skutki w samym Imperium. Zostało ono zbudowane dzięki magii; na niej opierała się dystrybucja żywności i łączność oraz masa innych rzeczy, utrzymujących całą strukturę państwa. Jeśli tak rzeczywiście się stało. . .

„Panika musi być większa niż tutaj. Cywilom brak dyscypliny i kiedy zaczynają się kłopoty, oni wpadają w panikę.” Sam posiadał wystarczającą wiedzę historyczną, aby wyobrazić sobie, do czego zdolny jest przerażony tłum ludności cywilnej. „Bunty, zamieszki, histeria. . . W mieście, przy takim zagęszczeniu mieszkańców, nie pozostanie nic innego, jak ogłosić stan wyjątkowy. Nawet wtedy nie powstrzyma się obawy przed paniką. To jak zakorkowanie butelki wina, które nadal fermentuje. Wcześniej czy później i tak wybuchnie.”

Tremane dotarł do swej ciepłej, odosobnionej kwatery. Gestem ręki kazał

strażnikowi zostać na zewnątrz — nic mu się nie stanie, korytarz zapewniał lepszą osłonę przed przeciągami niż większość komnat. Na szczęście mieszkanie księcia było szczelne i przytulne. Tremane z westchnieniem zamknął za sobą drzwi. Nie było tu przeciągu, mógł więc zdjąć krótki zimowy płaszcz i w końcu, w zaciszu własnej komnaty, ogrzać skostniałe palce rąk i nóg.

Drugą możliwą przyczyną opuszczenia, jaka przyszła mu na myśl, mogło być coś, co znał z własnego doświadczenia. Cesarz mógł zarządzić, żeby wszystkie dotychczasowe sprawy ustąpiły miejsca najważniejszej — znalezieniu sposobu ochrony państwa przed burzami. Magowie byli zbyt zajęci, by próbować nawiązać łączność z zagubionym oddziałem armii. Może Imperium było chronione, ale nic więcej magowie nie mogli zrobić.

Imperium na pewno nie trwoniłoby cennych sił magów na ochronę krajów podbitych. Z pewnością objęto nią jedynie serce państwa, tereny tak mocno z nim zrośnięte, że oprócz uczonych nikt nie znał ich pierwotnych nazw.

„Co oznacza — rozmyślał, czując dziwny dystans wobec takiego scenariusza — że kraje niedawno włączone do cesarstwa zbroją się i buntują przeciw Charlissowi. Jeśli w Imperium wprowadzono stan wyjątkowy, wszystkie wolne oddziały ściągnięto do domu, żeby pilnować porządku. Nie będą się nami przejmować.”

Nie, część armii, rzucona poza granice najbardziej odległego księstwa w Imperium, na pewno nie przyciągnie żadnej uwagi w tak dramatycznych okolicznościach.

Jednak nikt wychowany na dworze cesarskim nie poprzestawał na szukaniu oczywistych wyjaśnień; nie wtedy, kiedy paranoja była cechą niezbędną do przeżycia, a niewinność sama ściągała na siebie karę.

„Dobrze, rozważmy najbardziej paranoidalny scenariusz. Taki, w którym wróg to jedyna osoba mogąca okazać się sprzymierzeńcem.” Było całkiem możliwe, że Charliss dobrze znał magiczne burze. Mógł od dawna wiedzieć o ich nadejściu, o tym, kiedy i jak uderzą. Mógł nawet testować je jako broń — na nich.

Tremane poczuł zimny dreszcz, którego nawet ciepło ognia nie zdołało usunąć.

„Nowa broń — strach” — pomyślał, podążając za myślą do wynikającego z niej logicznie wniosku. Jego mięśnie zeszywniały z wewnętrznego napięcia. „Jaka broń mogłaby być lepsza od tej, która niszczy zdolność wroga do posługiwania się magią, pozostawiając ludzi i ziemię niemal nietkniętą?”

Próbował znaleźć bardziej optymistyczny wariant tego przypuszczenia. Być może była to nowa broń Imperium, mająca służyć jako wsparcie w ich samotnej walce, a potem okazało się, że jej pole rażenia jest znacznie szersze, niż przewidywano.

Jednak o wiele bardziej prawdopodobny był pomysł, iż na tym terenie przeprowadzano próby z nową bronią, gdyż nikt dokładnie nie znał skutków jej użycia. Okolica nie została jeszcze całkowicie zdominowana, więc można było wykorzy-

stać broń tutaj, gdzie jej wpływ na tereny Imperium będzie minimalny. Tremane i jego ludzie okazaliby się wtedy jedynie przykładami skuteczności siły rażenia owej broni.

„Co oznacza, że mogą nas podglądać za pomocą magii, obserwując, co robimy, jak się zachowujemy i czy tutejsi mają dość sprytu, by działać tak samo.” Wtedy brak łączności byłby rozmyślną próbą zmuszenia ich do działania bez rozkazów, z ciekawości, co zrobią.

Jeśli byłaby to prawda, łamała ona wszelkie prawa i zasady, które czyniły armię lojalnym narzędziem władzy cesarskiej. Byłoby to podważenie wszystkiego, czego cesarscy żołnierze mieli prawo oczekiwać od swego władcy.

Jeśli o to chodzi, pozostawienie ich samym sobie niemal równie bezwzględnie łamało wiarę w cesarza. W każdym razie było to niewiele gorsze od prób, na jakie wystawiano kandydata do Żelaznego Tronu. Pozostali ewentualni następcy przechodzili równie ciężkie testy.

„Jednak nie włączano w to ich ludzi” — podszeptęło sumienie.

To właśnie tak złościło księcia. Nie miał nic przeciwko próbom, oczekiwał trudów. Jednak cesarz włączył do nich także, bynajmniej nie zainteresowanych walką o tron, podwładnych.

Nie sposób było zaprzeczyć, iż z jakiegoś powodu cesarz ich opuścił. Miał wystarczająco dużo czasu na wysłanie posłańca z rozkazami zwykłą drogą. Ta cisza nie oznaczała nic dobrego, najwyraźniej pod powierzchnią zjawisk rozgrywały się jeszcze inne rzeczy. Obowiązkiem cesarza była troska o wojowników, którzy znaleźli się w ciężkiej sytuacji, tak jak ich obowiązkiem było strzec go przed wrogami. Oni dotrzyмали przysięgi, on zaś swoją złamał.

Wkrótce dowie się o tym reszta wojska. Ludzie zdawali sobie sprawę, że skoro wpadli w takie tarapaty, cesarz powinien ich odwołać do domu i to dawno temu. Jeśli nie można było stworzyć portalu na tyle dużego, żeby pomieścił wszystkich, cesarz powinien przysłać dodatkowe oddziały, które osłonią ich marsz. Powinien to uczynić w chwili, kiedy rozpoczęły się magiczne burze i zaczęły przybierać na sile. Gdyby to zrobił, teraz nie tylko byłoby już bezpieczni w Imperium, ale i przydaliby się w zamęcie, jaki na pewno tam powstał.

Oznaczało to podwójną zdradę; gdzieś komuś brakło sił potrzebnych do utrzymania spokoju, gdyż imperator zdecydował się zostawić ich tu na łasce losu. Albo raczej, co bardziej prawdopodobne, zdecydował się opuścić księcia, a z nim jego ludzi. Może skreślił Tremane'a jako potencjalnego dziedzica, gdyż ten nie odniósł szybkiego zwycięstwa w Hardornie — dlatego wybrał ten sposób jako najbardziej wygodny, by się go pozbyć.

„A jeśli nie znajdę sposobu na przetrwanie zimy, oni będą cierpieć wraz ze mną.”

To była główna przyczyna jego gniewu. Wychowano go i wyszkolono na oficera Imperium, zresztą był nim, zanim został księciem. Takie zaniedbanie

spraw wojska sprzeciwiało się zarówno literze, jak i duchowi prawa i sprawiało, że w księciu wrzała krew. Była to zdrada tak głęboka, a jednocześnie możliwa tylko w Imperium, iż książę wątpił, by jakikolwiek cudzoziemiec zrozumiał jej znaczenie oraz gniew, jaki wywoływała.

Ludzie jednak z pewnością to rozumieją, kiedy wreszcie sami dotrą do prawdy i przezwyciężą naturalny odruch niewiary w coś aż tak złego. A wtedy...

„Wtedy przestaną być żołnierzami Imperium. Nie, to nieprawda. Będą żołnierzami Imperium, ale nie będą służyć Charlissowi.”

Kiedy wniosek, do jakiego doszedł, dotarł do niego w całej pełni, książę aż usiadł na najbliższym krześle. Bunt... — Zdarzyło się to zaledwie kilka razy w całej historii Imperium, a tylko raz bunt był wymierzony przeciwko cesarzowi.

Czy książę gotów był do rozważenia możliwości buntu? Jeśli nie uczyni czegoś bardzo złego, żołnierze pójdą za nim, kiedy odwrócą się od cesarza. Czy był przygotowany, by sobie z tym poradzić, objąć dowództwo nie jako komendant wojskowy, ale wódz rebelii?

„Jeszcze nie. Jeszcze... nie.” Był blisko, bardzo blisko, ale wciąż nie gotowy do tak radykalnych działań.

Potrząsnął głową i spróbował zapanować nad myślami. „Muszę cały czas pamiętać o najważniejszym celu. Nie mogę pozwolić, by cokolwiek mnie od niego oderwało, dopóki ludzie nie są przygotowani do zimy. To mój obowiązek, a to, co cesarz zrobił lub nie, nie ma na nic wpływu.” Zacisnął z uporem szczęki. „I do najzimniejszego piekła z tymi, którzy usiłują mi przeszkodzić w wypełnieniu tego obowiązku.”

Wstał i podszedł prosto do biurka. Najlepszym sposobem na pozyskanie poparcia żołnierzy było zadbać o to, by wszystko wyglądało jak najbardziej normalnie. Należało więc zaprzestać rozmyślań na temat braku wieści z Imperium, utrzymać wojskową dyscyplinę i dostosować planowane zmiany do wojskowego trybu życia.

Szybko, lecz wyraźnie pisał rozkazy. Zatrudnił już kilku umiejących pisać ludzi jako kopistów i sekretarzy, gdyż nie można było powielać rozkazów magicznie — ale musiał pisać tak, by zdołali go odczytać, kopiując listy. Teraz był wdzięczny za prymitywne w jego pojęciu, lecz skuteczne i czysto mechaniczne urządzenia w rezydencji. Nic nie zostało uszkodzone przez burze. Świece płonęły, kominki nadal grzały. Gotowane posiłki docierały z kuchni na czas. Działały toalety, a system kanałów odprowadzał nieczystości bez roznoszenia fetoru po całym pałacu. Książę będzie musiał znaleźć ludzi, którzy zaprojektują takie same „prymitywne” urządzenia dla całej armii.

„Potrzebujemy ludzi, którzy nie muszą posługiwać się w pracy magią. Kaelnicy, kowale — nawet chłopci... trzeba podzielić wszelkie prace obozowe na te, które wymagają magii, i te, które mogą się bez niej obejść, a potem przeszkacić oddziały i znaleźć rzemieślników, którzy dadzą sobie bez niej radę.” Ale jak

dopilnować, by tacy pracownicy się znaleźli i chcieli posłużyć swymi umiejętnościami? To proste. „Awansować ich do rangi specjalistów i dać podwyżkę.” Nic tak nie zapewnia entuzjastycznej współpracy, jak podwyżka pensji.

Na chwilę przyłożył chłodny, tępy koniec szklanego pióra do ust i poczuł, jak wargi krzywią się w grymasie niesmaku. „Pieniądze. Nie ma ich zbyt wiele. Cóż, plan staje się tym ważniejszy.” Pieniądze stanowiły jedną z najbardziej stabilnych wartości w armii — i to od niepamiętnych czasów. „Nic dziwnego, zważywszy na to, że zaczęliśmy jako oddział najemników.” Dla pojedynczego wojownika Imperium regularny żołd był podstawą lojalności. Znano przypadki buntu i mordowania przywódców z powodu zmniejszania żołdu. Za opóźnienie wypłaty pieniędzy dla armii jeden z cesarzy został zdeponowany, a na jego miejsce powołano innego, który z własnej kieszeni wydobyl pieniądze nie tylko na żołd, ale nawet na nagrody dla swych bezpośrednich podwładnych.

Oczywiście nigdy dotąd nie doszło do takiej sytuacji jak ta, w której się obecnie znaleźli — odcięcia oddziałów od dostaw i pozostawienia ich zdanych na własne siły. W takich warunkach podkomendni mogliby zrozumieć... albo i nie. Na razie lepiej było zapewnić sobie ich poparcie.

Przysypał piaskiem pisma i zaniósł je strażnikom stojącym przed drzwiami; jeden z nich wziął listy i poszedł dalej, do sekretarzy, którzy je przepiszą i rozprowadzą.

— Pod żadnym pozorem nie wolno mi przeszkadzać — powiedział strażnikowi, a ten zsalutował i skinął głową. Książę wrócił do siebie, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Strażnik nie dojrzy w tym niczego dziwnego, gdyż zdarzało się to już nieraz. Książę często potrzebował spokoju, by pomyśleć i ułożyć plany. Nie było tu nikogo wyższego rangą, kto mógłby zanegować tę potrzebę prywatności.

Tym razem jednak prywatność była mu potrzebna po to, by działać, nie rozmyślać. Bardzo dobrze, że wprowadził zwyczaj okresowego izolowania się od otoczenia. Dziś wieczorem nikt nie domyśli się, co książę robi.

„Dzięki bogowi pożądana, że ciotka była jego gorliwą wyznawczynią.” Gdyby nie ona i jej zamiłowanie do sekretów... Tremane usiadł przy podróznym biurku i sięgnął pod jego spód, schylając się nieco, by dotknąć miejsca poniżej prawego rogu szuflady z piórami, atramentem i piaskiem.

Poczuł, jak pod naciskiem palca ustępuje maleńki kwadrat drewna. Szybko wyjął szufladę i położył ją na blacie, tak by nie przeszkadzała. Ciotka bardzo strzegła wszelkich sekretów — i w swym uporze okazywała się absolutnie bezwzględna. Gdyby najpierw wyjął szufladę, a później nacisnął zapadnię, jego palec przebiłaby zatruta szpila. Po godzinie byłby martwy. Trucizna, którą nasycono ostrze, zachowywała pełną moc nawet po dwustu latach, a mechanizm, o czym był przekonany, przeżyje swego właściciela. Tremane wsunął dłoń do otworu po szufladzie i poszukał podobnego punktu w głębi, po prawej stronie.

Pod naciskiem zapadł się kolejny kwadrat drewna, a książkę przesunął dłoń w lewo. Gdyby tego nie zrobił, lecz naciskał dalej, uruchomiłby kolejny mechanizm i sekretna szufladka, którą zamierzał otworzyć, zostałaby ukryta. Jeśli nie znało się sposobu odblokowania mechanizmu, nie można byłoby do niej dotrzeć, chyba że rozbijając biurko na drobne kawałki.

Druga sekretna szuflada, o połowę węższa od pierwszej, wysunęła się ledwie na ułamek cala. Książkę wyciągnął ją, dotykając jedynie górnej części, po czym wyjął, przysuwając do świecy. To także była pułapka; tym razem drewno dna szuflady nasycono powolnie działającą trucizną, przenoszoną przez dotyk. Tremane bardzo uważał, by nie dotykać spodu, jedynie boków. Wnętrze wyłożono kamieniem dla ochrony zawartości przed zatrutym drewnem.

Wszystkie środki ostrożności miały swoje uzasadnienie, gdyż w szufladzie znajdował się przedmiot, którego posiadanie oznaczało wyrok śmierci bez procesu. To znaczy — kiedyś oznaczało. Teraz, cóż... jeżeli w oddziałach nie znalazł się cesarski szpieg wystarczająco wysoki rangą, by wykonać wyrok, było to...

„Mniej prawdopodobne. Nigdy nie powiem nieprawdopodobne tam, gdzie w grę wchodzi potęga cesarza.”

Cenniejsza od złota, bardziej magiczna od klejnotów, silniejsza od narkotyków. Czysta, skoncentrowana moc. Wziął ją z wyściełanego jedwabiem podłoża rękami, które niemal nie zadrżały, zważywszy na śmiertelne niebezpieczeństwo, jakie ze sobą niosła.

Była to doskonała kopia cesarskiej pieczęci, identyczna z oryginałem zarówno pod względem wyglądu, jak i cech magicznych. Zdobył ją za cenę ogromnego ryzyka — choć właściwa cena nie była zbyt wielka, gdyż sam wykonał kopię. Nigdy nie udało mu się jej kupić: na całym świecie nie było tyle pieniędzy, by zapłacić magowi za zrobienie kopii; ani przekupić sekretarza, by zostawił ją na odpowiednio długi czas bez opieki.

Ostrożnie położył pieczęć na blacie biurka. Wspomnienie pierwszej chwili, kiedy leżała na tym samym miejscu, napłynęło samo.

Był to jego najbardziej zuchwały wyczyn. Nie do końca umiał stwierdzić, co popchnęło go do tego szaleństwa. Wówczas nie wiedział, że Charliss z założenia kierował wszystkich potencjalnych kandydatów do tronu do pracy w cesarskim sekretariacie, aby poznali obowiązki podwładnych — oraz wszelkie możliwe drogi przekupstwa i zdrady. W czasie tej pracy książkę dostał w ręce pieczęć na całe dwa dni, kiedy jeździł z cesarzem po nowo zdobytych krajach. Charliss zajęty machinacjami lokalnego władcy, pogrążył się całkowicie w walce z jego pokrętnymi intrygami, mającymi pozbawić cesarza i cesarstwo części potęgi i władzy. Charliss przeczuwał zdradę, dlatego powierzył pieczęć księciu Tremane na czas, kiedy sam — fizycznie i magicznie — zajmował się „problemem”. Nie dopuszczał do siebie wówczas żadnych innych myśli i być może nawet zapomniał, iż Tremane jest magiem.

Jednak umiejętności księcia, chociaż nie dorównywały mocy cesarza, wystarczyły do skopiowania pieczęci. Przez czysty przypadek dysponował czasem, materiałem i samym wzorcem jednocześnie. Pokusa okazała się zbyt silna. Książę zabrał się do dzieła i stworzył kopię pieczęci w ciągu jednej nocy wyteżonej pracy.

Kiedy skończył, z przerażenia omal nie zniszczył swego dzieła. Powstrzymała go jedna rzecz: istnienie podróznego biurka.

Odziedziczył je po ciotce, mającej licznych kochanków; znajomość z wieloma z nich groziła niebezpieczeństwem, wszyscy zaś mieli żony. Ciotka wykorzystywała szufladę do ukrycia pamiątek zbyt ryzykownych, by można je było trzymać na wierzchu, ale zbyt cennych — lub przydatnych w razie szantażu — by je zniszczyć. Było to jedyne miejsce wystarczająco bezpieczne, aby przechowywać w nim kopię cesarskiej pieczęci.

Od tego czasu biurko i jego niebezpieczna tajemnica podróżowało z księciem. Dotychczas Tremane użył jej tylko raz, aby się upewnić, iż rzeczywiście nie różniła się niczym od oryginału — opieczętował nią dokument już zatwierdzony i podpisany przez imperatora, jeden z całego stosu podobnych, podpisywanych przez Charlissa bez bliższego zapoznania się z treścią.

Teraz jednak Tremane miał zamiar podrobić dokument, którego cesarz z całą pewnością by nie zatwierdził.

Z drugiej strony, gdyby cesarz chciał sprowadzić Tremane'a przed sąd w razie odkrycia oszustwa, musiałby do niego przyjechać. Jeśli nie on, to jego słudzy.

Nie byłby to rozkaz łatwy do spełnienia, zważywszy na okoliczności. Dzielił ich od cesarstwa szmat ziemi zamieszkaną przez wrogo nastawionych ludzi, na dodatek nie był to kraj spokojny. Poza tym zanim oszustwo zostanie odkryte, minie trochę czasu, a warunki jeszcze się pogorszą, co, jak miał nadzieję, mogłoby go usprawiedliwić przed gniewem cesarza.

W końcu nie sposób przewidzieć, czy cesarz w ogóle zdoła znaleźć Tremane'a, nie mówiąc o stawianiu portalu, by sprowadzić go do siebie, lub wysłaniu w tym samym celu wojska, które musiałyby przebyć niespokojny Hardorn.

W każdym przypadku cesarz dowiódłby, iż potrafi do nich dotrzeć — w takim razie pojawią się pytania, dlaczego nie zrobił tego wcześniej, by ewakuować odcięte obszary, skoro będzie potrafił ściągnąć do siebie księcia, aby go ukarać. Nie miałby powodu, by nie sprowadzić reszty wojska razem z wiarołomnym księciem.

„Jeśli rzeczywiście zechce mnie ścigać, wolałbym, żeby przysłał wojsko. Podczas magicznej burzy mógłbym chyba uciec, gdybym się naprawdę postarał.” Znów potrząsnął głową — pozwalał sobie na błędzenie myślami, podczas gdy powinien skupić się na osiągnięciu celu.

Zwłaszcza że przez kilka następnych godzin będzie potrzebował zarówno koncentracji, jak i pewnej ręki.

Zawiązał szalik na czole, by pot nie spływał do oczu; nie dlatego, że było

zbyt ciepło, ale dlatego, że pocił się ze zdenerwowania. Musiał widzieć jasno i nie chciał, żeby jakakolwiek kropla upadła na dokument; skrybowie cesarscy nie pocili się nad swoją pracą. Odkładając na bok sekretną szufladę i szufladę z przyborami do pisania, wybrał nowe szklane pióro i butelkę specjalnego atramentu. Chociaż jego posiadanie nie spowodowałoby kłopotów, mogłoby jednak wywołać zdziwienie, gdyby ktokolwiek dowiedział się, że wielki książę Tremane ma atrament używany do pisania oficjalnych dokumentów Imperium, atrament zawierający drobiny złota i srebra, aby udowodnić, że pisane nim dokumenty rzeczywiście wyszły spod pióra imperialnego skryby.

Najpierw jednak książę wyjął papier i pióro ze srebrną stalówką, po czym napisał treść dokumentu, jaki miał zamiar spreparować.

Nie był on zbyt wyszukany, lecz nie co dzień do cesarskiego magazynu zgłaszał się ktoś upoważniony do tego, by zabrać wszystkie zapasy i zawartość skrzyń — do ostatniego ziarna zboża i ostatniego miedziaka. Dokument musiał wyglądać tak, by nikt nie próbował przepytować księcia ani jego ludzi, kiedy będą na miejscu.

Na tym polegał plan. Książę miał jeden sposób zapewnienia swym ludziom przetrwania zimy: jeśli magazyn był pełen, a tego się spodziewał, zapasy starczą nie tylko do wiosny, ale i dłużej. Jeżeli w skrzyniach będą pieniądze, książę zdoła płacić ludziom przez czas potrzebny do zyskania ich lojalności. Nawet jeśli tutaj żołnierze nie mieliby gdzie ich wydawać, zachowają je na później, a nastroje w wojsku znacznie się poprawią. Zatem nadszedł czas.

Zamierzał ponownie otworzyć portal wiodący do najbliższego magazynu. Na szczęście był to teren jego księstwa. Musiał zwalczyć pokusę ucieczki i pozwolenia ludziom na splądrowanie magazynu, a potem rozpuszczenia ich wolno, by każdy sam sobie radził. Jednak obowiązek trzymał go tutaj, księstwo zaś było w dobrych rękach i nie został tam nikt, za kim książę naprawdę by tęsknił. Poza tym, szczerze mówiąc, po zakończeniu wypadu tu będzie bardziej bezpieczny. Znał tutejsze warunki. Magiczne burze mogły wywołać w księstwie zamieszanie, a utrzymywanie portalu dłużej niż przez czas potrzebny na przejechanie małej grupy było niemożliwe.

Był to mały portal, zdolny pomieścić ledwie kilku ludzi naraz i magowie wątpili, czy uda im się go utrzymać dłużej niż kilka godzin. Książę nie zdołał przerzucić przez niego wszystkich swych wojsk — ale na pewno uda mu się sprowadzić tą drogą wszystko, czego potrzebowali.

Grupa starannie dobranych ludzi ze straży osobistej czekała na rozkaz, gotowa wyruszyć w każdej chwili. Wszyscy byli ogromni, a przed wstąpieniem do straży pracowali przy załadunku statków i temu podobnych zajęciach. Portal nie pomieściłby zwierząt większych od osła, dlatego też przynosząc zapasy, będą musieli posłużyć się właśnie tymi zwierzętami oraz siłą własnych mięśni.

Kiedy Tremane ułożył treść dokumentu, ostrożnie zanurzył pióro w kałamarzu

i zaczął pisać na śnieżnobiałym pergaminie.

Czynność ta przywołała kolejne wspomnienia — nadzorowanie cesarskich skrybów i pisanie podobnych dokumentów podczas krótkiego stażu w kancelarii, kiedy w wieku szesnastu lat został przywieziony przez ojca na dwór.

Imperialny dokument musi być idealny. Żadnych pomyłek, kleksów i błędów. Nie mógł pozwolić, by ten, który teraz pisał, odróżniał się w jakikolwiek sposób od innych, wpływających do magazynu od czasu jego otwarcia.

Zapisał i zniszczył z pół tuzina kartek, zanim stworzył doskonałą wersję. Czekał, aż wyschnie atrament, rzucił resztę w ogień, razem z oryginalną wersją. Patrzył, jak płoną, upewniając się, że pozostał z nich jedynie popiół, nim zabrał się do kolejnego, najtrudniejszego etapu oszustwa.

Zwykły czerwony wosk do pieczętowania stanie się czymś niezwykłym, zanim książę skończy.

Nad płomieniem świecy rozgrzał końcówkę kruchego, mieszanego ze złotym pyłem wosku i bardzo ostrożnie upuścił kroplę na pergamin, na dół dokumentu. Póki nie wystygł, odcisnął w nim pieczęć, a potem myślą skręcił w jeden węzeł energię wosku i pieczęci, uaktywniając je. Metal pieczęci rozgrzał się w dłoni, a wosk rozjarzył światłem — najpierw białym, potem żółtym, w końcu czerwonym jak rozgrzane żelazo.

Kiedy blask przygasł, książę ostrożnie podniósł pieczęć z pergaminu.

Odcisnięty w wosku kształt oszukiwał oko, ale nie dotyk. Palce powiedziały, że dotyka jedynie wypukłego wyobrażenia, ale oczy zaświadczały o czymś zupełnie innym.

Widział Wilczą Koronę wyłaniającą się z odcisku, jakby była zrobiona z tego właśnie wosku; lśniła złotem i kolorami tęczy. Czy to iluzja? Niezupełnie. Ale i niezupełnie rzeczywistość. Było to coś pośredniego pomiędzy jednym a drugim.

Odłożył pieczęć do szuflady i usiadł tam, gdzie stał, chwytając obiema rękami blat biurka, gdyż z wyczerpania zakręciło mu się w głowie. Nie oczekiwał tego, był całkowicie zaskoczony. Czy to skutek magicznych burz, czy tylko wiek i napięcie, o wiele większe niż wtedy, kiedy ostatnio używał pieczęci? Nie potrafił na to odpowiedzieć.

Zresztą nie o to chodziło. Jeśli szczęście mu dopisze, nigdy nie będzie musiał ponownie jej użyć.

„Jeśli mam odrobinę rozsądku, nigdy już jej nie użyję!”

Cóż, jednak rozsądek i szczęście nie miały zbyt wiele do powiedzenia w przypadku pułapek zastawianych przez los. Książę odłożył pieczęć do skrytki, a sfałszowany dokument dołożył do innych, prawdziwych dokumentów „awaryjnych”, które dostał od cesarza przed wyruszeniem w podróż. Nikt nie wiedział dokładnie, ile dokumentów dostał i jakie. Kiedy wziął swoje pismo ze stosu innych, nikt nie zdołałby odgadnąć, że początkowo nie było go wśród nich.

Odpoczywał przez chwilę. Nie chciał otwierać drzwi, gdyż ktoś mógłby wyczuć magię, wolał poczekać, aż energia się rozproszy. Poza tym dawało to okazję do tak potrzebnego odpoczynku.

Dopiero kiedy resztki energii rozproszyły się tak, iż nie mógł ich wyczuć, Tremane wstał, otworzył drzwi i kazał strażnikowi wezwać eskortę. Dopóki zostało jeszcze trochę dziennego światła, mógł zrobić rutynowy objazd — inspekcję swego małego, żalosnego królestwa.

Tremane nigdy nie wychodził z twierdzy bez eskorty kilku silnych, doskonale wyszkolonych strażników. Oczywiście wiedział, że przynajmniej jeden z nich był na usługach cesarza. Księżę nie martwił się tym, lecz skupił raczej na pozyskaniu lojalności swych ludzi na tyle, by zawahali się przez moment przed wbiciem mu noża w plecy. To była najlepsza ochrona przeciwko agentom Imperium pomiędzy tymi, którym musiał ufać.

Jak powiedział generałom, kilka dni temu skończono budowę drewnianej, wzmocnionej zaprawą palisady. Otaczała ona nie tylko obóz cesarskich, ale i całe miasto. Miejscowi byli teraz całkiem zadowoleni z pobytu armii w mieście, choć początkowo wcale ich to nie cieszyło. Kilka prób wtargnięcia na ich terytorium bestii powstałych po burzach, uświadomiło im, że sami nie obroniliby się przed czymś tak nieprzewidywalnym.

Budowa palisady nie nastęczyła trudności; konstrukcję z suchych pni wypełniono wikliną i szczególną mieszanką błota, po wyschnięciu twardniejącą na kamień. Mur miał szerokość dłoni i mógł wytrzymać nawet pojedynczy atak. Do ochrony przed tępymi bestiami wystarczał w zupełności. Jednak Tremane nie miał zamiaru ryzykować w razie większego zagrożenia. Jeśli warunki na zewnątrz się pogorszą, po okolicy zaczną się włóczyć grupy ludzi szukające schronienia, żywności lub łupów. Księżę nie chciał narażać życia swych podwładnych w utarczkach z rozbójnikami, jeśli można było temu zapobiec, stawiając solidne mury.

Watahy włóczęgów nie były jedynym zagrożeniem. Wojenne potwory z dawnych legend potrafiły burzyć proste palisady albo je pokonywać — a przecież te potwory tworzono za pomocą magii. Po uwolnieniu w okolicy większej ilości mocy coś podobnego mogłoby powstać ponownie. Póki przed nadejściem zimy można jeszcze było budować, ludzie budowali — prawdziwe mury z najtwardszych i bardziej odpornych na ogień materiałów.

W normalnych warunkach stworzyliby kolejną, wewnętrzną palisadę z grubych pni, teraz jednak nie mogli tak postąpić ze względu na rozmiar obozu i fakt, że palisada obejmowała także miasto. Tremane nie chciał wyciąć wszystkich drzew w okolicy, a tego wymagałaby budowa tak ogromnej konstrukcji. Jednakże dysponował wielką ilością wapienia i innych składników, z których można zrobić cement — i z tego właśnie zamierzał budować. W ogromnej szopie ludzie robi-

li cegły z cementu, po czym odkładali na bok, by wyschły, a po oczyszczeniu zanosili je na skraj obozowiska, na plac budowy.

Pod osłoną wiklinowej plecionki powstawały tam dwie ceglane ściany. Budowano je etapami, każdym zajmowała się oddzielna grupa pracowników. Kiedy obie ściany były większe od najwyższego mężczyzny w grupie, przestrzeń pomiędzy nimi wypełniano ziemią, gruzem i kamieniami, po czym całość przykrywano ceglanym daszkiem.

Pokonanie takiego muru wymagałoby zorganizowanego działania, a Tremane miał jeszcze dalsze plany. Chciał na szczycie murów dobudować pojedynczą ściankę, by osłonić chodzące po nich strażę. Wtedy mogłyby je pokonać jedynie maszyny obłężnicze. Sam książę wolałby, żeby mury były jeszcze wyższe, ale rozsądek podpowiadał, iż nie było to potrzebne. Żadne zwierzę, nawet odmienione przez magię, nie przeskoczy przez mur wysokości jednego piętra, a jeśli nadejdzie ktoś inny, pokonają go ludzie i broń, a nie sam mur.

Książę czuł się bezpiecznie pod ochroną trzypiętrowego muru swej fortecy i chciał ofiarować podobne poczucie bezpieczeństwa swoim oddziałom.

Na każdym pięciu ludzi czterech pracowało przy budowie i pomimo złej pogody, z którą musieli się zmagać, postęp prac był wyraźny. Z pewnością nie brakowało rąk do zadania, które normalnie wymagałoby wiele wysiłku. Książę podzielił długą linię robotników na sto grup, tak że każda z nich mogła widzieć rezultaty pracy. W ten sposób mieli przed sobą cel do osiągnięcia i dodatkową zachętę.

Obejrzał ludzi pracujących w cegielni, a potem pojechał obserwować kładących cegły. Zawodowi murarze nadzorowali pracę na trudniejszych fragmentach muru, reszta kładła cegły i rozprowadzała zaprawę z takim zapałem, jakby uświadamiali sobie, że niedługo mogą być wdzięczni za taką ochronę.

Jednak nawet gdyby Tremane nie uważał budowy za konieczną, i tak wyznaczyłby swoim ludziom zadania do spełnienia. Najlepszy sposób na powstrzymanie ich od narobienia kłopotów, to zająć ich pracą — zająć tak, by nie mieli czasu tworzyć i rozpowiadać plotek, by myśleli jedynie o czekającym wieczorem gorącym posiłku i ciepłym łóżku.

Obowiązki zmieniały się i ludzie zmieniali stanowiska pracy, jeśli ze względu na ich umiejętności nie trzeba było zatrzymać ich dłużej na jednym miejscu. Ci, którzy nie kładli cegieł i nie robili ich, pracowali przy formach, mieszaniu zaprawy, kruszeniu kamieni i noszeniu materiałów.

Kiedy mur zostanie ukończony — co zapowiadało się wcześniej, niż oczekiwano — i kiedy tylko powstanie projekt, ludzie zainicjują budowę zimowych koszar. Było to pilne zadanie i książę miał nadzieję, iż w jednej z ksiąg, które ze sobą woził, znajdzie taki projekt. Coś, co zatrzyma i skumuluje ciepło, co pozwoli przetrwać zimę sto razy cięższą, niż znał. Musiał przygotować się na najgorsze, po czym założyć, że jego wyobraźnia i tak nie dorasta do rzeczywistości.

„Może by tak umieścić kuchnie w samych barakach i ciepło pieców wykorzy-

stać do ogrzania kwater. . .”

W słabym, szarawym świetle sączącym się przez chmury wszystko wydawało się szare i spłowiałe, jakby cały świat został pozbawiony życia. Choć nie było wiatru, powietrze przejmowało chłodem i książę cieszył się ze swej peleryny.

W zachowaniu ludzi wyczuwało się nerwowość nie mającą związku z inspekcją. Być może dotarły do nich plotki o kolejnych potworach pojawiających się w okolicy. Jeśli tak, to bardziej będzie zależało na zakończeniu budowy samym wojownikom niż dowódcy. „I wcale się tym nie zmartwię, jeśli zaczną wyścig z czasem. Strach to potężna siła, a im większą da im motywację, tym szybciej urośnie mur.”

Postawił sobie za punkt honoru odwiedzać każdą sekcję i gratulować dowódcom postępu prac. Przynajmniej nie było kłopotu z hardorneńską partyzantką. Dokąd odeszli buntownicy, książę nie wiedział, lecz mógł zgadywać; zapewne jedno z jego przypuszczeń było bliskie prawdy.

Buntownicy byli w większości rolnikami, reszta zaś to młodzież bawiąca się w bohaterów. Pierwsi musieli zebrać plony, drudzy natomiast byli zbyt nieliczni, by poważić się na otwarty atak na dobrze umocnioną twierdzę.

To było przypuszczenie optymistyczne. Pesymistyczne wyglądało zupełnie inaczej i książę nie miał pojęcia, w jakim stopniu może być prawdopodobne.

Tam, za murami, mogło być coś, co wymykało się jego patrolom, co koncentrowało się na Hardorneńczykach, ustępujących siłom Imperium zarówno pod względem uzbrojenia, jak i umiejętności walki z najdziwniejszymi istotami. Cesarscy skupili się w jednym miejscu, pod osłoną murów, a kryjówki hardorneńskich partyzantów były rozrzucone po całej okolicy. Dla inteligentnej, potężnej istoty o wiele łatwiej jest wybierać ludzi po kolei z pojedynczych kryjówek, niż porwać się na fortecę wojsk Imperium.

Z jednej strony to pesymistyczne przypuszczenie napełniało niejaką ulgą: jeżeli pozmieniane przez magię stworzenia polowały na Hardorneńczyków, wojska cesarskie odetchną zarówno od jednych, jak i od drugich. Jednak jeśli rzeczywiście przyczyną spokoju było pojawienie się kolejnego wroga, a nie żniwa, to wkrótce cesarscy żołnierze będą musieli stawić czoło nowej, nieznanej sile, niepokojącej tutejszych.

Książę miał nadzieję, że przyczyną spokoju mimo wszystko były żniwa i nadchodząca zima. Bardzo pragnął w to wierzyć. Jego uczeni zdołali dotrzeć od kronik i fragmentów opowieści z czasów tak zwanych „wojen magów”. Nie chciałby walczyć z istotami opisanymi na pożółkłych stronicach. Nawet nazwy brzmiały przerażająco: makaary, lodowe smoki, bazyliszki. . .

Może część z tych opowieści, które tak wstrząsnęły uczonymi, przeciekła pomiędzy wojowników. To wyjaśniałoby ich nerwowy pośpiech, przy towarzyszącej temu dokładności, z jaką budowali mur.

„Teraz o tym nie myśl. Zaczekaj na rozmowę z uczonymi. Może w kronikach

opisano fizyczne sposoby obrony przed tymi bestiami.”

Miał tylko nadzieję, że owe osłony nie okażą się iluzoryczne. Każdy sposób obrony, wymagający większej ilości magii, był bezużyteczny.

Zakończył inspekcję i poszedł do oddziałów pełniących służbę. Przez świeżo zbudowaną wschodnią bramę cały czas wjeżdżały i wyjeżdżały patrole; pomimo że mury nie zostały jeszcze ukończone, książę chciał wpoić w żołnierzy nawyk używania tej drogi.

Dotarł akurat na czas, by zobaczyć spełnienie się jednego ze swych przypuszczeń.

Wrzaski przy bramie w skończonym już fragmencie muru zwróciły uwagę wszystkich. Ludzie biegli ku bramie, a gdy krzyki się nasiliły, coraz więcej pracujących rzucało narzędzia i biegło zobaczyć, co się stało.

Książę jednak nie przyspieszył kroku. Nie zabrzmiały trąbki alarmu, więc cokolwiek to było, nie był to atak, a w takim razie może zaczekać na jego przybycie. Dowódca nie powinien biec, jeśli nie chodziło o nagłe natarcie. Niezależnie od emocji musi utrzymać powagę i pokazać, że panuje nad każdą sytuacją. Panika, nawet jej ślad, jest bardzo zaraźliwa.

Otwarta na oścież brama wypełniła się ludźmi, zarówno w mundurach armii, jak i cywilami. Początkowo wydawało się, że patrol trafił na wrogo nastawionych miejscowych rolników, jednak kiedy książę dotarł na miejsce, zobaczył niosących nosze z trzema ciężko rannymi i dwoma zakrytymi, nieruchomymi ciałami poległych. Cywilów nic nie chroniło, lecz najwyraźniej to, co napadało i zabijało ich, uderzyło także na żołnierzy.

Czyżby sprawdziło się jego najgorsze przypuszczenie?

Z sercem podchodzącym do gardła rozejrzał się za kimś, kogo mógłby wypytać, ale dowódca patrolu odnalazł go pierwszy.

— Panie komendancie! — zawołał, wyrastając tuż przed nosem księcia i salutując zgrabnie. — Melduję potyczkę!

Tremane równie szybko oddał pozdrowienie.

— Melduj, dowódco patrolu.

Tymczasem przez bramę w oczekujący tłum wjechał wóz okryty brezentem, ciągnięty przez parę spoconych, przerażonych kuców. Brezent nie pozwalał dojrzeć ładunku. Ktoś wyprzągnął kuce i odprowadził je na bok, zanim uciekły, co zresztą wydawało się grozić w każdej chwili. Cokolwiek kryło się pod brezentem, doprowadzało kuce do stanu bliskiego hysterii.

— Byliśmy na patrolu za brodem na strumieniu Holka, kiedy usłyszeliśmy krzyk — powiedział dowódca. Książę nie znał go osobiście; człowiek ten przypominał wszystkich innych anonimowych kandydatów na oficerów armii Imperium, tak niepozornych, jakby wszyscy pochodzili z jednej, absolutnie nie wyróżniającej się rodziny. Wszystko w nich było przeciętne: wzrost, postura, wygląd. Oczywiście oprócz inteligencji, o wiele wyższej od przeciętnej, oraz niezwyklej zdol-

ności stosowania w praktyce tego, czego się nauczyli. Młody oficer mówił dalej krótko i konkretnie: — Zbadaliśmy, co się dzieje, i znaleźliśmy sześciu miejscowych broniących się przed tym. . .

Ściągnął brezent z wozu, odkrywając stworzenie tak dziwaczne, że księżę nigdy nie uwierzyłby jego opisom. Przypominało nieco pająka: miało włochaty, okrągły, rdzawobrazowy tułów, wiele kończyn zakończonych pazurami, żadnej widocznej głowy i wielki odwłok naszpikowany strzałami.

— Zabiło już dwa konie i trzech ludzi. Kilku naszych zaatakowało, zanim zdołałem ich powstrzymać, i zostali ranni — ciągnął żołnierz. — Rozkazałem wycofać się na bezpieczną odległość i strzelać, póki nie padnie.

— Dobra robota — odparł z roztargnieniem Tremane, nie mogąc oderwać wzroku od potwora na wozie. Czy kiedyś był to pająk? Jeśli tak, to co sprawiło, że stał się taki wielki w tak krótkim czasie? Jeśli nie, to czym był przedtem?

— Czy ktokolwiek z miejscowych widział już coś podobnego? — zapytał oficera, kiedy okrążali wóz, przyglądając się martwej bestii. Unosił się z niej odór przypominający nieco piżmo i zestarzały pot. Nic dziwnego, że kuce się tak spłoszyły, sam fetor mógł je przywieść do szaleństwa. Brązowe kończyny potwora także pokrywała sierść, ale krótsza.

Zwiadowca potrząsnął głową.

— Nie, komendancie. Dla nich było to równie nowe stworzenie jak dla nas. Przy okazji, są nam wdzięczni.

„Zatem jest to śmiertelnie niebezpieczna bestia stworzona przez magiczne burze. Dokładnie to, czego się obawiałem. Czy jest ich więcej? Mam nadzieję, że nie.”

— Zabierz to do uczonych — rozkazał. — Może oni coś wywnioskują. Wyślij też wiadomość do miasta, może jest tam kapłan lub ktokolwiek inny, kto potrafi to zidentyfikować.

Zwiadowca zasalutował i odszedł wykonać rozkazy. Tremane odwrócił się od rozgorączkowanego tłumu i skierował ku głównemu obozowi. Musiał dokończyć inspekcję.

Szedł wzdłuż namiotów, otoczony strażą. Nieliczni, którzy zostali w obozie, porzucali swe zajęcia i zrywali się na równe nogi, salutując na widok komendanta. Namioty stały bliżej siebie niż zwykle w otwartych obozowiskach, ustawione w równe rzędy, a teren wokół nich utrzymywano w nieskazitelnym porządku. Jak zauważył księżę, wojownicy na własną rękę usiłowali ocieplić swe kwatery: pod posłaniami rozścielali słomę lub siano albo też sporządzali prowizoryczne kołdry z dwóch zszytych koców wypchanych słomą. Płócienne namioty nie chroniły przed zimnem, jedynie przed wiatrem. Im więcej ktoś miał pieniędzy, tym więcej koców mógł kupić, ale to nie było najlepsze rozwiązanie.

Pomimo prób ocieplenia namioty stały otworem do inspekcji. Widząc to, księżę skinął z aprobatą do dyżurnego oficera i poszedł dalej.

Zakończył kontrolę na latrynach, już zastąpionych przez bardziej skuteczny system odprowadzający ścieki, który następnie suszył je i przetwarzał na granulki, wykorzystywane przez miejscowych jako nawóz. Nie pytał, jak działa system; podobny istniał w jego własnym księstwie, ale i tak nigdy nie chciał poznać zasad jego funkcjonowania.

„Są rzeczy, których nie powinno się wiedzieć.”

Przynajmniej nie będą musieli martwić się możliwością zanieczyszczenia wody. Wolał nie myśleć o epidemii dyzenterii w pełni zimy. Mało prawdopodobne, by choć połowa ludzi to przeżyła.

Jednak kiedy skierował się do swej kwatery, stwierdził, że zaczyna myśleć o swym księstwie, o poddanych i zastanawia się, jak sobie radzą. Czy są w lepszej sytuacji? Czy jest im trudniej? Zamyślony odsalutował przechodzącym obok wojownikom. Usiłował odsunąć od siebie myśli o domu, ale one wciąż wracały.

„Przynajmniej nie muszę się martwić o księżną. Chociaż raz powściągliwość przydała mi się w trudnym położeniu — troszczę się o jedną osobę mniej.”

Odkąd został kandydatem do Żelaznego Tronu, małżeństwo nie wydawało się najlepszym pomysłem. Nie odważył się ożenić z miłości; jego żona stałaby się jedynie kolejnym celem ataków i narzędziem manipulacji, a na to nie naraziłby nigdy kobiety, na której mu zależało. Nie ożeniłby się również dla korzyści; mógłby otrzymać żonę-szpiega albo kobietę, która zostanie namówiona lub sama zechce nim manipulować. Wszystkie swoje związki traktował wyłącznie jako transakcje, wybierając brzydkie i chętne kobiety, które następnie hojnie wyposażał i wydawał za mąż według ich upodobania, kiedy oboje zmęczeni się związkiem. W ten sposób zaspokajał potrzeby ciała, jeśli nie serca, przy czym bardzo uważał, by nie pojawiły się dzieci, które mogłyby skomplikować sytuację.

Zatem pomimo silnego przywiązania do swej ziemi i ludzi w ogóle nie miał nikogo, na kim naprawdę by mu zależało. Czuł do nich sympatię, jak młody człowiek czuje sympatię do ulubionego konia lub psa, ale nic poza tym. Zawsze miał wrażenie, że miłość jego serca czeka gdzieś w dali, nieznana. . . Przywiązanie do najbliższego otoczenia. . . cóż, uważał, że dla wielkiego księcia czy przysłego cesarza nie jest to najlepsze rozwiązanie. Rozsądek podpowiadał, że nie powinno się prowokować sytuacji, których rezultatów nie da się przewidzieć.

Zważywszy na skutki magicznych burz, mimo wszystko miał szczęście, że jego rodzina zachowała tradycyjne metody zarządzania majątkiem.

„Ludzie śmieją się, że jesteśmy staroświeccy, ale my nigdy nie opieraliśmy się na magii w prowadzeniu gospodarki.” Wodę pompowano ręcznie lub za pomocą kół wodnych, wodne młyny meły ziarno na mąkę, towary przewożono dobrze utrzymanymi drogami, wykorzystując konie lub muły, na których także jeżdżono. Ze wszystkich ziem Imperium księstwo Tremane’a znalazło się teraz chyba w najlepszym położeniu.

„Co do Kedricka, jest młody, ale rozsądny, inaczej nigdy nic zostawiłbym go

jako mojego zastępcy.” Jego nowy następca, młody kuzyn, został przed wyjazdem księcia możliwie najlepiej wyszkolony we władaniu posiadłością. Teraz miał dodatkowe powody do tego, by dobrze wykonywać swe obowiązki; jeśli zawiedzie, razem ze wszystkimi umrze z głodu.

„Zrobiłem dla nich tyle, ile mogłem. Musi wystarczyć. Z pewnością w tej chwili nie zdołam zrobić nic więcej.”

Chociaż gdyby udało mu się wrócić z wojskiem, księstwo z pewnością wykarmiłoby dodatkowych ludzi. Nikt nie zdołałby usunąć go z jego terenu, skoro posiada własną armię. Ten pomysł warto zachować na później.

„I o ile sobie przypominam, nie cierpią tam na nadmiar młodych mężczyzn. Nie byłoby źle przywiązać do siebie ludzi za pomocą małżeństw...”

Kiedy dotarł do dworu, odesłał czterech strażników, zostawiając jak zwykle tylko dwóch. Zatrzymał się w gabinecie, gdzie za biurkiem zarzuconym papierami siedział jego główny adiutant. Młody Cherin podniósł wzrok na dźwięk kroków. Mógłby z łatwością uchodzić za starszego brata dowódcy zwiadowców. Brązowe włosy i oczy, opalona skóra, kwadratowa, nie wyróżniająca się twarz. Nie był ani przystojny, ani brzydki, ale przynajmniej Tremane pamiętał jego imię, nie jak w przypadku poprzedniego adiutanta. Biedny chłopak zachowywał się tak cicho, że książę często zapominał, że przebywa z nim w komnacie. Doszedł do takiej wprawy w usuwaniu się w kąt, że w końcu Tremane odesłał go do dowódcy szpiegów na specjalne szkolenie.

— Masz dla mnie jakieś raporty? — zapytał, a młody człowiek spojrział na niego, po czym skoczył na równe nogi i zasalutował.

— Nie, komendancie — odpowiedział szybko. Tremane westchnął, miał nadzieję, że ktoś zgłosi pomysł na przetrwanie zimy. Ale może oczekiwał zbyt wiele i zbyt szybko.

— Zatem pracuj dalej — odparł automatycznie. Mężczyzna zasalutował i powrócił do pracy. Z braku innego konstruktywnego zajęcia Tremane poszedł do siebie i bez zainteresowania zaczął przeglądać stare raporty.

Wpadło mu w oko słowo „Valdemar”. Nic wielkiego, po prostu doniesienie o tym, że sami Valdemarczycy w szaleńczym pośpiechu pracowali nad powstrzymaniem burz.

Kiedy pierwszy raz czytał ten raport, nie zastanawiał się nad nim, ale teraz zaczął rozważać swoje wcześniejsze założenia.

„Byłem tak pewny, że to oni wywołali burze...” — myślał, wpatrując się w ogień na małym kominku i półuchem słuchając odgłosów musztry dochodzących zza okna. Znajome, codzienne dźwięki uspokajały. „Byłem pewien, że to nowa broń, którą Valdemar wykorzystuje przeciwko nam. Ale według raportu, oni ucierpieli tak samo jak my. Królowa nie ma opinii osoby bezwzględnej, jak Charliss, zatem czy narażiłaby na coś takiego własnych ludzi tylko po to, by nas wyeliminować?”

Oczywiście mogła. Nawet jeśli Selenay nie uchodziła za bezwzględna, mogła taka być. Mogła jedynie dobrze grać. Mogła również być szalona; władcom zdarzało się to dość często.

Co więcej, w Valdemarze nie znane były sztuki magiczne. Nie istniała tam nawet taka magia, jaką znał Tremane. Zatem jego mieszkańcy odczuli tylko fizyczne skutki burz.

Ale tok rozumowania księcia załamał się, kiedy przyszła mu na myśl istota przywieziona przez patrol. „Tylko? To chyba niewłaściwe słowo. Nie można o takim potworze powiedzieć: „tylko”.”

Jego argumentom przeczyła też chaotyczna natura burz i ich konsekwencje. Dlaczego ktokolwiek przy zdrowych zmysłach — a książę nie miał powodu posądzać Selenay o szaleństwo — miałby rozpętać coś, czego skutków zupełnie nie da się przewidzieć? Jeżeli ma się broń i zna zasady jej działania, oczywiście używa się jej. Jednakże jeśli nie ma się pojęcia, czym grozi broń, którą się posiada — nikt rozsądny jej nie użyje, gdyż może narazić na niebezpieczeństwo zarówno siebie, jak swoich wrogów.

Rozbolała go głowa i potarł dłońmi skronie. Nie podobało mu się wystanie zabójcy przeciwko sojuszowi tworzonemu przez Valdemar. Już wtedy czuł, że być może popełnia błąd, ale nie cofnął się, w nadziei, że zatrzyma magiczne burze.

„A jednak nie powstrzymałem ich, prawda? Szczerze mówiąc, są jeszcze gorsze.”

Czyżby się pomylił w osądzie sytuacji? Sojusz się nie rozpadł, ale przynajmniej jeden z ważniejszych magów został wyeliminowany. Ponieważ burze rozpoczęły się dopiero po przybyciu do Valdemaru karsyckiego kapłana, wszystko wskazywało na to, że to głównie on przyczynił się do ich rozpętania. Po jego śmierci burze powinny się skończyć.

„A jeśli się pomyliłem?”

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, czując się coraz gorzej. Jeśli naprawdę tak się stało, to rozkazał zabić ludzi, którzy mogli stać się jego sprzymierzeńcami w walce z burzą.

Co oznaczało spalenie mostu, zanim się do niego dotarło.

„Nie miałem wiadomości od zabójcy, a ten głupiec z pewnością skontaktowałby się ze mną, gdyby poczuł, że zagraża mu nawet najmniejsze niebezpieczeństwo.” Poprawił się na krześle; rozbolały go plecy, a stopy bezustannie przesuwały się po podłodze. „Musieli go złapać, chociaż nie mam pojęcia, w jaki sposób. Zapewne już nie żyje. Nawet Valdemarczycy nie darują życia mordercy. Zapewne rozważają teraz możliwości zamarynowania jego głowy i posłania Najwyższej Kapłance Solaris.”

Na podstawie doniesień z Valdemaru zabójca mógł zostać złapany, zanim zdołał cokolwiek zrobić. Tylko to wyjaśniałoby brak oznak jakiegokolwiek zachwiania sojuszu.

„Nie spełnił zadania, potem zmarnował szansę ucieczki. Oto, co daje poleganie na szpiegach, których wybrał ktoś inny.”

Potrząsnął głową i poszukał w szufladzie lekarstw przeciwbólowych. Podobnie jak Hardorneńcy, miał inne zmartwienia oprócz dalekiego Valdemaru. W tej chwili nie mogli zrobić nic ani jemu, ani armii Imperium. On też nie mógł zrobić nic ani im, ani w ich sprawie.

O wiele ważniejsze jest zapewnić przetrwanie własnym oddziałom.

„Muszę mieć plany kwater zimowych. Czy powinienem zwiększyć liczbę patroli? Co z zapasami żywności, jeśli plan się nie powiedzie?”

Czy mógłby zatrudnić ludzi do pomocy przy żniwach, by zapewnić maksymalną wydajność? Na polu zawsze zostają ziarna, ale jeżeli wyśle ludzi, by je pozbiali, będzie więcej zboża w spichrzach. . .

Choć nie wydaje się to wiele, jednak doświadczenie nauczyło go, iż nawet najmniejsze korzyści pomnażają ogólny wynik. Jeśli znajdzie wystarczająco dużo takich małych korzyści, może zapewnić sobie zwycięstwo nad prawdziwym wrogiem. Nie Valdemarem, ale magicznymi burzami i tym, co wywołały.

„Skoncentruj się na jednym wrogu na raz. Nie możesz sobie pozwolić na rozdzielanie uwagi ani środków. . .”

Obudziło go walenie w drzwi. Ostatnio wprowadził zwyczaj zostawiania na noc zapalanej lampy — nie dlatego, że bał się ciemności, ale by w każdej chwili mógł zostać obudzony. Podniósł się na łokciu, od razu przytomny.

— Wejść! — krzyknął władczo.

W momencie, w którym książę się odezwał, wpadł do komnaty Keitel, uczeń Sejanesa. Za nim weszli inni pomocnicy z lampami i ubraniami dla komendanta. Tylko jedna rzecz mogła sprowadzić Keitela i resztę o tej porze, w stanie silnego poruszenia.

— Portal? — zapytał, sięgając po spodnie i wkładając je.

— Stoi, komendancie — odpowiedział szybko kościsty młody mężczyzna z włosami tak rozczochranymi, że każdy wydawał się rosnąć w inną stronę. — Sejanes posłał po ludzi — kazał ci przekazać, że portal jest niestabilny i nie wie, jak długo zdoła go utrzymać, ale będziesz miał czas na to, czego najbardziej potrzebujemy.

— Wracajcie do niego. Będzie potrzebował każdego, kto może pomóc.

Podniecenie przepędziło resztki snu z umysłu. Chłopak skinął głową, zawahał się przez chwilę i wybiegł z komnaty. Tremane włożył resztę ubrania, a adiutanci podawali mu po kolei każdą sztukę odzieży. Z nocnego stolika przy łóżku książę wziął plik papierów i schował do kieszeni na piersi. Skoczył na równe nogi, przytupując, by wsunąć stopy w buty do końca, po czym natychmiast ruszył w stronę drzwi. Adiutanci i strażnicy biegli za nim korytarzem. Z ich przyśpieszonych od-

dechów domyślił się z rozbawieniem, iż mają trudności z dotrzymaniem kroku „staruszkowi”.

„Najwyraźniej nie zwrócili uwagi na to, ile czasu poświęca mi zbrojmistrz na treningi.”

Kilku strażników i przechodzących patrzyło za nim z szeroko otwartymi oczami i ustami. Komendant nigdy nie biegał. . .

„Jeśli nie szło o wyścig z czasem.”

Skoro Sejanes powiedział, że portal jest niestabilny, na pewno nie przesadzał dla lepszego efektu. Tremane zaklął, kiedy jego buty zaczęły ślizgać się po kamiennych posadzkach — tylko tego brakowało, żeby przewrócił się i złamał nogę!

Dwór został zbudowany wokół dziedzińca, który magowie obrali sobie za teren prób. Tej nocy podwórze jaśniało od pochodni zatkniętych we wszystkich możliwych obręczach, na środku zaś, podwajając światło pochodni, stał portal.

Dla doświadczonego oka Tremane’a jego niestabilność była oczywista: zamiast czystego zarysu, kontury portalu migotały i drżały jak wstążka na wietrze. Nie powinien także tak mocno świecić — w ten sposób marnował energię.

Portal otaczali magowie, dodając swe siły do wysiłku innych. Dla niewprawnego oka sam portal — ciemność przecinana błyskawicami i otoczona ogniem — mógł się wydawać żywą istotą. Sprawiał wrażenie życia, w tym wypadku złowrogiego, które potęgowały migoczące krawędzie. Jednak dla wyszkolonego obserwatora był to portal posledniego gatunku; prosta struktura, jaką mogła stworzyć grupa magów współpracująca ze sobą po raz pierwszy przy takim zadaniu.

Kiedy Tremane i jego eskorta wybiegli przez drzwi i zwolnili kroku, magowie otaczający portal zdołali nieco bardziej nad nim zapanować. Krawędź zastygła w prawidłowy łuk, a ciemne, przecięte nitkami energii wnętrze zajaśniało, po czym zastąpił je obraz rampy i ściany magazynu.

Reszta wezwanych w pośpiechu ludzi weszła przez sąsiednie drzwi, po czym precyzyjnie, jak na paradzie, zajęła miejsce na brukowanym dziedzińcu. Tremane wygładził tunikę i stanął na czele, a adiutanci, z wyjątkiem dwóch, zostali z boku. Nie było zbędnych rozkazów i działań. Wyćwiczeni żołnierze ruszyli za komendantem, kiedy podszedł do portalu i wkroczył do środka.

Oczekiwał zwykłego uczucia dezorientacji, ale okazało się, że jest gorzej. Kiedy stanął wreszcie na rampie, zachwiał się i opadł na jedno kolano. Żołnierze wydawali się równie oszołomieni — zataczali się na wszystkie strony, jak pijani albo osłabieni. Jeden czy dwóch złapało się za brzuch i zbladło.

Tremane zwalczył zawroty głowy i odzyskał panowanie nad sobą, stojąc sztywno wyprostowany, zamykając oczy i usztywniając kolana, zanim oszołomienie nie minęło.

Kiedy tylko jego żołądek się uspokoił, Tremane otworzył oczy. Stali dokładnie tam, gdzie zaplanował: na szerokiej platformie przed stałym portalem, pod czystym nocnym niebem. Dwa kroki niżej znajdował się chodnik, a rampa biegła

od niego aż do szerokich drewnianych drzwi naprzeciwko. Chodnik prowadził do biura, w którym powinno palić się światło. To magazyn Imperium, toteż niezależnie od pory dnia i nocy ktoś musiał mieć dyżur. Tremane wyciągnął z tuniki plik podrobionych i prawdziwych dokumentów.

— Zostańcie tutaj, zanim nie otworzą drzwi magazynu — powiedział podwładnym, po czym skinął na strażników, by poszli za nim. Nie myślał o zamierzonym oszustwie, gdyż mógłby nieświadomie dać do zrozumienia, że nie wszystko jest w porządku. Po prostu podszedł szybko do drzwi biura i otworzył je, zaskakując siedzącego wewnątrz urzędnika.

Upuścił papiery na biurko tuż przed mężczyzną w średnim wieku, o pochyłych ramionach, a następnie odstał krok do tyłu i skrzyżował ręce na piersiach. To miejsce wyglądało i pachniało znajomo, jak każde biuro Imperium: precyzyjne ustawienie biurka, stołków, skrzyń na dokumenty, zapach papieru, atramentu, kurzu, wosku i oleju do lamp.

Urzędnik szybko podniósł papier leżący na wierzchu i przeczytał go. Sprawdził pieczęć z coraz wyraźniejszym zaskoczeniem na twarzy, po czym przeczytał dokument raz jeszcze. Kiedy skończył i podniósł wzrok na księcia, jego twarz przybrała wyraz osłupienia.

— P-panie. . . — wyjąkał. — Z-z pewnością to nie może być. . .

— Mam swoje rozkazy — odparł książę bez ogródek. — Ty masz swoje.

— A-ale te rozkazy. . . mówią, że. . . że masz opróżnić cały magazyn. . .

Tremane złagodził nieco wyraz twarzy.

— Przyjacielu, wszystkie portale padły, i tak nikt nie zdoła tu przywieźć lub wywieźć stąd zapasów. Musieliśmy zdobyć się na ogromy wysiłek, by otworzyć tylko ten jeden portal, a i on nie przetrwa następnej burzy, jeśli w ogóle wytrzyma tak długo. Czy zapasy nie powinny trafić do ludzi, którzy ich potrzebują, zamiast leżeć tutaj, aż spleśnieją?

Bezpośrednie odwołanie się do rozsądku i logiki odniosło zamierzony skutek. Mężczyzna zawahał się, spojrział na papiery, na księcia i znów na papiery.

— Ale jeśli nie będzie zapasów, nie będziemy mieli tu co robić. . .

— Dlatego ostatni dokument upoważnia was do wzięcia bezterminowego urlopu — wyjaśnił cierpliwie Tremane. — Dzieją się dziwne rzeczy, a wy stacjonujecie na granicy Imperium, bez pomocy i ochrony. Nie ma powodu, dla którego mielibyście nadal trwać w izolacji, skoro możecie pojechać do domu i przeczekać najgorsze. Jeśli magazyn zostanie pusty, nie trzeba będzie go pilnować ani nim zarządzać. Wasz cesarz wie, że niepokoić się o rodziny, a bez portalu droga do domu zajmie wam jakiś czas. Dlatego dostajecie urlop bezterminowy.

Urzędnik wziął ostatni papier, przeczytał go jeszcze raz i jego twarz się rozjaśniła. Dokument upoważniał księcia do wypłacenia mu całorocznej pensji — jemu i wszystkim innym zatrudnionym w magazynie.

— Jest nas tylko czterech, komendancie. To zwykły magazyn — wszyscy jesteśmy urzędnikami, nie. . .

— Racja, dlatego przyprowadziłem moich ludzi — przerwał książę. — Otwórzmy drzwi i zabierzmy zapasy, póki jeszcze możemy.

— Tak jest! — Urzędnik skoczył na równe nogi, przewracając krzesło, i pośpieszył do dźwigni, która uruchamiała ciężkie drzwi. Dzięki maszynerii ów niepozorny i niezbyt silny mężczyzna mógł poruszyć drzwi zbyt ciężkie nawet dla największych siłaczy.

Kiedy tylko magazyn został otwarty, weszli do niego żołnierze. To także było przewidziane, a każdy magazyn Imperium budowano według podobnego wzoru. Poszli prosto do miejsca, gdzie były zapasy jedzenia i wody. Kiedy tylko przenieśli je przez portal, zabrali mniej konieczne artykuły: mundury, pościele i koce. Kiedy i to zostało przetransportowane, poprzenosili inne rzeczy, metodycznie opróżniając magazyn ze wszystkiego, dopóki tylko portal mógł wytrzymać.

Magazyny Imperium znane były z tego, że często zachował się w nich sprzęt tak stary, iż nawet historycy mieli kłopoty z określeniem jego przeznaczenia. Pośród takich antyków mogły się znaleźć przedmioty przydatne teraz, kiedy magia przestała działać. A w każdym razie można by je wykorzystać w inny sposób.

Tymczasem Tremane rozkazał urzędnikowi wydobyć akta i otworzyć komnatę na tyłach biura, w której zwykle przechowywano archiwa, a także złoto do płacenia kupcom za dostawy oraz na żołąd. Odliczył zapłatę dla czterech urzędników, po czym małe, cienkie jak opłatek monety włożył do specjalnych paczuszek, na których napisał nazwiska urzędników i przystawił własną pieczęć.

— Od tej chwili jesteście wolni — powiedział uprzejmie do mężczyzny, wręczając mu jego paczkę. — Teraz już sobie poradzimy. Jeśli jest tu stajnia, weź sobie konia wierzchowego i jucznego. Na moją odpowiedzialność.

— Dziękuję, komendancie — odparł urzędnik, tym razem pełen zapału. Wycofując się w kierunku drzwi, mówił: — Mam przed sobą daleką drogę, powinienem wcześniej wyruszyć. . .

Pośpiesznie wyszedł, a książę domyślał się dlaczego. Niemal każdy zatrudniony w magazynach maczał palce w nielegalnych operacjach, na przykład odsprzedając towary z magazynu i wpisując w dokumentach wyższe ceny, niż rzeczywiście zapłacił. Ten człowiek chciał znaleźć się poza zasięgiem władzy księcia, zanim ten zdąży porównać dokumenty dostaw z faktycznym stanem zapasów. Nie wiedział, że księciu nie zależało na tym. Oczywiście mimo wszelkich machinacji większość towarów nadal leżała na miejscu, a o to przecież chodziło.

Tremane miał własne powody, by pozbyć się urzędnika. Kiedy — jeżeli w ogóle — władze dotrą tutaj, brak jakiegokolwiek personelu jeszcze bardziej zaciemni sytuację. Ci, którzy tu przyjadą, będą musieli odnaleźć urzędników, zanim uda im się dowiedzieć, czyja pieczęć widnieje na paczkach z pieniędzmi — zakładając, iż urzędnicy zachowają opakowania. Dokumenty Tremane zamierzał

zabrać ze sobą. Przedstawiciele władzy znajdą pusty magazyn, bez żadnej wskazówki odnośnie do osoby, która wywozła zapasy. Oczywiście, jeśli żaden z agentów nie zdoła tu zostać.

Nawet w tym wypadku dotarcie do stolicy i cesarza zajęłoby im dużo czasu. Mogliby w ogóle nie dojechać. Warunki stały się tak złe, że nawet doświadczonemu agentowi nie udało się nawiązać kontaktu. Wszyscy szpiedzy polegali na portalach i magicznie przekazywanych wiadomościach w kontaktach z podwładnymi. Bez nich agent mógł nawet nie wiedzieć, kto jest jego zwierzchnikiem!

Tymczasem strażnicy wynosili złoto i przekazywali je kolejnym żołnierzom, którzy umieszczali je w zamkniętym i dobrze strzeżonym pokoju. Złoto było ciężkie i niosący nie mogli wziąć zbyt wiele na raz. Jednak książę spodziewał się, że wystarczy go, by opłacić całą armię przez rok. Da mu to czas na zdobycie ich lojalności.

Kiedy już przetransportowali złoto, Tremane odesłał dwóch swych strażników do reszty, by opróżnili magazyn do gołych ścian, sufitu i podłogi. Znaleźli nawet zapasy drewna i książę miał zamiar zabrać je, jeśli się uda i portal wytrzyma.

Po pewnym czasie wszystkie najważniejsze artykuły zostały przeniesione. Teraz ludzie utworzyli łańcuch i podawali sobie wszystko: paczki, skrzynie i beczułki, nie trudząc się sprawdzaniem zawartości. Później książęcy urzędnicy zajmą się inwentaryzacją.

Podczas gdy ludzie pracowali, Tremane zajął się przeglądaniem dokumentów. To, co w nich znalazł, potwierdziło jego obawy i nadzieje: personel magazynu od tygodni nie miał kontaktu ze zwierzchnikami ani nie dostawał rozkazów — brak najmniejszego nawet znaku, że Imperium wciąż istnieje. Nie mieli pojęcia, co się dzieje, wiedzieli jedynie, że wszystkie portale nagle się załamały, a za bezpiecznymi murami umocnionego magazynu działy się dziwne rzeczy. W papierach książę znalazł dowody paniki, lecz nie winił urzędników. Na ich miejscu sam poddałby się panice.

Olbrzymia, teraz pusta hala odpowiadała echem na każdy dźwięk, a pochodnie zatknięte w ścianach rzucały ruchliwe cienie na półki i stojaki. Książę żałował, że nie ma czasu, by ograbić także małą stajnię, z pewnością znajdującą się nieopodal — ale z drugiej strony urzędnicy będą potrzebować wszystkich zwierząt do przetransportowania swych rzeczy i siebie samych. „Nie mogę być chciwy” — zaśmiał się w duchu.

Portal na razie trzymał się mocno, a w magazynie pozostała mniej niż połowa zapasów. Sprawdzając postępy w pracy, książę zauważył kolejne drzwi w miejscu, w którym nie spodziewał się już niczego. Stanął jak wryty.

Kolejne drzwi? Czyżby to był zespół magazynów, a nie pojedyncza hala?

Pobiegł po zakurzonej posadzce i otworzył je mocnym szarpnięciem. W świetle pochodni ukazał się widok, który sprawił, że serce w nim podskoczyło.

Ziarno. Beczki ziarna, ustawione jedna za drugą. Przeznaczono je dla koni

kawalerii, ale było zdadne do jedzenia także przez ludzi.

W ten sposób rozstrzygnęła się kwestia utrzymania przy życiu zarówno garnizonu, jak i miasta. Za to ziarno kupi sobie lojalność mieszczan, zwłaszcza przy długiej, mroźnej zimie i skąpych zapasach. Rolnicy narzekali na złą pogodę i słabe plony, ale Tremane zakładał, iż były to zwykłe narzekania. Wszyscy chłopci, których spotkał, narzekali zawsze na urodzaj i pogodę, nigdy zaś nie mówili o dobrym roku.

Ale jeżeli tym razem ich narzekania były słuszne? Znał pogodę i sam widział, jak wyglądały pola. Jak mógł pomyśleć, że plony będą takie jak zwykle?

„Ponieważ nie odważyłem się sądzić inaczej, w przeciwnym razie już bym się poddał.”

Szybko skierował połowę ludzi do nowego magazynu, rozkazując im zabierać w pierwszej kolejności ziarno, a zostawić na razie beły siana, które także tu stały. Siano nie było najważniejsze, ale jeżeli znajdzie się czas, dlaczego by go nie zabrać?

„Potrzebuję więcej ludzi.” Ryzykował, przeprowadzając nie sprawdzonych wcześniej ludzi przez wciąż niestabilny portal, ale gra warta była świeczki. Niemal na pewno kilku z nich postara się zostać tutaj, a wśród nich niewątpliwie znajdą się szpiegowie. Ale nie dbał o to.

Pobiegł do portalu i przez jednego ze strażników przesłał wiadomość. Sejanes nie jest głupcem, na pewno będzie wiedział, ilu ludzi może przejść przez portal, nie wyrządzając mu szkody.

Tremane wrócił do swych ludzi, tym razem po to, by przyłączyć się do nich w szaleńczym przetrucaniu zapasów. Stał w szeregu obok jednego ze strażników oraz mężczyzny, którego imienia nawet nie znał. Milczał, kiedy stojący obok przeklinał go za niezręczność, gdyż upuścił paczkę, a potem za zbyt powolną pracę. Ważniejsze od zachowania hierarchii było przeniesienie przez portal jeszcze jednej paczki. Bardziej wyczuł, niż dojrzał, że za jego plecami formuje się drugi szereg; teraz miał już pełne ręce roboty, a z czoła ściekał mu pot.

Nigdy w życiu tak się nie napracował fizycznie. Mięśnie i stawy błagały o chwilę odpoczynku, płuca piekły, a gardło i usta miał wyschnięte jak na pustyni. Nie było odpoczynku — szereg księcia zabrał się już do przetrucania drewna z tyłów magazynu, a druga linia wciąż przenosiła ziarno.

Na zewnątrz rozjaśniło się; świt musiał nadejść jakiś czas temu, ale Tremane tego nie zauważył. Jakim cudem Sejanes zdołał utrzymać portal tak długo? Po takim wyczynie biedni magowie przez tydzień będą półprzytomni!

W tej samej chwili szereg się rozproszył, nie zostało bowiem już nic do przeniesienia. Połowa ludzi podeszła do stojących pod ścianami dużych fragmentów maszyn, których jeden człowiek nie zdołałby podnieść. Reszta dołączyła do drugiego szeregu, który tymczasem skończył już z ziarnem i zaczął przenosić siano!

Wtedy z portalu dobiegł gwizd — sygnał, że magowie nie mogą dłużej go

utrzymać. Tremane przygotował ludzi również na to; wszyscy natychmiast zostawili, co mieli w rękach, i na oślep rzucili się do portalu. Nowi, którzy o tym nie wiedzieli, wzięli przykład z reszty. Wybiegając z magazynu, uformowali szyk, gdyż przez portal mogło jednocześnie przejść czterech ludzi obok siebie. Cztery rzędy ludzi biegly w kierunku kamiennego łuku, który po tej stronie wyznaczał portal.

Pomimo ostrożności, jaką zachowywał, książę wiedział, że wzywając dodatkowych żołnierzy, jednocześnie wpuścił do magazynu więcej szpiegów. Poza tym niektórzy wojownicy będą specjalnie zostawać z tyłu, by nie zdążyć przed załamaniem się portalu. Wśród nich na pewno znajdują się agenci cesarza i jego własnych wrogów. Książę nie przejmował się tym, gdyż tylko on wiedział, że rozkazy zostały podrobione.

Właściwie nie życzył im źle; magazyn pozostawiono na łaskę losu, co świadczyło najlepiej o warunkach panujących w Imperium. Ci, którzy zostaną, będą zmuszeni szukać sobie środków transportu, by przedostać się przez kilka krajów sprzymierzonych, nim dotrą na teren właściwego Imperium. Postawiony w takiej sytuacji chyba poddałby się i znalazł schronienie, by przeczekać najgorsze; oni mogli zrobić tak samo.

Co do reszty tych, którzy zostawali w tyle — pracowali uczciwie i książę nie mógł potępić ich za to, iż skorzystali z okazji pozostania na znanym terenie. Bez wątplenia Imperium będzie ich potrzebować tak samo albo nawet bardziej niż Tremane.

„Poza tym każdy człowiek, który zostanie tutaj, oznacza jednego mniej do wykarmienia oraz jednego mniej agenta, który z braku innych rozkazów mógłby rozpocząć sabotaż.”

Przebiegł przez portal jako jeden z ostatnich; niestabilność przejścia dała się wyraźnie odczuć. Znalazł się po drugiej stronie, nie mogąc utrzymać się na nogach i walcząc z mdłościami i zawrotami głowy. Przez chwilę leżał bezwładnie na boku, zanim ktoś nie posadził go na krześle.

Otworzył oczy i natychmiast tego pożałował: dziedziniec kręcił się w kółko, a jaskrawe światło słońca wbijało się sztyletami w oczy, docierając w głąb czaszki. Zamknął powieki i leżał bez ruchu, czekając, aż poczuje się lepiej.

— Upada! — zawołał ktoś głosem ochrypłym z wysiłku.

— Niech upada — nie możemy dłużej czekać! — To był głos Sejanesa. Stary mag musiał widocznie policzyć ludzi i postanowił zakończyć podtrzymywanie portalu. — Tamtym nic się nie stanie, puszczajcie, zanim nas spali!

Tremane ponownie otworzył oczy akurat na tyle, by ujrzeć portal, który zapadał się, aż stał się punkcikiem światła, płonącego jeszcze przez chwilę, po czym zgasł.

Mdłości przeszły mu nieco i mógł już wstać. Stwierdził, że znajduje się w kącie, odciągnięty tu przez jakiegoś mądrego człowieka, kiedy tylko wy dostał się

z portalu. Teraz się to przydało, gdyż dzięki ścianie książę zdołał się podnieść i oparł się o nią, póki nie odzyskał równowagi.

W końcu, kiedy uznał, że może się pokazać podwładnym, przeszedł powoli przez dziedziniec pełen leżących bezwładnie wojowników, magów i przez stosy zapasów. Strażnicy stali tam, gdzie ich zostawił, więc teraz posłał jednego z nich po pomoc.

— Nosze i noszowi — rozkazał. — Wszystkich leżących odnieść na kwatery... dostają zwolnienie na co najmniej jeden dzień. Niech obejrzą ich uzdrowiciele. — Rozejrzał się po dziedzińcu i zmarszczył brwi. Przynieśli tu zapasy z dwóch magazynów, a zatem podwórze powinno być przepełnione.

Strażnik prawidłowo odczytał spojrzenie księcia.

— Jak tylko zaczęły napływać zapasy, Sejanos posłał po dodatkowych ludzi, by przewieźć je do magazynu, komendancie — powiedział. — Zaraz wróca.

Tremane rozpogodził się.

— Dobrze. Czy urzędnicy robią spisy?

— Tak, komendancie. Wszystko według rozkazów, z wyjątkiem... — Strażnik tym razem nie zdołał powstrzymać uśmiechu. — ...Z wyjątkiem tego, że Sejanos zdołał utrzymać portal dłużej, niż przewidywał! Komendancie, udało się!

Po raz pierwszy od kilku tygodni Tremane odprężył się na tyle, by odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech.

— Nie kuśmy złych potęg zbytnią pewnością siebie. Mieliśmy szczęście. Nie mamy pojęcia, od jak dawna zapasy leżą w magazynie i w jakim są stanie. Połowa z nich może okazać się bezużyteczna.

Strażnik pokiwał głową.

— Racja, komendancie. Czy mam posłać po twoją lektykę? Tremane miał zamiar odmówić — przez ostatni rok korzystał z lektyki zaledwie kilka razy — ale po kolejnej fali zawrotów głowy zmienił zdanie.

— Zrób tak. Będę przy Sejanosie.

Udało mu się dotrzeć do swego nauczyciela, zanim musiał usiąść, i zdołał opaść na skrzynkę tak, że nie wyglądało to na nagłe załamanie. Stary mag był w takim samym stanie jak książę, co było zadziwiające, zważywszy na napięcie, w jakim pracowali czarodzieje. Leżał na plecach na kamieniach, a nadejście księcia skwitował skinieniem ręki.

— Cóż, staruszku — powiedział Tremane. — Udało się.

Mag nagroził go nikłym uśmiechem i słabym błyskiem w oczach.

— Udało się. Kupiliśmy ci czas, którego potrzebujesz, chłopcze. I mam nadzieję, że nagrodzisz swych ciężko pracujących magów...

— Zostaniecie przeniesieni do najlepszych kwater, jakie można tu znaleźć — przerwał książę. — Nie ma powodu, żebyście mieszkali w namiotach, skoro i tak nie przydadacie się oddziałom. Co do ewentualnych pretensji o faworyzowanie

magów, każe ogłosić, iż wykonaliście zadanie kosztem wielkiego poświęcenia i wpadliście w chorobę. Dlatego potrzebujecie szczególnej opieki.

— Nie bardzo się pomylisz, chłopcze — odparł Sejanes poważnie. — Przez następne dni nie będziemy w stanie podnieść się z łóżek.

— Zatem dostaniecie łóżka — obiecał Tremane. Po kilku minutach ciszy wrócili żołnierze przenoszący zapasy i adiutanci księcia. Tremane zatrzymał głównego adiutanta, Cherina, i powierzył mu opiekę nad magami.

— Na razie połóż ich w infirmerii — powiedział. — Spróbuj przemieścić oficerów w taki sposób, by w twierdzy znalazły się kwatery dla każdego maga, który pracował przy portalu. Chcę, by wprowadzili się do nich przed końcem tygodnia. Na razie zostają zwolnieni ze służby polowej.

Cherin ze zrozumieniem spojrział na magów leżących wciąż tam, gdzie upadli.

— Niektóre składy można przerobić na koszary — podsunął. — Można umieścić tam twoich strażników, do ich baraków przenieść paziów i pośłańców, adiutantów zaś przeprowadzić do małych komnat paziów. W ten sposób każdy mag dostanie swoją komnatę, a adiutanci nadal będą mieli prywatne kwatery.

— Za to chłopcy zamieszkają we wspólnej komnacie, co pozwoli sierżantowi lepiej ich pilnować. Dobrze — zgodził się Tremane z nikłym, ale pełnym aprobaty uśmiechem. — Te małe łobuzy zachowywały się ostatnio niezwykle poprawnie, ale nie wierzę, by czar działał zbyt długo. Dopilnuj tego.

— Tak jest! — Adiutant zasalutował i odszedł.

— Dobry z ciebie chłopak, Tremane — odezwał się Sejanes ochryple i zamknął oczy.

W tej chwili przybyła lektyka księcia, niesiona przez czterech ludzi. Tremane zdecydował, iż nadszedł czas, by pozostawić resztę pracy adiutantom. Rozdzielił zadania i rozkazał, żeby rano na biurku leżały gotowe raporty. Wstał sztywno i usiadł na krześle. Kiedy czterech ludzi podniosło drążki na ramiona i odeszło do kwatery, książę oparł się wygodniej i zamknął oczy.

„Chciałbym spać przez tydzień.” Jednak wiedział, że nie potrwa to tak długo. Obudzi się, jak tylko jego ciało odzyska siły na tyle, by mógł działać. Wtedy będzie już miał pojęcie, co udało im się ściągnąć z magazynów. Wiedział przynajmniej jedno: nawet gdyby, jak powiedział, połowa zapasów okazała się nie do użytku, miał i tak wystarczającą ilość, by zapewnić swoim ludziom przetrwanie zimy, która mogła przerazić nawet mieszkańców północy. Swoim ludziom — a być może i mieszkańcom miasta.

Przyszłość wyglądała o wiele lepiej niż poprzedniego dnia. Sytuacja była jednak i tak wyjątkowo niepomyślna.

ROZDZIAŁ DRUGI

Stajnia rzadko bywa miejscem udzielania lekcji protokołu, ale ani Karal z Karasu nie był ambasadorem, ani jego doradca nauczycielem w zwykłym tego słowa znaczeniu.

Był szary, chłodny dzień; niebo zakrywały niskie, ciężkie chmury. W taką pogodę nawet przyjemnie było posiedzieć w stajni, zwłaszcza jeśli już od dzieciństwa pracowało się przy koniach. Zresztą nie były to zwykłe stajnie, ale schronienie Towarzyszy przebywających w Kolegium Heroldów i pałacu w stolicy Valdemaru, Przystani. Boksy stały w większości puste, a nawet w zajętych panowała niezwykła cisza, gdyż Towarzysze raczej nie zachowywały się jak zwykłe konie.

Jednak pod każdym innym względem ten budynek, jak żaden w Przystani, przypominał Karalowi dom. Ciepły zapach siana, suchego ziarna, przenikliwy aromat skór — równie dobrze można by go nazwać smakiem — wszystko to pomagało mu się odprężyć i podnosiło na duchu. Chociaż na zewnątrz było zimno, tutaj, przy ogromnym glinianym piecu, Karal czuł się tak jak we własnej komnacie.

— No dobrze — powiedział Karal, przecierając zmęczone oczy. — Wyjaśnij mi jeszcze raz, jakim cudem wyznawcy różnych religii nie zabijają się nawzajem z powodu różnic w poglądach.

Za żelaznymi drzwiczkami pieca wesoło trzaskał ogień, a półmrok stajni dawał odpocząć bolącym oczom. Jednak szkoda, że Florian nie zmieściłby się w komnacie Karala w pałacu. Przydałaby się filiżanka gorącej herbaty. Oczywiście po herbacie mógłby zmorzyć go sen, a to akurat nie byłoby w tej chwili pożądane.

Doradca Karala potrząsnął głową, aż biała grzywa rozsypała się po szyi.

To bardzo proste, Karalu. Jeśli chcą wyznawać swoją religię w Valdemarze, muszą przestrzegać jednej zasady: „Żyj i pozwól żyć”. Możesz nawracać, ile chcesz, pod warunkiem, że nie będziesz prześladować, zmuszać, zastraszać lub w podobny sposób naprzykrzać się innym. Prawa świeckie Valdemaru stoją ponad zasadami wszelkich religii. Niezależnie od tego, jak bardzo twoje uczucia religijne mogą obrażać praktyki twego sąsiada żyjącego wedle swej religii, nie masz prawa zmuszać go do przestrzegania swoich zasad; nie wolno ci nawet próbować.

Jeśli nie potrafisz przestrzegać tej zasady, zostajesz pod eskortą odprowadzony do granicy i tam zostawiony.

Karal usiłował wyobrazić sobie podobne zasady w Karsie, ale zrezygnował. Jego rodacy po prostu zignorowali prawo i z całą żarliwością oddali przyznane mu przez bóstwo prawa religii nakazującemu prześladować, zastraszać, a nawet mordować tych, którzy nie zgadzali się z poglądami wyznawanymi przez nich. Według ich ograniczonej, dosłownej interpretacji Obrządku i Prawa, jeśli coś zostało uznane za złe, było złe dla każdego, nawet jeśli ów ktoś nie zgadzał się z taką wykładnią. Karsyci z zapalem wyrzynali się nawzajem z powodu różnych interpretacji Obrządku niemal tak długo, jak długo zabijali ludzi spoza swych granic i nie wyznających ich religii. Niegdyś, jak Karal wyczytał w starych księgach, wyglądało to inaczej, ale obecny stan rzeczy trwał od wielu pokoleń. Dokładnie mówiąc, od czasów Vanyela. Albo, jakby powiedział Ulrich, od czasu, kiedy Syn Słońca przestał być nominowany przez samego Vkandisa, a zaczął być wybierany przez kapłanów.

— Wydaje się zbyt proste, by działało — odparł ze zmęczeniem.

Florian podrapał kopytem ziemię — Karal wiedział, że był to odpowiednik wzruszenia ramion.

Przypuszczam, iż to działa głównie dlatego, że zostało ustanowione w czasach, kiedy Valdemar zamieszkiwało znacznie mniej ludzi i w większości byli to wyznawcy tej samej religii. Wtedy oczywiście nikt nie wątpił w skuteczność takiego prawa. Jeśli odpowiednio wcześnie zasadzisz drzewo, wyrośnie na tyle wysoko, że nie zaszkodzą mu późniejsze burze.

Nieopodal przeszedł stajenny kot — zupełnie zwykły, biało-czarny, bez jaskrawych pręg typowych dla ognistego kota. Karal wyciągnął do niego dłoń, ale jego wysokość miał inne rzeczy na głowie.

— To brzmi jak kolejne przysłowie Shin'a'in — zauważył Karal, odwracając się lekko, tak by prawy bok również mógł skorzystać z dobrodziejstwa ciepła pieca. Czy to jego wyobraźnia, czy jak na wczesną jesień było zbyt zimno? — Zbyt długo przebywałeś w pobliżu An'deshy.

Florian „zachichotał” — choć było to raczej parsknięcie. Dla kogoś spoza Valdemaru fakt, że Karal przemawiał do białego konia o niebieskich oczach, mógłby wydawać się dziwny. Dla wielu jego rodaków kontakty z Towarzyszem — czy też, jak sam Karal powiedziałby przed rokiem, „przeklętym piekielnym valdemarskim koniem” — byłyby bluźnierstwem. Jednak przez ostatni rok Karal nauczył się o heroldach i ich Towarzyszach więcej niż kiedykolwiek. Teraz ufał wiedzy Floriana dotyczącej Valdemaru tak samo, jak ufał wiedzy magicznej swego przyjaciela, An'deshy. Obie były dla niego równie nowe, choć ze skutkami magii, jeśli nie z praktyką, zapoznał się jeszcze w Karsie. Co do Valdemaru — większość rzeczy dziwiła go równie mocno jak owo powierzchowne podobieństwo zasad religijnych.

— Chyba mogę założyć, że jeśli będę miał do czynienia z kapłanami z Valdemaru, będą mnie oni tolerować, nawet jeżeli mnie nie polubią? — Na skiniecie głowy Floriana Karal wzruszył ramionami. — Przynajmniej to łatwiejsze niż czekanie, aż w korytarzu dopadnie mnie fanatyczny zabójca.

Fanatycy przyjdą spoza Valdemaru, jeśli w ogóle przyjdą, a od pewnego czasu Kero zwraca na nich szczególną uwagę.

Kero to była oczywiście herold kapitan Kerowyn, jedyny herold w całej historii Valdemaru będący jednocześnie kapitanem kompanii najemników. Powierzono jej mniej konwencjonalny system obrony Valdemaru — o którym lord marszałek nie chciał rozpowiadać. Niegdyś była także jednym z Wielkich Wrogów Karsu; opowiadano o niej, iż na śniadanie pożera podane na grzankach karsyckie dzieci.

Karal głosowałby za grzankami, Kero zaś przysięgła, że nie tyka dzieci — ani karsyckich, ani innych — przed obiadem.

Florian nie mówił do Karala w zwykłym znaczeniu tego słowa; głos Towarzysza rozbrzmiewał w głowie karsyckiego posła. Tutaj nazywano to „myślmową”. Miejscowi uznawali za oczywiste, że heroldowie potrafią rozmawiać ze swymi Towarzyszami jak z ludźmi. Herold mógł pomyśleć o spotkaniu, a po chwili z za zakretna wynurzał się Towarzysz, by go podwieźć. Jednak dziwny był widok, kiedy idący obok swego Towarzysza herold nagle wybuchał śmiechem z żartu, który przekazał mu Towarzysz, wtórujący wesołym rzeniem. Heroldowie mówili myślą, a Towarzysze im odpowiadali — nie uważano tego za niezwykłe.

Przed przyjazdem do Valdemaru Karal nigdy nie słyszał o takiej magii, przede wszystkim dlatego, że kapłani Słońca w Karsie starali się usuwać dzieci obdarzone takim „darem”. Kapłani nazywali to czarnoksięstwem i tępili bezwzględnie aż do czasu objęcia Słonecznego Tronu przez Solaris.

Inni heroldowie potrafili rozmawiać z ludźmi tak jak z Towarzyszami. Niektórzy umieli przesuwać przedmioty, nie dotykając ich, albo widzieć rzeczy niewidoczne. Mogli wejrzeć w przyszłość albo przeszłość; mieli nawet jeszcze dziwniejsze zdolności.

Oczywiście wszystkiego tego można było dokonać za pomocą znanej Karalowi magii, ale tej akurat nie znał. Kapłani Słońca często posługiwali się prawdziwą magią, a kapłani-oszuści wykorzystywali ją do czynienia „cudów”, którymi mamiłi łatwowiernych. Ponieważ zdolności magiczne można poddać kontroli, kapłani wcielali w swe grono wszystkich przejawiających dar magii, zamiast ich niszczyć.

Valdemarczycy posiadali zdolności czarnoksięskie i zwali je „magią umysłu” albo „darami”; były wrodzone, ale można je było udoskonalić praktyką i nauką.

Karal do pewnego stopnia przyzwyczał się do nich, chociaż nigdy nie przestała dziwić go niefrasobliwość, z jaką heroldowie przyjmowali ową moc. A przecież tak łatwo wykorzystać ją do złych celów, jak to się stało z prawdziwą magią w Karsie. Na szczęście to były Towarzysze.

Jedynym miejscem, w którym uczono posługiwania się magią umysłu, było Kolegium Heroldów, a jedynym sposobem, by się tam dostać — wybranie przez Towarzysza. Wtedy Towarzysz zostawał przyjacielem, powiernikiem, sumieniem, a czasami surowym nauczycielem. Fakt, że Towarzysze wyglądały jak konie — zawsze białe o niebieskich oczach — nie miał znaczenia. Florian powiedział raz Karalowi, iż Towarzysze przybrały te postacie zamiast, powiedzmy, psa lub kota nie tylko dlatego, że koń nie zwraca na siebie uwagi, ale także dlatego, że jest jednocześnie bronią, wojownikiem i środkiem transportu. W mitologii karsyckiej, jak w lustrzanym odbiciu rzeczywistości, heroldowie w swych białych uniformach stali się „białymi demonami”, Towarzysze zaś „końmi z piekła rodem”.

Florian został „przydzielony” Karalowi przez resztę Towarzyszy, kiedy młody Karsyta przyjechał do Valdemaru jako sekretarz swego mistrza Ulricha, posła Karsu. Florian wielokrotnie zapewniał, że nie wybrał Karala na herolda, co następowało zwykle po tym, kiedy Towarzysz wyszukiwał sobie jakąś osobę i przemawiał do jej umysłu. Nie, w tym wypadku miał być jedynie doradcą, kimś kto przeprowadzi Karala przez skomplikowane meandry życia w królestwie Valdemaru, nie mając w tym własnego celu. Karal nie miał powodu nie ufać altruizmowi Towarzysza; w końcu z wiarygodnego źródła dowiedział się, że Towarzysze były odpowiednikami karsyckich ognistych kotów — wyjątkowo mądrymi ludźmi, którzy zdecydowali się na ponowne narodziny w tej raczej dziwnej postaci, aby pomagać i doradzać ludziom obdarzonym mocą. Nie będąc ludźmi i nie mając ludzkich trosk, przyjmowali bardziej obiektywny stosunek do wielu spraw. W każdym razie tak wyglądała teoria. Jak stwierdził raz Florian, uwięzienie w materialnym ciele mogło jednak czasami skrzywić punkt widzenia. „Poza tym — dodał enigmatycznie — to zależy od tego, ile razy się tu pojawiałeś.”

Cokolwiek miałyby to znaczyć.

Karal został także zaszczycony — czy też obciążony — towarzysztwem ogni-stego kota, choć sam nie wiedział dlaczego. Jednakże przy całej swej mądrości Altra nie wiedział o Valdemarze więcej niż Karal. Obaj mieli trudności ze zrozumieniem kraju, który od stuleci był śmiertelnym wrogiem Karsu — i znów Karal musiał się uczyć.

Na chwilę opuścił głowę na ręce, przykładając zimne palce do bolących skroni. Pomogło, ale nie za bardzo.

Jesteś zmęczony — odezwał się Florian zatroskany. — Chyba powinienem zrobić przerwę i pozwolić ci odpocząć.

— Ja też chciałbym odpocząć, ale jutro po południu mam spotkanie z całym synodem, czy kapitułą, czy jak to nazywają, a jeśli nie nauczę się prawidłowo do nich zwracać, śmiertelnie kogoś obrażę — Karal westchnął i rozmasował sobie kark. — Nigdy nie chciałem zostać ambasadorem Karsu — dodał z żalem. — Miałem dość pracy jako pomocnik. Byłem tylko sekretarzem.

Florian milczał przez chwilę i spojrzął w dal, jakby się nad czymś zastanawiał.

W ciszy Karal wyraźnie słyszał piski myszy biegających w sianie składowanym nad jego głową. Pewnie dlatego kot nie zatrzymał się na pogłaskanie.

Waham się, czy to zaproponować, gdyż musiałbyś zaufać mi znacznie bardziej niż do tej pory — ale jest sposób na pokonanie tej akurat trudności.

— Jaki? — zapytał z ożywieniem Karal. W tej chwili był gotów rozważyć wszystko, co mogłoby mu pomóc. Świątobliwości, eminencje, ekscelencje i inne tytuły wirowały mu w biednej, przemęczonej głowie, nie chcąc skojarzyć się z żadnym stanowiskiem. Nie miał pojęcia, jak zdoła je opanować do jutra. Jak wiele innych rzeczy, spotkanie spadło na niego niemal bez uprzedzenia.

Musiałbyś wpuścić mnie do swego umysłu, usunąć bariery. Mógłbym patrzeć twoimi oczami, widzieć, z kim rozmawiasz, i podpowiadać ci — odrzekł Florian z wahaniem. — Mogę ci z łatwością pokazać, jak opuścić osłony. Problem w tym, że jeśli to zrobisz, dotrę do wielu głębiej ukrytych myśli. Będę wiedział, co myślisz, a masz tendencję do rozważania kilku rzeczy naraz. Możesz nie chcieć mnie aż tak... daleko w swym umyśle.

Cóż, oto dylemat. Czy chciał, by Florian poznał jego myśli? Niektóre z pewnością nie były pochlebne. Karal poznał już przywódców kilku sekt religijnych i dali mu oni bardzo wyraźnie do zrozumienia, że nie czują sympatii do reprezentanta Pana Słońca Vkandisa — nawet, a może zwłaszcza, jeśli ten reprezentant to awansowany niedawno sekretarz.

Prawda, wyznawcy Vkandisa wyrządzali niegdyś straszliwe krzywdy wyznawcom innych religii. Jednak to działo się w przeszłości, w czasach, kiedy Syn Słońca był — mówiąc bez ogródek — skorumpowanym, ślepym wykonawcą poleceń innych panów niż Pan Słońca. Najwyższa kapłanka Solaris skończyła z tymi praktykami, z wojną z Valdemarem oraz z nienawiścią Karsytów do wszystkich żyjących poza granicami ich państwa. Teraz sytuacja wyglądała inaczej i wielu kapłanów Słońca przelewało swą krew za Valdemar, by to udowodnić. Co więcej, Karal był zbyt młody, by wyrządzać ludziom krzywdy za panowania poprzedników Solaris — a mimo to niektórzy twardogłowi wydawali się obciążać go osobistą odpowiedzialnością za całe zło, które spadło na nich i ich majątki od czasów Vanyela.

Zatem najtajniejsze myśli Karala nie grzeszyły nadmiarem miłosierdzia.

Z drugiej strony — jeśli nie mógł zawierzyć ich Florianowi, to komu miałby zaufać?

— Chyba przyjmę propozycję — powiedział. — Ale musisz wiedzieć, że pewnie podzielisz ze mną także ból głowy.

Nie przeszkadza mi to — odparł Florian. — Wcale. A oto, co teraz powinieneś zrobić. To naprawdę bardzo proste. Wiesz, jak się czujesz, kiedy do ciebie mówię, prawda?

Karal kiwnął głową.

Pomyśl o tym, a potem wyobraź sobie, że wyciągasz do mnie rękę. Kiedy poczujesz, że ją złapałem, twoje osłony opadną.

Właściwie łatwo było to sobie wyobrazić, gdyż Florian nigdy nie był dla Karala koniem. Karal zamknął oczy i w wyobraźni „wyciągnął” dłoń do przyjaciela; niemal natychmiast przeszło go dziwne wrażenie, że ktoś pochwycił jego rękę. Otworzył oczy i przez chwilę widział podwójny obraz: postać Floriana, jakiego znał, nałożoną na młodego, szczupłego, poważnego człowieka w jego wieku, o ciemnych włosach i oczach, ubranego w biel heroldów.

Drugi obraz znikł szybko, ale dał Karalowi do myślenia. Czy tak Florian wyglądał... przedtem?

Doskonale! — pochwalił Florian. — *Czy czujesz różnicę?*

— Tak — odparł od razu Karal. — Teraz czuję się tak, jakbyś stał tuż przy mnie i szeptał mi do ucha.

Teraz widzę twoimi oczami. Zauważ, że nie radziłbym tego początkującemu. To nieco dezorientuje.

— Bardzo mi pomagasz — odpowiedział Karal z wdzięcznością. — Świadomość, że mam tu prawdziwego przyjaciela, pomaga mi bardziej, niż mogę wyrazić.

Lekkie kroki przy drzwiach uzmysłowiły mu, że nie jest już sam z Florianem.

— Tylko jednego? — zapytał An'desha, adept Shin'a'in, wchodząc do stajni. — Gdybym nie wiedział, że nie bierzesz dosłownie tego, co powiedziałeś, byłbym bardzo zraniony.

Jego kpiący ton dał Karalowi znać, że sam nie brał swych słów zbyt poważnie.

Kiedy An'desha podszedł, Karal zauważył, że mag wygląda lepiej niż w ciągu ostatnich dni. Obaj uczestniczyli w magicznej ceremonii na granicy Iftelu i Valdemaru i okazała się ona o wiele trudniejsza i bardziej potężna, niż się spodziewali. Jej skutkiem było ustawienie czasowego falochronu biegnącego od najbardziej wysuniętego na północ zakątka Iftelu po najbardziej południowy punkt Karsu. Falochron ten łamał fale magicznych burz nawiedzających kraj i rozpraszał ich energię, by nie szkodziła otoczeniu. Nie wytrwa on długo — w miarę jak burze przybierały na sile i napływały częściej, coraz bardziej niszczyły się bariery — ale w ten sposób zdobyli czas na znalezienie lepszego rozwiązania.

Z nich dwóch An'desha był bardziej wyczerpany, gdyż to on wykonał większość pracy. Karal nie był magiem; jego mistrz stwierdził kiedyś, iż posiada „potencjał do stania się kanałem”, ale nikt nie wiedział, co to oznacza, póki Karal nie okazał się potrzebny na granicy Iftelu.

„Działanie jako kanał musi się opierać na instynkcie, nie na teorii.” Tak mówili inni magowie, gdy Karal opisywał im to, co zaszło. Kiedy tylko dotarli do Przystani, pod opieką uzdrowicieli szybko doszedł do siebie. An'desha znacznie wolniej wracał do zdrowia.

Teraz skóra młodego maga straciła już żółtawy odcień i bardziej przypominała

zdrową, złotawą karnację Shin'a'in. W jego włosach pojawiło się więcej srebra, co nie było zaskakujące, zważywszy na to, z jak wielką mocą miał ostatnio do czynienia. Karal słyszał już, że operowanie dużymi ilościami energii magicznej rozjaśniało włosy do bieli i oczy do błękitu. Dlatego kochanek An'deshy, adept Tayledras Śpiew Ognia, miał włosy białe jak śnieg jeszcze przed ukończeniem osiemnastu lat — i takie zostały do dziś.

Karal wiedział, że An'desha był kiedyś istotą zwaną „zmiennolicym” o ciele częściowo ludzkim, częściowo zwierzęcym. Zmienił je w ten sposób duch złego adepta, który zawładnął ciałem An'deshy i przekształcił je tak, jak mu się podobało — nadając mu postać człowieka-kota. Mornelithe Zmora Sokołów został w końcu wypędzony i zniszczony, a ciało An'deshy cudem — gdyż był to naprawdę cud potwierdzony przez naocznych świadków — powróciło do swego dawnego wyglądu. Z jednym wyjątkiem.

Oczy An'deshy nadal przypominały kocie: były zielonożółte i skośne. Teraz jednak blakły i stawały się coraz bardziej niebieskie. Był to skutek posługiwania się energią magiczną w czasie ustawiania falochronu.

To były zewnętrzne oznaki zmiany. Ale An'desha zmienił się także wewnętrznie: wyczuwało się w nim nieobecny dotąd spokój i odprężenie. „Pewność siebie.” An'desha wiedział, kim jest, i akceptował tę wiedzę. Wiedział również, kim nie jest.

Nie był Zmorą Sokołów, chociaż dzielił z nim wspomnienia.

— Cieszę się, że wiesz, iż nie zamierzałem cię pominąć — powiedział Karal z uśmiechem.

— A ja wiem, co miałeś na myśli, cieszysz się z posiadania Valdemarskiego przyjaciela. Jestem takim samym zagubionym wśród tutejszych szaleńców cudzoziemcem, jak ty. — An'desha mrugnął do Floriana i przysunął sobie niską ławkę spod pieca. Miał na sobie ubranie, które od razu pozwalało odgadnąć w nim cudzoziemca, podobnie jak można to było poznać po karsyckich szatach Karala. Mag nosił kostium Sokolich Braci połączony z zimową odzieżą swego własnego ludu, Shin'a'in.

— Śpiew Ognia narzeka na zimno i zaklina się, że jeszcze przed pierwszym śniegiem zamarznie na śmierć. Mroczny Wiatr przypomniawszy mu, że w domu, w Dolinach, zimy są jeszcze ostrzejsze niż w Valdemarze. Śpiew Ognia oczywiście odpalił, iż nigdy nie musiał wychodzić z domu w tak barbarzyńską pogodę. Wtedy Elspeth przypomniała, że po raz pierwszy wjechał do Doliny Mrocznego Wiatru podczas ogromnej śnieżycy. Na to on odparł, że reprezentował wówczas swoją Dolinę i musiał zrobić wrażenie, ale Mroczny Wiatr uznał to za pozerstwo. W ten sposób rozwinął się turniej słowny i nikt nie zauważył, kiedy wyszedłem. — An'desha śmiał się, więc kłótnia nie była chyba zbyt poważna. — Śpiew Ognia szuka litości, ale od herolda i zwiadowcy chyba jej nie uzyska.

— Ani od ciebie? — zakpił Karal.

— Ani ode mnie. — An'desha wyciągnął obutą stopę w stronę pieca. — Jeśli jej szuka, mogę mu tylko powiedzieć to, co on mi często powtarzał: nadmierne współczucie każe szukać wymówek, nie odpowiedzi. Jeśli nie podoba mu się pogoda, może powinien pomyśleć nad stworzeniem osłony nad miastem i spróbować przekształcić je w Dolinę.

— O! To dopiero cios — zachichotał Karal, a Horian zarżał. — Biedny Śpiew Ognia, dzisiaj wszyscy obracają się przeciw niemu.

— To tylko pogoda czyni go drażliwym — odparł An'desha rzeczowo. — Nawet nie mogę go za bardzo winić. Szaro, ciemno, ponuro i zimno! Mam nadzieję, że rolnicy zdołają zebrać zboże, inaczej do wiosny będziemy musieli zaciskać pasa.

— Nie wiem. Nie słyszałem, by było gorzej niż rok temu, ale żaden rolnik nie przyzna się do dobrych zbiorów — odpowiedz Karal. — Słyszałem, że teraz, kiedy stoi falochron, sytuacja poprawiła się. — To dało mu pretekst, którego szukał. — An'desha byłes poza granicą Iftelu. Czy widziałes coś, kiedy ją przekroczyłem?

— Co masz na myśli? Dużo widziałem, zarówno magicznym wzrokiem, jak i moimi własnymi kocimi oczami. — An'desha wskazał na nie, po czym z wdziękiem skrzyżował nogi i przechylił się lekko do przodu. Drewno ławki zaskrzypiało.

Karal zastanawiał się chwilę, chcąc możliwie jasno sformułować pytanie.

— Czy nie wydaje ci się, że magiczna bariera na granicy w jakiś sposób mnie... rozpoznała?

— O, co do tego nie ma wątpliwości! — powiedział stanowczo An'desha. — Dotknęła cię i sprawdziła, zanim pozwoliła ci wejść. Sam to widziałem. Krótkie, potem dłuższe nitki — zmarszczył brwi, zastanawiając się. — Obszar, na którym stałes, rozjarzył się, a potem... zacząłem widzieć — trudno to opisać — widziałem energie, które cię dotykały, i wiedziałem skądś... ze wspomnień Zmory Sokołów, że to coś, na co on mówił „sondy”, wysłano, aby cię sprawdzić. Ale nie potrafię powiedzieć, co w tobie sprawdzały.

— Dlaczego mnie rozpoznały? — wybuchnął Karal. — Altra bardzo się przy tym upierał, pamiętasz? Powiedział, że granica rozpozna z nas wszystkich tylko mnie. Dlaczego ja?

— Nie tylko ty — zauważył An'desha. — Altra powiedział, że musi to być wyjątkowy kapłan Słońca. Pierwszy byłby Ulrich. Najwidoczniej Solaris też by się nadawała.

— Ale jaki związek ma magia na granicy Iftelu z karsyckimi kapłanami Słońca? — zapytał zdenerwowany Karal. — I czym jest Iftel? Nikt nie może tam wejść ani stamtąd wyjść, z wyjątkiem nielicznych, wybranych kupców i uzdrowicieli, a nikt z nich nic nie powie nawet na mękach. I przypuszczam, że o to chodzi. Pytałem Altrę — kiedy akurat był w pobliżu, co od naszego powrotu nie

zdarza się zbyt często — ale on tylko macha ogonem i powtarza, że dowiem się we właściwym czasie.

Nie mogę ci pomóc, wiem równie mało jak ty — przyznał Florian. — *Przykro mi, ale tak jest. Ani Altra, ani Pan Słońca nie kłopotali się powierzaniem tajemnic pewnemu nic nie znaczącemu Towarzyszowi.*

— Chyba musimy zdobyć się na cierpliwość. Szczerze mówiąc, jeżeli twój Vkandis przypomina Gwiazdzistooką, to obawiam się, że woli zaczekać, aż sam do tego dojdiesz. — An'desha wzruszył ramionami. — Bóstwa takie są. Gdybym ja był bogiem, miałbym więcej litości dla moich biednych, sfrustrowanych, tępych wyznawców!

Karal musiał się roześmiać, jednocześnie zastanawiając się nad zmianą, jaka zaszła w nim samym. Rok temu zbladłby i posądził maga o brak szacunku dla bogów, jeśli nie o bluźnierstwo.

An'desha uśmiechnął się.

— Dobrze. W końcu się roześmiałeś. Powinieneś więcej się śmiać, nie robiłeś tego chyba od wielu dni. Dlaczego nie chodzisz już do „Róży Wiatrów” z Natoli i innymi studentami? Byłem tam wczoraj, tęsknią za tobą.

— Chciałbym — odparł z żalem Karal. — Ale nie mam czasu. Spełniam obowiązki swoje i Ulricha. Muszę nauczyć się wszystkiego o protokole, ale nie mogę poświęcić na to roku — potrząsnął głową, a Florian ze współczuciem opuścił uszy. — Zaczęło się to zaraz po naszym powrocie z granicy i nadal trwa. Nie mogę być tylko figurantem, An'desha, muszę być prawdziwym posłem, niezależnie od tego, czy jestem do tego przygotowany, czy nie.

Zbyt prawdziwym — Florian trącił go nosem, więc Karal z roztargnieniem pogłaskał go. Znów miał dziwaczne uczucie niewidocznej dłoni położonej na swym ramieniu — pogłaskał ją z wdzięcznością.

— Weź pod uwagę choćby dzisiejszy dzień. Tylko dziś — mówił dalej. — Jeszcze nie skończyłem śniadania, kiedy przyszedł paż z wiadomością z granicy. Jest tam herold, który usiłuje rozwikłać spór pomiędzy ludem Grodów a grupą Karsytów zwących się, jeźdźcami pogranicza. Nikt nie chciał zaakceptować herolda jako rozjemcy, więc zrzuciono to na mnie. Musiałem natychmiast odpowiedzieć.

— I odpowiedziałeś? — zapytał An'desha z zainteresowaniem. — Umiałeś?

— Przynajmniej w tym wypadku tak. — Karal zrobił kwaśną minę. — Przypadkiem wiem o tych jeźdźcach więcej, niż bym chciał. Nie są lepsi od zwykłych bandytów, w dawnych czasach mieli po dwa komplety ubrań, valdemarskie i karsyckie, i napadali wioski po obu stronach granicy. Teraz, kiedy między Valdemarem a Karsem panuje pokój, nie mogą już tak robić, więc przerwali się na kradzież pojedynczych sztuk bydła i ograbianie domów, których mieszkańcy poszli na odpust do świątyni. — Zmarszczył czoło, odetchnął głęboko i uśmiechnął się lekko. — Usiłowali porwać samotne dziewczęta z ludu Grodów, ale zbyt czę-

sto nie mogli ich odróżnić od chłopców, a w obu wypadkach lepiej by im było wsadzić rękę w gniazdo os, niż dawać rodzinom powód do zemsty. Bez osłony straży z naszej strony granicy i przy wrzasku ofiar rzadko udawało im się umknąć przed żadnymi krwi wieśniakami.

— A o co poszło tym razem? — zapytał An'desha.

— Jak zwykle o bydło, które, jak przysięgał lud Grodów, należało do nich. Wiedząc to, co wiem, poradziłem heroldowi, aby sprawdził, czy uszy zwierząt są świeżo przekłute. Grodowi nie kolczykują zwierząt, gdyż w każdej wsi trzyma się je razem, Karsyci zaś robią to, bo, jak się obawiam, kradzież bydła mamy we krwi. Jeśli uszy były niedawno przekłute, bydło skradziono — i wszystko.

Opowiedz mu zakończenie, jest całkiem zabawne — odpowiedział Florian. Karal zachichotał.

— Odpowiedziano mi, że większość bydła miała świeżo przekłute uszy, lecz u około jednej trzeciej stada uszy przekłute z pewnością we wczesnej młodości. Wygląda na to, że lud Grodów miał ochotę na mały okup, przyznając się do całego stada, zamiast tylko do tych sztuk, które naprawdę ukradziono.

An'desha zaśmiał się.

— Opowiedz to Talii, pewnie się także ubawi.

— Masz rację, chyba tak zrobię. Z pewnością nie czuje ona zbyt wielkiego szacunku do swego ludu — westchnął. — Chciałbym, żeby wszystkie sprawy były tak łatwe do rozsądzenia. Jutro mam się spotkać z przywódcami niemal wszystkich wyznań i sekt w Valdemarze, żeby osądzić spór pomiędzy sektą wyznawców Vkandisa, osiadłą tu od czasów Vanyela, a kapłanami Słońca, którzy przybyli do Valdemaru w czasie wojny z Hardornem. Tym razem nikogo mój wyrok nie zadowolili.

An'desha westchnął współczująco.

— Nie chciałbym się tym zajmować. Pamiętam... — przerwał na chwilę. — Zauważyłem, że w sprawach religii logika, fakty i rozum nie mają żadnego znaczenia w porównaniu z emocjami. Niezależnie od tego, co jest, ludzie zawsze są przekonani, że powinno być odwrotnie.

— Chciałbym, żeby to nie była prawda. Mógłbym zgromadzić setki faktów na poparcie mojego argumentu, ale i tak ktoś to odrzuci, mówiąc, „bo ja w to nie wierzę”. Obawiam się, że przeciwko mnie będzie świadczył również mój wiek... — Z zazdrością spojrział na bielejące włosy maga. — Może powinieneś pójść tam za mnie. Albo jeszcze lepiej niech idzie Mroczny Wiatr. Siwe włosy będą bardziej szanowane niż czarne.

— Czemu nie pójść na całość i nie poprosić o to Śpiewu Ognia? — roześmiał się An'desha. — Już widzę twarze tych wszystkich poważnych kapłanów na widok Śpiewu Ognia wchodzącego w swojej wersji szat kapłana Słońca!

— A niech to! — Karal musiał się roześmiać na sam pomysł takiej przebie ranki. Kostiumy Śpiewu Ognia zawsze zwracały uwagę. — Kiedy zaś zacnie

mówić, tak ich oplącze siecią argumentów logicznych, nielogicznych, dogmatycznych i niemożliwych, że zapomną nawet własnego wyznania wiary!

— To również możliwe — zgodził się An'desha. — Szkoda, że nie możesz tego zrobić. Jestem pewien, że świetnie by się bawił.

— To prawdziwy biały demon — zachichotał Karal. — Wydaje mi się, że więcej radości przynosi mu bawienie się ludźmi i manipulowanie nimi niż cokolwiek innego.

— Nie powiedziałbym, że manipuluje ludźmi — zaprotestował An'desha. — Ale czasami lubi lekko prowokować tylko po to, by uzyskać określoną reakcję, a im bardziej dramatyczną, tym lepiej.

— Z pewnością ma talent do wywierania wrażenia — zgodził się Karal i westchnął. — Cóż, Florian rozwiązał problem zapamiętania tytułów na jutro, więc chyba uda mi się dzisiaj choć trochę odpocząć.

— Przyszedłem namówić cię na wyjście ze mną do „Róży Wiatrów” — powiedział An'desha z nadzieją. — Nie uważasz, że choć raz dwór może obejść się bez ciebie przy kolacji? Po południu w gospodzie piekli bułki z kiełbaskami, a słyszałem także, że nowy żółty ser jest wyśmienity.

— Demon! Wiesz, że dla sera i bułek z kiełbaskami oddam wszystko! — Były to dania najbardziej przypominające Karalowi gospodę, w której się wychował, i An'desha doskonale o tym wiedział. Rzucił błagalne spojrzenie Florianowi. — Czy chociaż raz nie mógłbym się wykręcić?

Florian nie był nieczuły na to, co sam nazwał „Karalowym spojrzeniem zbłąkanego psiaka”. Potrząsnął głową i poddał się bez walki.

Dopilnuję tego — obiecał. — Nawet jeśli będę musiał skłamać i powiedzieć, że jesteś ze mną. Ale lepiej idź od razu, zanim zdarzy się coś, co ci przeszkodzi.

„Róża Wiatrów” była gospodą niepodobną do żadnej innej w Przystani, a może nawet w całym Valdemarze. Nie chodziło nawet o jedzenie — dobre, ale też niewyszukane — ani o napoje, zupełnie przeciętne, ale o klientów.

Na terenie pałacu znajdowały się trzy kolegia — heroldów, uzdrowicieli i bardów — ale istniało także czwarte, nieoficjalne. Jeśli zajrzałoby się do którejkolwiek klasy w czasie zajęć, można było zauważyć cztery kolory uniformów. Szary oznaczał ucznia herolda, rdzawo-brązowy — przyszłego barda, jasnozielony — młodego uzdrowiciela. Natomiast błękitny uniform oznaczał studenta „bez przydziału”. Najczęściej były to dzieci dworzan, którzy woleli sprowadzić swe rodziny na dwór, niż zostawiać je w rodzinnych posiadłościach. Od tych studentów, chodzących do wszystkich trzech klas, wymagano noszenia błękitnych uniformów, chociaż w przeszłości nie zawsze tak było. Jednak zawsze istniała wśród nich grupka uczniów wywodzących się z niższych warstw, którzy ze względu na zdolności czy inteligencję postanowili zdobyć najlepsze wykształcenie w Valdemarze.

Mieli oni zwykle mecenasa na dworze lub w kolegium bardów, heroldów albo uzdrowicieli. Większość z nich należała do jednej z dwóch grup: naukowców lub rzemieślników.

Ci ostatni po ukończeniu nauki pójdą w świat, do Przystani i dalej, by projektować i budować mosty, młyny, drogi, instrumenty pozwalające dokładnie mierzyć ziemię albo odnaleźć kierunek w podróży — lista możliwości była tak długa, jak wielka była wyobraźnia przyszłych konstruktorów.

Oni właśnie najczęściej spędzali wolny czas w „Róży Wiatrów”.

Podobnie jak i mistrzowie — nauczyciele w kolegiach oraz ci z konstruktorów, którzy mieszkali w Przystani. „Wolny czas” to pojęcie względne, gdyż o każdej porze można było w gospodzie spotkać ludzi pracujących nad konstrukcją nowego młyna czy projektem na zajęcia, planujących system nawadniania albo omawiających wyniki ostatniego egzaminu. . .

. . . Lub też szukających sposobu połączenia magii z logiką i zażegnania niebezpieczeństwa magicznych burz.

Stworzenie magicznych falochronów było w równej mierze zasługą studentów i nauczycieli z „Róży Wiatrów”, jak magów, których moc pozwoliła je postawić. Gdyby nie oni, zapewne nie powstałyby żadne falochrony. Pomysł był nowatorski, a magowie przywykli do korzystania ze starych, sprawdzonych metod postępowania.

Kiedy Karal przybył do Przystani, zaopiekowała się nim córka herolda-przewodnika, który zajmował się Karalem i jego mistrzem w drodze z granicy karস্যkiej. Młoda Natoli, należąca do studentów-rzemieślników, zabrała Karala do „Róży Wiatrów”, gdyż wiedziała, że ludzie przyzwyczajeni do kwestionowania każdej zasady ocenią przedstawiciela nienawidzonego w Valdemarze narodu na podstawie tego, kim rzeczywiście jest, a nie — skąd pochodzi. Okazało się to bardzo szczęśliwym pomysłem, kiedy bowiem na Valdemar spadły magiczne burze, Karal uznał, że ci ludzie, kierujący się logiką i szukający nowych rozwiązań, najlepiej poradzą sobie z nieznanym dotąd problemem i być może znajdą jego rozwiązanie.

Czasami najważniejsze w próbie znalezienia rozwiązania jest zmuszenie ludzi, by przemyśleli zadanie.

Po raz pierwszy magowie porozumieli się z rzemieślnikami, co dało zaskakujące rezultaty.

Niestety Karal nie mógł przyjrzeć się dokładniej skutkom owego porozumienia, gdyż nowe obowiązki odciągnęły go od gospody, przyjaciół i Natoli. Teraz obawiał się, że Natoli poczuje się urażona jego długą nieobecnością. Relacje między nimi rozwijały się w kierunku czegoś więcej niż przyjaźń i Natoli mogłaby pomyśleć, że Karal usiłuje się wycofać.

Zatłoczona gospoda to niezbyt stosowne miejsce na tłumaczenie się przed kimś, kto czuje się urażony i zły — ale to lepsze, niż nie widzieć jej wcale.

I głównie z tego względu, a nie z powodu kiełbasek i sera, Karal zgodził się pójść tego wieczora do „Róży Wiatrów”.

Nie wiedział, na ile An'desha zdaje sobie sprawę z jego odczuć. Shin'a'in świetnie umiał zachować swoje myśli wyłącznie dla siebie, jeśli mu na tym zależało, a nieco odmienny wygląd oczu utrudniał odczytanie ich wyrazu. Z drugiej strony, An'desha był także przyjacielem Natoli i dziewczyna mogła mu się zwierzyć.

„Nawet jeśli nie — pomyślał, kiedy szli krętymi uliczkami miasta ku stojącej pomiędzy magazynem a warsztatem zegarmistrza gospodzie — przez jeden wieczór dobrze będzie stać się znowu tylko Karalem, a nie Jego Ekscelencją posłem Karsu.” Zmrok zapadł wcześniej, częściowo z powodu dużego zachmurzenia, i zrobiło się jeszcze zimniej niż za dnia, choć nie było wiatru. Ciemność wydawała się gęsta, jakby połykała wszelkie światło. Karal cieszył się zarówno ze swego ciepłego płaszcza, jak i z zapalonych latarni ulicznych.

Skręcili za róg i w końcu wyszli na brukowaną uliczkę w dzielnicy kupieckiej. „Róża Wiatrów” stała w środku rzędu domów. Już z daleka można było ją rozpoznać po gwarze rozmów. Podobno zegarmistrz mieszkający obok był głuchy jak pień; Karal miał nadzieję, że to prawda, gdyż inaczej biedak nigdy nie mógłby się w nocy wyspać.

Sądząc z dobiegających z wewnątrz odgłosów, gospoda była pełna, jak zwykle w wieczór po pieczeniu bułek z kiełbaskami. Budynek szczylił się rzeźbionymi drzwiami oraz szyldem z wizerunkiem róży wiatrów, które oświetlały pochodnie. Karal usunął się w tył, nagle onieśmielony, więc An'desha sięgnął po brązową kłamkę i otworzył drzwi.

Buchnęła na nich kakofonia dźwięków; Karal, ogłuszony, poczuł ukłucie tęsknoty. Nic się nie zmieniło — wszystko wyglądało dokładnie tak jak pierwszego wieczoru, kiedy przyprowadziła go tutaj Natoli.

Stoły obsiedli studenci, zajęci jednocześnie jedzeniem i rozmową, wymachujący bułkami, układający modele z kubków i talerzy ku niezadowoleniu tych, którzy usiłowali korzystać z owych naczyń. Same stoły nakryto szarym papierem, gdyż w zapale dyskusji studenci często ilustrowali swojej wywody, rysując po wszystkim, co wpadło pod rękę, niezależnie od tego, czy powierzchnia nadawała się do rysowania, czy nie. Siedziało tu także kilku nauczycieli w otoczeniu swych uczniów, pomagając im w wykonaniu zadania na zajęcia. Reszta mistrzów zajmowała izbę na tyłach gospody zarezerwowaną tylko dla nich. Student kończył naukę, kiedy zapraszano go na posiłek do owego sanktuarium, nie było bowiem specjalnej ceremonii końca studiów i rozpoczęcia życia zawodowego. W tym kolegium istnieli mistrzowie, ale nie było grupy czeladników ani wędrowców.

Gwar trwał, kiedy drzwi zamknęły się z trzaskiem, a Karal przez chwilę stał nieruchomo, przyzwyczajając uszy do hałasu, a oczy do światła. W „Róży Wiatrów”, jako jednej z nielicznych gospod, światło było równie ważne jak napoje,

gdyż goście w czasie jedzenia często pracowali. Oświetlenie głównej izby wręcz zaćmiewało salę tronową w pałacu. Po wejściu z ciemności panujących na ulicy oczy musiały się przez chwilę przyzwyczajać.

Jednak kiedy tak stali, a Karal usiłował dojrzeć, czy Natoli i jej koledzy siedzą na swoim stałym miejscu, rozmowy nagle przycichły. Siedzący milkli, widząc gości, i tręcali tych, którzy jeszcze ich nie zauważyli. Karal przestąpił niepewnie z nogi na nogę; po chwili zapadła kompletna cisza.

Nikt się nie poruszył. Nagle po prawej stronie wstała osoba siedząca dotąd tyłem do drzwi, odwróciła się i spojrzała nad głowami reszty.

Była to Natoli. Przez chwilę Karal miał ochotę uciec. „Jest na mnie zła i wszyscy o tym wiedzą. . . uraziłem ją, a teraz oni mnie nienawidzą. Panie, co zrobić?”

— Karal? — odezwała się wyraźnie, a jej wyrazista twarz rozjaśniła się powitalnym uśmiechem. Natoli nie była ładna, ale jej twarz miała w sobie tyle życia i charakteru, że uroda stawała się zbędna. — Niebiosa, w końcu dali ci wolny wieczór! Nareszcie! Chodź tutaj! Patrzcie, to Karal!

Gwar wybuchł ponownie, tym razem przeważały w nim okrzyki powitania, przyjazne docinki i propozycje piwa, jedzenia albo i jednego, i drugiego. Lawirującego między stołami w ślad za An'deshą Karala zatrzymywały serdeczne poklepywania i kuksańce. Okazało się, że nie tylko wrogowie, ale i przyjaciele Natoli mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie!

Nie udało mu się uniknąć przyjęcia pełnych talerzy i przepelnionych dzbanków, które przelewały się za każdym razem, kiedy ktoś obdarzył go kolejnym klepieniem. Przepraszał co chwilę ale nikt nie zwracał na to uwagi. A może goście byli przyzwyczajeni do wędrujących dzbanków z piwem.

Jak zwykle stół Natoli był zatłoczony, ale znalazło się jeszcze miejsce dla dwóch nowych gości. Studenci stłoczyli się jeszcze bardziej i An'desha z Karalem usiedli po obu stronach dziewczyny. Kiedy Karal spoczął, Natoli wzięła bułkę z talerza, który przyniósł, w zamian oferując mu ser.

Karal podzielił się przyniesionym łupem z tymi, którzy nie mieli przed sobą nic do jedzenia, i w czasie, kiedy sadowili się na nowych miejscach, pozbył się całkowicie wcześniejszych obaw.

— Kiedy wszedłeś, wyglądałeś jak uczeń bardów przed bardzo wrogą publicznością — odezwała się rzeczowo Natoli. — Jakies kłopoty?

— Chyba bałem się, że obraziłem was, nie przychodząc tu tak długo — powiedział trochę nieśmiało. — Mogliście pomyśleć, że teraz, kiedy zostałem ambasadorem, uważam się za zbyt dumnego. . . albo coś w tym rodzaju.

Podniosła rękę, jakby miała zamiar uderzyć go w ucho.

— Bądź rozsądny. Mój ojciec jest heroldem, pamiętasz? To, że nie przebywam na dworze, nie oznacza, że nie wiem, co się tam dzieje. Obciążono cię znacznie większą liczbą spotkań i zebrań, i wszyscy o tym wiedzieliśmy.

Karal odprężył się.

— Nie chciałem, byście myśleli, iż zapominam o przyjaciółach.

— Hm. . . — Z uśmiechem zabrała się do jedzenia. — Pracowałeś, ale i my nie próżnowaliśmy. Chociaż większość ludzi w Valdemarze uważa problem burz za rozwiązany, my wiemy, że tylko opóźniliśmy katastrofę. Ciągłe usiłujemy znaleźć ostateczne rozwiązanie. Mistrz Levy uważa, że ono nie istnieje i że powinniśmy jedynie zastępować jedną prowizorkę drugą, gdyż nie mamy czasu na przemyślenie wszystkiego do końca i opracowanie naprawę pewnego sposobu obrony.

— Czy magowie o tym wiedzą? — zapytał Karal, czując zimny dreszcz. „Kolejne czasowe rozwiązania? Czy w ten sposób nie wystawiamy się na niebezpieczeństwo pomyłek i ich skutki?”

— Magowie wiedzą — zapewnił An'desha. — W tej chwili próbują odciążyć umysły od myślenia, zajmują się jedynie śledzeniem przebiegu linii energetycznych, które przekazują później grupie mistrza Levy'ego do analizy. Chyba niektórzy mają nadzieję, że jeżeli będą starali się nie myśleć, odpowiedź na pytania sama wyskoczy z ich głów w całkowicie uformowanej postaci.

Natoli prychnęła, ale nie skomentowała jego słów.

— To nie takie głupie — zauważył ktoś. — Nie chodzi mi o pobożne życzenia, ale o to, że kiedy zbyt usilnie stara się dopasować do siebie fakty, za nic nie chcą się ułożyć. Natoli, musisz przyznać, to się zdarza nawet nam!

— No dobrze — przyznała Natoli niechętnie. — Na przykład Kletiusz i jego wanna. Ale magowie są tak pewni, że potrafią znaleźć rozwiązanie. . . czasami mam ochotę utopić za to ich wszystkich!

— Pomówmy o czymś innym — zaproponował Karal. — O czymś, co nie ma związku z magami, burzami i Imperium. Coś ciekawego?

Przy końcu stołu podniosła się czyjaś ruda głowa.

— Para! — zawołał student. — Oto, co jest ciekawe! To niesłychane, ile rzeczy można z nią zrobić! Komu potrzebna magia? Para uratuje świat!

— Nie posuwaj się za daleko — ostrzegła Natoli. — Zanim ludzie zaczną jeździć napędzanymi parą wozami, musimy rozważyć kilka problemów. Do ogrzania wody potrzebujesz paliwa, spalanie powoduje wydzielanie dymu, a co się stanie, jeśli w powietrzu znajdzie się zbyt wiele spalin? W Przystani już mamy kłopoty z sadzą pochodzącą z pieców i kuchni.

— Ale jeśli gorącą wodę z napędzanych parą młynów i fabryk wykorzystamy do ogrzewania domów, znikną małe piece — argumentował rudowłosy student. — W ten sposób możemy nawet rozwiązać problem sadzy.

— Nie wtedy, kiedy małe piece kuchenne zastąpisz jednym wielkim, ogrzewającym maszynę — wtrącił ktoś inny. — Natoli ma rację. Naprawę trzeba się zastanowić nad tym, co robimy, zanim wpakujemy się w coś, czego nie potrafimy powstrzymać.

— Zaczekajcie — przerwał Karal. — Wozy parowe?

— Jeden z mistrzów wymyślił napędzaną parą pompę do osuszania kopalni. Ktoś inny zauważył, że na tej samej zasadzie można skonstruować wóz, jeśli doda się koła zamiast nieruchomego zbiornika — wyjaśniła Natoli. Wyrwała komuś z ręki kawałek węgla i zaczęła rysować na papierze pokrywającym blat stołu. — Widzisz — tu jest zbiornik, przed paleniskiem, tutaj powstaje ciśnienie, które kieruje się do cylindra — tłok przesuwa się do tyłu, napędza koło. . .

Przyglądając się rysunkowi, Karal zaczął pojmować, o czym mówi dziewczyna.

— Ale po co w ogóle wozy parowe? — zapytał. — Czy konie nie wystarczą?

Oczy Natoli rozbliły, a Karal uświadomił sobie, że ten temat jest jej ukrytą pasją.

— Ale maszyny będą jeździły szybciej niż konie — odpowiedziała. — Nigdy się nie zmęczą, mogą przewozić większe ciężary, a zatrzymają się jedynie z braku paliwa albo wody.

— Hm. . . — Mógł wyobrazić sobie, gdzie takie maszyny byłyby przydatne. W górach, gdzie drogi były zbyt ciężkie dla koni. Albo wtedy, kiedy chciało się jak najszybciej przewieźć towary lub żołnierzy. Oczywiście korzystanie z takich maszyn będzie możliwe tylko w terenie, na którym można budować drogi, co w gruncie rzeczy bardzo ogranicza ich zasięg. Regularne korzystanie z maszyn wymaga utrzymania dróg w dobrym stanie, a to jest raczej kosztowne. . .

— Myślmy o specjalnych szynach albo trasach — ciągnęła Natoli, gestykułując trzymaną w dłoni bułką. — Jak wózki w wielkich fabrykach wytopu żelaza. Problem w tym, że do tego potrzeba wielkich ilości metalu, a skąd go wziąć? Kamienne nawierzchnie szybko się zetrą od kół. Po rozwiązaniu jednego problemu pojawia się dwadzieścia nowych. — Nie wyglądała jednak na zniechęconą. — Wiemy już, że możemy używać większych wersji tej maszyny w miejscach, gdzie nie pracują wiatraki i nie ma wody dla młynów wodnych. Możemy używać wody do ogrzewania domów, a nawet pałacu. To dopiero będzie widok!

— To dopiero będzie widok, kiedy rozpoczniecie kopanie rowów na terenach pałacowych i będziecie wszystkim przeszkadzać — wtrącił sarkastycznie An'desha. Odsunął z czoła kosmyk długich włosów, odstaniając zmrużone od uśmiechu oczy. — Nie wyobrażam sobie, jak królowa mogłaby to wytrzymać! Zwłaszcza w najbliższej przyszłości.

— O, nie mam zamiaru zaczynać już jutro — powiedziała lekko Natoli, machając dłonią. — Może kiedyś, w przyszłości. Zresztą przypomnij sobie, jaki bałagan panował przy urządzaniu nowych apartamentów i doprowadzaniu ciepłej i zimnej wody do komnat. Działo się to w ciągu kilku pierwszych lat panowania Selenay i nie słyszę, żeby ktoś na to teraz narzekał!

— Punkt — przyznał An'desha. — Jednakże wolałbym, żebyście wymyślili inne źródło ciepła niż ogień. Paleniska nie są zbyt czyste.

— Może magia? — rzekł Karal bez zastanowienia i zaczerwienił się, kiedy

wszystkie oczy zwróciły się na niego. — Nie znam się na tym, tylko tak myślę... — zająknął się. — Nie zwracajcie na mnie uwagi, mówię od rzeczy.

— Ale to ma sens — odrzekła Natoli, której oczy rozjarzyły się entuzjazmem. — Praktyczne zastosowanie magii! To może być nawet odpowiedź na moje główne zastrzeżenie.

Rozmowa skierowała się na tematy magicznych źródeł ciepła; główną rolę odgrywał w niej An'desha, głośno rozmyślając nad taką organizacją pracy, by obecność maga nie była konieczna do funkcjonowania całego urządzenia. Karal mógł przypatrywać się Natoli, ile chciał. Jej twarz ożywiała się w trakcie dyskusji, kiedy niecierpliwie lub z entuzjazmem odrzucała do tyłu włosy.

— Zatem — rzekł An'desha, kiedy zamknęły się za nimi drzwi gospody, odcinając częściowo hałas, który ani trochę się nie zmniejszył. — Czujesz się odprężony?

Karal przystanął, zastanowił się i zamrugał zaskoczony.

— Hm... tak!

An'desha zaśmiał się.

— Świetnie. Miałem nadzieję, że tak się stanie. Zastanawiasz się zapewne, dlaczego wyciągnąłem cię stamtąd po odejściu Natoli? — Ruszył szybko ulicą, a Karal poszedł za nim.

— Trochę — przyznał, wciągając zimne, wilgotne powietrze. — Choć przyznaję, że kiedy odeszła, a rozmowa zeszała na matematykę i wykresy, poczułem się nieco znudzony.

— Teraz idziemy do ekele. Śpiew Ognia utonął po uszy w dyskusji z członkami Tayledras, Shin'a'in i k'Leshya przebywającymi w Przystani, więc będzie nieobecny. Ja nie biorę w tym udziału, gdyż, jak się dowiedziałem, nie jestem na tyle Shin'a'in, by zadowolić posła. Nie lubi ludzi mieszanego pochodzenia.

— Hm, nie dziwi mnie to. Wydaje się w ogóle nie lubić ludzi — jęknął Karal. — Cóż, ja także go nie lubię, więc jesteśmy kwita.

Szedł w milczeniu, zatopiony w myślach, po czym zwrócił się do An'deshy.

— Co zamierzasz robić w ekele?

— Najpierw zanurzysz się w gorącej kąpieli i wypijesz filiżankę odprężającej herbatki Shin'a'in, a potem pójdziesz do siebie i zaśniesz. — W ciemności Karal nie mógł dojrzeć twarzy maga, ale z tonu jego głosu wywnioskował, że nie powinien się sprzeciwiać. — O ile dobrze pamiętam, sam zastosowałeś wobec mnie tę receptę, więc będzie to jedynie rewanz.

— To dlatego stałeś się moim doradcą? — zapytał Karal nie całkiem żartobliwie. Dzisiejsze popołudnie i wieczór dowiodły, że An'desha osiągnął wewnętrzny spokój, którego można było mu pozazdrościć.

„Gdybym ja znów mógł być tak pewny słuszności moich racji!”

— Rewanż? O, to tylko próba spłaty długu — odparł An'desha z ciepłą nutą w głosie. — Wyświadczyłeś mi wiele dobra, i to nie tylko dlatego, że była to twoja powinność. Byłeś życzliwy, kiedy mogłeś być obojętny. Na Równinach istnieje powiedzenie: „Każdy dar niesie nadzieję na odpłatę”.

Karal zastanawiał się nad tym, ale wciąż nie mógł nadziwić się spokojowi maga.

Na tym częściowo polegały jego kłopoty: pełnił obowiązki nie tylko pośta, ale i kapłana, a kapłan powinien być całkowicie pewny siebie i swoich przekonań. I kapłan, i poseł powinien być opanowany i spokojny.

Ale wymagano od niego, by decydował o tym, co jest herezją dla ludzi wyznających jego wiarę tu, w Valdemarze — wtedy jego własne przekonania załamwały się. Jak mógł osądzać, co jest herezją, kiedy raz po raz doświadczał, że to, co uznawał za absolutną prawdę, jest prawdą tylko w sensie relatywnym?

Choćby samo istnienie Gwiazdzistockiej Bogini An'deshy. Dla kapłana Słońca istniał jeden bóg — Vkandis; a przecież Karal przekonał się ponad wszelką wątpliwość, iż Gwiazdzistocka istniała i rządziła swym ludem dokładnie tak, jak Vkandis swoim.

Według zasad wiary, które wpajano Karalowi, sama myśl o tym była już herezją. Uczono go jednak starych zasad, a czasy bardzo się zmieniły.

Raz już uniknął podjęcia decyzji, co jedynie rozgniewało obie strony. Podejrzewał, że był to powód spotkania z przedstawicielami wszystkich religii Valdemaru. Nie mieli zamiaru tolerować kolejnej zwłoki.

Może pewny siebie i opanowany An'desha mógłby doradzić mu coś w tej sprawie, jak on sam doradził mu kiedyś?

— Czy chciałbyś posłuchać o pewnej sprawie, która mnie nurtuje? — zapytał, kiedy szli obok siebie pustymi ulicami w kierunku pałacu.

— Ty wysłuchiwałeś moich problemów — odrzekł An'desha. — Zatem mów. Nie obiecuję odpowiedzi, ale może zdołam ci pomóc.

Karal wyjaśnił mu sytuację, w jakiej się znalazł, oraz opisał własną niepewność i niechęć do określania czegokolwiek jako herezji.

— Nie wiem, czy w ogóle istnieje jakaś słusność i niesłusność. Tymczasem postawiono mnie na stanowisku osoby, która powinna to wiedzieć! Teraz wszystko wydaje mi się względne — dodał z wahaniem.

An'desha zaśmiał się.

— Gdybym teraz wbił ci nóż w plecy, nie byłoby to relatywnie złe albo dobre, prawda?

Karal musiał się roześmiać.

— Z pewnością!

— Zaczynij zatem od tego — zaproponował An'desha. — Czytałeś stare księgi, które przywiózł mistrz Ulrich — te, które powstały przed zdeprawowaniem kapłanów Słońca. Wiesz dobrze, co wtedy uznawano za herezję. Co więcej, skoro

masz te księgi i skoro uznaje je Solaris, możesz je cytować dla poparcia swego stanowiska. Zgadza się?

Z wilgotnych kamieni bruku podniosła się mgła, ale Karalowi wydało się, że mgła w jego umyśle właśnie się rozwiąła.

— Oczywiście, masz absolutną rację, co do słowa. To prawda — powiedział powoli. — Chyba chodziło o to, że wiedziałem, co powiedzieć, ale nie umiałem uczynić moich słów przekonującymi.

— I tak możesz ich nie przekonać — ostrzegł An'desha. — Ludzie, z którymi masz do czynienia, przypominają nowego posta Shin'a'in: są ograniczeni, za to święcie przekonani o swojej słuszności.

— To prawda, ale jeśli nie spodoba im się mój wyrok, każe im odwołać się do Solaris, a póki podążam za naukami mistrza Ulricha, mogę mieć nadzieję, że ona mnie poprze. — Karal czuł się coraz lepiej. — Zapewne nie będą mnie zbytnio lubili, ale nie obchodzi mnie to. I tak wystarczająco wielu ludzi w Valdemarze już mnie nie lubi, kilku więcej nie zrobi różnicy.

— Tak trzymaj! — przyklasnął An'desha. — Tak jest o wiele lepiej. Czy teraz jesteś gotowy na gorącą kąpiel?

— Już i tak tkwię po uszy w kłopotach, mogę się więc zanurzyć i w gorącej wodzie.

— Ostrożnie ze słowami — uśmiechnął się An'desha. — Bo znów zacnie padać.

Plecy i twarz Karala całkowicie zeszywniały. Bolały go ramiona i choć starał się wyglądać na zainteresowanego, w duchu ziewał z nudów. „Nic, tylko gadanie!” — pomyślał, rozglądając się dyskretnie po Wielkiej Radzie i widząc te same od wielu dni twarze pełne przekonania o własnej ważności. „Nigdy nic nie robimy, tylko ciągle o tym mówimy!”

Valdemarska Wielka Rada była nową instytucją. Utworzono ją po to, by królowa Selenay mogła zająć się wewnętrznymi sprawami kraju bez obawy, że każdy poseł, mistrz rzemieślnik, członek gildii czy sekretarz któregokolwiek z nich uzna za stosowne wypowiedzieć własne zdanie. W takiej sytuacji nie mogła podjąć żadnej decyzji, za to wszyscy plotkarze w królestwie wiedzieli o wewnętrznych problemach kraju. Stara komnata zebrań rady znów zaczęła pełnić funkcję, dla której ją przeznaczono, a Wielka Rada zbierała się w dużej sali audiencyjnej, którą przystosowano do nowych potrzeb.

Oczywiście każdy uczestnik spotkań miał własne wyobrażenie protokołu, co oznaczało, iż królowa i jej doradcy musieli wymyślić sposób rozsadzenia gości, który zaspokoi ich wymagania. Wstawiono nowy stół, w kształcie kwadratowej podkowy, wokół którego rozmieszczono siedzenia dla tych wszystkich, którzy byli zainteresowani sytuacją w Imperium, magicznymi burzami albo jednym i dru-

gim. Stół stał pośrodku pustej komnaty, a na podwyższeniu, z którego niegdyś przemawiano, teraz ustawiono wielką mapę strategiczną Valdemaru, Hardornu, Karsu, Rethwellanu, ziem Tayledrasów na zachodzie, Równin Dorisza i Ceejay na południu. Gryfy, jeśli przyszły na spotkanie, zajmowały środek podkowy, podczas gdy reszta gości siadała wokół. Nie było najważniejszego ani najmniej ważnego miejsca; każdy mógł czuć się równy reszcie lub od nich znaczniejszy, zgodnie z własnymi upodobaniami.

Chociaż komnata była dobrze oświetlona świecami umieszczonymi w świecznikach wiszących u sufitu i na ścianach, panował w niej chłód. Dwa pokryte kaflami piece w przeciwległych krańcach musiały wystarczyć do jej ogrzania. Biała marmurowa posadzka, białe ściany i sufit potęgowały wrażenie chłodu. Karal ubierał się ciepło na spotkania i przysparzał paziom pracy, prosząc ich o dolewanie herbaty, która służyła mu głównie do ogrzania dłoni. Nie był jedyną osobą, która uciekała się do takich środków — Śpiew Ognia, jak zauważył, przynosił ze sobą mufkę i ogrzaną cegłę, którą wkładał do specjalnego podnóżka. Karal rzucał mu zazdrosne spojrzenia, starając się rozruszać zlodowaciałe palce u stóp.

Książę Daren występował jako przedstawiciel królowej, pozwalając jej zająć się krajem i odciążając od konieczności uczestniczenia w nie kończących się zebraniach. Zebraniach, na których niemal nic nie ustalono.

„To niesprawiedliwe” — pomyślał Karal, znów rozglądając się wokół. — „Nikt dotychczas nie zrobił nic podobnego. Musimy się do siebie przyzwyczaić, a to wymaga czasu. Musimy nauczyć się współpracować, zanim do czegokolwiek dojdziemy.”

A to znaczyło tyle, że seneszał, lord marszałek, zwierzchnicy trzech kręgów i inni oficjalni przedstawiciele często musieli uczestniczyć w kolejnych spotkaniach po zakończeniu obrad Wielkiej Rady. Każdy zaś urzędnik, który chciał poczuć się ważny — albo uważał, iż może się przydać — usiłował wtrącić swoje trzy grosze. W ten sposób od czasu postawienia falochronów każde zebranie polegało na tym, że wszyscy po kolei rozwodzili się nad tym, jak ich prywatne interesy ucierpiały na skutek burz, co się zdarzy potem i co oni na ten temat myślą. Przy czym ci, którzy przekazywali najbardziej istotne informacje, zwykle mówili najkrócej.

„Powinno się znaleźć sposób na ukrócenie tych bredni. Może zacząć liczyć czas? Albo ograniczyć ilość słów i egzekwować wymóg za pomocą maczugi?”

Zamiast siedzieć na zebraniu, Karal wolałby robić coś naprawdę pożytecznego — choćby przerysowywać przebiegi linii energetycznych dla rzemieślników. Przynajmniej czułby, że na coś się przydaje, a nie siedzi tutaj, powstrzymując się od zaśnięcia, co przychodzi mu z coraz większym trudem.

Do tej pory wysłuchał ośmiu długich przemówień — wszystkie w różnych słowach wyrażały jedno: „O ile możemy stwierdzić, falochrony działają i sytuacja wraca do normy”. Teraz przemawiał dziewiąty prelegent. Był to przedstawiciel

hodowców krów — do tej pory zaś wypowiadali się przedstawiciele hodowców owiec, ogrodników, rybaków znad jeziora Evendim, zawodowych myśliwych, hodowców drobiu, rolników uprawiających zboże i warzywa. Każdy z nich długo i zawile udowadniał, iż właśnie jego grupa ucierpiała najbardziej od magicznych burz, ale co mieli zamiar przez to osiągnąć, Karal nie potrafił odgadnąć.

„Dlaczego mieszkańcy wsi nie powołają jednej osoby, która będzie reprezentować ich wszystkich? I dlaczego nikt nie potrafi podać nam konkretnej informacji zamiast bezsensownej paplaniny?”

Zacisnął palce na kubku z herbatą i postanowił dowiedzieć się, skąd Śpiew Ognia zdobył podnózek z gorącą cegłą.

„Mogą przecież przekazać tym, którzy ich wysłali, że ich skargi i kłopoty zostały wysłuchane i zapisane” — pomyślał z wahaniem. „Jakby to była prawdziwa różnica! Pewnie lepiej się czują ze świadomością, że ktoś przynajmniej wie o ich trudnościach.” O wiele więcej pożytku przyniosłaby próba porównania tegorocznych szkód z poprzednimi złymi latami, chociażby z czasu, kiedy magiczne działania Ancara z Hardornu psuły pogodę na całym obszarze. Wtedy posłowie obcych państw znalazłyby różnicę między stanem faktycznym a tym, co powinno być, i na pewno zaoferowałyby konkretną pomoc, gdyby sytuacja tego wymagała. Wszyscy mogli porównać opisy szkód poczynionych w całym rejonie i sprawdzić, czy istnieją lokalne różnice. Plany opracowane przez mistrza Levy’ego zostały oparte na informacjach zebranych głównie w Valdemarze. Zakładano, iż ogólny schemat powstawania szkód jest wszędzie ten sam. A jeśli nie?

Karal usiłował wysunąć swą propozycję, ale usłyszał jedynie, że zebranie tych danych zajmie dużo czasu i nie jest pewne, czy wyniki zdołają usprawiedliwić podjęcie takiego wysiłku? Próbował wyjaśnić, dlaczego może się to okazać przydatne, ale nikogo nie przekonały jego argumenty.

W końcu przemawiający mężczyzna przestał nudzić. Karal i inni dopiero po chwili zorientowali się, że naprawdę skończył, a nie tylko przerwał dla złapania oddechu, jak wiele razy przedtem.

Książę Daren wspaniałomyślnie powstrzymał się od westchnienia ulgi i spojrział na plan obrad. Choć nadal był przystojny jak posąg bohatera, ostatnio coraz bardziej uwidaczniał się jego wiek; w jego włosach przeświecało równie dużo srebrnych nitek, jak we włosach An’deszy. Napięcie kilku ostatnich lat odbijało się i na nim, i na królowej Valdemaru. Pod oczami księcia pokazały się zmarszczki. Podobnie jak królowa, książę jako herold miał na sobie odmianę bieli heroldów.

— Heroldzie kapitanie Kerowyn, twoja kolej — przemówił książę i chociaż uczestnicy spotkania siedzący za kwadratowym stołem byli zbyt dobrze wychowani, by okazać ulgę, teraz jednak zaczęli się prostować w krzesłach i poprawiać, okazując przyływ zainteresowania. Kerowyn przynajmniej nie będzie mówić o niczym — jej raporty były krótkie, konkretne i ściśle trzymały się tematu.

Kerowyn, rówieśnica Darena, wyglądała, jakby nie miała określonego wieku. Jej włosy, zawsze splecione w warkocz, były tak jasne, że nie sposób było zauważyć w nich siwych pasem. Zmarszczki, nawet jeśli się pojawiły, nikły pod opalenizną, gdyż Kerowyn nie należała do komendantów sprawujących swe funkcje zza biurka. Zaczęła karierę jako zwiadowca najemników i w polu czuła się najlepiej. Na jej szczupłym, umięśnionym ciele nie było grama zbędnego tłuszczu, a każdy uczeń herold przekonał się, ku swojemu utrapieniu, że kapitan miała lepszą kondycję niż on. Kiedy nie zajmowała się trenowaniem własnych oddziałów, uczyła walki młodych heroldów, i niebiosa niech pomogą głupcom, którzy uważali, że jako kobieta będzie łatwiejsza do pokonania. Od czasu do czasu trenowała również Karala, dlatego doskonale znał on jej umiejętności.

W zapadłej natychmiast pełnej szacunku ciszy Kerowyn wstała i z jedną ręką na biodrze, w drugiej trzymając zwój papierów, chrząknęła ostrożnie.

— Cóż, nie będą wracać do spraw oczywistych. To, co nazywamy falochronami, najwyraźniej działa. Magowie mówili mi, że zamiast odbijać fale i kierować w inne miejsca, ich urządzenia załamują je i częściowo pochłaniają. To dla nas dobra wiadomość, ale do Hardornu nadal burze docierają z pełną siłą.

Rozległy się śmiechy. Kerowyn zmarszczyła brwi.

— Jako strateg twierdzę, że nie jest to dla nas sprzyjające. Jeśli sytuacja wyglądała poprzednio źle — a tak było — to teraz jest jeszcze gorsza. Siły Imperium w Hardornie mogą popaść w rozpacz, a zrozpaczeni ludzie zdolni są do wszystkiego. Chcę przypomnieć, że oni mogą winić nas za magiczne burze. Już raz usiłowali rozerwać przymierze. Mogą zdecydować się działać bardziej bezpośrednio.

Zadowolone twarze wokół stołu spochmurniały. Nawet osłabiona, armia Imperium nadal przewyższała liczebnością wszelkie siły, jakie mogłoby zebrać przymierze — o tym wiedzieli wszyscy. Państwa wchodzące w skład sojuszu od lat toczyły walkę z królem — odszczepieńcem, Ancarem z Hardornu, i ich siły niemal się wyczerpały. Obie strony poniosły olbrzymie straty, gdyż Ancar zaciągał do wojska każdego, kogo mógł znaleźć, i posyłał go na front, za pomocą magii kontrolując i zmuszając do walki. Chciał zagarnąć Valdemar i Kars choćby po stosach trupów własnych ludzi. Teraz już go nie było, ale...

— Jedyne sposobem upewnienia się, że nas nie zaatakują, to uderzenie — ciągnęła Kerowyn rzeczowo. — Jak wiecie, najlepszą obroną jest atak. Moi ludzie donoszą, że cesarscy ściągnęli wszystkie siły do miasteczka zwanego Shonar. Chyba zamierzają stworzyć tam stały garnizon. W ten sposób podsunęli nam dogodny cel. Ich morale jest niskie, wydaje się, że zostali odcięci od zapasów i Imperium. Zależą od magii, a w tej chwili jej nie mają. Według moich przypuszczeń ich największą troską jest teraz przetrwanie zimy. W związku z tym pytam was: czy powinniśmy skorzystać z ich osłabienia, czy jesteście gotowi poprzeć decyzję o ataku, co oznaczałoby wysłanie naszych oddziałów w samo serce Hardornu?

Połowa ludzi siedzących za stołem zaczęła mówić jednocześnie; druga połowa

siedziała z nieruchomymi twarzami, najwyraźniej zastanawiając się nad słowami Kerowyn. Jak zwykle, pierwsi odezwali się ludzie nie mający wielkiego znaczenia i najmniej znający się na rzeczy: przedstawiciele rolników, pasterzy, kupców, gildii, kapłani i im podobni. Pozostali — w tym posłowie, lord marszałek i seneszał — milczeli.

„Z drugiej strony — dlaczego nie?” — zastanawiał się Karal. „Dlaczego nie uderzyć teraz, kiedy armia Imperium znalazła się w kłopotach?” Poseł Shin’a’in, Jarim shena Pretara’sedrin, przemówił w chwili, kiedy Karal zaczął nad tym rozmyślać.

— To nasza szansa — odezwał się gwałtownie. — Niech kilka kolejnych burz powiększy zamieszanie i wtedy, kiedy będą marznąć i głodować, uderzymy! Zetrzyjmy ich z powierzchni ziemi! Jeżeli teraz zniszczymy całą armię, Imperium nigdy więcej nie odważy się nas zaatakować. Zemścimy się — i niech to będzie zemsta, którą zapamiętają na długo!

W pierwszym odruchu Karal chciał się z nim zgodzić. „Zamordowali Ulricha” — pomyślał z gniewem. „Zamordowali Ulricha i biedną Querę, zranili Mroczny Wiatr, Treyvana i innych, a przecież nawet nie walczyli z nami uczciwie! Wysłali agenta z magiczną bronią, by zabił, kogo się da — bez ostrzeżenia i bez powodu. Czy nie zasługują na to, by zgnieść ich jak robaki? Czy nie zasługują na to, by potraktować ich tak, jak oni potraktowali nas — jako nic nie znaczących, niegodnych nawet uczciwej walki? Czy krew Ulricha nie woła o pomstę?”

Ta myśl powstrzymała jego zapalczywość — ostatnią rzeczą, jakiej pragnąłby Ulrich, była zemsta. Propozycja Kerowyn oznaczała zemstę nie na tym, kto dokonał zabójstwa, ale na ludziach — żołnierzach — którzy zapewne nie mieli nawet pojęcia o tym, co się stało. Niegdyś Ulrich przyzywał demony i z radością z tego zrezygnował, kiedy Solaris wyjęła je spod prawa. Demony niemal nie miały mózgu i zbyt często, jak rój wypuszczonych na oślepie strzał, razem z winnymi zabijały niewinnych.

Ci żołnierze, zdesperowani, z dala od domu, nie byli prawdziwym wrogiem. Prawdziwym nieprzyjacielem był ten, kto wydał rozkaz wystrzelenia magicznej broni i wysłał zabójcę. W końcu złapali mordercę. Jaki sens miało poszukiwanie kolejnego winowajcy — założywszy, że główną odpowiedzialność ponosi dowódca owych oddziałów — i zaczajenie się na niego.

Inni dołączyli do Jarima, nawołując do podjęcia działania, lub spierali się z nim, przekonując, że lepiej poczekać na skutki ciężkiej zimy. Karal jednak siedział ze splecionymi dłońmi, zastanawiając się, co się stało — już nie potrafił widzieć jak inni, co jest czarne i białe, dobre i złe.

Wiedział, kiedy to się zaczęło: coś się w nim zmieniło, kiedy przekroczył barierę na granicy Iftelu, i trwało nadal przez cały czas spędzony na odzyskiwaniu sił po powrocie. Na dnie umysłu, za każdym doświadczeniem, jak szum krwi w uszach, czaiło się uczucie, że został powitany przez coś niezwykłego. Karal

żył w czasach niezwykłych i zadziwiających, ale to uczucie absolutnie nie było właściwe widzowi obserwującemu wydarzenia. Karal był częścią, aktywnym uczestnikiem gry, czymkolwiek ona była; owo uczucie przekraczało wszystko, czego w ogóle doświadczył.

„Nie mogę nic na to poradzić: w każdej sytuacji muszę myśleć o obu jej stronach. Usiłuję to stłumić, ale nie potrafię zmienić sposobu mojego myślenia. Kiedy już zdobyło się wiedzę, nie da się wrócić do ignorancji. Myślę o tym, co czują inni. Nie umiem tego zmienić i nie sądzę, by Vkandis, Solaris albo Altra chcieliby tego. Ani Ulrich — daleko stąd, w ramionach Vkandisa.”

Jak na ironię to sam Ulrich posiał pierwsze ziarno, kiedy razem ze swym uczniem wjechał do Valdemaru. Ulrich zaczął zadawać wiele spokojnych, ale logicznych pytań, które zmusiły Karala do tego, by zaczął widzieć w nieprzyjaciółkach zwykłych ludzi, a nie anonimowy tłum. Dzięki cierpliwości Ulricha wiedział teraz, był wręcz przekonany, że nie istniało nic takiego, jak armia bezimiennych demonów na granicy Karsu. Byli to heroldowie i Towarzysze, rolnicy, mieszczaństwo, żołnierze królowej i zwykli cywile; ludzie podobni do tych, jakich znał od dziecka.

Teraz już nie umiał traktować wroga bezosobowo. Szerokie, ogólne pojęcie „oni” oznaczało ni mniej, ni więcej, jak tylko ludzi — i teraz zawsze już tak o nich myślał. Kiedy inni mówili o zmieceniu armii Imperium z powierzchni ziemi, Karal widział zwykłych wojowników cierpiących z powodu zimna i zwątpienia, zastanawiających się, czy jeszcze kiedyś ujrzą dom. Wyobrażał sobie nawet ich twarze, gdyż po kilku sezonach w polu twarze wojowników upodabniały się do siebie: zmęczone, nie ogolone, z bruzdami powstrzymywanego strachu i determinacji wokół oczu i ust.

„Oni” po prostu wykonywali to, czego od nich oczekiwano. Nie wiedzieli nic o Valdemarze. Kiedy przekroczyli granicę Hardornu, panowało w nim takie rozprężenie, że powitano ich jak wybawców. Ancar ciemniżył naród do tego stopnia, że ludzie woleli obcych najeźdźców, byleby mieć pewność, że skończą się jego despotyczne rządy. Teraz zapewne cesarscy zastanawiali się, dlaczego sytuacja tak się zmieniła. Znikło oparcie, jakie dawała im magia, zapewne też rozniosły się już plotki o utracie kontaktu z głównym dowództwem w Imperium. Atakowały ich dziwaczne, nieznanne istoty; mieli przeciwko sobie broń, której działania nikt nie pojmował.

Jeśli mieliby świadomość tego, że ich zwierzchnicy opłacali w Valdemarze płatnych morderców, być może niektórzy byliby nawet przerażeni. Na pewno czuli by niesmak, gdyż na ogół żołnierze z całego serca gardzili skrytobójstwem. Ale prawdopodobieństwo, że ktoś z nich wiedział o zajściach w Valdemarze, o zamordowaniu niewinnych ludzi, było raczej znikome.

Dlaczego więc niewinni żołnierze mieliby cierpieć za skutki działań jednego człowieka?

I tak znaleźli się już w o wiele gorszym położeniu, niż mogli przewidzieć.

„Są z dala od domu i wszystkiego, co znają. Nie mają pojęcia, czy kiedykolwiek znajdą drogę powrotną. Może nawet nie są w stanie wrócić zwykłym sposobem. Muszą być przestraszeni — a czyż mogliby nie być? Poza tym zbliża się zima i kolejne burze. Przed postawieniem falochronów burze stworzyły przerażające istoty. Co powstało w Hardornie?”

Ponieważ Karal sam był daleko od domu i doskwierała mu samotność, nie mógł powstrzymać się od współczucia. Może to głupie, ale tak czuł.

Ostatecznie to, że rozkaz zabójstwa wydał dowódca sił w Hardornie, było tylko przypuszczeniem. Nie mieli podstaw zakładać, że to prawda. Przecież zły duch Talii i Selenay, Hulda, otrzymywała rozkazy prosto ze stolicy Imperium, może nawet od któregoś z głównych szpiegów cesarza Charlissa. Charliss przywykł wysyłać agentów do bardzo odległych miejsc, gdyż odległość nie miała znaczenia w Imperium, gdzie na co dzień posługiwano się magią. Kto więc mógł z całą pewnością stwierdzić, że mordercy nie wysłał sam cesarz lub ktoś bezpośrednio mu podległy i że armia stacjonująca w Hardornie miała z tym cokolwiek wspólnego?

Sama armia Imperium nigdy otwarcie nie wystąpiła przeciw Valdemarowi. Dotychczas wkroczyła jedynie do Hardornu, korzystając z zamieszania i niepewności, jakie nastąpiły po zabiciu króla. . .

. . . przez Valdemarczyków. Valdemarskich zabójców, jeśli chodzi o ścisłość.

„Czy i tak nie dość mamy kłopotów i bez otwartego ataku na siły Imperium? Powinniśmy skupić się na tym, co zrobić po postawieniu falochronów, a nie wysyłać armię w głąb Hardornu, by atakowała kogoś, o kim nawet nie wiemy, czy na pewno jest naszym wrogiem!”

Gwar nieco ucichł, więc Karal stwierdził, że nadeszła właściwa chwila. Z drżącymi rękami, co ukrył, zaciskając je na blacie stołu, przemówił:

— Nie wiem, czy atak to dobry pomysł. Powinniśmy skupić nasze wysiłki na magicznych burzach, falochrony nie wytrzymają zbyt długo — szczerze mówiąc, jeśli burze zmienią kierunek, nie utrzymają się w ogóle. Cesarscy nie uczynili na razie nic, co świadczyłoby przeciwko nim, a magiczne burze dały im się o wiele bardziej we znaki niż nam. Dlaczego nie zostawić ich w spokoju i nie poczekać na skutki? — Zapadła pełna zdumienia cisza, w której dodał: — Nasze zasoby są ograniczone, a sytuacja może się pogorszyć. Kto wie? Mają między sobą tak wielu magów, wiedzą to, czego my nie wiemy. . . mogą okazać się cennymi sprzymierzeńcami.

— Co? — Jarim zerwał się na równe nogi z twarzą purpurową z wściekłości. Karal poczuł, jak serce w nim zamiera, a potem znów zaczyna bić; po zimnym dreszczu na twarzy i zeszywnieniu mięśni wiedział, że zbladł. — Oszalałeś?! Czy może jesteś takim tchórzem, że nie chcesz myśleć o tym, co oni ci zrobili?! Zabili twojego mistrza, twojego posła! Czy jesteś głupcem, chłopcze? A może. . . może

zdrajca? — Położył dłoń na rękojeści noża i szybkim ruchem wyjął go z pochwy. — Jakimś cudownym zrządzeniem losu ostrza skrytobójcy nawet cię nie drasnęły! Ty zmijo, czy cały czas szpiegowałeś dla nich? Na Gwiazdzistooką, przysięgam, ja. . .

Karal nie skulił się tylko dzięki żelaznej woli i przekonaniu, że Daren i inni nigdy nie pozwoliliby Jarimowi zrobić mu krzywdy. Rozzłoszczony Mroczny Wiatr wstał i chwycił przegub Jarima w stalowy uścisk, przerywając mu w pół słowa.

— Przestań, głupcze! Gdzie twój rozum! Wyciągasz nóż przed Wielką Radą, grozisz karsyckiemu posłowi, czyżbyś sam chciał rozbić sojusz?! — Potrząsnął go za ramię, aż zaskoczonemu mężczyźnie zagrzechotały zęby. Karal był pod wrażeniem — Mroczny Wiatr nie zdradzał oznak siły większej niż u przeciętnego człowieka. Najwyraźniej w Sokolim Bracie kryło się więcej, niż mogło się wydawać.

Shin'a'in był tak zaskoczony, iż upuścił nóż, który z brzękiem upadł na stół. Zanim Jarim zdołał go podnieść, pochwycił go Śpiew Ognia.

— Chłopiec wskazuje jedynie inne możliwości — tak jak trzeba. Jest kapłanem, powinien myśleć o tym, czego nie widać na pierwszy rzut oka, powinien także proponować pokojowe sposoby postępowania, a nie podżegać do wojny! — Mroczny Wiatr odwrócił się i spojrzał na siedzących wokół stołu. Kilku przedstawicieli innych religii wykazało tyle przyzwoitości, że przybrali zasmucony wyraz twarzy, gdyż oni nie proponowali nic podobnego. Szczerze mówiąc, nawoływali do wojny z równym zapałem jak Jarim. — Ma całkowitą rację: co do poprzednich wydarzeń, nie mamy pewności, jak się zaczęły. Możemy snuć przypuszczenia, ale nie mamy dowodów. Z tego, co wiemy, naszym prawdziwym wrogiem może okazać się ktoś, czyjego istnienia nawet nie podejrzewamy, ktoś, kto pozostawiał pułapki tak, by skierowały podejrzenia na Imperium!

— O, to raczej mało prawdopodobne — parsknął lord marszałek. — Kimże byłby ten wróg? Zły szaman z północy, zza lodowej ściany?

— Przyznaję, to mało prawdopodobne, ale możliwe — a przecież nawet tego nie rozważyliśmy. Przypominam: zanim oskarżycie kogokolwiek z rady o dwulicowość, należy najpierw poszukać zewnętrznych wpływów. A najlepszym sposobem na rozbicie każdego sojuszu, co znajduje potwierdzenie w historii, jest posianie w nim nieufności właśnie przez zdradę z zewnątrz! — Mroczny Wiatr spojrzał marszałkowi prosto w oczy, tak że starszy mężczyzna spuścił wzrok. — Co więcej, jako mag zgadzam się z Karalem. Wszyscy przyjęliście falochron za ostateczną ochronę przed burzami, ale miało to być jedynie tymczasowe rozwiązanie.

— To prawda, całkowita i nieodwołalna — przyświadczył Śpiew Ognia, bawiąc się sztyletem Shin'a'in. — Wybacz, heroldzie kapitanie, ale nasz falochron przypomina raczej urządzenie, od którego wziął nazwę — im więcej burz będzie w niego uderzało, tym szybciej się rozpadnie. Bardziej przypomina wał usypany

z piasku niż mur z kamieni. Wiem, że czas wydaje się odpowiedni do uderzenia na domniemanych nieprzyjaciół, ale — mówię to jako mag obdarzony niejakim talentem — wierzcie mi, dostaną tyle, ile mogą przetrwać, i jeszcze więcej, kiedy nad Hardornem rozpetają się silniejsze burze. Przy dużej dozie szczęścia powstą, które powstaną po burzach, nie przejdą przez mury obronne i łuczników. Jeśli nie... — Wzruszył ramionami. — Cóż, przypominam, że falochron może powstrzymać burze, ale nie głodne istoty zdolne zdziesiątkować armię. To, co atakuje ich, może potem sięgnąć po nas. Jako magowie i rzemieślnicy — skłonił się ironicznie w stronę mistrza Levy'ego — powinniśmy poszukać kolejnego sposobu ochrony przed burzami. Wy, dowódcy wojskowi, spróbujcie znaleźć sposób obrony przed tym, co przedrze się do nas poprzez armię Imperium. Jeżeli tego nie zrobicie, jest całkiem prawdopodobne, że zostaniemy zmiażdżeni jak chrząszcz, który stanął na czyjejs drodze.

Wyciągnął dłoń ze sztyletem — ręką do przodu — ku nachmurzonemu Shin'a'in. Mroczny Wiatr puścił dłoń Jarima, który złapał sztylet i wsunął go z powrotem do pochwy, po czym usiadł, z buntem nadal widocznym na twarzy.

Karal odetchnął z ulgą — jeden problem rozwiązany, przynajmniej na razie. Przez cały ten czas Kerowyn po prostu stała, jak przedtem, z zupełnie nieruchomą twarzą.

W końcu przemówiła.

— Ogólnie rzecz biorąc — powiedziała, starannie dobierając słowa — muszę przyznać, że najwięcej wysiłku i energii należy poświęcić na znalezienie osłony przed magicznymi burzami. Chciałam jedynie przedstawić wam możliwość, że armia Imperium może być w tej chwili bardzo osłabiona. Niech nikt nie sądzi, że jest to pewne. Jak Karal słusznie zauważył, nic nie jest pewne oprócz faktów, które sami możemy stwierdzić. Ma on także rację, twierdząc, iż większość naszej wiedzy to jedynie domysły. Przypuszczenie to nie fakt, a ja nie chciałabym wysyłać oddziałów do bitwy za granicą i pozostawiać kraju bez ochrony.

Usiadła w głuchoj ciszy. Księżę Daren chrząknął.

— W takim razie — powiedział z wyjątkowym spokojem, zwłaszcza, że przed chwilą jeden z jego sojuszników niemal zaprzysiął krwawą zemstę drugiemu — niech teraz przemówi Mroczny Wiatr.

Mroczny Wiatr przejął pałeczkę i poprowadził spotkanie. Sokoli Brat nie miał przy sobie swego ptaka, ale stał tak, jakby przyzwyczajony do jego ciężaru na ramieniu, był gotów przyjąć go w każdej chwili. Miał białe włosy adepta Tayledras, gdyż to on pierwszy uczył magii Elspeth, zanim stał się jej partnerem i kochankiem. Wyglądał jak typowy Tayledras o silnej, przystojnej twarzy, czym różnił się od posągowej piękności Śpiewu Ognia. Ubierał się znacznie skromniej niż drugi Sokoli Brat, ale kiedy mówił, bił od niego autorytet i ludzie go słuchali.

Karal siedział cicho przez resztę spotkania. Dobrze, że Mroczny Wiatr zdołał jasno uświadomić radzie fakt, iż falochrony były rozwiązaniem tymczasowym,

i skupić na nim uwagę sojuszników, chociaż według Karala nie dość mocno podkreślił, jak pilne jest to zadanie. Nie mógł jednak nie zauważyć ostrych spojrzeń Jarima i niechętnych spojrzeń wielu innych zasiadających za stołem. Jego młodość znów przemawiała przeciwko niemu. Ludzie zakładali, że skoro jest młody, nie ma doświadczenia. Jarim zaś najwyraźniej uznał, iż skoro nie pała chęcią ruszenia na cesarskich i zabicia każdego, kto stanie mu na drodze, jest co najmniej tchórzem.

„Cóż, Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia uznali moje racje. Może powinienem podsuwać im własne pomysły, zamiast usiłować wypowiadać je samemu?”

Ale jeśli tak zrobi, przyzna, że nie potrafi sobie poradzić, i w ten sposób niezbyt przysłuży się Karsowi.

Wielka Rada rozeszła się — podjęto bardzo niewiele postanowień i właściwie nic naprawdę nie załatwiono.

Jak zwykle.

Karal wrócił do siebie z poczuciem nie spełnionego obowiązku.

Zamykając drzwi apartamentu, z ramionami obwisłymi pod wyszukaną czarną szatą, dostrzegł plamę złotego światła na środku podłogi. Plama wstała, żeby go powitać.

Chyba przydałby ci się teraz przyjaciel — zauważył Altra, kiedy plama zmaterializowała się w ogromnego kota kremowej maści, o złocistych łapach, ogonie i pyszczku oraz żywych błękitnych oczach. — *Czy zebranie było bardzo nieudane?*

Karal zdobył się na cień uśmiechu i opadł na krzesło, podczas gdy Altra przeszedł kilka kroków i majestatycznie usiadł u jego stóp. Tutaj panowało przynajmniej miłe ciepło, przez okno wlewało się słoneczne światło, a na kominku płonął ogień. Valdemarczycy bardzo dbali o swoich gości i czasami wydawało się, że ze wszystkich wygod najbardziej cenią ciepło. Karal dostał trzypokojowy apartament z łazienką — nie ten sam, w którym mieszkał z Ulrichem, gdyż powrót do niego byłby zbyt bolesny. Tamte komnaty zajął, jak na ironię, Jarim.

— Nie skończyło się źle — ale jeśli choć trochę się przysłuchiwałeś, to wiesz, że omal nie zagrożono mi krwawą zemstą Shin’a’in.

Ognisty kot zamrugał.

Co nieco podsłuchiwałem i muszę przyznać, że masz szczególny talent. Do tej pory żadnemu kapłanowi Słońca w całej historii Karsu nie udało się ściągnąć na siebie krwawej zemsty.

Karal westchnął na tę demonstrację sarkastycznego poczucia humoru Altry.

— To nie jest śmieszne, kocie. Najważniejsze jednak, to dodatkowy dowód na to, że przestają panować nad sytuacją — mogę to wreszcie wyznaczyć. List Solaris mianujący mnie posłem to jedno, ale nakłonienie ludzi, by zaakceptowali mnie jako posła — to całkiem inna sprawa.

Niepokój przemógł zmęczenie i znużenie, wstał więc i zaczął chodzić po komnacie.

— Jestem zbyt młody. Nie mam doświadczenia. Gdyby to była tylko nominalna posada, w porządku — ale ja nie jestem figurantem. Powinienem podejmować decyzje, powinienem jak najlepiej reprezentować tutaj interesy Karsu. Ale jak mogę to robić, skoro mógłbym być synem jednej połowy ludzi zasiadających w radzie i wnukiem drugiej połowy?

Był zdenerwowany i tak bardzo zmęczony! Emocje w końcu wzięły górę i wyłały się strugą pełnych pasji słów. Przynajmniej Altra słuchał, nie próbując go uciszać.

— A co najgorsze — wiem, że jestem za młody i okazuję to! Altra, poczucie odpowiedzialności doprowadza mnie do szaleństwa! Nie chcę się użalać, ale ja się do tego nie nadaję! Myślałem, że to tylko kilka tygodni, a potem Solaris przyśle kogoś innego, kogo będą słuchali. Kiedy usiłowaliśmy złapać mordercę, mianowanie mnie posłem miało sens; miało go nawet wtedy, kiedy pracowałem jedynie z wewnętrzną radą Selenay — w końcu Mroczny Wiatr, Elspeth i kilku innych wiedzą, że czasami miewam dobre pomysły, i wysłuchują mnie, ponieważ mnie znają. Ale teraz mam się także kontaktować z całą resztą posłów, którzy patrzą na mnie i widzą. . . dziecko! — Odwrócił się do kota i wyciągnął ku niemu rękę, jakby w błaganiu o zrozumienie jego rozterki. — Altra, nie mogę wykonać zadania i nie zyskam nic oprócz dwudziestu lat w ciągu jednej nocy. Robię, co mogę, ale równie dobrze można nakazać ślepemu sortować koraliki według koloru. Usiłowanie dokonania czegoś w sytuacji, kiedy nie pozwala mi się na to, doprowadzi mnie do szaleństwa i nie pomoże wcale Karsowi!

Przez cały czas Altra milczał. Karal w końcu ucichł i czekał, kiedy kot wygłosi swą cierpką naukę o posiadaniu kręgosłupa. Tak zwykle postępował w przeszłości.

Ale Altra nie zrobił nic takiego. Owinął ogon ciasno wokół łap i siedział tak spokojnie, że nawet włos mu się nie poruszył. Jego oczy przybrały wyraz nieobecny i zamyślony, jakby patrzył daleko, gdzieś poza to, co widział Karal. Jego skupienie było tak głębokie, że Karal zaczął się zastanawiać, czy kot nie porozumiewa się z czymś — Kimś — innym.

Po kilku chwilach czekania Karal znów usiadł ciężko w fotelu. Altra wydawał się tego nie zauważać.

„Hm. To coś nowego. Nigdy dotąd tak się nie zachowywał. . .”

Wtedy, nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ognisty kot skoczył w powietrze. . .

. . . i zniknął w plamie światła słonecznego, tej samej, w której poprzednio się pojawił.

— Rzeczywiście, to jest odpowiedź — Karal jęknął z niesmakiem w pustkę.

— Dzięki!

Gdzieś tam Natoli i inni śledzili przebieg linii energetycznych, An'desha pomagał im je analizować, a mistrz Levy i jego matematycy wytyczali nowe szlaki. Karal podejrzewał, że ostrzeżenie Śpiewu Ognia przed potworami stworzonymi w Hardornie zostało potraktowane poważnie; ludzie Kerowyn wymyślali sposoby ochrony przed nim. Gdzieś w tym samym pałacu inni wykonywali konkretne zadania. W Hardornie albo jeszcze dalej rzemieślnicy usiłowali znaleźć sposób jak najszybszego przemieszczania ludzi i zapasów, być może z wykorzystaniem ukochanych maszyn parowych Natoli.

„A ja siedzę tutaj i czekam na kolejne spotkanie Wielkiej Rady.”

Westchnął ponuro i wyprostował się lekko, widząc, iż poseł Shin'a'in, który właśnie wszedł do komnaty, zmierza prosto w jego stronę.

„O, na niebiosa. Co teraz? Wyzwanie na pojedynek?”

Zmusił się do uśmiechu i kiedy Jarim podszedł, wstał uprzejmie.

— Witam, panie.

„A teraz co powinienem powiedzieć? Mam nadzieję, że wciąż jesteśmy po tej samej stronie? Albo może... Czy wciąż pałasz chęcią obejrzenia z bliska mojej wątroby? Obawiam się, iż nie spełnię twego życzenia... t”

Zdecydował się na neutralne i uprzejme:

— W czym mogę pomóc?

— Możesz mi pomóc, pośle, przyjmując moje przeprosiny — odezwał się Jarim szorstko i niechętnie. Ale jednak to powiedział, co już oznaczało poprawę sytuacji. — Wczoraj zareagowałem zbyt nerwowo. Moim rodakom zależy na bezpieczeństwie.

„A moim nie? Czy o to ci chodzi?”

— Rozumiem cię, panie — odparł gładko. — Ty też zrozum, że usiłuję myśleć o jak najlepszym wykorzystaniu naszych naprawdę bardzo skromnych środków. Proponuję to, co może się okazać korzystne dla całego sojuszu. Twój kraj i Valdemar odczuwają brak żołnierzy i zapasów dla armii; twoi rodacy to słynni wojownicy, ale rzadko opuszczają Równiny, a to może się obrócić na naszą niekorzyść. Sokoli Bracia nie nadają się do udziału w ataku, Rethwellan zaś przysłał nam tylu wojowników, ilu mógł. Szczerze przyznaję — wolałbym, aby armia Imperium została powoli zniszczona przez potwory zrodzone z magii, niż żeby choć jeden wojownik sojuszu stracił życie, usiłując nas od niej uwolnić. W końcu sami musimy przetrwać magiczne burze...

— Tak, tak, rozumiem, co masz na myśli — przerwał Jarim. — Ale to chyba oczywiste, iż musimy pozbyć się najeźdźców, póki mamy okazję. Imperium ma za sobą długą tradycję najazdów i nigdy dotąd nie powstrzymała ich żadna granica.

Głupotą jest spodziewać się, że powstrzyma ich teraz coś innego oprócz gwałtownego oporu. Musimy im pokazać, że nie mają z nami szans. Jedyne sposoby to uderzyć teraz, uderzyć mocno i usunąć z Hardornu wszelkie ślady ich pobytu. Dopiero wtedy — i tylko wtedy — Imperium będzie respektować nasze siły na tyle, by zostawić nas w spokoju!

Znów zaczął się zapalać, jakby słowa Karala nie dotarły do niego. Mówił „my”, ale było oczywiste, że pragnął osobistej zemsty na Imperium za to, że odważyło się zabić Zaprzysiężoną Bogini Shin’a’in.

W tym czasie do sali dotarła większość uczestników spotkania; wszyscy słuchali wymiany zdań, najwyraźniej czekając na odpowiedź Karala.

Ale każda odpowiedź inna od tej, jakiej oczekiwał Jarim — czyli całkowitej zgody — mogła jedynie stać się początkiem następnej kłótni. Zatem zamiast odpowiadać mu bezpośrednio, Karal zwrócił się do Elspeth, stojącej akurat najbliżej.

— Jak długo utrzymają się falochrony? — zapytał z przejęciem. — Czy ktokolwiek zrobił obliczenia? — Tego pytania nikt jeszcze nie zadał, a było ważne, gdyż mogło się okazać, że nie ma czasu na prywatną zemstę — a może na nic nie ma już czasu.

— Dobre pytanie — odrzekła księżniczka, unosząc brew i spoglądając w kierunku Śpiewu Ognia i Mrocznego Wiatru, którzy na ten sygnał przysunęli się bliżej. — Czy ktoś z was zna odpowiedź — albo ma chociaż jakieś przypuszczenia?

— Wolałbym jak zawsze zblądzić — powiedział Śpiew Ognia, tym razem jednak żywiej. Spojrzał na Karala z aprobatą. — Nie dam mu więcej niż cztery miesiące. Może przetrwa zimę, ale niewiele dłużej.

— Ja przedłużyłbym ten czas do lata, ale to w najlepszym wypadku sześć miesięcy — powiedział Mroczny Wiatr, kiwając głową. — Skoro walka zimą jest trudna, jeśli nie zakrawa na samobójstwo, to stracimy falochron, zanim będziemy w stanie uderzyć na cesarskich.

Karal zauważył, że księżę Daren także spojrział na niego z podziwem i aprobatą. Najwyraźniej zrobił na nim dobre wrażenie. Jarim wyglądał na zaskoczonego.

— Myślałem, że potrwa to dłużej — zaoponował. — Dopiero go postawiliście!

Śpiew Ognia wzruszył ramionami.

— Przy każdej burzy falochron traci nieco ze swojej siły, a burze zdarzają się coraz częściej. Ich siła rośnie zgodnie z zasadami matematyki. Mówiliśmy ci o tym. Erozja osłon jest coraz większa. Przykre, ale już stawiając falochron, wiedzieliśmy, że jedynie nieco zyskujemy na czasie, i usiłowaliśmy wam to przekazać jak najdobitniej.

„Śpiew Ognia może to powiedzieć, nawet ostrym tonem, i ujdzie mu to na sucho. Jarim go szanuje, może nawet obawia się go trochę.” Tego dnia Śpiew Ognia ubrany był w surową, nieozdobną czerń podkreślającą złotawy, tayedraski

odcień jego skóry i srebrzysty błękit oczu — co przypominało Jarimowi o pokrewieństwie Tayledrasów i Shin'a'in — oraz srebro włosów, oznakę mocy, którą rozporządzał. Mag doskonale potrafił dobrać kostium, który spełniałby jego cele. Dzisiaj najwyraźniej chciał wzbudzać respekt. Karal też chciałby to umieć.

W tej chwili książe Daren wystąpił naprzód i przejął prowadzenie dyskusji.

— Panie i panowie, proszę o zajęcie miejsc. Śpiewie Ognia, czy mógłbyś powtórzyć wszystkim to, co mówiłeś przed chwilą? To bardzo, bardzo ważne i chcę się upewnić, że nie będzie żadnych nieporozumień.

Poszedł do swojego krzesła i usiadł, rozpoczynając zebranie.

Przez chwilę jeszcze panowało zamieszanie, dopóki wszyscy nie zajęli miejsc. Śpiew Ognia wstał i stanął w środku podkowy utworzonej przez stół, a zajmowanej przez gryfa Treyvana, na którego ramieniu położył rękę. Gryf zastrzygł uchem.

— Niektórzy z was należeli do poprzedniej rady w czasie, kiedy dowiedzieliśmy się, jak możemy — na pewien czas — osłonić ziemie sojuszników i Iftel przed skutkami burz — powiedział mag poważnie. — Zrobiliśmy tak i udało nam się. Ale było to rozwiązanie tymczasowe. Jak morski falochron, od którego nasz wynalazek wziął nazwę, ten także przyjmuje na siebie siłę uderzeń fali, za co trzeba jednak zapłacić. Za każdym razem falochron traci część mocy. W końcu się załamie pod naporem fal. To, że nie odczuwacie skutków magicznych burz, nie znaczy, że już ich nie ma. Wy sami może nie czujecie burz, ale ktoś na zewnątrz — tak. Burze przynoszą cierpienie, nieszczęście i zniszczenia. Wciąż nadchodzą — coraz częstsze i silniejsze. Możemy zmierzyć ich siłę i robimy to. Według moich wyliczeń, falochron załamie się za cztery miesiące, Mroczny Wiatr daje mu nieco więcej, bo sześć miesięcy. Jeszcze raz powtarzam: zyskaliśmy czas, by znaleźć ostateczne rozwiązanie — takie, które wykorzysta magię, ponieważ teraz burze nie zakłócają naszych zaklęć. Już wtedy mówiliśmy wam, że to rozwiązanie tymczasowe i właśnie to mieliśmy na myśli.

Była to chyba najdłuższa mowa, jaką wygłosił Śpiew Ognia w całym swoim życiu. Jego słowom przyświadczał gryf, kiwając głową, co dodawało im znaczenia.

— Widziałem skutki z powietrza, przyjaciele. Miejscami zosstawiają w ziemi szszszczeliny. Mussimy sskoncentrować sssię na zassstąpieniu falochronu — dodał. — Oraz, szszszczyrze mówiąc, na tym, co zrrrobimy, jeśśli nie znajdziemy niczego, co go zassstąpi. Jeśśli myśślicie, że przedtem było źle...

Nie dokończył zdania, a pytanie zawisło w powietrzu jak groźba.

Chociaż Karal doskonale pamiętał, iż magowie mówili to wyraźnie przed wyjazdem z Przystani i postawieniem falochronu, fakt, że była to tymczasowa osłona, dla wielu posłów — w tym Jarima — był niespodzianką.

— Dlaczego w takim razie nie wymyśliliście czegoś na stałe? — warknął przedstawiciel właścicieli mleczarni.

Śpiew Ognia rzucił mu spojrzenie, które powinno zamienić go w popiół.

— A czy chcielibyście czekać, aż to znajdziemy? — zapytał i mówił dalej: — To zjawisko było dla nas równie nowe jak dla was. Nie znaleźliśmy niczego podobnego i nadal do końca go nie rozumiemy. O ile sobie przypominam, magiczne burze zmieniły kilka krów, zanim postawiliśmy osłonę — dodał lodowatym głosem. — Tak się składa, że zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, aby uchronić was przed skutkami burz, jednocześnie szukając czegoś bardziej pewnego. Czy wolelibyście, żeby burze nadal nawiedzały kraj, zamieniając zwierzęta w potwory?

Zapewne mężczyzna widział takiego potwora, gdyż zbladł i wyraźnie się zawstydział.

— Cóż... nie, ale...

Ktoś inny przerwał kolejnym wykrzyczanym oskarżeniem, które Śpiew Ognia zbił równie miażdżącą logiką. Przez kilka chwil padały zarzuty i pretensje, aż w końcu nawet do najbardziej upartych dotarło, że magowie i rzemieślnicy nie oszukali ich — że zrobili wszystko, co w ich mocy.

— Jak wał worków z piaskiem powstrzymujący powódź — brzmiało porównanie Elspeth.

Wrzawa ucichła, zapadła cisza i jedynie Jarim miał dość odwagi, by ją przerwać.

— Dobrze, jeśli to tymczasowe, co w takim razie mamy robić? — zapytał. — Czy zrobiliście jakieś postępy?

„Co chce usłyszeć? Powiedzieli mu już wszystko, co wiedzą!”

Mroczny Wiatr westchnął, a Elspeth pogłaskała go po ramieniu.

— Szczerze mówiąc, niewielki — powiedziała ze zmęczeniem. — Nie mamy jeszcze wystarczającej ilości faktów...

— Dlaczego nie? — przerwał Jarim. — Dlaczego nie ma wyraźnych postępów?

— Owszem, są, i to duże! Wykorzystujemy tylko magię, czy oczekujecie cudów? — odpalił Śpiew Ognia. — Jeśli chcesz cudu, porozmawiaj bezpośrednio z bogiem. Albo Boginią! — Ostatni cios był przeznaczony specjalnie dla Jarima, który, w przeciwieństwie do Querny, nie należał do Zaprzysiężonych Gwiazdzistookiej. Nie mógł porozumiewać się ze swym bóstwem w żaden szczególny sposób, jedynie tak jak wszyscy Shin'a'in.

Karal zamknął oczy i pozwolił, aby słowa przepływały obok niego. Mroczny Wiatr i Elspeth usiłowali przedstawić zrozumiale to, czego się dowiedzieli, Śpiew Ognia zaś wtrącał zimnym głosem uwagi, jeśli ktoś kwestionował wyniki ich pracy. Karal nie był magiem i rozumiał bardzo niewiele z tego, co mówiono. Później, kiedy będzie pisał sprawozdanie dla Solaris, zapyta An'deshę.

Solaris. Co ona teraz robi? Czy nadal z taką samą siłą sprawuje rządy? „Na pewno Pan Słońca Vkandis zapewni Karsowi bezpieczeństwo” — powiedział sobie Karal i poczuł ukłucie sumienia za tak niegodną myśl. Miał myśleć nie tylko

o Karsie, równie ważne było bezpieczeństwo całego sojuszu.

On jednak najbardziej przejmował się Karsem i reprezentował głównie jego interesy. Czy to tak źle, że pocieszała go świadomość, iż Vkandis rozciągał swą opiekę nad tym wybranym krajem?

Jako kapłan musi w to wierzyć. Wątpić w to oznaczało zwątpić w słowo i obietnice Vkandisa. . .

„Tylko że On sam powiedział w Księdze, iż przede wszystkim musimy polegać na rozumie i inteligencji, które nam dał, a On osłania nas tylko w ostateczności. A jeżeli istnieje wyjście z sytuacji, którego nie widzimy, bo nie staramy się dość mocno? Czy wtedy też będzie nas chronił?”

Zbladł i poczuł zimny dreszcz.

Niepewność była przerażająca.

Na niebiosa — co się z nim działo? Teraz zaczynał już wątpić we własnego boga!

Cóż innego mógł zrobić? Nie był magiem i nie wiedział niemal nic o magii i matematyce. Mógł jedynie zaufać innym, rękom i umysłom tych, którzy się na tym znali. Elspeth i Mroczny Wiatr, gryfy, Śpiew Ognia i An'desha, magowie z Rethwellanu sprowadzeni przez Kerowyn, świeżo upieczeni magowie heroldów z Valdemaru szkoleni przez wszystkich pozostałych, magowie-kapłani z Karsu — oni wszyscy potrzebowali w pracy pomocy i wskazówek Vkandisa — i każdego innego związanego z nimi bóstwa. Może najlepsze, co mógł teraz zrobić, to modlić się. Przynajmniej wiedział, jak to robić.

W tej chwili był tylko bardzo, bardzo zmęczony. . . i tęsknił za domem.

„Wolałbym być sekretarzem kogokolwiek, nawet jednego z tych sztywnych starych kapłanów, którzy nie lubili Ulricha ani Solaris, niż być posłem. Nie dlatego, że nie chcę brać na siebie odpowiedzialności — ale nie potrafię zyskać autorytetu, by móc wypełniać moje obowiązki.”

Na tym spotkaniu, zamiast przekonywać kogokolwiek, by go wysłuchał, zajął się notowaniem wszystkiego, co zrozumiał. „Jeżeli będę chciał coś powiedzieć, zapiszę to i dam Elspeth albo Mrocznemu Wiatrowi” — zdecydował. „W ten sposób spełnię obowiązek wobec sojuszu, chociaż nie zyskam nic dla Karsu.”

W tej chwili było to jedyne rozwiązanie, jakie potrafił wymyślić.

ROZDZIAŁ TRZECI

An'desha upuścił kolejny kamyk do basenu i patrzył, jak fale rozchodzą się, załamują i w końcu rozpraszają. Równe koncentryczne koła szybko zamieniały się w chaos drobnych zmarszczek pomiędzy umieszczonymi w wodzie barierkami. Mag zniechęcony potrząsnął głową. Mówiono mu o tym, ale do tej chwili nie mógł uwierzyć.

— To zbyt skomplikowane, by móc dostrzec, nie mówiąc o zmierzeniu i analizie — powiedział z goryczą. — A to tylko model. Rzeczywistość jest sto razy gorsza!

Mistrz Levy obrzucił go długim, kpiącym spojrzeniem wyrażającym jednak swoistą aprobatę.

— Jak na niepiśmiennego barbarzyńcę, który wierzy w gusła i rzucanie uroków, wykazujesz zadziwiający talent do rozumienia zasad logiki — rzekł sucho. — Jak również godnym podziwu zrozumieniem trudności pojawiających się przy mierzeniu i obserwacji ruchomych modeli.

An'desha nie dał się sprowokować.

— Jak na twarogłowego uparciucha, który wierzy jedynie w to, co może zobaczyć, zmierzyć i zważyć, wykazujesz się zadziwiającą elastycznością poglądów — odparował. — Poza tym doskonale wiesz, że znam w mowie i piśmie więcej języków niż ty, więc chociaż barbarzyńca, nie jestem niepiśmienny. Zatem czy możemy skończyć z docinkami i zająć się sprawą?

Ale mistrz Levy westchnął ze zniecierpliwieniem.

— W tej chwili mam do zaoferowania jedynie docinki — przyznał. — Wyładuję złość w kpinach. Masz rację, rzeczywistość jest zbyt skomplikowana, by ją przewidzieć. Nie potrafiłem wyprowadzić żadnej formuły, a jeśli ja tego nie zrobiłem, wątpię, czy komukolwiek się uda.

Chociaż ostatnie słowa zabrzmiały jak przechwałka, mistrz Levy miał rację.

— Musi przecież istnieć możliwość opisanie tego zjawiska matematycznie — mrucał An'desha, wpatrując się w ostatnie zanikające zmarszczki na powierzchni wody. — Fale rozchodzą się geometrycznie, można więc znaleźć odpowiednią formułę.

— Myślałem, że wy, magowie, uznajecie magię wyłącznie za sprawę intuicji

— powiedział z rozbawieniem mistrz Levy. — Przyznaję, iż przyprowadziłem cię tutaj i pokazałem ten model z nadzieją, że odgadniesz formułę. Jak stwierdził jeden z naszych uczniów, intuicja to równie dobra metoda dochodzenia do rozwiązań, gdyż po prostu polega ona na bardzo szybkim kojarzeniu faktów, a wtedy droga od przesłanek do wniosków przestaje być widoczna.

— Śpiew Ognia jest jedynym spośród nas dotkniętym tą przypadłością — odparł An'desha z roztargnieniem. — Reszta bardzo lubi logikę. Chociaż teraz, jak się wydaje, jego metoda może się okazać najlepsza.

Tak naprawdę An'desha siedział teraz w komnacie zamiast w ekele właśnie dlatego, że Śpiew Ognia również nie potrafił znaleźć odpowiedzi, co sprawiło go w bardzo zły humor. Stosunki między nimi i tak były napięte, więc An'desha wolał wyjść — niech Śpiew Ognia wyładowuje swój gniew pośród roślin.

Od powrotu Karala i An'deshy z granicy Iftelu w stosunkach An'deshy i Śpiewu Ognia pojawiło się napięcie. Śpiew Ognia nie był zazdrosny o towarzyszącego mu w wyprawie Karala, czego wcześniej obawiał się An'desha — a przynajmniej nie uznał go za rywala. I dobrze, gdyż An'deshy trudno byłoby udowodnić kochankowi, że choć Karal jest jego najbliższym przyjacielem, jednak absolutnie go nie pociąga. Jeśli Śpiew Ognia nie potrafiłby tego zrozumieć, wykazałby się mniejszą inteligencją, niż An'desha sądził.

Dokładne określenie przyczyny zmiany w ich stosunkach zajęło An'deshy wiele czasu, ale zrozumienie jej wcale nie poprawiło nastroju młodego maga. Wiedział, że nic nie może na to poradzić.

Śpiew Ognia, jak się okazało, nie potrafił sobie poradzić z „nowym” An'deshą, który z każdym dniem stawał się mniej od niego zależny.

An'desha spojrział w dół, na akwarium, jakby miał nadzieję znaleźć tam odpowiedź zarówno na pytanie o to, co zrobić po załamaniu falochronu, jak i o to, jak postąpić ze Śpiewem Ognia.

„Chyba nie rozumie, że nawet uratowanie mi życia i pomoc w chwili, kiedy nie potrafiłem uporać się z najmniejszymi drobiazgami, nie tworzy między nami więzi życia! To nawet nie oznacza, że jesteśmy najbliższymi przyjaciółmi. Kocham go i wiele mu zawdzięczam, ale z wdzięczności nie muszę go ślepo uwielbiać przez resztę życia. Nikt nie może tego wymagać od drugiego człowieka.”

Zostali kochankami, gdyż wydali się sobie atrakcyjni, a ponadto An'desha rozpaczliwie potrzebował kogoś, w kim mógłby znaleźć oparcie, kto ofiaruje mu pewność i poczucie bezpieczeństwa. Trzeba przyznać, iż Śpiew Ognia doskonale zdawał sobie sprawę, że taka zależność jest niepoważna i szkodliwa; zrobił, co mógł, by zwalczyć w An'deshy tę skłonność i pomóc mu zbudować poczucie własnej wartości.

„Ale czy zrobił to, ponieważ naprawdę chciał, bym stał się niezależny, czy dlatego, że go dusiłem? Hmm... dobre pytanie. Jedynie Śpiew Ognia zna odpowiedź. Z pewnością odsuwał mnie od siebie najdelikatniej jak można, zamiast

po prostu odepchnąć. Ale czy postąpił tak dlatego, że chciał, abym był od niego zależny, ale nie zniewolony? Kolejne dobre pytanie.”

Stare przysłowie powiada: „Uważaj na to, czego sobie życzysz, bo możesz to dostać”. Śpiew Ognia był teraz z An’deszą, który wiedział, kim jest i co chce zrobić ze swoim życiem — i to on czuł się nieszczęśliwy.

Właściwie nie wszczynął kłótni, ale za każdym razem, kiedy An’desha powiedział lub zrobił coś nieoczekiwanego, wydawał się zbity z tropu, zaskoczony, a nawet wstrząśnięty, jakby go nie poznawał. A kiedy An’desha otwarcie wyrażał inne poglądy, Śpiew Ognia wpadał w cichą furję. Trwało to zawsze zaledwie chwilę — właściwie nigdy nie zrobił i nie powiedział nic, oprócz prób przekonania An’deshy, że ten się myli — ale był to moment wściekłości, widocznej w jego oczach, rumieńcu na twarzy, która zaraz bladła, w zaciśnięciu szczęk i chwili milczenia, póki złość nie minęła.

Śpiew Ognia zdecydował się nie dopuszczać do takich sytuacji, unikając An’deshy poza porą posiłków i w nocy. An’desha postanowił pójść za jego przykładem.

Przynajmniej w nocy ciągle jeszcze nic się między nimi nie zmieniło; to stanowiło dla nich obu odprężenie po napięciu dnia. Ale jak długo będzie to trwało?

An’desha otrząsnął się z zadumy. Mistrz Levy wpatrywał się w niego ze zdziwieniem, jakby zastanawiając się, co takiego mag zobaczył w wodzie.

— Cóż, niczego już tutaj nie wymyślę. Może powinienem pójść na spacer i odetchnąć świeżym powietrzem. Kto wie, a nuż intuicja podszepta mi coś, co nam pomoże?

— Ja wracam do moich instrumentów i kątomierzy. Zobaczę, czy nie uda mi się znaleźć czegoś w wynikach pomiarów — odpowiedział mistrz Levy, ale wyglądał na zniechęconego. — Trudność tkwi w tym, że w rzeczywistości fale nadchodzą z zewnątrz, a w modelach posługujemy się falami rozchodzącymi się ze środka na zewnątrz. Możemy przenosić wyniki obserwacji na prawdziwe fale, ale różnice zawsze pozostaną, bo model nie dość dokładnie odzwierciedla rzeczywiste zjawisko.

An’desha nie winił go za zniechęcenie. Potrzebowali nowego podejścia do zadania, nowego spojrzenia. W ten właśnie sposób wpadli na pomysł falochronu — przez wywiedzioną z matematyki analizę energii magicznych.

— A gdyby tak... — odezwał się cicho An’desha. — A gdyby rzucić na powierzchnię wody pierścień, który wywoła fale rozchodzące się do wewnątrz?

Mistrz Levy przyjrzał się — po raz dwudziesty w czasie tej rozmowy — swoim dłoniom i z namysłem wyczyścił paznokcie.

— Hmm... — wymruczał w końcu. — To może pomóc. Zaraz wyznaczę do obserwacji któregoś z uczniów. Zbyt krótki czas na obserwację może sprawić pewne trudności, ale przy odpowiednio dużym pierścieniu...

Mówił jeszcze przez chwilę. Pojawiały się pomysły, które mogły pomóc, ale

wiedzieli, że jeszcze daleko do ostatecznego rozwiązania. Potrzebowali źródła inspiracji. Na nieszczęście, nie zetknęli się ostatnio z nowym sposobem myślenia, pochodzącym z zupełnie innej kultury.

„Tym razem potrzebujemy pomocy bóstwa. Niestety nie grozi nam całkowite zniknięcie z powierzchni ziemi, nawet gdyby falochron się załamał, więc wątpliwe, czy Bogini zdecyduje się interweniować.”

Wzruszył ramionami i wziął swój pikowany płaszcz Shin’a’in, włożył go i zaplątał po szyję. Opuścił pałacowy warsztat w głębokim zamyśleniu, ale idąc przez martwe i puste ogrody, nie myślał bynajmniej o magicznych burzach.

„Dziwne. Jeszcze nie tak dawno temu pochorowałbym się ze zmartwienia, gdyby Śpiew Ognia zaczął nagle unikać mnie. Uznałbym, że ma mnie dość i szuka kogoś, kto mnie zastąpi. Na myśl o samotności wpadłbym w panikę. A teraz...”

Teraz po prostu nie przejmował się tym, częściowo dlatego, że takie unikanie odwlekało także konfrontację.

„Szczerze mówiąc, nie zmartwiłbym się, gdyby znalazł sobie nowego kochanka.”

Ta zaskakująca myśl zatrzymała go na środku ścieżki. Powtórzył ją sam sobie — brzmiała logicznie i zwyczajnie.

„Nie zmartwiłbym się, gdyby Śpiew Ognia znalazł nowego kochanka. Właściwie byłaby to dla mnie ulga. Nie czułbym się zobowiązany spełniać jego życzeń w obawie przed zranieniem. A na takie uczucia nie ma miejsca w miłości.”

A jednak nie było nikogo, kto by go chociaż trochę pociągał. Dlaczego więc tak się czuł?

„Czyżbym chciał być... sam?”

Ta myśl również wydawała się trafna. Nigdy nie chciał być sam, ale teraz, po poprzednich dwóch olśnieniach, przyszło trzecie.

„Zaczynam poznawać siebie — nie tylko wspomnienia tego, kto był Zmorą Sokołów, ale i siebie samego. Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć. I musi to być czas samotności.”

Biedny Śpiew Ognia.

„Zapewne wyczuwa, że pragnę samotności i myśli, że po prostu nie chcę, by on był obok.”

An’desha potrząsnął głową i poszedł dalej z rękami w kieszeniach i opuszczoną głową. Gdyby Śpiew Ognia znalazł sobie kogoś, ułatwiłoby to całą sprawę.

„Ale na to nie ma zbyt wielkiej szansy. Wokół nas nie ma wielu she’chorne, z których mógłby wybrać — i większość z nich ma już partnerów. Co do reszty...” — Skrzywił się. „Delikatnie mówiąc, ich charaktery wykrzywiły złe doświadczenia wczesnej młodości. I to nie czyni z nich kogoś, z kim można — czy dałoby się związać.”

She’chorne. Kiedy ostatnio słyszał to słowo, a choćby o nim myślał? „Jeszcze w klanie — przed Zmorą Sokołów — kiedy nie zalecałem się do żadnej z dziew-

czą z klanu, babka zaczęła pytać, czy wobec tego nie spróbuję zainteresować się którymś z chłopców she'chorne." Taki związek, choć nie dawał nadziei na spłodzenie dzieci z tej samej krwi, był także szanowany. Co więcej, para mogła adoptować sierotę z klanu. Wiele klanów Shin'a'in popierało podobne związki, aby w klanie znajdowało się jak najwięcej par mogących zaadoptować sieroty. Według norm Shin'a'in para she'chorne bez własnych dzieci, którymi musiałyby się zająć, przyjmując sieroty, zdejmowała ciężar z tych, którzy mieli własne dzieci do wykarmienia.

„Ale ja i tego nie chciałem. Wtedy babka zaczęła mówić, że jestem równie niespokojny i pozbawiony korzeni jak mój ojciec. . .”

W jego dość krótkim „prawdziwym” życiu nie było wiele do zbadania, ale An'desha przypominał sobie wszystko, co tylko zdołał, usiłując w przeszłości znaleźć przyczynę tego, kim był teraz. Prześledził także mniej odrażające wspomnienia Zmory Sokołów i jego wcześniejszych wcieleń, usiłując odszukać ich wspólne cechy.

„Musi istnieć więcej niż jeden powód, dla którego Zmora Sokołów zdecydował się zagarnąć akurat moje ciało. Potomków Ma'ara musi być wielu i spora część z nich to na pewno magowie. Zważywszy na sposób, w jaki Zmora Sokołów i reszta się zabawiali, ilość kandydatów jest pewnie ogromna. Mam wrażenie, że w życiu moim i kolejnych wcieleń Zmory Sokołów można się doszukać wielu wspólnych cech. . . gdybym tylko potrafił do niech dotrzeć!”

Już jedną znalazł. Poprzednimi wcieleniami były zawsze osoby, którymi — przed opanowaniem przez Zmorę Sokołów — pogardzała, a nawet krzywdziła ich własna rodzina. Wiele z nich uciekło w poszukiwaniu nowego życia od rzeczywistości, szukając mocy płynącej z magii, by mogli wrócić do domu i zemścić się. To dlatego większość z nich od razu po wyrwaniu się na wolność usiłowała przywołać zakłęcie rozpalania ognia. Nie znaleźli jeszcze nauczyciela, lecz już czuli w sobie moc, zatem decydowali się spróbować „tylko raz”.

„Ciekawe, czy znalezienie nauczyciela chroniłoby przed napaścią Zmory Sokołów? I czy obecność mistrza powstrzymałaby go nawet od próbowania napaści?”

Możliwe — Ma'ar, pierwszy mag z wielu wcieleń, był jednym z najsprytniejszych czarodziejów wszystkich czasów. Z pewnością zabezpieczył się przed wszelkimi niespodziankami, na jakie mógł natrafić podczas poszukiwania nowego ciała.

Ale co z tym wspólnym stanem zaniedbania, pogardy i krzywdy? A jeśli stykanie się z pogardą i lekceważeniem było koniecznym warunkiem opętania? „Kiedy uciekłem z klanu, nie wiedziałem dokładnie, czego szukam — chciałem jedynie znaleźć własne miejsce i uciec od przymusu zostania szamanem. Jednak, jak wynika ze wspomnień, większość pozostałych, jeżeli nie wszyscy, uciekali w poszukiwaniu mocy. Niektórzy chcieli prawdziwej, krwawej zemsty, inni pragnęli tylko

ć pokazać im wszystkim, przy czym owi ć wszyscy to ludzie, którzy traktowali ich z pogardą i drwiną.”

Czy to nie interesujące? Czy to nie z tego powodu tak naprawdę ofiary zgadzały się — choćby podświadomie — na opętanie przez Zmorę Sokołów?

„Poddanie się innemu, oddanie odpowiedzialności za siebie w inne ręce i uzyskanie w zamian zemsty — to brzmi dość sensownie.”

Zatrzymał się na chwilę i przywołał najstarsze wspomnienia Zmory Sokołów. „O, to ciekawe. Za pierwszym razem Ma’ar wcale nie użył przemocy, tylko uwiódł! Zaoferował status adepta osiągnięty natychmiast, bez lat ciężkiej pracy. No, no. Dopiero dużo, dużo później stał się niecierpliwy i nierozważny — zaczął napadać na swoje ofiary.”

Ta początkowa zgoda na poddanie się Zmorze Sokołów mogła wystarczyć mu do wygodnego usadowienia się w umyśle nowego wcielenia. Zanim ofiara uświadomiła sobie, co się stało, on przejmował już kontrolę. Wtedy było za późno — Zmora Sokołów nie uznawał drugiej duszy i osobowości w swoim nowym ciele. Zanim ofiara zdążyła pomyśleć o stawieniu oporu, Zmora Sokołów pozbywał się jej i przejmował ciało.

„Ale ja go nie chciałem, właściwie nie pragnąłem też mocy. Chciałem tylko... ludzi. Kogoś, kto nie będzie mną gardził, kto mnie przyjmie i pozwoli mi udowodnić moją wartość. Czy to właśnie pozwoliło mi przeżyć?”

Możliwe. W przeszłości zdarzało się już, że najmniejsza rzecz okazywała się bardzo ważna. Mógł przeżyć także z innych powodów: kiedy Zmora Sokołów opanował jego ciało, An’desha uciekł, chowając się we własnym umyśle, zamiast opierać się napastnikowi. Potem zaś, głęboko ukryty, nie próbował pozbyć się ciemnego adepta.

„To dziwne, ale większość z tego, co robił Zmora Sokołów i inne jego wcielenia, to spaczona wersje postępowania skądinąd bardzo szlachetnego. Tak jakby nie potrafił tworzyć, tylko niszczyć, wykrzywiać i deprawować.”

Było to prawda zwłaszcza w odniesieniu do sposobu, w jaki Zmora Sokołów manipulował umysłami i sercami ludzi, włączając w to jego własną córkę, Nyarę. Oprócz posłuszeństwa płynącego ze strachu Zmora Sokołów potrafił wzbudzić w swych sługach szczerą przywiązaną. W rzeczy samej, kiedy An’desha sięgnął do najstarszych wspomnień Ma’ara, odkrył, iż ten rzadko — jeśli w ogóle — rządził siłą. Potrafił przekonać swych podwładnych, że dba o ich dobro i że jest najlepszym przywódcą. Jeśli można zaufać tym wspomnieniom, niektórzy z nich uwielbiali go tak, iż własnym ciałem zasłoniliby go przed mieczem skrytobójcy.

W porównaniu z tym relacja pomiędzy Zmorą Sokołów a Nyarą, opierająca się na miłości, nienawiści i pożądaniu, była niezbyt wyszukana, nawet prostacka.

„Cieszę się, że Nyara i Skif zostali wysłani jako posłowie do k’Leshya. Skif nie miał wiele do zrobienia, a Nyara nie czuła się tu najlepiej. Potrzeba zresztą też. Pewnie bała się, że pewnego dnia Kerowyn spełni swoją groźbę i wrzuci ją do

studni.” Uśmiechnął się do siebie. Dwie tak silne — żeby nie powiedzieć arogancie — kobiety, jak Kerowyn i miecz zwany Potrzebą, nie mogły przebywać blisko siebie, nie prowokując konfliktów. To dobrze, że Skif, Nyara i Potrzeba wyjechali. K’Leshy przyda się wiedza Skifa, miecz znał magię starszą niż ich własna, a Nyara na pewno lepiej się będzie czuła w miejscu, w którym przebywają istoty o wiele dziwniejsze od niej.

To, co Zmora Sokołów zrobił swojej córce, kierując się tylko emocjami, było złe i wypaczone według wszelkich norm. Jak wiedzę o budowie i funkcjonowaniu ciała można wykorzystać do uzdrawiania — czy zdolności Zmory Sokołów do manipulacji emocjami i umysłami nie można użyć w dobrym celu?

Czy nie tak właśnie postępowali Ulrich i Karal wobec An’deshy, chcąc mu pomóc?

W zamyśleniu zagryzł wargę. Czy Zmora Sokołów nie był czymś... czymś w rodzaju złego kapłana?

„Na pewno stał na tym samym poziomie. Dobry kapłan ma za zadanie prowadzić wiernych i pomagać im stawać się lepszymi; Zmora Sokołów używał podobnych metod przekonywania.”

W kolegium zabrzmiały dzwony oznajmiające porę kolacji. Oznaczało to, że biblioteki w pałacu i kolegium są puste, a obie miały przytulne czytelnie z kominami — w tej chwili na pewno lepsze do rozmyślań niż ogrody! Niedługo zapadnie zmrok, szare światło dnia gasło w gęsty, szarogranatowy półmrok, wiatr stawał się coraz zimniejszy. Nos i uszy drętwiały, a wiatr przenikał przez najmniejsze szczeliny w płaszczu.

An’desha wrócił do pałacu, w przejściu skinął głową strażnikowi. Jedną korzyść z tego, kim był — wszyscy go rozpoznawali. Większość strażników przepuszczała go natychmiast, podobnie jak Sokolich Braci i gryfy.

Biblioteka pałacowa wydawała się lepsza — miała mniejszą czytelnię, a korzystali z niej głównie dworzanie. Nie było w niej powieści i tomów poezji, lecz głównie nudne kroniki oraz dzieła dotyczące języków, prawa i obyczajów. „Zawierają mnóstwo treści i informacji, ale równie trudno je strawić jak kamień — dostarczają mniej więcej tyle samo rozrywki.” Bibliotekę upchnięto pomiędzy salą zebrań rady a gabinetem seneszała, z którym miała tę samą ścianę kominową. Paliły się w niej tylko dwie lampy, ale ogień na kominku dawał mnóstwo światła i jak An’desha się spodziewał, w czytelni nie było nikogo. Mag wybrał sobie wygodne, miękkie krzesło, zarzucił na oparcie płaszcz, rozciągnął się na siedzeniu z jedną nogą przerzuconą przez poręcz i wpatrzył się w ogień.

„Zatem Ma’ar i jego inne wcielenia potrafili kontrolować i przekonywać ludzi — czy jest złem wykorzystywanie tych umiejętności do niesienia pomocy? Na przykład w łagodzeniu konfliktów — czy to też złe? Chciałbym, żeby ktoś mi w tym pomógł... chyba sam sobie nie poradzę.”

Kłopot w tym, że owe wspomnienia były zbyt bliskie; ponieważ widział

Ma'ara w działaniu, kusiło go, by uwierzyć w możliwość wykorzystania mocy dla dobra innych.

„Kiedyś ktoś powiedział mi, iż nawet śmiertelna trucizna może okazać się lekarstwem, jeśli używa się jej ostrożnie i ze znuwaniem.” Jak mała musiała być dawka perswazji, by nie łamała zasad etyki? Gdzie przebiega granica pomiędzy usiłowaniami pomocy ludziom a manipulacją?

Śpiew Ognia nie pomoże mu w tej rozterce, chociaż jest adeptem uzdrowicielem. Jego moc koncentrowała się na rzeczach realnych, nie sięgała w świat duszy, serca i ducha. Kiedy An'desha zapuszczał się w tak zwany przez Śpiew Ognia „mystycyzm”, Sokoli Brat wpadał w rozdrażnienie. Pomimo silnego przekonania o intuicyjnej naturze magii, Śpiew Ognia był bardzo praktyczny i nie zajmował się mistyką.

„Chciałbym zapytać Karala, ale on ma i tak dużo na głowie. Boję się powiększać jego problemy; mogłoby się to okazać kroplą, która przepełni kielich.” Biedny Karal! Już i tak spoczywa na nim zbyt wielka odpowiedzialność.

„Może tę słodką damę, Talię?” Nie. Potrzebował raczej pomocy w rozwiązaniu problemów etycznych niż pociechy. W tej chwili przydałby się ktoś, kto był przyczyną jego kłopotów — szaman klanu. „Stary, nieustępliwy i twardy jak kamień, ale miał tak dobry kontakt z Gwiazdzistooką, że nie słyszałem, aby komukolwiek udzielił złej rady w sprawach ducha. I znał etykę swego powołania. . .” Nowy poseł Shin'a'in nie był szamanem, mianowano go tymczasowo, był bratem wodza klanu i An'desha nie lubił go jeszcze bardziej niż Karal. Gdyby żyła Querna! Jej nie wahałby się poprosić o pomoc.

„Gdybym tylko miał kogokolwiek, z kim mógłbym porozmawiać! Nie, nie kogoś. Szamana, kapłana. Nie wiem jednak, którym kapłanom mogę tutaj zaufać oprócz Karala, wolałbym porozmawiać z kimś, kto pochodzi z moich stron. Co za ironia! Wpakowałem się w kłopoty, uciekając przed szamanem, a teraz dałbym wszystko, żeby móc z nim porozmawiać.”

Ogień na kominku buchnął nagle wysokim płomieniem. An'desha podskoczył, kiedy w jego głowie rozległ się ciepły, głęboki śmiech, niesłyszalny na zewnątrz.

Wystarczy, że poprosisz, mały bracie — odezwał się myśl-głos, którego nie spodziewał się już usłyszeć, a w płomieniu przed nim ukazał się avatar Gwiazdzistookiej, którego znał jako Tre'valena. Ostatni raz An'desha widział awatary w Hardornie, kiedy jeszcze Zmora Sokołów kontrolował jego ciało. Mówiono mu, że awatary pojawiły się także w Valdemarze, kiedy jemu i Nyarze — kocim zmiennolicym — przywróciły ludzką postać. Tego jednak nie pamiętał. Pewnie na swoje szczęście — przy transformacji bowiem nie obyło się bez wielkiego bólu fizycznego, kiedy jego ukształtowane sztuką adepta ciało oderwano od kości i uformowano na nowo. Nawet włosy odmienił jeden podmuch magicznej mocy. Był to dar Gwiazdzistookiej za odwagę, ale nie ma zmian bez bólu.

Jak często wcześniej — choć nigdy w Valdemarze — Tre'valen przybrał postać ognistego jastrzębia, migoczącego i prostującego skrzydła w płomieniu kominka.

Cieszę się, że dotarłeś tak daleko, choć w twoim sercu nie ma teraz pokoju. Brakowało nam rozmów z tobą. Wierzę, braciszku, że możemy ci pomóc...

Śpiew Ognia przemierzał salon ekele, od czasu do czasu spoglądając przez okno na nagie, poruszone wiatrem gałęzie drzew. Jego twarz o wysokich kościach policzkowych była zachmurzona. An'desha znów wyszedł. Młody Shin'a'in spędzał coraz mniej czasu w ekele — zupełnie inaczej niż dawniej, kiedy Śpiew Ognia nie mógł namówić go na przekroczenie drzwi prowadzących z ogrodu na zewnątrz.

„Zmienił się. Nadal się zmienia.” Obie myśli nie bardzo mu się podobały. Nie podobał mu się kierunek zmian, poza tym zupełnie nie wiedział, jak sobie z nimi poradzić.

An'desha niepewny siebie, oczekujący od Śpiewu Ognia odpowiedzi i zapewnienia bezpieczeństwa w obcym, przerażającym świecie... to było takie przyjemne! Dawało magowi miłe uczucie bycia potrzebnym. Nikt dotąd tak go nie potrzebował, choć wielu go pragnęło. Sama zależność An'deshy była całkiem atrakcyjna.

Z drugiej strony, taki związek czasami drażnił i ograniczał — Śpiew Ognia nie mógł nawet w żartach flirtować z Mrocznym Wiatrem, gdyż An'desha wpadał we wściekłość.

Jednak na ogół było to bardzo, bardzo miłe.

Sumienie powiadało, że było to nawet bardziej niż miłe.

„Przyznaj się. Posiadanie takiej władzy nad kimś sprawiało ci dużą przyjemność. An'desha z chęcią zostałby twoim niewolnikiem, gdybyś tego zażądał.” Skrzywił się lekko — głos sumienia trafił w sedno.

An'desha przypominał wtedy rozbitka uratowanego z katastrofy, który nie umie pływać i całkowicie powierza swoje bezpieczeństwo Śpiewowi Ognia.

Komnata, po której się przechadzał miała dwanaście kroków długości, a jeśli się nie chciało wpaść na ścianę — dziesięć. „Bardzo mi się to podobało: zupełnie bierny An'desha składający całą odpowiedzialność na mnie.”

No, może nie całą. Już wtedy An'desha wykazywał przebłycki upor, choć nie zawsze w najlepszych momentach. Pamięć i sumienie Śpiewu Ognia również to mu podsunęły.

„Dość chodzenia!” Nadąsany rzucił się na sofę i leżał z włosami i jedną nogą luźno zwisającymi na bok, wpatrując się w sufit. Ściemniało się, ale on nie zadał sobie trudu, by zapalić lampy, chociaż mógł to zrobić jedną myślą. Jego więz-ptak patrzył na niego z ciekawością z wysokości żerdzi, lecz kiedy Śpiew Ognia

nie przejawiał chęci podrapania go, ptak ziewnął i wrócił do czyszczenia piór. Przy każdym potrząśnięciu i nastroszeniu pióra migotały jak usiane klejnotami, kiedy zaś ptak siedział nieruchomo, jarzyły się słabym blaskiem. Aya wydawał się zawieszony w powietrzu, gdyż w półmroku żerdzi nie było go widać — wyglądał jak świecący, pierzasty duch.

Śpiew Ognia wiele razy tracił cierpliwość, kiedy An'desha odmawiał zanurzenia się we wspomnienia poprzednich wcieleń, pozostawione przez Mornelithe'a Zmorę Sokołów. Choć w oczywisty sposób stanowiły one klucz do rozwiązania zagadki przeszłości, An'desha wzbraniał się przed tym w obawie, iż powrót do nich może przywołać ponownie ciemnego adepta. Śpiew Ognia poniósł porażkę, gdyż to Ulrich i Karal przekonali młodego maga, że zagłębienie się we wspomnienia nie grozi niebezpieczeństwem przemiany An'deshy w kolejnego Zmorę Sokołów.

„Z drugiej strony — nie jestem kapłanem, nigdy nie zetknąłem się z opętaniem, więc nie mogłem przekonać go, że wiem, co mówię.” Może to właśnie wtedy zaczął się rozłam. W każdym razie było to zwycięstwo Karala.

„Niemał wszyscy wierzą, iż pamięć o kimś podtrzymuje życie tej osoby. Zatem jak An'desha mógł wątpić, że przywoływanie pamięci złego adepta nie podtrzymuje przy życiu jego duszy? Nawet kiedy wielokrotnie zapewniałem go, iż własnoręcznie, choć w duchowej postaci, zniszczyłem Zmorę Sokołów? Kolejna porażka.”

A było ich więcej...

Śpiew Ognia nie zdołał również przekonać An'deshy, iż powinien uczyć się wykorzystywać magiczną moc, z którą się urodził, oraz spożytkować umiejętności, jakie nabył Zmora Sokołów, kontrolując jego ciało. To już nie drażniło, ale przerażało. Póki An'desha odmawiał nauki opanowania i używania mocy, była ona niebezpieczna — gdyż w chwili słabości górę mógł wziąć instynkt.

„Nie potrafiłem przekonać go, że ignorowanie mocy stwarza większe zagrożenie od uczenia się kontrolowania jej. Zmora Sokołów nad wieloma rzeczami nie panował, częściej działał pod wpływem impulsu niż według planu. Usiłowałem mu pokazać, że poddawanie się impulsom stało się jego drugą naturą i jeśli nie nauczy się kontrolować mocy, ona przejmie nad nim władzę.”

To Karal wymyślił, jak udowodnić An'deshy, iż panuje nad sobą wystarczająco, by móc korzystać z mocy, nie nadużywając jej — sprowokował jego gniew aż do stanu, w którym, gdyby An'desha się nie opanował, mógłby zmiażdżyć młodego kapłana. „Muszę przyznać — to z jego strony była spora odwaga. Nie jestem pewien, czy zaufałbym zdolnościom i opanowaniu An'deshy w takiej sytuacji, a przecież ja z nim mieszkam. No... mieszkalem.”

Śpiew Ognia wypróbował inne sposoby perswazji, ale młody człowiek nie dał się przekonać kochankowi. Kłopot w tym, że Karalowi dał się przekonać — ponieważ wszystkie jego pomysły sprawdziły się.

„Niech go szlag.”

Teraz An'desha, upojony sukcesem i zachęcony przez Karala-niech-go-szlag, szukał odpowiedzi u innych źródeł. Nagle już mu nie wystarczało przewodnictwo i rady kochanka. Zwracał się w kierunkach — często o wyraźnie mistycznym zabarwieniu — których Śpiew Ognia nie rozumiał i nie wybrałby dla siebie.

„Takie już moje szczęście — na przyjaciela wybrał sobie kapłana. Kapłani czynią ludzi takimi. . . głębokimi.”

Karal nie był kochankiem An'deshy. Po pierwsze — nie był w jego typie, po drugie — o ile Śpiew Ognia mógł powiedzieć, a rzadko się mylił w sprawach preferencji seksualnych — Karal pod tym względem znajdował się na przeciwnym końcu skali niż shay'a'chern. Może na tym polegała jego przewaga nad Śpiewem Ognia — An'desha wiedział, iż pomagając mu, Karal nie miał na uwadze własnych celów.

Po raz kolejny sumienie podszeptało magowi, że nakłaniając An'deshę do działania czy myślenia, niemal zawsze miał dodatkowy cel na oku. Oczywiście najbardziej chodziło mu o dobro An'deshy. Jednak jego dobro nie kolidowało z interesami Śpiewu Ognia.

„Całkiem zgrabnie potrafię przekonać o tym samego siebie. Ciekawe, czy przekonałbym kogoś innego.”

W bezsilnej złości zazgrzytał zębami i wpatrzył się w zwisającą z sufitu lampę. O tej porze tworzyła ona tylko okrągły cień na jaśniejszym suficie. Wkrótce będzie trzeba zapalić lampy, jeśli nie chce potykać się w ciemności.

„Zatem co mam teraz zrobić? Czy mam go stracić? Czy on nie widzi, co do niego czuję? Przecież ja się do niego niemal wyraźnie zalecałem. Właściwie — wyraźnie się zalecałem.” Była to denerwująca sytuacja, gdyż nigdy dotąd Śpiew Ognia nie musiał starać się, by przyciągnąć czyjaś uwagę; zawsze to do niego się zalecano i starano się zyskać jego względy.

Teraz jednak role się odwróciły. Śpiew Ognia wychodził ze skóry, usiłując utrzymać zainteresowanie An'deshy — i nie udawało mu się to. „Teraz wiem, jak musiał się czuć Deszczowy Ptak, kiedy nie zwracałem na niego uwagi. Ale co mam zrobić? Jak go odzyskać?”

Znał metodę, która mogłaby pomóc — zwłaszcza że umiał się nią doskonale posługiwać. Oczywiście nie korzystając z magii. „Mógłbym uwodzić go, aż zapomniaby o wszystkim. Omotałbym go zmysłowością tak, że nie miałby siły myśleć o czymkolwiek ani kimkolwiek innym.”

Byłby to dobry sposób — ale tylko na krótko.

„Niestety, z doświadczenia wiem dobrze, jak długo działa podobna taktyka” — pomyślał ponuro. „Urok trwa tak długo, jak długo uwodzicielowi starcza energii. A uwodziciel traci energię szybciej niż uwiedziony.”

Poza tym An'desha nie był głupi, a jego natura nie koncentrowała się na seksie i zmysłowości. Jeśli chodzi o plany Śpiewu Ognia, kłopot polegał na tym, że

umysł An'deshy obudził się i rozwijał. Nie zamierzał znów usnąć, a taki umysł wymagał czegoś więcej niż zmysłów, by wytrwać w związku bardzo długo.

Stąd płynęła następna pokusa. Śpiew Ognia nie był w ścisłym tego słowa znaczeniu uzdrowicielem umysłów, ale posiadał wiele przydatnych umiejętności, a jednym z jego mniejszych darów była empatia. Wiedział na tyle dużo, by móc, jeśli chciał, zapanować nad rozbudzonym umysłem i ponownie go uspić — lub sparaliżować. „Przy mojej wiedzy tak łatwo byłoby zacząć nim manipulować... Znam wszystkie jego słabości, lęki, wszystko, co go porusza i sprawia mu przyjemność.” Tak, łatwo byłoby określić go sobie wokół palca.

To była silna pokusa, ale...

Skrzywił się, a żołądek podszedł mu do gardła.

„To też nie jest rozwiązanie. To jest złe, wiem. Ojciec wpadłby w gniew, a matka... wiem, co by powiedziała, gdyby dowiedziała się, że choćby myślałem o czymś takim.” Zadrzał — stawiał czoło potworom, magicznym burzom i Zmorzom Sokołów, ale nic nie przerażało go tak, jak to, że mógłby stanąć przed matką, mając nieczyste sumienie.

Znów się skrzywił, tym razem na swoją głupotę. „Nie obchodzi mnie, co inni myślą na mój temat, ale niech bogowie mają mnie w swej opiece, jeśli matka się o tym dowie...”

„Bogowie, a jeśli dowie się także drogi przodek Vanyel?” Znów zadrzał, nie chciałby, żeby tak się stało. Chociaż z dwójga złego wolał stanąć oko w oko z rozścieszonym duchem niż z matką w stanie słusznego gniewu.

Westchnął i położył ramię na oczach, czując, że bycie Zmorą Sokołów, który nie musiał się przejmować matką i sumieniem, to nie najgorsza rzecz.

„Zapewne dlatego ich droga jest łatwiejsza. Cóż, ja mam sumienie i nic na to nie poradzę.” Nie mógł użyć swego umysłu i magii po to, by znów skłonić do siebie An'deshę. Poza tym, że złe, było to też głupie. Niezależnie od tego, co by zrobił, po takiej zabawie z umysłem nie miałby przy sobie prawdziwego An'deshy. Więc po co to wszystko? Jeśli chciał zabawki, mógł równie dobrze wybrać kogo, stajennego albo pazia. To również nie byłoby dobre i to również nie byłby An'desha.

Z trudem przełknął ślinę. „W takim razie, do czego to wszystko prowadzi? Zostaję sam, gdyż An'desha spędza coraz więcej czasu beze mnie. A ja muszę się uśmiechać i udawać, że nic się nie dzieje.”

Najwyraźniej będzie miał dużo czasu do wykorzystania, skoro An'desha oddała się coraz bardziej. Ale co więcej mógłby zrobić? Jedyńy sposób to konfrontacja, a to tylko przyspieszy jego odejście.

Na ogół niełatwo poddawał się depresji, ale teraz w gardle utkwilo mu coś twardego i dużego; usiłował przełknąć rozpacz. „Myślałem, że wreszcie znalazłem kogoś, z kim mógłbym spędzić resztę życia — i znów nic z tego nie wyszło.” Melancholia tak go przytłoczyła, jakby nigdy więcej nie miał się podnieść.

Ludzie patrzyli na niego, widzieli, że jest przystojny, uzdolniony i inteligentny, i wydawało im się, że wszystko, o czym zamarzy, wpada mu w ręce. Nie wiedzieli, nawet nie potrafili sobie wyobrazić, z jakim trudem zdobywał przyjaciół, nie mówiąc już o kochankach — nie mieli pojęcia, jaki był samotny. Łatwo znaleźć kogoś, kto zajmie miejsce w łóżku — nie sposób zaś znaleźć tego, kto potrafi wypełnić serce. Łatwo o przelotnych kochanków, ale odpowiedzialność to znacznie rzadszy klejnot.

„Chyba najlepsze, co mogę zrobić, to pracować” — pomyślał. „Jeśli zajmuje czymś umysł, serce zwykle daje mi spokój.” Ta metoda w przeszłości zawsze się sprawdzała, a bogowie wiedzieli, że teraz wszyscy mieli wystarczająco dużo kłopotów ze znalezieniem osłony przed burzami, która zastąpiłaby falochron.

„Powinienem starać się pomóc Mrocznemu Wiatrowi, Elspeth i valdemarskim rzemieślnikom.” Powinien — rzeczywiście, tak nakazywała logika. Ale to robił An'desha, gdyby więc Śpiew Ognia poszedł w jego ślady, nieuchronnie byłby skazany na jego towarzystwo. An'desha mógł sobie lubić rzemieślników, ale Śpiewowi Ognia przywodzili oni na myśl mrówki i pszczoły — logiczne, doskonale zorganizowane, lecz pozbawione duszy istoty. Ich magia sprowadzała się do dźwigni i mechanizmów; była przewidywalna i całkowicie sztuczna.

„Poza tym Mroczny Wiatr i Elspeth są o wiele lepsi w tym nowym podejściu do magii. Najwyraźniej dla nich nie jest to sztuczne. Nie potrafię polubić rzemieślników. Nie potrafię nauczyć się metod ich działania ani podziwiać sposobu ich myślenia.” Ich dziwne, mechaniczne podejście do tego, co — jak wciąż w głębi duszy czuł — było procesem częściowo instynktownym, częściowo sztuką, a częściowo wreszcie improwizacją, odzierało magię z jej urody i dreszczu emocji, jaki odczuł, kiedy po pierwszy zaczął używać daru. Jaki sens miała magia pozbawiona swej urody?

„Sprowadzili poezję do formułki matematycznej. Ale znajomość formułki nie oznacza, że potrafi się napisać wiersz — można jedynie produkować rymy.”

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej buntował się całą duszą i sercem. Przedtem naprawdę starał się z nimi pracować, ale koniec końców nikt nie był z tego zadowolony — ani on, ani oni.

„Ciągłe usiłują znaleźć sposób na mierzenie rzeczy, które powinno się odczuwać. Nie da się zmierzyć miłości, żaden instrument nie zważy smutku i nie powinno się próbować mierzyć magii!”

Przed chwilą melancholia przygięła go do ziemi, teraz zaś podniósł się, owładnięty nagłym gniewem. Ze stłumionym przekleństwem poderwał się z sofy i na oślepie zaczął miotać mocą, zapalając wszystkie lampy z ostentacyjnym błyskiem. Aya podskoczył, wydał mało melodyjny rozdrażniony pisk i nastroszony z powrotem przysiadł na żerdzi, patrząc na swego opiekuna szparkami błękitnych oczu.

Śpiew Ognia nie zwrócił na niego uwagi, chociaż czuł zdenerwowanie ptaka w wydawanych przez niego mentalnych pomrukach. Było to zarówno odbicie jego

własnych uczuć, jak i gniewu samego ptaka. Negatywne emocje Śpiewu Ognia zawsze wywoływały podobne odczucia u jego więź-ptaka.

Może lepiej będzie zejść z oczu Ayi, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli.

„Przyda mi się gorąca kąpiel.” Wymoczenie się w gorącej sadzawce w ogrodzie przynajmniej ulży napiętym mięśniom. Jeśli nie zrobi wszystkiego, by się rozluźnić, do jutra nabawi się bólu głowy.

Odwrócił się gwałtownie i zbiegł po spiralnych schodach na dół ekele. Tutaj oszronione szklane lampy, umieszczone pomiędzy liśćmi, jak małe księżycy oświetlały cuda miniaturowej Doliny Sokolich Braci. Rzadkie rośliny rozpościerały liście w całej komnacie, z czterech stron zamkniętej ogromnymi oknami od ziemi do sklepienia. Śpiew Ognia formował skały i rośliny tak, że ostatecznie trudno było uwierzyć — zwłaszcza wieczorem — że jest to zakątek Łąki Towarzyszy w Valdemarze, a nie ustronie w prawdziwej Dolinie. W końcu, po przyśpieszonym wzroście, winorośl pokryła ściany między oknami, drzewa i krzewy zarosły szyby, a liście zasłoniły sufit. W wolnych chwilach Śpiew Ognia umieścił na sklepieniu maleńkie punkciki pochłaniające światło słoneczne w dzień i oddające je w nocy, przez co przypominały gwiazdy.

Środek dolinki zajmowała sadzawka zasilana gorącym źródłem, które Śpiew Ognia wydobył na powierzchnię ze skał głęboko pod Przystanią. Było to źródło ciepła częściowo naturalne, częściowo magiczne, osłonięte równie pieczołowicie jak kamień-serce pod pałacem. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął Śpiew Ognia, było nagłe zamrożenie lub zagotowanie wody w sadzawce, co mogło się zdarzyć przy szalejących magicznych burzach.

Kiedy szedł, zrzucił już z siebie ubranie, zostawiając za sobą szlak porzuconych części garderoby, póki nie dotarł do sadzawki i nie zanurzył się cały. Szkoda, że nie było tu hertasi, będzie musiał sam wszystko sprzątnąć. Ale przez chwilę nie miał ochoty być rozsądny.

Według legendy to Urtho, Mag Ciszy, pierwszy odkrył sposób budowania sadzawek.

„Hm. Według legendy Urtho odpowiada także za odkrycie koła, oswojenie konia i gotowane mięso.” Śpiew Ognia po brodę zanurzył się gorącej wodzie, cynicznie rozmyślając nad nieskończoną liczbą legend dotyczących ostatniego z wielkich magów. Niektóre z nich twierdziły nawet, że Urtho osiągnął tak wielką moc częściowo dzięki temu, iż znalazł sposób na mierzenie i jak najlepsze wykorzystanie magii!

„Jakby Urtho był jakimś rzemieślnikiem! Nie sądzę. Urtho staje się tym wszystkim, co wyobraża sobie osoba, która o nim akurat opowiada.”

Tego właśnie argumentu użyły ostatnio gryfy: jeśli Urtho umiał mierzyć i logicznie traktować magię, dlaczego i Śpiew Ognia nie mógłby się na to zdobyć?

Oczywiście, jeśli ktokolwiek wiedział, czy pogłoski i legendy zawierają cho-

ciaż ziarno prawdy, były to gryfy i Kaled'a'in. Jedynie oni posiadali autentyczne kroniki wojen magów i czasów tuż przed wielkim kataklizmem. Ci, którzy stali się później Shin'a'in i Tayledras, uciekli bez takich źródeł. K'Leshya, klan, który przyjmował obcych, który zaopiekował się gryfami i w którym znaleźli schronienie zarówno zaufany mag Urtha, jak i jego główny kestra'chern — ten klan zasłużył na to, by przechować wszystkie kroniki w czasie ucieczki.

„A nawet jeżeli był rzemieślnikiem-adeptem? Dlaczego miałbym zmieniać moje metody pracy — jak dotąd doskonale mi służyły! Tylko po to, żeby naśladować kogoś, kto zmarł tysiące lat temu? Jeśli o to chodzi, to czy moje metody nie pokonały jego wroga, z którym on sam nie dał sobie rady?” Uśmiechnął się w obłoku pary, po raz pierwszy tego dnia czując swoją wyższość. „A zatem intuicja i kreatywność też mają zalety! Zapewne żaden z tych rzemieślników nie poradziłby sobie również z wykrzywionym kamieniem-sercem!”

Niech Elspeth i Mroczny Wiatr zachwycają się tym „nowym myśleniem”. Niech nawet An'desha rzuca się na nowinki, pozostawiając Śpiew Ognia za sobą, gdzieś w tyle. Czas pokaże, kto miał rację. „Metody tak zwanego t'złotego wieku nie zawsze są lepsze od tego, co wymyślono później. t'Złoty wiek może okazać się zwykłym miedziakiem albo wręcz odbiciem światła w śmieciach.”

Zamknął oczy i oparł się o rzeźbiony kamień. W tej chwili jedynymi rzeczami, jakie podziwiał An'desha, były umiejętności i fachowość. To dlatego tak cenił Karala i rzemieślników. Karal najwyraźniej udowodnił swoją wartość na granicy, a mistrzowie przekonali Shin'a'in, że w ich formułach i wzorach kryje się chłodne piękno oraz niezaprzeczalna logika.

Ale jeśli Śpiew Ognia znajdzie odpowiedź na dręczące wszystkich pytanie, czy nie odzyska w ten sposób względów An'deshy?

„Oczywiście! On zna metody pracy Zmory Sokołów i innych, ale nigdy nie przeszedł formalnego szkolenia Tayledrasów oprócz tej odrobiny, którą ja mu wpoilem! A jeżeli potrafię udowodnić, iż moje sposoby działają lepiej, z pewnością przybiegnie do mnie, błagając o naukę! Będę miał i jego uwagę, i podziw!”

To było rozwiązanie.

Widział już modelowy wodny stół. Nawet dla głupca było oczywiste, że odbicia fal są zbyt skomplikowane i nie nadają się do analizy. Rzemieślnicy sami skazywali się na porażkę.

„Może nie powinienem nawet próbować pracować z tym modelem, by nie narazić się na takie samo niepowodzenie — sytuacja jest zbyt skomplikowana. Może powinienem poczekać, aż osłony załamają się, i wtedy zaproponować moje rozwiązanie — w przerwie pomiędzy burzami.” Z pewnością pierwotny problem był o wiele prostszy do rozwiązania — różnica polegała jedynie na stopniu nasilenia zjawiska. „Częstsze i silniejsze magiczne burze, to wszystko. Czy An'desha mówił o tym, że Zmora Sokołów przewidywał coś w tym rodzaju i miał projekty obrony?”

Kiedy An'desha wróci wieczorem, może uda się go wciągnąć do rozmowy o tym. „To nie najlepszy temat na pogawędkę przed snem, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co on czuje wobec Zmory Sokołów. . .”

W pewien sposób Śpiew Ognia podziwiał Zmorę Sokołów — a raczej mistrzostwo, na jakie ten się zdobywał w rzadkich chwilach przytomności.

To nie całkiem prawda: Śpiew Ognia podziwiał najczystsze i najbardziej normalne umiejętności Ma'ara. Z pewnością Ma'ar umiał tworzyć. Stworzył własne istoty bojowe, chociaż poświęcił elegancję na rzecz skuteczności i wdzięk dla brutalnej siły. Jednak makaary posiadały inteligencję — w przeciwnym wypadku nie przeżyłyby w powietrzu nawet minuty, stawiając czoło gryfom.

Co do sekretu nieśmiertelności Ma'ara. . . Na swój sposób był najbardziej elegancki, choć An'desha na pewno miał na ten temat inne zdanie.

„A on ma największe prawo ze wszystkich istot na świecie, żeby mieć własną opinię w tej kwestii” — pomyślał Śpiew Ognia sarkastycznie. Z wszystkich żyjących ludzi tylko dwóch wiedziało dokładnie, w jaki sposób Ma'ar przeżył tyle czasu od swojej śmierci — a każde jego wcielenie zdołało przeżyć o wiele dłużej, niż mogłoby zgodnie z prawami natury, bez właściwego umierania i ponownych narodzin. Jednak i ten system miał swoje wady.

„Po pierwsze, składa się swoją duszę w ręce wyższych potęg, a jeśli nie było się wyjątkowo grzecznym, raczej nie ma się na to ochoty. Po drugie, jak się wydaje, jedynie nieliczni, którzy przez to przeszli, pamiętają poprzednie życie. I w końcu — z tego, co wiem, nie ma się wyboru co do tego, w jakiej postaci się odrodzi.”

Oczywiście, jeśli się było dobrym i uczciwym, nie trzeba się tym martwić. „Jednakże Ma'ar był niezłym łobuzem, a jego charakter pogarszał się w każdej kolejnej postaci. Musiał pamiętać, kim był poprzednio, gdyż inaczej straciłby lata na powtórne uczenie się magii. Musiał wybierać, w kogo się wcieli, inaczej ciało nie zdołałoby poradzić sobie z magią. I z pewnością nie chciał ingerencji wyższych potęg.”

Tak przynajmniej sądził Śpiew Ognia. Oczywiście An'desha zna wszystkie tajniki Zmory Sokołów, ale wątpliwe, czy kiedykolwiek będzie chciał o tym mówić.

„A jednak to bardzo sprytny — wręcz doskonały plan. A ja potrafię ocenić jego poziom.” Tylko on i An'desha wiedzieli, jak działał ów plan: An'desha — ponieważ znał go od wewnątrz, Śpiew Ognia — gdyż zniszczył samą jego podstawę.

Ma'ar Zmora Sokołów unikał wyroku losu przez stworzenie dla duszy i jaźni kryjówki w próżni — w miejscu pomiędzy bramami, gdzie nie można odróżnić ducha od materii. Uniknął prawdziwej śmierci, wykorzystując olbrzymie ilości energii uwalniane podczas gwałtownej śmierci jego kolejnych ciał, by wystrzelić prosto do kryjówki i zaszyć się w niej, póki ktoś — pochodzący z jego krwi

i spełniający całą listę warunków — nie spróbuje zaklęciem rozpalić ognia. To zaklęcie uwalniało ducha i wrzucało go, z niemal nie naruszonym zapasem energii, w nowe ciało.

„An'desha powiedział, że nie znalazł ani jednego wcielenia, w którym Zmora Sokołów nie zostałby zamordowany albo nie popełnił samobójstwa. Faj. Facet musiał być masochistą, oprócz tego, że był sadystą.” Oba rodzaje śmierci wyzwalały nieprawdopodobną ilość energii, w zupełności wystarczającą do wykonania sztuczki.

Śpiew Ognia znał cały proces równie dokładnie jak An'desha, ponieważ to on ścigał ducha Zmory Sokołów do kryjówki, którą zniszczył, tak jak zniszczył samego maga, rozbijając jego ducha na atomy i rozsiewając je w próżni. Zapewne wyższe potęgi potrafiłyby złożyć Zmorę Sokołów z powrotem, ale dla swoich własnych celów — zapewne ciemny adept odrodziłby się w postaci, która nawet jego wprawiłaby w przerażenie.

„Na przykład jako bezradny kaleka, nie mogący zrobić kroku o własnych siłach, głuchy i ślepy, całkowicie pozbawiony magii i magii umysłu, który spędza całe życie w bólu. Albo jako chrząszcz gnojownik, ślimak albo chmara komarów.”

To jednak już nie była sprawa Śpiewu Ognia. Nie musiał się przejmować tym, co stanie się ze szczątkami ducha Zmory Sokołów, dopóki ciemny adept nie zdoła powtórzyć swojej sztuczki, dzięki której wymykał się jak piskorz w ciągu wielu lat.

A jednak był to sprytny pomysł — to przynajmniej Śpiew Ognia musiał przyznać. I w końcu — gdyby Zmora Sokołów nie był taki, jaki był, Śpiew Ognia najpewniej nigdy nie spotkałby An'deshy.

Przez chwilę mag zabawiał się w co-by-było-gdyby...

„Zapewne mógłbym go spotkać, ale wtedy byłby w wieku moich rodziców, a mnie nigdy nie pociągali starsi mężczyźni. Wciąż zapominam, że jego prawdziwy wiek i wiek formalny bardzo się od siebie różnią.”

Bogini Shin'a'in i Tayledrasów w osobie swoich avatarów zwróciła An'deshy ciało, które ukradł Zmora Sokołów. Przywrócili mu stan, w jakim znajdował się w chwili napaści, kiedy miał siedemnaście lub osiemnaście lat, może trochę mniej, ale na pewno nie więcej. Zresztą An'desha spędził tyle czasu ukryty we własnym umyśle, w stanie przypominającym letarg, iż nie miał doświadczenia, które odpowiadało jego formalnemu wiekowi. Emocjonalnie był tak młody, jak na to wyglądał.

„Albo jak był.”

Śpiew Ognia zlizzał słony pot z wargi i rozważał wyjście z kąpieli. „Jeszcze trochę. Im dłużej tu siedzę, tym bardziej odpoczywają mi mięśnie i tym później znów zwiną się w supły.”

Skoro już rozmyślał o Zmorze Sokołów, powinien raczej przywołać uciekające wspomnienia Ma'ara i spróbować dotrzeć do sposobu, w jaki ciemny adept

zabezpieczył swój kraj przed skutkami magicznych burz, które pojawiły się po śmierci Urtha. To tam należało szukać rozwiązania ich własnych kłopotów.

Jednak myśli wciąż powracały do eleganckiego schematu: kryjówka — opętanie — kryjówka. Był taki sprytny! I nikt nie wiedziałby, co się dzieje, gdyby An'desha nie znalazł sposobu, żeby przeżyć w ciele przejętym przez Zmorę Sokołów.

„Zastanawiam się, jakie warunki musiał spełniać kandydat, poza potencjałem adepta. Przypuszczam, że byli to samotnicy, inaczej ich nowa osobowość wzbudziłaby podejrzenia.”

Jeśli istniałby sposób powracania na świat drogą bardziej etyczną, w samym planie nie byłoby nic złego. „Tak, ale jak w etyczny sposób zastąpić jedną duszę drugą, hm?”

Wciąż powracał do tego tematu, powracał, wspinając się po schodach na mieszkalne piętro ekele. Gdyby tylko znalazł sposób. . .

Z tego, co wiedział, dzieci w łonie matki nie mają jeszcze duszy — otrzymują ją dopiero z pierwszym oddechem. A jeśli udałoby się wślizgnąć tuż przed decydującą chwilą?

„Oznaczałoby to zmarnowanie pewnego czasu na proces dorastania, ale i z tym można sobie poradzić. Przynajmniej mógłbym skrócić ten czas, chociaż z pewnością zaskoczyłoby to rodziców. Potrafię przyśpieszyć wzrost roślin, dlaczego nie miałbym zrobić tego z samym sobą? Byłoby to kolejne zastosowanie metod, których użył Zmora Sokołów, zmieniając swoje ciało.”

Idąc, rozczesywał palcami mokre włosy, przerzucając je do przodu przez ramię. Przez całe swe dorosłe życie pielęgnował skryte marzenie, które narodziło się w nim po usłyszeniu historii przodka Vanyela — jego trwającej przez wieki i wykraczającej poza czas miłości i więzi życia łączącej go z Tylendelem-Stefenem. Choć było to naiwne i sentymentalne, Śpiew Ognia tęsknił za tym, żeby znaleźć kogoś podobnego: przyjaciela duszy, połączonego z nim więzią życia. Szczerze wierzył, że tym kimś będzie An'desha.

Niestety nie wyglądało na to, by An'desha podzielał to przekonanie, a Śpiew Ognia był pewien przynajmniej jednego: osoby połączone więzią życia w przypadku rozłąki lub sprzeczki aż do bólu były świadome jej istnienia. Śpiewu Ognia i An'deshy taka więź nie łączyła — gdyby istniała, nie mieliby takich problemów jak teraz.

Przetrząsnął garderobę w poszukiwaniu czarnego kostiumu pasującego do jego nastroju i skrzywił się, kiedy jego dłoń natrafiła na jedną z tunik An'deshy w stylu Shin'a'in. „Coraz bardziej zwraca się ku Shin'a'in.” Samo to powinno mu podpowiedzieć, że między nimi nie ma więzi życia. Pary połączone więzią ubierały się podobnie, nawet o tym nie myśląc. Chociażby heroldowie Dirk i Talia — będąc poza służbą, zawsze wybierali te same kolory ubrań. Albo Sherril i Keren, które ubierały się jak bliźniaczki, chociaż Sherril wołała styl bardziej

elegancki, Keren zaś, kiedy tylko się dało, wkładała skórzany strój do konnej jazdy. An'desha wybierał stroje zupełnie różne od wykwintnych tunik i szat Śpiewu Ognia. Najczęściej były to jaskrawe, żeby nie powiedzieć pstre i rażące kolory, haftowane kamizelki, tuniki i spodnie lamowane tęczowymi taśmami, które tak kochali Shin'a'in.

Wkładając długą, jedwabną szatę, całą czarną, Śpiew Ognia westchnął. Nie, musiał wreszcie przyznać: to nie była więź życia. A jakakolwiek więź, która między nimi istniała, właśnie zaczęła gasnąć.

Więź życia to niesłychanie rzadkie zjawisko. Szansę na znalezienie drugiej połowy są niewielkie, niezależnie od tego, jak usilnie będzie się szukać.

Zatrzymał się z dłonią na drzwiach szafy, kiedy zaświtała mu myśl, której nie dało się uniknąć. Owszem, szansa na znalezienie partnera życiowego jest niewielka, jeśli żyje się tylko raz.

„Ale jeśli żyje się kilka razy?”

I jeśli zna się sposób na to, by wciąż powracać — wciąż jako ta sama osoba?

„A jeżeli znajdzie się etyczna metoda, żeby powracać w taki sposób, jak wracał Zmora Sokołów? Można wtedy szukać tak długo, jak będzie trzeba. A potem?”

Potem może uda się znaleźć sposób na to, by zawsze pozostać razem. Vanyelowi się to udało.

Czyż to nie fascynujące?”

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wielki książę Tremane wyjrzał przez okno swojej kwatery, poprzez pełne banieczek powietrza, kiepskie szkło, spoglądając w dół na rzędy namiotów z zapasami ustawione na dziedzińcu fortecy. „Bezpieczeństwo. Oto, co się tam znajduje, w solidnej, realnej postaci.” Same namioty również pochodziły ze zdobyczy. Kiedy tylko urzędnicy znaleźli je w spisach, a kwatermistrze odszukali odpowiednie skrzynie, książę kazał je rozpakować i postawić, po czym umieścić w nich to, co mogło przetrwać zimno i nie musiało być strzeżone.

Dziedziniec wypełniały namioty, zostawiając niewiele miejsca na przejście. Namioty stały również pomiędzy dworem a obozem. Część zdobyczy już rozdzielono. Obecnie każdy człowiek w armii miał potrójny komplet pościeli, koców i bielizny oraz podwójny komplet ciepłego ubrania. Teraz, gdyby musieli, przeżyliby ciężką zimę nawet bez baraków, choć na pewno nieuniknione byłyby przeziębienia, odmrożenia i inne tego typu kłopoty. To więcej, niż mieli wcześniej — gdyby spełniły się najgorsze przewidywania, wielu ludzi zmarłoby z zimna.

Książę nadal nie mógł uwierzyć, że wyprawa po zapasy tak bardzo się udała — ponad najśmielsze oczekiwania. W tej chwili wszyscy ludzie dostawali regularnie żołd, łącznie z obiecanyymi premiami za dodatkowe obowiązki, a morale wzrosło pomimo wciąż utrzymującej się złej pogody. Przydały się również ubrania i koce, które kazał dodatkowo rozdzielić między żołnierzy; w czasie nocnej inspekcji książę przekonał się, że zrobili z nich użytek. W każdym namiocie leżał kokon uwity z koców, z którego wystawał jedynie nos śpiącego, a dochodzące z niego pochrapywanie wydawało się pełne zadowolenia.

Złoto i srebro, które wpłynęło na lokalny rynek, także nie wyrządziło szkody. Książę cieszył się, że od razu zaczął walczyć z próbą wprowadzenia podwójnych cen. Każdy kupiec złapany na stosowaniu innej ceny wobec członków armii niż wobec miejscowych — jeśli różnica w cenie nie wynikała z niedołęstwa żołnierza — stawał przed sądem kupieckim i płacił karę równą czterokrotnej wartości różnicy cen. Połowa kary wędrowała do gildii kupieckiej, jedna czwarta do skarbu armii, reszta zaś do oszukanego klienta. Po napływie takiej ilości pieniędzy cesarscy zostaliby obdarci do gołej skóry, gdyby nie to, że podobna polityka obowiązywała już wcześniej.

Teraz najważniejszą sprawą stało się wykorzystanie świeżo zdobytych zapasów drewna do zbudowania magazynów na żywność. Ta praca zapewniała zajęcie ludziom, którym zabrakło sił, by pomóc przy wznoszeniu muru. Nawet niektórzy urzędnicy dołączyli do budujących, gdyż teraz nie mieli zbyt wiele pracy przy papierach cesarskich.

„Mamy trochę czasu, by odetchnąć. To najważniejsze. Duża część napięcia ustąpiła.”

Nieokreślone uczucie zagrożenia towarzyszące budowaniu muru nadal ich nie opuszczało. Żołnierze z pewnością myśleli o złej pogodzie, gdy spoglądali na swe namioty i zastanawiali się, czy płótno ochroni ich przed zawieją. Jednakże teraz nikt nie patrzył na codzienne racje żywności, zastanawiając się, czy zostaną zmniejszone, nikt nie liczył strzał, beczulek ołowiu na ostrza, ani oleju do lamp i piecyków. Dostali zaopatrzenie i wszyscy odczuli to.

Magowie z odnowioną wiarą we własne siły przystąpili do wykonywania nowych zadań. Najważniejsze było, rzecz jasna, znalezienie sposobu ochrony przed skutkami magicznych burz. Mur obronny rósł szybciej niż poprzednio.

A mała, wybrana grupka magów pracowała nad kolejną kwestią — znalezieniem źródła burz.

Tremane odwrócił się od okna, ale zamiast podejść do zarzuconego papierami biurka, usiadł wygodnie przed kominkiem. „Nigdy wcześniej nie czułem tak mocno wilgoci i zimna” — pomyślał. „Czy to wiek, czy też pogoda tak bardzo na mnie wpływa?”

Wpatrzył się w płomień i zaczął rozmyślać nad ostatnim raportem grupy magów, zdającym się potwierdzać jego niewesołe domysły. Magowie wyrazili w nim poważne wątpliwości, czy to rzeczywiście Valdemar powoduje burze — i przedstawili przekonujące argumenty.

„Nieliczni magowie Valdemaru dopiero zaczęli pracować w zespołach i według naszych danych ich działania nie są wystarczająco skoordynowane, by wywołać takie burze.” Jeśli ktoś znał się na pracy zespołowej, to niewątpliwie był to Sejanes. Stary czarodziej znacznie powiększył swą moc, po prostu znajdując odpowiednich magów do współpracy. Poza tym starał się, by nigdy nie czuli się wykorzystani i nie zechcieli go opuścić. Jeśli Sejanes twierdził, że Valdemarczycy zbyt słabo znali się na pracy w grupach, by osiągnąć odpowiednie rezultaty, Tremane zamierzał bez sprzeciwu zaakceptować jego zdanie.

„Valdemar odczuwał skutki burz tak samo jak my, a byłoby głupotą atakować przeciwnika bronią, która może w równym stopniu zaszkodzić temu, kto jej używa.” Cóż, sam doszedł do tego wniosku, więc nie stanowiło to dla niego zaskoczenia.

„Valdemar nigdy nie wyzwolił nie kontrolowanych sił magii na żadnym terenie, przynajmniej ich zewnętrzna polityka wyklucza taką broń.” Z tym stwierdzeniem także nie mógł się nie zgodzić. Wcześniej przestudiował strategie używane

dotychczas przez Valdemarczyków i nie znalazł w nich nic, co by wskazywało na podobne działanie. Szczerze mówiąc, przez całą wojnę z Ancarem stosowali taktykę czysto obronną.

Trudno mu było w to uwierzyć, ale Valdemarczycy byli ludźmi, jakich nie spodziewał się w życiu spotkać: prawomyślnymi, nie stosującymi oszustwa i podstępów wojownikami.

„Co oznacza, że źle ich oceniłem i niepotrzebnie wysłałem zabójcę.” Trudno. Nie miał zamiaru pokutować za to do końca życia. Zrobił to, co uważał za najlepsze w danej sytuacji. „Własny interes — oto, co nami kieruje...” Miał dość zmartwienia z zapewnieniem siły swoim własnym ludziom, a jeśli na drodze pocisków jego agenta stało kilku Valdemarczyków i ich sprzymierzeńców, cóż — na tym polega wojna.

Przynajmniej tak go zawsze uczono.

„Mniejsza z tym. Co zaś do magów, mogę właściwie kazać im zaprzestać ścigania tego zajęcia i wysłać w pogoń za bardziej obiecującą zwierzyną. Jeśli te rzeczy nie pochodzą z Valdemaru, to skąd? I dlaczego teraz?”

Ogień trzasnął i zasyczał, trafiając na wyjątkowo sękaty kawał drewna. „Drewno. Uczeni mają pomysł na budynki wymagające w budowie minimum drewna — to dobra wiadomość.”

Nowe baraki, podobnie jak mur obronny, miały podwójne ściany z cegieł, a przestrzeń między nimi wypełniano ziemią, sięgającą aż po krokwie. Nie miały okien, za to po dwie pary drzwi na przeciwległych krańcach. Konstrukcja dachu i framugi będzie z drewna, sam dach jednakże z grubej warstwy słomy, na wzór okolicznych wiejskich chat. Budynki będą przypominać stogi siana na niskim wzniesieniu. Jeśli śnieg za grubo przykryje dachy, można wysłać ludzi, którzy z łatwością je odśnieżą, choć niezbyt wielka ilość śniegu będzie dodatkową osłoną przed zimnym wiatrem. Budowniczym spodobał się ten plan, gdyż kominki umieszczone w ścianach bez drzwi z łatwością mogły ogrzać całe wnętrza.

„Możemy zacząć, kiedy tylko postawimy mur. Strzecha to słoma, a słomy jest pod dostatkiem. Ludzi do pokrycia dachów ściągnę chyba z miasta.” Cegieł miał mnóstwo, ziemi również. „Jeżeli będziemy mieli czas przed nadejściem śniegów, zbuduję więcej takich baraków bez kominków i z pojedynczymi drzwiami, jako magazyny na żywność. Wtedy będzie można rozebrać drewniane baraki i drewno zużyć do innych celów.”

Czy takie same budynki można wykorzystać jako wojskowe kuchnie? Będzie musiał zapytać. Albo jeszcze lepiej — umieści kuchnię w każdym baraku, a ciepło z pieca posłuży do ogrzania baraku.

„A co z łaźniami?” Żołnierze byli przyzwyczajeni do zdrowego trybu życia, a to oznaczało utrzymywanie czystości. Może znajdzie się dość materiału, by postawić tradycyjne łaźnie z piecami, z których będzie się korzystać według ściśle określonego rozkładu. „Ale jak je ogrzać i jak zagrzać wodę?”

A toalety? Jak daleko posunęły się prace nad nimi? Ludzie, którzy się na tym znali, zapewnili księcia, iż przed pierwszymi mrozami postawią latryny, które nie zanieczyszczą źródeł wody. Czy im się uda? Czy na biurku leży raport z prac? Nie pamiętał.

Niemal już wstał, by go poszukać, ale skusiło go ciepło kominka. Jeśli na biurku leżał raport, będzie tam i później, a jeśli nie, nie stworzy go z powietrza.

Nie tak jak kiedyś, kiedy byłoby to możliwe. „Kiedyś... hmm. „Kiedyś” to mniej niż sześć miesięcy temu.” Wydawało się, że minęło wiele lat, a sam komendant był już innym człowiekiem. Zrobił rzeczy, o jakich wielki książę Tremane nie ważyłby się nawet pomyśleć.

„Spaliłem za sobą wszystkie mosty.”

Mur będzie gotowy za kilka dni. Potem złączą się prace przy barakach. Chciał, żeby wszystko zostało zrobione od razu, ale pomimo licznej armii ludzi było wciąż zbyt mało i...

„Złoto. Przecież mamy złoto! Dlaczego nie miałbym wynająć miejscowych? Widziałem chłopców kręcących się tutaj, szukających pracy. Wprawdzie są to tylko chłopcy, starsi mężczyźni i kobiety, ale nie do wszystkiego potrzeba siły. O, do licha. Mamy złoto, ale muszę trzymać je w rezerwie dla moich oddziałów. Poza tym jak zachęcić miejscowych do współpracy? Jeszcze niedawno byliśmy wrogami. Jak sprawić, by mieszkańcy miasta i moi żołnierze pracowali razem? Jak?”

Zatrzymał się w rozważaniach, uświadamiając sobie, iż planuje dość daleką przyszłość. Nowe baraki nie miały przetrwać jednego sezonu czy roku — budowniczy dostarczyli mu plany budynków, które postoją wiele lat. Nawet ludzie pracujący przy konstrukcji latryn również planowali je na dziesięciolecia.

Postanowił skupić się na tym, jak wynająć miejscowych i jak powstrzymać ich i żołnierzy cesarskich przed skoczeniem sobie nawzajem do gardeł. Jeśli uda im się nawiązać współpracę... właśnie w ten sposób Imperium tworzyło całość z różnorodnych ludów zamieszkujących zdobyte ziemie. Młodzi mężczyźni szli do armii, gdzie służyli przez określony czas razem z innymi pochodzącymi z miejsc, o których często nawet nie słyszeli. Kiedy skończyli służbę, wracali do domów, nie uważając już swoich współtowarzyszy za barbarzyńców czy obcych; umieli myśleć w kategoriach szerszych niż własna wieś.

„Nie mogę niestety powołać do wojska miejscowych. Po pierwsze — nie zgodzą się. Po drugie, nie ma kogo powoływać. Ancar wcielił do swojej armii wszystkich zdolnych do walki.”

— Panie! — W otwartych drzwiach stanął jeden z adiutantów i zaglądał ostrożnie do ciemnej komnaty. Oczywiście nie mógł dojrzeć księcia schowanego w cieniu wielkiego fotela. — Komendancie, jesteś tutaj?

— Tak. — Tremane wstał i zwrócił się do drzwi. Na twarzy adiutanta odbiła się ulga.

— Panie, przyszła delegacja z miasta. Nalegają na rozmowę, natychmiast...
— Uczynił gest bezradności. — Nie chcą zostawić wiadomości ani rozmawiać z nikim innym.

„Oczywiście, nigdy nie chcą.” Mieszkańcy miasta chyba nie umieli pojąć zasad sprawowania władzy. Najwyraźniej uważali, że jeśli nie porozmawiają bezpośrednio z komendantem, ich wiadomość nie dotrze do niego.

— Wprowadź ich natychmiast.

Książę przeszedł do gabinetu i siadł za biurkiem, a adiutant wyszedł. Czegokolwiek chcieli przedstawiciele miasta, czy było to ważne, czy nie, musiał znaleźć dla nich czas. Za wszelką cenę chciał utrzymać z nimi dobre kontakty, ale chciał również dać jasno — choć tak subtelnie, by tego nie wyczuli — do zrozumienia, że to on jest tu panem i on wyznacza granice ich autonomii. Może dlatego chcieli rozmawiać tylko z nim, może zbyt dobrze wykonał swoje zadanie.

A może po latach terroru Ancara nie wierzyli w nic, czego nie byli naoczniymi świadkami.

Czy będą to skargi? Ostatnio tak było, kiedy mieszkańcy domów położonych najbliższej budowanego muru narzekali na hałas i kurz. Tremane powiedział wówczas, iż takie uciążliwości przeminą, ale nie ma zamiaru zwalniać tempa robót przez ograniczenie czasu pracy do godzin dziennych. Ciekawe, odkąd przywieziono do miasta podobnego do pająka potwora, nikt więcej nie skarżył się na hałas. Szkoda, że miasto nie miało prawdziwych murów obronnych — ludzie schowani za nimi zwykle doskonale rozumieli ich przydatność.

Delegacja jak zwykle składała się z trzech osób: burmistrza oraz dwóch najważniejszych członków rady: reprezentanta gildii i rolników. Burmistrz, Sandar Giles, był o wiele młodszy niż ci, których Tremane widział na stanowiskach dowódczych. Był niepozornej postury, ze sztywną nogą, jednak kiedy tylko przemówił, ujawniała się jego błyskotliwa inteligencja. Szczupły i ciemny, wyglądał jak chłopak, choć Tremane wiedział, że zbliża się do trzydziestki. Najbardziej żywe były jego oczy, duże i pełne wyrazu; często ujawniały emocje, które zapewne wolałyby zachować dla siebie.

Zarówno przedstawiciel chłopów, jak i reprezentant gildii kupieckiej mogliby być jego dziadkami. Różnili się między sobą jedynie tym, że chłop miał twarz pomarszczoną i wysmaganą wiatrem po latach spędzonych na polu, kupiec zaś starzał się wolniej. Obaj mieli siwe włosy i brody, spuchnięte, zapewne przysparzające im wiele bólu stawy i byli pochyleni pod ciężarem lat. Pod krótko przyściętymi brodami rysowały się kwadratowe podbródki, a ostrożne spojrzenia nie ujawniały żadnych emocji.

Wszyscy trzej usiedli — obaj rajcowie okazywali Sandarowi niezwykły szacunek, czekając, aż usiądzie wygodnie, zanim zajęli miejsca naprzeciwko biurka Tremane’a. Książę wolał przyjmować cywilów w swym gabinecie niż w bardziej oficjalnej komnacie, gdyż panowała tu rzeczowa atmosfera, w której łatwiej było

dojść do porozumienia.

Wymienili zwyczajowe pozdrowienia; Tremane posłał po gorące napoje, wiedział bowiem, że Sandar jest bardzo wrażliwy na zimno. Kiedy tylko adiutant wyszedł z komnaty, komendant pochylił się ponad szerokim drewnianym blatem.

— Zatem dlaczego tak pilnie musieliście się ze mną zobaczyć? — zapytał, od razu przechodząc do rzeczy; w Imperium takie zachowanie wprawiłoby gości w osłupienie. — Mam nadzieję, że nie chodzi o skargi. Nie tylko nic nie poradzę na hałas budowy, ale i nie zamierzam nic z tym zrobić. Ścigamy się z zimą. Wierzę, iż do tej pory mieszkańcy przekonali się, jak bardzo potrzebujemy tych murów.

— Z pewnością nie skarga — a raczej nie skarga na ciebie czy twoich ludzi — odrzekł Sandar, zaciskając szczupłe dłonie na kubku *kava*, wciąż zbyt gorącej do picia. — Jeśli miałbym na coś narzekać, to z pewnością na pogodę.

Tremane uniósł brew. Sandar wzruszył ramionami.

— Mam nadzieję, że nie oczekujecie ode mnie lub od moich magów porady sobie z tym problemem — odparł rozbawiony ksiączę. — Chciałbym, by to było możliwe, równie mocno jak wy. Co nie oznacza, że kiedyś byśmy tego nie zrobili, ale teraz...

— Wiem, wiem, to te przekłete magiczne burze! — jęknął przedstawiciel chłopów, Devid Stoen. — Do licha, mieliśmy kiedyś trzech niezłych zaklinaczy pogody, którzy zapewniali nam przynajmniej kilka dni dobrej pogody w żniwa i całkiem dobrze przepowiadali zmiany aury. Ale to działo się przed tym, jak ten szczeniak Ancar przejął tron i wciągnął ich do armii! Jeśli już o to chodzi, kilku z nich przekradło się do nas tuż po naszym nadejściu i rozpoczęciu budowy, ale twierdzą, że nie potrafią już odczytywać pogody i że z powodu magicznych burz nie mogą nic zrobić!

Druga brew księcia podniosła się w ślad za poprzednią. Po raz pierwszy Hardorneńczycy oficjalnie przyznali się do obecności magów w mieście. Po raz pierwszy doniesienia jego szpiegów potwierdziły się. Czy przyznali się tylko z powodu bezradności magów? Czy też uznali, że i tak już o tym wie! Może po prostu Stoenowi wymknęło się niechcący?

— Jeśli nie możecie niczego zrobić i wiecie, że moi magowie też nic nie poradzą, to o czym chcecie rozmawiać? — zapytał ostrożnie. Nie chciał wspominać o zaklinaczach pogody. Jeśli powiedzieli o tym niechcący, nie chciał zwracać na to ich uwagi.

— Cóż — powiedział Sandar po chwili ciszy. — Jak na pewno zauważyłeś, brakuje w okolicy zdrowych, silnych młodych mężczyzn. — Pełnym ironii spojrzeniem omiół własne słabe ciało.

— Trudno tego nie zauważyć. — Tremane opuścił brwi. — Założyłem, że Ancar zaciągnął ich do armii i... — zahałał się, nie wiedząc, jak uprzejmie dokończyć myśl: „I użył jako mięso armatnie”.

— I pozbył się większości z nich — dodał Sandar. — Nieliczni wrócili z magami, ale większość zginęła w tej bezsensownej wojnie z Valdemarem i Karsem. W ten sposób zostałem burmistrzem: mój ojciec był jeszcze na tyle młody i na pewno na tyle sprawny, by zostać zwerbowanym, ja zaś od dzieciństwa pomagałem mu jako sekretarz. Wiedziałem tyle co on, więc z braku kogoś lepszego zostałem burmistrzem.

Tremane nie wiedział, co wzbudziło jego większą litość: ból, jaki zabrzmiał w głosie Sandara, kiedy tak spokojnie mówił o stracie ojca, czy jego rezygnacja, z jaką pogodził się z nową sytuacją. „Nie angażuj się za bardzo, Tremane. To nie są twoi ludzie i nigdy nie będą. Nie masz wobec nich żadnych zobowiązań oprócz tych, które wynikają z obecnej sytuacji, i to tylko w takim zakresie, w jakim może to wyjść na korzyść twoim oddziałom.”

— Zabrał niemal wszystkich zdrowych mężczyzn w wieku od piętnastu do czterdziestu lat — ciągnął Sandar. — I nie tylko z miast. . . wysyłał swych rzeźmieszków do każdego gospodarstwa i to nie raz, ale po kilka razy z rzędu. Można ukryć synów raz, dwa, nawet trzy razy, ale w końcu łapacze Ancara ich znajdowali. Zostaliśmy ze starcami, kobietami i dziećmi. W miastach nie jest to jeszcze takie straszne. W pracy wymagającej raczej umiejętności niż siły starcy i kobiety są równie dobrzy jak mężczyźni, a często lepsi. Jeśli chodzi o zadania wymagające siły. . . mieli dość pomysłowych rzemieślników, by wynaleźć sposoby, dzięki którym słabi mogli wykonać prace dwóch silnych mężczyzn. Ale na wsi. . . — wzruszył ramionami.

Wątek podjął Stoen.

— Krótko mówiąc, gospodarstwa potrzebują silnych ludzi, i to wielu — podsumował. — A my ich nie mamy. Faktem jest, że od czasu przejęcia tronu przez Ancara działo się coraz gorzej. Tego roku posialiśmy całkiem sporo. Mieliśmy szczęście, pogoda dopisała, chociaż nie można tego powiedzieć o innych rejonach Hardornu. W czasie wzrostu zbóż radziliśmy sobie jakoś, częściowo kosztem snu, a częściowo dzięki wykorzystaniu pracy dzieci — jeśli będzie ich więcej, wykonają pracę taką jak dorośli mężczyźni. Ale teraz są żniwa, pogoda jest zła, i muszę szczerze przyznać, panie — mamy kłopoty. Nie ma szans na zebranie więcej niż połowy zbiorów. Próbowaliśmy, dostaliśmy pomoc z miasta, ale. . . — Bezradnie rozłożył ręce. — Nie możemy zapłacić, a ludzie na ogół nie potrafią uświadomić sobie, iż jeśli teraz nie pomogą w polu, to do wiosny może zabraknąć żywności.

— A nie mogę nikogo zmusić do pracy — dokończył Sandar. — Mogę jedynie pokazywać skutki, ale jeśli nie pójda albo powiedzą: „Niech to zrobi ktoś inny”, nie mogę zebrać tych weteranów, którzy zostali ze straży i siłą wygnać ludzi na pole, by zbierali ziemniaki lub wiązali snopy.

— Ani ja — odezwał się mistrz złotnik, Bran Kerst. — Zwłaszcza nie wtedy, kiedy można zarobić na handlu z waszymi ludźmi, komendancie. Nie mogę nikogo prosić, by za darmo brodził w błocie na polu, skoro może nieźle zarobić na

sprzedaży piwa w mieście.

Zamiast zadawać oczywiste pytania, Tremane po prostu zaczekał, aż goście dotrą do sedna.

Stoen westchnął ciężko.

— Sprawa wygląda następująco: potrzebujemy pomocy przez kilka dni, najdłużej przez dwa, trzy tygodnie, inaczej zbiory zgniją na polach. Czy byłoby możliwe, byś posłał na pola swoich ludzi?

Tremane udał, że się zastanawia.

— Najpierw chce was o coś zapytać. Ilu ludzi w gildii jest całkowicie lub częściowo wykwalifikowanymi murarzami? My także mamy kłopot. Musimy skończyć nowe baraki i mur obronny, nim ochłodzi się za bardzo, by móc pracować. — Zanim Kerst zdołał powiedzieć cokolwiek, dodał: — Oczywiście będą normalnie opłacani. Praca pójdzie o wiele szybciej, kiedy przejmą ją ludzie, którzy się na tym znają, niż teraz, kiedy budują wojownicy, a nie murarze.

Kerst otworzył usta, potem je zamknął. Tremane czekał, czy ktoś się odezwie, po czym ciągnął:

— Będę z wami szczerzy. Mamy dość zapasów, by bez kłopotu przetrwać zimą, nie potrzebujemy nic kupować. Mimo to nie jestem głupcem i zdaję sobie sprawę z problemów, jakie powstaną, kiedy wy nie będziecie mieli jedzenia. Kiedy tylko skończą się wam zapasy, także w moim obozie pojawią się trudności. Niektórzy z moich ludzi zaczną okradać magazyny Imperium i nielegalnie handlować, niektórzy z waszych będą usiłovali kraść z naszych magazynów. Zostanę zmuszony niektórych powiesić, zależnie od wartości skradzionych rzeczy, a na pewno dla utrzymania porządku będę musiał wyznaczyć dość ostre kary. To zaś oznacza — powiedzmy — nieprzyjemności zarówno dla garnizonu, jak i dla miasta. Wolę uporać się z sytuacją, zanim powstaną kłopoty.

— Jak? — zapytał Stoen, żywo pochylając się do przodu. Tremane szybkim spojrzeniem omiółł swoje księgi. Jeśli nie będzie musiał płacić gotówką. . .

— Moje skrzynie nie są bezdenne, ale mam pewną ilość towarów w tej chwili niepotrzebnych moim ludziom — powiedział ostrożnie. — Jeśli uda mi się wymienić owe towary na usługi — albo, powiedzmy, sprzedać je gildii za gotówkę — można będzie zapewnić jak najlepsze wykorzystanie pracowników zarówno w wojsku, jak i w mieście, by wykonać wszystkie zadania jeszcze przed nadejściem śniegów. Każdy, kto pracuje, będzie dostawał zapłatę według stopnia umiejętności, jakich wymaga praca. — Obrzucił ich uważnym spojrzeniem i wszyscy trzej kiwnęli głowami. — W ten sposób niektórzy z moich żołnierzy — ci, którzy przed pójściem do wojska uprawiali rolę — znajdą się na polu. To wyjdzie wam na dobre, gdyż lepszy jeden człowiek umiejący posługiwać się sierpem niż pięciu, którzy tego nie potrafią. Ludzie z miasta, którzy nie mają odpowiednich kwalifikacji, będą pracowali na polu jako zwykli żniwiarze albo na budowie przy prostych zajęciach. Ci z miasta, którzy znają się na murarce, na pewno zostaną

przydzieleni do budowy. Ale za każdego z ludzi wysłanych na pole żądam kogoś na jego miejsce. Poza tym nie dam wam żadnego z budowniczych.

— Niezależnie od wszystkiego ci, którzy pracują, dostaną zapłatę? — upewnił się Stoen.

Tremane kiwnął głową.

— Uważam to za inwestycję w pokój — odrzekł szczerze, w myśli błogosławiąc tysiąc małych bogów za tak szybką odpowiedź na jego modlitwy. To było to, czego potrzebował — sposób na połączenie ludzi z Imperium z mieszkańcami Hardornu w pokojowym, przynoszącym efekty działaniu, które dawało korzyści obu stronom. Za to zapłaciliby nawet podwójnie.

— To się może udać — powiedział Sandar ostrożnie, po czym uśmiechnął się nieoczekiwanie. — To zakrawa na ironię: wasze złoto, wydane w tawernach i gospodach, zapłaci za wasze zapasy, które z kolei wrócą do miasta jako zapłata za pracę.

— Ale będę miał baraki i mury — przypomniał Tremane. — Przy odrobinie szczęścia, dzięki wymianie niewykwalifikowanych robotników na specjalistów, będę je miał szybciej. Mogę wam nawet zaproponować, że do prac nie wymagających siły ani zręczności najmę po dwóch chłopców — a mówiąc „chłopcy”, mam na myśli dzieci dziesięcioletnie i młodsze — i zapłacę im pełną stawkę... to chyba uczciwsze niż to, co mogliby dostać gdziekolwiek.

Było to niespotykane i Tremane doskonale o tym wiedział. Dziewczęta w Imperium na ogół nie pracowały; do szesnastego roku życia chodziły do szkoły, potem wychodziły za mąż lub szły na służbę. Nieliczne zostawały magami, artystkami lub uczonymi, a już bardzo rzadko — rzemieślnikami. Chłopcy zaczynający pracę dostawali jakieś miedziaki, czeladnicy zaś mieli zapewnione utrzymanie i musieli być za to wdzięczni, jeśli mistrz był hojny.

— Chyba możemy się na to zgodzić — powiedział szybko Sandar, zgodnie z przypuszczeniem księcia. — Prześlij mi listę rzeczy, których możesz się pozbyć. Wymienimy je na pracę czeladników i wędrowców albo kupimy od razu, jeśli nie jest to coś zupełnie bezużytecznego, jak zdobione urny pogrzebowe lub coś w tym rodzaju.

— Chyba mogę zagwarantować, że nie będzie to nic bezużytecznego — odparł zadowolony Tremane. W myśli już układał listę tego, czego jego ludzie nie będą potrzebować. Na przykład żelazo, cyna, miedź; nie miał kowali, a w magazynach leżały spore zapasy metalu. Miastu musiało brakować rudy — wojna przecież zniszczyła handel, a w okolicy nie było widać żadnych kopalni ani dymarek. Książę miał dość gotowych wyrobów z metalu, by starczyło ich dla całej armii na wiele lat, więc nie potrzebował surowców. Miał też całe mnóstwo skóry i ćwieków do uprzęży, a z tego, co widział w mieście — uzdy naprawiano sznurkiem albo łączono z jeszcze bardziej zniszczonych kawałków. Z pewnością mieszkańcy miasta z radością przyjmą i jedno, i drugie. Były to tylko rzeczy, które

przyszły mu do głowy w pierwszej chwili. Tak, bez trudu zdoła znaleźć towary, które uszczęśliwią tych ludzi.

— W takim razie idziemy — odezwał się Sandar z twarzą nieco mniej bladą niż w chwili wejścia i wyrazem większej nadziei. — Musimy rozstać heroldów, żeby zebrać niewykwalifikowanych robotników, a mistrz Kerst w ciągu kilku dni uzyska odpowiedź od cechu murarzy i stolarzy.

— Czy... czy istnieje cech ludzi kładących strzechy? — zapytał Tremane, zastanawiając się, czy nie robi z siebie głupca.

Stoen zaśmiał się.

— Nie, chłopcze, ale mnóstwo takich znajdzie się zaraz po zakończeniu żniw. Nie bój się, większość rolników całkiem dobrze umie kłaść strzechy. Będziesz zatem potrzebował także słomy na poszycie?

Książę skinął głową, zadowolony, że ktoś zajmie się sprawą.

— Tak, i to w dużych ilościach. Baraki mają wyglądać jak stodoły i polecono mi strzechę jako najlepsze pokrycie dachu.

— Zostaw to mnie — zapewnił Stoen. — Dzięki waszym bogom, słomy na pokrycie dachu nam nie brakuje — westchnął. — Taki dach dobrze trzyma, a ostatnio mamy mniej strzech do naprawiania.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce i eskortowana przed adiutanta delegacja wyszła. Tremane został na miejscu, za biurkiem, i zatopił się w listach towarów znajdujących się w magazynach. Znalazł zadziwiającą liczbę różnorodnych artykułów zupełnie nieprzydatnych — to znaczy nieprzydatnych dla armii. Co, na bogów, mieliby zrobić wojownicy ze stu parami damskich półbutów? Albo trzema skrzyniami połączanych miedzianych bransolet? Albo tunikami i spodniami uzdrowicieli, zbyt małymi dla któregośkolwiek z żołnierzy? Wszystko to mógł oddać, wszak uzdrowiciele w jego oddziałach nosili najzwyczajniejsze ubrania bez żadnych dystynkcji ani oznak regimentu. Tuniki i spodnie po przefarbowaniu mogły służyć za cywilne stroje. Narzędzia — miał tyle szpadli, że mógłby przydzielić każdemu z wojowników po dwa; z pewnością tyle nie potrzebował. Saperki z młotkiem, służące do wbijania kołków od namiotów i rąbania drewna na opał — również miał ich dwa razy więcej niż ludzi. Czy naprawdę potrzebował aż tyle namiotów? Z pewnością nie przyda mu się też sześć zdobionych, paradnych pokryć namiotowych.

Były tam również rzeczy, których nie potrzebował, ale nie chciał oddawać ich byłym nieprzyjaciołom — na przykład części maszyn oblężniczych i broń. Ale z jakich powodów magazyn armii zaopatrzone w sześć skrzyń kostiumów dla tancerzy albo kompletną scenografię, rekwizyty i stroje do wystawienia *Dziewięciodniowego króla*? Lub zestaw żerdzi i klatek dla trzydziestu sokołów?

„Wiem przynajmniej, dlaczego znalazłem Ęnamiot i ekwipunek wypoczynkowy komendantów. Książę Clerance nigdzie nie rusza się bez swej kochanki, a ona nie potrafi się obejść bez wszystkiego, do czego przywykła.” Za to z pewnością

dostanie niezłą sumę. Jednak najlepiej nie ujawniać, że przedmioty te miały służyć kurtyzanie. Niech damy z miasta, które jeszcze mają pieniądze, spierają się o to, co której przypadnie.

Znalazł także różne inne nietypowe artykuły: moskitiery na łóżka, przydatne na bagnach, maść na oparzenia i okrycia przeciwsłoneczne do walki na pustyni, meble polowe dla oficerów — trochę tego, trochę tamtego. Kiedy ułożył listę, dał ją swym urzędnikom do skopiowania i przetłumaczenia na hardorneński, by wysłać ją Sandarowi, po czym zabrał się do pisania wezwania do ochotników na żniwa.

Musiał starannie obmyślić każde słowo. „Nikt, kto otrzymuje specjalne wynagrodzenie za szczególne umiejętności, nie zostanie przyjęty do prac polowych.” Jak powiedział Sandarowi, nie zamierzał ani jednego murarza odesłać do grzebania w ziemi. W rozkazie jasno napisał, że nie będzie tolerował żadnych „zaczepek, napaści ani ataków na kobiety ze wsi, zarówno zamężne, jak i wolne”. Powtórzył kilka razy, iż zasady armii imperialnej dotyczące zachowania wobec miejscowych kobiet nadal obowiązują i że zadaniem oficerów będzie pilnowanie ich przestrzegania. Napisał tak z rozmysłem — w ten sposób dał wojownikom do zrozumienia, nie formułując tego dosłownie, że na gospodarstwach będą z nimi pracować ładne, a przynajmniej młode i nie znane kobiety. Ludzie księcia dowiedzą się, iż za niewłaściwe traktowanie cywilów grożą im surowe kary, ale jeśli dziewczyna i chłopak zdecydują się spotkać po pracy i służbie, i jeśli żołnierz zdobędzie przepustkę, jeśli będzie się zachowywał z respektem należnym damie. . .

Praca w polu jest ciężka, ale i tak łatwiejsza od stawiania murów, a dla tych, którzy pochodzili z rodzin chłopskich, będzie o wiele przyjemniejsza. Z pewnością zaś otoczenie — zwłaszcza otoczenie składające się z młodych, niezamężnych kobiet — będzie o wiele sympatyczniejsze.

„Może się zgłosić więcej ochotników, niż potrzeba. Lepiej zawczasu przygotować rozkład zmian, żeby uniknąć posądzenia o faworyzowanie kogokolwiek.”

Kiedy odesłał wezwania i rozkazy do skopiowania i dalszej wysyłki, pojawiła się kolejna myśl. Wysłanie ludzi do pracy w polu mogło zaowocować romansami, i to całkiem poważnymi. Romanse zaś pociągają za sobą małżeństwo.

„Bogowie. Lepiej od razu poszukam miejscowych kapłanów. Muszę dowiedzieć się, jak wyglądają tutaj ślubne prawa i zwyczaje. Trzeba pouczyć ludzi. Bogowie. . . i obyczaje dotyczące zalotów, nie chcę bowiem sytuacji, w której jedna strona jest przekonana, że to tylko niewinny flirt, a druga — że zaręczyny! Może od razu lepiej pomyśleć o podzieleniu jednego z baraków na kwatery małżeńskie. Czy możemy sobie na to pozwolić? Czy może od razu powiedzieć parom małżeńskim, żeby szukały mieszkań w mieście? Ale wtedy jak utrzymam dyscyplinę?”

Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad takimi sprawami; żony i narzeczone zostawały w domach, kiedy armia wyruszała w pole. Kiedy żołnierze zabawiali się z kobietami lekkich obyczajów, komendant w ogóle nie musiał się tym zajmować.

Dama wątpliwej cnoty znała reguły, podobnie jak jej klient. Jednakże przyzwoicie wychowane dziewczęta z miasta i ze wsi to inna sprawa. . .

Kiedy uświadomił sobie, co właściwie zamierza, jego myśli zamarły.

„To już nie jest obóz. To stały posterunek. Robię plany na bardzo daleką przyszłość.”

To właśnie majaczyło na obrzeżach świadomości, pomimo prób zepchnięcia w głąb umysłu. Przecież mógł wybrać słabsze konstrukcje baraków, które przetrwałyby kilka lat. Instynktownie wybrał jednak najmocniejsze projekty z tych, jakie mu przedstawiono. To już nie był zbrojny obóz — to stały garnizon. Rozmieszczał ludzi tak, by służyli zarówno armii, jak i miastu. Starał się wymieszać obie grupy. Planował przyszłość, w której uwzględniał żonatych wojowników, dzieci i rodziny. Coraz mniej będzie mu się przydawała wiedza czysto wojskowa, a coraz bardziej ta, którą nabył, rządząc własną posiadłością.

Jeśli przeżyją magiczne burze i zimę.

Wrócił myślą do teraźniejszości.

„Jedna rzecz na raz. Po pierwsze: mury, baraki i żniwa. Potem będę się martwił o to, co dalej.”

Sandar najwyraźniej ucieszył się z listy towarów, kiedy późnym popołudniem jego posłaniec wrócił z miasta z wiadomościami od mistrza Kersta i burmistrza. List Sandara zawierał dobre nowiny, ale list Kersta — jeszcze lepsze. Kerst miał dwóch mistrzów kamieniarzy, wędrownych rzemieślników i czeladników, czterech ceglarzy z uczniami oraz dwóch murarzy — też z czeladnikami. Znalazł także tynkarzy, cieśli, jednego czy dwóch stolarzy oraz innych, którzy mogliby się przydać. . .

Mogliby? Tremane niemal zatańczył wokół biurka, co na pewno wywołałoby oburzenie albo popłoch wśród adiutantów — zależnie od tego, czy uznaliby go za pijanego, czy za szaleńca. Poprzednio pogodził się już z nie wykończonymi, ledwo obrzuconymi tynkiem ścianami w koszarach i zamontowanymi najprostszymi urządzeniami — na pewno jego ludzie mieszkali już w gorszych warunkach. Zdobycie doświadczonych rzemieślników oznaczało, że będzie miał prawdziwe ściany, podłogę z czegoś innego niż ubita ziemia, prawdziwe prcze i stoły dla swych ludzi. A odpowiedź Sandara zapewniła mu zdobycie tych udogodnień bez konieczności sięgania po pieniądze leżące w imperialnych skrzyniach!

„Zastanawiam się, czy myślałeś o łaźniach albo latrynach?”

— pisał Kerst.

„Mamy ludzi, którzy nie tylko mogą ci doradzić, ale podsuną pomysły, które mogą cię zainteresować.”

Łaźnie i latryny? Natychmiast odpisał Kerstowi łamanym hardorneńskim.

Zamiast zjeść kolację w samotności, tego wieczora zasiadł do stołu z ludźmi poruszającymi tematy na ogół uznawane za niedopuszczalne przy jedzeniu.

Dla ułatwienia kontaktów zarówno lekarze, jak i murarze nauczyli się już hardorneńskiego, więc rozmowa toczyła się w tym języku. Jakoś łatwiej było jeść i słuchać o latrynach, jeśli rozmawiało się w obcym języku.

— ... Mieszasz z popiołem drzewnym, gliną i słomą albo miazdżonymi liśćmi, potem rozkładasz na rusztowaniu, żeby wyschło — opowiadał z zapalem jeden z miejscowych. — Zależnie od pogody w ciągu jednego lub dwóch dni wyschnie tak, że można pakować w worki; to właśnie sprzedajemy chłopom.

— Potrzebujecie jedynie kanałów ściekowych i rusztowań, nie potrzeba natomiast cystern, rozumiesz? — dokończył jego kolega. — Piasek, żwir i reszta podziałają jak sito, ścieki przejdą przez wszystkie warstwy, oczyszczą się i nie będzie niebezpieczeństwa zatrucia studni czy strumieni.

Ludzie księcia mądrze pokiwali głowami.

— Robiliśmy coś podobnego w miastach i dużych posiadłościach ziemskich — powiedział jeden z nich. — Słyszałem, że niektórzy mieli mniej skomplikowany system, gdyż nie posiadali maga. To powinno działać.

— Cóż, jest coraz lepiej — powiedział z uśmiechem pierwszy mężczyzna. — Pewnie nie wiecie, że jeśli w ten sam sposób zmieszacie nawóz krowi, zastępując popiół drzazgami suchego drewna i dodając trocin, można uzyskać z tego opał.

— Trzeba to sprasować i uformować w kostkę, ale to się naprawdę pali — potwierdził drugi. — Zwykle na polach rozrzuca się po prostu obornik, ale jeśli zaoferujecie im wymianę na wasz nawóz, wezmą go, a wy dostaniecie opał, którego dotąd nie mieliście. Widzicie, nasz nawóz nie ma zapachu i łatwiej go rozrzucać niż obornik. Będą go woleli. A my mamy opał.

To wzbudziło zainteresowanie księcia.

— Z pewnością nie do palenia w domu. . . — zaczął.

Dwóch hardorneńskich specjalistów od ścieków potrząsnęło głowami.

— Nie, ani nie do gotowania. . . chyba że ktoś lubi ten specyficzny aromat w zupie.

— Ale przecież nie potrzebujemy otwartych kominków, żeby ogrzać baraki! — zawołał nagle jeden z ludzi księcia. — Właściwie. . . komendancie, byłoby to marnowanie opału. Przypomniało mi się stare urządzenie wykorzystywane na północy, spójrz. . .

Tremane już wcześniej położył na stole stare papiery zabrane z magazynu i mnóstwo piór. Mężczyzna wziął więc kartkę i zaczął rysować na odwrocie listy żołdu, podczas gdy inni pochylali się nad ramionami sąsiadów, spoglądając na niego z zainteresowaniem.

— Popatrzcie, macie tu swoje. . . swoje piece grzewcze, pod poziomem podłogi, zasilane z zewnątrz poprzez małe żelazne drzwiczki. Wyżej masa cegieł po-

przecinana przewodami kominowymi. To działa jak piec w cegielni: ogrzewacie cegły, a one nagrzewają barak. — Possał koniec pióra. — Tutaj, na końcu ściany można umieścić drzwi wejściowe do koszar, resztę wypełnić cegłami i macie rezultat. Dwie strony osłonięte ziemią, dwie ogrzewane. Albo tylko jedna ogrzewana, jeśli z drugiej strony chcecie mieć piece kuchenne i paleniska do gotowania.

Tremane spojrzął na rysunek — wydawał się przekonujący. Prycze ulokuje się obok ściany kominowej, w środku świetlicę, a na końcu kuchnię. . .

— I tak trzeba będzie przewidzieć otwory wentylacyjne — zauważył. — Inaczej cały dym z lamp i świec będzie się gromadził w budynku.

— Tak, ale lepiej wykorzystamy ciepło pieców — zauważył mężczyzna. — Poza tym można wtedy palić nawóz, nie powodując zaduchu wewnątrz.

— Nie widzę przeciwwskazań — wtrącił główny lekarz. — Jedyne to, że bez okien wewnątrz będzie ciemniej niż w dziewiątym piekle, co, jak uważam, wpłynie na samopoczucie i zdrowie ludzi.

— Lepiej niech będzie ciemno niż zimno — mruknął ktoś, potwierdzając myśli Tremane'a.

— Szkodom na zdrowiu możesz zaradzić odpowiednią dietą kielkami i tego typu rzeczami, które tak uwielbiacie — odrzekł książę. — A co do samopoczucia. . . przez większość dnia żołnierze będą na służbie na zewnątrz, więc nie będzie kłopotu, chociaż zaczekaj. . . — Nagle uderzyła go pewna myśl.

Chirurdzy nie zgłosili żadnych skarg ani trudności, odkąd armia założyła w mieście stały obóz.

— Wydaje się, że magiczne burze ani trochę wam nie przeszkadzają. Czy to wasze uzdrawianie przez dotknięcie ręką nie jest rodzajem magii?

Jeden z pomniejszych uzdrowicieli zakrztusił się i zasłonił usta dłońmi, a główny chirurg, wysoki, szczupły, łysiejący mężczyzna z wyrazem arystokratycznej arogancji na twarzy, zaszczycił komendanta lodowatym uśmiechem.

— Przede wszystkim, choć dla laików uzdrawianie może wydawać się magią, nie jest to ta sama magia, której używacie wy, magowie — odrzekł wyniosłym, dumnym tonem, który sprawił, że Tremane miał ochotę zazgrzytać zębami. — Zauważ, jestem chirurgiem, ćwiczonym w leczeniu choroby za pomocą noża i zszywaniu ran igłą i nicią. Jednak postarałem się także o wiedzę na temat tych technik uzdrawiania, do których wykonywania brakuje mi daru.

„I ty powinieneś postąpić podobnie” — dawał do zrozumienia ton jego głosu. Tremane po prostu przywołał na twarz wyraz lekkiego zainteresowania i skinął głową. Już dawno nauczył się opanowania nawet w bardziej denerwujących okolicznościach. Uduszenie impertynenta na nic by się nie zdało.

„Oprócz uszczęśliwienia mnie. . .”

— W takim razie czym różni się wasza sztuka od magii znanej mnie? — zapytał ze starannie odmierzoną uprzejmością.

— Przede wszystkim wykonuje się ją całkowicie przy pomocy umysłu — poczył główny chirurg. — Jediną różnicą pomiędzy samoukiem albo niedouczone-
nym a wyszkolonym uzdrowicielem jest umiejętność ustalenia sposobu leczenia — poza przypadkami oczywistymi, jak złamanie czy rana. Umysł uzdrowiciela przekonuje ciało pacjenta, by powróciło do stanu sprzed choroby lub zranienia. Dlatego uzdrowiciele nie mogą uleczyć wrodzonych deformacji — uśmiechnął się zadowolony. — To potrafią tylko ci, którzy posiadają moje umiejętności.

— W porządku, ale nadal nie rozumiem, dlaczego nie przeszkadzają wam magiczne burze — nalegał książę.

— Ponieważ uzdrowiciele nie pracują podczas burzy, kiedy zakłócenia energii są jedynymi przyczynami osłabienia ich zdolności — odrzekł chirurg, jakby mówił do wyjątkowego głupca. — Przyspieszone uzdrawianie ma miejsce tylko wtedy, kiedy uzdrowiciel pracuje. Przez resztę czasu pacjent robi to, co robiłby w idealnych warunkach. W idealnych warunkach nasze ciała leczą się same, uzdrowiciel jedynie przypomina im o tym, co powinny robić.

— Aha. — Tremane'owi wydawało się, że uzdrowiciele nie zostali poszkodowani przez burze, gdyż używali magii na bardzo małą skalę i przez stosunkowo krótki czas, ale wątpił, by to wyjaśnienie trafiło do przekonania chirurgowi.

Najwidoczniej jednak jego podwładny nie dbał nawet o sposób wyrażania.

— Uzdrawianie to nie jest magia w waszym rozumieniu tego słowa — tłumaczył uparcie. — Na uzdrawianie i wiele innych darów istnieje bardzo stare określenie: magia umysłu. Dzisiaj nikt nie zajmuje się tymi umiejętnościami oprócz wyznawców kilku dziwnych religii.

„Magia umysłu? Gdzie ja słyszałem to słowo? Brzmi bardzo znajomo...”

— Co to za inne dary, łączone z uzdrawianiem? — zapytał, czując, że odpowiedź na to pytanie może okazać się ważna.

— Och — odparł niedbale chirurg — to nic ważnego, zjawiska uważane przez ludzi wykształconych za ułudę. Mówienie prosto do umysłu bez użycia telesonu, przesuwanie przedmiotów lub nawet ludzi samą siłą umysłu i bez portali; widzenie i rozmawianie z duchami zmarłych, łączność z bóstwami, widzenie na dużą odległość, przewidywanie przyszłości i zagłębienie w przeszłość bez zaklęcia zwierciadła oraz narzucanie swojej woli innym. — Wzruszył ramionami. — Większość mieszkańców Imperium ma sceptyczny stosunek do tych zjawisk. Bardzo łatwo fałszować moc, która zależy tylko od umysłu, a więc z natury jest bardzo subiektywna.

Chirurg mówił po hardorneńsku, choć Tremane nie wiedział, czy wynikało to z uprzejmości, czy dlatego, że zapomniał wrócić do własnego języka. Miejscowi, przysłuchujący się z zainteresowaniem jego przemowie, przy ostatnich słowach roześmieli się głośno. Mężczyzna spojrział na nich z irytacją.

— Nie widzę, w tym nic śmiesznego — powiedział zimno. — Może zechce-
libyście mnie oświecić?

— Wasi ludzie nie byliby tak sceptycznie nastawieni, gdyby spotkali kiedykolwiek herolda z Valdemaru — padła odpowiedź.

— Tam wcale nie używają waszej „prawdziwej” magii — przynajmniej nie używali jej do niedawna. Wszystko osiągają za pomocą magii umysłu, a waszą magię uważają za oszustwo i kuglarstwo.

Obrażony chirurg z powrotem zwrócił się ku swym podwładnym, a ludzie księcia i hardorneńscy murarze rozpoczęli dyskusję nad rozmieszczeniem pieców i innymi sposobami ogrzania baraków, a także koniecznością wzmocnienia ścian ziemią. Wydawało się, że braterstwo łączące przedstawicieli jednego zawodu przekroczyło bariery narodowości i języka.

Tremane natomiast miał ciekawy problem do przemyślenia. Valdemarczycy używali magii umysłu? To zapewne w związku z nimi po raz pierwszy słyszał to określenie.

„Zatem heroldowie to ludzie, którzy rodzą się z tymi zdolnościami i zapewne mają jakiś sposób na ich odkrycie. Potem wybierają ich tak, jak Karsyci wybierają dzieci obdarzone talentem magicznym, i wysyłają na szkolenie. Wciągnięcie ich wszystkich w służbę korony to sprytne posunięcie; Imperium mogłoby tak zrobić z magami. Poza tym nie są przyzwyczajeni do prawdziwej magii — jest dla nich nowa, więc nie polegają na niej. Fascynujące.”

Nic dziwnego, że magiczne burze nie wywołały u nich takich kłopotów, jak u niego! Po prostu nie posiadali urządzeń, które mogłyby zostać zepsute przez burze!

„Mnóstwo ludzi w Imperium nazwałoby ich życie barbarzyńskim — ale oni ogrzewają swe domy i przesyłają towary, a my tego nie potrafimy. . . Zatem który styl życia okazał się lepszy?”

Ogrzewanie. . . Baraki można rzeczywiście ogrzać krowim nawozem, ale co z gotowaniem?

— Drewno — odezwał się głośno. — To jest kłopot. Las nie rośnie tak szybko jak pszenica, a nie zamierzam ogołocić okolicy z drzew dla ogrzania moich ludzi, jeśli zdołam wymyślić coś innego. Czy macie jakieś pomysły?

Hardorneńczycy wymienili spojrzenia, a w końcu jeden z nich zabrał głos.

— Komendancie Tremane, znasz sytuację równie dobrze jak my. Połowa Hardorneńczyków zginęła. Całe wsie zostały zmiecione, gdyż jakiś oficer Ancara poczuł się urażony tym, co ktoś mu powiedział. Gospodarstwa stoją opuszczone, odkąd ostatni zdolni do pracy zostali zabrani lub sami odeszli. Chcieliśmy zaproponować, by po skończeniu żniw wasi i nasi ludzie wyruszyli na poszukiwanie zapasów.

Tremane zastanawiał się przez chwilę.

— Czy mogę zakładać, że te ekspedycje nie będą w jakikolwiek sposób niepokojone przez. . . przez siły hardorneńskich lojalistów?

Mężczyzna prychnął.

— Siły hardorneńskich lojalistów nie są w ogóle silne. Większość z nich pracuje przy żniwach, jeśli tylko mogą. Na równi z nami zmagają się z pogodą i czasem, poza tym nie mają dodatkowych ludzi, jak my.

Tremane skinął głową — jego domysły potwierdzały się.

— Jak wyglądają żniwa? — zapytał, mając nadzieję na szczerą odpowiedź.

— To kolejny powód zorganizowania wyprawy — odrzekł ucziwie mężczyzna. — Zbiory nie są złe, ale nie wszyscy są przekonani, że wystarczy dla całego miasta na całą zimę. Sandar chce rozesłać ludzi do opuszczonych gospodarstw i zobaczyć, co można zebrać z tamtejszych pól, czy nawet stodół i magazynów — uśmiechnął się. — Na pewno znajdą przynajmniej słomę na pokrycie dachu.

— Zapewne chcielibyście do pomocy także moich ludzi — stwierdził Tremane. Tego dnia przywieziono kolejnego potwora, który zaatakował żniwiarzy. Tym razem nikt nie zginął, było tylko kilku rannych, ale wszyscy pamiętali, że podobne stworzenia czały się za prawie ukończonymi murami. — Co będziemy z tego mieli?

— Dowiemy się, kto pozostał — po Ancarze, Imperium i magicznych burzach — powiedział mężczyzna prosto z mostu. — Wy dowiedcie się kto i gdzie mieszka w okolicy. Będziecie wiedzieli, gdzie są mężczyźni i chłopcy, którzy w imię Hardornu mogliby sprawić wam kłopot. Niektórzy chłopcy mogą mieć żywność na wymianę. Dowiemy się, jakie szkody wyrządziły burze. Jeśli przemieniają zwierzęta, co jeszcze mogły zrobić? A kiedy znajdziemy opuszczone gospodarstwa czy wsie, twoi ludzie mogą rozebrać budynki. W najgorszym razie będziecie mieli opał. W najlepszym — opał i zapasy budulca. Poza tym... cóż, może Sandar ma zbyt wielkie oczekiwania, ale uważa, że jeśli znajdziemy obozy naszych ludzi, zdołamy przekonać ich, że wy, cesarscy, nie jesteście takimi diabłami, za jakich was uważają. Może uda nam się doprowadzić przynajmniej do zawieszenia broni.

Tremane nie zmieniał wyrazu twarzy i tonu głosu.

— Przemyślę to — powiedział i powrócił do planów baraków i ulepszeń proponowanych przez miejscowych.

Kiedy jednak po kolacji znalazł się w swojej komnacie przy kominku, musiał przyznać, że propozycje brzmiały zachęcająco.

Oczywiście zakładając, że nie miały one na celu wywabienia jego ludzi za miasto, by ich tam po kolei wyłapać lub napaść.

Dziwne, ale nie bardzo w to wierzył. Pomysł zebrania zboża z opuszczonych pól, pozbycia się zmienionych zwierząt i rozebrania budynków nie był zły. Z miejscowymi przewodnikami nie musiałby wysyłać zwiadowców i ryzykować ograbienia tych gospodarzy, którzy jednak nie opuścili swoich gospodarstw.

— Nigdy nie myślałem, że znajdę się w takiej sytuacji — powiedział na głos w ciszy nocy.

Miał za zadanie spacyfikować Hardorn. Nigdy nie sądził, że jego siły zostaną substytutem lokalnego rządu, a właśnie tak się działo.

Nie będzie więcej bitew — najgorsze, czego mógł się spodziewać, to potyczki pomiędzy ludźmi, którym zacznie brakować zapasów. W innych okolicznościach pomysł, by mieszkańcy Shonaru pomogli mu zawrzeć pokój ze swymi pobratymcami, wywołałby u niego wybuch śmiechu. Nigdy nie uwierzyłby w obietnice, które złożono mu tego wieczoru.

Ale chociaż nie powiedziano nic wyraźnie, było dla niego jasne, że ci ludzie już nie uważali jego i jego oddziałów za wrogów. Wojsko było jedynym gwarantem ładu i bezpieczeństwa w pogrążonym w chaosie kraju. Hardorneńscy widzieli własnych ludzi — luźne watahy „wolnych najemnych”, źle uzbrojonych i źle wyćwiczonych, widzieli też potwory stworzone przez magiczne burze. Potem przyglądali się armii Imperium, dobrze uzbrojonej i wyszkolonej, przygotowanej do obrony nie tylko siebie, ale i miasta. Nie trzeba było przenikliwości naukowca, by zgadnąć, komu będą woleli zawierzyć swe bezpieczeństwo.

Nie będzie więcej raportów do cesarza, gdyż agenci wciąż przebywający w szeregach będą musieli w krótkim czasie sprecyzować swoje stanowisko. Ambicje dotyczące Żelaznego Tronu w ogóle nie znalazły się na liście ważnych spraw. Tremane już nie myślał w kategoriach „dopuszczalnych strat”. Teraz żadna strata nie była dopuszczalna, a każda śmierć w armii zostanie pomszczona szybko i zdecydowanie.

Obecnie nadszedł czas na skupienie się na szczegółach, od których zależy ich przetrwanie; bohaterami zimy zostaną najlepsi zarządzający, nie generałowie.

Tremane poty naprzykrzał się swoim urzędnikom, póki całe biuro nie zostało wypełnione skrzyniami dokumentów — akt osobowych wszystkich ludzi. Miał kopie całej dokumentacji swoich podwładnych — i to w trzech egzemplarzach. Jeden plik dokumentów ułożono nie według stopnia i specjalizacji wojskowej, ale według zajęć cywilnych: tego, co wojownik robił lub w czym był ćwiczony przed wstąpieniem do armii. Drugi zestaw uporządkowano bardziej konwencjonalnie, według alfabetu w ramach każdej kompanii. Trzeci — według specjalizacji wojskowej: zwiadowcy, piechota, kawaleria i tak dalej.

Teraz, zależnie od oczekowań, Tremane mógł znaleźć dokładnie takiego człowieka, jakiego poszukiwał.

Nie sądził, by którykolwiek dowódca w historii Imperium dokonał czegoś podobnego, nawet w czasach, kiedy kopiowanie dokumentów wymagało jedynie maga i prostego zajęcia duplikującego. Dziwne, zważywszy na całą biurokrację panującą w kraju — ale była to innowacja, a innowacje nie są mile widziane w armii Imperium.

Spoczywała na nim odpowiedzialność za wszystko; jasno wskazywał na to okazywany przez Sandara szacunek i postawa rady miejskiej. W gruncie rzeczy do tego dążył, ale teraz okazało się, że został lordem Shonaru, z całym bagażem zobowiązań wobec jego obywateli.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Karal czekał, aż Jarim skończy przemawiać, po czym zmęczony podniósł się na zmarznięte, zdrętwiałe nogi. „Dlaczego to robię? I tak nikt nie zwróci na mnie uwagi.” Twarz miał sztywną i zlodowaciałą, kiedy mówił do ludzi, którzy nawet na niego nie patrzyli — oprócz Mrocznego Wiatru, Śpiewu Ognia i valdemarskich heroldów — ci przynajmniej udawali, że słuchają.

„Robię to, ponieważ inaczej przeoczą najważniejszy punkt w raporcie agentów Kerowyn, oto dlaczego. Jarim już usiłował utopić go w powodzi retoryki.”

— Kapitan Kerowyn, stwierdziłaś w swym raporcie, iż siły Imperium wydają się współpracować z cywilami z hardorneńskiego miasta Shonar i chronią ich, a mieszkańcy miasta nie wyglądają na ciemieżonych i w istocie współpracują z cesarskimi. Czy dobrze zrozumiałem, czy też się mylę?

— To raport jednego z moich agentów, zgadza się — przyznała Kerowyn. — Zauważ, że jego informacje na temat Shonaru pochodzą z drugiej ręki. Nikt z nich nie dotarł aż tak daleko.

— Mimo wszystko mamy dowody, że żołnierze cesarscy zostali zaakceptowani przez mieszkańców Shonaru. W każdym razie wojownicy zachowują się opiekuńczo wobec cywilów. — Przełknął i wypowiedział słowa nie do pomyślenia. „Teraz wezmą mnie za szaleńca albo tchórza...” — Biorąc pod uwagę ciężkie warunki panujące w Hardornie oraz fakt, że, jak wiemy z raportów ludzi herolda kapitana, magiczne burze wyrządzają tam większe szkody w sytuacji i tak niestabilnej i niebezpiecznej, uważam, iż powinniśmy zostawić w spokoju siły Imperium. Niepokojenie ich w jakikolwiek sposób może zaszkodzić obywatelom Hardornu... — Na razie nikt nie protestował przeciw jego słowom. Ale teraz włoży kij w mrowisko. — Proponuję przynajmniej rozważyć rozpoczęcie negocjacji z cesarskimi, by móc posyłać Hardornowi pomoc, nie bojąc się posądzenia o napaść.

W tej chwili Jarim wybuchnął, lecz Talia przerwała jego tyradę, zanim zdołał ją kontynuować — wstała i powtórzyła słowa Karala.

— Poseł Karsu proponuje, byśmy przynajmniej przedyskutowali możliwość rozpoczęcia negocjacji z siłami Imperium — powiedziała. — W ten sposób uzyskamy możliwość posłania pomocy ludziom w Hardornie i na pewno zdołamy

wysłać naszych agentów aż do Shonaru. Ze względów czysto humanitarnych popieram jego sugestię i proponuję rozpocząć dyskusję.

Chociaż nikt oprócz Talii i Jarima nie zwrócił uwagi na wystąpienie Karala, kiedy Talia powtórzyła je słowo w słowo, reszta rady nagle zainteresowała się i wybuchła prawdziwa dyskusja.

Jarim nie brał w niej udziału, lecz wpatrywał się przez stół w Karala. Ten zwiesił głowę i słuchał argumentów oraz kontrargumentów. „Zrobiłem, co mogłem; dopóki nie dojdzie do głosowania, nic z tego, co rzekłem, nie będzie miało znaczenia.”

Nie było to nic nowego. Pomimo przeprosin ze strony posła Shin'a'in i jego jawnie okazywanej tolerancji, nienawiść Jarima raczej wzrosła i stawiała się coraz bardziej osobista. Karal nie wiedział dlaczego. Może ktoś mu wmówił, że stosunki Karsytów z Querną nie układały się dobrze, choć prawda wyglądała wręcz przeciwnie. Karal podziwiał Quernę, Ulrich uważał ją za przyjaciela na czysto prywatnym gruncie. Jeśli nawet Jarim o tym wiedział, chyba w to nie wierzył.

„Może złości go, że An'desha, Mroczny Wiatr, Talia, Elspeth i gryfy lubią mnie, a o niego nie dbają. A może jest fanatykiem.”

Chociaż Karal postanowił nie odzywać się przed Wielką Radą, jeśli nie miał czegoś ważnego do powiedzenia, wciąż nikt nie zwracał uwagi na jego słowa... oprócz Jarima, a on z kolei robił to tylko po to, by natychmiast pomniejszyć ich znaczenie. W końcu Talia zaczęła powtarzać niemal dosłownie to, co powiedział Karal, by przynajmniej zmusić resztę do zastanowienia się nad propozycją.

Czy to z powodu jego młodego wieku? Próbował wszystkiego oprócz kosmetyków i przefarbowania włosów na siwo, by wyglądać na starszego. Przybierał pełne godności maniery, usiłował przemawiać głębokim, dźwięcznym głosem, ubierał się w surową czerń lub kompletny strój kapłana Słońca. Proponowano mu bardziej wyszukany kostium, ale czuł się w nim tak niezręcznie, że nie ośmielił pokazać się publicznie.

„Czułem się jak chodzący relikwiarz albo aktor ubrany do roli w przedstawieniu.”

Był wdzięczny Talii za pomoc, ale w ten sposób nie mógł wszak wypełniać swoich obowiązków. W krótkim czasie ta sytuacja zaczęła wpływać na stosunek innych do niego nie tylko w sali zebrań, ale i poza nią. Jego niewielki autorytet wśród rodaków, Karsytów w Valdemarze, szybko zniknie, kiedy na spotkaniach rady nikt nie będzie go zauważał.

Nie wiedział, co robić. Gdyby jakikolwiek wróg — osobisty wróg Karala lub też całego Karsu — chciał podważyć jego wiarygodność, nie mógłby wymyślić intrygi przynoszącej lepsze skutki niż jego domniemany brak doświadczenia i młodość.

„Czy to robota Jarima? Nie sądzę. Jedyne powód, dla którego inni go słuchają, jest taki, że on krzyczy głośniejsz niż ja.”

Od wielu dni czuł we wnętrznościach jeden wielki, skręcony węzeł. Żywił się chlebem i ziołami, gdyż nic innego nie utrzymywało się dłużej w jego żołądku. „Gdybym nie wiedział, że to, co wypije, natychmiast zwróce, byłbym się upijał do nieprzytomności” — pomyślał ponuro. Próbował wysyłać wiadomości o swoich kłopotach do Karsu, ale w odpowiedzi otrzymywał jedynie zdawkowe i banalne słowa pociechy. Wyglądało to tak, jak gdyby Solaris i jej doradcy nie czytali jego błagań albo ignorowali je jako rozterki niedoświadczonego, tęskniącego za domem chłopca.

„Tęsknię za domem, ale głównie dlatego, że nie mogę niczego tu dokonać. Z radością wróciłbym na stanowisko sekretarza, nawet gdyby mój mistrz był nie miły i nieprzyjazny.”

Skoro nawet jego rodacy nie słuchali tego, co miał im do przekazania, jak mógł marzyć o przekonaniu kogokolwiek tutaj? Potrzebował autorytetu, a nawet w Karsie nie wysilali się, by sprawdzić, czy rzeczywiście go posiadał.

„Chcę wrócić do domu. Chcę się zagrzebać w książkach. Nie jestem ważny, zrobiłem tu wszystko, co mogłem. Każdy, kogo wyznaczy Solaris, będzie lepszy ode mnie.”

Zamknął oczy, czując kolejny skurcz żołądka, a jego twarz wykrzywił grymas, nad którym szybko zapanował. „Dla Karsu byłoby lepiej, gdyby Altra osłonił Ulricha zamiast mnie” — pomyślał, zaciskając szczęki, by nie zmienić wyrazu twarzy. „Niedługo zacznę szkodzić mojemu krajowi, pozostając na tym stanowisku, gdyż lekceważenie mnie oznacza lekceważenie Karsu.”

Błagał, prosił o przysłanie kogoś, kto zdejmie z niego ciężar — mówił dokładnie to, co myślał, ale jego prośby ignorowano. Dlaczego? Nie miał pojęcia.

Gdyby nie Florian, Natoli i An'desha, dawno temu rzuciłby się do rzeki. Wszyscy troje podtrzymywali go na duchu — natomiast jedyna osoba, która mogłaby mu pomóc, ostentacyjnie znikła. Przez cały czas Altra nie pojawił się ani razu. Karal zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie obraził ognistego kota. Albo, co gorsze, nie obraził Pana Słońca Vkandisa.

„Może mnie opuścił. Może Vkandis już nie udziela mi łaski. Może zostawił mnie z tego samego powodu, dla którego Jarim mnie nienawidzi — ponieważ nie zgadzam się na marnowanie zasobów i życia ludzi w walce z cesarskimi. Czy magiczne burze nie są wystarczającą karą? Czy zemsta musi się ciągnąć wiecznie? Może On tak uważa. . .”

To przygnębiło go jeszcze bardziej, a jego żołądek ścisnął się mocniej.

Po co ciągnął tę farsę? Nie wstał i nie wyszedł jedynie dlatego, że był zbyt zmęczony. „Może jutro po prostu zostanę w łóżku. Odwołam wszystkie spotkania. Powiem służbie, że czuję się zbyt chory, by wstać. Rezultaty będą dokładnie takie same. . .”

Ale wiedział, że tego nie zrobi, to nie leżało w jego naturze. „Chciałbym naprawdę zachorować; złamać rękę, nogę albo coś w tym rodzaju, żebym naprawdę

miał wymówkę do zostania w łóżku. Albo chciałbym zachorować, poważnie zachorować, na przykład na zapalenie płuc, żeby dostawać lekarstwa nasenne — wtedy nie musiałbym myśleć o tym wszystkim.”

Do czego doszedł, że wołał raczej zachorować, niż stawić czoło obowiązkom i pracy!

Zaraz po zebraniu miał iść z Natoli i An'deshą do „Róży Wiatrów”, ale teraz nie miał na to ochoty. „Nie zdołam spotkać się z innymi. Nie byłbym dobrym towarzyszem zabawy. Dowlokę się do mojej komnaty i zobaczę, czy uda mi się zająć korespondencją. Mogę spróbować napisać list do Solaris. . .”

Może spotykała go kara za to, iż nie potrafił zaopiekować się Ulrichem tak, jak obiecał. Może Solaris zdecydowała, że trzeba go ukarać za niedotrzymanie obietnicy. Jeśli tak, to kara była wymierzona trafnie.

W końcu debata ucichła. Tak jak się spodziewał, uznano, iż nie warto niepokoić cesarskich, gdyż można w ten sposób zaszkodzić niewinnym mieszkańcom Shonaru. Rada podzieliła się na dwa stanowiska, jeśli chodzi o rozpoczęcie negocjacji: Karal, Talia i Mroczny Wiatr jednoznacznie opowiadali się za nimi, Jarim, Kerowyn i Elspeth byli przywódcami grupy przeciwnej. Wreszcie, kiedy spotkanie się skończyło, Karal mógł wstać i odejść. Czekał, aż wszyscy oprócz najniższych rangą sekretarzy opuszczą salę, w nadziei, że nikt nie zauważy jego wyjścia; nie miał ochoty z nikim rozmawiać nawet o drobiazgach. Kiedy wstał i zebrał notatki oraz przybory do pisania, szaty zdawały się ciążyć na ramionach, jakby były zrobione z kamienia. Pióra i atrament schował do skórzanej sakiewki, której używał, będąc jeszcze sekretarzem Ulricha. Bolała go szyja, a mięśnie pod łopatkami miał tak zeszywniałe, jak gdyby ktoś kłuł go tam tępym narzędziem.

W tej chwili zdawał sobie sprawę z tego, że chętnie zamieniłby się z najniższym sługą w świątyni Vkandisa. Z radością zostałby stajennym w świątynnej stajni. Z uśmiechem na wargach czyściłby chlew. Szorowałby podłogę dla najbardziej złośliwego kapłana w Karsie. . .

Ale chyba jego nieszczęścia jeszcze nie osiągnęły szczytu, gdyż za drzwiami komnaty czekał na niego Jarim, a w pobliżu kręciło się kilku innych członków rady. Karal jasno widział, że Jarim dąży do konfrontacji, a szakale niecierpliwie czekają na rozrywkę.

„Najlepiej tego uniknąć, unikając konfrontacji. Do kłótni potrzeba dwóch osób, a ja nie mam zamiaru dać mu po temu okazji.” Starał się zignorować Jarima, mijając go z opuszczonym wzrokiem i pozbawioną wyrazu twarzą, ale Shin'a'in wyciągnął rękę i złapał go za ramię, zanim Karal zdążył się uchylić.

— Dokąd biegniesz, zdrajco? — zapytał głośno, kiedy Karal usiłował wywinąć się z uścisku, nie używając siły fizycznej. — Nie możesz się doczekać, by wrócić do swojej budy, psie, i łąsić się do swych panów z Imperium? Śpieszysz przekazać im dobre nowiny? Jaką kość rzuca ci za zapewnienie im bezpieczeństwa? Ziemię? Złoto? Może okruczeństwo? Już nie wystarczy ci to, co daje ci twój

bóg? Tak łatwo zdradzić dawnego mistrza? — Jarim splunął, nie w twarz Karalowi, ale pod jego stopy. — Czy służyłeś mu tylko po to, by go zdradzić, psie?!

Karal oczekiwał napaści, ale nie tego rodzaju — i nie tak gwałtownej. Zamarł, sparaliżowany i niezdolny do działania; nie miał odpowiedzi na oskarżenia Jarima. Podniósł głowę i spojrzał prosto w rozgniewaną twarz, oszołomiony i nagle zlodowaciały. Nie mógł mówić ani jasno myśleć. Co za demon zawładnął Jarinem, kto podsunął mu tę obsesyjną pewność, że Karal zdradził jedyne człowieka na świecie, którego uważał niemal za ojca?

Jarim parsknął wściekle w odpowiedzi na milczenie Karala, kiedy zaś ten nadal się nie ruszał, rozluźnił uścisk na tyle, by Karsyta mógł się wyrwać. Paraliż ustąpił, Karal wyszarpnął rękaw i ramię tak gwałtownie, że odskoczył kilka kroków do tyłu. Stał tak przez chwilę, zziębnięty do szpiku kości, patrząc na Jarima i członków Rady zebranych wokół. Poruszył ustami, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie było słyhać nawet szeptu — może to i dobrze, gdyż w tej chwili jedyne, na co potrafiłby się zdobyć, to nieskładne mamrotanie.

Zamiast tego cofnął się o krok, jeszcze jeden — po czym nagle odwrócił się i uciekł do komnaty.

Wiedział, że milczenie wobec niewiarygodnego oskarżenia Jarima tylko potwierdzało jego winę w oczach zebranych. Z pewnością do wieczora po całym pałacu rozniosą się plotki o jego współpracy z Imperium i o tym, że przeżył atak na Ulricha tylko dlatego, że oszczędzili go jego cesarscy zwierzchnicy. A on nie miał żadnego sposobu, by udowodnić fałsz tego oskarżenia.

Florian znalazł go w martwych, pustych ogrodach długo po zachodzie słońca. Komnata nie wydawała się bezpiecznym schronieniem, gdyż w chwili, w której dotarł do drzwi, uświadomił sobie, iż Jarim wie, gdzie znajduje się jego apartament, i może go łatwo znaleźć. A jeśli Shin'a'in był takim fanatykiem, na jakiego wyglądał, mógł zdecydować się na rozprawę ze zdrajcą na sposób Shin'a'in: szybko i zdecydowanie, za pomocą myśliwskiego noża. Na pewno zamordowanie posła przysporzy mu kłopotów — chyba że nie przekona wszystkich o winie Karala. Mógłby nawet sfabrykować dowody zdrady, skoro po śmierci rzekomego zdrajcy i tak nikt nie zdołałby mu zaprzeczyć.

Zatem Karal zatrzymał się w swej komnacie tylko po to, by złapać najcieplejszy płaszcz, czapkę, długi szal i rękawice. Potem uciekł do ogrodu w nadziei znalezienia spokoju, zanim gniew Jarima nieco nie ostygnie. I w desperackiej nadziei na coś lub na kogoś, kto pomoże mu obronić się przed oskarżeniem. Znalazł stojącą na uboczu ławkę i opadł na nią, skulony tak, by zniechęcić każdego, kto mógłby chcieć się do niego zbliżyć.

Kiedy tam uciekł, było późne popołudnie; Florian znalazł go po zmierzchu — majaczącą w gęstej ciemności sylwetkę cichą jak duch. Karal dostrzegł Floriana

kątem oka, ale był tak zatopiony w nieszczęściu, że nie wykonał najmniejszego gestu.

Karal — odezwał się Towarzysz z wahaniem, kiedy Karal nie poruszył się i nie odezwał na powitanie. — *Karalu, masz kłopoty.*

— Powiedz mi coś, czego nie wiem — odparł Karal gorzko, nie podnosząc głowy, mówiąc w kierunku ziemi pod stopami.

Nie, mam na myśli prawdziwe, poważne kłopoty — powiedział Towarzysz smutnym głosem. — *Jarim biega po dworze, opowiadając wszystkim...*

— Że jestem agentem Imperium. Wiem. — Poczul w gardle smak żółci i zastanowił się, czy zaraz zrobi mu się niedobrze.

Horzej — ludzie mu wierzą. Nawet heroldowie. Wielu z nich myślało, że głupi artysta nie mógł być prawdziwym agentem na dworze. — Florian przestąpił z nogi na nogę, a spod jego kopyt wytoczyło się kilka kamyków żwiru. — *A najgorsze, że wierzą mu heroldowie. Nie mogłem ich przekonać, że nie jesteś tym, za kogo uważa cię Jarim.*

To go nieco zdziwiło.

— Przecież jesteś Towarzyszem...

Ale ty nie jesteś moim wybranym. Nie wierzą nawet mnie, gdyż nie jesteś moim wybranym. Sądzą, iż dałem się oszukać. — W głosie Floriana brzmiało przygnębienie, co wcale nie pomagało Karalowi. — *Nie wiem, co robić, Karalu.*

— Ja też nie; mógłbym jedynie wsiąść na konia i jechać do domu. — „Albo rzucić się do rzeki, ale przez to też niczego bym nie osiągnął, oprócz uszczęśliwienia Jarima. Cóż, jeśli odjadę, też będzie zadowolony. Naprawdę, narobiłem bałaganu. Nie mam pojęcia, jak można by to rozwiązać.”

Florian nie przestawał mówić, choć Karal wolałby zostać sam ze swoimi myślami.

Nie wiem, kto dokładnie i ilu jest po jego stronie. Na pewno wiem tylko o heroldach...

— Właściwie mógłbym wrócić do pałacu i sprawdzić, ilu ludzi mu uwierzyło — odezwał się wreszcie Karal. — Pewnie spotka nas niemiłe zaskoczenie.

Nie brzmi to zbyt optymistycznie.

— Jak i twoje słowa — odrzekł Karal. — Ale zanim osiodłam konia i w najwyższej hańbie wrócę do domu, mogę jeszcze przekonać się, jak wygląda sytuacja. Niezależnie od wszystkiego będę musiał przekazać raport o rozmiarach katastrofy, którą spowodowałem.

Wstał powoli i sztywno, owinał się szczelnie płaszczem i na drewnianych nogach poszedł z powrotem ku migoczącym światłom pałacu.

Rzeczywiście, sytuacja wyglądała naprawdę źle, co odkrył od razu po wejściu.

Kiedy tylko znalazł się w korytarzu, rozmowy umilkły, tak że w ciszy przeszedł przez jedną z komnat przyjąć. Ludzie stawali, by na niego spojrzeć, a potem

z rozmysłem odwracali się do niego tyłem. Jednak kiedy tylko ich minął, rozmowy ożyły, na tyle głośne, by mógł je usłyszeć.

— Wystarczy być zdrajcą, ale żeby jeszcze tchórzem. . .

— Musi być magiem i ukrywać się pod przebraniem. Nikt, kto wygląda tak młodo, nie mógłby być tak podstępny.

— Dziwię się, że jego własny bóg nie zabił go, zanim to zrobił.

Były to tylko uwagi dotyczące jego samego. Na szczęście nie słyszał innych — że wszystko, co złe, musi się wywodzić z Karsu. I że Solaris musiała wiedzieć, iż jest zdrajcą, ale skazała biednego Ulricha na śmierć jako ofiarę dla odwrócenia podejrzeń od Karsu.

Służący ostentacyjnie ignorowali jego osobę; po przyjściu do swoich komnat zastał je dokładnie w takim stanie, w jakim je zostawił. Znaczyło to, że nie pofatygował się tu żaden służący, by posprzątać — i zapewne później też nie przyjdzie. „Zapomną” albo odłożą sprzątanie tych komnat na sam koniec, a potem „zachowują”, kiedy tylko dojdą do drzwi. Jeśli Karalowi się wydawało, że znalazł się w trudnym położeniu po przyjeździe z Ulrichem, teraz wrogość była dwukrotnie silniejsza. Wszystkie stare uprzedzenia ożyły na nowo z jeszcze większą siłą po tłumieniu ich przez tak długi czas.

Przez chwilę stał w wejściu, usiłując zdecydować, co zrobić. Czy powinien od razu zacząć się pakować? Miał akurat tyle pieniędzy, żeby dojechać do granicy, jeśli będzie się zatrzymywał w tanich gospodach. Musiałby uważać na ludzi, ale do tej pory całkiem dobrze opanował valdemarski, mógłby więc uchodzić za kapłana z każdego kraju, prócz Karsu.

„Może udałoby mi się namówić Floriana, żeby pojechał ze mną? Mógłbym zdobyć komplet bieli heroldów z pałacowej pralni i udawać w drodze herolda. . . Albo jeszcze lepiej, o wiele łatwiej byłoby znaleźć szary uniform ucznia. Choć raz przydałby się mój młody wygląd.”

Czy Florian zgodzi się na taki plan?

Na odgłos kroków w korytarzu wszedł szybko do środka i zamknął drzwi. Może nie uda mu się namówić Floriana, ale pomysł z kupieniem uniformu podsunął mu kolejną myśl. „Mogę poprosić Natoli, by ktoś z jej kolegów pożyczył mi uniform błękitnych. Wtedy nikt nie będzie się dziwił. Gdyby ktoś zapytał, powiem, że jadę do domu, i nie będzie to kłamstwo.”

Zwrócił się w kierunku sypialni z zamiarem rozpoczęcia pakowania, ale zaskoczyło go pukanie do drzwi. Zamarł w bezruchu. Kto to może być? Do głowy przyszło mu kilka możliwości, ale żadna nie zachęcała do otwarcia drzwi.

Pukanie rozległo się ponownie.

— Karal? — odezwał się miękki kobiecy głos. — Wiem, że tam jesteś, czuję cię i wiem, że stoisz nie więcej niż dwa kroki od drzwi. To ja, herold Talia, możesz otworzyć.

„Talia?” O niej, jako jednej z nielicznych, nawet nie pomyślał. Musiał jej posłuchać — w hierarchii Vkandisa stała wyżej od niego. Odwrócił się w stronę drzwi i wpuścił ją. Zamrugła w półmroku, gdyż Karal nie miał czasu zapalić światła, oprócz jednej świecy przy łożu.

— Widzę, że banicja już się rozpoczęła — odezwała się sucho i weszła do komnaty, by mógł zamknąć drzwi. Karal skinął głową; zarówno Karsyci, jak i lud Grodów stosowali rytuał banicji, czyli wyłączenia kogoś ze społeczności, a skazańca wszyscy ignorowali i unikali. U co wrażliwszych wykluczonych prowadziło to do samobójstwa.

— W twoim imieniu zajęłam się heroldami — powiedziała, biorąc świecę z uchwytu przy drzwiach i zapalając od niej lampy po przeciwnej stronie komnaty. — Przykro mi, że ten idiota Jarim zaczął to wszystko. Naprawienie sytuacji zajmie trochę czasu, a jeszcze więcej — odwrócenie skutków jego fanatyzmu.

Karal zapadł w krzesło, pogrążony w rozpacz.

— Nigdy nie da się tego naprawić — przemówił prosto z mostu. — I nie jestem pewien, czy warto próbować. Nawet jeśli uda ci się przekonać heroldów, nawet jeśli jakimś cudem przekonasz resztę, nigdy nie przekonasz Jarima. Chyba byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym pojechał do domu i pozwolił Solaris przysłać tu innego posła.

— Wtedy Jarim zwycięży — odrzekła Talia. — Pozwolisz mu?

— A dlaczego nie? — odparował. — Nawet przedtem, zanim się to zaczęło, nie byłem szczególnie skutecznym posłem. Wiesz, że to prawda. Jeśli nawet przekonasz ludzi, że jestem niewinną ofiarą uprzedzeń Jarima, nie zdołasz im wmówić, że mam choćby odrobinę zdrowego rozsądku. Jestem zbyt młody, mógłbym być synem ich wszystkich, nie licząc Elspeth, chociaż i to nie jest pewne. Nikt mi nie ufa. Nie mam doświadczenia, pozwalam emocjom brać górę nad rozumem.

Nie od razu odpowiedziała, chodząc po komnacie i zapalając świece i lampy. Karal zamknął na chwilę oczy.

— Heroldzie Talio, kapłanko Słońca, możemy to przyznać: nie pomagam ani sojuszowi, ani Karsowi. Mogę wrócić do domu, a tutaj powinien przyjechać ktoś bardziej doświadczony i kompetentny.

Odwróciła się i spojrzała na niego poważnie. Na jedno oko spadał jej kosmyk brązowych włosów.

— Czy odwołano cię ze stanowiska? — zapytała z dłońmi zaciśniętymi na świecy.

— Cóż, nie — przyznał. — Ale...

— Czy Solaris przemawia w imieniu Vkandisa, czy nie? — nalegała.

— Tak, ale...

— A czy nie wydaje ci się, że gdyby Vkandis uważał twoją obecność w Valdemarze za szkodliwą, odwołano by cię dawno temu? — ciągnęła bezlitośnie. — Przecież Altra potrafi przenieść dokumenty od Solaris w jednej chwili, jeśli

trzeba. Biorąc pod uwagę sytuację, wszystko przemawia za tym, żeby cię odwołać, chyba że istnieje inny, ważniejszy powód, dla którego, chociaż go nie podają, Solaris i Vkandis chcą cię tutaj zostawić.

Kiedy nie odpowiadał, zmierzyła go ostrym spojrzeniem.

— Cóż? — zapytała.

Zakrzuszył się i wzruszył ramionami.

— Pewnie tak, ale...

— Nie ma „ale” — powiedziała surowo, a jej drobna postać promieniowała większym autorytetem niż setka generałów, jakich Karal widział. — Jako kapłanka Słońca mogę cię o tym zapewnić. Dla jakiegoś powodu Vkandis chce, żebyś był w Valdemarze ty, nikt inny. Możemy go nie znać, ale ten powód na pewno istnieje.

„W takim razie wolałbym, żeby Vkandis mi go objawił.”

— To ładnie brzmi w teorii — odrzekł Karal — ale w tej chwili nie wydaje mi się, żeby komukolwiek zależało na mojej obecności w Przystani. Jak mam dokonać czegokolwiek, skoro większość Wielkiej Rady wierzy, że pracuję dla Imperium, a przynajmniej jeden poseł chce mnie zamordować?

Talia skrzywiła się z niesmakiem i podeszła do drzwi, by z powrotem umieścić świecę w uchwycie.

— Muszę się przyznać, nie mam na to odpowiedzi — przemówiła, stojąc odwrócona plecami. — Ale według mnie, powinieneś zniknąć z pałacu przynajmniej na kilka dni i nie pojawiać się na spotkaniach. Powiedz, że zachorowałeś, albo ja powiem. Przekażę Selenay, że wskutek wstrząsu po oskarżeniach Jarima załamałeś się... — Odwróciła się do niego i zmierzyła go krytycznym spojrzeniem. — I nawet chyba tak bardzo nie skłamię. Jeszcze trochę napięcia i będziesz najmłodszą osobą z wrzodami żołądka, jaką spotkałam. Jesteś na najlepszej drodze do tego; zapewne źle sypiasz i nie masz apetytu, prawda?

Spojrzał na nią zaskoczony.

— Prawda! — zawołał. — Skąd...

— Mam dar empatii — przypomniała mu. — Przez większość życia obracałam się wśród uzdrowicieli. Chyba powinieneś sprawdzić, czy An'desha i Śpiew Ognia nie przyjmą cię znów na kilka dni. Poproszę uzdrowicieli, żeby przysłali ci lekarstwa. Albo jeszcze lepiej, poproszę któregoś z nich, żeby do ciebie przyszedł.

Jęknął, a Talia się zaśmiała.

— Nie patrz tak — powiedziała. — Herbatki i eliksiry leczące nerwy i żołądek to zapewne najlepsze rzeczy, jakich dotychczas próbowałeś. Muszą dobrze smakować, inaczej ludzie znajdujący się pod presją nie wypiliby ich, a ci z chorym żołądkiem nie utrzymaliby ich długo. Idź się pakować — zakończyła. — Weź tyle, żeby starczyło na tydzień, a ja poszukam An'deshy i sprawdzę, czy w ekele znajdzie się komnata dla trzeciej osoby.

Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia, ale zatrzymało ją pukanie.

— Karal? — dobiegł ich cichy głos zza drewnianych drzwi. — Tu An'desha i Natoli. Przyszliśmy, żeby ci pomóc, jeśli chcesz.

Talia tak szybko otworzyła drzwi, że zastała An'deshę z ręką wciąż uniesioną do góry, by zapukać jeszcze raz. Zakłopotana Natoli stała obok.

— Wejdźcie — rozkazała. Oboje posłuchali natychmiast, a Talia zamknęła za nimi drzwi.

Zanim Talia lub Karal zdążyli się odezwać, przemówiła pośpiesznie Natoli.

— Nie przyszedłeś do gospody i martwiliśmy się o ciebie, bo wyglądałeś jak półżywy, więc przyszliśmy sprawdzić, czy wszystko w porządku i czy słyszałeś, co o tobie mówią? Oni. . .

— Mówią, że jestem szpiegiem Imperium i odpowiadam za wszystko, co zaszło od czasu mojego przyjazdu, wiem — przerwał jej, po czym znów opadł na krzesło, jedną dłonią przecierając piekące oczy. — Niektórzy zapewne już zdecydowali, iż to ja wywołałem magiczne burze. Albo odpowiadam za pojawienie się Ancara.

— Nie bardzo się mylisz. Niektórzy heroldowie też powtarzają bzdury i nawet ojciec nie może przemówić im do rozsądku — powiedziała ponuro Natoli, spoglądając na Talię z wyzywającą miną, jakby żądała od niej zrobienia czegoś w tej sprawie.

Jej śmiałość nieco zaskoczyła Karala. Zwykła studentka odzywa się tak do osobistego królowej? I to nawet nie przyszły herold!

— Robię, co mogę, ale to zajmie trochę czasu — odpowiedziała Talia i uśmiechnęła się słabo. — Zaczynam rozumieć, przez co przeszła herold Savil, kiedy Vanyel został wybrany. Podobnie jak on po śmierci Tylendela, tak Karal jest obwiniany za to, co się zdarzyło nawet przed jego urodzeniem. Zapowiada się interesująco.

Natoli prychnęła w sposób mający niewiele wspólnego z zachowaniem damy, a An'desha wydawał się nie rozumieć.

— Tymczasem — ciągnęła Talia, zwracając się ku niemu — chciałabym usunąć go z pałacu na jakiś czas, by ludzie uspokoiли się i żeby ochronić go przed wrzodami żołądka. Czy ty i Śpiew Ognia możecie znów go przyjąć?

— Właśnie miałem to zaproponować — odrzekł An'desha.

— Śpiew Ognia przeprowadza jakieś swoje doświadczenia, więc Karal będzie miał spokój i ciszę w ekele. Czy zamierzasz rozpowiadać, że załamał się z powodu wstrząsu?

— Taki miałam pomysł — odparła Talia. — A jeśli uda mi się znaleźć uzdrowiciela, który to potwierdzi, to tym lepiej.

— Czy moglibyście przestać mówić o mnie, jakby mnie tu nie było? — zapytał Karal melancholijnie, spoglądając na nich po kolei.

An'desha pogłaskał go po ramieniu i spojrział na niego z namysłem, jakby rozważał różne pomysły, które przyszły mu do głowy, i właśnie próbował wybrać

najlepszy.

— Przykro mi, przyjacielu — powiedział, po czym przyjrzał mu się uważnie. — Wyglądasz, jakby przeciągnięto cię za koniem przez równiny Dorisza — dodał, marszcząc brwi. — Heroldzie Talio, czy mogłabyś przysłać nam prawdziwego uzdrowiciela, kiedy tylko znajdziemy się w ekele?

Karal spojrział na niego zaskoczony — An'desha nie przemówił jak nieśmiały młody Shin'a'in, którego znał. Zachowywał się teraz jak ktoś, kto uważał się za równego Talii.

Talia skinęła głową, jakby i ona akceptowała tę zmianę, i wyslizgnęła się z komnaty, zanim Karal miał szansę zaprotestować.

— Zostaniesz tutaj z Natoli, sam zdołam spakować twoje rzeczy — ciągnął surowo młody Shin'a'in. — Jeżeli czegoś zapomnę, możesz pożyczyć ode mnie. Jeśli ja miałbym cokolwiek do powiedzenia, nie potrzebowałbyś przez dwa lub trzy dni niczego oprócz pościeli.

I zanim Karal zdołał zaoponować, An'desha zniknął w sypialni. Karal zakłopotany spojrział na Natoli.

— Czy nie mam wyboru? — zapytał.

Ale i od niej nie doczekał się współczucia.

— Nie — odparła. — Nie masz. Zrobiłeś, co mogłeś, ale teraz nie możesz już nic zrobić. Jesteś śmiertelnie zmęczony, chory z napięcia i niezdolny do chłodnego osądu. Teraz my zajmiemy się wszystkim, a ty będziesz odpoczywał, więc równie dobrze możesz się odprężyć i zacząć tym cieszyć.

„Uważaj na to, czego sobie życzysz” — pomyślał Karal, przypominając sobie swoje wcześniejsze marzenia. „Możesz to dostać.”

An'desha i Natoli poprowadzili Karala z bagażami przez Łąkę Towarzyszy, a ich śladem szły wszystkie przebywające tam Towarzysze, wyraźnie zaniepokojone. Pochód prowadził Florian i w każdych innych okolicznościach byłby to niezwykle zabawny widok. Zaczynał się silny mróz, sztywne źdźbła trawy skrzypiały pod nogami, a para unosząca się z ust wisiała w spokojnym, zimnym powietrzu. Za nimi podążało więcej takich obłoków — milczące, białe postacie Towarzyszy. Nie szły one jako straż — An'desha byłby to rozpoznał. Po prostu martwiły się o Karala, i chociaż Karal nie był empatą, nawet on wyczuwał ich troskę.

Uzdrowicielka czekała na nich przy wejściu, z zamkniętymi oczami, wdychając delikatny zapach nocnych kwiatów Śpiewu Ognia.

— Dziękuję, że pozwoliłeś mi tu przyjść. Wiem, że to tylko bardziej wymyślna wersja cieplarni — powiedziała do An'deshy, kiedy weszli przez podwójne drzwi, chroniące przed zimowym chłodem — ale to miejsce zawsze uosabia dla mnie magię.

— Sami możemy coś takiego stworzyć za pomocą pary i rur rozprowadzają-

cych ją po pomieszczeniach — odparła rzeczowo Natoli.

— Ale bez magii nie zdołasz sprawić, by rośliny urosły tak duże i zdrowe w ciągu zaledwie kilku tygodni — An'desha wystąpił w obronie swojej profesji. — Pani uzdrowicielko, oto twój pacjent... — Wypchnął Karala do przodu, gdyż jego przyjaciel trzymał się raczej za plecami, starając się nie zwracać na siebie uwagi.

Uzdrowicielka wzięła Karala za rękę, a drugą dłonią ujęła go pod brodę, by nie mógł odwrócić głowy. Kiedy spojrzała na jego twarz, zmarszczyła brwi.

— Można by pomyśleć, że jesteś o wiele starszy albo że jesteś heroldem, sądząc z tego, do jakiego stanu się doprowadziłeś. Chodź, dziecko — powiedziała, chociaż nie była dużo od niego starsza. — Powinieneś od razu położyć się do łóżka.

— Cieszę się, że to mówisz — odrzekł An'desha. — Proszę za mną.

Po niedługim czasie Karal znalazł się w łóżku, napojony kilkoma eliksirami z zapasów uzdrowicielki mrugając sennie. An'desha otrzymał wskazówki oraz kilka butelek tego samego lekarstwa, które miało utrzymać Karala w łóżku i umożliwić jego żołądkowi wyzdrowienie. Uzdrowicielka, która nie podała swego imienia, zostawiła również listę tego, co Karal mógł i czego nie mógł jeść.

— Nie możemy zbyt długo tego ciągnąć — ostrzegła An'deshę i Natoli. — Zioła są silne i niebezpieczne i nie powinno się ich stosować dłużej niż przez tydzień. Ale sądzę, że nie będzie musiał odpoczywać dłużej niż kilka dni. Potem tamte lekarstwa, napary i dobre łągodne jedzenie dokonają reszty.

— Pod warunkiem, że Jarim nie zniweczy naszych wysiłków — mruknęła Natoli. Uzdrowicielka spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

— Nic takiego, ona głośno myśli — powiedział An'desha. — Dziękuję, jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

— Cóż, to ja jestem wdzięczna, że herold Talia zdołała go znaleźć, zanim nabawił się wrzodów — odparła uzdrowicielka rażno. — To dziesięć razy trudniejsze do wyleczenia. Dobranoc!

Kiedy młoda kobieta odeszła w noc, Natoli odwróciła się do An'deshy z niezadowolaniem wypisanym na inteligentnej twarzy.

— Całe życie słyszałam, jak to uzdrowiciele potrafią wyleczyć wszystko oprócz chorób wrodzonych — powiedziała. — Podobno potrafią składać złamane kości i zamykać rany w mgnieniu oka!

— I co z tego? — zapytał An'desha, zwracając się ponownie ku schodom i mieszkalnej części ekele.

— Dlaczego czegoś nie zrobiła? — spytała Natoli, idąc za nim. — Ona tylko popatrzyła, położyła Karala do łóżka, kazała mu wypić trochę ziółek i to wszystko! Od wielu dni Karal wygląda jak śmierć i teraz nie wyglądał lepiej, więc dlaczego nie machnęła rękami albo nie zrobiła czegoś, co zwykle robi, i nie uzdrowiła go bez całego odpoczynku i picia ziół?

An'desha zatrzymał się na schodach i spojrzął na nią, usiłując wymyślić przekonującą analogię.

— Czy skonstruowałabyś jedną ze swych dużych maszyn parowych tylko po to, by przynosiła przez cały dzień kilka dzbanków z herbatą dla Wielkiej Rady?

— Oczywiście, że nie. Przecież po to są paziowie — odparła Natoli niecierpliwie. — Co to ma wspólnego z uzdrawianiem?

— Nie ma sensu marnowanie energii uzdrowiciela — a ta energia to jego własna energia — po to, by dokonać czegoś, co zrobią także zioła i minerały, zwłaszcza że życie Karala nie jest w niebezpieczeństwie. — Uniósł brew, a Natoli zarumieniła się; nie musiał jej przypominać, że herold Talia mogła przysłać raczej uzdrowiciela-zielarza niż takiego, który używa mocy. — Ona po prostu logicznie wykorzystuje swoją moc. Na pewno nie podziękowałabyś jej za doprowadzenie się do stanu wyczerpania przy Karalu, gdyby — na przykład — później w pałacu wybuchł pożar, a ona nie mogła pomóc twoim poparzonym przyjaciółom, ponieważ nie zostało jej energii. To kwestia jak najlepszego wykorzystania ograniczonych zasobów, droga Natoli, a nie działanie na niekorzyść Karala. — Spojrzał do tyłu, nad głową Natoli, w ciemność za oknami, i uśmiechnął się. — Z wielu ludzi ufających w oskarżenia Jarima możesz na pewno wyłączyć uzdrowiciela wybranego przez herolda Talię.

Spojrzał znów na Natoli, która skrzywiła się.

— Pewnie jestem przewrażliwiona — przyznała niechętnie. — I zapominam, że uzdrowiciele pracują inaczej niż wy, magowie.

— Niezupełnie, jesteś po prostu przyzwyczajona do oglądania mistrzów i adeptów przy pracy — przerwał jej An'desha, idąc dalej po schodach, Natoli szła tuż za nim. — Wędrowcy i czeladnicy oraz zaklinacze pogody i tak zwane „wiedzące baby” także czerpią energię całkowicie ze swych własnych zasobów, chyba że są niezwykle wyczuleni na prądy mocy przepływające wokół nich. Nawet wtedy nie mogą używać większych prądów ani ognisk, gdzie owe prądy się spotykają. Jedynie mistrzowie mogą korzystać z pierwszych, a adepci i z jednych, i z drugich. Ale wielu, wielu magów pracuje bardzo skutecznie z nie większą ilością mocy niż ich własna.

Natoli potrząsnęła głową, a An'desha znów odwrócił się do niej, kiedy weszli do komnaty zebrani w ekele.

— To czysta logika — powiedział z lekkim przekąsem. — Dokładne przestrzeganie zasad. Nie bądź drugim Śpiewem Ognia, który nie chce przyznać, że energia magiczna może stosować się do zasad i logiki. Twierdzenie, że ktoś musi już urodzić się ze zdolnościami adepta, jest nie mniej logiczne niż to, że trzeba się urodzić artystą.

— To też nie jest logiczne — powiedziała Natoli z irytacją. — Ludzie powinni rodzić się równi.

Roześmiał się.

— Teraz ty jesteś nielogiczna. Zakładasz, że ponieważ świat nie przestrzega tego, co uważasz za utarte zasady i normy wzięte z liczb, powinniśmy się go pozbyć!

Nie odpowiedziała, ale słyszał jej mamrotanie pod nosem — zapewne niezbyt przyjazne. Nie przejął się tym, właściwie lubił drażnić się z Natoli — uważał, iż jest zbyt poważna, by wyszło jej to na dobre.

„W pewien sposób zachowuje się podobnie jak ja”.

Zignorował jej pomruki i poszedł do komnaty, należącej poprzednio do niego, a przedtem służącej Karalowi za tymczasowe schronienie.

Karal jeszcze nie spał, ale nawet niedoświadczony An'desha widział, że toczy walkę z działaniem środków zaaplikowanych mu przez uzdrowicielkę.

— Powinieneś spać — powiedział, siadając na sposób Shm'a'in obok postania na podłodze. Natoli klękła obok.

— Pewnie tak — Karal ziewnął szeroko i zamrugał. — Zabawne. Chciałem zachorować, bo wtedy mógłbym... po prostu... zostać w łóżku i...

— Cóż, jesteś chory i zostaniesz w łóżku, robiąc to, co ci każą — powiedziała Natoli surowo. — Nie próbuj się sprzeciwiać.

Uśmiechnął się niespodziewanie słodkim, dziecięcym uśmiechem.

— Nie będę — odparł. — Chciałem tylko powiedzieć: dziękuję.

— Nie ma za co — odrzekł An'desha, a Natoli pogłaskała go po ręce. — Teraz śpij.

Aby zapobiec kolejnym próbom nawiązania rozmowy, jedną myślą zgasił lampę i podniósł się, zostawiając Karala i Natoli w słabym świetle lampy z korytarza.

Poszedł na dół, do ogrodu, zostawiając ją, by sama sobie poradziła. Przez ostatnie kilka tygodni Natoli i Karal nie mieli wiele czasu dla siebie, a według An'deshy nadeszła chwila, by mogli zamienić kilka słów, zanim Karal podda się działaniu leków.

„Później dam im jeszcze lepszą okazję” — obiecał sobie.

Co do niego — miał kilka pomysłów, które mogły się okazać dobre, ale również potrzebował spokoju, by je wypróbować. Pierwszy polegał na czymś, czego nie robił, odkąd Zmora Sokołów wyskoczył z jego umierającego ciała.

Czekał, wpatrzony w fontannę, póki Natoli nie zeszła ze schodów, zawinięta w płaszcz. Nie zauważyła go, a on nie przerywał jej zamyślenia, dopóki cicho nie wyszła. Wtedy pozwolił, by łagodny szmer wody ukołysał go do stanu półsnu, z którego tak łatwo było wejść w trans.

Potem poszukał Księżycowych Ścieżek.

Nie był pewien, czy wolno mu będzie je odnaleźć — w końcu po Księżycowych Ścieżkach spacerowali jedynie szamani, Zaprzysiężeni Mieczowi i Zaprzysiężeni Bogini. Avatary nauczyły go, jak dotrzeć na ścieżki, by mógł spotykać się z nimi w bezpiecznym miejscu podczas snu Zmory Sokołów. Ale teraz wysłał

swojego ducha na zewnątrz, a potem do góry, po znajomych zakrętach rzeczywistości. . .

I znalazł się tam. Stał na ścieżce ze srebrnego pyłu, otulony szarą, jaśniejącą perłowo mgłą.

„Udało się!” Smakował radość z osiągnięcia celu, nigdy bowiem nie był pewien, kiedy avatary znów mu się ukażą. Najlepszym sposobem wydawało się poszukać ich samemu, jeśli mógł, zamiast beczynn timer czekać. Od czasu jego przyjazdu do Valdemarum stosunki między nimi zmieniły się — jeśli w ogóle odpowiadały na jego pytania, to nigdy nie bezpośrednio. Teraz, zamiast dawać mu rady lub uczyć go, avatary prowadziły go delikatnie ku samodzielnemu poszukiwaniu rozwiązań.

Tak, ale teraz stawiał trudniejsze pytania, a odpowiedzi stawały się bardziej subiektywne. Na wiele sposobów odpowiedzi służyły teraz An'deshy do podejmowania decyzji, jak ukształtować siebie i swoje życie.

„Uczę się, kim jestem, przez określanie, kim był Zmora Sokołów we wszystkich swych wcieleniach — przez zrozumienie, dlaczego robił to, co robił, i dlaczego myślał tak, jak myślał, a potem świadomie idę w przeciwnym kierunku.”

Cóż, była to wyższa filozofia, ale w tej chwili potrzebował nieco innych, prostszych wskazówek. Miał nadzieję, że avatary, zwłaszcza Tre'valen, pomogą mu. W końcu prawdziwy problem stanowił Jarim, Shin'a'in — a czyż oba avatary nie należały do Gwiazdzistookiej? Jeśli Tre'valen odwiedzi Jarima i ukaże mu się w całej swej chwale, po czym jednoznacznie oznajmi, że Shin'a'in myli się co do Karala, czy nie rozwiąże od razu wszystkich kłopotów?

W każdym razie taką miał nadzieję.

Wysłał pytającą myśl w mgłę, w poszukiwaniu swych nauczycieli i przewodników; w tym miejscu nie można było mierzyć upływu czasu, ale nie czekał zbyt długo na odpowiedź.

Mgła nad ścieżką przybrała kształt podwójnej, jaśniejącej kolumny, po czym zadrżała i uformowała dwie sylwetki. Jedną był mężczyzna, drugą kobieta — mężczyzna z pewnością należał do Shin'a'in, ale kobieta nie. Jej włosy i ubranie — długa srebrna peleryna — zdradzały przynależność do Sokolich Braci, Tayledrasów — w shin'a'in: Tale'edras. Chociaż oboje wyglądali zupełnie jak ludzie, w powietrzu za nimi unosił się delikatny zarys wielkich płomiennych skrzydeł. Oni również jaśnili wewnętrznym światłem, a ich oczy, kiedy z uśmiechem spoglądali na An'deshę, nie miały źrenic. Były ciemne jak noc pełna gwiazd, a w ich czerni jarzyły się drobne światełka.

Kiedy Shin'a'in nazywali swą Boginię o Czterech Twarzach Gwiazdzistooką, mieli właśnie to na myśli, gdyż zarówno Ona, wszystkie służące Jej duchy oraz avatary mieli właśnie takie oczy. Był to niezawodny sposób, by ich rozpoznać, gdyż taki znak był niemożliwy do podrobienia — przynajmniej tak mówiono An'deshy.

— Cóż, braciszku. . . — Tre'valen skrzyżował ramiona dziwnie ludzkim gestem i spojrzął z aprobatą na swego ucznia. — Nie zapomniałeś, czego cię nauczyliśmy.

— Nie odważyłbym się przyjść tutaj, gdybym nie musiał — odparł An'desha pośpiesznie. — Proszę, pozwólcie. . .

— Wiemy, wiemy, jesteś zbyt posłuszny — powiedziała Jutrzenka ze śmiechem. — Zatem mów, co cię sprowadza?

— Mój przyjaciel Karal — odrzekł An'desha. — Poseł Shin'a'in, który zastąpił Quernę, przyprawia go o rozpacz.

Szybko, gdyż wiele razy powtarzał to, co chciał im powiedzieć, jeśli dadzą mu szansę, zrelacjonował wydarzenia od czasu przyjazdu Jarima. Tre'valen i Jutrzenka słuchali ze współczuciem, ale kiedy skończył, był rozczarowany ich odpowiedzią.

— Przykro mi, braciszku, ale w żaden sposób nie możemy ci pomóc — powiedział stanowczo Tre'valen. — Chciałbym, przez wzgląd na ciebie i na innych, żeby było inaczej — ale nie jest. Ty i wszyscy pozostali wciągnięci w tę przykrą sytuację musicie sami znaleźć z niej wyjście.

— Wolno nam się wtrącić tylko wtedy, kiedy jest dla Niej jasne, że bez naszej interwencji skutki będą katastrofalne — dodała Jutrzenka ze współczuciem. — Przykro mi.

An'desha westchnął, ale nie zadał sobie trudu, by prosić dalej, choć ich słowa bardzo go rozczarowały. „Wychowano mnie na opowieściach o Gwiazdzistookiej, o tym, jak zsyła Ona pomoc dopiero wtedy, kiedy wszelkie inne sposoby zawiodły. Nie powinienem się dziwić.”

W rzeczywistości czasami w ogóle nie pomagała — chyba że zapłacono za pomoc życiem. O tym też wiedział.

Nie powinien czuć się aż tak rozczarowany, ale tak się czuł — i awatary widziały to w jego oczach. Pomyślał o leżącym na posłaniu Karalu, bladym i wychudzonym od nieustannych i nieudanych prób podołania obowiązkom, które leżały poza jego możliwościami. Pomyślał o pysznym Jarimie, z pogardą patrzącym na półkwi Shin'a'in — An'deszę, i ziejącym bezrozumną nienawiścią, kiedy tylko spojrzął na Karala. Przez chwilę panowała niezręczna cisza, potem An'desha wybuchnął.

— Ona zsyła na Karala próby cięższe, niż może znieść; i jego bóg również! — zawołał. — Czy to uczciwe?

Ale Tre'valen spojrzął na niego poważnie.

— Pytasz mnie, czy to uczciwe? Uważasz, że Ona i On są za to odpowiedzialni?

An'desha bez słowa rozłożył ręce.

— Uważasz, że ona tresuje ludzi, tak jak się tresuje konie, zrzuca na nich nieszczęścia, by sprawdzić, jak je zniosą i czy się załamią? — pytał Tre'valen.

— Czy myślisz, że Pan Słońca to wielki urzędnik notujący w księdze to, co jest uczciwe i nieuczciwe, a potem robiący podsumowanie jak w rachunkach?

— Mówiono... — zaczął An'desha.

— Ludzie mówili — powiedział surowo Tre'valen. — Ludzie, An'desho, którzy wtłaczają bogów w swoje wąskie i ciasne wyobrażenie świata; którzy wkładają w ich usta swe własne słowa. Nie, tak nie jest. Są ograniczeni swoją wolą, by dać nam wolność podejmowania naszych wyborów oraz życia lub umierania zgodnie z nimi. Jesteśmy ich pisklętami, ale kiedy przychodzi czas opuszczenia gniazda, Oni nie mogą polecieć za nas. Świat jest taki, jakim my go czynimy, gdyż został nam dany — tak jak twój namiot jest taki, jakim go uczynisz, gdyż został ci dany. Możesz utrzymywać go w porządku i czystości, ale możesz też pozwolić, by słupki popękały, a pokrycie zgniło. To prawda. Ciężka, ale prawdę zawsze trudno znieść.

An'desha zaczerwienił się, zawstydzony swym wybuchem.

— Dopiero wtedy, kiedy przekroczymy granice tego świata, oni mogą działać, albo kiedy wydarzenia objęły obszary, do których nie sięgnie żaden człowiek. Twoje kłopoty nie sięgnęły jeszcze żadnego z tych punktów. — Tre'valen w końcu uśmiechnął się do niego ciepło i An'desha znów się zaczerwienił, czując, że łagodnie pokazano mu zadanie, które od początku powinno być dla niego oczywiste.

— Możesz spróbować wielu sposobów — odpowiedziała Jutrzenka. — Pomyśl o wszystkich przyjaciółach twoich i Karala, tych, których nie zwiódła nienawiść zaślepionego człowieka. Mogę ci powiedzieć, że uzdrowicielka już rozpowiada o biednym młodym człowieku, doprowadzonym do stanu wyczerpania; wśród jej słuchaczy jest równie wielu tych, którzy mu współczują, jak i jego przeciwników. Pomyśl o innych, których mógłbyś znaleźć.

To była prawda, a podczas gdy Karal dochodził do zdrowia, Jarim nie miał celu dla swych ataków.

„Chyba że wybierze mnie — ale to chyba mało prawdopodobne, gdyż atakując mnie, zadrze ze Śpiewem Ognia, a Śpiew Ognia jest mistrzem w demaskowaniu głupców.” Na tę myśl uśmiechnął się lekko.

A jednak — nie będzie mu łatwo poruszać się pomiędzy ludźmi na valdemarskim dworze, broniąc honoru i uczciwości Karala. Wciąż czuł się tam obco i nie na miejscu, z wyjątkiem sytuacji kryzysowych, kiedy był zbyt zajęty, by myśleć albo uświadamiać sobie swoje położenie.

„Ale jestem Shin'a'in. Jarim nie może temu zaprzeczyć. A ja, poza wszystkimi, mogę poręczyć za Karala. Czyż nie widziałem go z jego mistrzem, tego, jak się do siebie nawzajem odnosili? Czyż Karal nie przeprowadził mnie przez moją własną ciemność? Czyż nie narażał życia dla ochrony nie tylko własnego kraju, ale wszystkich ziem sojuszu? Mogę o tym wszystkim opowiedzieć — o tym, o czym reszta zapomniała, bo tak im wygodniej.”

— Masz wszystko, czego potrzeba do znalezienia wyjścia z sytuacji bez naszej interwencji, braciszku — odezwała się Jutrzenka, kiedy An'desha rozmyślał. — Musisz jedynie zdecydować, gdzie patrzeć, dokąd sięgnąć, co i jak chwycić.

Tre'valen zaśmiał się.

— Oraz wiedzieć, kogo zapytać i zgadnąć, co z tego wyniknie, a potem już łatwo żyć na tym świecie, prawda?

Ku swemu zdziwieniu An'desha również się roześmiał, zapominając o wstydzie. W tej chwili zdał sobie sprawę, że czuje się z avatarami znacznie swobodniej.

— Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, An'desho — powiedziała Jutrzenka, jakby śledziła jego myśli.

Skinął głową, czując to samo ciepło, co w obecności Karala. Byli zarówno jego przyjaciółmi, jak i przewodnikami oraz mistrzami — i czy to możliwe, że przepaść między nimi, przepaść dzieląca ucznia od nauczyciela, zmniejszała się z każdą chwilą?

— Już niedługo — powiedział zagadkowo Tre'valen.

Być może. W każdym razie sprawa nie wyglądała beznadziejnie, choć Karal sięgnął kresu swoich możliwości. Skrytość Karala i jego skłonność do ukrywania kłopotów obróciły się przeciw niemu. Większość życzliwych mu osób prawdopodobnie nawet nie wiedziała, w jak ciężkim położeniu się znalazł; teraz, kiedy dowiedzieli się o tym, nadszedł czas, by ich zebrać i zacząć działać.

„Gryfy! Lubią Karala, a Jarim musiałby być o wiele odważniejszy, by się im przeciwstawić. Muszę z nimi porozmawiać, opowiedzieć, co się dzieje...”

— Zaczynasz widzieć możliwości — zachęcił go Tre'valen. — Powinieneś teraz iść tam, gdzie możesz je wykorzystać.

— Ale wracaj, braciszku — dodała Jutrzenka, kiedy przygotowywał się do powrotu do ciała i świata, który znał. — Księżycowe Ścieżki są zawsze dla ciebie otwarte.

„Księżycowe Ścieżki są zawsze dla ciebie otwarte.” Księżycowe Ścieżki — wszyscy Shin'a'in mogli je przemierzać w nocie pełni księżyca, ale Jutrzenka, mówiąc, że zawsze mógł na nie wejść, miała na myśli to, że teraz miał pozycję, miał moc zarezerwowaną jedynie dla Zaprzysiężonych Mieczowi, Zaprzysiężonych Bogini...

...i szamanów.

Następnego poranka, po wyjściu Śpiewu Ognia, An'desha zjrzał do Karala. Zastał go sennego, oszołomionego lekami i niezdolnego do myślenia. Odzywał się monosylabami, ziewając nieustannie. W takim stanie można było nim kierować, co według An'deshy nie było takie złe.

— Nie mogę wstać — poskarżył się Karal i ziewnął. — Zbyt zmęczony.

— Zatem leż, przyniosę ci śniadanie — powiedział An'desha i wyszedł, zanim

Karal mógłby zaprotestować. Upewnił się, że Karal zjadł lekki posiłek przepisany przez uzdrowicielkę, potem dopilnował, by wypił lekarstwa zalecone przez nią. Zostawił Karala z książką i poszedł zrobić sobie śniadanie, ale zanim wrócił, Karal znów spał. Książka wysunęła mu się z rąk i spadła na pierś. An'desha uśmiechnął się do niego i cicho wyszedł.

„Dobrze. Do południa powinien spać, w takim razie mogę robić, co zamierzylem.”

Zamiast nakładać kolorowe ubranie Shin'a'in, przeszukał szafę i znalazł prostą brązową tunikę i czarne spodnie, w których łatwiej mógł wtopić się w tło. Nie zdołał zrobić zbyt wiele ze swymi włosami, ale jeśli zwiąże je z tyłu i gładko przyczesze, nie powinny zwracać uwagi.

Zjawił się na dworze podczas porannej audiencji i stanął dyskretnie na uboczu, przy kotarach. Nie mówił nic, ale słuchał uważnie.

Karal był głównym tematem rozmów, które udało mu się podsłuchać. An'desha postarał się stanąć jak najbliżej mistrzów z gildii, by dowiedzieć się, co powiedzą na ten temat ludzie, po których można się spodziewać raczej obiektywnego osądu.

Kiedy tylko dobiegło go imię Karala, wyteżył słuch i zaczął podsłuchiwać bezwstydnie.

— ... Karsyty nie ma w komnacie — powiedział mistrz złotników ponuro. — Służący twierdzą, że nie zjawił się na noc. Chyba oskarżenia Jarima są prawdziwe.

— Twoje wiadomości są niepełne i stare — odrzekła szorstko kobieta w tunice cechu tkaczy. — Karsyty nie ma w komnacie, gdyż zeszłej nocy zachorował. Posłano do niego uzdrowicieli; według nich jest chory z napięcia i żalu. — Spojrzała na złotnika, a w jej spojrzeniu An'desha odczytał długą historię rywalizacji tych dwojga.

— Zatem oskarżenia Jarima są niesłuszne? — odparował złotnik z szerokim gestem, niemal strącając czapkę z głowy pazia stojącego obok. — Nie sądzę! Gdybym ja był szpiegiem Imperium, bez wątpienia żyłbym w napięciu, a co do żalu, na to mamy tylko słowo uzdrowicielki.

— Nie wierzysz osobistemu królowej, który twierdzi tak samo? — parsknęła kobieta, zakładając ramiona na piersi. — Można równie dobrze zapytać o twoją lojalność, skoro wątpisz w słowa herolda Talii!

Mistrz złotnik uśmiechnął się do niej z wyższością.

— Twierdzą jedynie, że to dziwne, iż chłopak przeżył, kiedy jego mistrz zginął. Dziwne, że został posłem. Dziwne, że magiczne burze po raz pierwszy pojawiły się po jego przyjeździe. Dziwne, że opowiada się za pokojem z tymi, którzy zabili jego mistrza. — Złotnik najwyraźniej nie przejął się argumentacją swej koleżanki. Sprawa Karala stwarzała mu okazję do załatwienia własnych interesów.

Wokół tych dwojga zgromadziło się mnóstwo ludzi, dworzan i wysokich rangą kupców ubranych w świetne stroje, jakie noszono na każdej ceremonii. An'desha

przyjrzał się twarzom tych, którzy mogli usłyszeć rozmowę. Na wszystkich odbijało się ponure zatroskanie.

„Myślą, że choroba Karala tylko potwierdza słusność oskarżeń Jarima.” Twarz Shin’a’in — wiedział o tym — także wyrażała troskę, ale z zupełnie innego powodu. Miał nadzieję, że znajdzie się tu dość ludzi, którzy znali Karala zbyt dobrze, by posądzać go o coś podobnego.

Dwójka mistrzów cechowych zmieniła temat słownej rozgrywki. An’desha poszedł dalej, zastanawiając się, co zrobić. Krążył pomiędzy widzami, wciąż milcząc i nasłuchując. Karal miał tutaj przyjaciół, oni także przyszli, by działać — co się rzadko zdarzało, pokazał się nawet gryf Treyvan, broniąc Karala krótkimi, ale stanowczymi wypowiedziami.

Jednak stronnicy Jarima mówili o wiele głośniej — i trudno było udowodnić przeciwne im racje. Zwolennicy Karala mieli na poparcie swych słów jedynie uczucia i kilka faktów, natomiast ich przeciwnicy — wszelkie najbardziej dziwaczne pomysły, na jakie mogli wpaść.

An’desha zastanawiał się nad uczestnictwem w spotkaniu Wielkiej Rady, wiedząc, iż Jarim z wszystkich sił postara się uczynić z niego sąd nad Karalem. Musiał istnieć sposób, by powstrzymać go przed wykorzystaniem tak oficjalnej drogi!

Po porannej audiencji odłączył się od tłumu i poszedł ku prywatnym komnatom królowej, prosząc o posłuchanie u księcia małżonka.

Czekał w wykładanej drewnem komnacie, obserwowany przez dwóch strażników, którzy najwyraźniej nie rozpoznali go w innym ubraniu. Zaczął się zastanawiać, czy książę w ogóle wysłucha jego prośby, czy dworzanin, nie znający jego imienia i pozycji, a zwiedziony skromnym strojem, przekaże mu wiadomość. „Zapewne poproszą mnie, abym przyszedł później albo zaczekał do zebrania Wielkiej Rady” — pomyślał. „Gdyby to Śpiew Ognia się tu pojawił...”

— Panie? — paż wystawił głowę przez drzwi, zaskakując nie tylko An’deszę, ale i dwóch strażników. — Panie An’desho, proszę natychmiast wejść!

Strażnicy spojrzeli na siebie nawzajem, a potem na niego, zastanawiając się, kim jest, skoro tak został przyjęty. An’desha nie czekał na powtórne zaproszenie. Kiedy tylko paż otworzył drzwi, prześlizgnął się obok niego i wszedł do komnaty przyjąć w apartamentach królowej.

Najwyraźniej nie tylko on nie chciał tracić czasu — w komnacie stał sam książę Daren z wyciągniętą na powitanie ręką.

— An’desha! — zawołał, chwytając jego dłoń w serdeczny uścisk, kiedy tylko Shin’a’in wyciągnął rękę. — Talia powiadomiła nas, co się działo wczoraj wieczorem. Jak naprawdę się czuje Karal? Talia nie była pewna jego reakcji. — Gestem wskazał jedno z rzeźbionych krzeseł ustawionych obok małego stolika na środku komnaty. An’desha usiadł, ale książę stał nadal.

— Chory i śpi, Wasza Wysokość — odrzekł poważnie An’desha. — Uleczy ciało, jak twierdzą uzdrowiciele, nawet niedługo, ale my chyba musimy uzdrowić

sytuację. Jeśli nie zdołamy tego zrobić, wkrótce Karal znów się załamie.

Daren przeciągnął ręką po gęstych jasnych włosach i westchnął ciężko.

— Bałem się, że jest z nim gorzej, niż nam powiedziano — odrzekł z ulgą.
— To... to dobry chłopak, ale chyba za bardzo skrywa to, co go boli. Słuchaj, zamierzam odrzucić wszelkie próby oskarżenia Karala na spotkaniach Wielkiej Rady. Jeśli Jarim się nie opamięta, skorzystam z prawa pełnomocnika królowej i w ogóle odwołam spotkania — uśmiechnął się ponuro.

— Przez tydzień lub dwa poradzimy sobie bez nich. Prawdziwą pracę i tak wykonuje Kerowyn, magowie i mistrzowie rzemiosł. Właściwie zwoływałem je dotąd częściowo po to, by informować ludzi o naszych postępach, a częściowo w nadziei, że wyniknie z nich coś nowego. Przyznaję, bardzo chętnie skorzystam z wymówki, by przez pewien czas obyć się bez tej czasochłonnej rozrywki.

An'desha zdobył się na odwagę, aby zadać pytanie, którego nie miał prawa zadawać.

— Wasza Wysokość, czy Solaris przesłała jakąś wiadomość? Nie wierzę, że nie wie o tym, co się tutaj dzieje. Do tej pory miała sposoby, by natychmiast o wszystkim się dowiadywać.

Daren spojrzał na niego dziwnie.

— Przesłała — odparł. — Dziś rano pismo od niej leżało na moim biurku razem z korespondencją, choć wczoraj wieczorem nie było go tam, a nie przyniósł go posłaniec ani paż. Pewnie powinieneś przekazać Karalowi, co zawiera. Są to tylko dwa słowa — przerwał na chwilę i jego twarz przybrała dziwny, nie do odczytania wyraz. — Jest tam napisane: „Karal zostaje” i podpis samej Solaris.
— Potrzęsnał głową. — Nie do końca wiem, co to oznacza, ale treść jest jasna.

An'desha skinął głową.

— Karal jest nadal jej przedstawicielem. Jednak może trzyma go tylko dopóty, dopóki nie minie najgorsze, aby nie wyglądało to jak odwołanie z powodu jego uczynków.

— Mam nadzieję. — Daren znał zbyt dobrze etykietę, by chodzić w kółko, ale niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

— Zrobiliśmy, co w naszej mocy, by podtrzymać jego autorytet, ale to wszystko, co możemy uczynić, gdyż Karal styka się z ludźmi, którzy nie znali go od początku.

An'desha skrzywił się i szybko zmienił temat. Porozmawiali chwilę o tym, jak pomóc Karalowi odzyskać dobre imię, ale obaj przyznali, że przede wszystkim muszą walczyć z oszczerstwami Jarima.

— Zrobuję, co zdołam, by został odwołany i zastąpiony Zaprzysiężonym albo szamanem — powiedział w końcu Daren. — Ale to wymaga czasu, który Jarim wykorzysta na zatruwanie umysłów.

— A my musimy znaleźć antidotum na tę truciznę. — An'desha zawahał się i wzruszył ramionami. — W tej chwili nic więcej nie przychodzi mi do głowy.

— Mnie również — przyznał książę. — Ale dziękuję, że do mnie przyszedłeś. Dafeś mi powód, bym zrobił to, co chciałem zrobić od razu. Jarim nie jest złym człowiekiem, ale jako poseł zupełnie się nie sprawdził. Podejrzewam, że Shin'a'in nie mają doświadczenia w wybieraniu swoich przedstawicieli poza Równinami.

An'desha roześmiał się, wstając i idąc w stronę drzwi.

— Pewnie ja byłbym lepszym posłem od niego. . . — Na spojrzenie Darena, pełne zainteresowania i nadziei, dodał ostrzegawczo: — Nigdy mnie nie zaakceptują, jeśli nie będę szamanem. Posiadam dar magii i jako taki nie mogę ich reprezentować. Żaden Shin'a'in oprócz szamanów nie może praktykować magii.

— Jako mag oraz ten, kto wycierpiał więcej niż stu żołnierzy, posiadasz umiejętność rozumienia, której Jarimowi bardzo brakuje — odparł Daren sucho.

An'desha potrząsnął głową, podziękował księciu za poświęcenie mu czasu i cierpliwość, po czym wyszedł, pocieszony, że książę będzie krótko trzymał Jarima.

Wrócił do ekele, gdzie zastał Karala siedzącego sennie w słońcu w ogrodzie. Przez okna od wschodu wlewało się ciepłe, żółte światło, rozświetlając kawałek trawnika otoczony kwitnącymi, pachnącymi krzewami. Karal urządził sobie siedzisko z derki, którą znalazł wśród rzeczy An'deshy, oraz koca z łożka.

— Dlaczego tu jesteś? — zapytał An'desha srogo, spoglądając na niego z rękami na biodrach. — Uzdrowicielka kazała ci zostać w łożku!

Karal zmieszał się, ale nie odwrócił spojrzenia od twarzy przyjaciela.

— Nie mogłem spać — powiedział. — Nie pójdę nigdzie dalej, wypiję wszystko oprócz lekarstw nasennych, ale nie mogę znieść tego oszołomienia. — Spojrzał prosząco w oczy maga. — Obiecuję, że będę drzemał, kiedy tylko będę mógł, ale nie chcę być do tego zmuszany. Lekarstwa. . . — zająknął się — po nich śnię o. . . o granicy Iftelu.

An'desha zadrżał; on również nie miał ochoty wspominać tego wydarzenia, a wiedział, że dla Karala było ono jeszcze gorsze.

— W porządku. Przyznaję, czuję się lepiej, wiedząc, że nie jesteś tu sam i śpiący. Herold Kerowyn nauczyła cię samoobrony na tyle, byś potrafił się ochronić. Zakładając, iż ktokolwiek przeszedłby obok wszystkich Towarzyszy stojących na zewnątrz. . . — przerwał na chwilę. — Książę Daren poprosił mnie, żebym przekazał ci wiadomość od Solaris — to tylko dwa słowa: „Karal zostaje”. Może ty zrozumiesz z niej więcej niż ja.

Karal jedynie potrząsnął głową.

— Mam plan — ciągnął An'desha. — Ale wprowadzenie go w życie zajmie kilka dni. Tymczasem twoi przyjaciele stają w twojej obronie, nie opuścili cię. Zdaje się, że kiedy tylko zawiadomię ich, że możesz przyjmować gości, nie będziesz sam nawet przez chwilę. — Na widok zainteresowania i tłumionej nadziei na twarzy Karala dodał: — Szczególnie Natoli chce ci dotrzymać towarzystwa.

Rumieniec Karala powiedział mu wszystko, co chciał wiedzieć na ten temat. Zatem między nimi było coś więcej niż zwykła przyjaźń.

„Dobrze. Bardzo dobrze. Dla obojga nadszedł czas. Natoli zbyt długo była jednym z chłopców, zwłaszcza że nie jest she'chorne — nie więcej niż Karal.”

— Na razie przyniosłem ci książki, które nie mają nic wspólnego z polityką, wojną i magią. Masz. — Położył trzy książki, które zabrał z biblioteki. — Czytaj je i nie myśl o niczym. Ja idę wypróbować wrodzoną Shin'a'in dyplomację i skłonność do intrygi.

Karal zaśmiał się, gdyż nawet na północy, w Valdemarze, Shin'a'in byli oczywiście uważani za najbardziej bezpośrednich i najmniej dyplomatycznych ludzi w całym sojuszu. „Szczery jak Shin'a'in” — mówiło przysłowie, które An'desha nieraz słyszał.

Być może nikt z nich nie zdawał sobie sprawy z tego, że szczerości można użyć równie skutecznie jak oszustwa. . . ani z tego, że powiedzenie części prawdy może być równie mylące jak całe kłamstwo.

Przez trzy dni An'desha pozostawił obronę honoru Karala innym jego przyjaciołom, a sam skupił się na Jarimie. Wydawało mu się, że może jest na niego sposób; nieco przypominał głównego uzdrowiciela z poprzedniego klanu An'deshy. Tor'getha nie był złym człowiekiem, ale zbyt szybko wyciągał wnioski i od razu szukał wrogów poza klanem. Jednak kiedy przedstawiło mu się przekonujące dowody, Tor'getha potrafił zmienić zdanie.

Zatem po pierwsze — An'desha musiał udowodnić, iż naprawdę jest tym, za kogo się podaje, a nie bezdomnym włóczęgą wykorzystującym okazję do przyłączenia się do klanu. Ubrany tradycyjnie, ale bez wątpienia w stylu Shin'a'in, An'desha krążył wokół wszelkich grup, w jakich znalazł się Jarim. Nikt oprócz najbardziej zaufanych przyjaciół nie wiedział, gdzie przebywa Karal, więc Jarim nie miał pojęcia, że An'desha gości młodego Karsytę u siebie. Po trzech dniach Jarim przestał prychać i krzywić się, kiedy zobaczył An'deshę, natomiast przyglądał mu się z zaciekawieniem, jakby zastanawiał się, czego ten chce.

An'desha dał mu czas do namysłu, gdyż zgodnie z planem to Jarim powinien uczynić pierwszy krok, a nie on. Czuł się niemal jak na polowaniu na jastrzębie i sokoły, kiedy trzeba zaszyć się w gąszczu z gołębiem jako przynętą i czekać, kiedy ptaki zbliżą się, by je pochwycić. Gdy sokół łapał przynętę, rzadko kiedy obeszło się bez walki, aby go zatrzymać — chociaż może ten szczególny obiekt polowania nie zdawał sobie sprawy z toczącej się walki.

W końcu cierpliwość została wynagrodzona — zwierzyna podeszła, by obejrzeć przynętę. Jarim zatrzymał go trzeciego dnia od zniknięcia Karala, kiedy An'desha wychodził z pałacu i kierował się w stronę ekele.

Jarim czekał na niego przy drzwiach na ścieżce biegnącej przez ogród.

— An'desho, chcę z tobą pomówić — zaczął niezręcznie, szukając słów. Drobiny kurzu wirowały w smudze światła padającego z okna nad drzwiami, tworząc ścianę między nimi. — Podajesz się za Shin'a'in, ale nie wyglądasz jak my, choć małpujesz nasze zwyczaje, nasz strój i mówisz swobodnie naszym językiem. Ja... — Skrzywił usta, usiłując znaleźć odpowiednio dyplomatyczne słowa na wyrażenie tego, co chciał powiedzieć. — Jestem tutaj przedstawicielem Shin'a'in i nie pozwolę, żeby obcy podszywali się pod klany.

An'desha uśmiechnął się lekko. Tego właśnie potrzebował, by utwierdzić swoją wiarygodność.

— Moim ojcem był Le'kala shena Jor'ethan — odrzekł spokojnie. — Moją matką — kobieta spoza Równin, tkaczka mieszkająca w Kata'shin'a'in. Podobno ojciec lubił wędrować, często poza Równinami, najczęściej zaś jeździł do Kata'shin'a'in, gdzie mógł obserwować i poznawać ludzi z dalekich krajów — zwilżył wargi. — Matka umarła przy moim urodzeniu, ojciec przywiózł mnie do klanu, by wychowano mnie jako syna Niedźwiedzia.

— Zatem półkrwi... — zaczął z niechęcią Jarim, najwyraźniej zamierzając mu odmówić prawa do pełnego dziedzictwa Shin'a'in. Andesha przerwał mu.

— Mam więcej krwi klanu niż większość Tale'sedrin — odrzekł odważnie. — Nie możesz temu zaprzeczyć. Kiedy Bogini stworzyła złote włosy i zielone oczy? To dziedzictwo Kethry shena Tale'sedrin, a jeżeli odmówisz krwi członkom Tale'sedrin, będziesz odpowiadał przed Kal'ened, gdyż to Ona zezwoliła na włączenie Kethryveris do klanów przez przysięgę krwi.

„Przelknij to, stary uparciuchu. Na całych Równinach nie znajdzie się ani jeden Shin'a'in, który odmówiłby statusu Tale'sedrin, a przecież pochodzą oni od kobiety i mężczyzny, którzy nawet nie wiedzieli o istnieniu ludu, dopóki nie dorosli.”

Złapanym w potrzask Jarim skrzywił się i zmarszczył brwi.

— Kiedy Bogini zdecydowała, że jej lud może mieć oczy jak kot? — powiedział w końcu. — Albo włosy wybielone przez magię?

An'desha szybko zważył możliwości repliki i zdecydował się na najbardziej śmiałą.

— Czy zamkniesz swój umysł z powodu tego, co widzą twoje oczy, jak obcy, którzy wierzą jedynie w to, co mają przed sobą? — zapytał. — Czy też wysłuchasz mojej opowieści i dowiesz się, co działo się tutaj przed twoim przyjazdem?

Jarim cofnął się trochę, podniósł głowę i wyprostował sztywno plecy. Od czasu przyjazdu nikt się tak do niego nie zwrócił i An'desha doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Jednakże sformułował swoje wyzwanie bardzo ostrożnie, odwołując się do krwi, klanu i tradycji zobowiązującej do wysłuchania najpierw tego, co rodak ma do powiedzenia, zanim się wyda osąd.

Wreszcie poseł skrzywił się i przechylił głowę na bok.

— Zatem chodź do moich komnat, tam cię wysłucham.

Skierował się ku schodom, a An'desha ochoczo poszedł za nim.

Komnaty Jarima wyglądały dokładnie tak, jak je sobie wyobrażał: według norm valdemarskich skromne, minimalnie umeblowane, ale luksusowe dla kogoś, kto całe życie spędził w namiocie. Na gest Jarima An'desha zajął miejsce na poduszce na podłodze, odruchowo siadając ze skrzyżowanymi nogami jak ktoś, kto urodził się w namiocie. Jarim zacisnął usta, najwyraźniej nawet się nie spodziewał, że An'desha zdoła usiąść na poduszce, nie mówiąc o przybraniu postawy od razu zdradzającej członka Shin'a'in.

„Ciekawe. Zaczyna mi się wydawać, że ten człowiek nie zadał sobie nawet trudu, by dowiedzieć się czegokolwiek o przebywających tutaj ludziach! Czy to możliwe? Czy przysłano go aż tak źle przygotowanego?”

Może dlatego tak łatwo wyciągnął wnioski na temat Karala i An'deshy. Jeśli tak — jeśli będzie słuchał przynajmniej z częściowo otwartym umysłem — może będzie łatwiej go przekonać.

— Co o mnie wiesz? — zapytał An'desha.

Jarim zamilkł, potrząsnął głową, jakby naprawdę nie wiedział zbyt wiele.

— Podajesz się za Shin'a'in, tworzysz parę ze zbyt przystojnym magiem Tale'edras, sam masz białe włosy maga. Podobno pomogłeś budować zapory przeciwko magicznym burzom.

An'desha na chwilę zamknął oczy.

„On nic nie wie. Zakładaliśmy zbyt wiele. Spodziewaliśmy się, że ktoś opowiedział mu o nas wszystko, a przecież on działał w kompletnej nieświadomości, opierając się na tym, co wychwycił z rozmów, tworząc z tego spaczony i niepełny obraz sytuacji.” Wydawało się to niemożliwe, wręcz niewiarygodne, że można było wysłać tak źle przygotowanego posła.

Cóż, był to poseł Shin'a'in. W klanach trafiali się tacy, którzy podejrzliwie patrzyli na wszystkich ludzi spoza Równin. Być może nie czuł potrzeby dowiadywania się czegokolwiek o tych, z którymi współpracował. Może uważał, że niepotrzebne mu takie drobiazgi, skoro ma działać jedynie na rzecz swego ludu.

Ale jak powiedzieć mu to, co musi wiedzieć, w taki sposób, by uwierzył? „Mniej przypomina uzdrowiciela niż tego starego niedźwiedzia, Vor'kełę, szamana mojego klanu.” I wtedy wpadł na pomysł, jak przedstawić swoją — i Karala — opowieść tak, by ten ograniczony człowiek go wysłuchał.

Zmienił nieco pozycję i usiadł w wystudiowanej, ale swobodnej pozycji szamana opowiadającego historię z przeszłości. Jarim odruchowo dostosował się do An'deshy, sadwając się w pozycji podległego, uważnego słuchacza. I nawet nie zdawał sobie z tego sprawy! Pozycja jego ciała będzie wpływać na jego umysł; An'desha już ustalił, kto tu jest nauczycielem, a przecież nie odezwał się jeszcze ani słowem!

Zaczął opowiadać w tradycyjny sposób, używając utartych zwrotów i odpowiednio modulując głos. I chociaż dotychczas rozmawiali po valdemarsku, teraz

An'desha przemówił w języku Równin.

— Oto opowieść, wysłuchaj jej całym sercem, gdyż jest tak prawdziwa i pewna jak sama Gwiazdzistooka.

Przez zmrużone powieki dojrzał, że Jarim poruszył się zaskoczony tym, że An'desha nie tylko zna odpowiednie słowa, ale także umie je powiedzieć w odpowiedniej intonacji.

— W czasach przed podziałem klanów, w czasach, kiedy klany służyły czarodziejowi zwanemu Magiem Ciszy, w czasach przed powstaniem Równin, kiedy Shin'a'in jeszcze ich nie chronili, wielkim wrogiem Kal'enedral był Ma'ar, Ciemny Adept.

Tylko kilka z tradycyjnych opowieści rozpoczynało się tymi słowami, ale An'desha miał właśnie zamiar dodać do nich jeszcze jedną historię.

— Kiedy Mag Ciszy zmarł, zginął także Ma'ar w wielkim kataklizmie, w którym powstały Równiny. Klany wiedzą o tym i opowiadają do dziś, jednak aż do teraz nikt nie wiedział, że chociaż zginęło ciało Ma'ara, jego duch przeżył — nie został również osądzony. Ma'ar był czarodziejem wielkiej mocy i jeszcze większego zła; znalazł sposób, by oszukać śmierć.

Jarim był teraz rozdarty pomiędzy fascynacją a zniecierpliwieniem; fascynacją, gdyż słyszał o tym po raz pierwszy, zniecierpliwieniem — ponieważ nie wiedział, co cała historia ma wspólnego z terażniejszością. Mimo to zakorzeniony nawyk nie pozwalał mu się odezwać, gdyż nie wypada przerywać szamanowi opowieści, nawet jeśli nie widzi się jej sensu.

— Znalazł sposób, by ukryć swego ducha w zakątku tego świata — ciągnął An'desha, oblekając prawdę w takie słowa, by Jarim mógł je pojąć. — Czekał tam, aż przyjdzie na świat dziecko płci męskiej pochodzące z jego krwi, obdarzone darem magii, co ujawniało się przy próbie przywołania ognia. W tej chwili drzwi kryjówki Ma'ara otwierały się, mag wskakiwał do naszego świata i przejmował ciało dziecka, niszcząc jego duszę. Potem kształtował ciało tak, że stawał się dorosłym mężczyzną i ruszał w świat, dysponując całą swą mroczną, starą wiedzą i mocą.

Jarim zapomniał się tak, że przerwał opowieść.

— Ależ to największy grzech! — zawołał, pochylając się w przód i zaciskając ręce na kolanach. — To najczystsze zło!

— A w tych nowych postaciach Ma'ar wyrządził jeszcze większe zło — powiedział spokojnie An'desha. — Dbał o to, by zawsze zostawiać po sobie dużo dzieci i to w różnych miejscach, by być pewnym, że kiedy jego skradzione ciało się zestarzeje, znajdzie się zawsze nowe z darem magii. My go poznaliśmy, i to kilka razy, gdyż jego nienawiść do Maga Ciszy rozciągnęła się na jego lud. — Uniósł brew, gdyż we wspomnieniach przechowywał jedno z wcieleń Ma'ara, które swego czasu wywołało wiele płaczu w namiotach klanu Jarima. — Może znasz imię Sar'terixa Szalonego? Z jego przyczyny zginęła połowa młodych

wojowników klanu Kota. Był to Ma'ar, w ciele skradzionym młodemu magowi z Kata'shin'a'in.

Jarim zacisnął usta i wolno pokiwał głową.

— No właśnie, Ma'ar to zrobił, a było to wielkie zło. Wiele razy kradł życie innych. Czasami odpowiednie dziecko nie pojawiała się przez całe pokolenia. Wtedy w klanie Niedźwiedzia urodziło się dziecko półkwi, z ojca Shin'a'in, który nazwał chłopca An'desha.

Jarim zmrużył oczy, ale nie odezwał się ani słowem. Było to zachęcające, więc An'desha ciągnął:

— Poprzez matkę An'desha odziedziczył dar magii, zakazany wśród klanów, ale, co ważniejsze, miał w sobie krew ostatniego wcielenia Ma'ara — biedna dziewczyna była dzieckiem gwałtu, choć sama o tym nie wiedziała. An'desha był głupim chłopcem, chociaż nie chciał niczyjej krzywdy. Kiedy dowiedział się o swoim darze, ukrywał go, dopóki mógł. Bał się zostać szamanem, ale jeszcze bardziej bał się utraty daru, gdyż na wiele sposobów różnił się od innych i trzymał od nich z daleka. Zatem skrywał swój dar tak długo, aż przestało to być możliwe, a wtedy uciekł z zamiarem poszukania Tale'edras, by kuzyni klanów nauczyli go posługiwać się darem.

Jarim szczerze zdziwiony potrząsnął głową.

— Ale dlaczego się ukrywał, a potem uciekł? — zapytał. — Przecież gdyby udał się do szamana i powiedział, że nie może pójść w jego ślady, ale też nie może wyrzec się magii, odesłano by go z odpowiednią eskortą. To nie grzech odejść do kuzynów klanów, jeśli ktoś miał pecha urodzić się z tym darem. Własnego syna wysłałbym do Sokolich Braci, gdyby bardzo tego chciał.

„To więcej, niż się po nim spodziewałem! Jednak stać go na zrozumienie!”

— Tak mówi człowiek o szczodrym sercu, którego klan jest liczny jak kwiaty wiosną — odrzekł ciepło An'desha. — Tak mówi człowiek, którego klan jest hojny i pozwala piskletom lecieć tam, gdzie chcą. Ale mężczyzna, który ma tylko jednego syna, nie chciałby, aby jego krew opuściła Równiny i dołączyła do Tale'edras. A klan o małej liczbie ludzi obawia się stracić choćby jednego człowieka. An'desha nie miałby wyboru: musiałby zostać szamanem albo wyrzec się mocy.

Jarim zastanawiał się przez chwilę. An'desha pozwolił mu przemyśleć te bezpośrednie słowa i choć niełatwo było je przełknąć, w końcu Jarim skinął głową. An'desha wziął to za znak, że może mówić dalej.

— Zatem An'desha postąpił głupio: uciekł, znalazł się sam, przestraszony w lesie Tale'edras i tam, w strachu i osamotnieniu, spróbował przywołać ogień, żeby dotrzymał mu towarzystwa.

— I został opętany — dokończył Jarim ponuro.

— I został opętany — An'desha kiwnął głową. — Ale tym razem było inaczej. An'desha nie walczył, gdyż nie był przyzwyczajony do walki. Uciekł, schował się

głęboko we własnym umyśle, a Ma'ar — który teraz nazwał się Mornelithe'em — sądził, że się go pozbył.

Jarim wyprostował się i zamyślił.

— Tak więc An'desha żył dalej. Wiem co nieco o Mornelithe Zmorze Sokołów, a są to same złe rzeczy. Podobno zmienił swą postać tak, by przypominała potężnego człowieka-kota.

Jarim zmarszczył brwi w niemym zapytaniu, jakby chciał potwierdzenia, że to stąd pochodzą dziwne oczy An'deshy.

— Owszem, i możesz to zobaczyć. — An'desha wskazał na swoje oczy. — An'desha był więźniem, gdyż nigdy nie odważył się ujawnić swego istnienia przed Zmorą Sokołów. — Zdecydował się skrócić nieco opowieść. — Może pewnego dnia opowiem ci, co wycierpiał i czego doświadczył. Na razie wystarczy powiedzieć, iż było to straszniejsze, niż może wytrzymać człowiek. W krótkim czasie Mornelithe Zmora Sokołów został ranny oraz narobił sobie nowych wrogów: klan k'Sheyna, klany Valdemaru oraz Śpiew Ognia k'Treva. Wtedy włączyli się Kal'enedral.

— To także pamiętam — potwierdził Jarim.

— Wkrótce potem, kiedy Zmora Sokołów częściowo stracił rozum, a An'desha zyskał nieco więcej wolności, przyszli do niego posłańcy. — Jak daleko mogę się posunąć? Może lepiej ich opisać i pozwolić mu wyciągnąć wnioski." — Były to dwa duchy, jeden zwany Jutrzenką, a drugi — Tre'valenem.

— To imię członka klanu. — Jarim jeszcze wyżej podniósł brwi.

An'desha jedynie skinął głową.

— Przychodzili jako ogniste jastrzębie i w ludzkich postaciach. Nauczyli go przemierzać Księżycowe Ścieżki, a oczy mieli czarne jak rozgwieżdżona noc. — Nie czekał na komentarz Jarima, lecz zmierzał ku zakończeniu opowieści. — Pomogli mu pokonać Zmorę Sokołów i naprawdę go zniszczyć — na zawsze. Potem — chociaż ja sobie tego nie przypominam — kiedy wszyscy znaleźli schronienie w Valdemarze, znów się pojawili. Tym razem, by go wynagrodzić — dziwne ciało, w którym An'desha teraz przebywał, z powrotem zamienili w takie, jakie miał wiele lat temu, kiedy Mornelithe je ukraść. Zostawili nie zmienione jedynie oczy, by przypomnieć jemu i innym, czym był, co przeżył i jaką cenę zapłacił. Teraz wiesz, dlaczego wyglądam tak, jak wyglądam. Opowiedziałem ci tę historię, byś pamiętał. Przekazałem ci ją, byś czerpał z niej naukę.

Bardzo długo Jarim siedział w milczeniu. An'desha czekał cierpliwie; milczenie było dobrym znakiem, świadczyło, że Jarim wreszcie zaczął myśleć. Ogień w kominku obok płonął jasno i spokojnie, nie wydając najmniejszego syku ani trzasku.

Na szczęście dla An'deshy Jarim skupił swą uwagę nie na momencie transformacji, ale na tych, którzy jej dokonali.

— To avatary — powiedział powoli i niechętnie. — Zostałeś nawiedzony przez Jej avatary.

An'desha wzruszył ramionami.

— Nie wydaję sądu, sam musisz ocenić to, co ci opowiedziałem. Ci, którzy byli obecni wtedy, kiedy odzyskałem moją prawdziwą postać, mogą ci opisać tę chwilę. Byli tam Mroczny Wiatr i Śpiew Ognia, którym, jak się zdaje, ufasz.

— Ale jeżeli... jeżeli ciało An'deshy zostało zabrane przez Zmorę Sokołów, musi on być... musisz być... o wiele starszy, niż się wydajesz.

— Sądzę — odrzekł powoli — że chociaż Oni zdecydowali się nie pozbawiać mnie wspomnień, zwrócili mi wszystkie skradzione lata. — „Pomyśl o tym, Jarimie. Pomyśl, że można wyglądać na siedemnaście lat i mieć gorzkie doświadczenia kogoś dwa razy starszego.”

— A teraz przejdźmy do drugiej historii, jeśli jesteś gotów jej wysłuchać.

Jarim w milczeniu uczynił jakiś gest; An'desha postanowił odczytać go jako przyzwolenie. Na twarzy pośta odbijał się strach, zaskoczenie i zamyślenie. An'desha wstał, a Jarim odruchowo poszedł za jego przykładem.

— Właściwie chciałbym ci coś pokazać — powiedział. — Czy przejdiesz się ze mną? W tym zimnie nie można zbyt długo siedzieć, to niezdrowe dla kości.

Jarim chwycił oba płaszcze i podał jeden z nich towarzyszowi. An'desha nic nie mówił, póki nie wyszli na zewnątrz, na zimne powietrze, pod blade, ale jasne niebo.

Ponownie zaczął opowieść w tradycyjny sposób, jakby, „An'desha” był postacią z legendy.

— Zatem An'desha znalazł się w Valdemarze razem ze swym nowym przyjacielem, Śpiewem Ognia. Miał wielką moc i nie wiedział, jak jej używać, bał się jej używać. Teraz czuł i bał się uczuć. Chociaż przyjaciel tłumaczył mu wszystko, An'desha wiedział, iż magowi z wielu względów zależy na tym, by poczuł się bezpiecznie, i wątpił w jego obiektywizm. Przede wszystkim czuł się samotny w obcym kraju — ani Shin'a'in, ani Tale'edras, ani mag, ani zwykły człowiek. Co więcej, nawiedzały go straszliwe koszmary przepowiadające wielkie niebezpieczeństwo grożące wszystkim krajom, jednakże nie mógł odgadnąć, o co chodzi. Był przerażony bardziej niż kiedykolwiek, bardziej nawet niż wtedy, kiedy Zmora Sokołów rządził jego ciałem. Wtedy spotkał młodego człowieka, ucznia kapłana, który przyjechał jako poseł swego ludu... — Postanowił nie wymieniać imion, jeszcze nie. — To herold Talia poznała ich ze sobą, dzięki swemu darowi wiedząc, jak samotni i zagubieni czują się tutaj i jak bardzo potrzebują przyjaciela. Zaprzyjaźnili się. W swej niewinnej mądrości młody kapłan dostrzegł straszne obawy An'deshy i przeczuł niebezpieczeństwo, które ten by stworzył, gdyby stracił panowanie nad sobą i swoją mocą.

Dotarli do ogrodu pamięci. An'desha przerwał na chwilę, by wziąć nieco zielonych gałęzi — latem były to kwiaty — które zawsze leżały tutaj przygotowane

dla odwiedzających, by położyć je na grobach. Dla Ulricha cis o jagodach czerwonych jak płomień i gałąź dębu o żółtawych liściach, wciąż jeszcze nie uschniętych.

— Widzisz, opętanie nie jest znane Shin'a'in. An'desha obawiał się, iż Zmora Sokołów naprawdę nie odszedł albo że tak skrzywił duszę An'deshy, że ten nie zrobi nigdy nic czystego i dobrego, albo — że tak spaczył jego ducha, by ten zawsze podążał jego śladem. — Spojrzał z ukosa na Jarima, który kiwał głową. — Ale takie zjawisko znali rodacy młodego kapłana, gdyż ich historia i magia są inne, kapłan i jego mistrz nauczyli An'deshę tego, co powinien wiedzieć, i własnym przykładem wyprowadzili go z ciemności lęku w światło zrozumienia.

— Ale dlaczego nie zwrócił się do avatarów? — zapytał Jarim. — Dlaczego Oni go nie uczyli? Czy to nie byłoby bardziej odpowiednie?

— Może avatary widziały, że znalazł nauczycieli wśród śmiertelników? — odparł pytaniem An'desha. — Nie przyszli; w swym strachu An'desha bał się, że to z jego winy. Może jego strach nie pozwalał im się zjawić, a może uznali, iż tej lekcji powinien nauczyć się od śmiertelnych. Może to Ona pozwoliła ludziom wybrać własną drogę, jak często to robi. Nie wydają sądów na temat tego, co Ona rozkazuje swym sługom.

Ponieważ dokładnie to samo powiedziałałby każdy szaman klanu, Jarim nie znalazł odpowiedzi.

— Zatem dzięki odważnemu młodemu kapłanowi — ryzykował on życie, by pokazać przyjacielowi, że samo dotknięcie Zmory Sokołów nie skazało go na zawsze — An'desha został prawdziwym magiem i był w pełni sobą.

Teraz znaleźli się w małym zakątku z czterema donicami i brązową tabliczką, na której po karsycku i po valdemarsku napisano imię, tytuł i stanowisko Ulricha, a także daty jego narodzin i śmierci. An'desha dodał swój bukiet liści do już leżących przy tabliczce. Jarim wyglądał na zdziwionego, chociaż wiedział, co to za miejsce. Shin'a'in palili swoich zmarłych i rozsypywali popioły; Karsyci także palili zmarłych, ale popioły przechowywali. Zgodnie z rozkazem Solaris Ulrich został pochowany tutaj, na znak, że przez jego śmierć sojusz został jeszcze mocniej związany.

— Oto, co zobaczył An'desha, kiedy obserwował młodego kapłana i jego mistrza... — An'desha szczegółowo opisał ojcowski stosunek Ulricha do Karala, przywiązanie, zaufanie i szczerłość, z jakimi się do siebie odnosili. Opowiedział też dokładnie, co ci dwaj zrobili dla niego. A do odważnego kapłana Słońca wysłał cichą modlitwę — prośbę o pomoc w doborze właściwych słów.

„Nie będę wspominał Altry. Nie wiem, czy Jarim zdołałby przełknąć wiadomość, że istnieją avatary innych bóstw oprócz Bogini.”

— W tym czasie zaczęły się magiczne burze; An'desha wiedział, iż to przed nimi ostrzegały go sny i przecucia. Wtedy stało się jeszcze ważniejsze, by pozbył się strachu przed okropnymi wspomnieniami, gdyż między nimi można było znaleźć klucz do zatrzymania burz.

— Oczywiście — Jarim skinął głową. — To jasne nawet dla mnie. Jeśli Zmora Sokołów był Ma'arem, a magiczne burze to echo kataklizmu, w umyśle Ma'ara mógł kryć się sekret ich powstrzymania.

— Właśnie. Tak więc — An'desha wziął głęboki oddech — sytuację komplikowała jeszcze jedna sprawa: obecność Imperium. Oni chyba wierzyli, że to sojusz zsyła na nich burze, a w każdym razie rozkazali swym agentom na dworze w Valdemarze zabić za pomocą magii tylu członków sojuszu, ilu zdołają, po to, by go zniszczyć.

Jarim nie był głupi; spojrzał nagle w dół na tabliczkę, ponownie przeczytał imię, po czym podniósł szeroko otwarte oczy.

— To poseł karsycki! — zawołał. — Ten, który został zabity razem z Querną!

— A młodym kapłanem jest Karal — powiedział spokojnie An'desha. — Nigdy w życiu nie widziałem równie wielkiej rozpaczycy jak u Karala. Tym razem mi przyszło go pocieszać; uważam, że gdyby nie obowiązki urzędu, jakie na niego spadły, gdyby został sam ze swym żalem, oszalałby z bólu, wziął nóż i dołączył do swego mistrza. On i jego rodacy przypominają naszych szamanów: niezbyt często okazują uczucia. Przede mną Karal odkrył swój ból, a był on ogromny.

— Ale... — zaczął Jarim.

— Aby pomścić mistrza i naszą Quernę oraz dać upust rozpaczycy, mógł zrobić jedną rzecz. Stał się przynętą w pułapce na mordercę. Omal wtedy nie zginął. — An'desha był pewny, że jego twarz ma ponury wyraz. — Uratował się dzięki szczęściu i umiejętnościom herolda wyszkolonego przez herolda kapitan Kero wyn, co mogą potwierdzić ci, którzy tam byli, zaczynając od niej samej.

Twarz Jarima wyrażała tak wiele sprzecznych uczuć, że An'desha nawet nie próbował jej odczytać.

— Co do reszty, będę się streszczał. Chociaż Karal nie jest magiem, najwi-
doczniej ma zdolności jako kanał przewodzący moc. Okazały się one potrzebne do stworzenia osłony przeciw magicznym burzom; co więcej, granica Iftelu mogła przepuścić tylko jego, a musiał ją przekroczyć, by postawić osłony. Zatem jeszcze raz zaryzykował swój rozum i życie dla zapewnienia bezpieczeństwa nas wszystkich. — An'desha uniósł brwi. — O tym mogę zaświadczyć ja sam, gdyż byłem z nim, jako mag, na północnym wschodzie. Zapewniam cię, było to doświadczenie bolesne i mogące przyprawić o pomieszenie zmysłów, dla niego w dodatku gorsze niż dla mnie. Rozłożył ręce.

— To koniec opowieści.

— Ale... — Jarim potrząsnął głową, jakby chciał ułożyć sobie w sensowną całość wszystkie sprzeczne rzeczy, jakie słyszał.

— Dlaczego więc namawia do pokoju z tymi samymi ludźmi, którzy zabili jego mistrza? Jeżeli jest tak odważny, dlaczego przemawia jak tchórz?

— Nie jest tchórzem — odrzekł surowo An'desha. — A co do jego słów... Jarimie, on jest kapłanem. Nie może przemawiać tylko we własnym imieniu, musi

myśleć o dobru innych. Ile razy Ona pozwalała, by stało się coś, co wydawało się złe, a jednak później okazało się zbawienne dla ludu? Pomyśl o pierwszej ofierze życia na Równinach! A ja zapytam ciebie: co bardziej zagraża sojuszowi, magiczne burze czy armia, która okopała się i siedzi w kryjówce, bo straciła kontakt z Imperium? Magiczne burze, z każdym dniem rosnące w siłę i coraz częstsze, czy głupcy, którzy tak uzależnili się od magii, że bez niej nie potrafią zimą się ogrzać?

Jarim znów potrząsnął głową, ale teraz wyraz jego twarzy łatwiej można było odczytać. Był bardzo poruszony.

— Dodam jeszcze jedno — powiedział An'desha. — Czy kiedykolwiek sły-
szaleś, by szamanowi pozwolono przyoblec czerń Zaprzysiężonych Mieczowi po
to, by szukał pomsty?

Twarz Jarima Zesztywniała, kiedy on sam szukał w pamięci; w końcu potrzą-
snął głową.

— Z tego, co wiem, nigdy — przyznał. — Przysięga szamana jest dla niego
zbyt ważna, by dla zemsty został Zaprzysiężonym Mieczowi.

— Dlaczego więc oczekujesz, iż Karal będzie raczej szukał pomsty, a nie po-
stępował zgodnie ze swym zakonem? — odparował An'desha. — Dlaczego wy-
magasz, by dążył do zrealizowania własnego celu, a nie tego, który wyznacza mu
jego bóg?

Gestem wskazał tabliczkę.

— Tyle przynajmniej mogę ci powiedzieć: gdyby zaczął tak postępować, chy-
ba jego własny mistrz powstałby w grobu i potępił go za to!

„Mam nadzieję, że wybaczysz mi wkładanie ci w usta moich słów, przyjacielu
Ulrichu.”

Jarim zagryzł wargi i zamknął oczy.

— Muszę to przemyśleć — mruknął. — Powiedzieliś mi więcej, niż chyba
potrafię przyjąć.

— Dobrze — odrzekł An'desha. — Teraz, jeśli pozwolisz, wrócę na ścieżkę,
którą szedłem, zanim mnie zawołałeś. — Rozejrzał się wokół; w bladym świetle
słońca kołysały się suche trawy. Zadrżał. — Jednak wolę teraz wstąpić na ścieżkę
prowadzącą do mego domu i ciepłego ognia.

— A ja... — powiedział Jarim, kiedy An'desha odwrócił się i zaczął oddalać
— zobaczę, jaką znajdę ścieżkę.

Wybuchy Jarima już się nie powtórzyły; co więcej, poseł Shin'a'in stał się
niezwykle milczący, jeśli chodziło o Karala, zresztą ku uldze An'deshy i innych
przyjaciół karsyckiego posła. Mimo to An'desha nie ośmielał się mieć nadziei na
zbyt wiele — Jarim był uparty i zawzięty, niezbyt łatwo przyznawał się do błędu
bez usilnego przekonywania i niezbitych argumentów w postaci faktów.

Pojawiły się jednak obiecujące sygnały. Jarim postarał się porozmawiać z ludźmi, do których skierował go An'desha: Mrocznym Wiatrem, Treyvanem, Kerowyn i Talią, a nawet z Elspeth. An'desha nie spotykał się później z nimi i nie pytał, o czym rozmawiali — nie była to jego sprawa. Wiedział jednak, że byli oni najbardziej zagorzałymi zwolennikami Karala i mogli potwierdzić to, co opowiedział. Miał tylko nadzieję, że okażą się przekonujący.

„Przynajmniej Kerowyn poda mu fakty dotyczące zabójstwa i zdemaskowania zabójcy” — pomyślał, kiedy dowiedział się, iż Jarim poprosił o spotkanie tę groźną kobietę. „Może również udzielić mu innych informacji. W końcu jeśli ktokolwiek w tym królestwie wie coś o agentach Imperium, to jest to Kerowyn! A wiem, że za przeoczenie tego przekłętego artysty była na sobie wściekła. Kiedy skończyła sprawdzanie ludzi i te swoje różne próby, chyba żaden agent nie przemknął się do pałacu nawet w przebraniu myszy!”

Kilka dni później uzdrowiciele pozwolili Karalowi na nowo podjąć obowiązki i wrócić do komnat w pałacu. Tego dnia księżę otworzył pierwsze powiedzenie rady od czasu napaści Jarima i załamania Karala. An'desha postanowił pójść na nie, gdyż Jarim już nie odnosił się wrogo do „mieszkańca”. Wręcz przeciwnie, patrzył teraz na niego z szacunkiem i lekką obawą. Wziąwszy wszystko pod uwagę, było to nawet zabawne.

„Jakby nawiedzanie mnie przez avatary czyniło mnie mądrzejszym! Jeśli cze-
gokolwiek to dowodzi, to chyba tylko tego, że jako powolniejszy od innych potrzebuję szczególnej pomocy!”

Na początku rozważał możliwość odprowadzenia Karala do pałacu, w końcu jednak zdecydował się pozwolić mu poradzić sobie samodzielnie, bez niańki. Kiedy Karal wchodził z innymi do komnaty, An'desha został nieco w tyle — dlatego był pierwszą osobą, która dojrzała Jarima zatrzymującego Karala w drzwiach i biorącego go na ubocze, na cichą, pośpieszną rozmowę.

An'desha przesunął się szybko na miejsce, z którego mógł obserwować, co się dzieje; nie był jedyny. Kątem oka dostrzegł Talię kręcącą się dyskretnie w podobnej odległości, tak by w razie potrzeby mogła pośpieszyć z pomocą. W jej ślady poszedł Mroczny Wiatr. Jeśli Karal potrzebował pomocy, by poradzić sobie z Jarimem, troje ludzi zamierzało się prześcigać w jej udzieleniu!

Ale Karal nie wyglądał na szczególnie zgnębionego — w miarę jak Jarim mówił, jego twarz zmieniała wyraz od podejrzliwości poprzez zaskoczenie aż po ulgę.

Czyżby plan An'deshy podziałał?

W końcu Jarim powiedział na tyle głośno, by usłyszeli go wszyscy w komnacie:

— Nie rozumiem, jak możesz tak do tego podchodzić, chłopcze — cóż, według bogów obu naszych ludów przynosi to większy wstyd mi niż tobie. — Potrzęsnał głową i zdobył się na ponury półuśmiech. — Nie rozumiem umiejętności

przebaczenia i nigdy nie rozumiałem, ale są tacy, którzy to potrafią, a najwyraźniej ty do nich należysz. Podobno dobrze, kiedy człowiek boży posiada ten dar. Lepiej niż wtedy, kiedy dzieje się na odwrót. Jestem zadowolony i przepraszam.

Serdecznie klepnął Karala w plecy, niemal zwalając go z nóg.

— Twoje przeprosiny są dowodem wielkoduszności i przyjmuję je z wdzięcznością, panie — wy dobył z siebie Karal, również mówiąc na tyle głośno, by usłyszeli ich wszyscy w komnacie. — Nigdy nie chciałem konfliktu pomiędzy nami. Dla dobra naszych rodaków powinniśmy współpracować, a nie rozrywać sojusz poprzez nieporozumienia.

— Racja. — Jarim spojrział na ożywione twarze obecnych i wzruszył ramionami. — Przykro mi, że byłeś chory, mam nadzieję, że czujesz się lepiej, ale czekając na ciebie, zmarnowaliśmy już dość czasu. Zabierajmy się do pracy.

Z tymi słowami poszedł na swoje miejsce, zostawiając Karala i resztę, by również usiedli. An'desha z westchnieniem podszedł do delegacji Tayledrasów. Śpiewu Ognia nie było, a Mrocznemu Wiatrowi przyda się pomoc. Wiedział, że miał rację, kiedy Sokoli Brat obdarzył go pełnym wdzięczności uśmiechem.

Po drugiej stronie stołu Karal wydobywał swe papiery i pióra, jak zwykle, ale jego twarz nabrała koloru, a wyraz napięcia zniknął z niej bezpowrotnie.

„Dobrze” — pomyślał An'desha z satysfakcją. Karal wciąż będzie napotykał przeszkody, gdyż niektórzy w Valdemarze nigdy nie uwierzą żadnemu Karsycie, ale teraz przynajmniej mógł pracować bez obawy prześladowania. I może jeśli Jarim zacznie traktować go z szacunkiem, inni też tak zrobią.

„A teraz zabierajmy się do pracy. Magiczne burze nie będą czekać, aż zakończymy wewnętrzne spory. A zakończenie sporów w żaden sposób nie zbliża nas do powstrzymania burz. Czas ciągle jest przeciwko nam, a my wciąż nie znamy odpowiedzi.”

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Śpiew Ognia znalazł najbardziej zaciszne miejsce w całym pałacu, miejsce, do którego nikt nie zaglądał, miejsce, w którym jego własną magię osłaniała najsilniejsza tarcza możliwa do stworzenia w Dolinie lub poza nią. Mógł tam zniknąć na całe godziny — i tak właśnie teraz zrobił.

W pierwszej chwili nie uznałby tego miejsca za odosobnione, ale najwyraźniej nikt nie wchodził do komnaty kamienia-serca Valdemaru. Być może ludzie zbyt mocno odczuwali obecność tak wielkiej mocy; jej napór działał na człowieka jak zbyt silne światło słoneczne na odsłoniętą skórę. Śpiew Ognia lubił to uczucie, ale dla kogoś wrażliwego i nie przyzwyczajonego do tak ogromnej mocy było to zapewne niezbyt miłe. Mówiono mu, że nawet ludzie nie obdarzeni darem magicznym czuli obecność mocy w tej komnacie.

Był to najsilniejszy kamień-serce, z jakim pracował; dysponował uśpioną mocą kamienia stworzonego przez Vanyela i włączonego do sieci oraz moc kamienia-serca k'Sheyna, którą Vanyel, teraz duch, mogący swobodniej posługiwać się takimi rodzajami energii, sprytnie ściągnął do Valdemaru.

Śpiew Ognia otworzył drzwi — nie dla każdego widoczne, choć wszyscy wiedzieli, że tutaj są — i wszedł do środka, pozwalając, by zamknęły się za nim. Ta komnata była identyczna jak komnata znajdująca się bezpośrednio nad nią i od wieków używana do daleko-widzenia. Samo pomieszczenie było małe, otoczone tak wieloma osłonami, że nawet dźwięk z trudnością przenikał przez ściany. Wnętrze niemal całkowicie wypełniał okrągły kamienny stół otoczony czterema ławkami. Nad nim wisiała lampa olejowa, lecz nie było potrzeby jej zapalać. Wielka kula kryształu na środku stołu jaśniała wystarczająco mocno, by oświetlić całą komnatę. Fakt, że światło to tylko uboczny produkt mocy zgromadzonej w kamieniu, był zaskakujący. „Nigdy nie widziałem świecącego kamienia-serca. Ciekawe, czy ma to coś wspólnego z naturą kryształu? To fascynujące.”

Kryształowa kula była wierzchołkiem kamienia-serca Valdemaru; wtopiono ją w blat stołu, stół z kolei łączył się z podtrzymującą go kolumną, ona zaś — z kamienną podłogą i skałą poniżej. Gdyby ktoś ociosał wszystko wokół, ujrzałby pojedynczą kolumnę ze stopionego, bardzo twardego, powstałego w wielkim żarze kamienia, zwieńczoną kryształową kulą. Kolumna sięgała w głąb ziemi aż

do miejsca, gdzie od gorąca topiły się skały. Z wyglądu przypominała najbardziej różdżkę szarlatana.

Śpiew Ognia czuł się tu doskonale, jak u siebie, chociaż komnata nie miała okien i mogła wywoływać klaustrofobię. W końcu był on jedną z dwóch osób, do których od początku dostrojono kamień. Drugą była Elspeth; otrzymali ten dar, ponieważ oboje pochodzili od herolda Vanyela Ashkevrona, który stworzył kamień-serce, a potem zabrał moc kamienia k'S'heyne, by go ożywić.

Komnata została zapomniana przez wszystkich w Valdemarze przez czas działania zaklęcia Vanyela, które miało na celu wzmocnienie zaufania do darów magii heroldów; dzięki niemu prawdziwa magia została usunięta z umysłów ludzi. Zaklęcie ochronne, które wykorzystywało pomoc vroni przebywających w Valdemarze, odstraszało prawdziwych magów od granic państwa, a swego czasu wystarczało ono do ochrony kraju przed wizytami podejrzanych czarodziejów. Uczucie ciągłej obserwacji przez setki, tysiące niewidzialnych oczu za każdym razem, kiedy rzucało się zaklęcie, wystarczało, by nawet najbardziej odważnych doprowadzić niemal do szaleństwa.

Ale tak było dawniej. Teraz wszystko się zmieniło — osłony na granicy zafalały się, w Valdemarze zaś przebywali magowie z czterech czy pięciu krajów. Chociaż magia nie stała się ważniejsza od darów heroldów, magowie heroldów odgrywali wśród nich jedną z ważniejszych ról.

Jednak niechęć do przebywania w tej komnacie musiała być nadal silna, gdyż kiedy Śpiew Ognia tu przychodził, nigdy nie znalazł śladów choćby dotknięcia na pół ukrytych drzwi. Być może Elspeth przychodziła tu czasami, ale i to wątpliwe. Nie musiała tu przychodzić, by czuć moc kamienia. Krążyła ona w jej żyłach silniej niż w jego krwi, choć również jemu szumiała i śpiewała na dnie umysłu. Był zbyt przyzwyczajony do mocy, by dać się jej oszołomić.

Może ta pieśń mocy odstraszała innych. Jeśli chodzi o Śpiew Ognia, był z tego zadowolony, gdyż w ten sposób zyskał miejsce do pracy i rozmyślań bez obawy, iż ktoś mu przeszkodzi.

Od kiedy An'desha zaczął się oddalać, Śpiew Ognia zaczął szukać wspomnień dotyczących duchowej kryjówki Zmory Sokołów i drogi, którą przebył przez próżnię, by ją odnaleźć. Miał do An'deshy wiele pytań dotyczących tej metody przetrwania, ale zamiast go pytać, wołał sam poszukać odpowiedzi.

Kiedy był niemal pewny, że wie, dokąd iść i czego szukać, wystrzelił w swej duchowej postaci w próżnię w poszukiwaniu miejsca, w którym kiedyś znajdowała się kryjówka Zmory Sokołów.

Nie spodziewał się znaleźć niczego oprócz wskazówek. W końcu tylko nieliczne dzieła magii przeżyły śmierć swych twórców, nie mówiąc o ich całkowitym zniszczeniu. Poza tym, czy w samej próżni — niezmiennej, a jednak ciągle innej — coś tak obcego mogłoby pozostać po otwarciu na oścież?

A jednak kiedy zapadł w trans i zbliżył się do okolicy, którą, jak sądził, roz-

poznawał, znalazł kryjówkę nie tylko otwartą, lecz także nie tkniętą — oprócz zniszczeń dokonanych przez niego samego! Jednakże i te szkody się naprawiały, jakby kryjówka żyła i umiała sama się uzdrawiać.

Mógł obejrzeć ją dokładnie i bez pośpiechu. Najdziwniejsze było to, że, jak zauważył, magiczne burze przebiegające próżnię niemal jej nie naruszyły. Znalazł nieco powierzchniowych zakłóceń, ale sama tkanka pozostała nie zmieniona.

Zastanawiał się nad tym, kiedy usiadł na ławce w komnacie kamienia-serca. „Kryjówka jest niezwykle solidna, przypomina ziemię, nad którą przechodzi seria gwałtownych burz. Nawet jeśli wywołają one obsunięcia gruntu albo powodzie, poza przesunięciami powierzchniowych warstw gleby krajobraz i zarys ładu pozostaje nie zmieniony.”

Do tej pory ślad przejścia niemal się zatarł; Śpiew Ognia zostawił po sobie smugę mocy łączącą jego ciało z kryjówką. Pomiedzy łopoczącymi, wielobarwnymi nićmi energii, migoczącymi iskrami mocy, miejscami wzburzonymi po przejściu tak wielu magicznych burz, ślad jego przejścia pozostał niezmienny i równy, choć słaby. Wtedy dotarł do otwartego wejścia, ukrytego pod wirującymi prądami energii, a na powierzchni skrzącymi się wiecznie zmiennymi barwami.

Usadowił się w wygodnej niszy kryjówki; samo istnienie śladu wywołało kolejne myśli i spostrzeżenia. Patrząc w dziki chaos próżni, przesycony prądami mocy, zauważył dwie smugi wiodące do jego ciała. Jedna to ścieżka, którą przebył, ślad wszystkich podróży, migocząca złotymi iskrami mocy, jak posypana brokatem ścieżka wiodąca do kamienia-serca. Druga, silniejsza, podobna do liny srebrna wiązka mocy wiązała go z własnym ciałem.

Zauważył to już poprzednio. Ale teraz nagle dostrzegł, że obie nitki tworzyły całkowicie jednorodne rodzaje energii. Oczywiście, nie było w tym nic niezwykłego, gdyż była to jego energia; nawet moc kamienia musiała być przez niego przyswojona, zanim mógł z niej korzystać.

Jednak energie kryjówki nie były jednorodne. Widział je teraz przecinające się jak wątek i osnowa setek, tysięcy nici mocy. Na niektórych rozpoznawał piętno Ma'ara, ciemnoczerwone energie jak zastygła krew albo bure jak błoto — ślady krwawej magii. Ale inne były całkiem czyste i jasne, choć cienkie. Jak się tu znalazły? Nie miały nic wspólnego z Ma'arem ani żadnym z jego wcieleń.

W końcu znalazł rozwiązanie, kiedy dostrzegł, że każda z tych czystych nitek wiedzie do ciemnych wiązek energii Ma'ara. Wtedy odsłoniła się przed nim cała tajemnica konstrukcji kryjówki i jej obecnego życia jako odrębnej istoty.

Więź pomiędzy żywym stworzeniem, podobna do tej łączącej Śpiew Ognia z jego ciałem, może zostać stworzona sztucznie albo narzucona na inną. Kiedy zaś niczego nieświadome ofiary umierały, ich życiowa energia w dużej części wracała dzięki tej więzi tam, dokąd ona prowadziła. Pomiedzy ciałem maga zaś a kryjówką można było stworzyć silniejsze połączenie i napiąć je jak strunę harfy. Nawet jeśli śmierć nastąpiła nagle, uniemożliwiając Ma'arowi to, co zrobił Zmo-

ra Sokołów — świadomą ucieczkę do schronienia — uwolnienie jednego końca więzi wyzwalało taką ilość energii, że duch był niemal wystrzelony do kryjówki, a mag czasami nawet mógł nie zdawać sobie sprawy z tego, co się stało.

Zatem to była odpowiedź na wszystkie jego pytania. Umieszczając w tym miejscu energię wielu swych następców — dobrowolnych i nie, świadomych i nie — Ma'ar stworzył azyl, który przetrwa wszystko. Stwarzając przez wieki coraz więcej połączeń ze swymi poddanymi, Ma'ar umocnił swoje dzieło tak, że stało się ono właściwie stałym ogniskiem energii. Łącząc się z nim ścisłą, mocną więzią, zapewnił sobie możliwość powrotu do „domu” w momencie śmierci.

Skutek był przerażający, ale sam pomysł intrygujący. „To fascynujące.” Oczywiście wszyscy wiedzieli, iż pozbawiony skrupułów mag potrafi czerpać energię życiową żywych istot, uwalniając ją poprzez gwałtowną śmierć. Taka śmierć często stwarzała więź ze światem fizycznym; uwalniająca się moc połączona z wolą życia ofiary zatrzymywała ducha na ziemi nawet po zgonie. Tak właśnie powstawały zjawy; prawdopodobnie w ten sposób duchy Vanyela, Yfandes i Stefena mogły przetrwać w lesie na północy Valdemaru. Vanyel zrobił — pod kontrolą i świadomie — to, co inni czynili pod wpływem paniki i przez przypadek.

Nie, bez wątplenia zabicie kogoś po to, by wykorzystać jego energię było złe, szatańskie. Ale jeśli po prostu stworzyło się kanał, przez który energia przepływała po ich naturalnej śmierci? Czy to byłoby złe? Poprzedni właściciel nie potrzebowałby energii, która i tak rozproszyłaby się w tkance mocy oplatającej wszelkie żywe istoty. To dlatego zapewne wiele nici wiodących do kryjówki było czystych i jasnych — nie była to moc skradziona i wyrwana przemocą, po prostu zabrano ją wtedy, kiedy właściciel już jej nie potrzebował.

Nie, nie byłoby w tym nic niemoralnego; nie bardziej niż dziedziczenie po kimś domu lub książki.

„Hmm. . . Trzeba się nad tym poważnie zastanowić. Oczywiście do stworzenia połączeń potrzeba energii, ale wynik. . . kiedy umrą właściciele energii, moc popłynie w wybranym kierunku, na przykład do zbiornika, z którego będzie można czerpać do woli i kiedy się chce. Nawet nie trzeba by jej umieszczać w specjalnej kryjówce.”

Zmora Sokołów mógł z łatwością wykorzystywać moc zgromadzoną w kryjówce, by orientować się w tym, co się dzieje, a nawet śledzić swoich potomków, szukając wśród „kandydatów”, aż znalazł tego, który zamierzał uczynić decydujący krok — narazić się na atak, otwierając się na magię.

Wszystkie kawałki łamigłówki ułożyły się w całość i przed Śpiewem Ognia pojawił się intrygujący obraz.

„Widok stąd jest rzeczywiście zachwycający. Na jeden dzień wystarczy. Odpowiada na pierwszą część mojego pytania — jak mógłbym stworzyć kryjówkę, jaką miał Zmora Sokołów.”

Pozostała druga część: jak znaleźć nowe ciało, nie kradnąc go?

Śpiew Ognia wrócił wzdłuż smugi mocy do własnego ciała i otworzył swoje fizyczne oczy w małej komnacie o kamiennych ścianach, z kamiennym stołem i jaśniejącym kryształem.

Nie było tu zimno, gdyż wtedy zeszywniałby bardziej. Przeciągnął się, by krew szybciej popłynęła w żyłach. Tego poranka An'desha zaproponował, że chętnie zajmie miejsce Śpiewu Ognia w Wielkiej Radzie; mag nie był pewien powodów tej decyzji, ale czuł wdzięczność za ten gest.

Dziś także pozbyli się w końcu Karala, który powrócił do pałacu i swych apartamentów.

„Dzisiaj Karal miał podjąć swe obowiązki. An'desha zaś chce pójść na zebranie Wielkiej Rady. Zbieg okoliczności? Nie sądzę.”

Zmarszczył brwi i z irytacją podrapał się po nosie. Karal i An'desha zbyt mocno się o siebie nawzajem troszczyli. I czy to Karal mógł być odpowiedzialny za rosnącą niezależność An'deshy? Karsyta miał mnóstwo dziwnych przekonań — czy mógł zarazić nimi przyjaciela? W końcu An'desha zachowywał się zupełnie inaczej, odkąd zaczął spędzać tyle czasu z Karalem.

„Cóż, jeśli Karal nadal będzie drażnił Shin'a'ain, znajdzie się w poważnych tarapatach. Nie zdziwiłbym się, gdyby szaman w końcu zaprzysiągł mu krwawą zemstę i w ten sposób rozwiązał moje problemy.”

Przebiegła mu przez głowę zachwycająca myśl. Kariera Karala jako posła — jak również jego życie — zapowiadała się na krótką, zważywszy na to, ile razy go zaatakowano i ilu nieprzyjaciół zdążył sobie narobić. Być może uda mu się przekonać go, by wziął udział w eksperymencie z przejmowaniem energii życiowej innej osoby. A potem — może uda mu się nieco wykorzystać sytuację. . .

„Nie, to nie jest dobry pomysł” — zdecydował natychmiast. „I nie chcę wpływać karsyckiego kapłana w jakiegokolwiek z moich dzieł; Bogini wie, co Vkandis mógłby wtedy uczynić. Nie chcę też manipulować sytuacją tak, by narazić Karala na niebezpieczeństwo, nawet gdyby z tego powodu An'desha znów potrzebował pocieszenia i oparcia.”

Znów się przeciągnął i skrzywił, czując odrętwiałe siedzenie.

„Kamienna ławka. Jakże typowe dla tego miejsca! Elegancja bez wygody. . .”

Zaczął sobie uświadamiać, że był coraz mniej zadowolony z pobytu w Valde-marze. Nienawidził spojrzeń ścigających go za każdym razem, kiedy tylko wyszedł z ekele — dlatego z przekory stawał się jeszcze bardziej dziwaczny i ekscentryczny. W Dolinie również skupiał na sobie uwagę, ale tutaj nie był to podziw i pobbłaszanie, do którego przywykł w domu. Tu zwracano na niego uwagę, gdyż był inny, zbyt jaskrawy według norm tych bezbarwnych ludzi. Kiedy wygłaszał zdecydowane opinie, ludzie patrzyli na niego, jak gdyby złamał zasady etykiety, kiedy zaś pytał o coś, co w jego mniemaniu powinno być normalne, obrzucano go spojrzeniami dającymi jasno do zrozumienia, iż uznawano go za człowieka niespełna rozumu.

„Tęsknię za Doliną, do licha. Tęsknię za porządnym jedzeniem, którego nie muszę sam przygotowywać. Brakuje mi służących hertasi. Dlaczego zmusza się mnie do sprzątanania po sobie? Każdą chwilę powinienem poświęcać magii! Jestem magiem — dlaczego mam wykonywać tak pospolite prace?” Oczywiście mógł korzystać ze służby, ale nie chciał, by plotkarze z pałacu kręcili się po jego mieszkaniu.

Brakowało mu tego, że kiedy miał jakieś życzenie, nie musiał o nic prosić, gdyż hertasi sami domyślali się, czego potrzebował. Tęsknił za zróżnicowanymi temperaturami źródeł w Dolinie; tutaj miał tylko jedno ciepłe i jedno zimne źródło. Najbardziej zaś tęsknił za delikatnym, wypiełgnowanym ciepłem Doliny, niezmiennym klimatem, kwiatami i owocami w każdym miejscu i o każdej porze roku. Jego własne ekele było kiepską namiastką Doliny. Było zbyt małe i nie czuło się w nim prawdziwej dziczy.

„Jestem też śmiertelnie zmęczony pruderyjnością tych Valdemarczyków. Nie można nawet zanurzyć się w wodzie bez odpowiedniej osłony.”

Zmęczyła go jednostajna dieta, ułomne możliwości pojmowania ludzi, ich całkowite ograniczenie — które nie obejmowało jednak próżnej ciekawości.

„Mam bardzo proste upodobania. Nie proszę o wiele. Tylko kilka cywilizacyjnych wygód, wśród nich cywilizowane zachowanie.”

Nie znalazł tu także rozstrzygnięcia spraw, które go nurtowały, za to zbyt wiele ograniczeń. Magiczne burze były zbyt silne, zbyt chaotyczne w skutkach, by reagować na magię, którą znał. Jednak nie mógł się przyznać do tego, że go pokonały. Gdyby zgromadził przy sobie wszystkich adeptów z Dolin, zdołałby wymyślić jakąś osłonę, choć nie miał co do tego pewności. Burze przychodziły i mijały tak szybko, iż nie mógł ich nawet dokładnie obserwować, a gdyby nawet mógł, nie miał środków, których potrzebował.

Chciał wrócić do domu, ale oznaczałoby to przyznanie się do porażki i pozostawienie pola do działania tym rzemieślnikom, którzy tak zauroczyli An'deshę.

W tej chwili nic go nie cieszyło. Nie odniósł sukcesu i nie znalazł radości w otoczeniu, w życiu osobistym, uczuciowym ani w pracy. I nikt się tym nie przejmował, gdyż wszyscy byli zajęci sobą.

Cóż za ironia! Kiedy inni potrzebowali pomocy w kłopotach, zawsze zwracali się do niego, ale kiedy on pragnął zainteresowania i odrobiny troski, każdy miał coś innego do zrobienia.

Przydałoby się znaleźć coś lub kogoś, na kim można wyładować frustrację.

Śpiew Ognia oparł podbródek na ręce i wpatrzył się w kryształową kulę na wierzchołku kamienia-serca.

„Szczerze mówiąc, ten kraj i ludzie sporo mi zawdzięczają. Gdyby nie ja, Zmora Sokołów siedziałaby bezpiecznie w kryjówce i czekał na nową ofiarę. Gdyby nie ja, spiskowcy nie dotarliby nawet do stolicy Hardornu. Na pewno ani Elspeth, ani Mroczny Wiatr nie przeżyliby spotkania z Ancarem, nie wspominając

o powrocie do domu.”

Dlaczego więc przywódca Valdemaru nie prześcigali się, by zapewnić mu wszystko, czego tylko zapragnął? Dlaczego nikt nie błagał o to, by pozwolono mu podziękować wybawcy? Dlaczego wszyscy traktowali go tak, jakby spełnił swój obowiązek i nic ponadto? Nic tym barbarzyńcom nie był winien! Nie był jednym z tych głupców heroldów, ustawiających się w kolejce po to, by znaleźć okazję do rzucenia się w niebezpieczeństwo!

„Nie muszę tutaj być. W każdej chwili mogę wrócić do Doliny. Jestem ich najpotężniejszym adeptem i jeżeli nawet jeszcze nie znalazłem sposobu na magiczne burze, mam na to największą szansę. Mogłem wrócić do domu, kiedy tylko po pokonaniu Ancara i Zmory Sokołów wszyscy znaleźli się bezpiecznie w Valdemarze. Mógłbym nawet odejść w tej chwili. Nie muszę zresztą wracać do domu, mogę pojechać do k’Leshya.”

An’desha z pewnością nie stał się jego życiowym partnerem, na co miał nadzieję. Wszyscy starali się udowodnić, że go tu nie potrzebują — może rzeczywiście powinien odejść?

„Kiedy mnie nie będzie, zobaczymy, jak bardzo An’desha jest naprawdę niezależny!”

Ale gdyby odszedł, nie miałby okazji zobaczyć An’deshy, który przekonuje się, iż w rzeczywistości nie jest aż tak samodzielny, jak myślał.

Ale jest jeszcze lepsze wyjście. . .

„Zostanę. Zbyt wiele rzeczy jest nie dokończonych. Może zdołam znaleźć sposób, by udowodnić An’deshy, jak bardzo i on, i inni mnie potrzebują. A wtedy dostanę to, na co zasługuję!”

Jak zwykle w komnacie Wielkiej Rady panowało zimno. Mimo to Karal pozostał na miejscu po zakończeniu zebrania, pozornie dla dokończenia notatek, ale w rzeczywistości opóźniając wyjście po to, by opanować gniew i choć częściowo ukryć rozczarowanie. Wszyscy inni wychodzili jak mogli najszybciej, by ogrzać skostniałe palce i nosy. Nie winił ich za to. Zapowiadała się surowa zima.

— Przykro mi, chłopcze — powiedział Jarim półgłosem, pochylając się i po ojcowsku głaszcząc Karala po ramieniu. — Chciałbym pomóc ci w jakiś sposób.

Karal zdobył się na słaby uśmiech pod adresem swego nowego, nieoczekiwanego sojusznika. Jarim wydawał się zdecydowany zadośćuczynić za poprzednią wrogość poprzez okazywanie ojcowskiego zainteresowania młodemu Karsycie. Rzeczywiście, po swych publicznych przeprosinach nie tylko zaprzestał sprzeciwu i gwałtownych ataków, ale i nie traktował już Karala jak zwykłego sekretarza. Siedzieli teraz obok siebie na spotkaniach rady, jako jedyni prowadząc własne notatki, zamiast powierzać to zadanie sekretarzom. Wynikało to z konieczności: nie było sekretarzy na tyle biegłych w pisanym shin’a’in i karsyckim, by mogli

słuchać obrad po valdemarsku i jednocześnie notować w innym języku.

— Chciałbym, by tak było, panie — westchnął Karal. — Niestety nic nie poradzę na to, że jestem młody. — Na tym właśnie polegał problem. Nic się nie zmieniło i Karal wciąż usiłował przekonać o tym swoich zwierzchników.

Jarim potrząsnął głową; warkoczyki przed uszami zakotływały się.

— Może tylko wśród moich rodaków mężczyźni w twoim wieku prowadzą zwiady na granicy i zostają ojcami rodzin. Ci tutaj, rozpieszczeni przez cywilizację, widzą, ile masz lat i uważają, że tylko z tego powodu jesteś równie nieodświadczony i nieodpowiedzialny jak ich synowie — zgrubiałym palcem potarł sobie skroń. — Może myślą to, co widzą, z tym, co słyszą.

Karal wzruszył ramionami; Jarim podsumował sytuację dobrze i z zadziwiającą przenikliwością. Teraz, kiedy Karal i inni opowiadali mu więcej o pochodzeniu wszystkich pozostałych członków rady, Jarim zapowiadał się na lepszego posła, niż ktokolwiek oczekiwał.

Shin'a'in pogłaskał go po ramieniu i wyszedł, być może wyczuwając przygnębienie Karala.

„Choć równie prawdopodobne jest to, że jak najszybciej chce dotrzeć do swojego kominka. Jest zahartowanym Shin'a'in, przyzwyczajonym do spędzania zimy w namiocie, ale i tak odczuwa zimno tak mocno, jak reszta.”

Obecnie sytuacja zmieniła się o tyle, iż pozostali posłowie nabrali zwyczaju pytania Karala o potwierdzenie jego słów przez zwierzchników w Karsie przy każdym zdaniu, propozycji czy decyzji. Musiał mieć poparcie Karsu przy każdej zgodzie lub nawet najprostszym stwierdzeniu faktu. Sam Jarim traktował go jak równego sobie, ale w sposób, który przynosił więcej szkody niż pożytku, biorąc pod uwagę bujny i gwałtowny temperament Shin'a'in. W tej chwili jedyną nadzieją Karala na zmianę opinii innych było zrobienie na nich wrażenia swą sumiennością. Nie miał wielkiej nadziei na sukces.

Kiedy wszyscy, łącznie z sekretarzami, odeszli, spakował papiery i wyszedł. Skierował się do swoich komnat, które znów stały się oazą spokoju, choćby krucho.

Już od progu ogarnęła go fala ciepła. Starannie zamknął drzwi i podszedł od razu do czajnika oczekującego we wnęce pieca. Nalał wrzątku — teraz, z polecenia uzdrowicieli, zawsze trzymanego w gotowości — do jednego z kubków z ziołami stojących na półce nad kominkiem. Stał ich tam cały rząd, a służący codziennie wymieniali zioła. Dzięki miksturom uzdrowicieli był już w stanie przynajmniej jeść, chociaż musiał zrezygnować ze swych ulubionych kiełbasek i innych tłustych, ostrych potraw, których jego żołądek jeszcze nie przyjmował. Jeśli nic się nie zmieni, niedługo jego pożywienie ograniczy się do rzepy i rzeżuchy.

„Czy chodzi o mnie, czy oni po prostu nie potrafią uznać mnie za równego sobie?” — zastanawiał się, kiedy zaparzał zioła. „Czy jest to działanie przemyślane,

które ma mnie obrażać? Czy może być tak, że teraz, kiedy minął kryzys, wielu z członków Wielkiej Rady usiłuje odseparować Kars?”

Nie mógł odrzucić tej możliwości, a nie czuł się na tyle pewny siebie, by rozstrzygnąć, czy to dziecinny lęk, czy przypuszczenie oparte na prawdziwych podstawach. Żałował, że nie umie czytać w myślach, jak niektórzy heroldowie. Albo odczytywać intencji.

Wolałbym nie musieć wypowiadać tego życzenia — odezwał się w jego umyśle znany, lecz długo nieobecny głos, w którym pobrzmiwała nutka niechęci.

Karal odwrócił się gwałtownie, nie wierząc własnym „uszom” i niemal nie wierząc własnym oczom — ale za nim, w potoku światła, stał Altra z lekko odchylonymi do tyłu uszami i ruchliwym ogonem. U jego stóp leżała tuba na wiadomości, ale w tej chwili to się nie liczyło.

Ognisty kot wyglądał tak samo jak ostatnim razem, kiedy Karal go widział; z pozoru niebieskooki, o kremowej sierści, z rudymi prążkami na łapach i uszach, rudym pyskiem i ogonem oraz gęstym, grubym futrem. Oczywiście wyróżniała go jedna cecha: jego wielkość. Kiedy stanął prosto, jego głowa znajdowała się na wysokości bioder Karala.

— Altra! — zawołał Karal z radością, czując ulgę nie do opisania z powodu pojawienia się kota i tego wszystkiego, co jego obecność ze sobą niosła. „Vkan-dis nie jest na mnie zły! Nie popełniłem herezji ani świętokradztwa! Robiłem to, czego on chciał — nie opuszczono mnie, aby mnie ukarać.

Altra niemal położył uszy na głowie; wyglądał na skruszonego.

Przepraszam, Karolu. Usiłowaliśmy zachować cierpliwość; nie jest to twoja wina, ale najwyraźniej nie jesteś obdarzony tu szacunkiem, na jaki zasługujesz. Nikt w Karsie nie chce podważać twojej pozycji ani twojego autorytetu, ale sprawy wymykają się spod kontroli. Czy czułbyś się bardzo rozczarowany, gdyby Solaris wzięła sprawy w swoje ręce?

Karal nie zdołał się opanować i na chwilę otworzył z zaskoczenia usta. W końcu, w końcu! — zajmij się sprawą ktoś starszy, kto potrafi sobie poradzić!

— Nie tylko nie będę rozczarowany, ale wręcz uszczęśliwiony — odrzekł, usiłując się nie śmiać głośno z wielkiej ulgi. — Myślałem, że w moich listach wyraziłem to jasno! Jestem tu po to, by służyć interesom Karsu i Solaris, a nie budować własny prestiż! — W końcu dał ujście uczuciom i roześmiał się radośnie. — Nawet nie umiem wyrazić, jak bardzo będę szczęśliwy, zostając ponownie prostym sekretarzem!

„Może znów będę miał coś z prawdziwego życia!”

Była to ostatnia rzecz, do jakiej przyznałby się przed Altra lub kimkolwiek innym, ale wiadomość nie mogła nadejść w lepszej chwili. Przymusowy wypoczynek dał mu okazję do spędzenia z Natoli więcej czasu; ich kontakty rozwijały się w sposób przyjemny, choć nieco niepokojący. Wolałby skorzystać z okazji, ale kiedy tylko na nowo objął swe obowiązki, powrócił do nużącej rutyny i sytuacji,

w której nie miał czasu na nic poza nimi. Było to co najmniej denerwujące.

„Ale tego Altrze nie powiem! O, nie!”

Ognisty kot postawił uszy i przestał kręcić ogonem.

Jak wiesz, obiecałem, że nie będę myszkował w twoich prywatnych myślach, więc tego nie robię. Dlatego naprawdę nie wiedziałem, jak się poczujesz po zdjęciu z ciebie ciężaru odpowiedzialności.

— „Ciężar” to właściwe określenie — odrzekł Karal, podchodząc z kubkiem do stołu i siadając z uczuciem, jakby zdjęto mu z ramion balast. — Kto przyjedzie jako nowy poseł? I kiedy?

Hm. . . to jest to, na co miałem cię przygotować — odrzekł Altra nerwowo. — Ale nie jestem pewien, czy potrafię. Ta. . . osoba. . . przyjeżdża tylko na pewien czas, umocnić twoją pozycję tak, by nikt już nie traktował cię lekceważąco, nie prowokując przy tym incydentu. A tą osobą jest Solaris.

Karal ucieszył się, że siedzi; jeszcze bardziej z tego, że w tej chwili akurat nie pił, gdyż na pewno zakrztusiłby się.

— Solaris? — zapytał oszołomiony. — Solaris?

Chce złożyć oficjalną wizytę.

— Czy może? Czuje się wystarczająco bezpiecznie?

Panowanie Solaris na pewno nie zaliczało się do tych, którym nic nie zagraża i nic nimi nie wstrząśnie. W przeszłości kilka razy tylko szczęśliwy przypadek — albo interwencja Vkandisa — utrzymały ją na Słonecznym Tronie.

O tak, czuje się bezpieczna — czy w głosie Altry zabrzmiał chichot? — Wierz mi. Kars leży bliżej Równin Dorisza niż Valdemar, choć dalej od jeziora Evendim — a przed postawieniem falochronów działały się tam rzeczy. . . bardzo ciekawe. W Karsie nie ma mężczyzny, kobiety ani dziecka, które nie zdawałoby sobie sprawy z tego, że uratował je sojusz.

— Aha. — Teraz Karal przełknął łyk herbaty, zarówno dla uspokojenia nerwów, jak i żołądka. Była to ważna informacja, ale nie dokładnie to, co chciał usłyszeć. Częściowo miał nadzieję, że Karsowi, z powodu dużej odległości od jeziora Evendim, zostaną oszczędzone najgorsze skutki burz. Najwidoczniej bliskość Równin Dorisza powodowała taki sam efekt. Nie pamiętał modelu; nie pamiętał, ile fal przecinało się nad terytorium Karsu, a właśnie na miejscach przecięcia fal burze powodowały największe szkody.

Altra mówił dalej, nie zwracając uwagi na zmarszczone czoło Karala.

Uważa, że nadszedł czas, by poznała Selenay osobiście oraz by Selenay poznała ją.

— Trudno się z tym nie zgodzić, przyznaję — powiedział szczerze Karal. — Jeśli sytuacja znów się zaostrzy, unikniemy dodatkowych nieporozumień, jeżeli obie poznają nawzajem swój sposób myślenia — zmarszczył czoło. — Jednak wciąż nie jestem przekonany. . . Nawet jeśli czuje się wystarczająco pewnie, by

przyjechać tutaj, czy Kars sobie bez niej poradzi? Różne rzeczy mogą się zdarzyć nagle, bez ostrzeżenia. A jeśli coś się stanie, a jej nie będzie?

Altra wyglądał na zawstydzonego — dziwny wyraz na kociej twarzy.

Jeśli o to chodzi, Solaris organizuje wizytę w ten sposób, żeby nawet spośród kapitanów Słońca większość nie wiedziała o jej wyjeździe.

— Hansa nie ma zamiaru z nią skakać, prawda? — Na tę myśl żołądek Karala sam się skurczył. — To chyba nie najlepszy pomysł!

Ku irytacji młodego kapłana Słońca, której jednak nie okazał, Altra ośmielił się z niego śmiać.

Nie. Hansa i ja utworzymy Bramę, przez którą Solaris przejdzie, nie naruszając zasobów własnej mocy.

„Och!” Po raz pierwszy usłyszał o tej zdolności. Podniósł brwi.

— To na pewno wygodne... — powiedział powoli.

Altra parsknął drwiąco.

Gdybyś zadał sobie trud dalszego poczytania książek, które zostawił ci Ulrich, zamiast robienia perfekcyjnych kopii notatek wysyłanych do Karsu, dowiedziałbyś się, że ogniste koty tworzyły między sobą Bramy; wystarczyły do tego dwa koty. To tylko przedłużenie skakania, sam mogłeś się tego domyślić. Tej umiejętności — dodał z wyższością — nie mają Towarzysze.

Na ostatnie słowa Karal zatoczył wzrokiem, ale nie skomentował ich.

Poza tym muszę zaznaczyć, że ciebie i twojego mistrza nie mogliśmy przenieść w ten sposób do Valdemaru, gdyż mnie tutaj nie było, a nie mogłem przyjechać przed tobą. Jestem związany tylko z tobą i nikim więcej.

Kolejna ciekawa informacja! Altra był wyjątkowo hojny! Czy przez porzucenie swej zwykłej tajemniczości starał się zadośćuczynić za długą nieobecność?

Zawsze zamierzaliśmy użyć Bramy w przypadku zagrożenia, żeby przenieść ciebie albo... albo Ulricha, jeśli będzie trzeba — na wspomnienie Ulricha Karal poczuł dławienie w gardle i pieczenie w oczach. — Niestety, wzniesienie Bramy zajmuje więcej czasu, niż mieliśmy wtedy, kiedy... — Altra zawahał się na chwilę, po czym mówił dalej. — Pamiętaj, że jest to dla ciebie wyjście, jeśli sytuacja stanie się beznadziejna.

— Będę pamiętał — obiecał Karal poważnie, kiedy zdołał przeczyścić gardło i wytrzeć oczy. — Czy to ja mam złożyć prośbę o przyjęcie oficjalnej wizyty?

Właśnie. — Altra pchnął łapą tubę, która przeturlała się po podłodze. Karal schylił się, by ją podnieść.

Jest to oficjalny list od Solaris do Selenay z prośbą o zgodę na przyjazd do Valdemaru. — Altra zamyślił się na moment. — *Mam nadzieję, że jest tak rozsądna, jak myślimy, ale to na pewno wywoła poruszenie.*

Było to i tak zbyt łagodne słowo. Władczyni państwa, do niedawna zacieklego wroga Valdemaru prosiła o pozwolenie na przyjazd do samej stolicy!

— Zatem im szybciej przez to przejdę, tym lepiej — odrzekł Karal, dopijając herbatę, bardziej niż zwykle wdzięczny za jej łagodzące właściwości, po czym wstał. Chyba najlepiej będzie pójść z listem teraz, zanim coś się wydarzy.

Spojrzał na stół, by odstawić kubek, a kiedy podniósł wzrok, Altry już nie było.

Komnaty królowej były mniej okazałe, niż się Karal spodziewał. Meble świadczyły o jej pozycji i wyglądały na niezwykle wygodne, ale na pewno nie zrobiono ich z bezcennych materiałów. Zdradzały też ślady zużycia; na drewnie biurka i krzeseł widać było zadrapania, których nie usunęło staranne polerowanie. Karal czekał przed biurkiem w pełnej szacunku ciszy, z rękami skrzyżowanymi na piersi, podczas gdy królowa Valdemaru po raz trzeci czytała pismo Solaris. Wyraz jej twarzy — absolutne niedowierzenie — nie zmienił się od początku rozmowy.

Natomiast Talia nie wyglądała na szczególnie zaskoczoną. „Ostatecznie zna Solaris lepiej niż wielu ludzi w Karsie” — pomyślał Karal.

W końcu Selenay odłożyła list na biurko i spojrzała na Karala. Mimo całego napięcia, w jakim żyła, wyglądała niezwykle młodo. Na jej miejscu Karal postarzałby się o pięćdziesiąt lat w ciągu ostatnich dziesięciu.

— Ambasadorze Karalu, muszę przyznać, że jest to pewne zaskoczenie — odezwała się królowa ostrożnie. — Chyba mogę powiedzieć, iż jest to przypadek bezprecedensowy.

— Niezupełnie, Wasza Wysokość — odrzekł Karal równie ostrożnie. — Książę Rethwellanu złożył tu wizytę przynajmniej dwa razy, a książę lord wojny Daren również przybył na czele armii.

Selenay — co trzeba zapisać na jej korzyść — nie wytknęła, iż Valdemar nigdy nie popadł w konflikt z Rethwellanem, nie mówiąc o trwającej przez pokolenia wojnie.

— Ale król Rethwellanu nigdy nie przyjechał — powiedziała zamiast tego. — Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie monarchy, który złożyłby oficjalną wizytę w Valdemarze. W przeszłości, kiedy władcy chcieli coś omówić, spotykali się na granicy. To... to dowodzi wielkiego zaufania Solaris do nas.

— I waszego, Wasza Wysokość — musiał jej przyznać. — Masz tylko jej i moje słowo, że nie przyprowadzi ze sobą przez Bramę armii.

Jednak i królowa, i jej osobisty herold uśmiechnęły się. Tym razem przemówiła Talia.

— Królowa okazała największe zaufanie, wysyłając mnie do Karsu z dwuosobową eskortą — powiedziała łagodnie. — Logicznie rzecz biorąc, przeprowadzenie armii przez Bramę — żołnierza po żołnierzu — zajęłoby mnóstwo czasu. Z pewnością zdołalibyśmy w tym przeszkodzić, zanim jej liczebność urosłaby na tyle, by nam zaszkodzić.

— Co do tego — Selenay postukała palcem w list — wiesz oczywiście, że nie mogę od razu udzielić odpowiedzi?

— Wasza Wysokość musi najpierw zapytać o zdanie radę, a może nawet Wielką Radę — zgodził się Karal. — Jestem pewien, że będziecie mieli wiele pytań do Solaris, zarówno natury osobistej, jak i dotyczących spraw praktycznych — rozłożył szeroko ręce. — Jestem do waszej dyspozycji.

— Altra także, jak przypuszczam — uśmiechnęła się lekko Selenay. — Chociaż pomyśl, że kot może być do czyjejkolwiek dyspozycji, zaprzecza samej naturze gatunku.

Karal musiał się roześmiać, gdyż Selenay ujęła sedno sprawy bardzo dokładnie.

— Altra może przynosić wiadomości bezpośrednio do Solaris, abyście natychmiast mogli dostać odpowiedź. Jeśli wolicie, możemy czekać obok komnaty obrad; paziowie przekażą mi pytania, a Altra przeniesie je do Solaris i z powrotem dostarczy odpowiedź. Jesteśmy gotowi pozostać na służbie, dopóki sprawy nie zostaną uporządkowane.

— Możesz żałować tej propozycji. — Selenay napisała coś szybko, zapewne polecenie natychmiastowego zwołania rady. Talia zabrała papier i wyszła za drzwi, przekazać go paziowi, a sama Selenay wstała. — Chyba narada powinna odbyć się tutaj, ze względów bezpieczeństwa — powiedziała i skinęła głową w kierunku bocznych drzwi. — Zostań tam, skoro tak proponujesz. Co jakiś czas przyślę ci pazia, żebyś nie umarł z głodu i pragnienia. Czy coś ci od razu przynieść?

— Gorącą wodę i kubki stojące na kominku — odparł szybko. — To lekarstwa, które muszę pić. Albo pošlijcie po nie do uzdrowicieli. — Poczul skurcz żołądka, który przypomniał mu, że lepiej nie zapominać o lekarstwach.

Selenay spojrzała szybko na Talię, która kiwnęła głową. Zadowolona, skierowała wzrok na Karala.

— Wejdz tam, a ja dopilnuję, by przyniesiono ci lekarstwa — powiedziała. Talia wstała, podeszła do drzwi i otworzyła je z ironicznym ukłonem i lekkim rumieńcem. — Czy możesz łaskawie zająć miejsce?

Karal skłonił się bez ironii i podszedł do trzymanyh przez Talię drzwi. Osobisty herold królowej zamknął je za nim. Karal znalazł się w niewielkiej, przytulnej komnacie, wyposażonej w leżankę, mogącą służyć również jako łóżko, oraz starannie złożony koc. Stał tam stół, a przy ścianie — sięgająca sufitu biblioteczka wypełniona książkami. Dzięki małemu płomieniowi na komiku w komnacie panowało ciepło, przez okno wpadało odpowiednio dużo światła, ale na wieczór przygotowano świece na stole.

„Komnata paziów albo biblioteka królowej” — pomyślał i odprężył się.

Nieźle. Możesz tu spać, jeśli zdecydują się naradzać godzinami. — W komnacie zmaterializował się Altra i jak było do przewidzenia, siedział na kanapce. —

Zapewne tak będzie, więc skorzystaj z okazji do odpoczynku.

— Nie masz nic przeciwko temu, że zarekomendowałem cię jako posłańca?

— Była to jedyna rzecz, którą się denerwował.

Oczekiwałem tego. Będę miło zaskoczony, jeśli w ciągu jednego dnia dojdą do porozumienia. Może to potrwać kilka dni. — Altra zwinął się w kłębek, zostawiając miejsce dla Karala. — *Karalu, jestem szczęśliwy, że znów jestem z tobą. Wierz mi, nie z własnej woli tak długo mnie nie by to. Potrzebowali mnie gdzieś indziej, ale gdyby było trzeba, wróciłbym natychmiast.*

Pod wpływem impulsu Karal przytulił kota, który zaczął mrużyć jak każdy zwyczajny kot i potarł pyszczkiem o twarz chłopca.

— Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę, że znów cię widzę. Tęskniłem za tobą, Altra, za tobą, a nie za tym, czym jesteś.

Ale na pewno nie tęskniłeś za kocim futrem w nosie. — Altra klepnął go z rozbawieniem, co Karala niemal pozbawiło tchu. Jeszcze nigdy nie widział ognistego kota w tak radosnym nastroju!

Nie muszę już przemawiać ci do rozsądku ani pouczać. Doskonale sobie radzisz, ja zaś mogę być zarówno twoim przyjacielem, jak i doradcą.

Karal zarumienił się z zażenowania i radości; nie wiedział, co powiedzieć. Ale nic się nie stało, gdyż to Altra postanowił wypełnić ciszę.

Możesz wybrać sobie książkę i rozgościć się. Wkrótce przyjdzie paż z lekarstwem i jedzeniem dla nas obu. — Altra zwinął się w stopach chłopca, lekko poruszając koniuszkiem ogona. — *Dla mnie zapewne ryba. Tymczasem ciesz się spokojem.*

Karal uśmiechnął się, podrapał kota za uszami i poszedł za jego bardzo dobrą radą.

W końcu dojście do zgody zajęło dwa dni ciągłych negocjacji, dwa dni z przerwą jedynie na sen. Selenay i Talia często zaglądały do Karala, by upewnić się, czy wszystko w porządku i poinformować o tym, co się dzieje. Jak Karal przewidział, było to spotkanie nie tylko wysokich dostojników Valdemaru. To, czego nie przewidział, to postawa valdemarskich członków rady. Wszyscy od razu ostrożnie opowiedzieli się za wizytą. Chcieli jedynie dowiedzieć się, jak miałyby wyglądać.

W końcu obie strony poprosiły o środki ostrożności i o naradę. Jedynie Karal, Altra i Florian mogli być obecni przy Bramie, przez którą przejdzie Solaris; było to jej życzenie, zresztą mądre, gdyż w takiej chwili będzie najbardziej bezbronna wobec napaści. Wszyscy inni, łącznie z heroldami-magami strzegącymi przed zdradą, mieli pozostać w oddaleniu.

Dokładnie mówiąc, na skraju Łąki Towarzyszy. Ruiny świątyni stojące na środku Łąki zawierały również portal po Bramie; używano go już wielokrotnie, aby zaczepić o niego Bramę w czasach, kiedy magowie i heroldowie-magowie

potrafili tworzyć takie rzeczy. Dzięki temu portal przystosowywał się do energii Bramy i stworzenie każdej kolejnej Bramy było nieco łatwiejsze, a sama Brama stabilniejsza. Według An'deshy ta właściwość kamienia do przystosowywania się mogła częściowo umożliwiać dawno zapomnianą zdolność tworzenia stałych Bram.

An'desha przysiągł, że pewnego dnia przemierzy całą ścieżkę wspomnień Ma'ara i spróbuje odkryć więcej jego sekretów. Ma'ar nigdy nie potrafił budować stałych Bram; takie mistrzostwo posiadał tylko Urtho, Mag Ciszy. Jednakże Ma'ar znał wiele innych sekretów i An'desha miał nadzieję, iż po naradzie ze współczesnymi mu magami i magami k'Leshya zdoła na nowo odkryć zapomniany sposób budowania stałych Bram.

Była to jednak ostatnia pozycja na bardzo długiej liście zadań. Zważywszy na to, co przechodzili podczas magicznych burz, Karal wątpił, czy ktokolwiek z sojuszu będzie kiedykolwiek całkowicie polegał na Bramach, wykorzystując je choćby do regularnego transportu. Fizyczny transport był o wiele bardziej godny zaufania i mniej podatny na nieprzewidziane wydarzenia, z wyjątkiem całkowitej katastrofy.

Karal wiedział, dlaczego dojście do zgody zajęło tylko dwa dni. Valdemarczycy (choć nigdy by się do tego nie przyznali) ufali Towarzyszom jako nieformalnej linii obrony i wierzyli, że Florian ostrzeże ich, jeśli ktokolwiek lub cokolwiek oprócz Solaris przejdzie przez Bramę. Bez wątpienia, Valdemarczycy wiedzieli, że Karal to wie, a on wiedział, że oni wiedzą, że on wie — w ten sposób wszyscy byli zadowoleni, gdyż to, czego nie można otwarcie powiedzieć, można jednak na mocy cichego porozumienia uznać za obowiązujące.

Kolejne dwa dni zajęło poczynienie niezbędnych przygotowań. W jakiś sposób zdołano tego dokonać, nie włączając nikogo oprócz członków rady i bezpośrednio zainteresowanych, co samo w sobie było cudem.

Wreszcie zakończono przygotowania; o całej sprawie nie poinformowano nikogo, kto mógłby narobić kłopotów. Jednak bez wątpienia niektórzy niewtajemniczeni również dowiedzieli się o przyjeździe Solaris; dlatego, gdyby na miejsce przybycia nie wyznaczono Łąki Towarzyszy, Solaris sama poprosiłaby o to, by ustawiono Bramę tam lub w sercu pałacu. Towarzysze mogły służyć zarówno jako ochrona gościa, jak i ochrona przed nim.

Nawet pogoda sprzyjała — dzień był jasny i słoneczny, chociaż bardzo zimny, kiedy Karal stał obok pokruszonych kamieni starej świątyni. W nocy nadszedł silny mróz i niektóre kamienie pogrążone w cieniu nadal pokrywała gruba warstwa szronu. Ruiny stały w gęstym Zagajniku, jak go nazywali Valdemarczycy; mimo że znajdował się on w centrum Przystani, na terenie pałacu, czuło się w nim powiew wieków i tajemnicy. Zrujnowane mury leżały rozsypane u stóp stosunkowo dobrze zachowanej dzwonnicy; jedynym miejscem poza nią, w którym zachowały się dwa kamienie jeden na drugim, był łuk Bramy.

Cóż, jesteśmy — odezwał się Florian, wydychając obłoki pary w spokojnym porannym powietrzu. — *Wszystko jest już gotowe.*

— Z wyjątkiem mnie — odrzekł Karal. Miał na sobie wszelkie atrybuty kapłana Słońca, jakie kiedykolwiek posiadał on i Ulrich. Czuł się tak, jakby pracował pod podwójnym obciążeniem. Nie wyobrażał sobie, jak kapłani wysokiej rangi mogą nosić te szaty codziennie.

— Właściwie dlaczego się do tego zgłosiłeś? — ciągnął, kiedy Altra zgrabnie wybierał drogę pomiędzy kamieniami i oglądał podłoże w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca dla swego królewskiego zadku.

Przyszło mi do głowy — odparł Towarzysz z wisielczym humorem — *że ten, kto będzie chciał przeszyć strzałą Solaris, dwa razy się zastanowi, jeśli na jego drodze stanie Towarzysz. A zamierzam stać na drodze cały czas.*

— Aha — Karal wsunął palce pod kołnierz i pociągnął, by go choć trochę rozluźnić. — To z pewnością logiczne rozumowanie. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek w Valdemarze miał śmiałość strzelać tam, gdzie jest któryś z was.

Dziękuję. — Florian został wyszykowany jak nigdy w życiu i choć nie nałożono mu siodła, miał na sobie całą ceremonialną uprząż i czaprak, które Towarzysze nosiły przy specjalnych okazjach. Grzywę i ogon zapleciono mu w warkoczki z błękitnymi i srebrnymi wstążkami, a każdy warkocz kończył się srebrnym dzwoneczkiem. — *Czy wolno mi wyrazić nadzieję, iż twój strój nie jest tak niewygodny jak mój.*

— Oj, chyba bardziej — uśmiechnął się Karal. — Gdyby był trochę sztywniejszy albo cięższy, nie mógłbym chodzić.

A mówią, że ranga to nie ciężar! — Florian podrzucił grzywę, powodując ogłuszający brzęk dzwoneczków, i parsknął z rozbawieniem. — *Żałuję, że nie jestem ognistym kotem — one przynajmniej nie muszą się godzić na czesanie i ozdoby.*

Ognisty kot spojrzał w tył.

Nie, ale kiedy skończę, będziesz się cieszył, że musisz jedynie nosić ozdoby. Stawianie Bramy to nie skoki — zresztą zobaczycie. Według mnie to i tak niska cena za dobro, które z tego wyniknie.

Z tymi słowami Altra znów zaczął oglądać grunt, natomiast Karalowi zaświtała myśl. Altra zużyje mnóstwo energii i będzie musiał się skoncentrować. Nie uda mu się to, jeśli będzie drżał z zimna. Trzeba odizolować go od zimnej ziemi, ale żaden z nich nie pomyślał, by przynieść dla niego coś do siedzenia.

Chwileczkę — Florian nie miał siodła, ale miał zdobiony czaprak.

Kiedy tylko odwrócił się, by poprosić Towarzysza o pożyczenie koca, Florian sięgnął głową do tyłu i, najwyraźniej wiedziony tą samą myślą, zębami ściągnął czaprak.

Proszę. W tym, że Altra będzie siedział na valdemarskim kocu, by sprowadzić tu z Karsu Solaris, jest nawet coś bardzo znamiennego, prawda!

Altra zakreślił się, by stanąć twarzą do nich, kiedy Karal brał koc od Floriana. Jego błękitne oczy powędrowały z Karala na Towarzysza i z powrotem.

Dziękuję — rzekł po prostu. — To właśnie dlatego sojusz będzie istniał.

Dlatego przynajmniej nasza trójka tworzy zgrany zespół; ciągniemy jak jeden zaprzęg — powiedział Florian z rozbawieniem.

Altra parsknął, łapą wskazując Karalowi miejsce do rozłożenia koca.

Można się spodziewać, że koń powie o pracy w zaprzęgu. Ja ująłbym to inaczej: polujemy na tę samą zdobycz.

Na pewno — odparł Florian zgodnie, patrząc, jak Altra sadowi się na kocu. — Możesz dostać moją część myszy, które złapiemy.

A ty — moją część zboża, którym się żywię. Panowie, jesteście przygotowani? Hansa po swojej stronie jest gotów.

Było to pytanie retoryczne i wszyscy o tym wiedzieli. Karal wygładził tunikę, Florian starannie ustawił się przy jego boku. Obaj skierowali uwagę na kamienny łuk.

Wszystkie mięśnie na ciele Altry naprężyły się; znieruchomiał nawet ogon. Kamienie łuku zaczęły się jarzyć, najpierw słabo, potem z każdą chwilą coraz jaśniej. Wreszcie, między jednym a drugim uderzeniem serca, w łuku zapanowała pustka zamiast kamieni i trawy widocznych po drugiej stronie konstrukcji.

Przez ciemność przepłynęło kilka nitek energii; Karalowi przywiodły one na myśl rodzaj powolnych błyskawic. Altra zjeżył sierść — wyglądał teraz na dwa razy większego, niż był. Pojawiło się więcej nitek, jeszcze więcej. . .

Ciemność znikła równie nagle, jak się pojawiła. Jednak poprzez łuk nie było już widać ruin, ale półki z książkami i drewnianą podłogę. . . i Solaris wraz z siedzącym obok niej Hansą, który był wiernym odbiciem Altry.

Scena trwała ledwie chwilę, krócej niż chrząknięcie. Solaris nie traciła czasu; z niedbałością osoby przechodzącej z komnaty do komnaty przeszła pod łukiem. . .

Pokonała tym krokiem odległość, której przemierzenie zajęło Karalowi kilka tygodni. Solaris miała na sobie ceremonialny strój Syna Słońca, Głosu Vkandisa, władcy Karsu.

Lśniła od złota: zamiast złotych nici i taśm w jej szaty wszyto po prostu złote płytki. Ceremonialne ozdoby były dwa razy większe niż ozdoby Karala i pokrywały ją tak, jak statwę samego Vkandisa. Karal zastanawiał się, jak mogła w ogóle się poruszać.

A jednak poruszała się — przeszła z Karsu do Valdemaru i wyszła z Bramy jak najszybciej, by Altra i Hansa mogły przerwać połączenie i zamknąć ją. W chwili, kiedy ukazała się wyraźnie, koty tak właśnie zrobiły: Brama ściemniała, po czym

całkowicie znikła, pozostawiając w malowniczym łuku widok ruin.

Altra zachwiał się. Solaris schyliła się szybko i podtrzymała go, póki nie odzyskał równowagi.

— Dziękuję, Altro — powiedziała bardzo cicho. — To dobra, gładka robota.

Jeśli kot coś odpowiedział, dotarło to tylko do Solaris, gdyż Karal nic nie usłyszał. Kiedy Altra doszedł do siebie, władczyni wyprostowała się i skupiła uwagę na tych, którzy czekali, by ją powitać.

Karal skulił się pod jej spojrzeniem, równie trudnym do wytrzymania jak blask słońca w południe dnia letniego przesilenia. Zadrzał i usiłował spuścić wzrok, całkowicie pokonany, nie tylko faktem, że stoi przed swoją władczynią. Miał teraz to, czego nigdy nie chciał — skupił na sobie pełną uwagę Syna Słońca. Co więcej, stał przed Solaris ze świadomością, iż ją zawiodł — złamał złożoną jej obietnicę, gdyż nie potrafił dopilnować bezpieczeństwa Ulricha.

Przeszedł go dreszcz; spojrzenie Solaris złagodniało. Przez chwilę pod maską najwyższej kapłanki Karal widział kobietę. Maską opadła całkowicie, Solaris przeszła szybko kilka kroków i zanim Karal zdążył się skłonić, złapała go za ramię i objęła.

— Jeszcze nie muszę być Synem Słońca — wyszeptała mu do ucha, aż Karal stracił dech. — I... Karalu, wiem. Wiem, co czujesz. Zrobiłeś, co mogłeś, i jeśli w ogóle można mówić o porażce, to tylko dlatego, że obarczyłam cię obowiązkami dla kilku doświadczonych magów i kapłanów, a nie dla jednego młodego mężczyzny. Kłopot w tym, że nie miałam magów i kapłanów, by ich tu wysłać. Miałam tylko ciebie i nadzieję, a ty spełniłeś ją, osiągając więcej, niż ktokolwiek śmiałyby się spodziewać.

Karal nie umiał odpowiedzieć.

— Powtarzam: bez przemyślenia sytuacji dałam ci zbyt ciężkie zadanie. Przepraszam. Czy mi wybaczysz? — Rozluźniła uścisk, by mógł spojrzeć w jej zaniepokojone oczy. Tępo skinął głową, a oczy Solaris rozjarzyły się czymś, co mogło być łzami. — Karalu — szepnęła — ja też za nim tęsknię!

Tego już było za dużo; Karal stracił opanowanie, poczuł skurcz w sercu i w gardle i wybuchnął płaczem. Ale ona zrobiła to samo — w ciszy płakali razem.

Solaris pierwsza odzyskała kontrolę nad sobą, lecz nie odsunęła Karala. Podtrzymywała go, kiedy szlochał z całego serca, zmywając ból straty, i puściła dopiero wtedy, kiedy sam poruszył się, chcąc się uwolnić.

— Proszę — powiedziała, podając mu chusteczkę wyciągniętą z przepastnego rękawa. — Miałam przecucie, że tak będzie i jestem przygotowana — zdobyła się na słaby uśmiech; nie była jeszcze Synem Słońca, ale zmęczoną, przepracowaną kobietą. — Jediną dobrą cechą tych szat jest to, że można w nich przechowywać wszystko. W tych rękawach mogłabym ukryć osła, zapasy na tydzień i mały

namiot.

Musiał się roześmiać — zapewne o tym wiedziała. Zapanował nad sobą, podczas gdy ona ścierała ślady łez i przybierała pełną dostojeństwa pozę. Karal wytarł twarz, ciesząc się, że chłodne powietrze szybko przywróci mu normalny wygląd, a zaczerwienione oczy można będzie przypisać zbyt długiemu wpatrywaniu się w słońce. Kiedy był gotów, skinął głową, stanął po jej prawej stronie, Florian po lewej, a osłabiony, lekko drżący Altra zamykał pochód, po czym wyszli z Zagajnika ku czekającej delegacji.

Była tam Selenay, w swej bieli i złocie doskonale widoczna na tle reszty zebranych i w prostocie szat robiąca równie duże wrażenie jak Solaris w wyszukanym stroju. Obok królowej stał jej Towarzysz, przystrojony tak samo jak Florian, ale w pełnej uprzęży i z siodłem, za Selenay — Talia i księżę Daren ze swymi Towarzyszami, również odświętnie przybranymi, za nimi zaś reszta witających. Dworzanie, którzy nie byli heroldami, na cześć Solaris ubrali się w słoneczne kolory i na tle martwych, szarobrazowych gałęzi i traw tworzyli jasną, powitalną plamę.

Była to wiekopomna chwila — pierwsze spotkanie twarzą w twarz dwóch kobiet o silnej woli i przenikliwych umysłach, dwóch władczyń, niegdyś największych wrogów. Kiedy Solaris swym niemożliwym do naśladowania, miękkim i pełnym wdzięku krokiem zbliżała się do oczekujących, Karal poczuł cały ciężar ich spojrzeń. Każda z nich skupiła całkowicie uwagę na drugiej.

W końcu Solaris przystanęła dwa kroki przed Selenay i przez krótką chwilę obie mierzyły się wzrokiem.

Karal zapomniał o oddychaniu. Czy się znienawidzą? Kiedy znajdowały się w ogromnej odległości od siebie, osobiste odczucia nie miały znaczenia, ale teraz, kiedy mogły się dotknąć, najważniejsze było to, żeby się wzajemnie chociaż tolerowały! A jeśli od pierwszej chwili zostaną wrogami?

Czuł w uszach bolesne tętno, kiedy czekał, aż któraś z nich przemówi lub wykona jakikolwiek gest.

Jednak w końcu Selenay przerwała impas — uczyniła to z uśmiechem.

— Talia powiedziała, że jesteśmy bardzo podobne, Wasza Świątobliwość — odezwała się, a Solaris odpowiedziała ostrożnym uśmiechem. — Podejrzewam, że wyraziła się taktownie.

— Bardzo taktownie, Wasza Wysokość — odparła Solaris tym szczególnym głosem, który nie wznosił się ponad normalny poziom rozmowy, ale docierał aż na tyły świątyni. — Ale znając naszą kapłankę, domyślałam się takiego taktu.

Sprytnie sformułowane, bardzo sprytnie — stwierdził Karal. Mówiąc „ja”, Solaris od początku dała Selenay do zrozumienia, że są równe i że nie żąda specjalnego traktowania, podobnie jak nie żądała go Selenay. Ale odnosząc się do Talii jako do „naszej” kapłanki, przypomniawszy Selenay, że w przeciwieństwie do niej Solaris przemawia nie tylko swoim głosem. Talia, jak i Solaris, była kapłan-

kami Vkandisa, a gdzie jest Solaris, tam także jest jej bóg.

— Jak podejrzewam — ciągnęła Solaris, podkreślając status równości przez kolejne użycie zaimka „ja” — naprawdę miała na myśli to, że jesteśmy zbyt do siebie podobne.

Podniosła wąską, elegancką brew, spoglądając w stronę Talii i po raz pierwszy odwracając uwagę od królowej Valdemaru. Talia włożyła szaty kapłanki Słońca, ale w kolorze białym i srebrnym, a nie czarnym i złotym, podkreślając w ten sposób swoje podwójne obowiązki jako kapłanki i jako herolda. Kolejny subtelny gest.

Talia zaczerwieniła się, Selenay zaśmiała się cicho i leciutko odprężyła. Karal odprężył się o wiele bardziej i wypuścił w końcu powietrze, które tak długo trzymał w płucach. „Polubiły się! Dzięki ci, Vkandisie!” Solaris nigdy nie była tak szczera, z wyjątkiem ludzi, których znała i którym ufała. Nie posunęłaby się do kłamstwa, ale w mówieniu częściowej prawdy osiągnęła mistrzostwo. W końcu, gdyby tak nie czyniła, nigdy nie zaszłaby tak daleko.

Z drugiej strony — chociaż były to tylko jego domysły — Selenay była zapewne równie sprytna.

Solaris podeszła kilka kroków bliżej i wyciągnęła rękę. Selenay uchwyciła ją natychmiast i uściśniła serdecznie.

— A teraz, Wasza Świątobliwość — powiedziała królowa Valdemaru, odwracając się nieco, aż stanęła obok Syna Słońca — zacznę prezentację. Talię znasz; to jest mój mąż i współwładca, książę Daren. . .

Karal dyskretnie odstąpił krok do tyłu, stając skromnie za plecami swej władczyni, wreszcie składając niemożliwy do udźwignięcia ciężar odpowiedzialności na ramionach najlepiej przygotowanych do niesienia go.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

„Bogowie, co za lodowata pustynia”.

Komendant Tremane — który już nie myślał o sobie jako o wielkim księciu, a jedynie jako o wodzu swych ludzi — spojrzął na pusty dziedziniec twierdzy. Pokrywał ją sięgający do kolan śnieg, a według zaklinacza pogody z miasteczka, niedługo miało napadać więcej. Mimo że staruszek nie potrafił już wpływać na pogodę, nadal umiał ją przewidywać i uważał, że może nauczyć kilku sztuczek magów Tremane’a.

„Nie musiałem sobie radzić z taką ilością śniegu od czasu, gdy opuściłem moją posiadłość.” Od stolicy Imperium, rzecz jasna, odsuwano wszelkie chmury śnieżne, oprócz delikatnego puchu, który dodawał ulicom uroku i który łatwo było uprzątnąć z dróg.

Nadeszła zima, prześcigając jesień. Jednak z pomocą ludzi komendanta miejscowi zdołali zebrać plony, a grupy zwiadowcze przywiozły bele siana, kosze pszenicy i warzyw, worki orzechów i owoców, a nawet nieco inwentarza, który nie do końca zdziczał. Grupy zbrojnych przywiozły także zdziczałe zwierzęta, które teraz, w postaci zamrożonych tusz, wisiały w zamkniętym na kłódkę magazynie w mieście. Nikt nie spierał się o to, czyją są własnością; były własnością Tremane’a, który wykorzystywał je wymiennie z mięsem żywych zwierząt, jakie przypadły mu po podziale. Świeże mięso będzie miłą odmianą po solonych i konserwowanych zapasach z magazynów. Przechowywanie go z dala od obozu, chociaż zwiększało ryzyko kradzieży, zapewniało, że kucharze będą się stosowali do rozkazów i zaplanują posiłki tak, by świeże mięso niekiedy zastępowało konserwy. Nie chciał, by zużyto je od razu. Ludzie zaczęliby narzekać, i słusznie, gdyby na stole codziennie pojawiał się słony gulasz lub podobne potrawy. Oczywiście to drobiazg, ale zimą, w warunkach, w jakich teraz żyli, drobiazgi mogły urosnąć do spraw decydujących o morale całej armii.

„Mogło być gorzej. Śnieg to nie najgorsze, co mogło się nam przytrafić.” Właściwie ze śniegu był nawet zadowolony, gdyż dwa dni temu zaskoczyła ich burza lodowa. Z pewnością śnieg był nieskończenie lepszy od lodu, który przejście od budynku do budynku zamieniał w ciężką próbę. Według cyrulika dwóch ludzi złamało nogi, pięciu — ręce, a kilku — obojczyki. Takie obrażenia nie były już

teraz katastrofą, jaką stałyby się kilka tygodni temu, kiedy potrzebował do pracy wszystkich sprawnych ludzi. Ukończono budowę murów i nowych baraków. Budowniczy znaleźli eleganckie i sprytne rozwiązanie problemu ogrzewania — a raczej rozwiązanie, które najlepiej wykorzystywało ograniczone zasoby i równie ograniczony czas budowy. Była to odmiana pomysłu wykorzystania pieców, zaproponowanego przez jednego z ludzi komendanta.

Baraki ciągle jeszcze wykańczano wewnątrz, jednak można to było robić w obecności mieszkających tam ludzi. Dopóki znalazło się miejsce do rozłożenia posłań, nie było źle. Baraki wyglądały podobnie do osłanianych ziemią budynków, które widział wcześniej, ale zamiast przekształcania całej jednej ściany w komin, budowniczy sprawili, że ciepłe powietrze biegło pod podłogą do przeciwległej ściany, a w podtrzymujące ją kolumny wbudowano dodatkowe kominy. Bezpośrednio nad zbiornikami umieszczono kuchnie oraz zagłębienia przypominające ogromne czajniki do podgrzewania wody, gotowania zup i potrawek.

Taka konstrukcja oznaczała brak okien, zatem całe światło pochodziło z pochodni i lamp. Jednak brak światła rekompensowało ciepło w budynkach. Tremane uważał, że nawet gdyby zarządził głosowanie, ludzie prawdopodobnie wybrałyby ciepło kosztem światła.

Oczywiście, skoro nikt ich nie pytał o zdanie, podkomendni nazwali baraki „jaskiniami” i „dziurami”. Chociaż nie bardzo podobała im się myśl o mieszkaniu w tak ciemnych pomieszczeniach, większość z nich uważała, że są lepsze niż żadne.

Kiedy nadeszła pierwsza lodowa burza, mieszkali jeszcze w namiotach. Połowa namiotów zawałała się pod ciężarem lodu, który na nie spadł. Zdziwiająco, jak potem szybko dokończono ostatni etap budowy.

W barakach unosił się lekki, ale stały zapach zwierząt, pochodzący z opalu zrobionego częściowo z nawozu, którego używali zamiast drewna. Jednak nie był on bardzo nieprzyjemny, choć ludzie i na niego narzekali, twierdząc, że dostaje się do chleba i zupy. Tremane zarządził, by do potraw dodawano mocnych przypraw, aby zdominowały smak i zapach.

Narzekań było mnóstwo; młyn plotek wyrzucał z siebie najdziwniejsze z możliwych pogłoski. Jednakże było to zwykłe zjawisko pojawiające się wtedy, kiedy ludzie dysponowali wolnym czasem i energią; żadna ze skarg nie należała do tych, które zapowiadają bunt. Właściwie była to oznaka zdrowia, naturalny efekt w sytuacji, kiedy przyzwyczajonych do aktywności ludzi zamknięto w wygodnym, ale nudnym otoczeniu.

„Będę musiał obmyślić im jakiś sposób na spożytkowanie energii: zbieranie drewna, może polowanie. Ale to nie wymaga uczestnictwa wielu osób. Manewry w śniegu? Może coś w mieście? Ale co? Nie chcę, by tak wcześnie przejęli obowiązki straży miejskiej, bo ściągniemy na siebie niechęć miejscowych.”

Tremane upewnił się, że każdy z jego ludzi mógł regularnie wychodzić do

miasta; nie widział sensu trzymania ich w barakach, kiedy kufel piwa i godzina spędzona w towarzystwie hożej dziewczyny przywróci im dobry humor. Mieszczanie nieźle sobie radzili z wojownikami i na odwrót; jedyne incydenty powodowało pijaństwo zarówno żołnierzy, jak i, rzadziej, mieszkańców miasta — wszystkie jednak zostały rozwiązane. Jak można było oczekiwać, wina zwykle leżała po stronie tego, kto się upił, więc odpowiednia władza wymierzała mu karę. Tremane i Rada Shonaru ustalili między sobą listę wykroczeń i kar opartych na kodeksie Imperium, którą stosowano na równi wobec mieszczan, jak i żołnierzy Imperium.

Ogólnie rzecz biorąc, świat Tremane'a rysował się w całkiem jasnych barwach — dopóki komendant zatrzymywał myśl na terenie w obrębie murów Shonaru.

Jednak na zewnątrz. . .

Z mroku za murami, z zasypanej śniegiem ciemności dobiegało wysokie, jęgliwe wycie. Nie wydawał go wilk, ryś ani zbłąkany pies, ale. . . coś innego. Tremane słyszał je co noc od zmierzchu do świtu; strażę na murach donosiły o cieniach w wieczornym półmroku i jarzących się oczach w ciemności, spoglądających w górę, potem znikających. Cokolwiek to było, przewyższało inteligencją pająkowatego potwora, gdyż nie dało się złapać. Tremane żałował rolników, którzy nie skorzystali na zimę z gościny miasta. Słuchanie wycia tych stworzeń pod oknami musiało być straszne, zwłaszcza kiedy miało się świadomość, iż jedynie cienka ściana dzieli je od wnętrza i samych ludzi. Czy węszyły przy szparach drzwi i zamkniętych okiennicach? Czy drapały w ściany albo gryzły belki drzwi? Miał nadzieję, że na długo przedtem, zanim owe stworzenia staną się zagrożeniem, rolnicy zmienią zdanie, spakują swój dobytek i przyjdą pod wysokie, ceglane mury Shonaru, pędząc przed sobą inwentarz. Do tej pory mury powstrzymywały wszelkie potwory, ale każda magiczna burza sprowadzała ich coraz więcej i coraz gorsze w zaśnieżoną okolicę. A zima dopiero się zaczęła. . .

„Trzymaj spojrzenie w zasięgu murów, Tremane.”

Dachy baraków, jak dachy większości budynków w mieście, były pokryte grubą warstwą słomy i spadziste, by zbierający się lód mógł się zsuwać, zamiast powodować zawalenie dachu. Był to wynalazek raczej z konieczności niż z rozsądku, do którego doszli przypadkowo: ta sama burza, która zerwała połowę namiotów, sprawiła, że w mieście zawalił się budynek pokryty płasko ułożoną dachówką, a nie słomą. . . Owszem, strzecha stwarzała niebezpieczeństwo pożaru, co wymagało zastanowienia, jednakże baraki skonstruowano tak, by nie groził pożar od nagromadzonej sadzy, gdyż sadza zbierała się na górnych ściankach zbiorników, skąd łatwo było ją strząsnąć pogrzebaczem.

Dach kwatery Tremane'a pokrywały dachówki, ale ułożone na kamieniu, a nie na drewnie. Dwór zaprojektowano na stulecia, co w tej chwili raczej się przydało. W niektórych komnatach panowało przenikliwie zimno, ale bardzo niewielu oficerów i magów spędzało czas w swoich maleńkich pokojach. Nawet jeśli było zimno, przed pójściem do siebie można się było ogrzać w wielkiej sali, wy-

słać wcześniej służącego z butelką gorącej wody, a potem wtulić się w pościel z rozgrzaną cegłą w nogach. Teraz nie brakowało służby: wielu ludzi z chęcią podejmowało się pracy w domu Tremane'a. „Pieniądz Imperium stoi lepiej niż ich własny. Ma dobrą wagę, a ich monety często są obcięte i pościerane.”

Jednak w przeciwieństwie do tej kwatery istniało kilka naprawdę ciepłych miejsc. Jeśli o to chodzi, Tremane zazdrościł swym ludziom ich „jaskiń”. Podłogi w wielu komnatach na parterze dworu zrobiono z kamienia — nawet przez grube podeszwy butów zimno docierało do stóp. Ktoś przypomniał sobie stary wiejski sposób ocieplania: przykrycie podłogi grubą warstwą sitowia zmieszanego z ziołami, które pozwalały mu dłużej zachować świeżość. Tremane rozkazał uczynić tak w komnatach nie posiadających dywanów; chroniło to przynajmniej od przeciągów od dołu, wdzierających się w nogawki spodni. Rozkaz ucieszył służbę i ludzi opiekujących się dworem, gdyż zwalniał ich z obowiązku codziennego zamiatania. Wyjątek stanowiła jadalnia, w której Tremane nie pozwolił na żadne sitowie; tutaj podłogę nadal zamiatano i czyszczono codziennie.

Za pełnymi pęcherzyków powietrza szybami padał śnieg — płatki wielkości monety. Nie można było nawet dojrzeć chmur, gdyż niebo było jednolitą, szarobiałą warstwą. „Chmury? Nie można nawet dojrzeć słońca!”

Poczuł swędzenie w nosie i kichnął potężnie, krusząc stopami łądygi ziela o ostrym zapachu, przyniesionego z dolnych pięter. Ziele to, z konieczności, rozłożono wszędzie. Jedynymi istotami zrodzonymi z magicznych burz, które przeszły przez mury, były nie olbrzymie, groźne potwory, ale maleńkie, groźne potworki — w dodatku bardzo liczne. Prawdopodobnie rozpoczęły życie jako muchy, gdyż przypominały je kształtem i rozmiarem, ale były jadowite — nie na tyle, by zabić człowieka, ale wystarczająco, aby nieprzyjemnie poranić. Ich ukąszenia pozostawiały bolesne pęcherze, które trzeba było od razu przeciąć i osuszyć, gdyż inaczej tworzyły trudno gojące się rany. Jeden z miejscowych znalazł ziele, które odstraszało te owady, więc teraz zapach rośliny dochodził z każdej skrzyni, spiżarni i łóżka. Łodyżki ziela mieszano również z sitowiem na podłodze. I miasto, i baraki radziły sobie z owadami, ale biednych nie stać było na kupno ziela, toteż cierpieli od ukąszeń. Tremane słyszał, że ludzie ci zbierali pozostawione sitowie i szukali w nim ziela lub przeszukiwali śmietniki wojska Imperium w nadziei, że znajdą wysuszone łądygi. Rozkazał, by im nie przeszkadzać. Nie chciał myśleć o dzieciach pokrytych pęcherzami po ukąszeniach.

Zimno przynajmniej wybija owady, które pozostały na zewnątrz, a tymi wewnątrz już zajęli się znudzeni ludzie — urządzali na nie polowania i liczyli trofea. Może i owady były liczne, ale w tych warunkach nie przetrwają długo, o ile nie schronią się w dzielnicach nędzy.

„Tak wygląda moje życie: najpierw kandydowałem na cesarza, teraz walczę z potworami i muchami.”

Cóż, lepsze potwory i muchy niż inne rzeczy, które przychodziły mu na myśl.

Na murach stały straże jak w czasie wojny; w nocy co kilka kroków stali ludzie z pochodniami. Straż trwała cztery marki na świecy, ale jeśli jeszcze się ochłodzi, czego Tremane się obawiał, wtedy skróci ją do dwóch marek. Wysilek włożony w budowanie ciepłych, szczelnych baraków nie miał sensu, jeśli ludzie będą zamarzali na straży.

Ci, którzy nie pełnili straży, kończyli baraki. Podłogi zrobiono z surowego drewna; trzeba je było dokończyć i polakierować, by można było utrzymywać czystość. Zostały do postawienia ścianki działowe, łóżka i spiżarki, ponadto ściany do obrzucenia, a meble do ustawienia. Kiedy ludzie skończą, Tremane zamierzał wymyślić dla nich inne zajęcia — może dobudowanie strychu pod dachem. Obniżenie sufitu pozwoliłoby na jeszcze lepsze ogrzanie pomieszczeń.

Nadal cesarz nie skontaktował się z nim, a Tremane nawet tego nie oczekiwał. Oczywiście któryś z agentów mógł dotrzeć do stolicy i zameldować o ograbieniu magazynu; cesarz mógł zgromadzić najpotężniejszych magów, otworzyć portal i ściągnąć komendanta do pałacu, by wymierzyć mu karę. Może Charliss wysłał nawet zwykłą wiadomość przez zwykłego kuriera lub oddział dobrze uzbrojonych wojowników i magów. Czy to zrobił, czy nie, zależało od tego, jak mocno Imperium ucierpiało od magicznych burz — o ile w ogóle ucierpiało.

Ale kiedy dni wydłużały się w tygodnie, prawdopodobieństwo otrzymania wiadomości z Imperium szybko malało. Teraz, po nadejściu zimy, nawet zwykły kurier nie zdołałby do nich dotrzeć. Wymagałoby to posiadania oddziału wielkości armii Tremane'a, inaczej w takich warunkach podróż przez zaśnieżony kraj byłaby niemożliwa.

Tremane patrzył na zimowe pustkowia za oknami, które odzwierciedlały stan jego własnego ducha.

„Cóż, z pewnością mam teraz własne imperium. Małeńkie, ale całe moje. Wątpię, czy ktokolwiek temu zaprzeczy aż do wiosny.”

— Panie komendancie? — W drzwiach stanął jeden z adiutantów. Tremane odwrócił się do chłopaka, starając się przywołać na twarz wyraz pewności siebie.

— Tak, Nevisie? — odpowiedział równym głosem.

— Panie, jakaś... dziwna grupa ludzi chce się z tobą spotkać — chłopiec był wyraźnie zmieszany. — Szczerze mówiąc, panie, nie wiem, co o nich myśleć. Należą do różnych oddziałów, a nawet różnych jednostek, ale twierdzą, że chcą cię zobaczyć z tego samego powodu i muszą się z tobą spotkać osobiście.

— Nie powiedzieli ci, o co chodzi? — Na skinięcie chłopca Tremane zacisnął usta. — Cóż, w takim razie wprowadź ich. Może odkryli kolejnego paskudnego owada, który gryzie ludzi w miejsca, o jakich wolą nie wspominać...

Chłopak zaczerwienił się, co rozbawiło Tremane'a; jak ów młodzik zdołał osiągnąć tak wysoką rangę i nadal czerwienić się na myśl o owadach żądających ludzi w miejsca intymne?

— Wprowadzę ich, panie — powiedział adiutant szybko i wyszedł.

Zmierzch na zewnątrz dawał niewiele światła, ale świece były jedną z rzeczy, jakich im nie brakowało. W magazynach musiało się znajdować mnóstwo skrzyń ze świecami woskowymi oraz setki tańszych świec z łoju. Tremane jeszcze przed wejściem gości zaczął zapalać świece. Zapalił właśnie ostatnią i przycinał knot, kiedy Nevis wprowadził delegację.

Delegacja składała się z kilkunastu bardzo różnych ludzi. Jeden mag, jeden z wysokich rangą generałów — zapewne dlatego Nevis nie odważył się odesłać ich bez porozumienia z Tremane'em — dwóch sierżantów, dwóch kaprali, kilku zwiadowców i kawalerzystów.

„Dziwne. Łączy ich jedynie to, że wszyscy byli kiedyś agentami, choć wątpię, czy zdają sobie sprawę z tego, że inni to też agenci. . .”

Usiadł za biurkiem i przyjrzał się poważnym twarzom stojących przed nim ludzi, podczas gdy Nevis zamykał drzwi.

— Cóż — rzekł w końcu. — Mam nadzieję, że nie jest to wstęp do buntu.

Generał Bram roześmiał się.

— Raczej nie, komendancie. Szczerze mówiąc, o to właśnie chodzi. Będę mówił krótko. Bez wątpienia już o tym wiedziałeś: wszyscy jesteśmy szpiegami. Niektórzy podlegali twoim rywalom, ja — cesarzowi. Zdecydowaliśmy się przyjść do ciebie, przyznać się i zdać na twoje miłosierdzie. Jesteś zbyt dobrym przywódcą, by nas wyrzucić; prosimy, żebyś pozwolił nam zatrzymać nasze stanowiska.

Tremane cieszył się bardzo, że siedzi — zwykle agenci nie bywali tak otwarci i bezpośredni. „Zwykle? To pierwszy taki przypadek! Zbiorowe przejście na moją stronę? W historii Imperium chyba nie zdarzyło się nic podobnego!”

— Ja. . . hm. . . zapewne znacie się nawzajem? — odezwał się, mając nadzieję, że nie było widać zaskoczenia na jego twarzy.

— Oczywiście — powiedział mag, jeden z pomniejszych. Tremane nie pamiętał nawet jego imienia; czarodziej właśnie zakończył okres czeladniczy. — Tak samo jak ty wiedziałeś, kim jesteśmy — wzruszył ramionami. — Na tym polega cała gra, prawda? Znaliśmy się nawzajem, choć do dzisiejszego popołudnia nie wiedzieliśmy, kto dla kogo pracował.

— Pracował — powtórzył ostrożnie Tremane. — Nie: pracuje?

— Pracował — powiedział generał Bram stanowczo. — Nie ma sensu owijać w bawełnę. Nikt się z nami nie kontaktował, jak i z tobą, a po co służyć człowiekowi, który nie odezwał się od początku trudności, w jakie wpadliśmy? Około połowa ludzi, którzy zostali po najeździe na magazyn, była również agentami; gdyby nasi zwierzchnicy mieli zamiar nawiązać z nami kontakt, zrobiliby to w ciągu tygodnia po ich ucieczce — wzruszył ramionami. — Nie ma sensu udawać — zostaliśmy opuszczeni i wszyscy o tym wiemy.

— Bram zwołał nas, żeby to omówić, ale uważamy tak samo — powiedział mag, zanurzając dłoń w zmierzwionych włosach. — Oni są tam, a ty tutaj; mogłeś otworzyć portal na tyle duży, by pomieścić tylko ciebie i twoją eskortę, po czym

mogłeś wrócić do swojej posiadłości. Jednak zostałeś z nami. Według nas czyni to z ciebie lepszego dowódcę niż tych w Imperium.

— Bogowie wiedzą, że jesteś bardziej godny zaufania — odezwał się jeden ze zwiadowców. — W każdym razie przyszliśmy, żeby ci pokazać, kto jest szpiegiem w twoich oddziałach, na wypadek, gdybyś któregoś z nas przeoczył. Chcemy ci również powiedzieć, że nie musisz obawiać się sabotażu z wewnątrz. Byłoby to wiercenie dziury w dnie łodzi, którą wszyscy płyniemy.

— Rozumiem. — Tremane przyswajał przez moment nowiny; ze wszystkich nieprawdopodobnych wydarzeń ostatnich kilku miesięcy to było najbardziej nieprawdopodobne. Nie miało precedensu — agenci tak po prostu nie przychodzili do człowieka, którego mieli śledzić, nie mówiąc już o zbiorowej wizycie!

— Faktem jest, Tremane, że jesteś najbardziej popularnym dowódcą, jakiego kiedykolwiek widziałem — przemówił Bram z odrobiną zazdrości. — Pomimo wszelkich narzekań, które można niekiedy usłyszeć, nie ma człowieka, który nie zdaje sobie sprawy, iż mogłeś zostawić nas swemu losowi; że wszystko, co robiłeś, odkąd rozbiliśmy tutaj obóz, miało na celu utrzymanie nas przy życiu. Nie chodzi tylko o pieniądze. Po tym, jak wyciągałeś ludzi z namiotów, które się zawaliły, jak sprawdzałeś, czy nie są ranni i zmarznięci, po tym nie ma takiego, kto nie służyłby ci nawet za darmo. Stawiam na to moją reputację.

„Jestem popularnym dowódcą?” — pomyślał Tremane, po raz kolejny czując zdziwienie. Nie oczekiwał tego, chociaż miał taką nadzieję. Nie wiedział, na czym polega sekret popularnego dowódcy, i nie sądził, by ktokolwiek wiedział. Dowódcy, którzy nie tylko podnosili żołd, ale i płacili premie, nie zyskiwali popularności; również sukcesy, jakie odnosili, nie miały wpływu na to, czy byli popularni. Nawet dowódcy zabiegający o przychylność swych podwładnych nie byli popularni. „Każę im ciężko pracować i nadal mam zamiar zapewniać im zajęcie. Dawałem im zadania daleko wykraczające poza zakres ich obowiązków. Wypłacam im żołd, ale nie jest tajemnicą, że późną wiosną lub wczesnym latem pieniądze się skończą. Usiłuję być bezstronny i sprawiedliwy, kiedy rozstrzygam spory, ale nie ma gwarancji, że nigdy się nie pomylę. Nie zrobiłem nic, co mogłoby mnie uczynić aż tak popularnym, by zauważył to nawet Bram.”

Ale jeżeli Bram i inni agenci zauważyli, że był popularny, musiała to być prawda, a Tremane nie zamierzał zaglądać darowanemu koniowi w zęby.

„Mam tylko nadzieję, że moja popularność będzie trwała. Zima dopiero się zaczęła. A będzie to najcięższa zima, jaką ci ludzie przeżyją.”

— Panowie — powiedział w końcu. — Przyjmuję zarówno wasze oświadczenie, jak i prośbę o zostawienie was na dotychczasowych stanowiskach. W zamian proszę o to, żebyście nadal zbierali informacje i przekazywali je bezpośrednio mnie. — Surowym spojrzeniem przygwoździł Brama, uznając go za przywódcę grupy. — Nie chcę się dowiadywać o prywatnym życiu ludzi. Nie chcę słuchać zwykłych plotek. Wszyscy macie na tyle doświadczenia, by rozpoznać narzeka-

nia, w których ludzie wyładowują swoją frustrację. Chcę się dowiadywać o prawdziwych kłopotach, skargach, które wymagają uwagi, sprawach, w których mogę coś zrobić. Albo o poważnych sytuacjach, o których muszę wiedzieć, nawet jeśli nie jestem w stanie nic na nie zaradzić.

„Może jeśli odwołam się bezpośrednio do ludzi, zdołam uporać się nawet z takimi kłopotami. Na stu małych bogów, od pokoleń nikt w armii Imperium nie przemawiał bezpośrednio do ludzi.”

— O? — zapytał Bram, wkładając w jedną głoskę całe tomy znaczeń.

— Nie mam wyboru — powiedział ciężko Tremane. — Mówię z wami szczerze, gdyż jesteście inteligentnymi ludźmi. Uważam, że w tym zacofanym zakątku jestem jedynym człowiekiem z doświadczeniem i umiejętnościami potrzebnymi do objęcia przywództwa. Zapewne myślicie podobnie, gdyż inaczej nie byłoby was tutaj. Jeśli mam przewodzić, muszę posiadać wszelkie informacje, jakie zdołam zebrać — nie wolno mi lekceważyć niepomyślnych wiadomości tylko dlatego, że mi się nie podobają. Ufam, że w każdych okolicznościach dostarczycie mi owych informacji, ponieważ nie jestem pewien, czy zrobią to moi ludzie.

Nieco skłamał, ale drobne kłamstwo tego rodzaju mogło w tym przypadku bardziej ich związać. Zresztą prawdą było to, że ludzie przyzwyczajeni do szukania jego potknięć łatwiej je zauważą niż jego agenci. W końcu mają więcej wprawy.

Generał Bram bardzo poważnie skinął głową.

— Możemy to robić. Czy chciałbyś, by ktokolwiek z nas wystąpił bardziej aktywnie, jeżeli uznamy, że jedno czy dwa słowa mogą pomóc? — uśmiechnął się raczej ponuro. — Na stu małych bogów, dotąd szukaliśmy raczej okazji, w których jedno czy dwa słowa mogą zaszkodzić.

— Tak — odparł stanowczo. — Nie jesteście głupi i wiecie, jak pozostać w cieniu. Potraktuję to jak kwestię zaufania. Możecie mi zaufać, że będę starał się działać dla dobra każdego człowieka naszej armii, ja zaś zaufam wam, że postaracie się utrzymać moją władzę — znów przeszył Brama świdrującym spojrzeniem. — Nie można pozwolić ludziom na rządzenie poprzez głosowania, gdyż będę zmuszony podejmować działania, które nie przysporzą mi popularności. Moja ręka musi trzymać lejce, moja i niczyja inna, inaczej czeka nas katastrofa — uśmiechnął się lekko. — Według przysłowia nie powinno się zmieniać woźnicy w czasie natarcia. W tym natarciu to ja kieruję rydwanem bojowym, a wy albo stoicie przy mnie, albo, jeśli spróbujecie sięgnąć po lejce, wpadniecie pod koła.

Bram, który przewodził w wielu natarciach, skinął głową.

— Zgadzam się z tym i sądzę, że mogę w imieniu nas wszystkich przyjąć twoje warunki — na chwilę spojrział w dół, a swoje stopy, po czym podniósł wzrok i spojrział na komendanta z dziwnym wyrazem twarzy. — Tremane, jesteś najlepszym dowódcą, jaki mógł się nam trafić w tym położeniu. Masz doświadczenie cywilne, którego brakuje nam, starym koniom bojowym; skąd zaś bierzesz umiejętność przewidywania, niech mnie diabli, jeśli zdołam zgadnąć. Masz jeszcze

dwie inne właściwości, których nie da się zmierzyć: szczęście i serce. Nie pozbedziemy się przywódcy o taki połączeniu cech.

Tremane na chwilę zamknął oczy. To nawet pasowało do reszty wydarzeń, które się tu rozegrały. Czy to było szczęście? Nie miał zamiaru na nie narzekać i chciał wykorzystać każdy uśmiech losu, jaki mu się trafi, ale też nie zamierzał na nie liczyć. Może właśnie na tym polegało szczęście.

Otworzył oczy.

— Panowie, dziękuję. Nigdy nie zapomnijcie, że aby ocalić naszych ludzi, musimy pracować razem. Pamiętajcie również, że pojęcie „nasi ludzie” obejmuje także Hardorneńczyków ze Shonaru, choć oni może jeszcze nie zdają sobie z tego sprawy. I nie zapomnijcie w przyszłości, że dla ocalenia życia możemy zostać zmuszeni do szukania sprzymierzeńców w bardzo dziwnych miejscach.

W odpowiedzi generał zaszalutował bez słowa i wyprowadził z gabinetu delegację byłych szpiegów.

Kiedy śnieg przestał padać, na dwa dni zapanowała zimna, ale piękna i słoneczna pogoda. Było tak bezchmurnie, że Tremane zaczął się zastanawiać, czy hardorneński zaklinacz pogody nie stracił swych umiejętności przepowiadania pogody. Starzec uparcie zapowiadał kolejne opady śniegu — i to obfite. Jednakże skąd miałby się wziąć śnieg?

Jeśli przepowiednie pogodowe przestałyby się sprawdzać, życie stałoby się o wiele trudniejsze.

Trzeci dzień wstał równie piękny i słoneczny jak dwa poprzednie i Tremane już niemal pogodził się z myślą, że staruszek się pomylił. Po południu komendant zapragnął rozprostować nogi po całym dniu ślęczenia nad papierkową robotą dotyczącą stanu zapasów w magazynach. Tym razem obrał nietypowy kierunek spaceru: zamiast zejść na dół na formalną inspekcję, postanowił wejść na górę, na szczyt wieży. Pogoda był dobra, powietrze spokojne, słońce świeciło tak mocno, że nawet na górze nie powinien zmarznąć zbyt szybko. Wieża była najwyższym punktem całego Shonaru. Z jej murów Tremane powinien mieć dobry widok na okoliczne pola. Mógłby nawet dojrzeć jakiegoś czającego się potwora.

Był to długi spacer, ale opłacało się: u stóp ostatnich schodów Tremane zostawił eskortę, ponieważ chciał posmakować rzadkiego doświadczenia — samotności pod otwartym niebem.

„Odkąd objąłem dowództwo, nie zostawałem nigdy sam poza własną komnatą. Nie stałem samotnie pod niebem od czasu ostatniego polowania w mojej posiadłości.”

Schody prowadziły na sam dach; kilka ostatnich stopni osłaniał mały, skośny daszek, zamiast zwykłej unoszonej w górę pokrywy. Tremane’owi spodobał się ten pomysł — gdyby napadało zbyt wiele śniegu, nie zdołałby unieść pokrywy.

Otworzył drzwi na szczycie i wyszedł w oślepiający blask słoneczny, który podnosił na duchu, ale sprawiał, że oczy zaczynały łzawić. Dlaczego słońce tak bardzo poprawiało ludziom nastrój? Teraz cieszył się, że przez ostatnie dwa dni dał podwładnym wolne. Podobno robili rzeczy absurdalne, zachowywali się jak uczniowie na wakacjach: budowali śnieżne twierdze, urządzali bitwy na śnieżki, tworzyli śnieżne rzeźby. „Może powinienem przyznać nagrodę za najlepszą rzeźbę? Albo urządzić zimowy festiwal? To chyba niezły pomysł! Dałbym ludziom zajęcie, które nie ma nic wspólnego z obowiązkami!” Postanowił dowiedzieć się, jak się świętuje w tych stronach; mógłby połączyć wysiłek miasta i garnizonu, zachęcić do przyjacielskiej rywalizacji.

„Wyścigi na łyżwach, na sankach, zawody w strzelaniu z łuku — a może udałoby się zastąpić piłkę śnieżką?”

Ktoś już tu był i odgarnął śnieg. Promienie słońca stopiły resztę, pozostawiając kamienne płyty podłogi, które Tremane czuł pod butami z owczej skóry. Komendant podszedł do muru i spojrzął w dół.

Poniżej widział część budynku, kilka baraków, a za nimi mury. Na murach, w równych odległościach, stały strażnicy — nie przypominały nieruchomych figur, gdyż Tremane w swych rozkazach pozwolił ludziom poruszać się dla rozgrzewki i rozmawiać, byle zachowywali odległość i nie tworzyli grup. Niektórzy przestępowali z nogi na nogę, inni przechylali się przez mur i rozmawiali, jeden nawet rzucił śnieżnymi pociskami, podczas gdy dwóch stojących po obu stronach przyglądało mu się. Zapewne zastanawiali się, jak daleko rzuci. Nie było widać potworów, chociaż widziano ślady na śniegu; teraz magowie usiłowali dojść, do jakiego stworzenia należały owe ślady. Tremane życzył czarodziejom powodzenia, gdyż sądząc po pajakopodobnej istocie, nie można było przewidzieć, w co mogły się zmienić zwierzęta.

„Wolę nie wyobrażać sobie jakiejś normicy, która trzy razy dziennie zjada tyle, ile waży, zmienionej w istotę wielkości konia!”

Obrócił się nieco i spojrzął na Shonar, który leżał poniżej wieży. Według norm Imperium nie było to duże miasto, w dodatku z tej odległości widać było oznaki upadku: opuszczone domy bez dachu lub z przegniłą strzechą, zwalone warsztaty i składy. Było ich dużo, więcej, niż przypuszczał i na pewno więcej, niż przyznawała rada miejska. Gdyby Ancar nie został zabity, za kilka lat całkowicie spustoszyłby kraj, zabierając zdolnych do walki i zostawiając ludzi, którzy nie zdołaliby utrzymać miast, domów, warsztatów i sklepów.

„Był szalony. Nie ma wątpliwości.”

Przez krótką chwilę Tremane czuł irracjonalny gniew, który jednak szybko minął, gdyż właściwie nie miał sensu. Ancar był martwy — martwy jak zeszłoroczna trawa. Ważne było to: puste i pozostawione samym sobie budynki, które można było wykorzystać. Zrobi tak, kiedy ludzie skończą baraki: wyśle ich do miasta, by odnawiali i naprawiali domy, sklepy i warsztaty. Staną się one własno-

ścią Imperium, a on będzie miał kwatery dla małżeństw oraz warsztaty dla tych, którzy zechcą odejść z armii.

Zadowolony z pomysłu znów się odwrócił i spojrzał na kolejne baraki oraz pustkowie za murami.

Ludzie ćwiczyli na terenie oczyszczonym ze śniegu; strażę na murach robiły to samo, co poprzednie, jedynie dwóch ludzi urządziło sobie zawody w strzelaniu śnieżkami z procy. „To dobry pomysł na konkurencję na zimowe święto. Strzelanie do celu z procy! Na pewno nie będzie wątpliwości, gdzie uderzyła śnieżka!”

Ale kiedy podniósł wzrok ponad mury i spojrzał w dal, poczuł zaskoczenie.

W kierunku, w którym spoglądał, nie było gór, więc czym była ciemna linia na horyzoncie? Wyjątkowo wysokim lasem? Ale to tak daleko!

Chwilę potem zerwał się wiatr, a ciemna, długa linia przysunęła się bliżej — wtedy Tremane rozpoznał, co to jest.

Olbrzymie chmury, ciemne i ciężkie od śniegu, pędziły z wiatrem wiejącym prosto w twarz. Stary zaklinacz pogody miał rację!

Zanim komendant zdołał ostrzec strażę stojące na murze od strony wiatru, wojownicy zareagowali na nagły podmuch, rzucając swoje gry i przerywając rozmowy. Zauważenie chmur zajęło im więcej czasu, gdyż Tremane stał w miejscu o lepszej widoczności, ale kiedy tylko je dostrzegli, zaczęli się zastanawiać.

— Czy to burza?

— Chyba tak!

Okrzyki wzdłuż muru szybko potwierdziły przypuszczenia Tremane’a. Jeden ze strażników przyłożył do ust róg alarmowy i zatrabił.

Trzy długie, równe sygnały i pauza, powtarzane tak długo, jak długo starczyło tchu — był to umówiony znak ogłaszający nadejście burzy. Ostrzeżenie przed burzą mogło wydawać się przesadną ostrożnością, ale Tremane nie chciał niepotrzebnego ryzyka. Słyszał o straszliwych zawiejach zdarzających się na północy, kiedy ludzie błądzili w śniegu i zamarzali o kilkanaście kroków od własnego domu. Jeśli poza murami znajdowali się ludzie — zbierający cokolwiek lub będący na polowaniu — Tremane chciał dać im znać, że zbliża się niebezpieczeństwo, by zdążyli wrócić.

Inni strażnicy na murach podjęli hasło, rozsyłając je ponad pokrytymi śniegiem polami i poprzez las.

Ćwiczący musztrę zatrzymali się na dźwiękowy rozkaz; chwilę później oficer dyżurny podzielił ich na tyle grup, ile było baraków, po czym rozesał ich po cegiełki opału z nawozu i torfu oraz drewno, by ułożyć je obok każdego baraku. Tremane widział pod sobą mniejsze grupy, maszerujące, by wykonać zadania przydzielone przez innych oficerów. Nie musiał nawet wysłać ludzi na miasto, by ściągnąć tych, którzy mieli akurat przepustki — wojownicy wracali po trzech i czterech, pewni, że czas, o który skrócono im przepustkę, odzyskają potem.

Wszystko działało jak w dobrze nakręconym zegarku. Tremane dziwił się. „Nie jest tak, jak przewidywałem; rozumieją, dlaczego wydałem takie rozkazy, i współpracują ze mną. Jeśli naprawdę nadchodzi groźna zawieja, chcę, by wszyscy zgromadzili się w obozie pod opieką oficerów, którzy mogą sprawdzić, kogo brakuje, a wtedy wyślemy grupy poszukiwawcze.”

Cóż, on też powinien wracać do biurka, by oficerowie wiedzieli, gdzie jest! Chmury wypełniły już połowę nieba na północy; teraz nawet ludzie wewnątrz murów mogli je dostrzec. W miarę zbliżania się, chmury nie stawały się lżejsze, wręcz przeciwnie — wiatr również się wzmacniał. Wyczuwało się w nim lekką wilgoć, przypominającą nieco — choć nie całkowicie — zapach deszczu.

Czy to błyskawica? Tremane przystanął na chwilę i spojrzał zafascynowany. Tak — to błyskawica! Słyszał o ciężkich zawiejach połączonych z błyskawicami, ale teraz widział je po raz pierwszy.

Jakby dla przypomnienia, że zbyt długo marudzi, rozległ się grzmot.

Tremane odwrócił się i otworzył drzwi dachu, po czym spiesznie zszedł na dół, do czekającej eskorty.

— Nadciąga śnieżycyca — powiedział.

— Słyszeliśmy alarm, komendancie — odrzekł dowódca straży. — Co mamy robić?

Tremane zastanawiał się przez chwilę.

— Na wszelki wypadek, kiedy dojdziemy do mojego biura, idźcie do chirurgów i sprawdźcie, czy nie potrzebują środków opatrunkowych i lekarstw przeciw odmrożeniom. Jeśli tak, przynieście im. Nie wierzę, by ktoś z naszych został na zewnątrz, ale nigdy nic nie wiadomo, a zapomniałem to sprawdzić.

Dowódca straży zasalutował. Kiedy eskorta odprowadziła komendanta do drzwi gabinetu, odeszła spiesznie, by wypełnić rozkaz.

Tremane podszedł do biurka i usiadł. Nie mógł jednak wytrzymać bez ruchu i czekać, podczas gdy za oknami ciemniało i rozlegał się sygnał alarmowy, przytłumiony szkłem i kamieniem. Jednak nie mógł wybiec i sprawdzić, co się dzieje. Gdyby rzeczywiście coś się zdarzyło, musiał być tam, gdzie ludzie spodziewali się go znaleźć.

„Grupy poszukiwawcze... jeśli będę musiał je wysłać, jak mam utrzymać ich razem i zapobiec zaginięciom? Jak zostawiać ślady w oślepiającej zawiei?”

Dopóki nie wejdą w las, mogli iść powiązani liną, jak w czasie wspinaczki. W ten sposób się nie rozdziela. Ale co z odnalezieniem drogi powrotnej?

„W dzień... kije? Malowane na czerwono kije?” Było za późno, by je malować. „Zaraz, mamy przecież kije pozostałe po mierzeniu ścian i mnóstwo kredy.” Zanotował, żeby przynieść je z magazynów. „W gęstym śniegu można dostrzec latarnie.” Kolejna notatka. „Dzwonki. Można słyszeć dzwonki. Czy na kostiumach tancerzy, których nikt w mieście nie chciał kupić, nie było dzwonków przy kostkach i nadgarstkach?” Zanotował również to. Lekarze najlepiej będą wiedzie-

li, czego potrzebuje na wpeł zamarznięta ofiara śnieżycy, więc tę część zadania zostawi im.

„Chciałbym, żeby istniała lepsza metoda podróżowania w śniegu niż chodzenie piechotą.”

Cóż, nie istniała i nic na to nie poradzi.

„Ale jeżeli będą szukać kogoś częściowo zagrzebanego w śniegu, może powinni mieć kije, by sprawdzać zaspy, czy nie ma w nich ciała. Wystarczą drzewce włóczni, byle tępe; poza tym ułatwią im marsz. Chwileczkę, ludzie muszą chodzić parami — jeden będzie sprawdzał śnieg, a drugi pilnował. Stu bogów wie, co dzieje się za murami, a śnieżycy zapewni różnym stworzeniom kryjówkę do ataku.”

Starał się pomyśleć, czego jeszcze będą potrzebować grupy ratowników, ale nic już nie przychodziło mu do głowy. Porządkując notatki, zawołał jednego z adiutantów i wysłał go, żeby przyniósł najróżniejszy sprzęt ratunkowy i ułożył go na podłodze w zbrojowni.

Tymczasem zrobiło się zbyt ciemno, by dostrzec cokolwiek bez światła; wydawało się, że zapada zmierzch, choć dopiero minęło południe. Wrażenie psuły jedynie smugi światła dziwnego, niepokojącego zielonego koloru, oświetlające gabinet nierównymi błyskami. Tremane zapalił od ognia na kominku kawałek skręconego papieru i obszedł swoją kwaterę, zapalając własnoręcznie wszystkie lampy i świece. Kiedy skończył, wyrztał przez okno i zdziwił się.

Przez ścianę zacinającego śniegu nie widział nic. Wiatr pędzący śnieg był w kominie i wprawiał szyby w drżenie. Nic dziwnego, że Tremane nie słyszał już grzmotów — zagłuszał je wiatr. Błyskawice nie były widoczne jako świetliste smugi, kiedy rozbłyskały, wszystko jarzyło się przez moment zielonobiałym światłem.

„Teraz rozumiem, co ludzie mają na myśli, mówiąc o szalejącej śnieżycy. Cieszę się, że zaprojektowaliśmy w barakach piece, a nie kominki, z których ciepło o wiele szybciej uciekałoby na zewnątrz.” Kłopot z kominkiem polegał właśnie na tym, że w czasie zawieruchy większość ciepła ulatywała przewodem kominowym. Tremane nie mógł na to pozwolić, gdyż w gnieniu oka zużyłby cały opał.

Oficerowie przynosili po kolei raporty. Komendant odprężył się nieco. Nikt nie zaginął, grupy wysłane na polowanie i po drzewo wróciły przed śnieżycą, a nawet przed ogłoszeniem alarmu. Baraki zostały zaopatrzone w niezbędne środki na wypadek, gdyby zawieja potrwała dłużej, a pomiędzy budynkami rozciągnięto liny, aby nikt się nie zgubił.

— Można zgubić się tam, na zewnątrz, panie — powiedział jeden z niedawno przybyłych oficerów, strzepując śnieg, który przyłgął do tkaniny munduru. — Nie łudź się. Kiedy tylko wyjdzie się z budynku, na odległość stopy, przestaje się cokolwiek widzieć. Nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym.

— Przynajmniej będzie dużo słodkiej wody — zauważył Tremane, zaczynając

raport. — Wystarczy stopić śnieg.

Oficer skinął głową i przerwał na chwilę.

— Panie, wiedziałeś, że większość moich ludzi pochodzi z Rogatych Myśliwych, prawda?

Armia Imperium starała się raczej zasymilować wojowników z jedną kulturą, a nie zajmowała się poszczególnymi jej rodzajami, więc Tremane do tej chwili nie miał o tym pojęcia.

— Szczerze mówiąc, nie. Zaraz, w takim razie powinni być przyzwyczajeni do takiej pogody, prawda? — Niejasno pamiętał, że Rogaci Myśliwi byli koczowniczym plemieniem z dalekiej północy — tak dalekiej, że nie znali lata. — Czy nie hodują renów i nie podróżują saniami?

— Masz na myśli Ludzi Reniferów, panie. Moi ludzie to sekta, nie plemię. Szamani, duchy zwierząt — oficer chrząknął z nieco zażenowaną miną. — Przysłali mnie z prośbą. Skoro przez jakiś czas będziemy zmuszeni pozostać w barakach, chcą zamienić kąt budynku w miejsce kultu. Nie widzę w tym nic złego, ale powiedziałem im, iż muszę uzyskać twoje zezwolenie.

— Zdaje się, że to podpada pod czterdziesty drugi artykuł — „Imperium nie ogranicza prawa człowieka do wyznawania religii...” i tak dalej. — Tremane uśmiechnął się lekko. — Nie sądzę, by miało to w czymkolwiek zaszkodzić, o ile ludzie będą pamiętać, że post z powodów religijnych wymaga osobnego zezwolenia, a jeśli zechcą wpadać w trans, muszą na to wykorzystać urlop.

Oficer westchnął z ulgą.

— O to się właśnie martwiłem, panie, a wykorzystanie urlopu rozwiązuje problem. Doskonale, panie, przekaże im to. Nie sądzę, żeby mieli coś przeciwko.

— Na pewno nie będzie kłopotów — powiedział Tremane. — A jeżeli podobne wielodniowe burze będą się powtarzać, ustąpię z warunku wykorzystania urlopu. Skoro i tak ludzie będą zamknięci w barakach, mogą równie dobrze wysłać swojego ducha na przechadzkę, prawda?

Oficer roześmiał się.

— Czy to również mogę im powiedzieć? Na pewno przemówi do ich poczucia humoru.

Tremane wzruszył ramionami.

— Powiedz, oczywiście. Jeśli będą wiedzieli, że nie zabraniam im obrzędów, będą bardziej zadowoleni.

Oficer zasalutował i odwrócił się, by powrócić do swoich podkomendnych. Tremane zaczął bawić się piórem, żałując, że nie ma zapasu energii odpowiadającej obrzędowi Rogatych Myśliwych, którą mógłby obdarować resztę ludzi. Jeśli burza potrwa zbyt długo, ludzie zaczną się nawzajem drażnić i dojdzie do kłótni. Chociaż wielu komendantów nie popierało w swych szeregach dziwacznych, szamanistycznych kultów, Tremane'owi to nie przeszkadzało. Jeżeli tylko komendant zdobył się na wysiłek, by zrozumieć, czego potrzebują ci ludzie, i postarał się

im to zapewnić — było ich łatwiej zadowolić niż tak zwanych „cywilizowanych”.

Różnorodność miała swoje zalety, choć i komplikowała wiele spraw.

Kiedy wszyscy oficerowie złożyli raporty, Tremane odprężył się. Teraz, niezależnie od tego, co się zdarzy, wiedział, gdzie się znajdują wszyscy jego ludzie. Usiłował wymyślić sposób na wypełnienie długich dni przebywania w barakach, kiedy wnętrza zostaną wykończone.

„Hm, zastanawiam się. . . Straż cesarza ma salę, w której wiszą zdobyte sztandary, a na ścianach sami wojownicy wymalowali obrazy bitew. Może uda się znaleźć kilku artystycznie uzdolnionych ludzi, a potem niech każdy barak zdecyduje, jak pomalować wnętrza? Jeden malarz może naszkicować kontury, a reszta niech wypełnia je farbą. Mamy farby na pomalowanie tysiąca baraków. . .” W ten sposób wzmocni dumę poszczególnych oddziałów, więzi koleżeńskie. . .

Czy powinien pozwolić Rogatym Myśliwym na malowanie motywów religijnych? „Tak, ale tylko w świetlicy.” A jeśli wyznawcy innej wiary zechcą wybudować małą kapliczkę, również im pozwoli. „Lepiej od razu przyznać wszystkim równą ilość przestrzeni, inaczej staną się chciwi i zajmą połowę baraków.”

— Panie! — Adiutant Nevis przerwał tok myśli komendanta. — Mieszkańcy Shonaru w pilnej sprawie, panie! — Chłopak nie czekał na pozwolenie wprowadzenia gości, co w nagłym wypadku było usprawiedliwione, lecz przyprowadził grupę ze sobą. Tremane nie rozpoznał żadnego z gości, ale byli oni na granicy szaleństwa. Wyglądali na rolników; mieli szorstkie dłonie, zniszczone twarze, ciężkie ubrania przystosowane do długiej pracy zimą na dworze i byli podobni do siebie jak bracia. Ich wygląd i miny powiedziały mu wszystko, co chciał wiedzieć.

„I przyszli do mnie, a nie do Sandara czy Stoena.”

— Wasi ludzie zaginęli za murami, tak? — odezwał się, zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć. — Pasterze? Dzieci?

Człowiek na przedzie, najwidoczniej wybrany na przedstawiciela, otworzył zaskoczony usta. Zapewne domysł był trafny. Tremane ujął mężczyznę za ramię i podprowadził go do stołu z mapami, niecierpliwym ruchem ręki zrzucając wszystko ze stołu i biorąc właściwą mapę ze stojaka. Nevis zaczął zbierać rozrzucone plansze. Tremane puścił mężczyznę i rozłożył na stole mapę okolicy, ukończoną tuż przed pierwszym śniegiem. Jej rogi przycisnął świecznikami, by się nie związała. Spojrzał na mężczyznę, który jeszcze się nie odezwał i wciąż wyglądał na oszołomionego.

— Obudź się, człowieku! — powiedział ostro. — Cóż innego mogłoby was tutaj sprowadzić? Pokaż mi, gdzie ci ludzie się znajdują według waszych przypuszczeń. Im prędzej tam dotrzemy, tym większe mamy szansę na znalezienie ich, zanim zrobią to potwory!

Te słowa otrzeźwiły mężczyznę, choć zorientowanie się w mapie zajęło mu kilka chwil. Najwidoczniej nie był przyzwyczajony do map z symbolami zamiast prostych szkiców terenu.

Kiedy wreszcie otworzył usta, jego akcent i słownictwo potwierdziły przypuszczenia Tremane'a — był prostym rolnikiem

— Nie wysłalim ich daleko, panie — powiedział przepraszająco. — Widzeliśmy ich z murów. Nie myślałem, że jak wypędzą dzisiaj owce, to będzie burza.

— Oczywiście, rozumiem, że nie narażalibyście ich na niebezpieczeństwo. Teraz pokaż mi, gdzie byli — przerwał Tremane. — Później będziesz przeproszać. Pokaż, gdzie byli ostatnio. Szczerze mówiąc, burza nadeszła tak szybko, że mogli być w zasięgu wzroku moich straży, a potem się zgubić. Nie mogliście tego przewidzieć.

Mężczyzna wpatrzył się w mapę; jego towarzysze zaglądali mu przez ramię. Z wahaniem dotknął palcem białej powierzchni.

— Tutaj... troje dzieci z owcami. Tutaj najstarszy Toba z krowami. Tutaj — reszta owiec z Racky Loderem.

— To pięcioro w trzech grupach. — Tremane dał znak Nevisowi. — Idź do baraków i powiedz, co się zdarzyło. Niech ochotnicy zbiorą się w zbrojowni, a potem pójdą po ekwipunek do lekarzy. Ja poprowadzę grupę, które pójdzie najdalej. — Była to grupa szukająca samotnego chłopca ze stadem owiec. Tremane odwrócił się ku zdenerwowanym rolnikom, ściskającym w dłoniach wełniane kapelusze. — Chcę, żebyście poszli z nami; dzieci mogą przestraszyć się obcych i uciec.

Nie czekając na pomoc adiutantów, Tremane skoczył do sypialni i przeszukał swoje skrzynie. Włożył dwie ciepłe tuniki, wełniane spodnie i buty. Potem złapał najcieplejszy płaszcz i pasek ze stojaka na zbroję — na pasku wisiał miecz i długi sztylet — i zapiął go na płaszczu. Para długich rękawic sięgających do łokci uzupełniła przygotowania, które zajęły ledwie kilka chwil.

Mimo niewygodnej odzieży Tremane zbiegał po schodach, przeskakując po dwa stopnie; goście szli za nim. Począł na nich na dole, potem poprowadził ich od zbrojowni.

Mimo złych przeczuć nie musiał długo czekać na ochotników. Zanim zdążył się zniecierpliwic, do zbrojowni zaczęli przybywać ludzie i wkrótce komnata zapełniła się ośnieżonymi wojownikami. Wkrótce stało się jasne, że będzie ich więcej, niż przypuszczał.

Przez ten czas wrócił Nevis z trzema kompletami sprzętu ratowniczego od lekarzy oraz dwoma lekarzami.

— Nevis, zostań tutaj i przysyłaj spóźnionych do wielkiej sali — zawołał Tremane. — Potrzebujemy więcej miejsca. Idziemy!

Nie prowadził ich; pomiędzy nim a drzwiami stało zbyt wielu ludzi. Po prostu szedł z tłumem i dopiero kiedy dotarli do lodowato zimnej wielkiej sali, przecisnął się na przód. Ktoś przyniósł latarnie, a Tremane wziął jedną i wszedł na stół.

— W porządku. Musimy znaleźć pięcioro dzieci. Miejmy nadzieję, że trójka, która była razem, nie rozdzielila się. Ty, ty i ty — pokazał na rolników — idziecie na poszukiwanie trojga dzieci z owcami. Ty i ty — szukacie chłopca z bydłem,

a ty idziesz ze mną szukać ostatniego chłopca. Teraz wy trzej stańcie w kącie, wy tutaj, a ty obok stołu. Reszta — podzielcie się na trzy grupy i stańcie obok nich.

Uważnie patrzył, jak jego ludzie dzielą się i stają obok rolników. Poprawił nieco rozkład grup, dodając kilka osób do swojej, która miała pójść najdalej.

— Dobrze. Bierzemy broń: włócznie, długie sztylety i krótkie miecze. Łuki są bezużyteczne. Jeden z każdej grupy ma zabrać kije i sznur, aby znakować drogę. Kiedy dotrzecie na miejsce, w którym powinny być dzieci, niech zostanie z kimś jeszcze i w równych odstępach czasu trąbi na rogu.

Nie mieli czasu przeciwzyć poruszania się po związaniu liną, więc mądrzej będzie zastosować inny sposób, by się nie pogubić.

— Reszta niech sformuje szereg, ale uważajcie, aby zawsze widzieć latarnię stojących obok. Jeśli coś znajdziecie, na przykład zasypaną owcę albo krowę, krzyczcie. Jeśli ktokolwiek coś znajdzie, zbieramy się razem.

To powinno działać. Mówił dalej:

— Uważajcie na potwory, trzymajcie broń w pogotowiu. Teraz jest dla nich najlepszy czas na polowanie. Kiedy znajdziecie dzieci, krzyczcie; zbierzemy się i po własnych śladach wrócimy do człowieka z rogiem. Jeśli się zgubicie, starajcie się wracać po własnych śladach i nasłuchujcie rogu. Ci, którzy idą za trójką dzieci, wychodzą zachodnią bramą, ci, którzy szukają chłopca — północną. Zrozumiano?

Nie było sprzeciwu, ludzie wyglądali na zdeterminowanych, ale nie ponurych.

— W takim razie idziemy.

Wyprowadził swoją grupę z sali w padający gęsto śnieg; każdy niósł osłoniętą latarnię. Śnieg sypnął mu w twarz, a wiatr szarpnął ubraniem; słońce jeszcze nie zaszło, ale o kilka kroków nie było nic widać. Światło latarni odbijało się od śniegu, tworząc migotliwą, wirującą kulę bieli. Tremane żarliwie zapragnął magicznych świateł, które nie migoczą i nie gasną, jeżeli spadną w śnieg. Zapragnął magicznej liny, która będzie łączyć ludzi, nie krępując ich ruchów. Zapragnął. . .

„Do licha z życzeniami. Musimy sobie radzić z tym, co mamy. Życzenia do niczego się nie przydadzą.”

Wiatr i śnieg zacięły teraz z boku; Tremane cieszył się, że zapiął pas na płaszczu, gdyż inaczej nie zdołałby go utrzymać. Poprowadził całą grupę przez plac ćwiczeń, obok pośpiesznie wzniesionych magazynów, kryjących tak cenne dla nich zapasy. Niektóre magazyny były to tylko namioty o ścianach i dachach wzmocnionych na tyle, by chroniły wnętrze przed śniegiem; ich sylwetki rysowały się ciemniejszym konturem na tle błękitnej szarości okrywającej resztę świata. Mury można było dostrzec najpierw jako szereg żółtych świateł ponad czarnym zarysem — były to latarnie stojących na murach straży. Strażnicy wyglądali na zaskoczonych, kiedy ich zobaczyli, ale oficer dyżurny miał głowę na karku.

— Rozpalimy ognisko sygnalizacyjne nad bramą! — zawołał, kiedy usłyszał, dokąd idą. — Jeśli osłonimy je z trzech stron, powinno wytrzymać. Jeżeli ktoś z was mimo wszystko się zgubi, niech wasz trębacz da sygnał jak na burzę, a mój

mu odpowie.

Ognisko było widoczne z odległości pięćdziesięciu kroków, a głos rogu niknął w śnieżycy, ale mogło to pomóc — warto było spróbować. Tremane skinął głową, człowiek niosący kije przywiązał koniec liny do bramy i wyszli na zewnątrz.

Musieli walczyć o każdy krok; mimo wielu warstw ubrania Tremane zmarzł na kość, jeszcze zanim dotarli do miejsca, w którym mieli się rozdzielić. Wszyscy owinęli twarze szalami, ale każdy odsłonięty kawałek skóry piekł od uderzeń płatków śniegu. Tremane nie miał pojęcia, w jaki sposób prowadzący ich stary człowiek znajduje drogę — a przecież spoglądając często na podręczny kompas, widział, że cały czas idą w jednym kierunku. Nasunął kaptur głęboko na głowę, ale nos i uszy po krótkim czasie zdrętwiały z zimna. Teraz cieszył się, że przewidując rozkazał ludziom na zewnątrz murów poruszać się dwójkami — jeden z bronią, drugi z latarnią. W taki wieczór można było nie zauważyć potwora, dopóki się na niego nie wpadło.

Zanim rozpoczęła się burza, śnieg sięgał do połowy łydek, teraz aż do uda — i podnosił się z każdym podmuchem wiatru. Do rana miejscami powstaną zasy sięgające dachów budynków.

Stopy rozbolały go z zimna, a płuca kłuły od wysiłku przedzierania się przez śnieżycę. Przekonany, że staruszek wie, dokąd idzie, Tremane w końcu oddał mu latarnię i wyjął miecz. Stary rolnik trzymał swoją włócznię jak widły, zapewne nie miał pojęcia, jak jej używać.

„Czy szukamy jego syna albo krewnego?” Nie było wątpliwości co do wyrazu determinacji widocznej na zniszczonej i zgrubiałej twarzy mężczyzny, choć oczywiście teraz nie było nic widać!

W końcu, po upływie wieczności, mężczyzna zatrzymał się.

— To brzeg wielkiego wspólnego pastwiska! — zawołał poprzez szum wiatru. — Chłopiec powinien być gdzieś tam! — Zatoczył ręką koło od wschodu do zachodu.

Tremane zaczekał, aż reszta grupy dojdzie do nich i zbierze się wokół.

— Człowiek z palikami i trębacz zostają tutaj! — krzyknął. — Reszta — rozejdźcie się parami w tyralierę i pamiętajcie, co mówiłem o tym, żeby widzieć latarnię sąsiadów! Ja idę na lewe skrzydło, reszta niech się ustawia.

Poprowadził starego człowieka na lewo, zajął najdalszą pozycję, by być pewnym przynajmniej jednej strony. Sam ustawił dwójkę idącą przy nim, po czym odszedł w ciemność z towarzyszącym mu mężczyzną, aż najbliższa latarnia stała się tylko niewyraźnym kręgiem światła poprzez zasłonę śniegu. Odwrócił się i poszedł powoli na północ; latarnia obok posuwała się w tym samym tempie.

Miał niesamowite wrażenie, że zostali tu zupełnie sami, świat się skończył, a latarnia po prawej to tylko zwid, by uczynić mękę jeszcze większą. „Kiedy nadeszła ostatnia magiczna burza? Bogowie, jeśli nadejdzie teraz, kiedy jesteśmy tutaj...” Byłby bezradny jak niemowlę. Każdy posiadający choć odrobinę daru

magii i zmysłu magicznego zostawał porażony przez burzę. Tremane usiłował w pamięci wyliczyć czas nadejścia burzy. „Chyba nic mi nie będzie; burza nie powinna nadejść przed jutrzejszym wieczorem.” Ale jeśli się pomylił, jeśli burza przyjdzie teraz i zanurzy go w odmęt halucynacji i dezorientacji, w chwili kiedy znajdował się poza murami. . .

Wtedy mógł tylko mieć nadzieję, że stary człowiek wezwie pomoc albo dowlecze go do sąsiedniej pary.

„Gdybym kiedykolwiek chciał ukarać kogoś bardziej niż tylko egzekucją, wysłałbym go w taką burzę.” Nie można było stwierdzić, jak długo już przebywali na dworze ani gdzie dokładnie byli. Był tylko ból nóg, płuc, zeszywniałe ramiona i zimno, zimno, wieczne zimno i ciemności — oraz małe krąg światła wokół. . .

Nagle śnieg przed nimi wystrzelił w górę prosto w jego twarz! Sypnął w górę, jakby coś się pod nim kryło i teraz wychodziło na powierzchnię.

Zapominając o trudzie, Tremane wrzasnął i odskoczył z bijącym sercem, z uniesionym mieczem, szukając na oślep sztyletu.

— Beee! — zawył śnieżny potwór. — Bee!

Tremane potknął się o coś ukrytego pod śniegiem i usiadł; przerażenie ustąpiło miejsca uldze. Zakaszłał, po czym roześmiał się bezradnie, kiedy stary mężczyzna pomagał mu wstać. Teraz śnieg wokół poruszał się — stado uświadamiało sobie obecność ludzi, zapewne w tym zamęciu kojarzących się z bezpieczeństwem.

— Machaj latarnią i krzycz! — rozkazał Tremane. — Znaleźliśmy stado, chłopiec musi być blisko!

Rolnik skwapliwie posłuchał i zaczął wrzeszczeć niemal jak zarzynany. Wkrótce z ciemności wyłoniło się więcej świateł, w miarę jak ludzie dowiadawali się nowiny i zbierali wokół. Do tej pory owce skupiły się wokół Tremane’a jak stadko przyjaznych szczeniąt, chociaż deptały mu po stopach, cieszył się z ich obecności, gdyż swoją wełną ogrzewały mu nogi. Z zaśnieżonej ciemności nadchodziły nowe owce. Grupa poszukiwawcza znów się rozdzieliła i tym razem punktem centralnym był Tremane. Po krótkim czasie znaleziono chłopca — całego i zdrowego, leżącego pod parą największych owiec, jakie Tremane widział w życiu; na chłopcu leżał pies pasterski.

Kiedy starzec witał się z chłopcem, który okazał się jego siostrzeńcem, a wojownicy gratulowali sobie nawzajem i klepali się ze śmiechem po plecach, Tremane złapał oddech i uważnie przyjrzał się tym twarzom, które zdołał dostrzec wokół siebie. To, co zobaczył, sprawiło, że uśmiechnął się z zadowoleniem.

„Są moi. Na stu małych bogów, Bram miał rację.”

Teraz musi ich tylko zatrzymać.

— W porządku, wracamy do miasta! — zawołał poprzez ryk wiatru. — Każę dać wszystkim grzanego wina z korzeniami i wrzucić na rożen pieczeń!

Z okrzykami radości ludzie ustawili się w rzędzie, prowadzonym przez najlepszego tropiciela, który ledwo mógł odczytać szybko ginące ślady ich przejścia.

Tremane nie oczekiwał, że owce zdołają utrzymać tempo, ale szły uparcie, poganiane przez psa. Być może przez pokryte wełną głowy przebiegały również myśli o ciepłej szopie, pachnącym sianie i osłonie przed śniegiem i wiatrem. W każdym razie szły tuż za ostatnim z ludzi, a ich beczenie ledwie było słyhać w zawiei.

Ostatnie ślady ich przejścia zawiął wiatr, ale wtedy już ci obdarzeni najlepszym słuchem mogli dosłyszeć słaby głos rogu. Kiedy znów się rozdzielili, szybko znaleźli człowieka z palikami i trębacza, których zostawili wcześniej. Odtąd łatwo było już trafić do bramy; ognisko sygnalizacyjne było rzeczywiście podnoszącym na duchu widokiem.

Nie czekając na podziękowania, Tremane odesłał rolnika i jego stado do miasta. Po pierwsze — chciał pozbyć się owiec z koszar, po drugie — pragnął się dowiedzieć, jak się udały poszukiwania dwóm pozostałym grupom. Rzuciwszy kwatermistrzowi rozkaz otworzenia beczki z winem i przyniesienia po jednej pieczeni na barak, zatrzymał się tylko po to, by zostawić ordynansowi ośnieżony płaszcz. Pobiegł po schodach do swego gabinetu, zostawiając na podłodze grudy zmarzniętego śniegu.

Czekał na niego Nevis z uśmiechem na twarzy.

— Pozostałe dwie grupy wróciły, komendancie — zameldował. — Kilku ma odmrożenia, jeden pogryziony, ale nie są to poważne rany. Wszystkie dzieci i większa część stada zostały odnalezione.

Resztki energii uleciały jak topniejący śnieg i Tremane opadł ciężko na krzesło.

— Mieliliśmy wyjątkowe szczęście — powiedział ze zmęczeniem. Nevis żywo pokiwał głową.

— Czy masz jakieś rozkazy, panie? — zapytał.

Już miał powiedzieć, że nie, ale zmienił zdanie.

— Owszem — odpowiedział z uśmiechem. — Po pierwsze: ty i inni adiutanci dopilnujcie, by ludzie dostali grzane wino z korzeniami, które kazałem przygotować. Po drugie: ochotnicy mają dostać brandy zamiast wina. Masz wystarczająco wysoką pozycję, by wydać taki rozkaz, więc zrób to. Po trzecie... — Wstał i skierował się ku sypialni, po drodze zdejmując ubranie. — Zabierz to i dopilnuj, by nikt mi nie przeszkadzał. Zamierzam zapaść w sen zimowy. Jasne?

— Tak, komendancie... — zaczął Nevis.

Nawet jeśli powiedział coś więcej, nie miało to znaczenia. Resztę ucięły zamknięte drzwi.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Śpiew Ognia stał w oknie swego ekele, czuł ciągnący od szyby chłód i marszczył się na widok ośnieżonego krajobrazu na zewnątrz. Pierwszy śnieg w Valdemarze zwykle tylko pokrywał okolicę białym pyłem, ale ten padał godzinami i teraz osiągnął naprawdę niewiarygodną grubość. Śpiew Ognia nie zadał sobie trudu wychodzenia z ekele, odkąd przyszedł tu, by się rozgrzać. „Śnieg. Nienawidzę śniegu” — pomyślał buntowniczo, krzyżując ramiona na piersi. „Nie warto wychodzić do pałacu, o ile nie zdarzy się coś naprawdę ważnego.” An’deshy nie było w ekele, nie wrócił do domu poprzedniej nocy ani dzień wcześniej. Choć Śpiew Ognia z chęcią urządziłby scenę zazdrości, wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Ten sam śnieg, który trzymał go w ekele, powstrzymywał zmęczonego An’deshę przed powrotem. Śpiew Ognia wiedział, gdzie Karal i An’desha podziwiali się przez ostatnie dwa dni. Karal skakał wokół Solaris, a kiedy ta wróciła Bramą do Karsu, był zajęty dotrzymywaniem towarzystwa Natoli, z którą spędzał większość wolnego czasu. An’desha zaś cały czas pracował z rzemieślnikami. W dni, kiedy kończył późno w nocy, zaczął zostawać w pałacu, śpiąc skromnie na łóżku któregoś z paziów czy dworzan. Gdyby Śpiewowi Ognia na tym zależało, mógłby użyć odrobiny magii i spokojnej wody w sadzawce, by zobaczyć właśnie taki obraz, jak to zrobił za pierwszym razem, kiedy An’desha został na noc w pałacu.

Nie mógł nawet już dłużej złościć się na niego; trudno było winić Shin’a’in za to, że oddalali się od siebie. Powodowały to zmieniające się zainteresowania An’deshy. Śpiew Ognia przestępował niespokojnie z nogi na nogę i czuł przesuwanie się po skórze miękkiego jedwabiu szaty. „Zajął się mistycyzmem, a ja nigdy się tym nie interesowałem. Jednocześnie usiłuje uczynić z magii jedno z rzemiosł, zamiast traktować ją jak sztukę. Myśli, że można kontrolować ją bardziej za pomocą formułek niż intuicji.” Obie te postawy były z gruntu obce Śpiewowi Ognia; nawet najbardziej się starając, An’desha nie zdołałby wymyślić nic bardziej sprzecznego z poglądami maga.

Śpiew Ognia zazgrzytał zębami, aż szczęki go zabolowały. Logicznie rzecz biorąc, nie mógł czuć złości za to, że An’desha nie spełnił jego marzeń... ale uczucia nie kierują się logiką. Część jego istoty chciała pozwolić An’deshy odejść ze

smutnym błogosławieństwem na drogę, ale większa część pragnęła, żeby czuł się tak samo źle jak Śpiew Ognia.

Zatem An'desha nie potrzebował i nie chciał więzi emocjonalnej? W porządku, taki jego wybór, ale co ze Śpiewem Ognia? „Nie jestem coraz młodszy, z każdym rokiem moje szanse maleją. Shay'a'chern trafiają się nie częściej niż jeden na dziesięciu; jak mam mieć nadzieję na znalezienie stałego partnera, jeżeli wszyscy podobni do mnie już są w związkach? Dlaczego muszę przejść przez życie jak biały kruk wyrzucony ze stada?” Czy nie zasłużył na nagrodę? Czy nie zapracował na nią?

Dobrze, więc nie będzie miał An'deshy. Pogodził się z tym, nie będzie trząśł pustym krzakiem w nadziei, że wyleci z niego ptak. Potrzebował więcej czasu, młodości, więcej lat życia! Może uda mu się znaleźć kogoś dla siebie, jeśli będzie miał na poszukiwania dziesięciolecia, a nie tylko lata.

Wiedział też, jak to osiągnąć.

Ale to było złe. Zrobił to Ma'ar, choć z innych powodów. Ma'ar pragnął mocy, a w jednym życiu nie miał dość czasu, by zebrać całą wiedzę i potęgę, jakiej pożądał.

„Ja chcę tylko miłości. Czy ta różnica celu wystarczy?”

Nie, jeśli nie znajdzie sposobu na dodanie swemu życiu lat bez pozbawiania kogoś innego jego czasu. Musi być sposób na dokonanie tego bez krzywdzenia innych!

Jego gniew rósł, kiedy tak stał, rozmyślając usilnie nad znalezieniem metody spełnienia swych pragnień. To takie proste — i to było najgorsze! Ma'ar i jego kolejne wcielenia wykonali całą ciężką pracę, całą naprawę ciemną pracę. Teraz kryjówka istniała i trwała; musiał jedynie dostarczyć jej trochę mocy i połączyć się z nią, a potem będzie miał tyle czasu na poszukiwania, ile zapragnie.

„A jeśli nawet będę stary, kiedy wreszcie go znajdę, mogę połączyć go z kryjówką i znaleźć dla nas obu nowe ciała...”

Czy to takie złe? Czy można korzystać z czegoś, co powstało dzięki krwi, nie brudząc się nią? Ku jakim ciemnym drogom prowadziły go te myśli?

Jednak rozmyślał o tym nieustannie. Pojawiały się sposoby nieco mniej ciemne od tych używanych przez Ma'ara. „Czy byłoby złem zabranie ciała kogoś, kto nie zasługuje na życie? Na przykład mordercy? Albo maga krwawej ścieżki, takiego jak poddani Ma'ara albo Zmory Sokołów?”

Pozostawał mały problem — więź fizyczna; Ma'ar wykorzystywał w tym celu pokrewieństwo. Czy inna więź byłaby równie dobra? Czy mógłby narzucić ją komuś?

Za jego plecami poruszył się Aya i zaskrzeczał przenikliwie. Nie pochwalał ścieżek, którymi błędziły myśli maga — przynajmniej nie pochwalał tej niewielkiej części, którą zrozumiał. To jeszcze bardziej zirykowało Śpiew Ognia. Nie wystarczy, że niepokoi go sumienie, czy musi jeszcze znosić Ayę?

„Co może wiedzieć ptak?” — pomyślał niecierpliwie, nie zwracając uwagi na jego niezadowolenie. Czy miał się podporządkować poleceniom małego ptasiego mózgu? Przez moment poczuł żal, że nie wybrał na swego towarzysza drapieżnika, zamiast widowiskowego ognistego ptaka. Vree z pewnością był wystarczająco amoralny i nie zastanawiał się nad sumieniem, kiedy zobaczył tłustą zdobycz albo grzebień gryfa!

Jakby celowo zwiększając jego rozterki, nadszedł An'desha, brodząc po kolanach w śniegu. Wyglądał na stanowczo zbyt szczęśliwego, by pasował do ponurego nastroju Śpiewu Ognia. Było za późno, by schować się przed nim na górze ekele — Shin'a'in zobaczył go stojącego w oknie i pomachał mu ręką.

„Cholera, cholera, cholera.” Nastrój Śpiewu Ognia pogarszał się. Nie miał zamiaru być dobrym kompanem dla nikogo, tym bardziej dla An'deshy, ale powinien spróbować. Przywołał na twarz miły wyraz i czekał, aż An'desha wejdzie w osłonięty obszar pomiędzy dwojgiem drzwi. Potem jeszcze chwila, kiedy za pierwszymi drzwiami otrzepie śnieg oblepiający mu nogi — wreszcie An'desha wszedł do ekele.

— Nie uwierzysz, co się dzieje! — zawołał, kiedy Śpiew Ognia otworzył drugie drzwi. — W mieście sensacja. Takiego karnawałowego pochodu nie było tutaj od czasu, kiedy... kiedy ty przyjechałeś! Każdy z pałacu czy z kolegium, kto ma wolną chwilę, gapi się jak pierwszy lepszy kuzyn ze wsi!

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz i kto przyjechał — odparł Śpiew Ognia, wbrew sobie zaciekawiony. — O co chodzi? Złapano potwora? Solaris paraduje po mieście z przenośną świątynią Vkandisa?

— Nie. — An'desha zdjął pikowaną kurtkę Shin'a'in, rozsiewając wokół krople stopionego śniegu, i uśmiechnął się. — Latające barki k'Leshya. Przemieszczały się Bramami poprzez kraj, pomagały im gryfy, dlatego nie wiedzieliśmy o ich przyjeździe. Gryfy-magowie leciały przodem, wyszukiwały odległe miejsce i wracały, by zbudować Bramę prowadzącą do niego. W ten sposób dotarli w pobliże Przystani, nie wzbudzając sensacji. Kiedy znaleźli się blisko stolicy, resztę drogi przebyli ponad traktem, lecąc na barkach. Zanim spróbowali postawić Bramę, czekali, by sprawdzić, czy osłony wytrzymają.

Barka? K'Leshya?

— Kto? Dlaczego? — wyrzucił z siebie bez zastanowienia. — I dlaczego teraz?

— Najpierw odpowiem na ostatnie pytanie: przyjechali teraz, bo musieli. Między innymi przywieźli ze sobą kogoś, kto nazywa siebie trondi'irn; to rodzaj opiekunki gryfów. Przyjechała, by sprawdzić, jak się ma nasza czwórka. Około jednej czwartej barki zajmuje jej ekwipunek, a raczej rzeczy dla gryfów. — An'desha wydawał się uradowany zaskoczeniem Śpiewu Ognia. — Jest tam także mój rodak, Zaprzysiężony Mieczowi jak Querna, ale mężczyzna. Ma pomagać Jarimowi, a nie zastąpić go, przyznaję, że Jarim chyba poczuł ulgę na jego widok.

Śpiew Ognia miał wrażenie, że Jarim nie był jedyną osobą zadowoloną z przybycia szamana. Kolejna różnica, pogłębiająca przepaść między nimi?

Ale An'desha nie zauważył jego milczenia.

— Jest jeszcze duże poselstwo z k'Leshya, kilkanaście osób, licząc trondi'irn i trzy gryfy. Przywieźli wiele z tych rzeczy, o które Mroczny Wiatr robił zamieszanie — przerwał i wzruszył ramionami. — Umieram z głodu, nie jadłem śniadania ani obiadu. Może sam pójdziesz to zobaczyć?

— Chyba tak. — Zaskoczenie ustąpiło miejsca palącej ciekawości. — Czy będzie ci przeszkadzało, jeśli zaofiaruję im gościnę w ekele? Nie wyobrażam sobie, by czuli się wygodnie w pałacu.

An'desha zarumienił się lekko.

— Szczerze mówiąc, chciałem o tym z tobą porozmawiać. Czy przeszkadzałoby ci, gdybym... gdybym na pewien czas przeprowadził się do pałacu? Spędzam tam cały czas, poza tym zaproponowano mi komnatę, jeśli tylko zechcę. W ten sposób, hmm, miałbyś więcej miejsca dla gości z k'Leshya.

Przez chwilę Śpiew Ognia walczył z ogarniającą go wściekłością. „Już mnie opuszcza? Jak śmie — po wszystkim, co dla niego zrobiłem?”

Jednak starannie ukrył gniew. Wściekanie się na An'deshę doprowadzi do tego, że odsunie się jeszcze bardziej. Przybrał więc maskę obojętności.

— Jeśli naprawdę tego chcesz, ja nie mam nic przeciwko temu.

— Zapewne tylko dopóty, dopóki nie znajdziemy skutecznej osłony zamiast falochronów. — An'desha spojrzał na niego prosząco; Śpiew Ognia poczuł satysfakcję. „Teraz, kiedy tak łatwo się zgodziłem, jest zmartwiony? Dobrze. Może dla odmiany on będzie zazdrosny?”

Wzruszył ramionami wciąż z wyrazem obojętności na twarzy.

— Jak chcesz. Idę sprawdzić, czy nie znam kogoś z przybyszy, i przekazać zaproszenie.

Poczuł, że jego maska spada i odwrócił się. Potem, by An'desha nie zauważył jego sprzecznych uczuć, pobiegł do góry po swój płaszcz i buty. Na szczęście nie były w sypialni. Słyszał, jak An'desha powoli idzie za nim. Poczekał, aż wejdzie do sypialni i zacznie się pakować, potem zszedł znów do ogrodu. Aya dołączył do niego z okrzykiem radości, podlatując, by zająć bezpieczne miejsce na ramieniu swego opiekuna, gdy ten wychodził na zewnątrz.

Śpiew Ognia przedzierał się przez śnieg, a jego myśli goniły jedna za drugą, skacząc z tematu na temat. Przede wszystkim — nigdy dotąd nie zastanawiał się nad zdrowiem gryfów, po prostu założył, że są zdrowe. Zawsze szybko dochodziły do siebie po zranieniu i nigdy nie wyglądały na chore.

Ale młode miały się właśnie pierzyć, tej jesieni zaczęły próbować krótkich ślizgów w powietrzu ze szczytów bram i stosów drewna. „Nawet nie ślizgi, raczej kontrolowane spadanie.” Nadal były dwa razy mniejsze od rodziców, co oznaczało, że okres największego wzrostu miały jeszcze przed sobą. Jeśli w ciągu roku

podwoją swe rozmiary — z tego, co Śpiew Ognia wiedział o innych istotach, niesie to ogromne obciążenie organizmu. Będą potrzebować specjalnego pożywienia, które zapewni im wszystko, czego potrzebują w okresie tak intensywnego wzrostu. Może dlatego przyjechała tu trondi'irn.

A może z powodu samego Treyvana i Hydony. Może potrzebowali czegoś — na przykład minerałów czy innych składników, czego nie mogli sami znaleźć. „W końcu są istotami stworzonymi. Wymyślił je Mag Ciszy i niezależnie od tego, jak wielkim był geniuszem, nie jest możliwe, by wszystkie szczegóły dopracował do perfekcji.” Ludzie istnieli o wiele dłużej, a jak bardzo byli niedoskonali!

„Nawet nasze ptaki zapadają na dziwne choroby, dlatego każdy z nas musi być ekspertem w pielęgnacji określonego gatunku.” Wolał nie myśleć o możliwych kłopotach zdrowotnych gryfów.

Kiedy wyszedł zza drzew, dostrzegł, że w pałacowych stajniach rzeczywiście coś się dzieje. Stał tam tłum zebrany wokół czegoś pękatego i ciemnego. Latająca barka?

Być może. Śpiew Ognia przypomniał sobie, jak bardzo pragnął mieć takie wspaniałe urządzenie — pragnął go jak żadnego innego przedmiotu. Jedyne k'Leshya przechowali wiedzę, która pozwalała im tworzyć takie konstrukcje, głównie dzięki temu, że po kataklizmie ocalała biblioteka Maga Ciszy znalazła się pod ich opieką. Oparte na pomysłe krytych barek służących do transportu towarów i jednocześnie jako mieszkania dla ludzi pływających po rzekach, latające barki spełniały te same funkcje, tyle że w powietrzu. Na ogół unosiły się na wysokości ramienia nad ziemią, ale mogły wznieść się na poziom wierzchołków drzew lub opaść nisko, na palec od ziemi. Aby je poruszyć, można było użyć magii, ale zwykle ciągnęto je kilka koni, mułów lub wołów — zwierząt o wiele tańszych niż usługi maga. Największą zaletą barek było to, że unosiły tyle, ile zdołało się na nie załadować i przymocować do nich, gdyż same w sobie nic nie ważyły. Zwierzęta ciągnęły je bez trudu, jakby nie miały żadnego obciążenia. Ponieważ nie posiadały kół, mogły przebyć teren pozbawiony dróg. Śpiew Ognia z łatwością wyobrażał sobie, że ładuje wszystkie swoje rzeczy na barkę i wyrusza w podróż po świecie. . .

Przyśpieszył kroku i dostrzegł wierzchołek załadowanej barki unoszący się ponad zgromadzonym wokół tłumem. An'desha musiał przybiec do Śpiewu Ognia, kiedy tylko wysłannicy dotarli na miejsce; chyba nikt z nich nie zdążył jeszcze zdjąć swych bagaży.

Śpiew Ognia przyłączył się do tłumy gapiów, a kiedy tylko najbliżej stojący dostrzegli go, rozstąpili się, robiąc mu przejście. Bagażu wydawało się zbyt dużo nawet jak na kilkunastoosobową grupę — co też ze sobą przywieźli?

Przybyszy dało się od razu rozpoznać po strojach — mieszance stylu Shin'a'in i Tayledras, ale z nalotem dziwnej egzotyki i nieco staroświeckiego smaku. Gryfy już nadeszły — cała czwórka przyglądała się uważnie trójce nowych gryfów

i młodej kobiecie w jaskrawym, pomarańczowo-szkarłatnym ubraniu marszczącym się w obfite fałdy, na łokciach i kolanach spiętym czarno-pomarańczowymi, ozdobnymi pasami. Obok niej stał mężczyzna w żywym błękicie i bieli, którego długie czarne włosy i widziana od tyłu sylwetka wydawały się dziwnie znajome.

Treyvan podniósł głowę i zauważył Śpiew Ognia.

— Hej! — zawołał. — Twój stary znajomy, Srebrny Lis!

„Srebrny Lis?” Śpiew Ognia zamarł w pół kroku, a kestra’chem Srebrny Lis z radością na twarzy odwrócił się, by go przywitać. „Dlaczego An’desha nie powiedział mi, że jest tutaj Srebrny Lis?”

Przez chwilę znów poczuł gniew, ale przeważył rozsądek. „Skąd miał wiedzieć, że znam Srebrnego Lisa? Poznałem go na długo przedtem, zanim spotkałem An’deszę, poza tym chyba nie wspominałem An’deszy o nim, chyba że bardzo ogólnie.”

Ochłonął szybko i mógł przywitać Srebrnego Lisa z czystą radością — tym lepiej, gdyż uścisk kestra’chern był naprawdę bardzo obiecujący.

— Co cię tutaj sprowadza? — zapytał Śpiew Ognia, kiedy odstąpili od siebie. — Myślałem, że wolicie zostać w Dolinie i nie ryzykować spotkania z tym niegościnnym klimatem!

— Jeśli o klimat chodzi, nie jest gorszy od pogody poza Doliną — odrzekł Srebrny Lis. — Co zaś do mojego przybycia — kiedy tworzymy poselstwo, zgodnie z tradycją włączamy do niego przedstawicieli wszystkich dyscyplin — skinął głową Treyvanowi i Hydonie. — Pierwsi, którzy robią rozpoznanie, to oczywiście zawsze srebrne gryfy. Srebrni są... hm, chyba nazwałbym ich naszą odmianą heroldów. Stróże porządku, prawa i tak dalej, ale w ich skład wchodzi również nasi zwiadowcy. Zwykle nie są to gryfy, chyba że wysyłamy ich naprawdę daleko. Dlatego wybraliśmy Treyvana i Hydone, żeby najpierw odnaleźli Doliny, a potem sami chcieli przyjechać do Valdemaru.

— Ale dlaczego kestra’chern? — powtórzył Śpiew Ognia.

Srebrny Lis zaśmiał się.

— Ponieważ jest to jedna z dyscyplin, piękny ptaku! — Długim palcem wskazywał swych pobratymców, wymieniając po kolei inne rzemiosła. — Rzemieślnicy, zarządcy, uczeni, specjalista od uprawy roli, srebrni, magowie i kestra’chern. Właściwie kestra’chern jest dwoje — trondi’irn również zalicza się do tej dyscypliny. Ostatniej dyscypliny, szamana, nigdy nie wysyłamy z poselstwem. Nie ma takiej potrzeby, zresztą — uśmiechnął się — jest z nami Lo’isha shena Pretara’sedrin, więc byłoby za dużo kapłanów.

Jakby w odpowiedzi na swoje imię Shin’a’in ubrany od stóp do głów w ciemny granat odwrócił się i przesłał im promienny uśmiech, po czym wrócił do rozmowy z Jarimem.

Zimny powiew uświadomił Śpiewowi Ognia, że niepotrzebnie stoją na śniegu.

— Słuchajcie, nie wiem, czemu zamierzamy tutaj, skoro może nam być ciepło.

Przyszedłem zaoferować wam gościnę w moim domu. Myślę, że zmieścicie się wszyscy. Mam przynajmniej kilka udogodnień cywilizacyjnych...

— O, Biały Ptak zostanie z gryfami, zatem będzie o jednego mniej, a rzemieślnicy, zarządcy i magowie będą chcieli założyć prawdziwą siedzibę poselstwa w pałacu. Podejrzewam, że będziesz gościł jedynie mnie, rolnika i uczonego — powiedział wesoło Srebrny Lis. — Będzie więc nas tylko czterech. Łatwo się zmieścimy. Jeśli masz gorącą sadzawkę do kąpieli, reszta pewnie będzie przychodziła korzystać z niej. Letni Jastrząb, rolnik, wspaniale gotuje, więc inni będą też pewnie przychodzić na posiłki, ale resztę czasu spędzą tam, gdzie pracują — uśmiechnął się przepraszająco. — Obawiam się, że bardzo poważnie traktują swoje obowiązki i chcą jak najlepiej je wypełnić. Planują przebywać każdą chwilę z waszymi magami i rzemieślnikami, by wypracować nowe osłony przed magicznymi burzami.

Śpiew Ognia poczuł skrytą ulgę, że magowie k'Leshya prawdopodobnie nie skorzystają z jego zaproszenia. Wątpił, czy podobałyby się im jego wyprawy do kryjówek Zmory Sokołów, a jeszcze mniej pomysł, by znów jej użyć. Do tej pory mógł się z tym ukrywać przed resztą magów, gdyż większość z nich przewyższała umiejętnościami. „Nie wiem, czy zdołam ukryć moje czyny przed magami, których zdolności w ogóle nie znam. Bogowie wiedzą, co k'Leshya ocalili z dawnej magii, którą my utraciliśmy. Co jeszcze mogli wymyślić przez ten czas, wołę nawet nie zgadywać.”

— Musimy rozładować barkę. Chyba powinniśmy zostać z nami, przyjacielu — mówił dalej kestra'chern. — Przywieźliśmy trochę rzeczy, za którymi pewnie tęskniłeś. Hertasi uszyli na przykład nowe ubrania — przyjechałeś tu z małym bagażem, a wątpię, czy tutejsi, mimo że są sympatyczni, wiedzą cokolwiek o tkaninach i wzorach!

Śpiew Ognia zadrżał na wspomnienie niektórych ubrań zaprezentowanych przez mających jak najlepsze intencje krawców z Przystani. Żadnego wycucia stylu, lepiej nie mówić o palecie kolorów! W ich strojach wyglądałby jak kura bez piór.

— Przedstaw mnie, proszę, swoim rodakom, powtórzę im moje zaproszenie i sami zdecydują, czy je przyjąć, dobrze? — powiedział, zamiast komentować niedostatki strojów valdemarskich. — W ten sposób zabierzemy bagaże prosto do ekele i będziecie mogli się rozpakować.

— Bagaże i prezenty, przyjacielu — powiedział chytrze Srebrny Lis. — Osobiście dopilnowałem tej części pakowania.

Śpiew Ognia roześmiał się.

— Czy mam być uprzejmy, czy zachłanny? Jeśli uprzejmy, będę udawał, że nie spieszy mi się do oglądania tego, co przywieźliście, ale ponieważ jestem zachłanny, powiem, że jest to jedyny powód, dla którego mogę stać tutaj nawet po pas w śniegu, dopóki nie rozdzielicie bagażu!

Czuł się już o wiele lepiej dzięki obecności Srebrnego Lisa. Kiedy zaś pomagał rozładować barkę i uporządkować paczki i pakunki, przyszło mu do głowy jeszcze jedno.

Oto jak na talerzu dostał okazję do wzbudzenia zazdrości w An'deshy, jeśli to w ogóle było możliwe. Miał ostatnią szansę na odzyskanie Shin'a'in.

Kilka dni później Srebrny Lis moczył się leniwie w gorącej sadzawce, po zademonstrowaniu Śpiewowi Ognia — ku jego głębokiej satysfakcji — jednej z umiejętności kestra'chern.

— Obawiam się, że uraziliśmy swoim przybyciem przynajmniej jeden rodzaj waszych rzemieślników — powiedział od niechcienia.

— Tak? — Śpiew Ognia był w zbyt dobrym nastroju, by drażniła go wzmianka o rzemieślnikach. — Czym? Z tego, co słyszę, wasi magowie świetnie sobie z nimi radzą. Stłoczenie Treyvana i Hydony w jednej komnacie, by wystarczyło tłumaczy, jest trochę niewygodne, ale to chyba jedyna rzecz, jaka może sprawić kłopot.

— O, mam na myśli tych zajmujących się parą i maszynami — zachichotał Srebrny Lis. — Przyznaję, że dla mnie nie ma w tym nic ciekawego, jedyne miejsca, w których mogę znieść parę, to kuchnia, łaźnia i gorąca sadzawka.

Śpiew Ognia zaśmiał się.

— Rozumiem, o co chodzi. Ta dziewczyna Natoli i jej przyjaciele do czasu waszego przybycia pomagali fanatykom pary, ale teraz w dzień i w nocy tłoczą się wokół waszej barki. Kiedy zaś nie badają barki, usiłują rozebrać na części inne użyteczne przedmioty, które przywieźliście. Tymczasem jednak opuścili zwolenników pary, by dowiedzieć się, jakie mechaniczne cuda wynaleźliście.

— Dlatego przywieźliśmy ze sobą rzemieślników, przyjacielu — odparł Srebrny Lis z półśmiechem. — Dzięki temu reszta z nas nie musi trudzić się wyjaśnianiem tego, na czym i tak się nie zna. Mnie zaś interesuje tylko magia! — roześmiał się. — Powiedziałem jednemu z nich, że wszystkie urządzenia napędzane są magicznym dymem, kiedy zaś dym ucieknie, przestają działać!

Śpiew Ognia musiał znów się roześmiać. Większość wynalazków inżynierów wydzielala ogromne ilości dymu, kiedy tylko przestawały działać, wylatywały w powietrze lub wypalały się do szczytu. Dotyczyło to zwłaszcza kotłów parowych.

— Twój przyjaciel An'desha jest dla nich nieoceniony — dodał Srebrny Lis.

Śpiew Ognia zachmurzył się na wspomnienie An'deshy, jednak uważał, by nie zmienić wyrazu twarzy. Dotąd interesował się tylko Srebrnym Lisem w nadziei, iż jeśli cokolwiek zdoła przyciągnąć An'deshę z powrotem, to tylko zazdrość. Jednak ku jego zaskoczeniu An'desha zdawał się czuć ulgę, widząc go tak często w towarzystwie kestra'chern. Ostatnia próba zwrócenia odwracającej się uwagi

An'deshy nie przynosiła skutków, jakich oczekiwał. Szczerze mówiąc, pojawiła się kolejna zaskakująca okoliczność: kiedy An'desha nie pomagał k'Leshya jako tłumacz, spędzał większość czasu z Zaprzysiężonym Mieczowi, co kładło kres wszelkim nadziejom na odciążenie go od mistyki!

Poprzedniego dnia Śpiew Ognia zdecydował się pogrzebać resztki związku, zanim zasną cuchnąc, chociaż wcale nie był tym uradowany. W ten sposób znalazł się w punkcie wyjścia — w takiej samej sytuacji, w jakiej był w chwili przybycia poselstwa k'Leshya. Albo pogodzi się z samotnością, albo. . .

„Albo znajdę sposób na przedłużenie życia i szansę na znalezienie stałego partnera.”

Jednak kiedy tylko pojawiły się ponure myśli, Srebrny Lis przeciągnął się, przybierając nieświadomie prowokującą pozę, która rozproszyła uwagę Śpiewu Ognia. Para otaczała głowę i tors Srebrnego Lisa, dodając mu tajemniczości.

— Przez kilka ostatnich dni byłeś raczej małomówny i przygnębiony — zauważył kestra'chern. — Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że czymś się martwisz, ale ciągle twierdzisz, że to wina pogody. Naprawdę pogoda aż tak cię przygnębia?

— Naprawdę to nie pogoda, przynajmniej nie jest to najważniejszy powód — przyznał Śpiew Ognia. — Rzeczywiście, ostatnio nie znoszę śniegu, a muszę ciągle na niego patrzeć. W Dolinie nie wiedziało się, że jest zima, póki nie przeszło się przez tarczę, a na ogół w złą pogodę udawało mi się tego unikać.

— Hmm. . . — Srebrny Lis znów się przeciągnął, wyginając plecy i zamykając na chwilę oczy. — A jednak miło przebywać tutaj, gdzie jest wygodnie i ciepło, i spoglądać na zewnątrz, na zimno, z myślą, że nie musisz narażać się na okropną pogodę, jeśli nie chcesz. Nie zgadzasz się z tym?

Śpiew Ognia wzruszył niepewnie ramionami.

— Mówiłem, że nie jest to główny problem.

— W takim razie, co nim jest? — W jakiś sposób Srebrny Lis zdołał przy całej gimnastyce przybliżyć się do Śpiewu Ognia i zaczął masować jego spięte ramiona zręcznymi, silnymi dłońmi — Może zdołam ci pomóc.

— Co może przygnębiać? — odparł zirytowany. — Jestem shay'a'chern, samotny, otoczony ludźmi żyjącymi w dobrych związkach — Elspeth i Mroczny Wiatr, Treyvan i Hydon, Karal i Natoli, Selenay i Daren, Kerowyn i Eldan — i, na bogów, Talia i Dirk, którzy są dojrzałymi rodzicami, w wieku, w którym nie muszą już czulić się do siebie jak para nastolatków! Gdziekolwiek spojrzę, otacza mnie beznadziejny romantyzm!

— A między nimi ty, ptak z przemiłym gniazdkiem, którego nie masz z kim dzielić. — Srebrnemu Lisowi udało się powiedzieć te słowa tak, że zabrzmiały współczująco, a nie sentymentalnie. — Rozumiem cię, to wystarczy, by każdego wpędzić w depresję.

— Najgorsze są pary związane więzią życia — ciągnął zimno Śpiew Ognia. — Tutaj jest ich chyba więcej, niż przewidują jakiegokolwiek normy.

— Może dlatego, że w jednym miejscu zebrali się wszyscy heroldowie — zauważył obojętnie Srebrny Lis. — To tak, jakby wszystkich shay'a'chern z Valdemaru i Dolin zebrać w instytucji podobnej do kolegium. Wtedy o wiele łatwiej o spotkanie podobnych osobowości.

„Gdybym tylko zdołał to zrobić...” Ale jeśli uda mu się przedłużyć swoje życie, skutek będzie ten sam.

— Jednak to nieprzyzwoite. I dość irytujące.

— Rozumiem, to może irytować, choć dla mnie jest czarujące. Mimo wszystko jest mi ich raczej żal. — Mimo niechęci Śpiewu Ognia do bycia uspokajanym, starania Srebrnego Lisa odnosiły skutek. Jednak ostatnie zdanie zabrzmiało bardzo niejasno.

— Dlaczego jest ci ich żal, do licha? — zapytał zaskoczony Śpiew Ognia. — Myślałem, że każdy marzy o spotkaniu partnera, z którym połączy się więzią życia? Czy nie o to chodzi?

— Ja nie szukam więzi życia — powiedział stanowczo Srebrny Lis. — Wolałbym raczej kogoś, kto kochałby mnie sam z siebie, a nie dlatego, że jest do tego zmuszony. Według mnie różnica pomiędzy miłością a więzią życia przypomina różnicę pomiędzy robieniem czegoś, co chce się robić, a działaniem pod wpływem zakłęcia przymusu, które ktoś na ciebie nałożył. Może i tak chciałbym to robić, ale nie czuję się dobrze ze świadomością, że ktoś mnie do czegośkolwiek przymusza — zaśmiał się sucho. — Wręcz zaczynam się buntować. Szczerze mówiąc, gdybym spotkał kogoś, z kim połączyłaby mnie więź życia, usiłowałbym z tym uczuciem walczyć tylko dlatego, że to przymus. I chciałbym, żeby połączyło nas coś więcej niż przymus.

— Nie rozumiem — Śpiew Ognia potrząsnął głową. — Partnerzy połączeni więzią życia są absolutnie oddani sobie nawzajem, całkowicie z sobą złączeni; wydaje mi się, że to najlepszy sposób na życie. Wiąż życia oznacza, że nie ma nieporozumień, zazdrości i niedobrania. Nic z tych rzeczy, które sprawiają takie kłopoty w zwykłych związkach...

Ale w tej chwili Srebrny Lis śmiał się już głośno, jakby Śpiew Ognia powiedział coś bardzo zabawnego.

— Kto powiedział, że nie będzie nieporozumień i niedobrania? Czy gdzieś to przeczytałeś? Czy znasz jakąś parę połączoną więzią życia na tyle dobrze, by wygłaszać takie opinie? Uwierz mi, miewałem takie pary jako klientów, dostawali odpowiednią dawkę i nieporozumień, i innych kłopotów. Jedyna różnica między nimi a zwykłymi parami jest taka, że jeśli nie rozwiążą szybko swoich problemów, ich dusze będą cierpieć o wiele bardziej niż ja czy ty.

— Dla mnie to zaleta — odparł Śpiew Ognia uparcie.

— Hmm — Srebrny Lis nie znalazł na to odpowiedzi. — Wydajesz się bardzo

pewny swego.

— Jestem. — Śpiew Ognia nie zamierzał się wycofywać. — Nie rozumiem, w czym takie cierpienie duszy jest gorsze od napadów zazdrości. Wydaje mi się, że lepiej jest walczyć o pogodzenie przeciwieństw; lepiej, jeśli dwoje ludzi musi ułożyć swoje wzajemne relacje, niż kiedy jedno cierpi, a drugie odchodzi do swoich spraw, nie przejmując się niczym. Wtedy życie jest przynajmniej bardziej sprawiedliwe — dokończył ponuro.

— To naprawdę powiedziałeś z przekonaniem — zauważył kestra'chern. — Zaczynam niemal podejrzewać, że raz czy dwa sam cierpiełeś z powodu ataków zazdrości.

— Wystarczająco — odrzekł Śpiew Ognia ostrożnie. — Wystarczająco, żeby wiedzieć, iż jest to chyba jedno z najbardziej trujących uczuć, że prowadzi do obsesji. W czym obsesja na punkcie jednej osoby — tak silna, że nie można skupić się na pracy — jest lepsza od zmuszania się do tego, by żyć z kimś w zgodzie?

Srebrny Lis przesunął swoje zabiegi poniżej łopatek Śpiewu Ognia.

— Racja. Z pewnością wielu ludziom łatwiej byłoby skupić się na pracy. Obsesja to paskudny stan — i, jak sam powiedziałeś, trujący. Utrudnia jasne widzenie sytuacji.

— W dodatku trudno ją wyleczyć. — Śpiew Ognia skrzywił się, kiedy palce Srebrnego Lisa trafiły na wyjątkowo spięty mięsień.

— Zatem to cię przygnębia? Samotność, zazdrość i obsesja? — Srebrny Lis westchnął. — Taka mieszanka potrafiłaby przygnębić każdego, nawet w środku lata i sytuacji bez problemów. Zważywszy na to, co się dzieje, dziwię się, że w ogóle potrafisz cokolwiek osiągnąć. Nie wiem, czy mnie udałoby się to.

„Kiedy przyznałem się do obsesji?” — pomyślał Śpiew Ognia, powstrzymując się od dalszych słów. Srebrny Lis był najbardziej sugestywną osobą, jaką spotkał, nie wyłączając herolda Talii. To nie pierwszy raz kestra'chern zdołał wyciągnąć z niego coś, do czego mag nie zamierzał się przyznawać.

I pomimo faktu, że nie był natrętny, Srebrny Lis dokonał sztuki pojawiania się zawsze w chwili, kiedy Śpiew Ognia rozważał spacer do pałacu i kamienia-serca, by odbyć kolejną wycieczkę do kryjówek Zmory Sokołów. Gdyby nie był to Srebrny Lis, Śpiew Ognia marzyłby o tym, żeby się go pozbyć i uznałby jego towarzystwo za największy kłopot.

Jednakże za każdym razem, kiedy zjawiał się w niewłaściwej chwili, kestra'chern zdołał zmienić spotkanie w wydarzenie, którym można się było cieszyć. Miał niezwykle wyczucie czasu — zdarzało się to za często jak na zwykły zbieg okoliczności, ale skąd wiedział? Skąd miałby wiedzieć? I nigdy nie uczynił nic tak widocznego, jak podążanie za Śpiewem Ognia; po prostu był przy nim, kiedy myśli maga stawały się ponure — przybierał pozę niedbale prowokującą albo zaczynał z nim wesoło flirtować.

Nie był to pierwszy raz, kiedy skłonił Śpiew Ognia do zwierzeń, ale po raz

pierwszy sprowadził rozmowę na niebezpieczny grunt uczuciowych obsesji, zazdrości i gniewu. Był to naprawdę niebezpieczny grunt, gdyż mógł prowadzić do dalszych wniosków.

Śpiew Ognia powściągnął rosnący gniew — nie na Srebrnego Lisa, ale na niemożliwą do zniesienia sytuację.

— Nieważne; nie mogę nic zrobić, więc powinienem znieść to z właściwym Tayledrasom spokojem — skłamał, usiłując odwrócić bieg rozmowy i ukryć własne uczucia.

— Owszem, to ważne — odparł Srebrny Lis. — Jesteś magiem, twoja samokontrola zależy od twojego stanu emocjonalnego. Jak uzdrowiciel-chirurg nie powinien praktykować wtedy, kiedy nie jest pewien swych dłoni, tak mag nie powinien parać się magią, jeśli jego nerwy nie są spokojne. Wiesz o tym doskonale.

Pod dłońmi Srebrnego Lisa mięśnie Śpiewu Ognia znów się naprężyły, zdradzając jego napięcie.

— Wiem o tym, a moje nerwy są w porządku — odrzekł. — Wiem, co robię. Szczerze mówiąc, w tej chwili i tak nikt nie potrzebuje moich zdolności.

— Oj, przyjacielu — westchnął Srebrny Lis. — Twoje ciało mówi coś zupełnie innego. — Prześlizgnął się obok maga, wracając do poprzedniej pozycji; jego twarz była bardzo poważna. — Podstawowym językiem kestra'chern są emocje. Nasze umiejętności dotyczą przede wszystkim serca, a nie ducha lub umysłu: pierwsze zostawiamy kapłanom, drugie uczonym. Tak właśnie działamy, ale dochodzimy do punktu, kiedy nie możemy wykonać zadania bez współpracy.

Zamiast uniknąć niebezpiecznych tematów, poruszyli je bezpośrednio. Śpiew Ognia udał niezrozumienie i tłumione zaskoczenie.

— Dlaczego potrzebujesz mojej współpracy do czegokolwiek ponad to, co już zdobyłeś?

Ale Srebrny Lis zmarszczył się.

— Znasz już odpowiedź na to pytanie. Oczywiście nie wiem wszystkiego, ale wiem wystarczająco dużo. Jesteś samotny i głęboko nieszczęśliwy, żyjesz w domu zbudowanym dla dwojga, ale jesteś w nim sam, na wzmiankę o Karalu lub rzemieślnikach spinasz się z gniewu, a kiedy pojawia się imię An'deshy, sztywniejesz z bólu. Twoje serce ogarnął zamęt, twoje ciało to odzwierciedla, a twój umysł z konieczności oddaje stan i jednego, i drugiego. Nawet czeladnik mojej sztuki zdołałby dodać te fakty i wyciągnąć wnioski.

— Czy sam do tego doszedłeś? — odparł Śpiew Ognia ostrzej, niż zamierzał. Srebrny Lis spojrział magowi prosto w oczy.

— Tak, sam, i nie mówię tego, żeby się chwalić. To moje powołanie, jak twoim jest magia. Pogłębiam moją wiedzę i wykorzystuję ją równie długo, jak ty swoją.

Przez czas wchodzenia po schodach Śpiew Ognia nic nie mówił, ale kiedy weszli, odwrócił ku kestra'chern gniewną twarz.

— Zapewne potrafisz poradzić coś na to, że An'desha odwrócił się ode mnie, tak? Możesz uciszyć tego wścibskiego smarkacza Karala, aby nie podsuwał An'deszy głupich pomysłów i nie zarażał go obsesją mistycyzmu? Dopóki on się nie zjawił, między nami układało się doskonale! Jeśli można kogoś winić, to Karala! An'desha zależał ode mnie, nie od głupiego kapłana z kraju, w którym lud Gwiazdzistookiej uważa się za jedzących surowe mięso barbarzyńców!

Zbyt późno zdał sobie sprawę, że znów się zdradził. Zarumienił się, odwrócił i nadąsany rzucił na posłanie. Żeby nie patrzeć na Srebrnego Lisa, spojrzął w okno. Łatwiej było utrzymać język za zębami, jeśli nie patrzyło się w oczy kestra'chern.

Gdyby tylko udało się również utrzymać emocje na wodzy.

Za oknem siatka ciemnych, bezlistnych gałęzi na tle śniegu przypominała zaściśnięte pazury.

Cichy szelest materiału powiedział mu, że Srebrny Lis usiadł obok, ale nie na sofie.

— An'desha nie jest twoim partnerem na całe życie i wiedziałeś o tym od chwili, kiedy zaczął się oddalać. Musisz też wiedzieć, że cokolwiek zrobięś lub powiedziałęś, nie mogło uczynić z niego kogoś, kim nie był — wytknął kestra'chern z zimną logiką. — A co do tego, że An'desha już od ciebie nie zależy: czy to wynik wtrącania się Karala, czy twoich własnych działań? Jesteś adeptem uzdrowicielem, Śpiewie Ognia — twoje serce na pewno ci mówiło, że taka zależność, jaką mi opisałeś, nie jest zdrowa. Sam musiałeś zacząć działania, które w końcu doprowadziły do tego, że An'desha się od ciebie odsunął; nie możesz zdradzić swego powołania. Musiał wyzdrowieć, nawet jeżeli oznaczało to odejście od ciebie.

Śpiew Ognia znów się zarumienił i zanim zdołał się powstrzymać, odwrócił się ku kestra'chern, ogarnięty rosnącym gniewem, który szukał ujścia.

— Ale Karal zepsuł wszystko! Poprowadził An'deshę w kierunku, którego w ogóle nie przewidywałem! — wybuchnął, mówił coraz głośniejszym głosem, w miarę jak czuł coraz większy ucisk w gardle i ścisnął pięści w ledwie powstrzymanej wściekłości. — Do licha z nim! Nie ma pojęcia o tym, jak muszę nad sobą panować, mogłem zabić go sto razy, żeby usunąć go z naszego życia! — jego wściekłość przeradzała się w żądzę mordy. — Nadal mogę! — wrzasnął. — Chciałbym tego!

W przeciwnym kącie komnaty Aya ćwierknął przenikliwie, a jednocześnie rozpadł się wazon.

Srebrny Lis nawet się nie skrzywił, ale dźwięk tłuczonego szkła uśmierzył gniew Śpiewu Ognia bardziej skutecznie, niż kubeł zimnej wody wylany na głowę. Mag spojrzął na szklane odłamki, czując, że usta mu się otwierają.

„Co ja robię? Od czasów, kiedy byłem uczniem, nie straciłem nad sobą panowania! Co się ze mną dzieje? Gdzie moja samokontrola?”

— Śpiewie Ognia, gdyby nie był to Karal, pojawiłby się ktoś inny — powiedział spokojnie Srebrny Lis w martwej ciszy. — Skoro An'desha to półkrwi Shin'a'in, zapewne zajęłaby się nim Querna. Nie wyobrażam sobie, że Zaprzysiężona Bogini mogłaby zostawić go w stanie, który wczoraj mi opisałeś. Musiał dojrzeć i wyrosnąć, a oprócz zniszczenia jego umysłu nic, co byś zrobił, nie mogło tego zmienić.

„Przyznałem, że chcę zabić Karala, a on nic nie mówi. Czy mu nie zależy?”

— Jak byś się czuł, gdyby była to Querna, a nie Karal? — naciskał Srebrny Lis. — Czy byłoby ci łatwiej, kiedy by od ciebie odchodził? Czy byłbyś mniej rozniewany niż teraz?

„Oczywiście, że mu zależy, po prostu zdaje sobie sprawę, że wciąż panuje nad sobą na tyle, by nie zabić Karala.

Na pewno?”

— Nie — powiedział powoli. — Nie. Gdyby była to Querna, prawdopodobnie wyszłoby jeszcze gorzej. Karal nie ma takiego autorytetu, jaki ona posiada; Zaprzysiężona Bogini skierowałaby uwagę An'deshy w stronę mistycyzmu jeszcze szybciej niż Karal.

Dopiero teraz Srebrny Lis wstał i zajął miejsce na sofie obok Śpiewu Ognia, choć nie usiłował go dotykać.

— Jak sam powiedziałaś, gdyby to Querna pomogła mu szukać odpowiedzi na pytania, straciłbyś go jeszcze szybciej — odezwał się kestra'chern cicho. — An'desha i Karal razem brnęli przez mgłę niepewności w poszukiwaniu prawdy i dzięki temu miałaś go przy sobie dłużej. Nie możesz utrzymać pisklęcia w skorupce, przyjacielu, niezależnie od tego, jak bardzo się starasz.

Śpiew Ognia nie miał na to odpowiedzi, ale Srebrny Lis chyba jej nie oczekiwał.

„Świetnie, nie mogłem go utrzymać — ale dlaczego w ogóle musiał się ode mnie odsunąć?”

— Jego duch został zraniony na wiele sposobów, o których ty ani ja, dzięki bogom, nie będziemy nigdy mieli pojęcia — ciągnął Srebrny Lis z zamyśleniem w niebieskich oczach. — Rozmawiałem z nim po moim przyjeździe, kiedy dowiedziałem się o twoich kłopotach.

„Rozmawiał? Nie wiedziałem o tym.”

Srebrny Lis przerwał i uśmiechnął się lekko.

— Od razu wiedziałem, że nie pomogę mu w jego poszukiwaniach, ale czegoś się dowiedziałem. Może nigdy nie nawiąże silnej emocjonalnej więzi z inną osobą — nie dlatego, że nie jest do tego zdolny, ale z innych powodów. Widział, jak uczucia mogą stać się bronią w ręku takiego kogoś bez skrupułów, jak Zmora Sokołów, i według mnie unika więzi emocjonalnych ze strachu przed wykorzystaniem ich w ten sposób — kestra'chern na chwilę zamknął oczy. — Dla niego

najlepsza i najpewniejsza może się okazać ścieżka ducha i intelektu, a nie serca. Dla twojego dobra chciałbym, żeby było inaczej, ale tak sędzę.

Śpiew Ognia ogarnęła gorycz — zarówno z powodu logiki słów Srebrnego Lisa, jak i z powodu jego wniosku. Zbyt dobrze zgadzał się z tym, co sam zaobserwował. „To prawda, ale nie mam zamiaru się z tego cieszyć!”

— Ale co z tego dla mnie wynika? — zapytał, pozwalając, by gorycz zabrzmiała w jego głosie. — Cały czas spędzony tutaj poświęciłem na uleczenie An'deshy, chociaż mogłem korzystać z innych okazji. Teraz on znalazł sobie nowe zainteresowania, a możliwości, które miałem zaraz po przyjeździe, są dla mnie niedostępne. Jeśli wrócę do Doliny, to tylko po to, by stwierdzić, że wszyscy podobni do mnie są już w związkach. Co mam robić? Gdzie szukać? On miał nasz wspólny czas, a teraz dostał wszystko, czego chciał! Czy za moją pracę i troskę nie zostanie mi nic oprócz kilku wspomnień?

Srebrny Lis zacisnął usta, potem uśmiechnął się.

— Muszę przyznać, że mnie dostałeś. Oddałeś siebie i swoje umiejętności, chociaż z łatwością mogłeś wrócić do swej Doliny lub do k'Leshya. Pracowałeś na rzecz ludzi i kraju, który nawet nie jest twój. Muszę ci szczerze powiedzieć, że wielu zazdrości ci pozycji i tego, jak żyjesz, ale to ci nie pomoże poczuć się lepiej — westchnął. — Nie mam dla ciebie recepty ani nawet pociechy. Twoje możliwości dodatkowo ogranicza to, że jesteś shay'a'chern — obaj o tym wiemy.

— A nie jestem zboczeńcem, żeby szukać towarzystwa w przedszkolach, skoro ci w moim wieku już znaleźli partnerów — powiedział kwaśno Śpiew Ognia.

Dopiero teraz Srebrny Lis dotknął go — ale tylko położył dłoń na jego kolanie.

— Śpiewie Ognia, mój piękny ptaku, bardzo cię lubię. Oferuję ci każdą pociechę — fizyczną i każdą inną, jaką chcesz i możesz przyjąć — jako przyjaciel, niejako kestra'chern. Wiem, że to nie pomoże. . .

— Ale i nie zaszkodzi. — Śpiew Ognia zdołał uśmiechnąć się słabo. — Sam będę musiał znaleźć rozwiązanie.

„Chyba najlepiej będzie na tym poprzestać.”

Pokój gościnny w apartamencie Karala był cieplejszy i cichszy od wspólnej izby w „Róży Wiatrów” — w dodatku nie trzeba było brnąć przez śnieg, żeby się do niego dostać. Na kominku płonął wesoły ogień, a na rusztach wisiały imbryk z gorącą herbatą i drugi z wrzątkiem. Karal stał za plecami Natoli pochłoniętej pisaniem liczb i obserwował ją uważnie; nie rozumiał nic z tego, co widział, ale to nie miało żadnego znaczenia. Za nimi na sofie leżał An'desha, który udawał, że czyta książkę. Karal wiedział, że udaje, gdyż odkąd usiadł, nie przewrócił ani jednej strony.

— Do licha ciężkiego! — zawołała Natoli, wstając nagle i w ataku złości rzucając za siebie kartki z obliczeniami. — Za każdym razem wychodzi inny wynik!

— Napij się herbaty — poradził Karal, zanim ostatnie strony upadły na podłogę. Wziął najbliższy imbryk i nalał herbaty do świeżego kubka, dodając szczyrę śmietany i miodu. Przyniósł i podał Natoli z uśmiechem, miał nadzieję, zachęcającym. — Wiem, że chciałaś sama spróbować, ale wszyscy inni doszli do tego samego wniosku. Nawet mistrzowie tacy, jak mistrz Levy. Niech mnie Słońce spali, oni nawet nie mogą dojść do porozumienia co do tego, kiedy osłony wreszcie osłabną na tyle, by przestały nas chronić! Twierdzą, że to zbyt skomplikowane wyliczenia dla jakiegokolwiek człowieka.

Skrzywiła się, kiedy brała od niego gorący kubek.

— W porządku. Florian śledził moje obliczenia twoimi oczami, a poprzez niego reszta Towarzyszy zainteresowanych matematyką. Co oni mają do powiedzenia?

Powiedz jej to samo, co mówiłem za trzecim razem, kiedy skończyła obliczenia — doradził Florian. — *Odpowiedź się nie zmieniła.*

— Według Floriana, z tego, co wiedzą Towarzysze, rozwiązanie musi obejmować Hardorn, ponieważ trzeba będzie ustawić coś innego w miejsce obecnej osłony. Niektórzy uważają, że potrzebny będzie rodzaj nowego falochronu, inni, że coś nowego, ale w miarę, jak burze przybierają na sile, musimy przesuwac osłony na zewnątrz. Inni jeszcze mają przeczucie, ale zbyt niejasne jak na Widzenie, że Hardorn zostanie włączony w kolejne rozwiązanie — było to zaskakujące zakończenie, jak na Towarzysze, ale dla Karala tym lepsze.

Natoli poszła krok dalej.

— Możemy właściwie porozmawiać o tym, o czym przez ostatni tydzień tylko napomykaliśmy. Hardorn i cesarscy. Potrzebujemy ich i wiemy o tym, więc zastanówmy się, w jaki sposób możemy się z nimi skontaktować, nie narażając nikogo na kłopoty ani na śmierć.

Synowi Słońca to się nie spodoba, Karalu — ostrzegł Altra, machając nerwowo ogonem i wstając z legowiska na sofie, by podejść do niego.

— A tobie? — zapytał Karal, patrząc w dół, w jego intensywnie niebieskie oczy.

Teoretycznie nie mam nic przeciwko. Nie podoba mi się sprzymierzenie z ludźmi, którzy napadli na mojego podopiecznego, ale skoro w grę wchodzi wyższe dobro, nie sprzeciwiam się. Jednak Solaris nie spodoba się takie praktyczne podejście.

Cóż, reakcja Solaris na pewno będzie silniejsza niż tylko niechęć. Ale sądząc z wyrazu twarzy An'deshy, nowina przypadła mu do gustu.

— A ty co myślisz? — zapytał przyjaciela.

An'desha usiadł.

— Śnieg zasypał ich po dachy, w zawiejach grasują potwory, ludzie cierpią głód i chłód. Nawet Kerowyn nie nalega na żadną konfrontację z cesarskimi — powiedział wymijająco. — Słyszałeś ją dziś po południu: „Niech zajmie się nimi

generał zima”. Nawet Jarim się z nią zgodził. Na pewno według niej generał zima ich wybije. Kłopot w tym, że przy okazji zginie wielu niewinnych ludzi.

— Zatem uważasz... — podpowiedział Karal.

An'desha rozłożył ręce.

— Czy mieszkańcy Hardornu i cesarscy, nawet winni, nie zostali już wystarczająco ukarani?

Karal usiadł przy biurku opuszczonym przez Natoli i oparł brodę na dłoniach.

— Wiem, o co ci chodzi, i wiem, o co chodzi Florianowi, ale mam jeszcze inny kłopot. Chcę wiedzieć, co zrobią cesarscy, jeżeli zostaną doprowadzeni do ostateczności i poczują, że nie mają nic do stracenia? Kolejne zabójstwa? Na koronę Vkandisa, jaki lepszy moment mogliby wybrać niż teraz, w czasie wizyty Solaris? Jak można ich powstrzymać przed atakiem i jednocześnie zapobiec temu, by wykorzystali okazję do nawiązania rozmów tylko po to, by nas zaatakować?

— Oczywiście otaczając ich naszymi osłonami — powiedziała stanowczo Natoli, siadając obok An'desha na miejscu, z którego zszedł Altra. — Jeśli będą chronieni przed magicznymi burzami, nie będą doprowadzeni do ostateczności. Co więcej, według mnie musimy współpracować z ich magami, jak i z magami k'Leshya. I tak wszyscy mistrzowie uważają, że potrzebujemy nowych obserwacji i nowego podejścia do magii — być może właśnie tego nam brakuje. Ostatnim razem to podziałało.

— Wszystko pięknie — zauważył Karal — ale aby skłonić cesarskich do współpracy, musimy znaleźć kogoś znającego całą sytuację, kogoś, kto będzie myślał, a nie tylko reagował, kiedy się do niego zbliżymy. Musiałby to być ktoś o randze na tyle wysokiej, byśmy mogli negocjować z dowództwem. Zatem kogo szukamy i jak go znajdziemy? Nie mogę po prostu wysłać posłańca! — prychnął na samą myśl. — Nie mogę nikogo nigdzie wysłać! Nie mam wystarczającej władzy, bo uczynić coś takiego!

Może na początek spróbujemy magicznej obserwacji i poszukamy kogoś rozsądnego! — zaproponował nieśmiało Florian.

— Florian mówi, że powinniśmy przeszukać magicznie teren, by znaleźć kogoś, kto nas wysłucha. Jak mamy to zrobić, nie znając celu i na taką odległość, nie mam pojęcia — przekazał Karal, usiłując nie pokazać swojej niechęci do tego pomysłu. Cechy: „władza i zdrowy rozsądek” to trochę za mało, by oprzeć na nich zaklęcie poszukujące.

— Cóż — powiedział powoli An'desha. — Co do odległości, istnieje doskonała metoda na wzmocnienie zaklęcia poszukującego tak, by ją pokonało — można użyć valdemarskiego kamienia-serca. Musiałbym poprosić o pozwolenie, ale jeśli zwrócę się do odpowiedniej osoby, chyba je dostanę. Jestem adeptem, mimo że brak mi doświadczenia. Chyba zdołam rzucić proste zaklęcie poszukujące.

Powiedz mu, żeby poprosił Talię o to, by zapytała Elspeth. Wtedy na pewno dostanie pozwolenie — odezwał się z przekonaniem Florian. — *I Rolan, i Gwena*

zgadzają się.

Karal przekazał tę informację.

— Zamierzasz użyć zaklęcia, które pozwala widzieć i słyszeć wszystkim, którzy są obok? — zapytał z nadzieją. Zawsze chciał to zobaczyć, ale mistrz Ulrich nigdy nie używał takiego zaklęcia.

— Tylko takie znam — odrzekł z żalem An'desha. — Zużywa o wiele więcej energii niż to, które działa jak daleko-widzenie, ale nie ma wyboru, skoro nic więcej nie umiem.

— Wolałabym je, nawet gdybyś miał wybór — odrzekła Natoli, zakładając włosy za uszy. — Kiedy inni też będą obserwować, dostrzegą lub usłyszą to, co może umknąć twojej uwadze.

An'desha uśmiechnął się.

— Racja. No dobrze, wiemy już, skąd weźmiemy moc.

Co do celu, dlaczego nie wykorzystacie herbu Imperium! — zapytał nieoczekiwanie Altra. — *Znajdziecie go najpewniej w kwaterze kogoś o wysokiej pozycji — wiszący na ścianie albo na dokumentach. Od szpiegów Kerowyn wiemy, że zwykli żołnierze pozdejmowali go z mundurów.*

— Wykorzystanie herbu Imperium jako celu — to proponuje Altra. Możesz to zrobić? — zapytał Karal. — Wtedy wystarczy obserwować ludzi i sprawdzić, czy to ci właściwi.

An'desha zastanawiał się przez chwilę.

— Dlaczego nie. Mając takie dane, możemy zdecydować, jak nawiążemy kontakt z naszym wybranym, kiedy już go znajdziemy.

Poszukam Talii. — Florian na chwilę „znikł” z umysłu Karala, który właśnie odkrył, jak dobrze jest móc wykorzystać różnorodne zdolności Towarzyszy. Inaczej musieliby szukać jej po całym pałacu; poprzez Towarzysza Talii, Rolana, mogli poprosić ją o przyście do apartamentu Karala. Jednakże nie mogli przekazać jej szczegółów, gdyż Talia, w przeciwieństwie do większości heroldów, nie posiadała daru myślmowy. Rolan mógł jedynie przesłać jej ich obraz oraz poczucie pilności sprawy.

Kiedy w końcu stanęła na progu komnaty Karala, wyglądała na nieco rozdrażnioną, ale i zaciekawioną.

— Mam nadzieję, że jest to ważniejsze od tego, co robiłam — powiedziała bez wstępów, kiedy Karal ją wpuścił.

— Tak myślę, promieniu Słońca — powiedział Karal, nazywając ją tytułem przysługującym kapłance. Podniosła brwi, ale usiadła i pozwoliła poczęstować się herbatą. — Natoli wyjaśni ci, co zamierzamy, mam nadzieję, że nie przekroczyliśmy naszych uprawnień.

„Ulrich twierdził, że łatwiej uzyskać wybaczenie niż pozwolenie. Zobaczymy, czy miał rację.”

Natoli wyjaśniła nie tylko wnioski, do jakich doszli, ale i rozumowanie, jakie do nich doprowadziło. Talia słuchała cierpliwie, kiwając od czasu do czasu głową, aż Natoli skończyła.

— Doszliście bardzo blisko do przekroczenia uprawnień — powiedziała. — Jednak udało się wam zatrzymać we właściwym miejscu. Zapytam Elspeth i, szczerze mówiąc, sądzę, że zgodzi się z wami. Od czasu misji w Hardornie stała się o wiele bardziej pragmatyczna, niż ją o to posądzałam.

— Zapewne to podróż przez Hardorn, to że widziała, jak ludzie cierpią, i wie, że teraz jest gorzej — podpowiedział An'desha. — Nie jest już kandydatką do tronu, ale nie może usunąć poczucia odpowiedzialności, które w niej zaszczylił.

Talia uśmiechnęła się lekko.

— Mam nadzieję. Cóż, zobaczę, co można zrobić. Mogę zaproponować wam miejsce do przeprowadzenia poszukiwań. Bezpośrednio nad kamieniem-sercem znajduje się komnata, dokładnie taka sama, również mająca kryształ wtopiony w stół. Możecie z niej skorzystać; jest doskonale osłonięta. Kiedyś używaliśmy jej do dalekowidzenia. — Postawiła kubek na stole i wstała. — Zaczynam się zastanawiać, czy królowa nie powinna uznać was za pracujących tak samo jak reszta; porozmawiam z nią o tym. Jesteście dorośli, odpowiedzialni, macie pomysły, jeśli nie gotowe rozwiązania. Powinniśmy dać wam tyle samodzielności, byście mogli je wypróbować bez ciągłego przychodzenia do kogoś z nas.

Ostatnie słowa sprawiły, że Karal stał z szeroko otwartymi ustami.

— Nie spodziewaj się za wiele — ostrzegła z cieniem uśmiechu. — Nie będzie to wielka władza. Ale i tak macie jej dość sporo. Ty i An'desha jesteście tu cudzoziemcami i nie musicie odpowiadać za swoje czyny przed żadną władzą, dopóki nie złamiecie prawa — dopiła resztę herbaty. — Jeśli mam zastać Elspeth samą, muszę iść. Prześlę wam wiadomość przez Rolana i Floriana.

Podeszła do drzwi, które Karal znów przed nią otworzył, ale zanim wyszła, odwróciła się i obrzuciła go szczególnym, baczny spojrzeniem.

— Jesteś dla mnie zagadką, młody kapłanie — powiedziała w końcu. — Jesteś jedyną osobą, jaką znam, do której przemawia Towarzysz, ale która nie jest wybrana. Chciałabym wiedzieć, dlaczego.

— Ja też, promieniu Słońca — powiedział żarliwie Karal. — Spałbym lepiej, gdybym wiedział.

W komnacie służącej do daleko-widzenia panowała cisza jak w jaskini. Nawet hałas z zewnątrz dobiegał tak słabo, że właściwie niknął. An'desha usadowił się na siedzeniu, złagodzonej miękką poduszką przyniesioną przez zawsze praktyczną Natoli, która nie widziała powodu, dla jakiego miałiby zdrętwieć od twardych ławek, skoro po pałacowych komnatkach poniewiera się mnóstwo poduszek. Inni zajęli miejsca w równych odstępach wokół stołu — z wyjątkiem Altry siedzącego

na stole i liżącego futro — i czekali, aż Shin'a'in rozpocznie zakłęcie.

Kilka pierwszych prób skończyło się jedynie na barakach i magazynach, gdyż cesarscy mogli tam schować herby zdjęte z mundurów, ale wciąż pozostawały im sztandary bojowe wiszące w widocznych miejscach w kwaterach oraz znak Imperium wypalony na ściankach skrzyń. Jedna czy dwie próby doprowadziły ich nawet do malowideł ściennych zawierających herb. Problem z zakłęciem polegał na tym, że kiedy już ustawiło się je na określony cel, nie można było przesunąć punktu obserwacji bardziej niż o kilka stóp bez konieczności zaczynania wszystkiego od nowa — i nie można było tego robić więcej niż dwa lub trzy razy dziennie. Zakłęcie czerpało większość energii z kamienia-serca, ale wciąż wymagało energii An'desha potrzebnej do kontrolowania go.

— Wiecie, mam pomysł. Możemy spróbować herbu w formie pieczęci — powiedziała Natoli po chwili namysłu. — To Przynajmniej zaprowadzi nas w miejsce, w którym przebywa jakiś urzędnik; wtedy możesz przesunąć cel na niego i od nowa rzucić zakłęcie. Wcześniej czy później będzie musiał iść do kogoś o większej władzy.

An'desha uczynił bezradny gest.

— Pomysł dobry jak każdy inny, i tak nie uczyniliśmy zbyt dużych postępów.

— Nie powiedziałbym tak — sprzeciwił się Karal w imieniu swoim i Altry. — Odnalazłeś Shonar i armię Imperium, a przede wszystkim nie dałeś się złapać na coś w samym Imperium. To niezłe, jeśli się nie ma określonego celu.

An'desha uśmiechnął się słabo i rozmasował dla rozgrzewki dłoń, zanim położył je płasko na stole przed sobą. Wpatrzył się w punkt trochę powyżej kryształowej kuli na środku stołu i sięgnął po ogromną moc kipiącą poniżej, wcieloną w kamień-serce Valdemaru.

Nie można opisać jego odczuć w chwili, kiedy czerpał tę niewiarygodną moc — siłę jednocześnie uporządkowaną i chaotyczną, posiadającą własną, bardzo pierwotną świadomość. Czy inne kamienie-serca przypominały ten? Jeśli tak, nic dziwnego, że Zmora Sokołów pragnął nauczyć się sekretu ich tworzenia! Ogniśka mocy były potężne, nawet śmiertelnie potężne, ale ten kamień-serce stokroć przerastał mocą największe ognisko energii, jakie An'desha kiedykolwiek spotkał. Włączanie się do niego przypominało przemierzanie Księżycowych Ścieżek — znalazł się „gdzie indziej”; jednak to „gdzieś” było krystaliczną strukturą pulsującą od uporządkowanej mocy. Kiedy już tam trafił, posiadał moc, by dokonać niemal wszystkiego, co chciał, pod warunkiem, że potrafi ją kontrolować.

Kontrola — to był warunek powodzenia, dlatego pochłaniała ona tak wiele jego własnej energii.

„Gdybym dosiadł nie ujeżdżonego rumaka bojowego, który mnie polubił i pozwolił wsiąść na swój grzbiet, wrażenie byłoby podobne. Wydaje się, jakbym w każdej chwili mógł być zrzucony i zmiażdżony. Uporządkowana moc nie zna czy moc oswojona.”

Kiedy ujął moc w swoje ręce, zatopił wzrok w samej kuli, ustalając ścieżki i wzory wyryte jedynie w niewidzialnym ogniu magii, który miał na nich płonąć. Wiedział, kiedy pomyślnie zakończył ten etap: pierścień mocy połączył się w całość, a cała konstrukcja stała pusta, czekając na cel.

Była to czysto mentalna część zaklęcia; An'desha skoncentrował się na herbie Imperium w postaci woskowego odcisku — pieczęci, jaką często widywał na ważnych dokumentach. „Tego właśnie szukasz” — powiedział zakłęciu, przekazując mu obraz. „Idź, znajdź to i przynieś obraz otoczenia, w którym się znajduje”.

Odległość nie miała znaczenia dla tego zaklęcia, jeśli miało ono wystarczającą moc, by sięgnąć tam, dokąd je wysłano. An'desha poczuł, że zakłęcie usiłuje oderwać się od niego — jak pies myśliwski, który zwietrzył zwierzynę, ciągnie za smycz, by pobiec za tropem.

Puścił je i natychmiast poczuł moc płynącą z kamienia-serca poprzez maga do zaklęcia. Teraz wszystko, co musiał robić, to kontrolować przepływ energii, by utrzymał się na stałym poziomie, oraz usiąść wygodnie i wraz z innymi obserwować kryształ.

W sercu kryształu uformował się czerwony obłok mgły — przezroczysty, ale trójwymiarowy. Mogło to być odbicie czegokolwiek na stole albo ubrania kogoś z obecnych, lecz dojrzeli go wszyscy, gdyż wszyscy jednocześnie pochylili się nad blatem.

Czerwona mgielka przybrała wyraźniejszy kształt i niewyraźny obraz zaczął nabierać ostrości. Była to czerwona woskowa pieczęć z wyobrażonym pośrodku zbyt dobrze znanym herbem Wschodniego Imperium. Obraz nie pokazał niczego więcej, gdyż zakłęcie zostało rzucone tylko po to; nie pokazywało nawet dokumentu, na jakim znajdowała się pieczęć.

To nawet dobrze, gdyż teraz, kiedy An'desha znalazł cel, mógł zwiększyć parametry zaklęcia.

Posiał mu więcej mocy z kamienia-serca i splótł je w nowe wzory, rozkazujące zakłęciu powiększyć kąt widzenia i otworzyć „uszy”. Wokół kryształu An'desha ułożył kolejne linie, wplatając je pomiędzy stare nitki mocy, aż energie ponownie połączyły się w całość.

Obraz zmienił się: plama czerwonego wosku zaczęła maleć aż do wielkości główki od szpilki, jakby odpływała na większą odległość. W końcu stała się czerwonym punktem na żółtawo-brązowej kartce pergaminu. Dokument leżał na biurku, na stosie innych podobnych dokumentów. Za biurkiem siedział mężczyzna w poważnej tunice o surowym kroju i spodniach w prostym, praktycznym wojskowym stylu — cały strój miał znajomy wygląd cesarskiego munduru. Biurko stanowiło jedyne meblowanie maleńkiej komnaty oświetlonej jedną latarnią zawieszoną na łańcuchu u sufitu. Błat biurka zarzucony był papierami, kałamarzami i innymi przedmiotami używanymi przez urzędnika.

— Tak — syknął Karal pod nosem. An'desha nie trzymał się składaniem sobie

gratulacji — ta część manipulacji zaklęciem wymagała zbyt wielkiego skupienia. Powoli obrócił „wizjer”, skierował go w dół, w górę, aż w końcu jego „spojrzenie” zatrzymało się na biurku, obserwując pracującego pilnie urzędnika.

Oprócz skrzypienia pióra na pergaminie nie było słychać żadnego innego dźwięku. Czasami mężczyzna przerywał, by wierzchem dłoni potrząsnąć nos. An'desha wpatrywał się uważnie w jego zaskakująco młodą twarz wyrażającą gorliwość i wielkie skupienie na wykonywanej właśnie pracy. Mimo że młoda, twarz ta nie wyróżniała się specjalnie spośród innych — raczej uosabiała pewien typ. Mężczyzna miał ciemne, krótko ścięte włosy; z ich bardzo precyzyjnego ułożenia An'desha wywnioskował, że była to fryzura obowiązująca w armii. Brązowe oczy nie były ani duże, ani małe, ani zapadnięte, ani wylupiaсте, ani zbyt blisko, ani zbyt daleko osadzone. Czoło nie za wąskie, nie za szerokie, kości policzkowe średnio wystające, nos zupełnie przeciętnego kształtu i długości. Usta ani wąskie, ani szerokie, podbródek ani zbyt spiczasty, ani kwadratowy, ani wystający, ani zaokrąglony. Bardzo trudno byłoby rozpoznać tego człowieka w tłumie innych ludzi. Mężczyzna miał jednak niewielką bliznę przecinającą lewą brew i drugą na zupełnie przeciętnym podbródku. An'desha skupił się na nich, by wbić sobie w pamięć twarz mężczyzny.

Kiedy upewnił się, że zapamiętał urzędnika tak dobrze, jak mógł, zerwał zaklęcie, w jednym błysku mocy uwalniając energię. Na chwilę opadł na stół, czując, jak jego własna energia rozprasza się razem z resztkami zaklęcia.

Natoli i Karal czekali na tę chwilę; natychmiast przyskoczyli do niego, Natoli z kubkiem gorącej herbaty, Karal z serem i chlebem. Chwila słabości nie trwała długo, An'desha mógł przecież zaczerpnąć energii z kamienia-serca, więc wkrótce znów siedział i odyskiwał siły fizyczne, podczas gdy energia magiczna powoli rosła do poziomu początkowego.

— Wydaje mi się, że znaleźliśmy urzędnika Imperium o randze na tyle wysokiej, by miał dostęp do ważnych dokumentów — powiedział Karal, a An'desha podniósł brwi i ugryzł kawałek sera.

— Mam nadzieję — odrzekł mag, który teraz zaczął w to wątpić. — Choć nie jestem tego pewien, sądząc z wyglądu jego biura. Czy ktokolwiek o dość wysokiej pozycji zajmowałby taką ciasną kłitkę?

— Oczywiście — roześmiał się Karal z pewnością kogoś, kto sam jest urzędnikiem. — Po pierwsze, ów człowiek nie miał na sobie ciepłego płaszcza ani nawet szczególnie grubej tuniki — zatem gdziekolwiek się znajduje, jest to dobrze ogrzane pomieszczenie. Wiemy, że Shonar nie posiadał wielkiego księcia, więc pałac, który zajęli cesarscy, nie mógł być zbyt duży — a ich komendant zgromadził tam wszystkich swoich oficerów. Ci, którzy się zmieścili, mieszkają w pałacu, nie w barakach. Są tam zapewne również magowie. To duża liczba ludzi jak na małą rezydencję. Każdy urzędnik, który ma własne biuro, w dodatku ogrzewane, musi zajmować całkiem wysoką pozycję.

An'desha skinął głową, to rozumowanie miało sens.

— Cóż, mogę spróbować znów go poszukać, jeśli chcecie — zaproponował.

— Jeśli zdołam, spróbuję nałożyć na niego magiczną więź, wtedy następnym razem będzie łatwiej go odnaleźć.

Natoli kiwnęła głową, ale westchnęła przy tym.

— Chyba będziemy musieli długo go obserwować, zanim pójdzie do kogoś wyższego rangą.

An'desha wzruszył ramionami.

— Nic na to nie poradzę. Wolę obserwować jego niż żołnierzy w barakach, jak grają w kości albo myją podłogi.

Natoli roześmiała się, gdyż to ona narzekała na grających w kości i myjących podłogi.

— Nie wiem nawet, na kogo stawiać! — protestowała wówczas. — Wtedy byłoby to przynajmniej bardziej interesujące!

An'desha ponownie rzucił zaklęcie — tym razem dając mu za cel twarz urzędnika. Jeszcze raz moc odszukała znajome ścieżki, przepłynęła przez niego, a w środku kryształu ukazał się obraz.

Tym razem An'desha ustawił punkt widzenia nieco powyżej ramienia mężczyzny — patrzyli więc na to, co urzędnik robił.

— Kolejna lekcja imperialnego pisania? — zapytał sucho Karal.

An'desha nie trzymał się odpowiedzią, ponieważ to Karal zaproponował, by wykorzystali obserwacje właśnie w tym celu. Od jednego z agentów Kerowyn nauczyli się, ile mogli, a teraz w miarę możliwości starali się pogłębiać wiedzę. Jak było do przewidzenia, Karal okazał się najlepszy w nauce języka, natomiast Natoli i An'desha byli na mniej więcej tym samym poziomie zaawansowania.

Trudniej było skupić się na zaklęciu i czytać niż słuchać. An'desha wkrótce dał za wygraną.

— Co tam jest napisane? — zapytał Karala.

Karsyta oblizał wargi i zmrużył oczy, wpatrując się w kryształ.

— Coś o śniegu — a, to raport o ostatniej zamieci, jaką przeżyli. Chciałbym znać ich miary, wiedziałbym, jak głęboki jest u nich śnieg. W każdym razie na tyle głęboki, że ten mężczyzna pisze rozkaz do komendantów baraków, by budowali ze śniegu łuki i wykopali tunele pomiędzy budynkami, tak by ludzie nie musieli sami się przekopywać przez zaspę.

An'desha gwizdnął.

— Brzmi dość ponuro.

— Mhm — Karal już zmienił temat. — Jeśli Kerowyn wciąż liczy na to, że generał zima doprowadzi do głodu, to się myli. Zapasów nie brakuje, mają nawet magazyn pełen mrożonego mięsa. O — mam imię człowieka, który dowodzi całą armią, to wielki książę Tremane. Słyszeliśmy już to imię.

Rzeczywiście słyszeli — zwykle z komplementem lub pochlebnym komentarzem. Armia Imperium miała dowódcę kompetentnego i cieszącego się popularnością, a to nie zdarzało się zbyt często.

— Nie mówmy nic Kerowyn, póki nie zrobimy postępów, dobrze? — poprosiła Natoli. — Nie chcę, żeby spróbowała czegoś, co może zdenerwować cesarskich. Wołę ich nie drażnić, póki Solaris bierze udział w spotkaniach Rady.

An'desha żywo pokiwał głową — Karal również.

— Solaris wciąż usiłuje sprawić, by traktowano mnie jako jej zaufanego przedstawiciela, ale wciąż jestem zbyt młody, by większość członków Rady uważała mnie za prawdziwego posła. Dopóki tak myślą, będzie musiała albo znaleźć kogoś, kto mnie zastąpi, albo sama chodzić na zebrania — westchnął. — Mam wrażenie, że ona lubi podróże. Może tak jest, w końcu od dawna nie opuszczała Wielkiej Świątyni, więc jest to dla niej miła odmiana.

Obserwowali mężczyznę piszącego kolejne kopie tych samych rozkazów, aż Natoli i Karalowi zaczęły ze znużenia opadać powieki, a An'desha poczuł, że ze zmęczenia traci kontrolę nad zaklęciem. W końcu pozwolił, by obraz rozmył się i zdjął zaklęcie.

— Na razie to wszystko — powiedział. — Musimy spróbować jutro.

Następnego dnia obserwacja, którą przeprowadzili pomiędzy innymi obowiązkami, była równie nudna i zniechęcająca jak poprzednia. Jednak dowiedzieli się, że kopiowane przez urzędnika rozkazy pochodziły prosto od księcia Tremane'a i, w opinii An'deshy, wykazywały ten właśnie rozsądek, którego szukali w osobie, z jaką chcieli nawiązać kontakt. Czyżby mogli mieć nadzieję, iż księżę Tremane okaże się tą właśnie osobą?

W końcu, późnym wieczorem trzeciego dnia czujnych obserwacji, urzędnika wezwano poza biuro. Szli za nim korytarzami i schodami, dopóki nie zatrzymało go dwóch dobrze uzbrojonych strażników przed drzwiami. An'desha wstrzymał oddech; mężczyzna podał swoje nazwisko i strażnicy pozwoliły mu przejść. Jak się wydawało, nie było żadnych zabezpieczeń przeciwko obserwacji przeprowadzanej w taki sposób, jak oni to czynili.

Wreszcie mieli ujrzeć samego nieprzyjaciela, sprawcę tylu ich kłopotów, wielkiego księcia Tremane. . .

„To on? To jest Nieprzyjaciel?!”

— To nie może być Tremane — powiedziała z niedowierzaniem zaskoczona Natoli.

— Nie. To jakiś inny urzędnik.

Jednak ich urzędnik zaszalutował niepozornemu mężczyźnie za biurkiem i zwrócił się do niego słowami „panie komendancie Tremane”, nie było więc wątpliwości. Niezależnie od tego, jak bardzo przypominał swoich własnych urzędników, był to wielki księżę Tremane.

— Jak może to być on? — zastanawiał się głośno Karal. — Oczekiwałem

potwora w rodzaju Zmory Sokołów albo olbrzyma w zbroi. A on wygląda jak... jak...

— Jak mały biurokrata — pomogła mu Natoli. — Jak człowiek, który robi zamówienia, który pilnuje, żebyś nigdy nie dostał tego, czego potrzebujesz, i który chce wiedzieć, dlaczego zużyłeś kilkanaście piór w ciągu miesiąca.

— Właśnie! — odparł Karal. — Jak ktoś, kto tak wygląda, mógł zrobić to, co zrobił?

— Właśnie dlatego — odpowiedział An'desha powoli. — Ponieważ dla urzędnika ludzie, którzy nie znajdują się bezpośrednio wokół niego, są tylko liczbami. Nie są ludźmi i nieważne, że właśnie skazałeś ich na śmierć — nie znasz ich i nigdy nie poznasz, a interesuje cię tylko osiągnięcie celu. Najgorszymi ludźmi na świecie mogą być właśnie tacy urzędnicy, ponieważ wszystko jest tylko liczbą dla tych, którzy nie rozważają skutków swoich czynów, którzy koncentrują się tylko na dodawaniu kolejnych numerów — An'desha wzdrygnął się, kiedy wróciły do niego pewne stare, bardzo stare wspomnienia. — Nie liczą się żołnierze, którzy zginą — to tylko „dopuszczalne straty”. Nie liczą się spalone zbiory — oni tylko „pobawiają nieprzyjaciela zasobów”. Nie liczą się głodujący i bezdomni ludzie — to są „nie płacący podatków”. Jedyne, co się liczy, to otrzymanie właściwej sumy, nieważne, jakim kosztem.

Karal i Natoli spojrzeli na niego z dziwną ciekawością.

— Skąd wiesz takie rzeczy? — zapytał Karal ostrożnie.

— Ma'ar — odparł krótko An'desha. — Ma'ar myślał w taki sposób. Jako czeladnik był również drobnym urzędnikiem swego mistrza i wówczas nauczył się tego sposobu myślenia. Co gorsze, nauczył się, w jaki sposób można zmusić innych, by tak myśleli — jak zredukować nieprzyjaciela do obojętnych, anonimowych cyfr — potrząsnął głową, odpędzając wspomnienia. — Cóż, w taki sposób Tremane mógł wydawać często okrutne rozkazy — ale nie oznacza to, że tak robił. Nie mógł do końca myśleć jak Ma'ar, gdyż nie byłby wówczas tak lubianym przywódcą. Przynajmniej mam taką nadzieję — dajcie mi trochę czasu, żeby mu się przyjrzeć i przesunąć zakłęcie.

Urzędnik był absolutnie przeciętny, ale Tremane nie. Na pewno nie był przy stojny i nie wyglądał na przywódcę — takiego, jak to sobie wyobrażał An'desha. Ale jego twarz można było zapamiętać bez trudu i bez szukania znaków szczególnych.

Kiedy tylko urzędnik został odesłany, An'desha poczuł, że zapamiętał twarz komendanta i zerwał zakłęcie.

W momencie, kiedy to zrobił, ogarnęło go nagle tak wielkie wyczerpanie, że na chwilę stracił świadomość — doszedł do siebie akurat wtedy, kiedy padał twarzą na blat stołu.

Upadłby na pewno, gdyby Altra nie skoczył poprzez kryształową kulę i nie wsunął się pomiędzy twarz maga a marmur stołu. An'desha miał usta pełne sierści,

ale przynajmniej nie rozbił sobie czoła.

Au! — jęknął ognisty kot, kiedy upadł na niego An'desha. Chwilę później był przy nim Karal, podniósł go i zaraz przygiął mu głowę do kolan. Po kilku sekundach zawroty zaczęły ustępować. W końcu An'desha mógł znów usiąść.

— Dzię... kuje, Altra — powiedział, kiedy ognisty kot wpatrywał się w niego z prawdziwą troską. — Sam doprowadziłem się niemal do omdlenia!

Nie ma za co — odpowiedział kot w jego umyśle i poparł swoje słowa, liżąc go zamasyżycie szorstkim, mokrym językiem po nosie. — *Nie cierpię sprzątać krwi, a gdybyś uderzył w stół, rozbiłbyś sobie czoło.*

An'desha wziął obowiązkowy kubek herbaty od Natoli i usiadł, popijając małymi łykami; jednocześnie ocenił swój stan i usiłował zdecydować, co dalej.

— Chcę spróbować jeszcze raz, póki mam Tremane'a świeżo w pamięci — powiedział po chwili.

Natoli zmarszczyła czoło.

— Czy to rozsądne? — zapytała surowo.

— Nie — przyznał. — Ale konieczne. Oboje możecie mnie złapać, jeśli znów stracę przytomność. Chcę dostać Tremane'a, zanim uda mu się wyslizgnąć z mojej pamięci. Kiedy nałożę na niego magiczne połączenie, nie będzie mi trudno znów do niego trafić.

Karal spojrzał mu uważnie w twarz.

— Myślisz, że to Tremane może być człowiekiem, którego szukamy, prawda? An'desha zawahał się na moment przed odpowiedzią.

— Myślę, że jeśli nawet to nie on, to może nas zaprowadzić do tego, o kogo nam chodzi — powiedział po chwili zastanowienia. — Jestem w rozterce. Z wielu powodów chciałbym wierzyć, że to on, dlatego wolę nie ufać jedynie mojemu sądowi. Po pierwsze — byłoby o wiele łatwiej, gdybyśmy mogli nawiązać kontakt z najwyższym dowódcą. Jednak mam wrażenie, że jeśli teraz nie uda mi się z nim połączyć, możemy go stracić.

— Dobrze — odezwał się Karal po długiej przerwie. — Jesteś dorosły, masz prawo decydować, co zrobisz. Na pewno wiesz, co cię czeka, jeśli wyczerpiesz swoje siły.

— Głównie piekielny ból głowy — odrzekł szczerze An'desha. — To, co robię, nie jest aż tak niebezpieczne.

Nieco naciągnął prawdę — a raczej nie powiedział całej. „To nie jest niebezpieczne, o ile Tremane nie posiada osłon przeciwko magicznej obserwacji, takiej jak moja.” Była to jedyna rzecz, która go niepokoiła. Może zasłabnięcie zostało spowodowane otarciem się o takie osłony. Gdyby ich dotknął...

Nie wiedział. Nie byłoby to pewnie śmiertelne, nie po uszkodzeniach, jakie wszelkie osłony poniosły wskutek magicznych burz. Ale na pewno nie byłoby przyjemne.

Z drugiej strony, jeśli chodziło o magię, nauczył się już ufać swojej intuicji — wiedział bowiem dobrze, iż w tym wypadku oznaczała ona skutek podświadomej analizy nagromadzonych przez długi czas wspomnień, do większości których nie miał dostępu bez dużego wysiłku.

Intuicja mówiła mu, że lepiej jak najszybciej osadzić połączenie. „Może to nie ma nic wspólnego z Tremane’em — może to z powodu magicznych burz. Połączenia chyba wytrzymują burze, ale jeżeli nie będę miał ich dobrze osadzonych, mogę mieć kłopoty z rzucaniem zaklęcia poszukującego poza naszymi osłonami.”

Po każdej magicznej burzy ścieżki, którymi biegła magiczna energia, bywały zaburzone i ponowne ich uporządkowanie wymagało czasu. Może dlatego, że był Shin’a’in, widział jasno powód: jednym ze skutków burz było zmycie wszystkiego przez nadciągającą moc — tak, jak fala powodziowa zmywa wszystko, na co się natknie. I — jak w czasie powodzi — obszar po ustąpieniu wody wygląda inaczej, a wszelkie drogi i znaki znikają. Trzeba je odbudować.

Przynajmniej tak to dla niego wyglądało. Usiłował wytłumaczyć to mistrzowi Levy’emu, ale rzemieślnik jedynie potrząsnął głową.

— Gdybym mógł widzieć twoją magię, powiedziałbym ci, czy twoje porównanie wytrzyma próbę doświadczenia — przyznał szczerze. — Ale nie widzę nic, nie mogę niczego sprawdzić, więc wierzę ci na słowo. Kto wie? Może to da nam kolejną wskazówkę do rozwiązania naszych kłopotów.

„Nasze kłopoty. Kiedy używa tego zwrotu, wszystko wydaje się tak zwyczajne.”

Poprawił się na ławce, a gdy położył dłonie na stole, nie drżały wcale.

— Chyba muszę to zrobić — odezwał się cicho. — Wiem, że mogę, skoro mam przy sobie takich przyjaciół.

Ponownie rzucił zaklęcie i ustanowił jego cel — w kryształach Pojawiła się twarz i górna część ciała Tremane’a, ale był z nim ktoś inny, nie urzędnik. An’desha szybko powiększył pole widzenia. Była to zwyczajna kobieta w średnim wieku, ubrana skromnie, ale nie biednie; wyglądała na żonę rolnika. W armii Imperium nie było kobiet, a ta nie przypominała żadnej z tych, które włączają się za wojskiem.

Była w hysterii, załamywała ręce, a po twarzy spływały jej łzy. Mówiła tak szybko, że An’desha, nie najlepiej znający hardorneński, nie mógł zrozumieć, o co chodzi.

Tremane chyba też jej nie rozumiał. Po kilku pełnych zażenowania i nieśmiałych próbach uspokojenia jej dał za wygraną, podszedł do drzwi i zawołał coś, czego An’desha nie usłyszał.

Po chwili do komnaty wsunął się starszy mężczyzna ubrany w kilka warstw bogatych wełnianych szat.

— Sprawdź, czy zdołasz ją uspokoić na tyle, by powiedziała, dokąd mogły pójść jej dzieci, dobrze, Sejanos? — odezwał się cicho Tremane, kiedy obaj weszli w zasięg działania zaklęcia. — Nie mogę zrozumieć ani słowa z jej mamrotania,

a wszystko, co zrobię, wpędzają w jeszcze większą histerię.

Starzec zaśmiał się.

— Chłopcze — powiedział w języku Imperium. — Nigdy nie umiałeś postępować z kobietami. Zostaw ją mnie.

Rzeczywiście, po kilku chwilach stary mężczyzna zdołał ją uspokoić, chociaż mówił po hardorneńsku bardzo słabo i z silnym akcentem. Głaskał ją po ramieniu, wydawał uspokajające dźwięki i w końcu zdobył zrozumiałe informacje, udzielane pomiędzy kolejnymi atakami płaczu.

Najwidoczniej była to rzeczywiście żona rolnika, tak jak przypuszczał An'desha. Po tym, jak zobaczyła potwora powstałego po magicznej burzy, sprowadziła całą rodzinę do miasta na zimę. Dzieci, przyzwyczajone do swobody, teraz zamknięte w murach, nudziły się i postanowiły wyjść za miasto. Kobieta domyślała się, że próbowały dojść do domu, do gospodarstwa, gdzie niektóre zostawiły zabawki lub oswojone zwierzęta, o których zapomniano lub uznano, że w mieście będą sprawiać kłopot. Jednak nie wiedziała nic na pewno, gdyż dzieci wymknęły się po kryjomu. Błagała „lorda Tremane” o wysłanie ludzi, którzy znajdą dzieci, zanim zrobią to potwory.

„Lord Tremane” westchnął.

— Zabierz ją i nakarm, Sejanes. Wiem chyba, w jaki sposób jej dzieciaki wy dostały się na zewnątrz — zapewne z pastuszkami gęsi albo stad. Straże nie zwróciłyby uwagi na kilkoro dodatkowych dzieci. Powiedz jej, że zajmujemy się tym, wyśle ludzi, żeby przesłuchali dzieci pasące stada za murami, i przed zmrokiem powinniśmy znaleźć jej zguby.

Starzec zabrał szlochającą kobietę. Ku zdumieniu An'deshy Tremane przeszedł do następnego pomieszczenia i zaczął ubierać cieplejsze rzeczy, buty i broń.

— Chodźcie, chłopcy! — zawołał, z wysiłkiem wciągając buty na grube skarpety. — Znów mamy zgubione dzieci! Zbierzcie ochotników, jak zwykle spotkam się z nimi w zbrojowni.

— I dzięki stu małym bogom — wymruczał pod nosem, kiedy przytupywał, sprawdzając, czy buty dobrze leżą na stopach — tym razem nie jest to środek zamieci.

— Niewiarygodne — szepnął Karal, kiedy komendant armii Imperium, wielki książę Tremane, poszedł na dół, do zbrojowni, by osobiście zorganizować grupę poszukiwawczą. I to grupę poszukującą kilkorga wiejskich dzieci z Hardornu. — Solaris by tego nie zrobiła. Ani nawet Kerowyn.

— Może docenia każdą okazję, żeby wyjść na zewnątrz — odezwała się Natoli cynicznie, kiedy Tremane prowadził swoją grupę poprzez śnieżne korytarze. Było w nich dość jasno, gdyż światło przenikało przez dachy i napępniało je błękitną poświatą. Jednak można było czuć się w nich nieswojo.

Ale w tej właśnie chwili grupa wyszła za mury Shonaru w silne, jaskrawe światło słoneczne, na odkryte, zaśnieżone pustkowie. Jedyne ślady, jakie można

było dostrzec, zostawiły po sobie stada, o których wspomniano — tunele wycięte w śniegu, sięgające dorosłemu mężczyźnie do pasa, podczas gdy zasy osiągały miejscami wysokość większą niż człowiek. Poruszające się w oddali punkciki mogły być owymi stadami, żywiącymi się resztkami gałązek i tym, co zdołały znaleźć pod osłoną drzew. Zanim poszli za swoim przywódcą, żołnierze owinęli twarze szalikami, by ochronić się przed kąsającym mrozem.

— Powinien to zobaczyć Śpiew Ognia — zauważył An'desha. — Myśli, że nasza pogoda jest zła; ta jest okrutna!

Zanim zapomniał — i korzystając z okazji, że Tremane zajął się czymś innym — An'desha wyciągnął ostrożnie mentalną „rękę” i dotknął go, chcąc osadzić połączenie.

Natychmiast został odrzucony do tyłu przez reakcję osłon księcia. Energia odbiła się i przepłynęła przez niego w ciągu jednego uderzenia serca, przyprawiając każdy nerw o ból.

W następnej chwili było po wszystkim, chociaż Natoli i Karal znaleźli się przy nim, podtrzymując go z niepokojem. Głowa mu pulsowała; wiedział, że czeka go ból, o którym mówił wcześniej, ale nic więcej mu się nie stało.

— Wszystko w porządku — zapewnił, sprawdzając w kryształach, czy zaklęcie nie zostało zerwane.

Nie zostało, a co więcej, Tremane zdawał się nieświadomy faktu, że ktoś usiłował go dotknąć. Połączenie trzymało — teraz będzie mógł odnaleźć księcia niezależnie od szkód, jakie wyrządzi na Równinach następna magiczna burza.

— Czy jeszcze czegoś potrzebujemy? — zapytał. Natoli wzruszyła ramionami, a Karal potrząsnął głową. An'desha rozproszył zaklęcie i opadł w ramiona przyjaciół.

To było wszystko — i na pewno dość — na jeden dzień. An'desha pozwolił im odprowadzić się do swojej komnaty i robić wokół siebie zamieszanie; szczerze mówiąc, byli czarujący. Gdyby głowa nie bolała go tak mocno, pewnie bardzo by się tym cieszył.

Kolejne dwa dni przyniosły mnóstwo nowych wiadomości. Mieszkańcy Hardornu wydawali się przyjmować Tremane'a jako swego pana i byli bardzo zadowoleni z takiego położenia. Co do samego Tremane'a, troszczył się on o mieszkańców miasta w równym stopniu co o własnych podkomendnych. Uczestniczył w spotkaniach rady miejskiej, wojskowi uzdrowiciele pomagali mieszkańcom miasta, a ci z kolei uczestniczyli w wykańczaniu wnętrza koszarowych baraków. Stosunki nie układały się idealnie, pojawiały się wciąż konflikty, ale Shonar nie odrzucał cesarskich, a Tremane nie traktował go jak podbitego miasta.

Nawet Florian zauważył poprzez Karala, że wielki książę Tremane wydaje się posiadać cechy doskonałego przywódcy każdej armii.

An'desha nie miał wątpliwości, że to właśnie z dowódcą powinni nawiązać kontakt. Był rozsądny, wyraźnie reagował na potrzeby, nie tylko własne, ale i tych,

którzy uznali go za przywódcę. Był człowiekiem myślącym i słuchającym rozsądnych argumentów.

Istniał tylko jeden mały problem.

Obserwując i słuchając, dowiedzieli się jeszcze jednej rzeczy z ust samego Tremane'a. On i nikt inny wydał rozkaz zabójcy, który zamordował ukochanego mistrza Karala, karsyckiego kapłana Słońca, Ulricha.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Śpiew Ognia płonął nieuzasadnioną wściekłością. Ktoś czerpał moc z kamienia-serca! Nie zabrał jej zbyt wiele, ale nie poprosił go o pozwolenie sięgnięcia do niego, a przecież on, Śpiew Ognia, mógł potrzebować tej mocy do swoich doświadczeń!

W ciągu ostatnich kilku dni nie zdołał zmylić Srebrnego Lisa i przedostać się do komnaty kamienia-serca, ale nie było to tak ważne, jak prześledzenie tego, co działo się z samym kamieniem. Nawet z dość dużej odległości mógł to zrobić; znalazł niewątpliwe ślady bytności kogoś obcego, chociaż nie zdołał określić osoby intruza. Nie była to Elspeth ani Mroczny Wiatr — znał ślady ich mocy. Nie były to również gryfy, zresztą żaden z nich nie został dostrojony do kamienia. Żaden z magów valdemarskich nie miał wystarczającej potęgi, by bezpośrednio sięgnąć do kamienia-serca. Początkowo Śpiew Ognia podejrzewał nowych magów z k'Leshya, ale i z tego musiał zrezygnować, w miarę jak upewniał się, że żaden z nich nie został jeszcze dostrojony do kamienia.

An'desha. To musiał być An'desha.

Był adeptem, łatwo mógł przekonać Elspeth lub Mroczny Wiatr, by pozwolili mu wejść do komnaty kamienia-serca i zaczerpnąć mocy. Pomagał rzemieślnikom i Karalowi swoją wiedzą praktyczną i teoretyczną na temat magii. Ktoś z nich musiał wpaść na pomysł, do którego wykonania potrzeba było tyle energii, że musieli skorzystać z mocy kamienia.

Oczywiście nikt nie spytał o pozwolenie Śpiewu Ognia!

„Oczywiście. Dlaczego mieliby to zrobić? Jestem tylko najbardziej doświadczonym adeptem! An'desha może sobie myśleć, że ma doświadczenie, ale jest ono skrzywione, splamione przez Zmorę Sokołów. Co więcej, nie ma w ogóle wprawy w pracy z jakimkolwiek kamieniem-sercem. Ale oczywiście Karal przekonał go, że już nie potrzebuje mojej pomocy. Na pewno myśli, że teraz może już działać na własną rękę. Nie był przygotowany do samodzielnego działania i nie będzie do niego gotowy przez lata! Nie ma sposobu, by mógł się do niego przygotować, zwłaszcza jeśli chodzi o kamień-serce! Ale Karal zapewne powiedział mu coś przeciwnego — przekonał go, że nie potrzebuje żadnej pomocy, podczas gdy teraz potrzebuje jej najbardziej.”

Z gniewem chodził tam i z powrotem, zapominając o oczekiwanych gościach. Aya, nieszczęśliwy, ćwierkał i machał skrzydłami na swojej żerdzi w kącie. Ognisty ptak zaczął rozsyłać iskry za każdym ich poruszeniem — świetliste punkciki opadające z jego skrzydeł jak pył. Śpiew Ognia zignorował te oznaki nasilającego się napięcia, zajęty wyłącznie swoim gniewem.

Narastała w nim niepohamowana wściekłość.

„Karal! To wszystko jego wina! Na bogów, powinienem coś zrobić z tym wścibskim głupcem! Sojusz już go nie potrzebuje, odkąd przyjechała Solaris. An’desha na pewno nie potrzebuje jego rad!” Karal był sprawcą wszystkich jego kłopotów — Karal był niebezpieczny! Wtrącał się w sprawy, o których nie miał pojęcia i zachęcał An’deszę do tego samego. Jak długo musiał namawiać An’deszę, by spróbował czegoś bardziej niebezpiecznego od samego dotknięcia kamienia-serca? Jak długo musiał namawiać go, by spróbował go zmienić? Przecież właśnie w ten sposób kamień-serce k’Sheyna został wypaczony! Czysta złość zabarwiła wszystko na czerwono, a w jego uszach pulsowała krew jak bicie oszalałego bębna. „Powinienem się go pozbyć — muszę się go pozbyć, zanim wszystko zepsuje!”

Jego morderczym myśлом zawtórował przenikliwy dźwięk dartej tkaniny — dekoracyjny materiał oderwał się od ściany, błyskając iskrami światła — ubocznym efektem mocy wysyłanej przez Śpiew Ognia — po czym powoli rozpadał się na coraz mniejsze strzępy.

„Powinienem to zrobić Karalowi, temu zielonemu szczeniakowi z mlekiem pod nosem!”

Śpiew Ognia zazgrzytał zębami, pozwalając, by złość narastała w furję, nie przejmując się szkodami, jakie wyrządzała jego ekele. To nie miało znaczenia. Dźwięk pękającego drewna cieszył go — tak brzmiały rozdzierane kości, a w tej chwili życzył jak najgorzej każdemu, kto nie dość go doceniał.

Drewniane nogi stolika pękły wzdłuż — na pół, potem na trzy części, blat skrzywił się, w końcu upadł na podłogę. Dzbanki i kubki zsunęły się i rozbiły, zanim jeszcze dotknęły podłogi.

„Już dawno się obudziłem!”

W tej chwili Aya wydał przeraźliwy krzyk panicznego strachu, a w kącie ekele wybuchł płomień.

Śpiew Ognia zakręcił się w miejscu i wrzasnął na widok głupoty ptaka. Aya skoczył z żerdzi i fruwał z kąta w kąt, przelatując pod ostatnim nietkniętym stołem. Śpiew Ognia parsknął gardłowo i rozkazał płomieniom zgasnąć — zgasnąć natychmiast. Jednak ogień tylko zapłonął jaśniej, kiedy Śpiew Ognia zwrócił ku niemu energię swojego gniewu. Owinął resztki wiszących draperii żółtym płaszczem płomienia, dymiąc coraz bardziej. Śpiew Ognia spróbował rzucić na ogień koc, by go stłumić, ale udało mu się jedynie oparzyć ręce. Ból tylko podsycał jego gniew. Nie mógł już nawet jasno myśleć.

W końcu zacisnął poparzone pięści i wrzasnął na ogień.

— Powiedziałem: przestań!

Dym zatrzymał się, a potem wrócił do płomienia, przyciskając go do ziemi, zostawiając za sobą poczerniałe ściany. W końcu w ekele pozostali jedynie ociekający potem, drżący Śpiew Ognia, drzazgi z rozbitych mebli, resztki dymu i przerażony ptak.

Śpiew Ognia wziął głęboki oddech poprzez zaciśnięte szczęki i rozejrzał się wokół; jego spojrzenie padło na więź-ptaka. Otworzył osmalone pięści i skoczył do niego. Aya odfrunął.

Śpiew Ognia gonił Ayę po całej komnacie, ten zaś krył się za szczątkami mebli, ćwierkając przeraźliwie ze strachu.

— Przeklęty! — krzyczał Śpiew Ognia. — Żałosny ptaku! Jak śmiesz! — jego słowa przeszły w nieartykułowany bełkot. Wrzeszcząc w gniewie, nad którym przestał już panować, zapędził ptaka do kąta i przygotował się do uderzenia. Aya skulił się, każde jego pióro drżało.

— Stój!

Krzyk ze schodów kazał mu się zatrzymać — ta chwila wystarczyła, by Elspeth i Mroczny Wiatr otoczyli go.

— Śpiewie Ognia, to twój więź-ptak — powiedział z gniewem zwiadowca Tayledras. — Twój więź-ptak. Czy ty oszalałeś? Nie widzisz, że to twoja wina? Ptak tylko odzwierciedlał to, co złego działo się z tobą!

— Odejdź! — wrzasnął Śpiew Ognia. — To mój dom i mój ptak, a ja. . .

— To nie jest dom, to stos pogrzebowy, Śpiewie Ognia. Uderz Ayę, a pójdziesz w jego ślady — ostrzegł Mroczny Wiatr, wybijając stopą rytm. Elspeth podchwyciła go szybko — był to rytm, który Śpiew Ognia niejasno rozpoznał jako część zaklęcia mającego uwięzić moc wypaczonego kamienia-serca k'Sheyna. — Mówię poważnie. Możemy odbić wszystko, co na nas rzucisz — i odrzucić ci to prosto w twarz. To nie będzie miłe.

Przez długą chwilę Śpiew Ognia stał z uniesioną ręką jak kat gotowy opuścić topór, wpatrując się w surowe oczy Mrocznego Wiatru. Błękitne oczy wwierały się w niego zimnym spojrzeniem, zapewniającym, że groźba zostanie spełniona. Jego przyjaciele byli gotowi zaatakować go.

„Zaatakować. . .”

Oparzone dłonie Śpiewu Ognia zadrżały i otworzyły się, kiedy do maga dotarło to, co się stało.

Gniew opuścił go tak nagle, jak powietrze uciekające z przekłutego balonu. Śpiew Ognia zwiesił rękę i spojrzał na nią z osłupieniem.

— Bogowie — wyszeptał z niedowierzaniem. — Mroczny Wietrze — co ja zrobiłem? Co ja chciałem zrobić?

„W jakiego potwora się zmieniłem? Co myślałem? Przecież kamień-serce nie należy do mnie, An'desha ma prawo iść swoją własną drogą, a Karal jest równie

niewinny jak Aya! Aya! Co się ze mną dzieje? Aya, mój ptak, mój więź-ptak. . .”

Miejsce gniewu zajął ogromny i głęboki żal, wypełniając pustkę, jaką zostawił po sobie gniew. Śpiew Ognia poczuł, że uginają się pod nim kolana i płacząc, upadł na podłogę. Mroczny Wiatr i Elspeth zostali w miejscu, obserwując go uważnie. Nawet jeśli nadal wybijali stopami rytm, Śpiew Ognia nie słyszał tego przez swój własny szloch.

„Aya, mój ptak, mój więź-ptak, Aya. . . nie chciałem, byłeś przerażony, ja cię przeraziłem, ja chciałem. . .”

Aya wychynał nieco z kąta, w który się wsunął — z jego piór posypały się iskry. Ptak zrobił kilka niepewnych kroków i, cicho zawodząc, wsunął się w ramiona Śpiewu Ognia, by się do niego przytulić. Śpiew Ognia przez łzy przeproszał swego najdroższego i najstarszego przyjaciela, kołysząc się w przód i w tył, tracąc całkowicie poczucie czasu.

„Co ja zrobiłem. . . co ja zrobiłem?”

Świat zasnuwała mu mgła łez i dymu, wszystko rysowało się niejasno i z od-dali. Po prawej stronie pojawił się wędrujący powoli cień, duży i pełen wdzięku, z masą długich czarnych włosów. Ktoś ukląkł obok niego, ale nie był to Mroczny Wiatr ani Elspeth. Śpiew Ognia zacisnął powieki, czując, że oczy go coraz bardziej pieką, po czym otworzył je i spojrzał — prosto w pełne współczucia i zrozumienia oczy — Srebrnego Lisa?

To był Srebrny Lis; przez jego spojrzenie przeświecała dusza o wiele bardziej skomplikowana niż cała magia, którą Śpiew Ognia kiedykolwiek poznał i opanował. Śpiew Ognia patrzył poprzez kosmyki poplamionych sadzą srebrnych włosów, z drżącym ptakiem w ramionach.

— Co ja zrobiłem? — krzyknął do kestra'chern. — Co się ze mną stało? Zamieniłem się w. . . potwora! — załkał, przepelnięty w równej mierze żalem, co poczuciem winy. — Jak mogłem do tego dopuścić?!

Srebrny Lis wyciągnął gładką dłoń o długich palcach i odsunął z twarzy maga wilgotne kosmyki włosów.

— To właśnie mam nadzieję ci pokazać, przyjacielu — powiedział cicho. — Twoje ręce są poparzone nie tylko ogniem. Teraz chcesz zobaczyć wszystko i odwrócić część zła, które wyrządziłeś sobie samemu. Teraz jesteś gotowy. Ale była to ucieczka w ostatnim momencie i nie wolno ci o tym zapomnieć.

Kestra'chern wstał i podał mu rękę. Wciąż z ptakiem w ramionach i wstrząśnięty tym, co się stało, Śpiew Ognia przyjął ją. Mroczny Wiatr i Elspeth odstąpili na bok z wyrazem współczucia na twarzy i przepuścili ich.

Srebrny Lis zaprowadził Śpiew Ognia do sypialni i posadził go na łóżku. Sam usiadł obok, ale nie dotknął go.

— Teraz odpocznij chwilę i posłuchaj mnie uważnie — powiedział. — Spróbuję wyjaśnić ci część tego, co się stało, ale to może się okazać skomplikowane. Bądź cierpliwy i otwarty, a wyjaśnię ci wszystko. Pamiętasz, jaki wpływ miały na

ciebie magiczne burze, zanim je zatrzymaliście?

Śpiew Ognia skinął głową, a Aya wsunął pokrytą miękkimi piórami głowę pod jego brodę.

— Magiczne burze mają wpływ na każdego maga, ale ciebie dotknęły bardziej, niż sobie to uświadamiałaś — ty lub ktokolwiek. Jesteś adeptem uzdrowicielem, czujesz, w jaki sposób magia działa na ziemię, na której przebywasz, ale nie tylko to czujesz — magia, która wpływa na ziemię, powoduje zmiany także w tobie — przerwał, by sprawdzić, czy Śpiew Ognia rozumie, a ten, zaskoczony, skinął głową. Srebrny Lis mówił więc dalej: — Dlatego tu jestem; w starych źródłach znaleźliśmy zapiski z dni Skandranona, że jednemu czy dwóm magom zdarzyło się to samo w niespokojnych czasach po kataklizmie. Powrót tych racjonalnych ludzi do pełnego zdrowia zajął lata. Wszystkie Doliny zostały ostrzeżone. Przyjechałem tutaj częściowo po to, żeby sprawdzić, czy coś podobnego nie przytrafiło się komuś z was, ponieważ zmiany są subtelne i nie dla każdego widoczne. To tylko część z tego, co ci się stało. Śpiewie Ognia, jesteś chory, choć tej choroby nie odkryje żaden uzdrowiciel, o ile nie będzie wiedział, czego szukać. Są to delikatne zmiany natury fizycznej — raczej w twoim mózgu niż w umyśle. Uczyniły cię one bardziej podatnym na ataki gniewu, a mniej — na argumenty rozsądku. Każą ci widzieć wrogów i spiskowców tam, gdzie ich nie ma.

Śpiew Ognia chrząknął.

— Więc... — przełknął dwa razy, żeby zapanować nad głosem. — Zatem... moje ciało i umysł nie są w lepszym stanie niż reszta kraju.

Srebrny Lis kiwnął głową i splótł palce.

— Właśnie tak. Ale są jeszcze inne rzeczy; sposób myślenia, który sam stworzyłeś, a owe zmiany tylko go pogorszyły.

Śpiew Ognia zwilżył usta, które nagle mu wyschły, i pogłaskał Ayę po grzbiecie.

— Obwinianie innych, a nie siebie? — zapytał ostrożnie. — Szukanie kozła ofiarnego, który odpowiada za wszystkie moje kłopoty?

— Obsesja na punkcie znalezienia partnera życiowego, jakby więź życia oznaczała rozwiązanie wszystkich problemów? — podsunął Srebrny Lis sucho.

Śpiew Ognia zwiesił głowę, dziękując Bogini, że Srebrny Lis nie dowiedział się o jego planach przedłużenia własnego życia, by mógł znaleźć partnera. „Jutro zniszczę do końca kryjówkę i rozrzucę jej resztki” — obiecał Jej. „Zniszczę ją, jak powinienem był to zrobić na samym początku.”

Czyżby jakaś część zła Zmory Sokołów została w miejscu, które stworzył? Czy to również mogło się przyczynić do jego szaleństwa? „Jeśli nawet była to przyczyna, sam się jej poddałem, Pielęgnowałem ją i rozwijałem. Ja i nikt inny. Nikt nie zmusił mnie do tego i nie właczał myśli do głowy.”

— Byłem głupcem — powiedział z pokorą. — Srebrny Lisie, żaden talent ani zdolności nie usprawiedliwiają postępowania szaleńca i tyrana.

Srebrny Lis uśmiechnął się zachęcająco i ciepło. Pytaniami i odpowiedziami, zagadkami i podpowiedziami, zachętą i wyrzutem kestra'chern doprowadził do tego, że Śpiew Ognia odsłonił przed nim duszę do samego końca. Kilka godzin później mag miał niejakie pojęcie o tym, jak się czuł w jego rękach An'desha nie tak dawno temu.

Karal walczył z własnym demonem po tym, jak w końcu poprosił Natoli o trochę czasu do namysłu.

„Tremane jest najlepszą osobą, do której możemy się zbliżyć. Nie możemy pozwolić, by ludzie w Hardornie dalej cierpieli — zresztą potrzebujemy ich. A Tremane, według norm, jakie uznaje, jest człowiekiem honoru.”

Jednak to sam Tremane wydał z zimną krwią rozkaz zabójstwa nie tylko Ulricha, ale i innych ważnych dla Valdemaru i sojuszu osób. Pozostałe zabójstwa nie udały się tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi. Miał jednak ręce splamione krwią dwojga niewinnych ludzi, służących wiernie swoim bóstwom, co w pewien sposób czyniło te morderstwa jeszcze bardziej odrażającymi.

Karal z trudem usiłował pogodzić obraz Tremane'a, który kazał zabić tych dwoje, z człowiekiem narażającym się na niebezpieczeństwo dla ratowania zagubionych dzieci.

„Z jednej strony chcę zacząć z nim rozmowy. Z drugiej — chciałbym, żeby cierpiał tak, jak ja cierpiałem. Chciałbym zabijać go powoli i boleśnie, żeby umarł tak, jak Ulrich.”

Jeśli nawet ostatnie uczucie było niewłaściwe, było jednak ludzkie. Karal usiłował brać pod uwagę wyższe dobro, ale nie zdołał zwalczyć w sobie gniewu. Słusznie zresztą nie widział powodu, by zaufać komuś, kto skazał innych ludzi na śmierć równie łatwo, jakby wymazywał imię z listy.

„Gdybym tylko wiedział, dlaczego — gdybym wiedział, że zrobił tego obojętnie, z zimną krwią, tak, jak to opisał An'desha — gdybym wiedział, że chociaż trochę tego żałuje!

Gdybym wiedział, dlaczego to zrobił!”

Chodził po komnacie, aż zaczął się bać, że wychodzi dziurę w dywanie, ale nie wymyślił niczego więcej. Było już niemal zupełnie ciemno, ale ciemność za oknem nie była trudniejsza do przeniknięcia niż ciemność panująca w jego sercu.

„Nie mogę zgodzić się na rozpoczęcie negocjacji z kimś, komu nie ufam! To chyba rzecz podstawowa, prawda?”

Tylko jeden człowiek wiedział, dlaczego Tremane wydał taki rozkaz i zrobił to, co zrobił — był to sam Tremane.

„Muszę wiedzieć. Muszę z nim porozmawiać. W jakikolwiek sposób.”

— Muszę porozmawiać z Tremane'em — powiedział głośno. Altra podniósł głowę z łap i spojrzał na niego, jakby wyrosły mu kły i sierść.

Żartujesz — odpowiedział.

Karal potrząsnął głową.

— Muszę znaleźć sposób, żeby porozmawiać z nim przed innymi, Altro. Muszę wiedzieć, dlaczego. Muszę też wiedzieć, czy nie zrobi tego ponownie. Jaki sens ma zaczynanie rozmów z kimś, do kogo nie mamy zaufania?

Mógłbym podać ci kilka odpowiedzi, ale nie sądzę, byś był w nastroju do wysłuchania ich.

— Musisz znaleźć sposób, żeby mi pomóc, Altro, proszę! — Karal upadł przed kotem na kolana i spojrzał błagalnie w niebieskie oczy. — Jesteś magiem.

Nie całkiem w sposób, jaki masz na myśli.

Karal nie zwrócił uwagi na te słowa.

— Nie możesz rzucić zaklęcia poszukującego, które będzie działało w obie strony? — zapytał błagalnie. — Albo dać mi myślmoWy? Albo w inny sposób umożliwić rozmowę z Tremane'em?

Myślę, że to bardzo zły pomysł, Karalu.

— Muszę to zrobić, Altro — ostrzegł Karal. — Umówiliśmy się, że jeśli się nie zgodzę, reszta nie podejmie dalszych działań. A ja się nie zgodzę, dopóki nie uda mi się porozmawiać z nim — twarzą w twarz, jeśli będzie trzeba!

Altra zmierzył go spojrzeniem.

Wierz, że mógłbyś spakować tobolek i ruszyć poprzez dwa kraje, żeby porozmawiać z tym człowiekiem, jeżeli będziesz musiał.

Karal pokiwał głową.

— Ale nie będę musiał. Założę się, że Florian pomoże mi choćby po to, żebym nie wpakował się w kłopoty. A Śpiew Ognia pomoże mi, żeby się mnie pozbyć!

Niestety masz rację — ognisty kot westchnął ciężko. — Bardzo dobrze. Skoro tak nalegasz, pomogę ci. Ale nie mogę stworzyć dla ciebie zaklęcia poszukującego. Mogę za to zabrać cię tam.

Karal poczuł, że robi mu się niedobrze.

— Przeskoczysz? — zapytał.

To jedyny sposób. — Altra przechylił głowę i zmrużył oczy. — Skok albo daj sobie spokój z tym pomysłem. Przynajmniej jeśli przeniosę cię prosto do gabinetu Tremane'a, mogę też przeskoczyć z tobą natychmiast, jeżeli coś pójdzie źle. Mogę też kontrolować go i powstrzymać od wszelkiego działania przez pewien czas, co pozwoli ci zadać twoje pytania bez obawy o to, że podniesie alarm. I nie zapominaj, iż znam zaklęcie prawdy, więc otrzymasz odpowiedzi takie, jakie chcesz — jak twierdzisz — usłyszeć.

— Skoki...

Ostatnie doświadczenie ze skokami Altry było okropne i Karal błagał, by był to ostatni raz, kiedy Altra przenosił go w ten sposób. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zrezygnować.

„Nie. Muszę wiedzieć. Nie podejmę decyzji, póki się nie dowiem!”

— Dobrze — powiedział, a w nagrodę ujrzał opadające z rozczarowaniem uszy kota. — Teraz. Wieczorem. Zanim nie zmienię zdania.

Wolałbym, żebyś zmienił — odezwał się kot kwaśno.

— Wiem, że byś wolał — odparował Karal. — Dlatego chcę zrobić to teraz.

Tremane przetarł piekące oczy i spojrzął na resztki świecy. To był długi dzień i jeszcze dłuższa noc, ale on i rada miejska pracowali nad połączeniem prawa hardorneńskiego i imperialnego w jeden spójny system, który miałby obowiązywać zarówno w mieście, jak i w koszarach. Tremane chciał mieć pewność, że Hardorneńczycy zrozumieli wszelkie niuanse prawa Imperium; przepisy hardorneńskie nie były aż tak szczegółowe. Nic dziwnego. „Prostsze społeczeństwo, prostsze prawo.”

Mimo wszystko armia Imperium przyniosła ze sobą zasady obowiązujące w bardziej złożonej społeczności i mieszkańcy Shonar u będą musieli nauczyć się z nimi żyć.

„W pewien sposób my także. Co dwa tygodnie sto kompromisów.”

Zastanawiał się, która godzina, na pewno dobrze po północy. Kilka godzin temu odesłał służących, adiutantów i urzędników. To, że ich dowódca zamierzał pracować jak maniak kosztem snu, nie oznaczało, że oni również musieli tak postępować. Dobrze się pracowało o tej porze, późno w nocy, w ciszy budynku, w którym większość ludzi już spała. Na zewnątrz czuwały jedynie strażnicy na murach. Shonar również spał — dziś już nie będzie alarmów i Tremane mógł pracować bez przeszkód, pewien, że jest zupełnie sam w gabinecie.

Nagle nie był już sam.

Poczuł dreszcz na skórze, a włoski na karku podniosły się w atawistycznej reakcji na obecność mocy napełniającej komnatę.

„Moc? Ale przecież nie czas na burzę!”

Zaskoczony podniósł wzrok znad papierów akurat w chwili, kiedy przed jego biurkiem pojawił się chłopiec w cudzoziemskich, zdobionych, czarnych szatach, trzymający w ramionach ogromnego, biało-pomarańczowego kota, który wstrząśniętemu Tremane'owi wydał się wielkości cielaka.

Tremane usiłował sięgnąć po sztylet leżący na biurku albo krzyknąć, by zaalarmować strażę. Z dreszczem przerażenia stwierdził, że nie może nic zrobić.

Kot patrzył na niego szeroko otwartymi niebieskimi oczami, których źrenice migotały zielono, kiedy usiłował się wyrwać niewidzialnym więzom. Zmrużył z zadowoleniem oczy, gdy Tremane w końcu dał za wygraną, po czym zaczął mruzczyć.

„To kot! To kot robi!”

Tremane spojrzął na niego osłupiały, ale jednocześnie absolutnie przekonany o słuszności tego wniosku. To kot trzymał go w miejscu! Co tu się działo?

Chłopiec chrząknął.

— Jestem tutaj, by zadać ci kilka pytań, panie — odezwał się dość wyraźnie, chociaż słowa w języku Imperium brzmiały dziwnie, jakby walczyło w nich kilka różnych akcentów. Tremane przeniósł spojrzenie z kota na chłopca — i stwierdził, że nie jest on tak młody, jak sądził. Był to młody mężczyzna, rówieśnik większości jego adiutantów, chociaż jego szczupła budowa i chłopięca twarz sprawiały wrażenie, że jest sporo młodszy. — Nie wolno ci mówić głośniejsz niż szeptem i możesz tylko odpowiadać na pytania, które ci zadam. — Wydawał się blady, a jego oczy biegały niespokojnie, jakby był chory.

„Pytania? Chce zadawać mi pytania? Przeniósł się tutaj za pomocą magii i trzyma mnie na uwięzi w moim własnym gabinecie po to, żeby zadawać mi pytania? Czy ja oszalałem, czy on? Kim on jest? Czym jest?”

— To moje pierwsze pytanie. Kiedy wysłałeś człowieka na dwór w Valdemarze, żeby zamordował skrytobójczo ludzi — tego, który był artystą — czy dałeś mu dokładne instrukcje? Czy wybrałeś tych, których miał zabić? — Młody mężczyzna spojrzął na niego, jakby chciał wywiercić mu dziurę w czaszce i stamtąd bezpośrednio wydobyć odpowiedź.

Bezwład ustąpił nieco i Tremane stwierdził, że może przemówić.

Nie mam pojęcia, o czym mówisz — usiłował powiedzieć, ale jego usta nie chciały wymówić tego, co zamierzał! Poruszały się, lecz nie mógł zmusić się do wypowiedzenia nieprawdy, o której myślał. Kiedy w końcu odzyskał głos, powiedział coś zupełnie innego. Początkowo zająknął się, ale po chwili odprężył się i zaczął mówić prawdę, którą zamierzał ukryć.

— Nie całkiem — usłyszał ku swojemu przerażeniu własny szept. — Nie całkiem tak. Rozkazałem wyeliminować ludzi o pewnej pozycji i statusie. Naprawdę nie mam pojęcia, kim są ludzie tam przebywający, gdyż moi agenci nie byli na tyle bystrzy. Właściwie równie dobrze mogłoby ich w ogóle nie być, ponieważ w tej chwili i tak nie mogą przesyłać mi informacji. Rozkazałem usunąć posłów i sojuszników, ludzi ważnych dla przetrwania aliansu. Rozkazałem również pozbyć się królowej, ale szczerze mówiąc, nie wierzyłem, żeby się to udało. Jest zbyt dobrze strzeżona.

Wstrząśnięty słuchał tego, co mówił. Jak udawało się to młodemu człowiekowi? Serce zamarło mu ze strachu — nie przed magią, ale przed jej skutkami. Jeśli ten chłopak zdołał zrobić coś takiego, do czego będzie zdolny później? Czy może to dzieło kota?

Chłopak wpatrzył się w niego oczami pełnymi bólu.

— Dlaczego? — zapytał zdławionym głosem. — Dlaczego wydałeś taki rozkaz?

„Muszę mówić prawdę. Równie dobrze może to być prawda taka, jaką ja sam wybiorę — cała, nie częściowa. Ten chłopiec jest kimś więcej niż... niż zabójcą czy agentem wysłanym, by mnie zamordować. Ma w tym cel osobisty... gdyby

wysłano go tylko po to, by wybadał dowódcę wrogich wojsk, byłby to kiepski wybór! Jego brak opanowania zdradza gwałtowne emocje i poruszenie. Chodzi tu o coś więcej, niż można przypuszczać na pierwszy rzut oka... I ten przymus mówienia wyłącznie prawdy...”

— W tym czasie byłem pewien, że magiczne burze pustoszące kraj pochodzą z Valdemaru — powiedział. — Burze odcięły mnie i moich ludzi od Imperium, zniszczyły naszą broń i osłony, od których zależało nasze życie. Odcięły dostawy, zerwały komunikację, zniszczyły całą organizację. Ludzie wpadli w panikę, magowie byli bezradni, a całe wojsko rozciągnięte w długą linię, której nie zdolalibyśmy obronić. Gdyby zaatakował nas wtedy nieprzyjaciel, wybiłby nas do nogi. Byłem absolutnie pewien, iż burze to nowa broń sojuszu, a ich stworzenie było możliwe dzięki współpracy wszystkich jego magów. Jedynym sposobem na powstrzymanie burz, jaki znalazłem, było rozbitcie sojuszu.

Chłopiec nadal patrzył na niego z cierpieniem w oczach — i chociaż Tremane nie czuł już przymusu mówienia więcej, to widoczne cierpienie skłoniło go to tego, by wyjaśniać dalej:

— Nie są to ludzie, których wybrałem, ani komenda, której bym się podjął, gdyby to zależało ode mnie — ciągnął. — Jednak w chwili, gdy ją przyjąłem, stałem się za nich odpowiedzialny. Muszę dbać o ich bezpieczeństwo, nawet przedtem, zanim zadbam o siebie. Muszą zjeść, zanim ja zjem, znaleźć schronienie, zanim ja zasnę, i chociaż są to wojownicy, którzy pójdą na bitwę i może zginą, to ja muszę dopilnować, by nie ginęli bezsensownie — jeśli to możliwe, by osiągnąć zwycięstwo przy jak najmniejszym rozlewie krwi. Wtedy widziałem nadciągającą katastrofę i musiałem jakoś jej zapobiec. Jeśli owe burze rzeczywiście pochodziły z Valdemaru, były straszliwą bronią i zaprojektowaną specjalnie tak, by najbardziej nam zaszkodzić, gdyż tyle rzeczy w Imperium pośrednio lub bezpośrednio zależę od magii. Ci ludzie nie mogli stawić jej czoła.

Czy zrozumiał? Przynajmniej słuchał, a Tremane nadal mógł mówić.

— Nie wiedziałem tego, kiedy po raz pierwszy dowodziłem ludźmi — byłem wtedy w twoim wieku. Dowództwo to więcej niż wydawanie rozkazów, to wiedza, co te rozkazy mogą oznaczać dla życia ludzi i świadomość, że ty i tylko ty jesteś odpowiedzialny za ich skutki. — Były to sprawy, o których nigdy z nikim nie rozmawiał. W pełnym szpiegów Imperium nawet by się na to nie odważył. — Ludzie wierzą, że przeprowadzę ich przez każdą bitwę; nikt nie przychodzi do armii z założeniem, że zginie! Ufają mi, muszę okazać się godzien ich zaufania. Dla dobrego komendanta nie ma „dopuszczalnych strat”.

Chłopiec spojrzał żywo, jak gdyby Tremane dotknął czułego punktu.

Wskazał ręką okno, którym wstrząsnął zimny podmuch.

— Spójrz, co uczyniły te burze! Powiedz, że nie miałem racji, bojąc się o życie moich ludzi! Wydaje mi się, że gdyby nie mury, które zbudowaliśmy, i organizacja, jaką wprowadziliśmy, mieszkańcy Shonaru w nocy walczyliby z potworami,

a w dzień głodowali!

Chłopiec spojrział w okno, potem znów przeniósł spojrzenie na komendanta.

— Co do rozkazów — moi magowie powiedzieli mi później, że to nie Valdemar wysłał na nas burze. Myliłem się, nie czekałem na potwierdzenie moich przypuszczeń — w rezultacie wydałem rozkaz, który okazał się nieuzasadniony. — Poczuł, że się czerwieni i zadziwiła go własna reakcja. — Nawet gdyby to Valdemar posłał te burze, nie jestem pewien, czy byłoby to usprawiedliwienie. Odpowiedź atakiem na atak — i to taką bronią — nie jest moralna. Jednak jako komendant nieczęsto mam do czynienia z wyborami moralnymi, interesuje mnie skuteczność. Nie jestem przyzwyczajony do roztrząsań moralnych. To wada życia w Imperium — przerwał na chwilę i dodał na zakończenie: — To nie jest wymówka, tylko powód. Trudno myśleć w kategoriach, do których nie jest się przyzwyczajonym, a główną miarą działania w Imperium jest jego skuteczność.

„To raczej prawda. Nie ma sensu wdawanie się w szczegóły na temat życia w Imperium. Czy ktokolwiek z Valdemaru — a zakładam, że on jest stamtąd — mógłby zrozumieć życie w Imperium?”

Nie przyznawał się do tego nawet sam przed sobą. Zaskoczyło go, że teraz powiedział to wszystko przed kimś zupełnie obcym. „Ale ten — ten młody człowiek o wyglądzie kapłana pojawił się w moim gabinecie z kotem, który paraliżuje mnie spojrzeniem. Jeden rzucony nóż i byłbym martwy, a po mojej śmierci rozpadłoby się moje wojsko. Może dlatego wyjaśniam mu to wszystko. Może musiałem to powiedzieć, by przyznać się do tego także przed sobą.”

Kot patrzył mu prosto w oczy tak intensywnie, że Tremane niemal oczekiwał, iż zaraz przemówi. Młody człowiek miał na twarzy wyraz zamyślenia; nadal widać było po nim ból, ale ustąpił on refleksji.

W końcu mężczyzna skinął głową i na chwilę postawił kota na podłodze. Kiedy uwolnił ręce, wyciągnął z rękawa przedmiot wielkości sztyletu i położył na biurku. Była to tuba na listy.

Ponownie wziął kota na ręce i odstaąpił krok do tyłu, podczas gdy Tremane zaskoczony wpatrywał się w tubę. Jednak słowa chłopaka rozwiązały zagadkę.

— Jeżeli chcesz nawiązać rozmowy z Valdemarem i sojuszem — powiedział cicho — włóż do niej wiadomość. Dojdzie tam, gdzie trzeba. Zapewniam cię, że zobaczą ją królowa i Syn Słońca, jeśli zostanie uznana za bezpieczną.

Tremane znów poczuł dreszcz i przestał wyraźnie widzieć. Kiedy świat nabrał ostrości, chłopca i kota nie było.

Gwałtownie potrząsnął głową. Znów mógł się normalnie poruszać. Czy była to halucynacja spowodowana nadmiarem pracy i brakiem wypoczynku? Czy zasnął nad papierami i całe wydarzenie tylko mu się przyśniło?

Ale kiedy spojrział na biurko, zobaczył tam tubę na listy.

„To prawda. To się naprawdę zdarzyło. Ktoś z Valdemaru przedostał się do mojego gabinetu bez użycia portalu i przesłuchał mnie.”

Nie tylko to, ale musiał również zdać ten egzamin, gdyż zostawiono mu sposób na rozwiązanie przynajmniej jednego kłopotu trapiącego jego i jego ludzi.

„Rozejm. Rozejm z sojuszem. Może nawet członkostwo w sojuszu?”

Na pewno jego członkowie nie ucierpieli od burz tak bardzo jak Hardorn. Nie stworzyli burz, ale mieli przed nimi osłony, których nie posiadały siły Imperium.

„Czy powinienem? To może być pułapka. Czy mam odwagę zaryzykować?”

Nagły poryw wichru wstrząsnął kamiennymi ścianami budynku, a przez zamknięte i potrójnie oszklone okna przedarł się śnieg i sypnął na podłogę. A nie była to jeszcze połowa zimy.

... magiczne burze zaś stawały się coraz gorsze. To, kiedy zmienia coś lub kogoś w obrębie Shonaru, było tylko kwestią czasu. Być może już się to stało, tylko jeszcze tego nie odkryto. Co ma zrobić, kiedy się o tym dowie? Nie wiedział, nie umiał przewidzieć. Jednak jego nowi agenci donieśli, że sami ludzie znaleźli sposób. Jeśli będzie to zwierzę, zostanie zabite bez pardonu. Jeśli jeden z kolegów — i zachowa przy tym umysł — znajdą sposób, by uczynić go pożytecznym. Jeżeli będzie to kolega, ale zaatakuje ich, zostanie unieszkodliwiony jak każdy inny potwór.

„Muszę zaryzykować. Gra idzie o zbyt wysoką stawkę.”

Wziął tubę i ostrożnie włożył ją do szuflady, po czym wstał i zdmuchnął świecę. Była to zbyt istotna sprawa, by miał pisać tak ważny dokument półprzytomny ze zmęczenia.

Następnego dnia zamknie się w gabinecie i rozkaże, by mu nie przeszkadzano, jeśli nie zdarzy się coś wyjątkowego. Może to być najważniejszy list, jaki napisze w życiu.

Nie sądziłem, że będziesz aż tak chory — powiedział przepraszająco Altra leżący w nogach łóżka Karala, skulony wokół jego stóp, by je ogrzać. — *Nie przeniósłbym cię do domu tak szybko, gdybym wiedział, że tak źle to zniesiesz.*

— W porządku — odparł słabo Karal oparty o poduszki. — Teraz, kiedy nie mam nic w żołądku, jest mi trochę lepiej. Herbata pomaga. Ale to paskudny sposób odpoczywania.

Altra nie zrobił żadnej przerwy pomiędzy skokami, tak więc w wyniku podróży jedynym i wszechogarniającym Karala uczuciem stały się mdłości. Kiedy tylko dotarł do swoich komnat, musiał pójść do łazienki, gdzie uczepił się umywalki i wymiotował tak, jakby miał wykrztusić z siebie wszystko. Kiedy w końcu był zdolny wstać, dowlóknął się do dzwonka i wezwał służącego. Jak zawsze, nocnymi służącymi byli przyszli heroldowie. Dlatego tak rzadko starał się ich kłopotać. Jednak teraz nie miał wyjścia, nie dotarł o własnych siłach dalej niż do krzesła, na które opadł bezwładnie. Nie mógłby się ruszyć, choćby nawet popędzano go rozgrzanym pogrzebaczem.

Młody mężczyzna, który pojawił się w komnacie, poważnie zaniepokoił się stanem Karala i położył go do łóżka, po czym wezwał uzdrowiciela.

— Przeziębienie żołądka — zawyrokowała uzdrowicielka, choć Karal widział, że jest zaskoczona brakiem innych objawów. Zostawiła mu paczuszki z ziołami i polecenie, by wypił tyle naparu, ile zdoła. Młody herold natychmiast zaparzył herbatę i zostawił ją przy łóżku Karala. Zrobił również okład z lodu, by ulżyć jego bolącej głowie, i surowo go upomniał, aby zadzwonił, jeśli poczuje się choćby trochę gorzej lub jeśli będzie czegokolwiek potrzebował.

— Wyzdrowieję w ciągu dwóch dni, a tymczasem mam wymówkę, żeby zostać sam i pomyśleć trochę — odezwał się Karal.

Gdybyś był kimkolwiek innym, byłbym zaskoczony, że chcesz robić cokolwiek oprócz leżenia. — Altra ciaśniej owinął się wokół jego lodowatych stóp, które w końcu zaczęły nieco się rozgrzewać. Było to miłe uczucie, a okład z lodu pozostawiony przez młodego służącego zaczął powoli uśmierzać bolesne tętnienie w skroniach.

— To ty i Ulrich ukształtowaliście mnie w ten sposób. Nie mogę przestać myśleć nawet wtedy, kiedy czuję się paskudnie. — W rzeczywistości był rozdarty pomiędzy tyłoma sprzecznościami, że uporządkowanie myśli musiało zająć mu trochę czasu.

„Chciałbym nienawidzić Tremane’a.” Potrzeba nienawiści walczyła o lepsze z wizerunkiem samego człowieka, co przyprowadziło Karala o chęć krzyku z rosnącej frustracji. Łatwo byłoby go nienawidzić, gdyby wielki książę okazał się kłamcą i oszustem, kimś, kto świadczy ludziom przysługi tylko po to, by ich od siebie uzależnić. Niestety, nie należało to do prostych rozwiązań, Tremane nie był nikim takim. Altra znał karsycki odpowiednik valdemarskiego zaklęcia prawdy i rzucił je na księcia, podczas gdy pierwsze zaklęcie kontrolowało jego ciało. Tremane nie mógł mówić nic innego niż prawdę tak długo, jak długo Altra trzymał go w mocy zaklęcia.

Co dla Karala jeszcze bardziej komplikowało sprawę. Problem polegał na tym, że Karal rozumiał Tremane’a i jego motyw. Było tak, jak powiedział An’deshy: został przeklęty umiejętnością doceniania argumentów wszystkich stron i ich wartości.

„Nie zrobiłbym tego, co on zrobił, ale ja nigdy nie zajmowałem takiej pozycji. I nie wychowano mnie dla władzy ani nie żyłem w Imperium. Moją drogą jest etyka, a jego — skuteczność.”

Najgorsze było to, że biorąc pod uwagę idee, w które Tremane szczerze wierzył podczas podejmowania decyzji oraz sytuację, w jakiej się znajdował — Karal nie miał pewności, czy nie postąpiłby podobnie i nie wydał takiego samego rozkazu. Według norm Tremane’a jego uczynek był zapewne bardzo moralny oraz równie skuteczny: wyeliminował kilka osób, by zapobiec śmierci wieluset ludzi — zarówno własnych podkomendnych, jak i mieszkańców Hardornu.

„Łatwo usprawiedliwić się, mówiąc, że działa się w samoobronie albo w odpowiedzi na czyjeś złe postępowanie.” Nie był pewien, czy sam nie poddałby się tej pokusie.

Może nigdy nie pozbędzie się niechęci wobec postawy Tremane’a i nie będzie zdolny mu wybaczyć, ale go rozumiał, więc nie mógł nienawidzić go za to, kim był — a był wychowankiem świata przepełnionego oszustwem i obłudą. Jak Tremane mógł oczekiwać od przeciwnika czegokolwiek innego, niż poświęcenie niewinnych ludzi, aby pozbyć się wroga? Zapewne w Imperium codziennie spotykał takich przeciwników!

To naprawdę niesprawiedliwe.

„Wiem. Życie jest niesprawiedliwe.” Westchnął. „A ja odkładam moment wypowiedzenia głośno decyzji, którą już podjąłem.”

— Przekazałeś moją wiadomość An’deshy?

Jak tylko ją napisales. Będzie obserwował, kiedy tylko zdoła. Tak, jak prosiłeś. Jeśli cokolwiek tam będzie, pošle po ciebie, a ty możesz mnie po to wystać — odpowiedział Altra, mrugając leniwie. — Jednak nie oczekuj natychmiastowej odpowiedzi. Zapewne podjęcie decyzji zajmie kilka dni, ale wiemy obaj, że ją w końcu podejmie. Nie może sobie pozwolić na zmarnowanie takiej szansy.

Kilka dni. Altra miał zapewne rację, ale te kilka dni będzie trwało bardzo długo.

Przepraszam — powiedział nagle Altra. — Muszę iść.

Ognisty kot wstał i zniknął natychmiast, zostawiając jedynie odcisk ciała na kocu.

Co się mogło stać?

— Altra? — zawołał zaskoczony Karal. — Altra! Co... Ktoś zapukał w zewnętrzne drzwi sąsiedniej komnaty i otworzył je. Do sypialni doszedł odgłos lekkich kroków.

W otwartych drzwiach stanęła Natoli z jedną ręką na framudze, a z książkami w drugiej.

— Cześć — powiedziała. — Pomyślałam, że pewnie czujesz się samotny i może dotrzymam ci towarzystwa, póki jesteś chory. Tylko mnie tym nie zaraż, dobrze?

Karal uśmiechnął się.

— Obiecuję — odparł ze świadomością, że przynajmniej tej obietnicy może dotrzymać. — Nie mogłem powiedzieć uzdrowicielce, że to tylko skutek przeniesienia przez Altrę. Nic, czym mogłabyś się zarazić.

— To dobrze — odrzekła z uśmiechem i usiadła obok. — To właśnie chciałam usłyszeć.

„Tych kilka dni minie bardzo szybko.”

Przed spotkaniem rady Karal i An'desha udawali, że są zajęci przeglądaniem papierów, ale była to tylko wymówka, by mogli porozumieć się ze sobą, zanim zaskoczą wszystkich małą paczką, którą miał przynieść Altra.

— Jesteś pewien, że wszystko w porządku i wiadomość jest bezpieczna? — wyszeptał nagląco Karal. Mam na myśli... zobacz, Selenay i Solaris siedzą obok siebie. Jedna pułapka może zabić je obie!

— Sprawdziłem ją, Altra ją sprawdził, a potem ty także — odrzekł An'desha. — Naprawdę, Karal, przy wszystkich paskudnych niespodziankach, z jakimi zetknął się Ma'ar i jego następcy — biorąc pod uwagę to, co pozostało po nich w moich wspomnieniach — myślę, że potrafię znaleźć magiczną pułapkę w kawałku papieru! Poza tym Altra mówił, że tuż przed tym, jak zabrał tubę, na cesarskich znów spadła magiczna burza. Wątpi, czy coś tak delikatnego, jak magiczna pułapka, mogłoby ją przetrwać.

— W porządku — westchnął Karal, bawiąc się piórami. — Jestem po prostu zdenerwowany.

An'desha spojrział na niego z ukosa.

— Powinieneś. Muszę już usiąść, inaczej wzbudzę podejrzenia, a mamy wyglądać, jakbyśmy nie mieli z tym nic wspólnego. Zobaczymy się później.

Pośpieszył na swoje miejsce, gdyż przybywali ostatni już członkowie rady.

Kiedy Tremane włożył coś do tuby na wiadomości, Altra skoczył po nią, ale nie oddał jej od razu. Poprosił, aby najpierw zastanowili się, w jaki sposób nowina ma zostać zaprezentowana.

Karal zastanawiał się nad tym doborem słów, aż w końcu dotarło do niego, że gdyby Solaris miała pojęcie, iż rozpoczął negocjacje z Tremane'em, najpewniej dopilnowałaby, aby nie wyszły one poza ten etap. Poza tym zdarłaby z niego skórę, ale to byłby drobiazg w porównaniu z ważniejszymi sprawami.

Jeśli o to chodzi, to na próbę działania poza jej plecami Selenay mogłaby zareagować w taki sam sposób.

Jedyną osobą, która wiedziała o zamierzonej obserwacji cesarskich, była Talia, ale również ona nic nie wiedziała o próbie nawiązania kontaktu. Zaufanie, jakim obdarzono całą trójkę, sięgało tylko pewnych granic, a te granice nie obejmowały robienia na własną rękę zwiadów i przesyłania nieprzyjaciółom zaproszenia do wspólnej gry.

To wtedy zgodzili się, iż Altra powinien odegrać rolę inicjatora całego przedsięwzięcia. Po sprawdzeniu wiadomości, czy nie kryje pułapki, Altra miał ją zabrać i osobiście przekazać królowej oraz Synowi Słońca na zebraniu Wielkiej Rady, jakby nawiązanie kontaktu z Tremane'em było jego pomysłem. Solaris nie będzie kwestionować motywów postępowania ognistego kota bardziej, niż uczy-

niłaby to Selenay w stosunku do Towarzysza. W dodatku posłańca Vkandisa na pewno nie mogła oskarżyć o przekroczenie kompetencji!

Miało to być ostatnie spotkanie z Solaris na pewien czas. W końcu udało się jej przekonać pozostałych członków Rady, że ufa Karalowi i że Karal nigdy nie będzie mówił ani działał niezgodnie z jej wolą — a jeśli członkowie Rady mają problemy z przyjęciem jej woli, jest to zupełnie inna historia i można sobie z nią poradzić poprzez negocjacje. Mimo że wciąż wielu z nich wyraźnie uważało Karala za zbyt młodego na takie stanowisko, jednak ci sami ludzie byli przekonani, iż właśnie z powodu swojej młodości Karal nie odważy się działać niezgodnie z rozkazami.

Zatem teoretycznie na następne kilka tygodni lub miesięcy był to ostatni raz, kiedy Solaris siedziała obok Selenay. Teoretycznie. Karal miał wrażenie, że kiedy tylko pojawi się Altra, plany gwałtownie się zmieniają.

Członkowie Wielkiej Rady zajęli miejsca, rozpoczęło się zebranie i wszystko wydawało się iść utartym trybem, z wyjątkiem tego, że dłonie i stopy Karala zeszywniały z zimna. Obrady toczyły się jak zwykle do chwili, kiedy Selenay zapytała, czy są nowe sprawy do omówienia.

Oczywiście w tym momencie pokazał się Altra.

Po prostu się pojawił, położył tubę z wiadomością przed Solaris i Selenay, po czym zniknął.

To Selenay podniosła i otworzyła tubę, ale obie pochyliły się nad wyjętym z niej zwiniętym listem. Karal na pamięć wiedział, co jest tam napisane.

„Do królowej Selenay, Wysokiej Kapłanki Solaris, oraz członków sojuszu. Wielki Książę Tremane, dowódca byłych oddziałów Imperium Hardorneńskich Sił Pacyfikacyjnych, działając jako lord Shonaru oraz przywódca połączonych armii Imperium i Hardornu, pozdrawia was. Tremane pragnie poinformować, że jego stosunki z Imperium i cesarzem zostały nieodwołalnie zerwane. W interesie obu stron leży rozpoczęcie rozmów na temat rozejmu, które będą przygotowaniem do dalszych rozmów, sięgających, ale nie ograniczających się, do umocnienia sojuszu pomiędzy wszystkimi naszymi ludami. W tym celu prosi o odpowiedź dotyczącą możliwości rozejmu oraz rozpoczęcia negocjacji.”

List był podpisany i opieczętowany osobistą pieczęcią księcia Tremane’a, nie pieczęcią Imperium — subtelność, która rozbawiła Altrę.

List napisano po hardorneńsku; jego przeczytanie nie zajęło wiele czasu, chociaż powtórzono je po karsycku, w języku Imperium i po valdemarsku. Tremane musiał przeszukać całe miasto, zanim znalazł kogoś, kto znał karsycki — może kupca albo kapłana. Był to kolejny miły gest — pomimo straszliwej gramatyki.

Solaris i Selenay przeczytały go z ustami mocno zaciśniętymi. Selenay bez słowa przekazała pismo Darenowi, a książkę przeczytał je głośno.

I, jak przewidywał Karal, rozpetała się burza.

Mężczyźni i kobiety skoczyli na równe nogi, a każdy z nich domagał się, by wysłuchano go natychmiast. Początkowo, jak zwykle na zebraniach rady, było wiele hałasu i przekrzykiwania się, zwłaszcza ze strony tych, którzy mieli najmniej do powiedzenia. Solaris milczała złowroźnie, co czyniło Karala nerwowym. Siedziała obok Selenay w absolutnym bezruchu, jak statua. Karal znał tę pozę; przyjmowała ją tylko wtedy, kiedy była najbardziej formalna, występowała jako Syn Słońca, Sokół Światła, obrońca Wiernych.

Milczała, chociaż Jarim z nawiązką nadrabiał jej milczenie aż do chwili, kiedy Lo'isha, Zaprzysiężony szaman, po prostu położył dłoń na jego rękawie i popatrzył na niego. Wtedy Jarim nagle usiadł i nie odezwał się przez resztę spotkania.

Solaris w końcu złagodniała nieco, ale przez cały czas rzucała na Karala podejrzliwe spojrzenia, co przyprawiało go o jeszcze większe zdenerwowanie. Mógł poradzić sobie z Synem Słońca; nie był pewien, czy zdoła poradzić sobie z rozwścieconą Solaris, skoncentrowaną na złości z osobistych powodów.

Pilnie robił notatki, jak się dało, unikając jej wzroku. Zebranie zakończyło się, kiedy w końcu Selenay wstała i oświadczyła:

— To zbyt ważna wiadomość, aby podejmować decyzję pod wpływem chwili. Kończę zebranie, by wszyscy mieli sposobność przemyśleć zalety i wady tej propozycji. Zbierzemy się jutro, więc przygotujcie się, by zaprezentować swoje zdanie.

Z tymi słowami skinęła na Darena i oboje wyszli z sali, co oznaczało, iż cokolwiek się stanie, nie będzie już oficjalne.

Zamieszanie skończyło się nagle. Karal szybko zebrał swoje przybory i uciekł, podczas gdy reszta członków rady wciąż się spierała. Jednak zauważył, że Solaris również wyszła tymi samymi drzwiami co Selenay. Miał tylko nadzieję, że spędzi długi czas na rozmowie z władczynią Valdemaru. Przy odrobinie szczęścia zdoła się wymknąć z pałacu do „Róży Wiatrów”, zanim przypomni sobie o swych podejrzeniach i przyśle kogoś po niego.

Jednak tego dnia szczęście mu nie dopisało. Solaris czekała na niego w komnacie, siedząc na sofie tak sztywno, jakby był to tron.

— Zamknij drzwi, Karalu — rozkazała, kiedy wstrząśnięty stał w progu. Tępo posłuchał i odwrócił się do niej. Czuł się tak, jakby zamienił się w kamień, niezdolny odprężyć mięśni pod jej spojrzeniem.

— Stoisz za tym, a przynajmniej wiedziałeś, co robi Altra, nawet nie próbuj zaprzeczać — powiedziała sztywno, kiedy Karal opierał się o drzwi i czuł, że kolana pod nim drżą, a żołądek zwija się w supeł. — Altra to twój ognisty kot i nie ośmieliłby się uczynić czegoś tak bezczelnego, gdybyś ty o tym nie wiedział. W jakiś sposób przekonałeś go, że to dobry pomysł. Z tego, co mówiła Selenay,

ty i tych dwoje cudzoziemców od pewnego czasu zamykaliście się na jakieś obserwacje i poszukiwania. Nie potrzebuję zakłęcia, by pokazało mi prawdę albo by poskładać w całość oczywiste fakty.

Karal przełknął i skinął głową, tym jednym gestem przyznając się do wszystkiego. I tak nie mógłby przemówić, gdyż gardło miał zbyt ściśnięte.

Solaris wstała, krzyżując ramiona i mrużąc oczy, po czym podeszła do niego — w każdym jej ruchu przejawiał się gniew. Takiej Solaris obawiał się najbardziej — Solaris rozgniewanej.

— Ten człowiek rozkazał zabić kapłana Ulricha — twojego mistrza, mojego przyjaciela i czarnego kapłana Vkandisa! Jak mogło ci przyjść do głowy nawiązanie z nim kontaktu? Jakże znalazłeś powody, by się do niego zwrócić?

Po dwóch próbach Karal w końcu zdobył się na odpowiedź.

— Ponieważ... musiałem, Światłości — odrzekł słabo. — Ponieważ nie było wyboru.

Wtedy Solaris użyła całej swej zadziwiającej inteligencji i równie zadziwiającej złości, by przesłuchać Karala — a było to przesłuchanie równie bezlitosne, co wyczerpujące. Karal odpowiadał najlepiej, jak potrafił, ale po następnych dwóch markach na świecy — i po zakończeniu przesłuchania — drżał, spocony i słaby. Kiedy chciała, Solaris potrafiła być bardzo brutalna — bez podniesienia ręki czy głosu. Jej pytania były szczegółowe i surowe; rozłożyła charakter swego podwładnego na części i obnażyła każdą jego słabość, o której wiedział, i kilka takich, o których nie miał pojęcia. Chodziła wokół niego jak kot na polowaniu; raz stawiała w odległości włosa i syczała mu prosto w twarz, innym razem w takiej, jakby nie chciała nawet się do niego zbliżyć. Nie zostawiła na nim suchej nitki i przekonała go kilkakrotnie, że ma zamiar odesłać go do czyszczenia latryn w Świątyni — jeśli będzie miał szczęście, a ona będzie akurat w łaskawym nastroju.

Mimo wszystko Karal zdołał utrzymać swe niewzruszone przekonanie, że, mimo iż postąpili nagannie, nie mogli pozwolić na to, aby Tremane nadal był wrogiem sojuszu.

W końcu Solaris usiadła, choć jemu na to nie pozwoliła. Kilka chwil później odezwała się.

— Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałam twój tok myślenia — powiedziała chłodno. — Po pierwsze uważasz, że mieszkańcy Hardornu, a nawet podkomendni Tremane'a już zbyt długo cierpieli. Po drugie — istnieją wskazówki, że nowe granice jakichkolwiek osłon, jakie wzniesiemy po upadku starych, muszą obejmować wschodnią granicę Hardornu. Po trzecie — jest możliwe, że jeśli będziemy mieli dostęp do magów szkolonych w Imperium, możemy szybciej znaleźć rozwiązanie. Po czwarte... — skierowała na niego stalowe spojrzenie — ...czwarte. Doszedłeś do wniosku, że temu Tremane'owi można ufać.

— Przez cały czas, kiedy odpowiadał na moje pytania, był trzymany przez Altrę pod zaklęciem prawdy. Chronił mieszkańców Shonaru, chociaż nie musiał —

przypomniawszy jej Karal, drżąc i nie próbując nawet tego ukryć. — Co więcej, uczynił rzeczy, które na pewno nie przyniosłyby mu pożytku. Dotrzymał wszelkich przysiąg, jakie składał im i swoim ludziom.

— Hmm. — Wyraz jej twarzy nie zmienił się.

— Dodałbym piąty powód, ale jest on zupełnie subiektywny — powiedział Karal, czując, jak po plecach spływa mu pot. — Wydaje mi się... że żałuje tego, co zrobił.

— Żałuje — Solaris zacisnęła usta i wstała. — Muszę zrobić jeszcze kilka rzeczy, ale w tej chwili twoim zadaniem jest posłuszeństwo. Zostaniesz w komnacie do momentu, kiedy pozwolę ci wyjść, a będzie zależało to od tego, czego dowiem się w ciągu kilku następnych marek na świecy.

Przeszła obok, a Karal otworzył jej drzwi i przytrzymał. Wyszła, zostawiając go trzęsącego się z emocji i zmartwienia.

Kiedy zamknął drzwi, poszedł prosto do łóżka i położył się, wyczerpany tak, jakby obiegał całe miasto i zamiast kości miał wodę. Nie musiała wydawać mu rozkazu pozostania w komnacie — nawet gdyby wybuchł pożar, Karal nie zdołałby z niej wyjść.

Nie wiedział, co Solaris teraz robi, ale każda możliwość przyprawiała go o dreszcz lęku. Nie o siebie, ale o nią i o to, co uczynił dotąd sojusz.

Tremane patrzył, jak okna w komnacie drżą pod kolejnym uderzeniem zimnego wiatru niosącego tyle śniegu, iż nie było nic widać na zewnątrz. Kiedy tylko położył na biurku tubę z listem, kot znów się zmaterializował, pojawił się na biurku, położył łapę na tubie i zniknął wraz z nią.

Był to środek kolejnej zamieci. Tremane zczekał, aż się ona rozpęta na dobre, zanim położył na biurku swą starannie sformułowaną odpowiedź. Chciał mieć pewność, że będzie mógł przebywać w gabinecie przynajmniej kilka godzin w oczekiwaniu na odpowiedź. Nie działo się nic pilnego, mieszkańcy miasta i baraków zamknęli się bezpiecznie w mieszkaniach, zapełniając sobie czas przymusowej beczynności. Nikt nie będzie go potrzebował. Jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, będzie mógł czekać nawet dwa dni na odpowiedź.

To właśnie robił teraz: czekał. Spodziewał się, że kot pojawi się sam i przyniesie list — ostrożną wzmiankę o tym, iż jego propozycja jest rozważana. Być może — choć mniej prawdopodobne — kot pojawi się znów z chłopcem. Negocjacje wymagają czasu i wymiany wielu listów, zanim obie strony dojdą do konkretnych rozwiązań.

Nie oczekiwał odpowiedzi, jaką otrzymał — pojawienia się kota, owszem, ale nie z kobietą ubraną w wymyślne złoto-białe szaty, które rozpoznał dzięki opisom przekazanych przez szpiegów. Teraz przeklinał swoją głupotę — nie rozpoznał mniej skomplikowanej, męskiej wersji tego samego stroju na chłopcu.

Był to Najwyższy Kapłan (nie kapłanka) Solaris, Syn Słońca, duchowy i uświęcony przywódca całego Karsu. Z wyrazu jej twarzy odczytał, że jest gotowa od razu wbić mu w gardło rytualny sztylet, który miała przy pasku.

Oczywiście nie mógł się poruszyć. Kot ponownie trzymał go na uwięzi.

Oczy Solaris jarzyły się blaskiem wściekłości, która nawet jego, zahartowanego w bojach weterana, mogła przyprawić o dreszcz. Jej twarz była biała jak śnieg za oknem, ale ręce nie drżały.

— Daj mi powód, dlaczego ja nie muszę cię zabić, jak ty zabiłeś mój przyjaciel — wypluła z siebie w ciężko akcentowanym hardorneńskim.

„Nieźle, zważywszy, że najpewniej nie uczyła się go za długo.”

Myśli biegały mu po głowie. Co powinien jej powiedzieć? Co mógłby jej powiedzieć? W co uwierzy?

Prawdopodobnie w nic.

Nie, nie było sensu bronić siebie i swojego postępowania. Szukanie wymówek nie obroni go.

Gdyby mógł, wyprostowałby się w krześle. Skoro nie mógł tego zrobić, spojrział jej prosto w oczy. Zapewne znów jest zmuszony mówić prawdę, więc dlaczego nie miałby od niej zacząć?

— Nie mogę — powiedział odważnie. — Według prawa twojego i mojego kraju, moje życie należy do ciebie. Popeliłem morderstwo, choć nie własnymi rękami. Nie mogę usprawiedliwić decyzji, która okazała się tak błędna i tak zgubna.

Zmrużyła nieco oczy, jakby oczekiwała wykrętów — albo przynajmniej takiej próby. Czyżby jednak nie rzuciła na niego zaklęcia zmuszającego do mówienia prawdy?

— Co więcej, z tego, co wówczas wiedziałem, wynikało, że to wasz sojusz zsyła na nas magiczne burze jako broń mającą razić strachem — ciągnął. — Dlatego wysłałem własną broń, by zniszczyć sojusz. Zapewne dowiodłem w ten sposób mojej niższości moralnej, skoro w ogóle mogłem was podejrzewać o wysyłanie broni zabijającej zarówno wojowników, jak i cywilów. Udowodniłem to jeszcze bardziej, odpłacając wam tym samym. Imperium to groźny wróg, pani, a w ciągu wieków zyskaliśmy jeszcze gorszych nieprzyjaciół. Jesteśmy gotowi widzieć wokół siebie każdą niegodziwość i odpowiedzieć na nią tym samym.

Zmarszczyła się jeszcze bardziej, ale nieco szerzej otworzyła oczy.

— Ale zwracam ci uwagę, Synu Słońca — ośmielam się stwierdzić, że jako przywódca zapewne znalazłaś się w podobnej sytuacji. Tylko ty potrafisz powiedzieć, czy postąpiłabyś podobnie.

Trafił; poznał to po jej oczach i lekkim grymasie. Jednak jej gniew nie zmniejszył się.

— Pierwszy raz w moim życiu teraz — powiedziała przez zaciśnięte zęby — rozważam, żeby odwołać mój zakaz wzywania demonów i wezwać magów, by

sprowadzić te straszliwe duchy na twoje oddziały. Do tego mnie przyprowadziłeś!

Zanim odpowiedział, bardzo starannie rozważył słowa.

— Z tego, co o tobie wiem, jesteś zbyt sprawiedliwa, by mścić się na niewinnych za to, co zrobił tylko ich przywódca.

Podniosła głowę.

— Więc ty ofiarujesz mi swoje życie?

Podniósł brew — zostawiono mu przynajmniej taką swobodę ruchu.

— Mieszkańcy miasta, jak i moi podkomendni, polegają na mnie. Beze mnie Shonar i koszary popadną w chaos, gdyż nie znajdą innego człowieka, którego wszyscy przyjmą jako dowódcę. Najpewniej byłby to jeden z moich generałów; ktoś, kto nie wie tyle o tobie i będzie uważał sojuszu za śmiertelnego wroga. Jesteś zbyt dobrym przywódcą, by zabić byłego wroga, którego może zastąpić ktoś, kto nadal będzie twoim nieprzyjacielem — zaryzykował nieco śmielszy ton. — Nie jestem twoim wrogiem, Solaris. W moim liście napisałem prawdę. Straciliśmy kontakt z Imperium, Imperium nas opuściło. Moje obowiązki wobec ludzi każą mi dbać o ich bezpieczeństwo, a nie służyć mu kontynuowanie agresji w imieniu kogoś, kto opuścił nas, byśmy tutaj zgnili — udało mu się lekko wzruszyć ramionami. — Naszym prawdziwym wspólnym wrogiem jest siła, która zsyła na nas magiczne burze. Czy nie lepiej wspólnie stawić mu czoło?

Solaris znów zmrużyła w zamyśleniu oczy, choć jej szczęka nadal pozostała gniewnie zaciśnięta.

— Nie osiągnęłaś i nie utrzymałaś rangi Syna Słońca bez nauczenia się lekcji skuteczności, Światłości — dodał. „Teraz chyba trzeba zakończyć, póki sprzyja mi szczęście. Jeszcze jedno słowo może sprawić, że zmieni zdanie.”

— Owszem — syknęła. — Nauczyłam się.

Odeszła do tyłu; Tremane poczuł ulgę. Nie zamierzała go zabić — co oznaczało, iż najprawdopodobniej poprze jego starania o rozejm i sojusz.

Choć ten pomysł mógł się jej bardzo nie podobać, wiedziała, że przyniesie on większe dobro.

Nagle machnęła ręką, potem wykonała gest pięścią, a Tremane poczuł, że nędzne resztki jego osłon przeciwko magii załamują się i nikną. Co rozpoczęły burze, dokończyła jej moc; poczuł nerwowy skurcz żołądka.

— Ale przeklinam cię — powiedziała z ponurym uśmiechem. — Nakładam na ciebie klątwę, jej część już poznałeś. Potrzebujemy pomocy od ciebie, ale ciebie nie znam i nie ufam tobie. W imię Vkandisa Pana Słońca, mocą, jaką mi dał jako swemu Synowi, mówię ci, że nigdy mnie nie okłamiesz ani nie powiesz nikomu nieprawdy, ktokolwiek będzie cię pytał. Nigdy...

Tremane poczuł zimny dreszcz. „Nie mogła wymyślić straszniejszej klątwy dla syna Imperium” — pomyślał tępo. „Nigdy, nigdy nie będę mógł wrócić do domu...” Chociaż właściwie po tym, co zrobił, i tak nie miał powrotu.

— Poczuj przekleństwo albo wolność prawdy — zakończyła, uśmiechając się szerzej, z błyskiem w oczach. — A potem sprawdzimy, jakim jesteś człowiekiem.

Wzięła w ramiona kota i znikła.

Z jej zniknięciem znikł również paraliż; Tremane pochylił się w krzesło, osłabły z powodu reakcji i ulgi po przeżyciu.

Odetchnął głęboko i położył głowę na opartych na biurku ramionach. Nigdy jeszcze w całym dorosłym życiu nie był tak bliski płaczu. W całej swojej karierze nigdy nie udało mu się umknąć śmierci o tak cienki włos — nawet na polu bitwy — i nigdy nie udało mu się uratować w taki sposób: mówiąc prawdę.

„Teraz nie będę miał wyboru” — pomyślał, znów czując dreszcz. „Ale... może przeceniła swoją moc. Spróbuję.”

— Jestem wielki książę Tremane — powiedział głośno, podnosząc głowę z ramion. — Jestem magiem średniej mocy, mam czterdzieści pięć lat.

Zaklął cicho. Miał zamiar powiedzieć: „Magiem o zadziwiającej mocy, mam szesnaście lat.” Dopóki słowa nie wypłynęły mu z ust, myślał, że to właśnie powie.

Klątwa działała, nawet wtedy, kiedy nie słyszał go nikt oprócz niego samego.

„Przekleństwo prawdy” — pomyślał, opierając głowę na ręce i czując początek bólu głowy. „Jakże śmialiby się moi wrogowie!”

Ale miała rację. Teraz nawet on sam przekona się, jakim jest człowiekiem. Miał tylko nadzieję, że zdoła żyć z tym, czego się dowie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

„Nadal jestem posłem, mam ręce i nogi, nie obdarto mnie ze skóry i, niech mi Vkandis pomoże, pod tak wielkim naciskiem jakoś się trzymam.”

Solaris w końcu odeszła. Dziwne, ale nikt nie dowiedział się o strasliwym przesłuchaniu w apartamencie Karala. Pozostawiła go i jego autorytet nietknięty i nie wspomniała nikomu, iż rozpoczęcie rozmów z Tremane'em było pomysłem kogoś innego niż ognisty kot. Zaczęła nawet patrzeć na Karala ze swego rodzaju szacunkiem. Szacunek za to, że stawiał jej czoło? Może. Może szanowała go za to, że bronił swych przekonań, że nie pozwolił, by uczucia osobiste przeważały dobro ogólne.

Nie wiedział dokładnie, co zrobiła po wyjściu z jego komnaty. Nie chciał nawet pytać. Cokolwiek to było, poszła potem do Selenay, by poprowadzić naradę posłów i władców. Oprócz niej uczestniczyli w nim Selenay, księżę Daren w imieniu Rethwellanu, Jarim i Zaprzysiężony szaman jako reprezentanci Shin'a'in, Treyyan w imieniu k'Leshya i Mroczny Wiatr — przedstawiciel Tayledrasów. Ta mała, o wiele łatwiejsza do prowadzenia grupa opracowała pierwszą odpowiedź dla księcia Tremane'a, którą miał przenieść już nie Altra, ale Hansa.

„Chyba nigdy nie wybaczy Altrze.”

Karal nie miał pojęcia, co skłoniło Solaris do zmiany decyzji, ale cokolwiek to było, zadowoliło ją na tyle, że wybaczyła mu jego uczynek.

W końcu to Hansa przeskoczył z powrotem do Przystani z przedstawicielem Tremane'a — Karal cieszył się, że nie będzie miał więcej do czynienia z samym księciem. Nie mógłby stanąć twarzą w twarz z tym człowiekiem, nie czując chęci przeprowadzenia na jego ciele niedyplomatycznych i bardzo bolesnych doświadczeń z nożami i kamieniami.

Kiedy przekonał się, że dowódca armii wygląda jak urzędnik, Karal przestał oczekiwać czegokolwiek, tak więc nie zaskoczył go poseł Tremane'a — mag tak stary i wąty, że silniejszy podmuch wiatru mógłby go złamać. Ale chociaż czarodziej Sejanes był stary, miał całkowicie sprawny umysł. Należał do najbardziej bystrych ludzi, jakich Karal spotkał. Mówił już po hardorneńsku na tyle dobrze, by sprawić przyjemność niektórym wygnańcom przebywającym na valdemarskim dworze, a po przybyciu zaczął uczyć się valdemarskiego i tayledraskiego z szyb-

kością, która wprawiła Karala w podziw.

W końcu starzec przyznał, że był to wynik działania zaklęcia, od stuleci z powodzeniem wykorzystywanego w Imperium.

— Gdyby jeszcze nie istniało, należałoby je wymyślić — powiedział z błyskiem w oku. — Cały czas naszych urzędników pochłaniałaby nauka języków, a nie prawdziwe obowiązki.

— A co to za obowiązki, panie? — zapytał Mroczny Wiatr.

— Oczywiście prowadzenie Imperium — odparował stary wyga. — Każdy wie, że to urzędnicy rządzą, a reszta jest tylko na pokaz. W każdym razie cieszę się, że znalazłem się w miejscu, w którym znów mogę je rzucić i nie muszę go odnawiać co kilka dni.

Zaskakujące, ale stary człowiek całkowicie podbił Solaris — może przypominał jej Ulricha. Po swym przyjeździe spędził z nią kilka marek na świecy, a kiedy wyszli z komnaty, Solaris demonstrowała znacznie łagodniejszą postawę wobec cesarskich — a Sejanesa traktowała wręcz po przyjacielsku.

Co powiedzieli lub zrobili, nie było sprawą Karala, choć mogłoby zaspokoić jego ciekawość. Jeśli Solaris lub Sejanas uznaliby, że powinien o czymś się dowiedzieć, powiedzieliby mu. W końcu na świecie istniało wiele rzeczy, których się nie dowie — była to tylko jedna z nich.

Ku niezadowoleniu Śpiewu Ognia magowie Imperium zostali wyszkoleni zgodnie z analitycznym, logicznym podejściem do magii. W obliczu takiej przewagi przeciwko swej teorii o wyższości instynktu tyledraski adept dał za wygraną i poddał siebie i swoje metody podobnej analizie. I dobrze, gdyż według przyniesionych przez Sejanesa wieści osłony miały paść zaraz po Śródzimiu. Śpiew Ognia zaoferował się, że spróbuje ustalić dokładny czas jedynie za pomocą intuicji, jako ostatnią próbę udowodnienia przewagi sztuki nad matematyką. W końcu jednak poddał się i wykorzystał bardziej naukowe metody. Praca nad znalezieniem rozwiązania posuwała się w szybkim tempie. Wokół miasta z determinacją przygotowywało się do Śródzimowych zabaw, ale dla magów i rzemieślników szukających nieuchwytnego rozwiązania nie będzie czasu na zabawy.

W niespokojnym poszukiwaniu środków, jakimi magia mogłaby uratować Valdemar i jego sojuszników przed losem Hardornu, inne projekty studentów i magów zostały zaniedbane przez mistrzów.

Niektóre z tych projektów nigdy nie powinny być prowadzone bez nadzoru. Tydzień przed Śródzimiem wybuchł na terenie pałacu doświadczalny kocioł parowy rzemieślników.

Pałac zatrzęsł się w posadach; siedzący w sali Wielkiej Rady wymienili zaskoczone spojrzenia. Ogromny grzmot, tysiącrotnie silniejszy od najsilniejszych grzmotów, wstrząsnął pałacem i wszystkim, co się w nim znajdowało. Wstrząsnął

również ludźmi, napętniając ich atawistycznym, nagłym strachem. Z wszystkich obecnych jedynie Karal miał pojęcie, co się mogło stać.

— Kocioł! — wrzasnął i skoczył na równe nogi, rozrzucając swoje papiery i przybory do pisania, po czym pomknął ku drzwiom. Potknął się o nogi swego przewróconego krzesła, wymachując dziko ramionami, złapał jednak równowagę i pobiegł dalej. Wypadł za drzwi, zaskakując strażników, i pomknął w kierunku kolegów.

Jeden ze studentów rozpoczął prace nad maszyną parową, zanim zaczęło się zamieszanie z osłonami, które miały paść. Natoli i mistrz Isak pomagali mu do czasu, kiedy ich całą uwagę pochłonęło szukanie nowych osłon. Natoli czuła się winna zaniedbania kolegi. Chłopak nie miał zdolności do projektowania osłon i przez pewien czas pracował przy swej maszynie samotnie i bez pomocy. Miał pomysł, by ogrzewać kolegia gorącą wodą, która powstawała jako produkt uboczny pracy maszyny, podczas gdy tłoki miały poruszać pompę tłoczącą wodę ze studni i wykonywać najróżniejsze prace. Na przykład rąbanie drewna. Mechaniczna, napędzana parą piła zaoszczędziłaby służbie mnóstwo czasu. Jego wynalazki obejmowały także plany mechanizmu, który dostarczałby maszynie wodę i drewno. Była to najtrudniejsza część pracy i w niej zgodziła się pomagać Natoli.

Był to jeden z największych zbudowanych dotychczas kotłów, sięgał niemal wielkości człowieka i był wyjątkowo niebezpieczny. Wcześniej zdarzały się wybuchy — Karal pamiętał rozmowy w „Róży Wiatrów” — jeśli kocioł zbyt się podgrzał, albo rozgrzał bez wody lub gdyby podgrzali go na sucho, nie wiedząc o tym, a potem dolali wody.

Wybiegł z pałacu do ogrodu i nie zważając na zimno, biegł po śniegu. Przed nim z budynków kolegów wybiegali inni i kierowali się w tę samą stronę.

Kocioł stał w pewnej odległości od kolegów; obudowano go rodzajem ceglanej wieżyczki, by nie szpecił krajobrazu. Te ściany mogły zatrzymać eksplozję.

„A jeśli ktokolwiek znajdował się w budynku, został uwięziony pomiędzy wybuchającym kotłem a ceglana ścianą!”

Karal czuł się jak w sennym koszmarze, kiedy biegł do utraty sił, aż płuca i boki paliły z bólu i nie mógł złapać tchu, ale niemal się nie posuwał w sięgającym kolan śniegu. Kiedy dotarł na miejsce, zebrało się tam już wielu innych, a rannych odniesiono. Zostały jedynie szczątki wieży i kotła. Drewniane ramy drzwi i okien zostały wyrzucone razem z deszczem odłamków szkła i drzazg, a same ściany popękały i niebezpiecznie się pochyliły. Niektórzy ludzie wsypywali do środka wiadra śniegu, zapewne po to, by zgasić ogień i ochłodzić resztki kotła. Po wsypaniu każdej porcji śniegu podnosiła się chmura pary i słychać było złowieszczy syk.

Karal wypatrzył jednego z mistrzów, zajmującego się mechanizmami i mechaniką — mistrza Isaka. Stary mężczyzna stał w śniegu, bez wyrazu na kwadratowej, pomarszczonej twarzy, z płaszczem ubranym na lewą stronę.

— Co się stało? — zawołał Karal, chwytając go za rękaw. — Czy ktoś został ranny? Kto tu był?

Isak wytarł czoło, siwe włosy i bokobrody sterczały mu jak u rozzłoszczonego kota.

— Sam kocioł nie pękł — odezwał się niejasno. — To rura wychodząca — po prostu wybuchła i w jednej chwili wyrzuciła kocioł z podstawy, ciskając go na ścianę. Była tu czwórka studentów i wszyscy zostali ranni, ale tylko Justen ciężko. Biedak! Biedak! Usiłował otworzyć zawór bezpieczeństwa, żeby wypuścić parę, ale to nie wystarczyło. Pobiegł do drzwi, jednak, kiedy wybuchło, był wciąż w środku, a tamci dotarli do wyjścia, więc wyrzuciło ich w śnieg... straszne. Straszne.

— Czy była tu Natoli? — zapytał gwałtownie Karal, szarpiąc starca za rękaw. — Była?

— Zabrali ją z pozostałymi do uzdrowicieli — wymamrotał Isak, wpatrując się tępo w poplamione krwią resztki drzwi i załamując ręce. — Uzdrowiciele mają ich wszystkich u siebie. Nic więcej nie wiem. Po prostu poszli...

Karal puścił jego ramię i skoczył — a przynajmniej usiłował — w kierunku Kolegium Uzdrowicieli. Bieg w śniegu przypominał bieg w sypkim sianie — nie dawało się zrobić kroku. Zanim dotarł do kolegium, uzdrowiciele zabrali Natoli do osobnego pokoju i nie pozwalali nikomu do niej wchodzić.

— Ma wstrząs mózgu, stłuczenia, złamaną kostkę i nadgarstek — powiedzieli Karalowi. — Nie wiemy jednak na pewno i dlatego nie chcemy, żeby ktokolwiek jej teraz przeszkadzał. I tak jest wytracona z równowagi.

Wkrótce Karal dowiedział się, dlaczego — Justen, chłopak, któremu pomagała, stracił obie nogi do kolan i był mocno poraniony na całym ciele. Jedyne faktu, że wybuch wyrzucił go przez drzwi w śnieg, uratował go przed poważniejszymi oparzeniami. Jego odzież przesiąkła wrzącą wodą, ale śnieg ochłodził ją szybko, tak że oparzenia w miejscach chronionych przez nią pozostały powierzchowne, choć bolesne.

— Przynajmniej to nie ręce ani oczy — powiedział ponuro jeden z uzdrowicieli, wycierając zakrwawionym rękawem spocone czoło. — Jako rzemieślnik może sobie poradzić bez nóg, ale nie bez rąk i wzroku. A biorąc pod uwagę, że znajdował się w tym samym pomieszczeniu co kocioł, mógł zginąć.

Co do tego wszyscy się zgadzali — mogło być o wiele gorzej. To jednak nie pocieszało Karala. Było wystarczająco źle! Błąkał się po cichych korytarzach, rozpaczliwie usiłując znaleźć kogoś, kogo mógłby wypytać, ale ci, którzy zajmowali się czwórką studentów, byli zajęci i nie mieli czasu z nim rozmawiać. Inni, których pytał, mogli jedynie przepaszająco powiedzieć, że wiedzą tyle, co i on.

W końcu dał za wygraną i skierował się ku komnacie w pałacu, przeznaczonej do wspólnej pracy rzemieślników i magów. Może tam ktoś będzie coś wiedział.

Nikt nie wiedział, a w komnacie panowała atmosfera przygnębienia. Niektó-

rzy, jak mistrz Levy i An'desha, pracowali przy stole wodnym i innych zadaniach; ich zacięte twarze i zaciśnięte usta mówiły, że starali się jedynie skupić na czymkolwiek. Inni nawet nie udawali, że pracują, po prostu siedzieli ze zwieszonymi głowami i mocno zatroskanymi twarzami, podnosząc w górę szeroko otwarte, pełne nadziei lub strachu oczy, kiedy tylko ktoś podszedł do drzwi.

Karal dołączył do grupy przy stole wodnym — próbowali nowej sztuczki An'deshy: wrzucania do wody pierścienia, zamiast kamienia, i obserwacji, jak zachowują się fale biegnące ku jego środkowi. Ponieważ fale magicznych burz powracały z czasem do swego pierwotnego ośrodka, ten sposób wydawał się najlepszą imitacją rzeczywistości.

Robili to wciąż i wciąż, wprowadzając drobne zmiany i bezmyślnie powtarzając doświadczenie, po czym notowali wszystko, co zauważyli. Do komnaty wchodziło coraz więcej ludzi, jakby zdawali sobie sprawę, że wszelkie nowiny od uzdrowicieli dotrą najpierw tutaj.

„Ściany wieży pochyliły się na zewnątrz, a z kotła zostały tylko metalowe ścinki” — pomyślał Karal, czując, jak niewidzialna ręka ściska jego serce. „Jak mogła nie zostać ranna? Kawałki metalu musiały śmigać w powietrzu jak noże! Czy powiedzieli mi to tylko po to, żeby mnie nie martwić?”

Gdyby tylko wiedział! Gdyby przyszedł ktoś z wiadomością! Na ławce obok leżało pudełko ze żwirem, którego używali w doświadczeniach. Karal zaczął zbierać z niego garście kamyków i z powrotem wrzucać je po jednym do pudełka. Mroczny Wiatr owijał stosinę pióra cieniutkim srebrnym drucikiem, a Elspeth metodycznie ostrzyła nóż. Zgrzytliwy dźwięk mieszał się z chłupotem kamyków padających do pudełka, tworząc szczególny, hipnotyczny rytm.

Karal!

Karal zacisnął dłoń na kamykach, kiedy tuż przed nim z nagłością błyskawicy zmaterializował się Altra. Elspeth upuściła sztylet.

Karal, właśnie byłem u Natoli — wszystko w porządku. Albo raczej, jest nie gorzej, niż powiedzieli uzdrowiciele. Wstrząs mózgu, pęknięty obojczyk, stłuczenia, złamany nadgarstek, ale tylko mocno zwichnięta kostka.

Kiedy tylko Altra mu to powiedział, Karal jak najszybciej przekazał nowinę reszcie obecnych. W miarę jak mówił, nastrój w komnacie zmieniał się radykalnie.

Justen przeżyje, nawet zaczyna już robić wariackie plany sztucznych nóg i krzesel na kółkach. Jego oparzenia są bolesne, ale mamy teraz nowe opatrunki i nowe lekarstwa od k'Leshya, które o wiele lepiej działają. Ferd ma wstrząs mózgu i złamane nadgarstki, ale zagoją się bez śladu. David złamał trzy żebra i ramię. To wszystko. To wszystko. Wyzdrowieją!

W komnacie zabrzmiały wiwaty, choć Karal myślał tylko o Natoli. Krzyknął dziko i rzucił swą garść kamyków wysoko w powietrze. An'desha wrzasnęła i puściła pierścień, który trzymał w ręce, zakrywając dłońmi głowę w obronie przed

sypiącym się na niego żwirem.

Pierścień i jeden z kamyków równocześnie spadły na wodę; kamyk równo w środku pierścienia. An'desha zignorował go, zrobił salto przez ławkę, przyskoczył do Karala i zaczął go klepać po plecach, by wyrazić ulgę i radość.

Jednak mistrz Levy, nie zwracając na nich uwagi, pochylił się uważnie nad stołem wodnym.

Kiedy w końcu przestali się zachowywać jak para półgłówków, mistrz niecierpliwie skinął na An'deshę.

— Możesz podejść? Zdarzyło się coś ciekawego.

Na te słowa odwróciły się wszystkie głowy i w komnacie zapadła cisza, gdyż mistrz Levy nigdy nie używał słowa „ciekawe”, jeśli nie zaszło coś niezwyklej wagi dla doświadczenia czy obliczeń. An'desha podszedł do niego i podniósł pierścień z wody.

Mistrz Levy podniósł kamień.

Dał sygnał magowi, by upuścił pierścień i dokładnie w tej samej chwili upuścił kamyk w środek pierścienia.

— Tutaj — powiedział, kiedy An'desha pochylił się nad stołem. — Tu, gdzie spotykają się dwie fale — widzisz?

— Znoszą się nawzajem — powiedział An'desha. — Woda nie jest idealnie gładka, ale to tylko drobne zakłócenia. Marszczy się... i łamie.

Mroczny Wiatr wstał gwałtownie, Elspeth również.

— Zrób to jeszcze raz! — rozkazał. — Chcę to zobaczyć.

Wokół zebrali się inni, także ci, którzy przyszli tu w nadziei na nowiny o rannych studentach. Doświadczenie zostało powtórzone kilkakrotnie, kamyk upuszczano równocześnie z pierścieniem, moment później i moment wcześniej. We wszystkich przypadkach fale powstające po upadku pierścienia zostały przynajmniej częściowo zniesione przez fale powstałe po upadku kamyka.

Sztuczka udawała się najlepiej, kiedy kamyk rzucono dokładnie w środek pierścienia.

— O to chodzi — powiedział mistrz Levy z błyskiem w oczach.

— Ale jak mamy stworzyć siłę odpowiedniej wielkości i przeciwnym kierunku, żeby znieść fale magicznej burzy?

Karal z powrotem podszedł do mistrza Levy'ego, który właśnie zadał typowe dla siebie, brutalnie trafne pytanie. Wolałby być przy Natoli, ale uzdrowiciele nie dopuszczali nikogo do rannych studentów. Teraz, kiedy wrócił po połowie marki na świecy, nadal toczyła się żywa dyskusja.

— Więcej magii, jak przy ostatecznym ciosie — powiedział Mroczny Wiatr. — Burze zostały wywołane przez magię. Za pomocą magii możemy stworzyć przeciwną siłę, coś, co na raz uwolni ogromną ilość energii. Poprzednio już

niweczyliśmy energię magiczną, robimy to cały czas w zaklęciach pułapkach, które mają powstrzymać moc kogoś lub czegoś — jego twarz również się rozjaśniła. — Oto nasze rozwiązanie, przynajmniej na teraz! Nie możemy stworzyć czegoś, co dokładnie powtórzy siłę pierwotnego kataklizmu, ale założę się, że możemy zyskać więcej czasu! Albo przynajmniej. . .

— Ale. . . — zaczął mistrz Levy.

Mroczny Wiatr zamachał ręką i mistrz zamknął usta.

— Albo przynajmniej zniwelować szczyty fal. Nie wiem jak, ale musi być na to sposób. Mamy magów czterech różnych dyscyplin i jeśli nie potrafimy nic wymyślić, zjem moje buty bez sosu!

— Mam nadzieję, że lubisz skórę — zamruczał mistrz, ale usłyszał go tylko Karal.

— Zbiorę magów w Wielkiej Sali — powiedziała Elspeth i wybiegła, zanim ktokolwiek zdążył ją zatrzymać — chociaż nikt nie miał takiego zamiaru. Mroczny Wiatr spojrział na An'deshę, który wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie — odpowiedział. — Nawet nie jest jeszcze ciemno. Mamy całą noc na dyskusję.

Kiedy w końcu grupa się zebrała, okazało się, że w jej skład wchodzi nie tylko magowie Tayledrasów, Sejanes, magowie k'Leshya i magowie Białych Wiatrów wciąż uczący w kolegium, ale także Karal, Altra, Zaprzysiężony szaman Shin'a'in — Lo'isha oraz jeden z magów-kapłanów karsyckich walczących poprzednio z Ancarem, ten sam, który uratował życie ojcu Natoli. Musieli wykorzystać wielką salę, gdyż w żadnej innej komnacie nie pomieściłyby się cztery gryfy. Mistrz Levy kazał opróżnić wodny stół, przynieść do sali i napełnić ponownie, by móc pokazać swoje odkrycie.

Wszyscy obecni pochyliли się z wielkim zainteresowaniem nad stołem Mistrz Levy i An'desha zademonstrowali wiele razy swoje doświadczenie, tak żeby każdy miał szansę przyjrzeć mu się dokładnie.

— Teraz — powiedział mistrz Levy, kiedy obejrzelі doświadczenie — przyznam, że jestem w kropce. Wam zostawiam decyzję, czy model wiernie odbija rzeczywistość, a jeśli tak, co możemy z tym zrobić.

— Na początek — moi ludzie ze Shonaru mierzyli siłę, czas trwania i częstotliwość burz — odezwał się Sejanes szybko. — Mamy pomiary wszystkich burz do momentu mojego wyjazdu, ale w trosce o jak największą dokładność powinniśmy uzyskać najświeższe dane. Jeśli pan kot zanieś wiadomość. . .

Altra z wdziękiem skinął głową.

— . . . Mogę poprosić ich o dostarczenie nam najnowszych wyników pomiarów i sprawdzić, jak wielką siłę trzeba będzie stworzyć, by uzyskać efekt zniesienia fal. — Sejanes skreślił krótką wiadomość, a Altra przeszedł po stole, wziął ją i zniknął. Magowie tak się przyzwyczaili do jego pojawiania się i nagłych zniknięć, że nie zwrócili uwagi.

— Mamy większy kłopot — zauważył mistrz Levy. — Istnieje nie jedno, ale dwa ośrodki fal, z czego jedno całkowicie niedostępne, o ile nie jest się rybą.

— To prawda — przyznał jeden z ludzkich magów k'Leshya.

— Jednak największe trudności pojawiają się w miejscu przecięcia fal, tam powstają zaburzenia, pojawiają się potwory, a kawałki gruntu przenoszone są z miejsca na miejsce. Może gdybyśmy mieli do czynienia z jednym rodzajem fal, ich wpływ na magię byłby tymczasowy i można byłoby się przed nim osłonić, jeżeli uda nam się wyeliminować fale z Donsza.

Mistrz Levy wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

— Nie będę udawał, że rozumiem magię, obserwuję i wyciągam wnioski tam, gdzie potrafię.

Sejanes zaśmiał się chrypliwie i klepnął go w plecy Staruszek był silniejszy, niż się wydawało — mistrz Levy zachwiał się na nogach.

— Ukrywasz arogancję za fałszywą skromnością, chłopcze? Nie fatyguj się, wiemy, że należymy do wybranej grupy — ty też. Pytanie brzmi co będzie naszym kamykiem?

— Siła początkowa musi być bardzo duża — powiedział poważnie Mroczny Wiatr. — Bardzo. Muszę zaznaczyć, przyjaciele, że według mnie nie da się stworzyć nic wystarczająco potężnego, by stawiło czoło ostatniej fali — odbiciu samego kataklizmu, o ile nie chcemy ryzykować powstania kolejnych Równin Dorisza czy jeziora Evendim. A nie sądzę, by ktokolwiek chciał to zrobić.

— Raczej nie mam ochoty na gigantyczny wybuch w centrum mojej ojczyzny — wtrącił Lo'isha. — Wolimy raczej Równiny takie, jakie są, a nie jestem pewien, czy zdołalibyśmy przekonać Gwiazdzistooką, żeby naprawiła po raz drugi to, co zniszczymy, niezależnie od szlachetności naszych intencji.

— Zaraz, zaczekajcie — przerwał Sejanes. — Problem w tym, że pierwotny kataklizm był skutkiem dwóch wydarzeń, z których oba miały wywołać jak największe fizyczne zniszczenia. Pamiętacie? F i z y c z n e. Wasz Mag Ciszy chciał zniszczyć całą siłę nieprzyjaciela i swoją własną wieżę — gdyby nieprzyjaciel jakimś cudem przeżył, nie mógłby z niej korzystać. Ale my chcemy jedynie wysłać siłę przeciwko sile magii, na poziomie energii. Dlaczego nie mielibyśmy zrobić właśnie tego: skierować całą uwolnioną moc na poziom energii? Szczerze mówiąc, niszczenie ogromnych połaci ziemi to marnowanie mocy, którą możemy użyć w innym celu!

Mroczny Wiatr otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamyślił się i zamknął je z powrotem. Jeden z nowych gryfów, mocno zbudowany, podobny do jastrzębia, z zastanowieniem kłapnął dziobem.

— Jeśli skoncentrujemy moc na tym poziomie, możemy osiągnąć lepsze rezultaty z mniejszą ilością energii, niż wymagał sam kataklizm.

— Dokładniej mówiąc, na krawędzi poziomów, gdzie fale ocierają się o nasz świat i powodują szkody fizyczne — uściśliła Elspeth. Gryf z przekonaniem kiw-

nał głową.

— Co sprowadza nas znowu do pytania: jak? Potrzebujemy kontrolowanego wybuchu — powiedział Sejanus. — Nie zaś powstrzymanego uwolnienia energii. Większość z nas przyzwyczaiła się do myślenia w tych kategoriach: jedyne kontrolowane wybuchy energii, które zwykłem przeprowadzać, to błyskawice i inne niemiłe niespodzianki. Albo Ostateczny Cios, ale mag, który go zadaje, nie przeżyje tego doświadczenia, a ja wolałbym przeżyć.

Lo'isha wyglądał na pogrążonego w głębokim zamyśleniu; wstał i chrząknął, skupiając na sobie ogólną uwagę. Wszyscy zamarli, wpatrzeni w Shin'a'in.

— Dla pewności powtórzę to, co niektórzy z was już wiedzą — odezwał się. — Był to ściśle strzeżony sekret w naszym ludzie, ale nadchodzi czas, kiedy wszelkie tajemnice zostaną odkryte. Po kataklizmie wszyscy znani poprzednio jako Kaled'a'in. . .

— Z wyjątkiem klanu k'Leshya — przerwał mag k'Leshya.

— Tak, z wyjątkiem k'Leshya — zebrali się na krawędzi krateru, który kiedyś był ich ojczyzną i gdzie kiedyś stała wieża Urtho. Wskutek różnicy zdań na temat magii i postępowania z nią w przyszłości podzielili się na dwa spokrewnione ludy: Shin'a'in i Tayledras. Sokolim Braciom, którzy postanowili dalej podążać ścieżką magii, Gwiazdzistooka wyznaczyła zadanie oczyszczenia ziem skażonych magią kataklizmu. Shin'a'in, którzy zdecydowali się zawsze już unikać wszelkiej magii oprócz magii szamanów, dała inne polecenie — przerwał i na chwilę zamknął oczy. — W zamian za to przywróciła nam dom, a ponieważ ślubowaliśmy nie używać magii, nie doświadczyliśmy skutków magicznych burz owych czasów. Dostaliśmy za zadanie pilnować Równin przed wszelkimi obcymi. Tyle wiedzą wszyscy. Nie wszyscy jednak znają powód, dla którego to robimy. W centrum Równin, w miejscu znanym jedynie zaprzysiężonym czterem twarzom Bogini, leżą szczątki wieży Urtho. Pod powierzchnią ziemi spoczywają różne rodzaje broni, której Urtho nie chciał wykorzystać. Są bardzo potężne. Według naszej tradycji wciąż żyją i są gotowe do użytku. Przynajmniej jedna z nich powinna być tym, czego potrzebujemy.

Shin'a'in wyciągnął sztylet i położył go na stole.

— Czas zakończyć straż.

Zgromadzonym przy stole otwierały się usta; Karalowi również.

— Oto jedyny problem, jaki przewiduję, a dzięki temu, że są z nami nasi bracia i siostry z Kaled'a'in i k'Leshya, powinien być nawet mniejszy, niż myślałem — ciągnął szaman. — Kiedy dotrzemy do skrytki z bronią, która powinna być nietknięta, będziemy musieli poszukać tego, co najlepiej nam posłuży. Będziemy musieli zdecydować, jak to uruchomić albo dostosować do naszych potrzeb — uśmiechnął się lekko. — Nie muszę wspominać, że Urtho nie zostawił spisu ani instrukcji.

Karal zorientował się, że ze zdziwienia wstrzymał oddech i zmusił się do za-

czerpnięcia dużego haustu powietrza. Treyvan wstrząsnął się i posaż pazur.

— Przypominam sobie litanie „przyjacielskich stworzeń”, które magowie k’Leshya muszą się nauczyć na pamięć.

— Oczywiście, „Girlanda Śmierci” — podpowiedział ktoś z ludzi. — To może być lista i opisy! Ale zawsze myślałem, że jest to tylko ćwiczenie pamięci o szczególnie ponurym tytule. . .

— Jesst — zgodził się Treyvan. — Ale jak wiele elementów naszego szkolenia, ma zapewne więcej niż jeden cel.

— Kolejny problem — odezwał się ktoś spod drzwi. Wszedł Śpiew Ognia, u jego boku kroczył Srebrny Lis. — Przepraszam za spóźnienie, ale sprawdzałem pewne moje wyliczenia. Panie i panowie, wiedzieliśmy, że mamy niewiele czasu, ale teraz wiem dokładnie, ile go zostało. Jak dostaniemy się na Równiny Dorisza przed zapadnięciem się osłon? Musimy tam dotrzeć dwa tygodnie po Śródziemiu — podróż zimą przez dwa kraje. Potem trzeba dojechać do centrum Równin i uporządkować broń, którą znajdziemy. Jak mamy to zrobić?

Zapadła cisza. Przerwała ją Elspeth.

— Niedaleko Doliny k’Leshya, na krawędzi krateru, istnieje stała Brama — powiedziała. — Musi być, tam zniknął Zmora Sokołów, a jak inaczej. . .

— Tak! — krzyknął żywo An’desha. — Jest, pamiętam! Wiem, gdzie jest! Ale jak tam dotrzemy?

— Phi. Drobnostka — odezwał się Sejanus.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na niego, a on uśmiechnął się szeroko i zaprezentował swą wiedzę tak, jak dziadek pokazuje cukierki w komnacie pełnej dzieci.

— My, magowie Imperium, jesteśmy mistrzami portali — wy zwiecie je Bramami. Możemy je odnaleźć z bardzo daleka, włączyć się w obce portale i tworzyć stałe struktury. Ale przede wszystkim wiemy, jak budować portale, wykorzystując energię pochodzącą z zewnątrz albo z połączonej energii kilku magów. — Mag uśmiechnął się szerzej i szeroko rozłożył ręce. — Mogę nauczyć nawet waszych czeladników, jak połączyć siły z pojedynczym adeptem, aby stworzyć taki portal, a skoro po drugiej stronie zaczepimy go o stałą konstrukcję, powinien wytrzymać jakiś czas. Czy w ten sposób uda nam się dotrzeć do waszej zburzonej wieży?

Po tylu miesiącach jałowych kłótni, omal nie krwawej zemsty, strachu, drwin i gniewu mieli wreszcie coś więcej niż złudną nadzieję. Ludzie o twórczych umysłach, pochodzący z różnych kultur, zebrali się razem i pomimo dzielących ich różnic posłuchali głosu rozsądku. Wydawało się to niemal zbyt łatwe, kiedy mówiono o tym, co się stało, a jednak wszystkie części łamigłówek pasowały do siebie. Kiedy sprecyzowano potrzeby, wsunęły się na swoje miejsce jak dobrze wyszkoleni żołnierze. Karal był oszołomiony tym, że o włos uniknął tragedii.

„Katastrofa może się jeszcze zdarzyć” — ostrzegł siebie samego. „Nie licz piskląt, póki się nie opierzą.”

Ale. Ale! Gdyby nie przełamał swego żalu i nie rozpoczął negocjacji z Tremane’em — gdyby k’Leshya czekali z wysłaniem poselstwa — gdyby szaman zdecydował się zostawić sprawy w rękach Tarima — gdyby Elspeth i An’desha nie przypomnieli sobie o cudownej ucieczce Zmory Sokołów po ataku Zaprzysiężonych Mieczowi. . .

Jednak wszystko pasowało, a kto mógłby powiedzieć, że gdyby nie znaleźli tego rozwiązania, nie byłoby innego? „Altra i Hansa mogliby przeskakiwać z ludźmi, biorąc po dwóch. Albo nawet więcej — Altra przeniósłby jednocześnie mnie, An’deszę i Floriana. Moglibyśmy spróbować wykorzystać Ostateczny Cios, nieco złagodzony. Moglibyśmy osłonić kamienie-serca najsilniej, jak umiemy, poczekać, aż osłony padną, przetrzymać jedną serię burz i pojechać na Równiny.”

Nie, nie było to jedyne rozwiązanie, a wszystkie części układanki, które tak do siebie pasowały, mogły zostać zastąpione innymi — ale w tej chwili było to chyba najlepsze rozwiązanie. Najważniejsze, że każdy, kto posiadał cokolwiek, co mogło posłużyć znalezieniu rozwiązania, przyczynił się do jego znalezienia.

Kiedy rozpoczęto przygotowania, zaczęli zgłaszać się chętni — lub rezygnować z wyprawy. Zgłoszyli się jak zwykle niespokojne duchy: Śpiew Ognia, Treyvan i Hydona (którzy skoczyliby w ogień za możliwość zobaczenia wieży Urtha, a raczej jej resztek), An’desha. Było kilka niespodzianek — Elspeth i Mroczny Wiatr zostali, ponieważ mieli zamiar podtrzymywać osłony nad valdemarskim kamieniem-sercem. Zgłosił się Srebrny Lis, twierdząc, że przyda się ktoś z podstawami wiedzy uzdrowicielskiej. Zgłosił się również Florian („za Valdemar”). Jechał oczywiście Zaprzysiężony szaman Shin’a’in, Lo’isha — przecież była to jego ojczyzna. Magowie Białych Wiatrów stwierdzili, że nie potrafią tu pomóc. Altra jechał.

Jechał również Karal, choć nie był magiem. Nalegali na to zarówno Altra, jak i An’desha, mimo że nie miał pojęcia, do czego może się im przydać.

Na wszelki wypadek — powiedział Altra tajemniczo.

Karal miał tylko nadzieję, że ów wszelki wypadek nie będzie pociągał za sobą sytuacji podobnej do tej na granicy Iftelu. Stanie się kanałem dla nieznaney mocy zaczynającej się tuż za magicznymi barierami — cokolwiek robiłby kanał — zaliczał to do najgorszych osobistych doświadczeń w swym życiu. Naprawdę nie miał ochoty go powtarzać.

An’desha twierdził, że chciał obecności Karala tylko jako bufora pomiędzy sobą a Śpiewem Ognia. To było łatwiejsze.

Karal chciał zostać z Natoli i poczucie obowiązku walczyło w nim z życzeniami. Jeśli Altra życzył sobie, żeby pojechał, zapewne miał powody związane z obowiązkami Karala jako kapłana. Ale Natoli również go potrzebowała.

W końcu to Natoli rozwiązała jego dylemat.

Poszedł ją odwiedzić do kolegium uzdrowicieli i opisał przygotowania do podróży do ruin wieży. Słuchała z zainteresowaniem, trzymając obandażowaną rękę w łupkach blisko ciała.

— Chciałabym z wami pojechać — powiedziała z żalem. — Chociaż zapewne nie widziałabym nic z tego, co się zdarzy. Pomyśl, jak stara jest ta wieża! Ile można się dowiedzieć z inskrypcji, jeśli jakieś są! A jeżeli zachowały się w niej książki — kto wie, na jakie szlaki mogłyby nas skierować! — westchnęła i spojrzała z żalem na bandażę wciąż pokrywające jej rany. — Ale cóż, nie mogę. Będziecie jechać szybko, żeby na czas przedostać się przez Równiny i nie możecie brać ze sobą nikogo, kto zwalniałby tempo podróży.

— Co masz na myśli, mówiąc „będziecie”? — zapytał Karal. — Nikt nie rozkazał mi jechać.

— Nikt ci nie rozkazał, ale chyba mówiłeś, że An'desha Altra chcieliby, żebyś pojechał — odparła ze zdziwieniem.

— Mogą sobie chcieć — odrzekł z uporem. — Tym razem nam inne zdanie. Mam dość podejmowania za mnie decyzji.

Zmarszczyła się.

— Jedziesz z magami na Równiny czy nie? — zapytała ostro. — Jeśli nie jedziesz dlatego, że nie chcesz, to inna sprawa, ale lepiej nie rezygnuj z mojego powodu!

Jej stanowczy ton i iskry gniewu w oczach nieco go zmieszały.

— Dlaczego nie? — zapytał.

— Ponieważ nie zgadzam się, dlatego! — zawołała. — Jeśli Altra chce, żebyś pojechał, czy nie jest twoim obowiązkiem pojechać? Nie będziesz zaniedbywał swoich obowiązków tylko dlatego, żeby dotrzymywać mi towarzystwa! Nie oczekuję od ciebie takiego zachowania i nie chcę go, a ty też nie oczekuj czegoś podobnego ode mnie.

Jej gwałtowność odebrała mu na chwilę głos. Natoli mówiła dalej.

— Moim zadaniem jest odkrywanie nowych faktów i nowych sposobów działania, a czasami jest to niebezpieczne — ciągnęła nieco spokojniej. — Zobacz, co się stało z kotłem. Mogłam zginać!

— Wiem... — odrzekł tępo.

— Więc? — patrzyła na niego z wyzwaniem w oczach. — Czy prosiłbyś mnie o wybór pomiędzy tobą a moją pracą?

„Gdybym to zrobił, straciłbym ją” — uświadomił sobie. „Ma prawo do własnego życia i pracy. Nie wolno mi wymagać od niej rezygnacji z czegokolwiek.”

— Nie — odrzekł cicho.

— I ja nie wymagam i nie będę wymagała tego od ciebie — odparła, nieprzerwanie przesuwając palcami po bandażu na ramieniu. — To niesprawiedliwe i nieuczciwe. To, co mają zrobić magowie, jest niebezpieczne, prawda?

Zadrzał.

— Bardziej niż niebezpieczne. Shin'a'in oczywiście wie, gdzie leży wieża, a odkąd zdecydowali, co zrobić, pracują nad odnalezieniem wejścia do skrytki — ale kiedy się tam znajdziemy, będziemy porządkować broń bardzo starą, prawdopodobnie w nie najlepszym stanie i nie zawsze magiczną. Według niektórych najgorzej może być ze zwykłą, fizyczną bronią. Kiedy znajdziemy to, czego szukamy, nie wiemy, co to będzie, i będziemy musieli sobie z tym poradzić.

Usłyszał, że powiedział „my”, zanim zdołał sobie to uświadomić. Natoli uśmiechnęła się — również to zauważyła.

— Zatem jedziesz — stwierdziła.

Westchnął.

— Skoro Altra chce, żebym tam był, i jest bardzo tajemniczy, to znaczy, że według niego mogę się przydać do czegoś, czego bym nie zrobił, gdybym miał wybór — skrzywił się. — Gdybym nie pojechał, na pewno znaleźliby inny sposób, by sobie poradzić, ale z pewnością moja obecność ułatwi znalezienie rozwiązania. W takim przypadku jak ten — rozwiązanie drugie w kolejności może się okazać nie dość dobre.

Zdrową ręką sięgnęła po jego dłoń.

— Wiesz, jakbyś się czuł, gdyby coś poszło źle tylko z powodu twojej nieobecności.

— Jeśli się nie uda, znajdziemy się w gorszych tarapatach niż Hardorn — teraz poprawił ją, czując dreszcz przebiegający po ciele. — Pomyśl, co by się stało, gdyby upadły osłony wokół kamienia-serca.

Natoli zbladła — i nie bez powodu.

— Ale może niepotrzebnie się martwimy — ciągnął. — Może się okazać, że przydam się tylko jako para rąk do parzenia herbaty. Gdyby Altra był przekonany co do konieczności mojego wyjazdu, nie dałby mi wyboru. Powiedział, że mogę się przydać na wszelki wypadek. Wszyscy z darem wróżenia usiłowali odczytać przyszłość, ale nikt nie powiedział nic pewnego. Podobno obrazy są zbyt niejasne i nie ma jednoznacznej ścieżki w przyszłość po tym, jak znajdziemy skrytkę i broń — ucisnął jej dłoń i pozwolił sobie na chwilę niepewności. — Powiedz: jaki jest pożytek z bycia kapłanem i rozmawiania z awatarami, jeśli ani bóg, ani wysłannicy bogini nie dają żadnych wskazówek?

Natoli z namysłem zagryzła wargę.

— Słyszałam twoją rozmowę z An'deshą na temat Vkandisa i Gwiazdzistokiej. Może to kolejny przypadek, kiedy istnieje wiele możliwości wyboru, a ponieważ nie grozi nam drugi kataklizm, oni nie zamierzają nam pomóc. Mam na myśli — widzą, jak ludzie zabijają się nawzajem i umierają, ale sami wtrącają się tylko wtedy, kiedy skutki mogłyby mieć bardzo duży wpływ na przyszłość. Przez resztę czasu ludzie muszą sami postępować tak, jak uważają za słuszne i godzić się na konsekwencje swojego postępowania. To znów kwestia wolnej woli.

Jęknął.

— Wolałbym nieco więcej rad, a mniej wolnej woli!

— A ja nie — znów go zaskoczyła. — Chcę podejmować własne decyzje, a jeśli okażą się błędne, uczyć się z nich. Chcę być dorosłą, nie dzieckiem. Nie chcę, żeby ktoś prowadził mnie bezpieczną drogą! Bezpieczna droga nigdy nie jest nowa i nie nauczy tego, czego nie wiedzą już inni!

Czy zawsze taka była, czy przymusowa bezczynność dała jej czas na przemyślenie tego wszystkiego? Karal był zaskoczony jasnością i odwagą jej poglądów.

— Wielu ludzi nie zgodziłoby się z tobą — odrzekł równie poważnie, jak ona wcześniej. — Wielu ludzi wolałoby iść drogą bezpieczeństwa i wiedzieć, że ktoś się o nich troszczy. Woleliby otrzymywać pewne odpowiedzi, ładnie zapakowane, ze słowem „koniec” na ostatniej stronie.

— W takim razie niech szukają ładnych opakowań, ale to fałszywa ścieżka, a oni tylko się łudzą. — Jej oczy błyszczały, a twarz zaróżowiła się od emocji. — Nie ma końca pytaniom, chyba że się zgnije. A ja nie zamierzam siedzieć i gnąć — ty też nie.

— Masz rację, nie zamierzam — pochylił się i odważył na pocałunek. Jej usta były miękkie i ciepłe, nie odsunęła się. — Masz rację, powinienem jechać. Będę się czuł samotny bez ciebie, ale pojedę.

Natoli uścisnęła jego dłoń.

— Bądź dzielny, Karalu, i ostrożny. I wróć do mnie — szepnęła.

* * *

Sejanes poprowadził grupę heroldów-magów i magów Białych Wiatrów, którzy pod jego przewodnictwem i nadzorem mieli postawić Bramę; jak wcześniej Altra i Hansa, wykorzystali stare ruiny na Łące Towarzyszy.

— Kiedy skończymy, nie będą się nadawali do niczego — ostrzegł Selenay. — Przynajmniej przez jeden dzień będą słabi jak nowo narodzone kocięta.

Za zgodą Sejanesa Selenay posłała zatem grupę służących z noszami, żeby po skończeniu zadania odnieśli magów.

Teraz uczestnicy wyprawy stali w sięgającym kolan śniegu pod zachmurzonym niebem, podczas gdy Sejanes powtarzał plan raz jeszcze.

— Będziemy trzymać portal otwarty tak długo, byście wszyscy przeszli — powiedział, mrużąc oczy w blasku śniegu, — Tylko do tego przydadzą się ci ludzie. Za dwa tygodnie znów go otworzymy i lepiej, żebyście wówczas byli po drugiej stronie.

— Otworzycie, jeśli zdołacie — wymruczał jeden z magów k'Leshya. — Jeśli im się nie uda, będziecie martwić się innymi sprawami niż portal.

Sejanes zignorował jego słowa — a może po prostu ich nie dosłyszał.

— Jeśli was nie będzie, otworzymy portal ponownie po kolejnych dwóch tygodniach, a potem zawiadomimy grupy poszukiwawcze — przerwał i obrzucił maga ostrym spojrzeniem. Może jednak dosłyszał jego mruczenie. — Jeśli jednak wasza broń uczyni Bramę po waszej stronie bezużyteczną, będziecie musieli znaleźć inną metodę powrotu.

— Innymi słowy — zaśmiał się Śpiew Ognia — wracamy pieszo.

Nie całkiem.

Wszyscy podnieśli głowy, gdyż głos rozległ się w umysłach nawet nie obdarzonych darem myślmowy.

Spomiędzy drzew po lewej stronie wynurzył się Towarzysz-ogier, prowadzący czwórkę innych — młodych, nerwowo podrzucających głowami, osiodłanych i w uzdach. Nie były to zdobione uprząże Towarzyszy wyruszających na poszukiwanie swych Wybranych, ale codzienna uprząż do pracy.

Rolan chciałby, żebyś przekazywał reszcie jego słowa, Karalu — powiedział Florian, trącając nosem Karala. — Może myślmówić z kim chce, ale wymaga to dużego wysiłku, a tak będzie szybciej.

— Ee... to jest Rolan, Towarzysz osobisty królowej — powiedział Karal szybko.

To jest czwórka najszybszych i najsilniejszych Towarzyszy spośród tych, które jeszcze nie mają swoich heroldów. Rolan wybrał ich spośród ochotników, aby posłużyli wam jako wierzchowce dla tych, którzy ich potrzebują.

— Towarzysze nie posiadający Wybranych zaoferowali się służyć jako wierzchowce ludziom z naszej grupy — przetłumaczył Karal. — Oni są najlepsi. — Z doświadczenia wiedział, że żaden koń nie dotrzyma kroku Towarzyszowi, a jeśli ktoś spośród reszty jeszcze o tym nie wiedział, wkrótce sam się przekona.

Rolan wyznaczył, kto kogo poniesie — ogier podrzucił głową. Silnie zbudowany Towarzysz o krótkiej grzywie i ogonie wystąpił naprzód i uklonił się szamanowi. — To jest Kayka.

— Jestem zaszczycony, Kayka — odrzekł Lo'isha tonem, który jasno dawał do zrozumienia, że nie jest to tylko formułka grzecznościowa.

Dwie klacze z pięknie pofalowanymi grzywami i ogonami wystąpiły razem naprzód i zatrzymały się przed Śpiewem Ognia i Srebrnym Lisem.

Bliźniaczki, Senta i Sartra. Senta weźmie Śpiew Ognia i mówi...

— Słyszę, co mówi, dziękuję, Florianie — przerwał sucho Śpiew Ognia. — I zapewniam, że wiem, jak podróżować z małym bagażem. Pamiętasz? Przyjechałem tu tylko z tym, co mógł unieść mój przyjaciel dyheli — zwrócił się ku Towarzyszowi i skłonił równie głęboko, jak szaman przed Kayka. — Jestem wdzięczny za pomoc, Senta — i doceniam twoją urodę.

Srebrny Lis trzymał już dłoń na karku Sartry i wydawał się pogrążony w mentalnej rozmowie. Ostatni Towarzysz — szczupła klacz z długim łokiem niemal za-

krywającym oczy — nieśmiało wysunął się do przodu i poskrobał kopytem śnieg przed An'deshą.

To jest Idry — powiedział Florian. — *Moja młodsza siostra; Zgłosiła się jako pierwsza.*

An'desha uśmiechnął się.

— Zatem tym bardziej cieszę się z jej towarzystwa, Florianie.

— Problem transportu macie więc rozwiązany — odezwała się sucho Elspeth. — Jeśli one nie zanoszą was do celu z szybkością równą gryfom, nikt inny tego nie zrobi.

— Rrrr, czyli możemy rruszać? — zapytał Treyvan i uśmiechnął się szeroko. Hydona trąciła go dziobem w bok.

— Wspaniale, przyznaję, że jestem bardzo zadowolony — zawołał Sejanes. — A teraz — czy możemy kontynuować?

Przez kilka ostatnich dni Karal widział otwieranie Bramy już tyle razy, że nawet zatrzymująca bicie serca jej magia stała się rutyną. Nie zwrócił uwagi na to, co robili inni, pochłonięty sprawdzaniem, czy bagaże są dobrze przymocowane, a siodło i uzda Floriana wygodne. Czekala ich długa droga na Równiny, bez postoju, więc każdy źle umocowany przedmiot mógłby obetrzeć biednego Floriana do kości. Inni brali swoje bagaże i przywiązywali je z tyłu siodeł. Treyvan i Hydona już mieli na sobie uprząże, do których przypięto wszystko, czego mogli — jak przewidywali — potrzebować. Jeerven i Lytha, ich na pół wyrosnięte potomstwo, miały zostać. Według Hydony nadszedł czas, by zaczęły na poważnie uczyć się latania, a tego najlepiej uczył ktoś obcy, nie rodzice.

Mając świadomość, że opieka nad młodymi pochłaniała mnóstwo czasu i wysiłku, Karal zastanawiał się, czy nie jest to również wymówka ze strony rodziców, by zrobić sobie wakacje.

Karal zakończył przegląd niemal w tej samej chwili, kiedy magowie nawiązali kontakt z Bramą po drugiej stronie, w ruinach nad Równinami. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył pokryte śniegiem usypisko kamieni pod niebem tak czystym i błękitnym, że od patrzenia bolały oczy, a wszystko w ramie kamiennego, zniszczonego łuku po tej stronie.

— Szybko, proszę! — zawołał Sejanes. — Nie możemy trzymać jej cały dzień!

Karal wsiadł na Floriana, ciesząc się, że znów czuje pod sobą siodło, i skierował się ku Bramie, ale Treyvan i Hydona wyprzedzili go, pędem przebiegając na drugą stronę. Karal zastanawiał się, skąd ich pośpiech, ale przypomniał sobie, że w ruinach i starej Dolinie osiedlił się klan k'Leshya. Zapewne gryfom zależało na jak najszybszym spotkaniu ze starymi przyjaciółmi, zanim wyruszą na poszukiwanie wieży Urtho.

Karal poszedł za nimi, depcząc im niemal po piętach, za nim zaś An'desha. Nigdy dotąd nie pokonywał Bramą tak wielkiej odległości i przygotował się na

podobne mdłości, jak te, które towarzyszyły skakaniu z Altrą.

Jednak nie nastąpiło nic takiego; przez ułamek sekundy Karal miał wrażenie, że spada, otoczyła go dziwna ciemność poprzerywana ognistymi, różnokolorowymi wstęgami mocy i światła. Po chwili z lekkim podskokiem Florian stanął na kamieniach po drugiej stronie, jakby po pokonaniu przeszkody na drodze.

Wolisz to niż skakanie, prawda? — Chociaż Altry nie było po stronie valdemarskiej, teraz się pojawił.

— O wiele — odrzekł krótko, podczas gdy Florian zszedł na bok, by zrobić miejsce dla reszty. Choć wszędzie leżał śnieg, uprzątnięto go z miejsc, które wyglądały na ulice w ruinach niegdyś dużego miasta. Mimo że teraz były to ruiny, gdzieś tam można było dostrzec ślady obecności ludzi — przebudowane mury, a w pewnej odległości stożkowate, pokryte dachówką dachy wznoszące się ponad ośnieżonymi stosami gruzów. Ze wszystkich stron nadlatywały gryfy, by powitać przybyłych. Było ich przynajmniej kilkanaście, ale hałasu robiły za sto. Gryfy w grupie, jak wkrótce Karal się przekonał, nigdy nie zachowywały się cicho.

Jednak nie było to spotkanie towarzyskie: gryfy wylądowały, naradziły się krótko, podczas gdy reszta wyprawy przechodziła przez Bramę, po czym znów odleciały. Nie mając pojęcia, w jakim kierunku leżą Równiny, Karal nie wiedział, dokąd lecą, ale miały wytyczony cel, jakby spełniały określone zadanie.

Ostatni przeszedł szaman, a Brama zamknęła się za nim.

— Drroga czysssta — zawołała Hydona siedząca na zrujnowanej ścianie. — Zaprzysssiężeni Mieczowi sssą porrozssstawiani wzdłuż niej i będą na zmianę jechali z nami. Grrryfy poleciały przodem na zwiady. Najtrrudniejsza jessst drroga w dół; podobno oblodzona.

Lo'isha wzruszył ramionami.

— Tego można się było spodziewać, ale cieszę się, że nasi przyjaciele zgodzili się nas ponieść. Czuję się z nimi bardziej pewnie niż z najlepszymi wierzchowcami Shin'a'in.

Najwidoczniej dobrze wiedział, gdzie się znajduje. Kayka ruszył szybkim krokiem, reszta poszła za nim, z wyjątkiem Treyvana i Hydony, które uniosły się w powietrze. Karal i An'desha zajęli miejsca na końcu.

Nad głowami cały czas leciały gryfy; po kilku zakrętach pomiędzy ruinami Karal całkowicie stracił orientację. Był pewien, że szamana też to spotkało, ale dzięki podniebnym przewodnikom było to niemożliwe.

Wkrótce, za kolejnym zakrętem zobaczyli przed sobą tylko błękitne niebo. Dotarli do skraju ruin, a przed sobą mieli Równiny Dorisza.

Kars był krajem górskim, więc Karala nie przerażała wysokość — jednak co innego oglądać na mapie, a co innego stać na krawędzi przepaści i patrzeć w dół, w dół...

Wcześniej wiedział, iż krawędź krateru tworzącego Równiny znajduje się wysoko, wysoko nad nimi. Teraz czuł to na sobie i wstrzymał oddech.

Florian nie przejął się.

Nie jest aż tak źle. Przyjrzyj się, na dół prowadzi ścieżka.

Karalowi ścieżka nie podobała się bardziej niż sama przepaść. Wydawała się zbyt wąska nawet dla jednego jeźdźca; będą musieli jechać pojedynczo i niech Vkandis pomoże temu, kto się poślizgnie.

Do zobaczenia na dole... chyba że chcesz skoczyć ze mną — powiedział chętnie Altra — *Masz ochotę?*

„Myśli, że mnie dostał, co?”

— Panie! — zawołał Karal do szamana. — Altra proponuje, że przeskoczy z nami na dół, jeden Towarzysz i jeździec naraz!

Wcale nie! — zawołał z oburzeniem Altra, ale było już za późno. Lo'isha odwrócił się do nich z widoczną wdzięcznością i nie można się było wycofać, nie tracąc twarzy. Tego nie zniosłaby duma Altry.

— Jeśli będziesz tak miły, ognisty kocie — odrzekł szaman swym głębokim, poruszającym głosem. — Nie podoba mi się ta ścieżka. Wolałbym nie tracić nikogo z uczestników, jeśli można temu zapobiec.

Altra jęknął w umyśle Karala, ale pozornie przyjął zadanie bez sprzeciwu.

Za to skoczysz ostatni, kiedy już będę zmęczony — dodał, kiedy usiadł na bagażach za siodłem szamana.

Przenoszenie za pomocą skoków zajęło o wiele mniej czasu niż zjazd ścieżką w dół. Ponadto, chociaż Altra był rzeczywiście zmęczony i nie do końca panował nad mocą, kiedy nadeszła kolej Karala, ostatni skok nie wywołał gorszych skutków niż powrót z Hardornu. Karal miał mdłości, ale nie była to owa obezładniająca choroba, która powaliła go po ucieczce z gabinetu Tremane'a.

Kiedy wylądował obok reszty, spostrzegł od razu, że przed nimi byli tu Shin'a'in, którzy przetarli szlak w stosunkowo płytkim śniegu, aby podróżnicy mogli pojechać szybko dalej, nie obawiając się zabłądzenia.

Kiedy Karal podniósł głowę, zobaczył w górze krążące punkty — gryfy. Spojrzał przed siebie: poruszające się daleko przed nimi kropki musiały być patrolami Zaprzysiężonych Mieczowi; podobne ochraniały ich z boków. Wcześniej zastanawiał się, w jaki sposób poradzą sobie bez zapasów, gdyż nikt z nich nie wziął z sobą żywności ani czegoś, co posłużyłoby za schronienie, a nawet Towarzysz nie dotarłby w jeden dzień do środka Równin. Teraz wiedział: zajmą się tym Shin'a'in i gryfy, może nawet już to zrobili.

Lo'isha z zadowoleniem rozejrzał się wokół, chociaż wargi miał białe.

— Szlak przetarty, wiatr wieje w plecy — zawołał. — Jedźmy!

Po pierwszym dniu Karal z nostalgią wspominał męczącą podróż, jaką odbył z Ulrichem z Karsu do Przystani. Florian oszczędzał swego jeźdźca, jak mógł, zresztą krok Towarzysza był stanowczo bardziej miękki w porównaniu z krokiem

konia. . .

Jednak wyjechali godzinę po wschodzie słońca i jechali bez przerwy jeszcze długo po zmierzchu, w przenikliwym zimnie. Towarzysze nie potrzebowały takiego odpoczynku jak konie, a szaman zdecydował się wykorzystać ich wytrzymałość.

Jasne, błękitne niebo dnia zmieniło się nocą w czarną kopułę usianą ogromnymi gwiazdami. Kiedy wszedł księżyc i zalał Równiny białym światłem, Karal miał wrażenie, że jest mu jeszcze zimniej niż przedtem. Ale płaski teren miał i dobre strony — już z daleka dostrzegli ogniska i pochodnie rozpalone w obozowisku, gdyż były to jedyne punkty ciepłych kolorów w otaczającej ich lodowatej bieli. Samo wpatrywanie się w ciepłozółte iskry pomogło Karalowi utrzymać się w siodle. Palce zlodowaciały mu już tak dawno, że przestał nawet udawać, iż trzyma wodze.

Kiedy w końcu dotarli na nocleg, zobaczyli czekający na nich okrągły wojłokowy namiot oświetlony pochodniami, przed nim zaś ognisko i ubranego na czarno Shin'a'in pilnującego zawieszono nad nim kociołka. Karal raczej zsunął się z siodła niż zsiadł i niepewnym krokiem poszedł do namiotu, a Florian szedł zaraz za nim.

Najwyraźniej Shin'a'in przewidzieli, iż Towarzysze zamieszkają razem z ludźmi. Namiot, oświetlony trzema oliwnymi lampami wiszącymi na drążkach u sufitu, został podzielony na pół — jedną część podłogi pokrywały stare, zniszczone dywany, na których rozłożono siano, ziarno i postawiono skórzane pojemniki z wodą. W środku byli już Treyvan z Hydona, pogrążeni w głębokim śnie, zwinięci razem w jedną wielką kulę piór, w której nie można było odróżnić nóg ani głów. Drugą część podłogi przykrywały nowe, barwne dywany, na których z kolei rozłożono w półkołu posłania, nogami zwrócone do węglowego piecyka. Według standardów pałacu nie było tu zbyt ciepło, ale w porównaniu z zimnem na zewnątrz — całkiem przyjemnie. Wewnątrz czekał Zaprzysiężony Mieczowi Shin'a'in; rozsiedział Towarzyszy, wytarł je i przykrył ciepłymi derkami, kiedy zabrały się do jedzenia i picia. Florian dołączył do nich. Karal, który wszedł ostatni, zastał innych już owiniętych w koce i posilających się potrawką lub popijających coś z parujących kubków. Karal nie wiedział, co to jest i nie zależało mu na tym. Usiadł na ostatnim wolnym posłaniu, zdjął buty, wyciągnął nogi w kierunku piecyka i z pomrukiem wdzięczności przyjął miskę i kubek.

Najszybciej, jak potrafił, zjadł posiłek, z dodatkiem kromki twardego chleba. Herbata miała dziwny, ostry smak, ale wspaniale koła wysuszone gardło.

Kiedy tylko skończył, ten sam Shin'a'in zabrał miskę i kubek. Inni leżeli już na posłaniach, gotowi do snu. Karal poszedł za ich przykładem. Shin'a'in zdmuchnął lampy i wyszedł, zostawiając ich w ciemności.

Zanim Karal zasnął, poczuł, że pojawił się Altra, leżący na pół za nim, a na pół na nim — pas ciepła wzdłuż kręgosłupa. Ognisty kot zamruczał cicho i powiedział

tylko jedno:

Karalu... jestem z Ciebie dumny.

Z tą dodatkową pociechą, nie tylko fizyczną, Karal od razu zasnął.

Shin'a'in obudził ich przed świtem. Zjedli znów potrawkę, chleb i wypili herbatę, po czym ponownie wskoczyli na siodła i pojechali dalej.

Drugi dzień wyglądał jak pierwszy; trzeci również. Karala bolały oczy od światła słonecznego odbijającego się od śniegu, a sądząc z zaczerwienionych powiek innych — oprócz szamana i An'deshy — nie tylko on cierpiał. W zimnym, suchym powietrzu pękały wargi i drapało w gardle. Po drugim dniu Lo'isha dał każdemu fiolkę z aromatycznym olejkiem do nawilżania popękanych warg i poradził, by posmarowali całą twarz. Karal skorzystał z rady od razu. Śpiew Ognia początkowo opierał się, ale po południu, kiedy jego policzki poczerwieniały od uderzeń wiatru, poddał się i zrobił to samo.

Karal stracił poczucie czasu; jechał albo spał — zbyt dużo pierwszego, za mało drugiego. Wokół siebie widzieli wciąż ten sam krajobraz: niskie, dla pochodzącego z gór Karsyty niemal płaskie łańcuchy wzgórz, jedno za drugim, z rzadka porośnięte krzewami lub drzewami — zwykle tylko przy strumieniu albo źródle. Karal drętwiał z zimna; ciepło było mu tylko rano, kiedy się budził. Śpiew Ognia wyglądał żałośnie, Srebrny Lis wydawał się zrezygnowany, jedynie An'desha i Lo'isha trzymali się świetnie.

„No tak, przecież to jest — był — jego dom.”

Gryfy pojawiały się rzadko, a jeśli nawet, to myślały i mówiły tylko o celu podróży. Wreszcie — Karal nie wiedział, po ilu dniach — cel zamajaczył na horyzoncie.

Jak na cel podróży przez pół kontynentu wyglądał bardzo niepozornie — pojedyncza, wyglądająca na stopioną, srebrno-szara skała wyrastająca ze szczytu kolejnego wzgórza.

Kiedy jednak w miarę jazdy skała się nie zbliżała, Karal zrozumiał, że jest znacznie większa, niż przypuszczał.

W końcu dojrzał maleńkie punkciki — krzątającą się u jej podnóża grupę Shin'a'in oraz równie maleńkie punkty w górze — dwa krążące gryfy. Wtedy zrozumiał, jak jest wielka.

U stóp wieży odcinała się ostro od śniegu ciemna plama świeżej ziemi. Wyglądało to tak, jakby Shin'a'in kopali w poszukiwaniu czegoś.

Im bardziej się zbliżali, tym bardziej cierpła Karalowi skóra. Wieża nie tylko wyglądała na stopioną — naprawdę została stopiona. Olbrzymia siła, która wywołała Kataklizm, rozpuściła skałę wieży do miękkości płynnego wosku. A oni mieli mieć do czynienia z siłami gorszymi i bardziej nieobliczalnymi niż siła, która tego dokonała — z bronią uznaną przez jej twórcę, Maga Ciszy, za zbyt niebezpieczną,

by jej użyć!

„Co ja tu robię?” — pomyślał przerażony.

Ta myśl miała mu przychodzić do głowy jeszcze niejedną raz.

Przez resztę dnia i noc odpoczywali i spali. Wchodzenie do kryjówki z umysłami zamroczonymi zmęczeniem byłoby głupotą, jeśli nie samobójstwem. Jednak już o wschodzie słońca jeden z Zaprzysiężonych Mieczowi poprowadził ich do wejścia, nad którego odkryciem Shin'a'in pracowali od chwili podjęcia decyzji o wyprawie.

Stare drzwi do wieży leżały pod kilkuset tonami stopionej i ponownie zastygłej skały. Shin'a'in wytyczyli bezpośrednie przejście do kryjówki mieszczącej się pod ruinami wieży. Aby dotrzeć do niej w tak krótkim czasie, musiało ich tu pracować setki.

W zbczu wzgórza, na którym stała wieża, Shin'a'in wykopali biegnący w dół, długi tunel prowadzący wprost do ściany kryjówki. Ścianę tworzyły jedynie kamienne bloki połączone zaprawą, po tylu stuleciach zwietrzałą i słabą. Urtho nigdy nie zadał sobie trudu zabezpieczenia ścian kryjówki jakąkolwiek pułapką — w końcu ktoś, kto dotarłby aż tutaj, i tak musiałby kopać przejście pod okiem straży, wojska, Kaled'a'in, gryfów...

Co było mało prawdopodobne.

Korzystając z rad górników k'Leshya i z pomocą gryfów, Shin'a'in pracowali bez przerwy. Wspólnie wykopali szeroki tunel, usunęli zaprawę spomiędzy kamieni i przebili wejście na tyle duże, by pomieściło nawet Treyvana i Hydonę, nie wspominając o Florianie, który również bardzo chciał zejść na dół. Inne Towarzysze z radością zostały na zewnątrz, korzystając z okazji do odpoczynku. Karal przyłapał je na rzucaniu podejrzliwych spojrzeń na Floriana, który przygotowywał się do zejścia z magami. Wszyscy mieli latarnie, ale światło nie zmniejszało poczucia, że zostało się uwięzionym pod setkami ton ziemi i kamieni. Sam tunel został fachowo obudowany i przez chwilę Karal zastanawiał się, skąd budowniczy wzięli drewno na stemple.

„Oczywiście, gryfy. Musiały przetransportować je od k'Leshya.”

Ogromne zadanie, równe budowie samego tunelu.

Karal skoncentrował się na tym, by oddychać cały czas równo, powtarzając sobie, że dopóki latarnia płonie jasno, nie musi obawiać się o brak powietrza.

„Przynajmniej nie marznę. Nie ma wiatru ani oślepiającego śniegu. Ciekawe jak długi jest ten tunel!”

Nie liczył kroków od wejścia, ale teraz zaczął. Pięćdziesiąt... sto... sto pięćdziesiąt... Czy nie powinni już dotrzeć od muru?

Zrobiło mu się gorąco; czy światło nie przygasło? Czy płomyk świecy nie zmalął?

Karalu, jestem tuż za tobą — ostrzegł go głos w umyśle, dzięki czemu nie krzyknął i nie podskoczył, kiedy o jego udo uderzyła czyjaś głowa. — *Wszystko w porządku. Jest powietrze, a jeśli cokolwiek się zdarzy, mogę cię przenieść na zewnątrz.*

Uścisk niewidzialnych rąk na piersi natychmiast się rozluźnił. Oczywiście! Altra mógł go wydostać, nawet gdyby sufit się zapadł! Karal odprężył się, a światło latarni znów pojaśniało. A może w ogóle od początku nie przygasło.

— Jesteśmy przed kryjówką.

Głos szamana, stłumiony obecnością ludzi pomiędzy nimi, ostrzegł Karala w porę, by ten nie wpadł na plecy Shin'a'in.

Rząd ludzi ruszył krok za krokiem.

— Uważaj — ostrzegł An'desha, kiedy światło wydobyło z mroku regularne kształty kamiennych bloków. — Na drodze leży gruz.

An'desha poszedł do przodu i zniknął w szczelinie, przez którą gryf ledwo by się przecisnął. Przed szczeliną leżały kamienie i gruz, jakby wybito ją tego dnia. Może tak było.

Podążając za światłem, Karal przekroczył próg wybitej w ścianie dziury i znalazł się w innym świecie.

Podłogę pokrywały starannie wypolerowane płyty z białego kamienia, z ornamentem — różą wiatrów z różowego granitu. Była to duża, okrągła komnata o białych, kamiennych ścianach tworzących wydłużoną kopułę sięgającą wysokości dwóch pięter. Ze zwornika zwisała duża kryształowa kula na srebrnym łańcuchu. Kryształ mienił się delikatnie w świetle latarni.

Karal spojrzał na nią z respektem.

— Co to jest? — zapytał. — Broń? Coś w rodzaju kamienia-serca?

Śpiew Ognia potrząsnął głową i również wpatrzył się w kulę. Stali w nieregularnym kole i z otwartymi ustami patrzyli w górę. W końcu Treyvan roześmiał się.

— O wiele prossstsze — powiedział i krzyknął słowo w języku przypominającym nieco shin'a'in i tayledraski, ale nie będącym żadnym z nich.

Kula posłusznie rozjarzyła się od wewnątrz. Karal krzyknął i zakrył oczy, ale nie musiał się bać. Blask był przyćmiony i po krótkiej chwili wzrok się przyzwyczaił.

— To lampa — stwierdził Treyvan odkrywco.

Teraz, kiedy widzieli wyraźnie, pogasili latarnie i rozejrzeli się wokół. Nie była to na pewno sama kryjówka, ale rodzaj pracowni przylegający do niej, gdyż w ścianie widoczna była ciemna plama drzwi. Śpiew Ognia stał najbliżej, więc podszedł do nich pierwszy i stanął, blokując wejście pozostałym.

— Hmm — rozległ się jego suchy głos. — Dobrze byłoby cokolwiek widzieć. Jak brzmiał rozkaz? — Zanim ktokolwiek zdołał odpowiedzieć, wypróbował kilka

wersji słowa wypowiedzianego przez Treyvana i w końcu trafił na właściwą wymowę. Jego postać przez moment rozbliżyła, kiedy światło się rozjaśniało, a potem pograżyła w półmroku, kiedy przygasło.

— Wydaje się — powiedział powoli adept — że znaleźliśmy to, czego szukaliśmy.

Odsunął się od drzwi, pozwalając wejść pozostałym.

Karal pozostał z tyłu; po pierwsze, nie był pewien, czy ma ochotę zobaczyć to, czego szukali. Po drugie, zdawał sobie sprawę z tego, że nawet nie będzie wiedział, co widzi.

Pozwolił zatem przejść innym i podreptał za nimi. Oczekiwał okrzyków, ale usłyszał jedynie kilka szeptów.

Kiedy przekroczył próg komnaty, zrozumiał, dlaczego.

Była to ogromna komnata, niemal pusta — z wyjątkiem czterech kryształowych świateł zwisających z sufitu i latającej barki pośrodku pomieszczenia. Niewyróżnione linie na suficie nad barką pozwalały przypuszczać, że znajduje się tam kłapa lub drzwi.

W ścianach naokoło widać było piętnaście drzwi — wszystkie zamknięte.

Gdzie broń?? Czy całą zabrano?

— Broń musi się znajdować za tymi drzwiami — zawyrokował stanowczo Śpiew Ognia. — Gdybym miał przechowywać niebezpieczne przedmioty, właśnie tak bym postąpił. W ten sposób, nawet jeśli zdarzy się jakiś wypadek, jego skutki ograniczą się do jednego pomieszczenia, a nie przeniosą na resztę.

— Zaczynasz mówić jak najprawdziwszy inżynier — powiedział Srebrny Lis. — To ma aż za dużo sensu.

Śpiew Ognia zwrócił się ku drzwiom na prawo, nie przerywając monologu.

— Co więcej, założę się, że w komnacie, w której teraz stoimy, przechowywano broń, której Urtho już użył. Stąd latająca barka, służąca do przenoszenia ciężkich lub dużych przedmiotów tam, skąd można je było wynieść na zewnątrz.

— Zastanawiam się, dlaczego to miejsce jeszcze w ogóle istnieje — powiedział An'desha, kiedy Śpiew Ognia sprawdzał, czy drzwi są zamknięte na zamek, zanim spróbował je otworzyć. — Przecież siła, która stopiła wieżę, powinna zniszczyć wszystko, prawda?

— Może dlatego, że komnata znajdowała się dokładnie pod miejscem wybuchu, a cała jego siła skierowała się do góry — zaryzykował Karal, usiłując przypomnieć sobie to, czego nauczył się od rzemieślników.

— Może osłony kryjówki zostały zniszczone, ale pochłonęły całą energię — zgadywał Srebrny Lis.

— Może Gwiazdzistooka miała w tym swój udział — odezwał się dostojnie Lo'isha.

— Może każdy z tych powodów, może żaden — przerwał zniecierpliwiony Treyvan. — Czy drzwi sssą zamknięte?

— Tylko się zacięły — odrzekł Śpiew Ognia, który w końcu je otworzył. Wymówił słowo zapalające światło i wydał okrzyk rozczarowania.

— Wejdźcie i sami zobaczcie, ale chyba nic się nam nie przyda — powiedział, machając do nich ręką.

Karal ponownie został z tyłu, ale sądząc z tego, co widział, był skłonny zgodzić się ze Śpiewem Ognia. Komnata mieściła zbiór dziwacznych przedmiotów — od zwoju drutu do zwierzęcych czaszek z klejnotami w miejscu oczu, wszystko to zaś oplatała pajęczyna szaleńczo kolorowych sznurków, wstążek, cienkich jak włos nici i rzemieni z surowej skóry.

— Bogowie, dlaczego czaszki? — zawołał Karal osłupiały.

— Być może używano ich przy obrzędach szamańskich, więc były dostosowane do mocy, jakiej potrzebowano — zasugerował Lo'isha. — Nie w obrzędach Kaled'a'in. Urtho wykorzystywał magię wielu ludów i wiele ludów należało do jego sprzymierzeńców.

— Nie wiem, jak wy, ale ja nie chcę nawet tego dotykać — powiedział Śpiew Ognia, wycofując się z komnaty. — Nie wiem, jak to działa, nie wiem, czy teraz zadziała tak, jak powinno, a jeśli nawet, to jaka część rozsypie się w pył pod dotknięciem ręki?

— Sssłusznie — zgodził się Treyvan, ostrożnie składając skrzydła, kiedy wychodził na zewnątrz. Inni również go poparli, więc z wielką starannością zamknęli drzwi i przeszli do następnych.

Kiedy skończyli, udało im się wyeliminować osiem z piętnastu możliwości. W żadnej kolejnej komnacie nie natknęli się na przedmioty równie dziwaczne jak w pierwszej, ale nikt nie miał ochoty ryzykować. Znaleźli dwa pudełka nie oznaczające się niczym szczególnym, na których widok nawet Treyvan potrząsnął bezradnie głową; trudny do zidentyfikowania przedmiot przypominający najbardziej rozlany i zastygły w powietrzu płyn; dwie delikatne rzeźby z drutu i klejnotów, których nikt nie dotknął w obawie, że zaraz się rozpadną. Pozostałe trzy znaleźli ska Treyvan rozpoznał na podstawie swojej wyliczanki jako prostą, lecz okrutną broń niszczącą wszelkie istoty żywe i przedmioty. Ta w ogóle nie nadawała się do ich zamierzeń, gdyż energia uwalniana po jej aktywowaniu nie zawierała ani odrobiny magii.

Pozostało siedem możliwości.

Przy każdym z przedmiotów znaleźli metalową tabliczkę instruującą, w jaki sposób można go zniszczyć, ale nie mówiącą nic o jego naturze z wyjątkiem jednej linijki: „Nie możesz skorzystać z tej broni, nie zabijając siebie. Ja również nie mogłem. Bądź rozsądny i pozbadź się jej.” Na każdej tabliczce widniał podpis Urtho i jego symbol.

Skopiowali wszystkie napisy, zrobili szkice przedmiotów i zaznaczyli numery pomieszczeń, w których je znaleźli, licząc pustą komnatę jako pierwszą i posuwając się w kierunku zachodnim. W końcu usiedli w latającej barce, by przedysku-

tować dotychczasowe wyniki.

— Mamy trzy dni na decyzję, czego użyjemy i w jaki sposób, jeden dzień na przeciwienie i to wszystko — ostrzegł Śpiew Ognia. — Jeśli nie zdążymy, zakładając, że można dostosować prędkość fal wpływających do prędkości fal wpływających, falochron padnie. Nieodwołalnie. Bez niego następna magiczna burza w tej okolicy uruchomi co najmniej jeden z tych przedmiotów.

— Z pewnością nie... — zaczął Treyvan, ale jego głos nie brzmiał zbyt pewnie.

— Masz ochotę poczekać i sprawdzić? — zapytał Śpiew Ognia prosto z mostu. — Szczerze mówiąc, myślałem, że znajdziemy nie więcej niż jeden czy dwa rodzaje broni Urtho. W najśmielszych przypuszczeniach nie liczyłem na to, że zachowa się ich aż tyle. Według mnie, jeśli nie uda nam się tutaj, powinniśmy ewakuować Równiny i k'Leshya.

— Chciałbym, żeby tak nie było — odrzekł niechętnie szaman. — Ale zgadzam się z tobą. Ja również nie spodziewałem się odnalezienia tylu śmiertelnych przedmiotów. Jeśli zostaną uruchomione jeden czy dwa, wieża i skały prawdopodobnie ograniczą zasięg eksplozji, ale gdyby wybuchły trzy albo cztery... — Z pobladła twarzą wzruszył ramionami.

— Racja — Śpiew Ognia skinął głową. — Poza tym, wysnuwamy mnóstwo przypuszczeń co do tego, czy wybuchną. Niektóre z nich mogą działać wolno jak kwas, inne po prostu niszczyć wszystko na drodze jeszcze długo potem.

— Zatem kończmy i podejmijmy decyzję! — krzyknął An'desha; jego głos ze zdenerwowania brzmiał wyjątkowo wysoko.

Jednak w kilka godzin później pojawił się następny problem.

Przy pomocy wyliczanki gryfów i instrukcji mogli wcześniej odgadnąć, jak działał każdy z siedmiu pozostałych przedmiotów i odrzucić kolejne trzy. Jednak kiedy ułożyli ostatnie cztery według ich przydatności, natknęli się na następną trudność.

Język, który według k'Leshya był najczystszy kaled'a'in, który pieczołowicie przechowywali — jak sądzili, w wersji nie zmienionej — przez tyle stuleci, nie był ani czysty, ani nie zmieniony.

— Patrzcie, mamy trzy słowa oznaczające „wybuchowy”! — zawołał Śpiew Ognia. — W twojej odmianie kaled'a'in, Treyvan, są to „ko'chekarna” i „che'karna”, a z instrukcji, jak sądzę, mamy trzecie: „ri'chekarna”! Które jest prawidłowe? Musimy wiedzieć, albo najbardziej potrzebny przedmiot wybuchnie nam prosto w twarz!

— Ja... nie wiem... — odpowiedział bezradnie Treyvan. — Język się zmienił...

— To się językiem zdarza — odezwał się ironicznie Lo'isha.

— Popełniliście błąd, zakładając, że skoro Kaled'a'in unikali zmian, wasz język i obyczaje pozostały identyczne przez wszystkie te wieki. Potrzebujemy

kogoś, kto zna starożytny kaled'a'in

— Albo jasnowidza, który spojrzy na każdy przedmiot i powie, którego z nich możemy bezpiecznie użyć! — powiedział nieoczekiwanie Karal, spoglądając na Altrę i Floriana.

Ognisty kot i Towarzysz spojrzeli na siebie, jakby porozumiewając się bezsłownie. Pozostali zamilkli i skierowali na nich oczekujące spojrzenia. Po chwili dłużej jak wieczność Florian odwrócił się z powrotem ku nim, ale to Altra „przemówił”, ze spojrzeniem utkwionym w okolicy ramienia Karala, jakby koncentrował się na czymś.

Nie zdołam sprowadzić tu nikogo na czas. Florian nie może sięgnąć myślą tak daleko. Karal stracił otuchę.

— Nie zdołam zbudować Bramy, która sięgnęłaby tak daleko — przypomniał im Śpiew Ognia. — An'desha też nie.

— Zatem znaleźliśmy się w punkcie wyjścia — powiedział Treyvan, a pędzelki na uszach opadły mu płasko na głowę. — Wracamy do języka, wyliczanki, która w ciągu lat zmieniała znaczenie, oraz zgadywania, które z jej elementów mogą nas zabić.

— Nie — poprawił An'desha z półprzymkniętymi w zamyśleniu oczami. — Mamy więcej możliwości. Magiczny wzrok powinien powiedzieć nam coś o źródłach mocy, co z kolei pomoże nam ustalić, których przedmiotów mamy się wystrzegać.

— Może nam powiedzieć także inne rzeczy — wtrącił Treyvan, strosząc znów pędzelki na uszach.

— Spróbujmy przetłumaczyć teksty najlepiej, jak umiemy — dodała Hydana. — Jeśli będziemy dysponować tłumaczeniem dobrym i połowicznym, nie ma wątpliwości, które wybierzemy, prawda?

Śpiew Ognia przetarł oczy tak zmęczone i piekące, że zwięziły się w szparki. W końcu został im jeden rodzaj broni, którą mogli wykorzystać, ale nie była to najlepsza z możliwości. Karal starał się przydać przy innych zajęciach, podczas gdy magowie ślęczeli nad tłumaczeniem i sprawdzali przedmioty wszystkimi dostępnymi sposobami. W ten sposób bezcenny czas uciekał, ale nikt go nie marnował. Niemal nie spali, a jedli tylko wtedy, kiedy Srebrny Lis albo Karal włożyli im jedzenie do ręki.

W końcu sam szaman użył swojej mocy, choć nie była przystosowana do takiego zadania, aby pomóc w dokonaniu wyboru. Jego natchniona decyzja potwierdziła wybór magów.

— Pozostaje tylko jeden problem — odezwał się ponuro Śpiew Ognia, mierząc wzrokiem niepozorną piramidę ze srebrzystego metalu. — Ta rzecz zabije każdego, kto ją uruchomi. Według wyliczanki Treyvana i tego, czego dowiedzia-

łem się z informacji na tabliczce, reszcie z nas uda się uciec wystarczająco daleko, by uniknąć spalenia, ale nie tej jednej osobie. Nie można uruchomić tego magicznie, nie ma z nami nikogo, kto potrafi myśłą przesuwac przedmioty, a kiedy już to zacznie działać, nawet Altra nie zdoła odskoczyć na czas. Zakładając, że Altra miałby dwie ręce z pięcioma palcami na każdej. A nie ma.

— Chyba że... — odpowiedział Treyvan.

Śpiew Ognia wzruszył ramionami.

— To żadna różnica. Najgorszą cechą tej broni i powodem, dla którego Urtho jej nie użył, jest to, że wyzwala ona energię na poziomie fizycznym. Płonącą, rozpaloną do białości energię.

Karal spojrział na jednego i drugiego.

— Chyba że co? — zapytał.

Śpiew Ognia skrzywił się i tym razem odpowiedział Treyvan.

— Chyba że osoba uruchamiająca broń jest kanałem magii. Wtedy być może udałoby się jej skierować moc wybuchu na poziom energii, na który powinna przejść.

— Owszem, ale tu też pojawia się mała trudność — warknął Śpiew Ognia. — Ten ktoś ma równe szansę na spalenie żywcem jak na przeżycie. Poza tym musi być całkowicie osłonięty, a jeśli w którejś chwili straci kontrolę, zostanie zabity razem z tym, kto go osłania! Zakładając w ogóle, że mielibyśmy kogoś na tyle wytrzymałego...

Przerwał, gdyż nagle zauważył, iż Karal zbladł jak papier, a An'desha, Florian i Altra wpatrują się w niego. Karal przełknął ślinę przez ściśnięte gardło.

— Ja jestem kanałem — wyszeptał.

Teraz również Śpiew Ognia wpatrzył się w niego z zamętem w głowie.

— Jeśli myślisz, że ci się uda, to jesteś głupcem — powiedział szorstko. — Myślałeś, że na granicy Iftelu było ciężko, ale to nic w porównaniu z opanowaniem tej mocy! Nie jesteś szkolony, nawet nie widzisz energii magicznej...

— Ale jestem kanałem — powtórzył z uporem młody mężczyzna, wciąż błądy i oszołomiony. — Podobno panowanie nad energią to dla kanału kwestia instynktu, nie szkolenia.

— Zabijesz się! — krzyknął Śpiew Ognia, niezdolny dłużej znieść napięcia. — Oszalałeś! Nie możemy ci pomóc! Będziesz musiał sam sobie poradzić! Jedyne, co możemy zrobić, to osłonić cię!

— A czy mamy wybór? — odparował Karal, spoglądając im kolejno w oczy. Wszyscy potrząsali głowami. W końcu dotarł do Śpiewu Ognia, który z gniewem zacisnął zęby.

— Śpiewie Ognia, każdy z nas zdawał sobie sprawę, iż może nie wrócić. Każdy na swój sposób postanowił poświęcić się za nawet niewielką szansę uratowania naszych domów. — Karal miał wyraz twarzy chłopca, który za chwilę się rozplacze, ale ze sposobu, w jaki podniósł głowę i wyprostował się, przebijała postawa

mężczyzny, dla którego nadeszła chwila prawdy. — Wiem, że jeśli będę musiał oddać życie, trafię prosto w ramiona Pana Słońca.

Jak ten szczeniak śmie go stawiać w takim położeniu? Jakim prawem ośmiela się zgłaszać na ochotnika do spalenia na popiół, zanim Śpiew Ognia zdoła uporządkować swe uczucia?

— Do licha z tobą. . . — zaczął, ale Karal przerwał mu ze słabym uśmiechem.

— Nie sądzę, by twoja klątwa przeważała błogosławieństwo Vkandisa, Sokoli Bracie — upomniał go łagodnie. — Jednak, jeśli nie mamy wyboru, lepiej ją wycofaj. Będę potrzebował każdej możliwej pomocy.

— Wycofuję. Ale oby wszystkie twoje dzieci były podobne do ciebie! — wybuchnął Śpiew Ognia, niezdolny wymyślić lepszego przekleństwa, które ulżyłoby jego emocjom. Odwrócił się gwałtownie, uciekł do pustej komnaty i zaczął po niej chodzić tam i z powrotem. W żołądku miał jeden splątany węzeł, mięśnie szyi sztywne jak stary rzemień.

„Jak on śmie? Ma rację, ale jak może? To szaleństwo! An'desha nigdy mi nie wybaczy!”

Ciche kroki przy wejściu uświadomiły mu, że nie jest już sam.

— Wiesz, że muszę to zrobić — powiedział cicho Karal. — Miałem przecucie, że może dojść do czegoś takiego. Altra wciąż powtarzał, iż chciał mojej obecności tylko na wszelki wypadek; pewnie chodziło mu o to, że równie prawdopodobne było wykorzystanie przez was innej broni — westchnął cicho. — Jasnovidze wszyscy twierdzili, że nie sięgają w przyszłość poza nasz przyjazd tutaj. Reszta była zbyt poplątana. Wciąż istniała szansa, że coś innego będzie działać.

— Może. Gdybyśmy mieli więcej czasu, żeby to zbadać. Gdybym nie był niemal pewien, iż przednia fala kolejnej burzy dotrze również tutaj — w końcu to początek ich wszystkich. Na ogień piekielne! Dokąd mogłaby się skierować energia, jeśli nie tutaj! A to miejsce nie zdoła jej wchłonąć, przynajmniej jeden rodzaj broni wybuchnie! — Zatrzymał się i odwrócił, by spojrzeć na białą, spiętą twarz Karala. — Nie chcę, żebyś to robił!

— Wiem — odparł Karal.

— Ale jeśli się upierasz — na bogów twoich i moich, nie zamierzam stać z boku i zostawić cię samemu sobie. — Przynajmniej o tyle mógł odciążyć swe sumienie. — Osłonię cię. . .

— Wszyscy go osłonimy — odezwał się An'desha, wychodząc zza pleców Karala. Śpiew Ognia chciał zaprotestować, ale wzruszył ramionami. To ich decyduje.

— W porządku — wziął głęboki oddech i usiłował obliczyć, ile czasu upłynęło. — Ile mamy czasu? Wiem, że niewiele.

— Około pół dnia — odpowiedział Karal dość spokojnym głosem. Może rzeczywiście zdoła to zrobić. — Prowadzę bardzo staranne notatki. Każda marka na

świecy opóźnienia oznacza, że pierwsza fala znajdzie się bliżej Przystani i kamienia-serca. Ludzie Tremane'a przetrwają jeszcze jedną burzę, może dwie. . .

— Ale osłony kamienia-serca mogą nie wytrzymać, nie wspominając o innych kamieniach w Dolinach. Wiem, wiem. — Śpiew Ognia zdławił irytację, słysząc Karala powtarzającego rzeczy oczywiste. Dał jej ujście w jęku. — W porządku, zatem, skoro tak chcecie postąpić, kim jestem, żeby się sprzeciwić?

An'desha przez chwilę wyglądał, jakby chciał coś odpowiedzieć, ale jedynie powrócił do głównej komnaty. Karal poszedł za nim, zostawiając wlokącego się z tyłu Śpiew Ognia, który miał wrażenie, iż został pokonany w kłótni, choć żadnej kłótni nie było.

Resztę czasu spędzili, powtarzając plan. Siedzący na jednym z tobołków Aya zaćwierkał do swojego opiekuna na widok paczuszki, którą ten wsunął do kieszeni. Nie tylko Śpiew Ognia sięgnął do zapasów po środki pobudzające, które pomagały utrzymać trzeźwość umysłu. Były to niebezpieczne substancje i organizm później za to zapłaci — jeśli przeżyją — ale każdy mag wiedział, że w niektórych przypadkach nie ma dość czasu na odpoczynek przed ważnym zadaniem i na takie okazje miał przy sobie paczkę używek. Nawet szaman żuł coś ze wstrętem na twarzy wskazującym, że nie jest to suszone mięso.

Używki Tayledrasów miały osobliwą cechę: odsuwały wszelkie emocje, pomagając Śpiewowi Ognia całym umysłem skupić się na celu do osiągnięcia. Ćwiczenia mentalne wyostrzające zdolności umysłu nadeszły naturalnie, jak do muzyka ćwiczącego akordy coraz szybciej i szybciej. Pod powiekami pojawiły się świecące znaki: symbole Doliny, welonu, kamienia-serca, linii mocy, osłon, tarcz pochłaniających, odbijających i zawieszających; bufor prąd i kotwica, koło i kwadrat, gwiazda i kula. Kiedy tylko pojawiły się znaki, Śpiew Ognia odgadł powód, dla którego na podłodze w każdej komnacie umieszczono różę wiatrów.

W tym osobliwym stanie pobudzenia przeskoczył wprost od błysku intuicji do planu, bez łączącego je rozumowania.

— Spójrzcie! — zawołał, kiedy weszli do komnaty na ostatnią powtórkę. — Spójrzcie, broń znajduje się dokładnie w środku róży wiatrów na posadzce — to nie może być przypadek! To pierścień ochronny!

An'desha przechylił głowę na bok i zmarszczył czoło.

— Nie przypomina niczego z moich wspomnień. . . — zaczął.

— Oczywiście — odparł niecierpliwie Śpiew Ognia. — Twoje wspomnienia należą do największego wroga Urtho, a jeśli istniał sposób, by zrobić cokolwiek odwrotnie niż Urtho, możesz być pewien, że Ma'ar tak postąpił! Usytuowanie jest idealne; założę się, iż po rozpoczęciu budowy osłon nastąpi wzmocnienie. Popatrzcie tutaj — kąt pomiędzy punktami ma wartość wielokrotności ośmiu, osiem punktów i sześćdziesiąt cztery trójkąty. Popatrzcie na skupienie tych muszelek w środku — założę się o cały mój jedwab, że gromadzą energię. Sprawdźcie kąty odbicia fal pomiędzy punktami, a ułożą się tak, by się nawzajem podtrzymywać.

An'desha spojrział na Treyvana i Hydonę w poszukiwaniu potwierdzenia. Gryfica przechyliła głowę w jedną, potem w drugą stronę.

— To możliwe — przyznała. — Takie rzeczy się zdarzały. Urtho słyszał ze swoich pomysłów, takie urządzenie mógł wynaleźć na dzień dobry i bez śniadania. To byłoby w jego stylu.

— Zatem wy dwoje, weźcie północ i południe — rozkazał, instynktownie wyczuwając właściwe ustawienie, chociaż nie wiedział, skąd ta pewność. — Florian i Altra — wschód i zachód.

— W ten sposób wszyscy nie-ludzie znaleźli się w głównych punktach, co miało pewien sens, biorąc pod uwagę to, co opowiadały gryfy o miłości Urtha do swych nie-ludzkich stworzeń.

— Karal, stań w środku, przy piramidzie. An'desha — ty pójdziesz między Altrę i Treyvana na północny wschód. An'desha, ja stanę naprzeciw. . .

Przerwał, gdyż zostali jedynie Lo'isha i Srebrny Lis, a obaj przecząco potrząsali głowami.

— Nie wiem nic o osłonach. . . — zaczął szaman.

Wtem, z szumem skrzydeł i wiatru wiejącego w światach leżących poza „tu i teraz”, ostatnie dwa miejsca zostały zajęte. Komnatę wypełniło światło; serce Śpiewu Ognia podskoczyło do gardła.

„Ostatnie fragmenty łamigłówki. Oni również się do tego przyczynili. . .”

Na północnym zachodzie i południowym wschodzie stali. . .

Nie. . .

Tre'valen. . .

Przyszliśmy wam pomóc — odezwała się jedna z istot — częściowo płomień, częściowo ptak i częściowo mężczyzna o twarzy, która nawiedzała Śpiew Ognia w sennych koszmarach od chwili, kiedy mag znalazł leżące bez życia ciało szamana Shin'a'in, uderzonego mocą Zmory Sokołów. — *Nadal należymy tak samo do waszego, jak i do Jej świata, a przecież to jest Jej wybrana ziemia. Ona pragnie ją chronić równie mocno jak my.*

W oczach Karala płonęło uczucie, którego Śpiew Ognia nie potrafił nazwać, ale co do wyrazu twarzy An'deshy nie było wątpliwości. Była to czysta, niezamącona radość. Śpiew Ognia wiedział wreszcie i nieomylnie, że nie stracił An'deshy z powodu człowieka lub kłótni z człowiekiem. Na nic nie zdały się protesty, kiedy ktoś usłyszał w duszy wezwanie Gwiazdzistookiej. To wezwanie było równie silne i niezniszczalne jak więź życia.

Odezwała się druga istota ptak, duch i kobieta w jednej osobie.

An'desha wie — byliśmy przy was, pomagając, gdzie mogliśmy — ale Gwiazdzistooka pomaga tylko tym, którzy mają dość hartu, by pomóc samym sobie. Przyszliśmy z własnej woli i zostaniemy z wami — zarówno w śmierci, jak i w życiu.

Lo'isha klęczał z pochyloną głową, a istota, która kiedyś była Tre'valenem, także szamanem, gestem nakazała mu wstać. Szaman posłuchał, ale na twarzy

miał taki szacunek i strach, że Śpiew Ognia wątpił, czy odezwie się słowem, dopóki avatary będą obecne.

Jednak kiedy skierował uwagę z powrotem do kręgu, nagle uświadomił sobie, co widzi w oczach Karala.

Był to wzrok człowieka, który wie, że może umrzeć, człowieka sprawdzonej, niewzruszonej wiary, nie bojącego się śmierci. Niektórzy nazywają to ekstazą.

Może podobnie wyglądał Vanyel, kiedy Stefen żegnał go w górach Północy...

Jednak teraz było za późno, by coś z tym zrobić. Uciekały ostatnie chwile.

— Podnieście osłony! — zawołał Śpiew Ognia przez ściśnięte gardło, podnosząc również własne tarcze. Teraz, kiedy się patrzyło magicznym wzrokiem, każdy z nich stał w jaśniejącej kuli tęczowego światła; podobnie jarzył się każdy punkt róży wiatrów, jak przewidział Śpiew Ognia. Światło padające z każdego z nich odbijało się od wzorów wykutych w kamieniu. Wyglądało na to, że jeśli przeżyją, Śpiew Ognia nie przegra swoich jedwabi.

— Połączyć osłony! — zawołał Śpiew Ognia, zanim przeczyścił gardło za bardzo, by móc mówić. Chwila wahania i wszystkie tarcze utworzyły szeroki krąg światła otaczający Karala i sięgającą mu do pasa piramidę w środku wzoru. Karal zamknął oczy i ostrożnie położył ręce na piramidzie, wsuwając palce w specjalnie wyżłobione otwory.

Ale wtedy, jak trafnie odgadł Śpiew Ognia, starożytna magia została uaktywniona przez energię osłon. Wzór na posadzce rozjarzył się, wysyłając w górę osiem ramion światła, które pociągnęły za sobą tarcze, aż połączyły się w jednym punkcie, tworząc kopułę blasku naśladującą kopulasty kształt komnaty. Karal znalazł się teraz w centrum czaszy ochronnej, zamiast być otoczonym przez pierścień osłon. Energia uwolniona w chwili wybuchu zostanie wessana przez osłony.

Właśnie tak, jak powinno się stać, aby ochronić Równiny.

Srebrny Lis i Lo'isha patrzyli z niepokojem. Śpiew Ognia wiedział, że szaman widzi energie, które obudzili, ale Srebrny Lis, jak można się było domyślić z wyrazu jego twarzy, również je dostrzegał — była więc to moc na tyle wielka, by widzieli ją także nie-magowie. Zatem miał rację, że wzór na posadzce komnaty Urtho wplótł mechanizm wzmacniający.

Jednak nie miał czasu cieszyć się triumfem twórczej intuicji nad rozumowaniem i intelektem. Nadszedł czas. Śpiew Ognia wiedział o tym tak dobrze, jak gdyby był zegarem wodnym, w którym spadła właśnie ostatnia kropla.

— Karal, teraz! — krzyknął. Twarz Karala wykrzywiła się, a palce gorączkowo zacisnęły na dziesięciu przyciskach piramidy.

Jej środek wybuchł bezgłośnie w czystą moc. Karal znalazł się gdzieś w jej środku — w środku mocy większej niż jakikolwiek kamień-serce, większej, niż Śpiew Ognia w życiu widział, mocy, na widok której Aya ćwierknął i uciekł do komnaty obok; mocy tak jasnej, że szaman i Srebrny Lis krzyknęli i zakryli oczy.

Gdzieś w środku tego piekła mocy Karal walczył o to, by nad nią zapanować i przetworzyć; walczył. . .

Śpiew Ognia poczuł, że Karal przegrywa. Nie traci kontroli nad mocą, ale traci kontakt ze światem, z sobą, ze swym życiem. Stawał się coraz mniej wyraźny, znikał, rozpływał się w mikro-kosmosie swego płonącego boga. Za chwilę zniknie całkiem, a jeśli ktokolwiek odważy się ruszyć mu na pomoc, krąg się rozerwie i wszyscy zginą.

„Po moim trupie!”

Gniew w końcu przedarł się przez chłodną, wywołaną używkami obojętność. Chociaż — jeśli instynkt go zawiedzie, może to i dobrze. . .

— Uwaga wszyscy! Kiedy zacznę liczyć, zaczniście iść ludzkimi krokami na przód po swojej linii! — wrzasnął w śmiertelnej ciszy. — Raz! Dwa! Trzy!

Krąg zacieśniał się wokół Karala, naciskając na niego i na energię, którą kontrolował, a której promienie rozjarzyły się i zatrzepotały.

— Cztery! Pięć! Sześć! — Gdyby wszyscy mieli ręce, mogliby go dotknąć. Ale instynkt podpowiadał Śpiewowi Ognia jeszcze coś.

— Siedem! Osiem! — teraz stali już nad Karalem. Piramida zniknęła, a sam Karal był równie przezroczysty jak awatary. Stał z odrzuconą do tyłu głową i ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku, otoczony kolumną rozgrzanego do białości, lodowato zimnego ognia.

— Dziewięć! — Śpiew Ognia wyciągnął rękę i chwycił Karala za ramię; bez komendy wszyscy inni uczynili to samo, z wyjątkiem Floriana, który dotknął nosem jego piersi, i Akry, który stanął na tylnych łapach, a obie przednie wsparł o plecy Karala.

Światło!

Wybuchło prosto w twarz w chwili, kiedy dotknęli Karala. Śpiew Ognia zamknął oczy, ale ono przedarło się przez powieki i odrzuciło go do tyłu. Poczuł, że jego ręka niemal znika, przestał czuć pod palcami ramię Karala, został wyrzucony w powietrze, uderzył o ścianę i osunął się bezwładnie na podłogę.

Było po wszystkim.

Nie widział i nie słyszał nic.

Wygrali — ale stracili Karala.

Śpiew Ognia zapadł się w ciemność równie głęboką, jak poprzednio wybuch światła, a cała chwiejna przytomność umysłu odleciała.

Był nieświadomy stosunkowo krótko, ale z pewnością po raz pierwszy w życiu magia pozbawiła go przytomności. Przeszywający ból głowy świadczył, że będzie musiał zapłacić za igranie z takimi mocami. Przez następny tydzień nie zdoła zapalić świecy, nie narażając się na ból głowy, a przez najbliższe dwa dni będzie przeżywał prawdziwe piekło. Jednak z dreszczem radości zdał sobie sprawę, że

żyje.

Przez chwilę nie mógł się poruszyć, nie mógł nawet skupić myśli na niczym innym niż mieszanka radości i smutku. „Zrobiliśmy to — nie powinienem był tego robić. Gdybym nie kazał wszystkim podejść, nic by mu się nie stało, to moja wina...”

I... bogowie, kogo jeszcze stracili? Zmusił się do tego, by przewrócić się na bok i usiąść, by otworzyć oczy, które natychmiast zaczęły łzawić, przesłaniając pole widzenia. Wytarł je rękawem; do komnaty wleciał Aya i ćwierkając cicho, przytulił się do jego boku.

— Co się stało, w imię Kal’anel? — usłyszał chrapliwy głos szamana.

Jednak nie odpowiedział mu Srebrny Lis ani nikt inny z tych, którzy stali w kręgu.

— Nie mam pojęcia — powiedział słabym szeptem Karal. — Nie pamiętam nic oprócz naciśnięcia tych dziesięciu przycisków.

Śpiew Ognia zdołał przejrzeć na oczy. Ku jego ogromnemu zaskoczeniu potwierdziły one to, co usłyszał.

Lo’isha i Srebrny Lis nachylali się nad Karalem i pomagali mu usiąść. W fałdach obszernych szat nie było go niemal widać, wyglądał tak, jakby przeszedł trzydziestodniowy post w poszukiwaniu wizji. Obaj mężczyźni podtrzymywali go ostrożnie jakby zdając sobie sprawę z tego, że jest kruchy jak szkło.

Cóż, w tej chwili również Śpiew Ognia nie czuł się zbyt silny.

Ale zanim powstało w nim choćby najłżejsze uczucie zawiści, przez niewielkie drzwi przybyła pomoc w postaci czarno ubranych Zaprzysiężonych Mieczowi Shin’a’in, którzy szybko i sprawnie podnieśli wszystkich i wynieśli przez tunel na zewnątrz, w szkarłatne światło zachodzącego słońca. Śpiew Ognia był zupełnie bezwładny i pozwalał się nieść.

Zachód słońca rozsiewał purpurowy blask, nieco wzmocniony skrzącą się tęczą energii magicznej rozpiętą na niebie i z wolna blednącą razem ze światłem dziennym.

Śpiew Ognia pozwolił się obsługiwać, podczas gdy Aya pilnował z powietrza, upominając krzykiem, gdy niosącym zdarzyło się potknięcie czy szturchnięcie. Zaniesiono wszystkich do ciepłego namiotu. Śpiew Ognia i tak był zbyt słaby, by się opierać; mógł jedynie skinąć głową, kiedy pytano go, czy chce pić, i przyjąć kubek gorącego ziołowego naparu. Od razu wyczuł w nim sporą porcję środków przeciwbólowych. Przez kilka chwil będą walczyły w jego żołądku z używkami, które wziął wcześniej, ale nie było wątpliwości, że przemogą działanie tamtych, za co był wdzięczny. Z rozmów prowadzonych wokół dowiedział się, że wieża rozjarzyła się na moment jak małe słońce, choć do rzeczywistego świata nie przeniknęło nic więcej. Miał wrażenie, że nawet tyle nie byłoby widać, gdyby nie wtrącili się i nie powstrzymali Karala przed zniknięciem.

„A gdybym tego nie zrobił, An'desha może w końcu by mi wybaczył, ale ja sam sobie nigdy.”

Jednak nie wszystkie skutki burzy, którą wywołali, były równie dobre. Gryfi zwiadowcy donosili o dziwnych zmianach i zniknięciu przeróżnych struktur lub ich części w ruinach rozsianych na krawędzi Równin. Nie dotyczyło to nowych budowli, lecz tylko murów pochodzących z czasów Urtho.

Włączając Bramę, którą tu dotarli.

Kiedy zapadał w wywołany lekami sen, usłyszał westchnięcie Treyvana i uwagę Hydony, która również jemu przysłała wcześniej do głowy:

— Cóż — powiedziała z rezygnacją gryfica. — Z pewnością powrrrót zajmie nam sssporro czasssu, ale mamy do czego wrrracać.